

Marcin Wolski

Według Św. Malachiasza

Prolog z odłamków

*Bo oto nadchodzi dzień pałacy jak piec,
a wszyscy pyszni i wszyscy wyrządzający krzywdę
będą słomą, więc spali ich ten nadchodzący
dzień, [...] tak że nie pozostawi po nich ani
korzenia, ani gałązki. A dla was, czczących moje
imię, wszędzie słońce sprawiedliwości
i uzdrowienie w jego skrzydłach [...].
I podepczecie grzeszników, gdyż oni obrócą się,
w popiół pod stopami nóg waszych w dniu,
w którym Ja będę działał!*

*Księga Malachiasza, 3, 19–21
Pismo Święte, Stary Testament*

Pora dnia przedwieczorna. Kopułę zamknięto już dla turystów, więc kiedy znaleźli się na szczycie bazyliki, mogli spacerować sami, tylko oni dwaj, goście specjalni kurii rzymskiej. Ich tutejszy *cicerone* — *monsignore* Cavalieri, skarżący się na dolegliwości sercowe, został daleko w tyle. Dwaj mężczyźni w sutannach wyszli na galerię. Ich oczy uderzył widok rozległy i zapierający dech. U ich stóp rozpościerało się miasto. Ogromne, zmęczone dziennym skwarem, teraz dopiero zaczynało ożywać. Energia zwracana przez nagrzane mury przechodziła na mieszkańców. Z wysokości galerii nieliczni przechodnie na placu przypominali zabiegane mrówki. Nieco dalej, na przyległych zaułkach nie sposób było dojrzeć poszczególnych ludzi.

I Nie zapalono jeszcze świateł, toteż ulice pogrążające się w głębokim cieniu przypominały coraz bardziej mroczne kaniony wypełnione potokami samochodów. Natomiast wieże i monumentalne budowle nadal jeszcze opromieniało światło gasnącego dnia. Oto prawie na wprost, patrząc ponad głowami figur papieży i kolumnadami Berniniego, rozsiadło się przysadziste mauzoleum Hadriana, zwane częściej Zamkiem św. Anioła. Z perspektywy pogrążonych w zadumie biskupów Rzymu przypominało solidny portowy pacholek, do którego za pomocą naprężonej liny *via del Cociliazone* przycumowało Wzgórze Watykańskie. Zaraz obok zamczyska białeły mosty na Tybrze. Jeszcze dalej, nawet gołym okiem można było wypatrzyć wierzchołek Panteonu przywodzący na myśl grzbiet prehistorycznego dinozaura, a głębiej charakterystyczny szczyt owal Colosseum i nieco bardziej w prawo skamieniałą kaskadę pałaców na Wzgórzu Kapitołińskim.

Niebo spurpurowiało. Powiał nieoczekiwany wietrzyk, niosąc wonie ogrodów watykańskich pomieszane z zapachem spalin, smażonej oliwy i nagrzanych słońcem murów. — Imponujące prawda? — niemłody już Armand Durocque, kardynał z Abidżanu, obrócił oczy na swego towarzysza, czarnoskórego biskupa z Nigerii. Ten nie odpowiadał, wpatrywał się w Wieczne Miasto zachłannym wzrokiem prowincjusza. Usta jego mamrotały słowa niezrozumiałe nawet dla kardynała, który pół życia spędził w Afryce.

Modli się, pomyślał hierarcha i sam się przeżegnał. Każda chwila jest dobra, aby chwalić Pana.

Znajdowali się w samym sercu Kościoła. Gdzieś pod nimi, poniżej fundamentów bazyliki Konstantyna krył się grób Rybaka, „opoka” ziemskiego królestwa, na której przez dwa tysiące lat wspierało się chrześcijaństwo. Niebo nad Lacjum zdawało się płonąć żywym ogniem. Na moment kardynał wyobraził sobie pochód tych wszystkich

minionych pokoleń doświadczonych przez ogień. Od żywych pochodni Nerona, poprzez pożogę *Sacco di Roma*, stopy kontreformacji i pożary podczas nalotów alianckich, gdy konał faszyzm. Kościół Chrystusowy przetrwał wszystko. I trwał nadal, gorejąc światłem wiary jak latarnia morska wśród wzburzonego morza. Ale ile jeszcze miał przetrwać?

Świat współczesny oszalał. Jak za czasów występnych cesarów. Zanurzył się w indywidualistycznym hedonizmie, dawną niewolę przesądów zamienił na kult niepohamowanego rozumu... Jak Europa rozległa, kościoły pustoszały, malała liczba powołań kapłańskich. A znaki na niebie i ziemi brzmiały coraz bardziej złowroźnie.

Durocque sam nieraz słyszał ten głos zwątpienia i strachu. Czasami podczas swych wędrówek duszpasterskich budził się w środku nocy złany zimnym potem, a łomot serca zdawał mu się cwałem jeźdźców Apokalipsy. Pięćdziesiąt lat był księdzem, pięćdziesiąt lat niósł własny krzyż i miał dużo czasu, aby obserwować uwiad dawnego świata, rozkład moralności, postępy relatywizmu... I naprawdę trzeba było być ślepym, aby nie zauważyć analogii między upadkami obu światów. Ileż podobieństw! Bo kiedyż zaczęła się powolna śmierć Imperium Romanum? Wraz z liberalizacją rozwodów, z popularyzacją „miłości helleńskiej”, z zaturaniem obyczajów, z triumfem egoizmu... A może antyk został skazany na upadek z chwilą, kiedy władza zaczęła schlebiać gustom pasożytniczego ludu. Gdy sztuka masowa — walki zwierząt i gladiatorów — zabiły teatr i pantomimę, kiedy retoryka stała się ważniejsza od filozofii, a forma od treści... Ale i wtedy zatliła się nadzieja — chrześcijaństwo. Wielu historyków podążających tropem Edwarda Gibbona uznało je za gwóźdź do trumny starożytności, obciążęło odpowiedzialnością za tysiąclecie regresu. Ludzkość jednak przetrwała. Co więcej, odrodziła się, bogatsza o nowe doświadczenia i nowe wartości. Czy może się to powtórzyć?

Zachód wydawał się nieodwołalnie stracony. A Wschód? Cudem wyrwany z okowów komunizmu, też szamotał się między własną tradycją a mirażem „cywilizacji użycia”... Realną alternatywą dla ateizmu coraz częściej od „nowej ewangelizacji” stawał się ekspansywny islam lub podejrzanе kultы nowych sekt.

Jeśli dla wiary chrześcijańskiej istniała jeszcze jakaś nadzieja, to jej rezerwy mogły kryć się w Trzecim Świecie, w Ameryce Łacińskiej, w Afryce... Tam zdarzały się jeszcze prawdziwe powołania i pojawiali wspaniali księża jak biskup Enugu, Filip Wonder, jego młody protegowany.

Durocque z uśmiechem popatrzył na kapłana zatopionego w modlitwie. Szlachetność, charyzma i energia biła od jego wysokiej, przypominającej greckie posągi sylwetki. Opromieniała go opinia niezłomnego przyjaciela ubogich — dobroczyńcy trędowatych, organizatora koncertów na rzecz uchodźców z Konga, bohatera dla obu stron wojny domowej w Ruandzie, wytrwałego negocjatora podczas angolańskich zamieszek. I na dodatek ulubienca mediów. W licznych ankietach już dziś typowano go na człowieka roku Afryki.

Jeszcze tylko parę dni, a na kolejnym konsystorzu ten trzydziestoparoletni Afrykańczyk otrzyma kapelusz kardynalski, a gdy (daj, Panie, obecnemu Pontifexowi jak najdłuższe życie) nadejdzie najbliższe konklawe... Kto wie?

Kardynał żałował, że nie zna dialektu, w którym modlił się biskup Filip. Więcej, nie miał najmniejszego pojęcia, co to mogło być za narzecze? Jako nuncjusz apostolski w Nigerii poznał języki ludów Joruba oraz Ibo, oswoił się z charakterystycznym rytmem mowy plemion Hausa... Ale to wszystko nie było to. Więc cóż to był za dialekt?

Oczywiście metropolita Abidżanu nigdy nie próbował odmawiać pacierza wspan. Nie wiedział też, że jego towarzysz mówi szyfrem, dodając co drugą sylabę nic nie znaczące dźwięki. Gdyby je pominąć, a całość przesłuchać jak taśmę puszczonej

wspak, nad Państwem Kościelnym zabrzmiałoby wezwanie:

— O Abaddonie i Amaimonie, Asmodeuszu i Astarocie, Belialu, Belzebubie, Lilith, Mefistofelu, Saligio, Samaelu... Wzywam was, udzielcie mi wsparcia, a to miasto będzie nareszcie nasze!

*

Kawalkada samochodów kieruje się w stronę Białego Domu. Sznur limuzyn prezydenckich posuwa się po Pennsylvania Avenue. Tłumy przeważnie kolorowych gapiów usiłują rozpoznać samochód Ojca Narodu: ten, może ten? Niewidoma Lou Vickers stoi obok ojczyrna, wysokiego mulata w dżinsach, który opowiada jej o mijanych autach. Dziewczyna przyciska do piersi lalkę, nasłuchuje.

Naraz oliwkową twarzą przebiega grymas, dziewczynka krzyczy:

— Nie, nie!

W jej mózgu nie wiadomo skąd pojawił się obraz mężczyzny w jednym z samochodów orszaku. Błady przystojny dygnitarz bawi się różańcem. Wie, że przez przydymione szyby nikt nie jest w stanie zajrzeć do wnętrza pojazdu. Wypielęgowane dłonie przesuwają się po paciorkach. Tyle że nie są to zwyczajne paciorki, lecz maleńkie poczerńiałe trupie czaszki, a na końcu... Na końcu wisi krzyż. Zadziwiający krzyż, na którym Chrystus został przybity głową do dołu i twarzą do drewna.

Upuszczona lalka pada na nogę stojącego obok włóczęgi w dziurawej wełnianej czapeczce, ten instynktownie kopie ją przed siebie. Panna Molly wpada pod koła limuzyny — słyhać tylko trzask plastiku. Jedynie do małej Lou dolatuje ciche westchnienie agonii.

*

Wrzucili ciało do płytkiego grobu, dokładnie tak, jak życzył sobie zamawiający. Igor sięgnął po szpadel.

— A to? — Sasza wskazuje na ikonę. Znajdowała się w teczce z dokumentami, a teraz leży na piasku wilgotnym od rosy i krwi. — Co z tym zrobimy?

— Szef kazał zabrać tylko papiery i dokumenty. — Igor końcem szpadla strąca obrazek do dołu. Klnie. Kałasznikow, który obsunął mu się na piersi, utrudnia ruchy. Energicznie przerzuca go na plecy.

— Ty, widzisz palanta! — woła nagle Sasza. — Co on tu robi?

Z wysokości nasypu przygląda się im jakiś chłop. W zasadzie takich chłopów widuje się już tylko w filmach: brodaty, w białej rubaszce przewiązanej sznurem, w łapciach.

— Bez świadków! — warczy Igor. Obaj chwytają broń. Nocną ciszę rozdzierają krótkie serie. Chłop jednak stoi nieporuszony. Wydaje się zupełnie nie przejmować świszczącymi wokół niego pociskami. Wykonuje gest, jakby znakiem krzyża święcił otwartą mogiłę. A potem powoli schodzi na drugą stronę nasypu.

Klnąc na czym świat stoi, gangsterzy biegną za nim. Chwila, a stoją już na szczycie nasypu. W na wpół zasypanym grobie pozostał trup węgierskiego biznesmena, który był na tyle nieostrożny, że zabrał się za robienie interesów w Moskwie. Sasza i Igor rozglądają się nerwowo. Gdzie ten chłop? W obie strony uciekają lśniące pasma szyn. Widoczność na parę wiorst i nikogo.

A przed nimi rozległy zbiornik retencyjny. Tafłę marszczy nocny wietrzyk. Księżyc świeci jak dupa tej bladzi, Matriuszy. Chłopa nigdzie nie ma. Tylko na

powierzchni wody dostrzegają coś jak rozmywające się ślady stóp obutych w łapcie z łyka...

*

Ptak musiał poruszyć sercem dzwonu. Drgnęło, brzęknięcie urwało się nagle jak ostatni dźwięk hejnału mariackiego. W maleńkim kościele pod Warszawą ksiądz Tomasz ustawia świece na ołtarzu, wygładza obrus. Jutro do sakramentu bierzmowania przystąpi kilkunastu młodych parafian, zawita sam biskup. Szczególną radością napawa proboszcza myśl, że w ceremonii weźmie udział kilku „odzyskanych” — owoc jego pracy nad trudną młodzieżą z pobliskiego zakładu poprawczego. Jakież szczęście! Niepokoją go jedynie brudne smugi kurzu na płótnie. Skąd się wzięły? Przecież wczoraj obrusy były zmieniane...

Kap! Wiśniowa plama rozlewa się na jego dłoni. Kap, kolejna kropla cieknie po drzwiczkach tabernakulum. Dobry Boże! Proboszcz unosi głowę. Na wprost niego, na krzyżu wisi realistyczna rzeźba przedstawiająca trzydziestotrzyletniego mężczyznę, straconego z rozkazu rzymskiego prokuratora w jednej z odleglejszych prowincji imperium cesarza Tyberiusza.

Kap. Kap... Kapłan żegna się. Następnie przystawia wyniesiony z zakrystii stołek i odłożywszy starannie obrus na bok, wchodzi na ołtarz. Jego głowa jest na wysokości kolan Zbawiciela, ręką sięga rany w boku. Sucha... A może to z korony cierniowej? Proboszcz zadziera głowę jeszcze bardziej i zastyga w przerażeniu. Pod sufitem wisi ptak. Wielki gawron, zapewne jeden z tych, które jesienią zwykły zlatywać do Polski ze Wspólnoty Niepodległych państw. Ptak, okrutnie okaleczony, z zawiązanym dziobem i obciętymi na wysokości ud łapami, tańczy na drucie, a wraz z kropelkami krwi ulatuje z niego życie. Gdzieś rozlega się cichutki chichot. Ksiądz Tomasz traci równowagę, leci na dół, koziółkuje po stopniach, wreszcie nieruchomieje w miejscu, w którym prezbiterium przechodzi w nawę główną.

Znów z jękiem odzywa się dzwon, mimo że żaden z ptaków nie dotknął ni jego serca, ni sznura.

*

Narasta tropikalny skwar. Dopiero minęła dziesiąta rano, ale Spanish Town, dawna stolica Jamajki już przemienia się w ognisty piec. Powietrze stoi. Do miasteczka nie dociera najmniejszy nawet wietrzyk od strony morza czy Gór Błękitnych. Odrobina chłodu kryje się jedynie w głębi starych murów, takich jak niewielka katedra San Jago de La Vega. Zaraz za nią ciągną się, w znacznym stopniu zdewastowane, budynki Starego Więzienia St. Catherine. Ze wszystkich stron otacza je miasto, a od południa napiera ruchliwy bazar. Opodal, na skrzyżowaniu dróg, zdezelowane autobusy wypływają lub pochłaniają rzesze czarnoskórych pasażerów z Kingston, Portmore lub wyżynnego interioru. Nad labiryntem zaułków unosi się zgiełk. Ówdzie sprzedawcy kogutów bojowych zachwalają swych ulubieńców. Kramy, ukryte w głębi, oferują prymitywne podróbki sztuki prekolumbijskiej i amulety voodoo. Nigdzie nie widać ani jednego białego turysty. Podobno jest tu dla nich zbyt niebezpiecznie... Natomiast w części północnej District Prison panuje zadziwiająca cisza, znajduje się tu stary bunkier, w którym ongiś władze brytyjskie zwykły trzymać oczekujących na kaźń przestępców. Obecnie bunkier podlega administracji więziennej tylko formalnie. Strzeże go dwóch nie umundurowanych funkcjonariuszy. Zresztą kogo tam strzec? W najciemniejszym kącie płytkiego lochu leży COŚ przypominające toból brudnych

szmat. COŚ nie ma imienia ani nazwiska i dawno straciło człekokształtny charakter. Dookoła walają się resztki pożywienia i fekalia. COŚ jest wiecznie głodne i senne. Nie lubi obcych. Gryzie lekarzy. Wedle opowieści miejscowych, przebywa tu od ponad ośmiu lat. Tutejszy grabarz znalazł je na cmentarzu zajęte rozgrzebywaniem mogił. Wkrótce odnaleziono również norę w starych katakumbach, a w niej zgromadzone zegarki, koraliki i zabawki kilkunaściorga dzieci zaginionych w różnych okolicach Jamajki.

— Hiena? Potwór kanibal? — zastanawiali się funkcjonariusze. — Ale jak coś takiego miałoby stanąć przed sądem?

Swego czasu komisja z Uniwersytetu Indii Wschodnich chciała zapewnić monstrum bardziej cywilizowane warunki bytowania. Ale próba ta skończyła się porażką. W sterylnym otoczeniu University Hospital istota po prostu zastrajkowała: najpierw nie chciała nic jeść, a później pogrzyżała się w totalnej apatii. Po dwóch tygodniach prób adaptacji odesłano ją do Spanish Town, gdzie natychmiast odzyskała apetyt. Po jej krótkim pobycie w King — ston pozostały jedynie protokoły badań.

COŚ okazało się kobietą rasy mieszanej (prawdopodobnie kwarteronką) w wieku około dwudziestu pięciu lat, potwornie otluszczoną (jej waga wynosiła początkowo sto osiemdziesiąt kilogramów). Umysłowo Papina — bo tak ją nazwano (od ulicy, na którą wychodziły okna laboratorium) — pozostawała na poziomie wyjątkowo tępego goryla. Nie umiała mówić i raczej nie rozumiała ludzkiej mowy. Nie była w stanie nauczyć się najprostszyc odruchów. Konsylium wahało się długo nad zdefiniowaniem jej upośledzenia — mózg i układ centralny nie zdradzały żadnych wrodzonych deformacji, na ramieniu zachował się ślad szczepienia ospy. W zębach znaleziono kilka eleganckich plomb pochodzących najwyżej sprzed dziesięciu lat. Uszy miała przekłute, natomiast błona dziewicza zachowała się nie uszkodzona. Zadziwiający wynik przyniósł natomiast encefalogram.

— Nigdy nie spotkałem się z czymś takim; jej mózg przywodzi na myśl wyczyszczony twardy dysk w komputerze! — oznajmił znakomity neurolog przybyły na konsultacje aż z Chicago.

Postawiono hipotezę, że do piętnastego roku życia dziewczyna rozwijała się normalnie i żyła w stosunkowo niezłych warunkach. Ale co zdarzyło się później? Lekarze mogli co najwyżej domniemywać, że miały miejsce jakieś straszliwe przeżycia, olbrzymi szok, który zniszczył jej mózg.

Przed odesłaniem nieszczęśnicy do Spanish Town Amerykanin jeszcze raz ponowił próbę nawiązania kontaktu z monstrum. Pod kawałkami mięsa na tacy, z której karmiono Papinę, namalowano zestaw znaków i symboli. Kobieta nie reagowała, zajęta jedzeniem. Aż do momentu, kiedy spod płatu surowej wołowiny wyłonił się znak odwróconego krzyża.

Nieludzki ni to ryk, ni kwik wypełnił pomieszczenie! Ciało Papiny ogarnęły drgawki, a chwilę później straciła przytomność. Neurolog nie wspomniał nikomu o tym eksperymencie, przynajmniej nikomu na Jamajce...

*

10.15 — monstrum się budzi. Jak co dzień o tej samej porze. Nie patrzy na pożywienie, w zamglonych oczach pojawia się dziwny błysk. Kobieta unosi się, wspierając na łokciach, zaczyna się czołgać, potem na czworakach okrąża loch, coraz szybciej i szybciej, zupełnie jakby w ogóle nie była tak monstrialnie otyła. A potem chwytła dwa kawałki poczerńiałej cegły i zaczyna uderzać jednym o drugi.

— Znów się bawi! — prycha strażnik Sam.

— Jak co dzień, pół godziny zabawy w szaloną perkusistkę — potakuje jego towarzysz i naciska przycisk zamontowany pod blatem stołu. Na małej skrzyneczce ukrytej między cegłami sklepienia łozku zapala się światełko. Dźwięki przełożone na elektroniczne impulsy płyną po kablu do pokoju strażników, a stamtąd, odpowiednio wzmacnione, linią telefoniczną do Seafort, kąpieliska nad zatoką, gdzie za pośrednictwem nadajnika umieszczonego na dachu hotelu Hellshire lecą w kosmos, a po odbiciu przez satelitę trafiają do parabolicznej anteny na jachcie „Czysty Harry”, którego macierzystym portem jest Annapolis, choć aktualnie jest zakotwiczony na rzece Potomac, dwie mile od Białego Domu. Tam samoczynnie włącza się] komputer. Rusza przetwarzanie, konwersja intersystemowa. Dźwięki stają się kodem, kod językiem — aby wreszcie zmienić się w płachtę wydruku i niesamowity, mechaniczny głos cybernetycznej inteligencji:

— Idzie, idzie, nadchodzi. Ach, powitajmy go. Bo nie masz innej drogi. Gdy dziesiątkowani przez plagi nie odwrócą się od dzieła swoich rąk, nie przestaną wielbić demonów ani bożków złotych ani nie zaniechają kradzieży, nierządu, czarów ni zabójstw...

Słuchający tego szpakowaty mężczyzna w płaszczu kąpielowym uśmiecha się; wie, że na codzienną wizję składają się strumienie ogólników. Spokojnie czeka na szczegóły. Wie, że Papina nie wybiera, że przekazuje z głębi swej uwięzionej jaźni zakodowany potok enigmatycznych wróżb, które mogą albo muszą się sprawdzić, dziś, pojutrze albo za rok.

— A wielki złoty orzeł uleci z Arabii w dniu, gdy papirus sięgnie dwóch cali, i zmieni się w ogień w miejscu, co się zwie Aszmarah. I zginie ojciec wielu, a plemię ich dwustukroć milion... Zaś imię pięści Boga: dzin Hassan.

Dzięki połączeniom modemowym w prywatnym laboratorium pod Waszyngtonem kilku specjalistów dzień w dzień analizuje napływające dane. Ta Papina jest naprawdę niesamowita. Z jej bełkotu można dowiedzieć się o katastrofach i kataklizmach na długo, zanim one nastąpią, i poznać wyniki wyborów na rok przed głosowaniem. A wszystko to oznacza pieniądze. I władzę.

Otrzymana z trzymiesięcznym wyprzedzeniem zapowiedź strącenia przez fundamentalistów islamskich szejka Hassaniego samolotu, który po starciu z Rijadu, ugodzony rakieta, eksploduje podczas próby awaryjnego lądowania na erytrejskim lotnisku w Asmarze, może okazać się informacją bezcenną. Zwłaszcza że z proroctwa wynika, iż samolotem tym będzie „Orzeł 01” z prezydentem Stanów Zjednoczonych na pokładzie.

Część I
Bliźniaczki

1.

Być może wszystko jest dziełem przypadku, ale stanowczo zbyt często nasze życie wygląda na świadomą antologię tych dzieł.

W piątek rozpętało się prawdziwe piekło. Zuzia Wokalistka, powalona anginą, kategorycznie odmówiła wyjazdu w trasę, natomiast Marek, czołowa „lokomotywa” naszego programu, w ostatniej chwili przypomniał sobie, że ma podwójnie płatny recital w Radomsku, w związku z czym musi olać naszą Wesołą Bandę.

— W tej sytuacji trzeba odwołać imprezę! — powiedziałem organizatorowi, panu Leonowi.

— Odwołać imprezę? — na okrągłej twarzy menedżera pojawiło się oburzenie pomieszane z niedowierzaniem. — Jak to odwołać? Wszystko zapięte na ostatni guzik. Dwa sponsorowane plenery, a pan chce odwoływać, panie Andrzejku!?

— Przecież nie wystąpię sam! Aktualnych parodii mam na dziesięć minut, powiedzmy, przedłużę je do piętnastu, ale to ciągle za mało jak na półtoragodzinny spektakl.

— Wystarczy, jeśli wyjdzie godzina piętnaście. Zaczniemy później, skończymy wcześniej...

— Jak by nie liczyć, brakuje godziny.

— A Grzesio Myszkowski? — pan Leon nerwowo przeglądał wytłuszczony kapownik z nazwiskami estradowych wycirusów.

— Grzesiek nie wrócił jeszcze z Australii.

— Zostaje Albin...

— Pije!

— Zadzwonię, może akurat skończył?

— Jeśli zaczął przed trzema dniami, a tak mi mówili kierownicy produkcji w telewizji, to nie skończy wcześniej niż po niedzieli. Potem jeszcze odtruwanie, kroplówki...

Miażdżony druzgocącą wymową tych faktów, organizator kurczył się w oczach, ale ciągle nie dawał za wygraną.

— Mógłbym zadzwonić do Anity, chyba przestała się na nas dąsać?

— Ale na pewno nie przerwie zdjęć próbnych we Włoszech dla chałtury w Bełchatowie.

— To co ja mam robić? — z oczu pana Leona wycierała czarna rozpacz. — Oni tam na pana czekają. To świetni kontrahenci.

— Proszę im powiedzieć, że nie żyję!

— Daj pan spokój, co pan chce wykrakać... Panie Andrzejku!

Nie słuchałem, wyszedłem z baraczkę klubu sportowego, w którym Leon Jabłoński prowadził swój dziki impresariat. Mimo oczywistej straty finansowej byłem zadowolony, że po raz pierwszy od miesiąca będę miał wolny weekend. Czułem się lekko, swobodnie, jak nieoczekiwanie urlopowany galernik. A pogoda po prostu zachęcała do nieróbstwa. Wrześniowe słońce przygrzewało całkiem mocno, a liście okolicznych klonów zaczynały dopiero delikatnie żółknąć na podobieństwo starych książek poniewierających się po strychu. Zacerpnałem mocniej powietrza. Ogarnięty gwałtowną potrzebą zrelaksowania się, minąłem beztrąsko mego peugeota zaparkowanego przy krawężniku. O parę kroków kusił Łazienki...

Kiedy ostatni raz byłem na spacerze? Dwa miesiące, pół roku temu? Bo przecież kręcenia się wokół amfiteatru w przerwie między koncertami nie można nazwać przechadzką... Inna sprawa, przed rokiem, kiedy stuknęła mi czterdziestka, postanowiłem wziąć się za siebie. Wytyczyłem nawet okrężną trasę do sklepu, gdzie kupowałem prasę i bułki. Ale skończyło się na dwóch marszobiegach. Przy bramie parku zaczepiła mnie Cyganka. Brudne rumuńskie dziecko o wielkich mrocznych oczach i słabo zarysowanych pierwocinach przyszłej kobiecości. — Daj pan złotówkę, Bóg ci wynagrodzi. Usiłowałem ją wyminąć. Nie cierpię natrętnego żebractwa, a już szczególnie w wykonaniu sierot z dawnych krajów demokracji ludowej. Mała jednak nie dawała za wygraną.

— Poczekaj pan, coś ci powiem. Czeka cię daleka podróż. Myśli o tobie kobieta. Duże pieniądze... Daj pan złotówkę.

Rzuciłem za siebie monetę, przyspieszając kroku. Umilkła.

Pieniądze, kobieta, podróż? Biedactwo trafiło kulą w płot. Od zesłorocznego rozvodu z Magdą nie pojawiły się w moim życiu żadne kobiety, a wyprawa z Marczykiem do agencji towarzyskiej „Świniaczki” przyniosła wyłącznie wielki niesmak. Co do podróży, właśnie zrezygnowałem z wycieczki do Bełchatowa, a jeśli idzie o pieniądze... Nie byłem szczególnie pazerny. Starczało mi na życie! Kilkanaście koncertów w miesiącu, sporadycznie radio, jeszcze rzadziej telewizja pozwalały na opłacenie mieszkania, wysłanie alimentów Magdzi i Grzegorzowi, no i na stołowanie się w restauracjach...

Inna sprawa, od dłuższego czasu nie miałem wielkich potrzeb ani ambicji.

Żyłem z dnia na dzień... Rzecz jasna, kiedyś było inaczej. Chciałem być wielkim aktorem dramatycznym, roily mi się role Kordianów i Hamletów. Stosunkowo łatwo dostałem się do szkoły teatralnej. Może zbyt łatwo... Wkrótce bowiem doszedłem do wniosku, że najlepiej mi wychodzi imitatorstwo. Potrafiłem zagrać wszystkich z wyjątkiem siebie. Wiecie, jaki był ze mnie „Świder” albo „Łom”, albo „Łapa”, albo „Zapas”, nie mówiąc już o Ninie Andrycz. Profesorowie PWST chyba doszli do podobnych wniosków. Po drugim roku pożegnałem się ze studiami, ale bez trudu znalazłem pracę w Zjednoczonych Przedsiębiorstwach Rozrywkowych. Trwał boom na wielkie widowiska estradowe, charakterystyczny dla końca lat siedemdziesiątych. W opolskim amfiteatrze poznałem Magdę, rzutką organizatorkę, i w kolejną dekadę wkroczyłem jako mąż i ojciec.

Dziś, gdy czasami przeglądam tamte wycinki, wyklejone przez Magdę albumy z naszymi plakatami, zdjęciami, recenzjami, z przerażeniem konstatuje, jak szybko przeleciały te lata. Tu jeszcze budujemy „drugą” Polskę, zaraz potem zaczyna się szampańska zabawa w parodie polityczne podczas szalonych miesięcy „Solidarności”, potem parę kartek pustych, fotografie z imprez w kościołach: gdzieś poginęły. I znów estradowa byle jaka sieczka w stanie wojenno-powojennym, w oczekiwaniu na złote czasy dla prześmiewców, które nadejść miały wraz z Okrągłym Stołem.

Z biegiem lat osiągnąłem perfekcyjną samowystarczalność. Sam pisałem sobie teksty, sam się reżyserowałem... Inna sprawa, że społeczeństwo Trzeciej Najjaśniejszej coraz bardziej nudziło się polityką. Znów więc wróciłem do parodiowania Waldorffa, Violetty Villas i Kydryńskiego, poszerzając repertuar o Miodka i Owsiaka.

Nagły refleks świetlny przerwał moje rozmyślenia. Pochyliłem się nad stawem. Spojrzałem w wodę. Nie spodziewałem się zobaczyć swego oblicza, staw był zbyt mętny... Jednak widok sprawił, że się zachwiałem. Zamiast spokojnej tafli łazienkowskiego stawu dostrzegłem jakąś przepaścistą głębię; ni to studnię, ni sztolnię, no, po prostu dziurę bez dna, wiejącą chłodem i stęchlizną. W panice, że mogę w nią runąć, wbiłem palce w poręcz mostku. — Pan uważa, pan uważa,

niebezpieczno... — zaćwierkał za moimi plecami głos Cyganczki. Odwróciłem się. Ale dziewczyny nie było, zamiast niej po kupkach zeschniętych liści podskakiwał wróbel, przekornie kręcąc łebkiem.

Jeszcze raz spojrzałem ostrożnie na staw. Skrzył się w słońcu, spokojny, ciepły, rozleniwiający...

A więc tak się zaczynają kłopoty z serdudem, pomyślałem. Tylko tego mi brakowało.

*

Wkrótce po rozstaniu z żoną, której zostawiłem segment w Międzyzlesiu, wynająłem dwupokojowe mieszkanie, czy raczej nieco większą szufładę, w wysokim bloku przy rondzie ONZ, na skrzyżowaniu Świętokrzyskiej z ulicą Jana Pawła Marchlewskiego, jak obecnie nazywał ludek warszawski dawną trasę NS. Raz w tygodniu w piątki wpadała tam sprzątaczką wprowadzić trochę porządku do kawalerskiego gospodarstwa. A dziś właśnie był piątek. Panią Eugenię spotkałem w drzwiach na dole.

— Zostawiłam nie zamknięte — rzuciła mi, nie zwalniając kroku. — Ta pani powiedziała, że zaczeka na pana.

Jaka pani? Miałem do wyboru gonić za sprzątaczką albo skorzystać ze stojącej windy. Wybrałem windę.

Kto to może być, zachodziłem w głowę. Zuzia ozdrowiała, a może pan Leon wymyślił jakieś zastępstwo... Chyba żeby sąsiadka z piętra, apetyczna blondynka, z którą dotąd wymieniałem jedynie zdawkowe pozdrowienia, wpadła pożyczyc soli...

Cud się nie zdarzył, blondynki nie było. W nie domkniętych drzwiach oczekiwała mnie jedynie ciotka Regina. Niemłoda, ale bardzo energiczna niewiasta, którą po raz ostatni widziałem przed paroma laty na pogrzebie mego ojca. Ciocia Mirska, w zasadzie stryjenka, ale kto dziś przestrzegałby starodawnej terminologii rodzinnej, dobiegała wprawdzie sześćdziesiątki, wyglądała jednak zdecydowanie starzej. Być może sprawiały to kompletnie siwe i wiecznie nie uczesane włosy, a także jej ogromna szczupłość i pergaminowo blada cera. Za to zachowywała się jak nastolatka, ruchliwa, przedsiębiorcza, wesoła. Gdy widzieliśmy się poprzednio, chwaliła się, że waży niespełna czterdzieści pięć kilogramów. Teraz musiała jeszcze schudnąć. Całości wizerunku dopełniał czujny nos, przypominający ptasi dziób, i małe, ale bardzo żywe oczka okolone siatką zmarszczek.

— Mam nadzieję, Andrzejku, że nie zrugaleś tej poczciwej kobieciny, która wpuściła mnie do środka — zawołała na wstępie, wyciągając do mnie chude pajęczę rączki.

— Ależ nie — pocałowałem przywiedły policzek pachnący mieszanką lawendy i skórki pomarańczowej. — Bardzo się cieszę, że ciocia wreszcie mnie odwiedziła. Trzeba tylko było uprzedzić listownie albo telefonicznie. Mogła mnie ciocia nie zastać.

— Nie było czasu, zdecydowałam się nagle. Anusia mnie potrzebuje.

— Kto?

— Anusia, moja siostra bliźniaczka.

Uniosłem oczy do góry. Z ciocią było gorzej, niż przypuszczałem.

*

Mówi się, że każdy pielęgnuje na prywatny użytek jakiś mit. Podobno kiedy

zaczęłam rączkować, babcia położyła przede mną złoty pieniążek, kieliszek i książkę, a ja wyciągnąłem rączkę ku tej ostatniej. No, ale jakoś nie zostałem noblistą. Inna sprawa, że nigdy też nie popadłem w alkoholizm, a pieniądze wprawdzie lubię do tej pory, ale bez przesady.

Obsesją ciotki Reginy była siostra bliźniaczka. Mniemanie to, zdaniem całej rodziny, nie posiadało żadnych racjonalnych podstaw. Mój ojciec, Lech Łański, wprawdzie starszy od niej o dziesięć lat, nigdy nic o rzekomej siostrze Reginy nie wspominał, a babcia indagowana na ten sam temat, odpowiadała gniewnie:

— Reginka to kochane dziecko, ale trochę pomyłone.

— Uważasz, że jestem pomyłona? — ciotka popatrzyła na mnie sponad grubych szkieł. — No to niech przemówią fakty. Tu jest moja metryka. Urodziłam się 21 września 1939 roku w Brześciu. Twoja babcia, mimo zaawansowanej ciąży, jak wielu warszawiaków w panicznej ucieczce przed Niemcami dotarła aż za Bug.

— Setki razy słyszałem tę epopeję, jak mój ojciec zgubił się po drodze i odnalazł dopiero z początkiem października u krewnych w Lublinie, ciocia natomiast urodziła się w szpitalu podczas nalotu jako wcześniak... — recytowałem jak dobrze wyuczoną lekcję. — Dziadek osobiście odgrzebał was z ruin porodówki, zginęło wtedy masę ludzi. — Więc możesz wyobrazić sobie sceneryę tego szpitala: nalot, bałagan, omdlała matka, krzyk kolejnego noworodka... Zszokowana pielęgniarzka ucieka z nowo narodzonym dzieckiem poza obręb szpitala. Jest przekonana, że matka oseska zginęła, sama ma wielkie niespełnione uczucia macierzyńskie, uznaje więc dziewczynkę za prawdziwy dar niebios...

— Oczywiście można sobie coś takiego wyobrazić, ale nie ma najmniejszych podstaw, by uznać, że podobny fakt miał miejsce... Zresztą babcia musiałaby to pamiętać.

— W jaki sposób? Straciła przytomność na początku porodu.

— A lekarz?

— Myślisz, że nie próbowałam tego ustalić, Andrzejku? Doktor Jan Kamiński, lekarz wojskowy, który odbierał nas obie, parę dni później został internowany w Kozielsku i podzielił los innych polskich oficerów.

— W takim razie skąd się wziął w ogóle ten pomysł z bliźniaczka?

— Sny! Od kiedy tylko pamiętam, Anusia śniła mi się przynajmniej raz w tygodniu.

— Zatem jest to czysty wytwór fantazji. Ja sam do niedawna miałem sny w odcinkach, podczas których chodziłem do szkoły albo rozmawiałem z postaciami historycznymi. Sny tak realistyczne, że po przebudzeniu bardzo długo zastanawiałem się, co jest jawą, a co majakiem.

— Zgoda. Ale pewnych rzeczy nie mogłam wymyślić. Na przykład sens wielu obrazów i zdarzeń zapamiętanych we wczesnym dzieciństwie zrozumiałam dopiero po latach. Czy trzyletnie dziecko może wyśnić sobie Kazachstan albo przeprawę przez Morze Kaspijskie do Iranu? I śmierć z wycieńczenia kobiety, którą moja siostrzyczka nazywała mamą. Albo obóz Armii Polskiej na pustyni. I wieczorek dla dzieci, na którym śpiewała piękna pani. Po latach rozpoznałam jej głos z płyty. To była Hanka Ordonówna. — Tu starsza pani popatrzyła na mnie, a widząc w mych oczach zaciekawienie, kontynuowała: — A potem Ania przekazała mi inne wrażenia, pojawienie się nowej szykownej mamusi, willa pod skwarnym niebem na skraju ruchliwego miasta, dziś wiem, że to musiał być Bejrut, długa podróż statkiem zakończona wpływaniem do wielkiego portu opodal rzeźby gigantycznej kobiety trzymającej w ręku znicz...

— Bardzo sugestywnie to wszystko brzmi, ale czy ciocia próbowała weryfikować te swoje sny?

— Oczywiście. Myślisz, że sama nie miałam wątpliwości? Czytałam prasę, pamiętniki, grzebałam w archiwach. Udało mi się zidentyfikować tę pielęgniarkę.

— Taak?

— Nazywała się Maria Karpicka. Wywieziona w 1940 do Kazachstanu, usiłowała z maleńką „córeczką” Anią wydostać się z Sojuza wraz z armią Andersa, ale zmarła z wycieńczenia na Morzu Kaspijskim.

— I to wszystko?

— Pozwól mi dokończyć! Ta córeczka, Ania Karpicka, urodzona, tu trzymaj się mocno, 21 września 1939 roku w Brześciu Litewskim, przebywając w obozie polskich sierot pod Bejrutem została adoptowana przez Miriam Idrisi, polską Żydówkę, która poślubiła libańskiego katolika. I w roku czterdziestym szóstym wszyscy troje udali się do Stanów Zjednoczonych.

— Ciekawe, że ciocia nie próbowała nawiązać z nimi kontaktu? — rzekłem, udając, że wierzę w tę opowieść. Bajdurzenia ciotki były kompilacją jej snów, strzępków autentycznych historii, marzeń i urojeń.

— Kiedy miałam szukać tego kontaktu? Za Gomułki komunikowanie się z kimś z zagranicy nie było przecież łatwe. Zresztą dosyć prędko wyszłam za mąż, wyjechałam z Warszawy, a Karol dostawał piany na ustach, gdy tylko wspominałam o bliźniaczce. W końcu sama zaczęłam powątpiewać w jej realność. Zresztą Ania śniła mi się coraz rzadziej, nasze kontakty przypominały zanikającą falę radiową. Aż zupełnie ustały.

— Co się zmieniło teraz?

— Jak wiesz, Karol umarł w zeszłym roku. Byłam samotna. Tęskniłam za snami o Anusi. Ale te powracały jedynie jako poszarpane wspomnienia z przeszłości. Jednak od mniej więcej tygodnia zupełnie niespodziewanie Anna wróciła do mych snów i coraz gwałtowniej wzywa mnie do siebie. Ty oczywiście mi nie wierzysz?

Postanowiłem nie polemizować. Dziwactwo ciotki najwyraźniej się zaostrzyło. Uznałem, że najlepiej będzie poddać się jej paranoicznej logice i udawać, że biorę jej zwierzenia poważnie.

— Sądzi ciocia, że ta... bliźniaczka jest chora?

— Nie wiem, co jej jest. Chyba coś niedobrego. Od ponad piętnastu lat nie dawała znaku życia. A teraz nagle się pojawia i intensywnie mnie wzywa.

— Jakimi słowami?

— To nie są słowa.

— A co?

— Emocjonalny nakaz. Musimy ją odszukać, pojechać do Stanów...

Wybuchnąłem śmiechem.

— Do Stanów? Za co? Chyba że ma ciocia jakieś zasoby, bo ja po rozstaniu z Magdusią jestem absolutnie goły.

— Pieniądze się znajdują. Anusia powiedziała mi, gdzie ich szukać. Tylko na razie jest za wcześnie. Zaczekamy do północy.

— Zaczekamy? Ale na co?

— Masz łom i dłuto?

Żywiłem nieśmiałą nadzieję, że ciocia nie zechce zmuszać mnie, bym wystąpił w roli łupiącego przechodniów łomiarza. Jaki mogła mieć inny sposób na zdobycie gotówki...

*

W czasach, kiedy chodziłem jeszcze do szkoły, tereny ciągnące się od Pałacu Kultury w stronę Woli nosiły nazwę Dzikiego Zachodu. Ruiny, puste place, jakieś

budy, meliny, tu i ówdzie rachityczne zakłady rzemieślnicze. Teraz, w dobie żywiolowego rozwoju kapitalizmu cały ten egzotyczny świat przechodził do historii. Tworzył się warszawski „Downtown”, dzielnica wieżowców, hoteli, ekskluzywnych sklepów. Szły pod kilof ostatnie stare kamienice, ustępując miejsca dla budowli XXI wieku.

Ciotka, nie zdradzając do końca swoich zamiarów, doprowadziła mnie na zaplecze jakiejś rudery, której rozbiórka musiała się rozpocząć wczoraj czy przedwczoraj.

— A więc zdążyliśmy. Nie rozbili ściany kominowej trzeciej klatki — w głosie starszej pani zabrzmiała nuta triumfu. — Będziesz musiał wspiąć się tam, na pierwsze piętro... Widzisz ten cień po rozebranym piecu?

— Mam wleźć na to rumowisko i skrócić sobie kark?

— W takim razie wejdę sama, chyba gruz mnie utrzyma. — Ciotka Regina zaczęła gramolić się po ceglach. Powstrzymałem ją.

— Niech mi przynajmniej ciocia powie, po co ta wspinaczka?

— Muszę dobrać się do jednego z przewodów kominowych.

Zaułek nie miał oświetlenia, ale trwała pełnia Księżycy, toteż w chłodnej poświacie musieliśmy wyglądać na; gruzowisku jak dwie hieny cmentarne. Ciocia niezwykle fachowo wypukała jakąś pustą przestrzeń pod murem i zaczęła kruszyć cegły.

— Znalazłam ten przewód! — zawołała w pewnej chwili. — Teraz tylko poszerzymy otwór!

Komin ział pustką. Zachciało mi się śmiać. Ciotka przycupnęła na gzymsie jak wielka czarna wrona i wyglądała na zaskoczoną.

— Chyba wrócimy do domu, co, ciociu!?

Milczała. Naraz podskoczyła i wyrwawszy mi z rąk dłuto, zaatakowała ścianę po lewej stronie nie istniejącego pieca.

— Ale jestem durna! W snach widzimy najczęściej zwierciadlane odbicie rzeczywistości, to, co prawe, wydaje nam się lewym. I odwrotnie.

Wzruszyłem ramionami i chciałem zejść na dół i wtedy właśnie usłyszałem triumfalny okrzyk:

— Jest! A nie mówiłam!

*

Następnego dnia spieniężyliśmy niewielką część skarbu zamurowanego w kominie. Bogactwo znaleziska wywołało moje osłupienie. Złote monety austriackie, rosyjskie świnki, dolary różnych nominałów, małe i większe sztabki, pierścionki, bransoletki...

— Do licha, jak ciocia wpadła na pomysł, żeby szukać tego skarbu?

— Anusia mi przekazała we śnie. Sama dowiedziała się o istnieniu skrytki w dniu swych czterdziestych urodzin. Miriam Idrisi pochodziła z zamożnej żydowskiej rodziny, jeszcze przed wojną udało się jej wyjechać z Polski. W czasie okupacji otrzymała określną drogą list z getta, w którym rodzice informowali ją o skarbie zamurowanym w ich starym mieszkaniu. Musieli je z dnia na dzień opuścić, przesiedlani do dzielnicy żydowskiej.

— Dlaczego nie próbowali wcześniej wydobyć skarbu?

— Miriam ciągle przekładała wyjazd do Polski. Najpierw przeszkodą był stalinizm, a potem przeświadczenie, że ich dom dawno nie istnieje. A potem... Potem nie wiem, co się zdarzyło, ale, jak ci mówiłam, na całe lata straciłam z Anusią kontakt. W każdym razie informacja okazała się precyzyjna. I co ty na to, niedowiarku?

Całkowicie pokonany mogłem tylko pomagać ciotce w spieniężaniu precjozów, w załatwianiu dokumentów... Spora kwota walut zdeponowana na koncie sprawiła, że w ambasadzie amerykańskiej wydano nam wizy od ręki. Mimo tych sukcesów nie opuszczało mnie przeczucie, że pakuję się w jakąś bardzo podejrzaną aferę.

— Czy ja naprawdę muszę z ciotką jechać?

— Musisz, nie znam angielskiego. A poza tym chciałbyś zostawić starszą panią samą, na pastwę narkomanów, gejów i Murzynów?

— Ale moja praca? Koncerty...

— Ile masz koncertów w miesiącu?

— Powiedzmy dziesięć.

— Po ile?

— Najmniej biorę trójkę. Ale...

— Płacę ci z góry za dwadzieścia imprez, licząc po piątce. — Ciotcia odliczyła sto milionów starych złotych. — Masz i nie musisz stroić żadnych min!

*

Dużo można powiedzieć o mnie, że szmirus, leń, fujara życiowa, ale na pewno nie szaleniec. A przecież wbrew jakiegokolwiek logice znalazłem się w klasie biznesowej boeinga („W ekonomicznej lata nędza” — orzekła ciotka) kierującego się za ocean. Czy oznaczało to, że uwierzyłem w historię o bliźniaczkach? Mój Boże, po paru wieczorach z ciotką osiągnąłem taki stan, że ani wierzyłem, ani nie wierzyłem. Zresztą Regina Mirska nie pozostawiła mi: wiele czasu na wahania. W tydzień załatwiliśmy wizy) i bilety. Starsza pani uporała się także z moim menedżerem, który gdy tylko się dowiedział o naszym wyjeździe, zaczął lamentować rozpaczliwiej niż grecka Niobe po stracie całego potomstwa.

— O co panu chodzi, panie Leonie? — spytała ciotka posadziwszy impresaria za stołem i częstując go kieliszkiem koniaku. — O jakieś marne imprezy?

— Jakie marne imprezy!? Myślubiórz dwa razy, Pyrzyce trzy, Barlinek, plener, podwójnie płatny, Szczecin, Zamek Książąt Pomorskich, jeszcze koncert nocny w Zajeździe Lubuskim dla biznesmenów, bez żadnych rachunków.

— Czym to jest wobec wieczności?

— A moja reputacja, szanowna pani? Zdarzyło mi się dotąd tylko dwa razy zrywać trasy koncertowe. Raz, kiedy Jaruzelski wprowadził stan wojenny, a po raz drugi, gdy z powodu pryszczycy zamknięto całe województwo!

— Na ile można by oszacować pańskie straty?

— Na plakaty wydałem jedenaście milionów, na telefony trzy, mój udział to piętnaście...

— Czy dziesięć tysięcy nowych złotych zadowoli pana? Pan Leon, lubo niepijący, wychylił do dna trzymany w ręku kieliszek.

— Właściwie tak się akurat składa, że do Chicago jedzie za tydzień składanka z programem „Jesień po polsku” i można by Andrzejka, skoro ma już wizę, dołączyć do grupy... — zabalgotał.

— Nie mieszamy chałtur ze sprawami rodzinnymi — zdecydowała ciotka, a ja za jej plecami mogłem tylko pokazać Jabłońskiemu rozłożone ręce.

Monotonnie szemrała klimatyzacja i równo pracowały silniki. Pełen obaw leciałem na spotkanie nieznanego. Dlaczego akurat Chicago? Regina od początku twierdziła, że na pierwszy rzut oka rozpozna miasto, które w snach pokazywała jej bliźniaczka. W praktyce okazało się to nieco trudniejsze. Przez dwa dni ślęczeliśmy w bibliotece na Koszykowej, przeglądając niestrudzenie całe stopy albumów i przewodników: po

Los Angeles, Nowym Jorku, Detroit, Toronto... Wszelako ciotka ciągle kręciła głową.

— To inaczej wygląda, architektura powinna być starsza,

Znalazłem w końcu przyżółcony tom *Molochy burżuazyjnego świata* wydany w roku 1955. Ciotka spojrzała tylko na pierwsze ilustracje...

— To jest to! Od razu poznałam. Chicago! Zmyliły mnie te nowoczesne wieżowce.

Tak więc lecieliśmy do drugiego, po Warszawie, największego skupiska Polaków w świecie. Przymknąłem oczy, czułem nieprzyjemne skurcze żołądka i natrętnie powracał obrazek sprzed paru godzin, gdy wczesnym świtem z małą walizką opuszczałem moje mieszkanie. Dzień był smutny, nad Warszawą wisiały ołowiane chmury. Przez moment przemknęła mi myśl, że mogę tu już nigdy nie wrócić. W ostatniej chwili ciotka cofnęła się do pokoju, ponieważ zapomniała lokówki, a może żelazka, ja zaś podszedłem do krawężnika, wypatrując zamówionej taksówki.

— Daleka podróż — usłyszałem charakterystyczny głosik. Bosonoga Cyganeczka siedziała na zielonym paliku uniemożliwiającym parkowanie na chodniku i jadła jabłko. — Daj złotówkę pan!

— Dostaniesz piąta, jeśli powiesz mi, skąd wiedziałaś o podróży, kobiecie, pieniądzech.

Zapisać hamujące z kawaleryjskim wigorem radio — taxi, na moment odwróciłem głowę, a kiedy obróciłem ją ponownie, po dziewczynce nie było śladu. Tylko świeży ogryzek od jabłka toczył się po trotuarze.

— Co stoisz jak słup? Pomóż mi włożyć walizkę do bagażnika! — zakomenderowała ciotka.

2.

*Z perspektywy kreta Nieba nie ma, z
perspektywy Nieba kret to kretyn.*

Po raz pierwszy znalazłem się w Ameryce, jednak Chicago nie wywarło na mnie jakiegoś nadzwyczajnego wrażenia. Oczywiście, zaskoczył mnie ogrom lotniska O'Hare, płatanina autostradowych węzłów, bezkres jeziora Michigan przywodzącego na myśl morze, ale poza tym... Ruch uliczny nie przerażał kogoś, kto codziennie z narażeniem życia przebijał się przez Trasę Łazienkowską, wieżowce były niewiele wyższe — niż te, które wspinały się przed oknami mojego mieszkania przy rondzie ONZ, a kolorowe McDonaldsy, Burger Kingi czy Pizza Hut nie rzucały już na kolana przybysza z kraju uważanego za „tygrysa Europy Wschodniej”. Poza ścisłym centrum, Downtown, amerykańskie miasta są właściwie wielkimi, nie kończącymi się wsiami, pociętymi siatką nieprawdopodobnie długich ulic krzyżujących się obowiązkowo pod kątem prostym, z parterową lub jednopiętrową tanią zabudową z tekturopodobnych prefabrykatów.

Zamieszkaliśmy w hotelu Hilton opodal parku Granta z oknami wychodzącymi na brzeg jeziora Michigan, w budynku tyle olbrzymim, co drogim, jednakże moje finansowe obiekcje ciocia rozwiała krótkim stwierdzeniem, że całe życie marzyła o przespaniu choćby jednej nocy w Hiltonie i teraz musi to zrealizować.

Ciekawe, czy marzenie dotyczyło spędzenia nocy samotnie, czy z Robertem Redfordem, przemknęło mi przez myśl.

— A poza tym mamy wystarczająco dużo pieniędzy — dorzuciła. — Nie bądź skąpiradłem jak twój ojciec!

Nie wiem, jak mój biedny staruszek, całe życie podrzędny gryziopiórek w przedsiębiorstwach należących do budżetówki, w dodatku uczciwy do przesady, mógłby nie być skąpiradłem, mając na utrzymaniu żonę, syna i córkę, jednak postanowiłem nie wdawać się w polemikę. Jestem człowiekiem z natury zgodnym i jedyna osoba, która jest na ten temat odmiennego zdania, to moja była żona, która podczas rozprawy rozwodowej zarzuciła mi oziębłość, znęcanie się psychiczne, egoizm i egocentryzm, cygański tryb życia, despotyzm, aż wreszcie niewierność — po tym wszystkim wpadła w objęcia swego wieloletniego kochasia, grubej ryby z uwłaszczonej nomenklatury.

Mnie pozostało tylko znieść to po stoicku i poszukać sposobu na samotnicze życie. Na razie go nie miałem. Chyba że szansą miała być kariera pomocnika przedsiębiorczej krewnej.

Tymczasem przez pierwsze trzy dni naszego pobytu w Ameryce optymizm cioci Reginy został poddany ciężkiej próbie. Nigdzie nie trafiliśmy na najmniejszy nawet ślad bliźniaczki. Przeszukaliśmy wszelkie dostępne książki telefoniczne w poszukiwaniu Anny Karpickiej alias Idrisi vel Herrnhut, jak za czasów panięskich nazywała się jej przybrana matka. Niestety. Kilkaset telefonów zostało wykonanych nadaremnie. Nikt nie słyszał o takiej osobie, a trzy Anny Karpicky i jedna Mary Ann Herrnhut nie miały nic wspólnego z poszukiwaną.

— Może wyszła za mąż i zmieniła nazwisko?

— Poinformowałyby mnie o tym — oburzyła się ciotka. — Zresztą od czasu, kiedy w high school usiłowało ją zgwałcić trzech Murzyniaków, czuła wstręt do wszystkich mężczyzn bez wyjątku.

— A może szukamy w złym mieście?

— To jest to miasto, przecież poznaję! Stary dworzec kolejowy, stacja metra, promenada nad jeziorem...

— Ale musi ciocia przyznać, że wszystkie wspomnienia pochodzą sprzed piętnastu lat. Żadne obrazy miasta z późniejszych czasów nie zostały przekazane, co może oznaczać, że Anna Karpicka po prostu wyprowadziła się z Chicago.

— Nic nie wiem o przeprowadzce. A jeśli nie wiem, przyjmijmy, że Anusia gdzieś tu jest. Daj mi trochę czasu, a ją odnajdę.

Trzeciego wieczoru pojechaliśmy na szczyt Sears Tower do restauracji mieszczącej się na sto trzecim piętrze tej najwyższej chicagowskiej budowli, bagatela: tysiąc trzydzieści pięćdziesiąt trzy stopy ponad ziemią. Ponieważ zawsze cierpiałem na lekką agorafobię, wolałem nie przeliczać tego na metry. Spodziewałem się, że ciotka będzie biegać od jednej panoramicznej szyby do drugiej, wysilając swoje receptory albo wysyłając swe fluidy aż po najdalsze krańce stanu Illinois, tymczasem przycupnęła spokojnie w fotelu, zamówiła herbatę, a następnie wygrzebała z torebki parę pastylek.

— Co ciocia bierze?

— Jestem zbyt pobudzona, żeby zasnąć, ale ta dawka powinna wystarczyć, we śnie będzie mi ją łatwiej odszukać.

W ciągu następnej godziny wypięłem trzy kawy i cztery wina, a ciocia nadal nie mogła zasnąć. Nie odzywałem się ani słowem, by jej nie zdekoncentrować, ale na niewiele się to zdało. Kelnerzy spoglądali nieco podejrzliwie na dwójkę milczących gości, więc żeby ich uspokoić, zamówiłem jeszcze trochę ciastek, których nie tknęliśmy. Gdzieś po kolejnej godzinie (widocznie działanie kofeiny zostało zneutralizowane przez alkohol) nie doczekawszy się drzemki ciotki, sam przysnąłem. Nagle światła dookoła rozmazały się, potem przygasły zupełnie, a moja uwolniona myśl poszybowała w czasoprzestrzeń.

Znowu miałem sześć lub siedem lat i bawiłem się w piaskownicy w domu moich dziadków w Międzyzlesiu. Bawiłem się sam, siostra miała urodzić się dopiero za dwa lata, a dziadkowie roztoczyli wokół mnie ścisłą barierę ochronną i niechętnie patrzyli na zabawy z dziećmi z sąsiedztwa, które zawsze były (ich zdaniem) zbyt niegrzeczne, zbyt brudne albo przynajmniej za głupie, a w dodatku mogły przynieść zarazki groźnych chorób, które tylko czekały, by zaatakować ukochanego Andrzejka. Nie cierpiałem specjalnie z tego powodu, lubiłem swoją samotność. Wymyśliłem sobie własną rzeczywistość. W narożniku piaskownicy, gdzie przy złączeniu desek widać było okrągły otworek po sęku, otwierało się przecież wejście do mojego świata. Do królestwa piaskowych duszków, przyjaznych krasnoludków. Wystarczyło tylko wypowiedzieć zaklęcie, sypanąć piaskiem przez lewe ramię i pomniejszony do rozmiarów biedronki mogłem wślizgnąć się w otwór po sęku. Zaraz za zakrętem czekały piękne, złociste (nie znałem jeszcze określenia: „mosiądz”) drzwi do windy, które otwierały się na mój widok, mówiąc: „Dzień dobry, Andrzejku!”

— Hej, ty dupku...

Andrzejek podniósł głowę, popatrzył ponad rabatą cynii, tam gdzie obok ciężkich od gron dojrzałej winorośli i rozłożystej wierzby biegł poczerniały płot ze sztachet, za którym ciągnęły się puste pola.

— Do ciebie mówię, dupku!

Na płocie siedział Murzyn. Ale nie był to przyjazny murzynek Bambo z wierszyka Tuwima. Murzyn był zły. Bardzo czarny, co kontrastowało z jaskrawobiałą marynarką i czerwoną apaszką na szyi. Andrzejek nigdy dotąd z bliska nie widział żywego Murzyna, raz z mamą oglądał z wysokości trybun paru czarnoskórych zawodników podczas spartakiady na warszawskiej Legii, ale tamci robili sympatyczne wrażenie. Ten nie.

— Idę do ciebie dupku. Wybierzemy się na małą wycieczkę.

Zeskoczył z płotu i ruszył, kołysząc się na boki jakby w rytm wyimaginowanej muzyki. Andrzejek zastygł jak kamień. Wszystko w nim krzychało ze strachu. Nie mógł jednak uczynić najmniejszego ruchu.

— Uciekaj, uciekaj — zapiszczał cichutki głosik pod jego nogami. Z dziury po sęku wychylił się piaskowy krasnoludek i wymachiwał rękami.

Andrzejek bardzo chciał go posłuchać, ale czuł zniewalającą słabość. Murzyn zbliżał się. W jego krokach było coś lamparciwego.

Krasnoludek, widząc, że nie ma co liczyć na Andrzejkę, sam wypowiedział zaklęcie i rzucił kilka ziarenek piasku. Może chciał urosnąć... Jedno z ziarenek trafiło w nogę Andrzejka i ten jak balon, z którego wypuszczono powietrze, gwałtownie zaczął się kurczyć. Wyciągnięta dłoń Murzyna, która już–już miała go chwycić za gardło, złapała powietrze. Jego noga z wściekłością kopnęła dechę. Ale krasnoludek zdążył pociągnąć mikroskopijnego chłopczyka do środka. Mosiężne drzwi zniknęły, a zamiast dźwigu ział ciemny otwór. Z góry narastał łomot wywołany furią olbrzyma, z pasją demolującego piaskownicę.

— Szybko — ponaglał krasnoludek. Andrzejek ze zdumieniem stwierdził, że był to karzełek samiczka, mała smagłolica dziewczynka, ot, orientalna Calineczka.

— Przecież tam nie ma windy!

— Spróbuj uwierzyć, że jest. Daj rękę! I skoczyli...

Wylądowałem pośrodku Nowego Światu, kilkanaście metrów od MpiK-u. Miałem dwadzieścia parę lat i maszerowałem jak tysiące innych rodaków na spotkanie z polskim papieżem. Tłum warszawiaków gęstniał z każdym metrem. Z megafonów słyszałem głosy aktorów, recytujących najwspanialsze strofy polskiej poezji. — Zbudź się, Kordianie. Powstań, Konradzie! Ale ja już nie byłem kandydatem na Kordiana, zrezygnowałem przecież ze szkoły teatralnej i od roku miałem etat w Zjednoczonych Przedsiębiorstwach Rozrywkowych. W Boga jeśli wierzyłem, to raczej na wszelki wypadek. Czemu więc szedłem? Z ciekawości? Zobaczyć showmana wszech czasów?

Mimo snu doskonale wiedziałem, co nastąpi, kiedy po mszy wrócę od zapłakanej mamy i dowiem się, że ojciec miał zawał, że zabrało go pogotowie i że po raz pierwszy od czasów dzieciństwa będę płakał i modlił się. I że wymodłę mu piętnaście lat życia.

Ale tym razem to był sen, a nie dokładne wspomnienie. Coraz potężniejsza rzesza ludzka wniosła mnie na Krakowskie Przedmieście. Właśnie mijałem schody kościoła św. Krzyża, kiedy impuls kazał mi unieść głowę. Stałem jak wryty. Chrystusa z krzyżem nie było na zwykłym miejscu, stał za to ktoś inny, ale kto...

— Obudź się! — ciotka Regina szarpnęła mnie za ramię. — Płacimy i idziemy.

— Nawiązała ciocia kontakt z siostrą?

— Nie szukałam kontaktu, tylko wspomnień, prosiłam ją, aby przypomniła mi swój dom tu, w Ameryce i zobaczyłam go. Nieduży, jednopiętrowy, z werandą. Obok na rogu jest piekarnia z polskim napisem. Gdybyśmy ją znaleźli...

*

Następnego dnia już od świtu przenieśliśmy się z naszymi poszukiwaniami do Jackowa, jak miejscowi nazywają polską dzielnicę położoną wokół Milwaukee Avenue, w północnej części aglomeracji chicagowskiej, której wywodzący się z Polski mieszkańcy z dumą utrzymują, że Milwaukee to przekreślona przez Indian nazwa pierwszej polskiej kolonii — Miłe Wołki.

Zgodnie z prośbą ciotki wynająłem w hotelu odkrytego chevroleta i teraz robiłem

za szofera, podczas gdy z tylnego siedzenia docierały do mnie komendy:

— W prawo... Nie, w lewo... Zawróć... Poznaję. Nie, jednak nie poznaję!

Dzięki wstecznemu lusterku widziałem, jak skupiona ciocia Regina upodobnia się do anteny pelengacyjnej. Nastroszyła siwe włosy, nos jej się wydłużył, słowem, przypominała starą przepiórzycę wypatrującą zera.

— Tak, to ten przystanek, teraz uliczka w lewo, trzecie skrzyżowanie... Zaraz będzie piekarnia!

Piekarni wprawdzie nie znaleźliśmy we wskazanym miejscu; w domu pod którym zatrzymałem samochód, mieścił się sklep ze starzyzną. Ale po drugiej stronie...

Ciotka wyskoczyła z samochodu, zanim na dobre zdążyłem zahamować.

— To nasza chałupka — zawołała.

Przyznaję, piętrowy domek z drewnianą werandą w zadziwiający sposób pasował do opowieści ciotki. Regina zwinnie otworzyła furteczkę, jakby robiła to całe życie. Zajrzała pod wycieraczkę, a nie znalazłszy tam klucza, nacisnęła dzwonek. Raz i drugi. Na jej blade policzki wystąpiły ceglaste rumieńce.

— Jesteśmy na miejscu, Andrzejku!

Drzwi otworzyła jakaś Chinka, w wieku trudnym do sprecyzowania, mogła mieć równie dobrze lat szesnaście albo trzydzieści pięć. Szlafrok, którym się otulała, był w każdym razie starszy.

Ciotka cofnęła się za moje plecy.

— Porozmawiaj z panią, kochany.

Chinka mieszkała w domu od trzech lat. Nic nie wiedziała o poprzednich właścicielach poza tym, że byli Filipińczykami. Nazwiska Karpicka, Idrisi, Herrnhut nic jej nie mówiły.

— To jest na pewno ten dom — upierała się ciotka. — Na prawo znajduje się jadalnia z kominkiem ozdobionym gipsowymi aniołkami, na lewo kuchnia, na wprost odkryte schody na piętro.

Nim zdążyłem uzyskać potwierdzenie, Chinka uznała rozmowę za skończoną i zatrzasnęła drzwi.

— Być może rzeczywiście to ten dom — powiedziałem. — Jednak jeśli siostra cioci tu mieszkała, musiało to mieć miejsce bardzo dawno temu.

— Nie załamujmy rąk! Popytamy sąsiadów. Ktoś ją musi pamiętać.

Przez pół godziny kołotaliśmy do okolicznych domów. Niestety nawet w tej części Miłych Wołków zaszły ostatnimi czasy znaczne zmiany etniczne wskazujące, że centrum świata przenosi się nad Pacyfik — mieszkali tam Chińczycy, Wietnamczycy, Koreańczycy, a nawet jakiś Białorusin o kałmuckich rysach twarzy. Wszyscy byli jednak lokatorami dość świeżej daty.

— To nie ma sensu — powiedziałem z rezygnacją po próbie dogadania się z dwójką skorych do rozmowy gejów, aliści mówiących wyłącznie po węgiersku. Wróciliśmy na główną ulicę.

— Spokojnie, odpoczniemy, napijemy się kawy — ciotka wskazała nieduży lokalik z czytelną wywieszką: „Breakfeasty domowe”.

Weszliśmy. Lokal świecił pustkami, tylko starsza kelnerka, a może właścicielka szła z tacą brudnych naczyń...

— Chcielibyśmy kawy... — zacząłem.

Staruszka spojrzała na mnie, potem na ciotkę, otworzyła usta i upuściła całą zastawę na ziemię.

— Jezus Maria, pani Karpicka — krzyknęła, osuwając się na krzesło.

Trochę czasu zajęło ocucenie właścicielki restauracji, a jeszcze więcej przekonanie jej, że Regina nie jest Anną, a jedynie jej siostrą bliźniaczką.

— Anusia newer nie mówiła, że ma sister.

— Bośmy się nie znały.

— Przez twenty jers to była moja nejberka, A mój janger brat Irek chodził z nią do hajskul.

— Czyli wie pani, gdzie ją teraz można znaleźć?

Sąsiadka wymownie uniosła oczy do nieba.

— Nie żyje? — spytałem.

Chlipnęła cichutko.

— Dawno?

— Łan jer and e half ago.

Ciotka zasepiła się i jakby zapadła w siebie. Dłuższą chwilę milczała, mieszając kawę.

— To niemożliwe — powiedziała wreszcie.

Na moją prośbę pani Carol Michalski zrelacjonowała pokrótce historię rodziny. Libańczyk Idrisi po przyjeździe do Ameryki rzucił się w wir interesów, szybko doszedł do dużych pieniędzy i jeszcze szybciej je stracił. Dzięki przytomności umysłu jego żony („wie pan, Żydówki mają hed na karku”) i w porę przeprowadzonemu rozwodowi matce i adoptowanej córce udało się zachować dom i skromne środki do życia. Natomiast Libańczyk po rozwodzie rozpił się i stoczył. Wprawdzie przez parę lat próbował jeszcze jakichś lewych interesów, ale zakończył je efektownym strzałem w skroń w luksusowej łazience jednego z hoteli w Las Vegas.

— Kafelki miały kolor czerwieni pompejańskiej — mruknęła do siebie ciotka.

Pani Michalski opowiedziała o dalszych latach obu pań, obserwowanych z pozycji sąsiadki i szkolnej koleżanki. O pracy Anny Karpickiej jako nauczycielki w polskiej szkole, o jej przypadku z czarnoskórymi gwałcicielami, o awersji do mężczyzn. Wreszcie o wypadku, który zdarzył się przy zjeździe z Northwest Highway dokładnie piętnaście lat temu.

*

Wszędzie rozbłyskały światła policyjnych wozów, wyły karetki, między tłumem gapiów torował sobie drogę potężny dźwig. Trak i trzy zmiażdżone wozy osobowe tworzyły jedną wielką płataninę ciał, metalu i tapicerki... Cud, że do tej pory nie eksplodowała benzyna.

O kilkadziesiąt kroków od pechowego rozjazdu policjanci usiłowali powstrzymać panią Idrisi, która, wiedzona nieprawdopodobnym instynktem, znalazła się na miejscu zaledwie w parę minut po wypadku.

— Wracaliśmy tużeger, po szopingowaniu — opowiadała Carol Michalski — i nie wiedzieć czemu Miriam nagle zażądała, żeby skrócić na Hajtej. A tam prawdziwe piekło!

— Puście mnie do niej. Ona musi żyć! — wołała ciemnowłosa kobieta.

— Zaraz dźwig podniesie szczątki traka — uspokajał ją policjant. — Wszyscy robimy, co tylko możemy. Za parę minut...

— Ale tu decydują sekundy! — zawołała Miriam, odepchnęła funkcjonariusza i podbiegła do miejsca zderzenia.

Jakiś strażak usiłował ją powstrzymać, ale odtrąciła go z nadludzką siłą. Dopadła traka, zapała się mocno nogami, chwyciła za szczątki kabiny. I podniosła ją. A potem

przesunęła, odsłaniając zmiążdżonego cadillaca.

— Wyciągnijcie Annie — krzyknęła do zdumionych ratowników.

Oczywiście, podniesienie paru ton, dokonane nawet w największym stresie, nie odbywa się bezkarnie. Miriam Idrisi po swym heroicznym czynie straciła przytomność. Przewieziono ją do tego samego szpitala, co jej córkę. Lekarze stwierdzili rozległy wylew...

— Umarła? — zapytałem.

— Nie, ale pozostała częściowo sparaliżowana — powiedziała nagle głuchym głosem ciotka.

Pani Michalski powtórzyła zdanie w tym samym brzmieniu i z podobną intonacją. Była ogromną gadułą, a dawno nie miała tak wdzięcznych słuchaczy. Okazało się, że stan Anny był dużo gorszy niż jej matki. Wypadek doprowadził do nieodwracalnych zmian w jej organizmie. Przez trzynaście następnych lat nie odzyskała przytomności. Pozostawała nieruchoma, pogrążona w śpiączce, sztucznie karmiona i sztucznie podtrzymywana przy życiu. Uczestnicy kolejnych konsyliów lekarskich zastanawiali się, czy w ogóle żyje. Czy jest jeszcze żywym organizmem, czy jedynie zbiorem komórek sztucznie powstrzymywanych przed obumarciem.

— Żyła, przecież miała sny — mruknęła ciotka. — Tylko ja ich nie mogłam zrozumieć.

Prawdopodobnie gdyby nie determinacja pani Idrisi, przebywającej w zakładzie obok córki, dawno odłączono by aparaturę. Stan Anny nie rokował przecież najmniejszych szans na ozdrowienie. Półtora roku temu Miriam Herrnhut-Idrisi umarła. Jacyś dalecy spadkobiercy z Izraela nie uznali za konieczne dalsze utrzymywanie jej przybranej córki przy życiu. I to za tak wysoką cenę...

— To straszne — wyrwało mi się z ust.

— Ale czy to było życie, czy wedzetejszyn?

Ciotka spiorunowała ją wzrokiem.

— W naszym kraju życie uważane jest za święte i nienaruszalne od chwili poczęcia do naturalnej śmierci — powiedziała. — Przynajmniej przez katolików i patriotów. Jeszcze o jedno chciałabym spytać, czy była pani osobiście na pogrzebie Anusi?

— Dopilnowałam pogrzebu Miriam, potem jednak musiałam wyjechać. Byłam pół roku w Polsce, w Łososina Dolna u maj kuzyn. Polska piękne. Bat te Żydy, Herrnhuty, wzięły wszystko na siebie.

Wzięliśmy adres cmentarza i pojechaliśmy bezzwłocznie przeprowadzić wizję lokalną.

— Nie uwierzę w tę śmierć, Andrzejku, jeśli nie zobaczę nagrobka — powtarzała starsza pani.

— A jak ciocia zobaczy?

— Też nie uwierzę.

Bez większego trudu znaleźliśmy grób Miriam Herrnhut na polskim cmentarzu. Jak twierdziła pani Carol, w czasie nie kończącej się szpitalnej udręki nawróciła się na katolicyzm. Na płycie pod prostym krzyżem były daty i nazwisko. Jedno!

W administracji poinformowano nas, że żadna Anna Karpicka, Idrisi lub Herrnhut nie została pochowana przed rokiem na tym cmentarzu.

Znaleźliśmy się w punkcie wyjścia. Czy mieliśmy jechać do Izraela w poszukiwaniu rodziny pani Miriam?

— Najpierw rozejrzyjmy się w szpitalu — zdecydowała ciotka. — W tym szpitalu, gdzie Anusia przespała przeszło dekadę.

*

Na Good Pastor's Hospital w Deerfield składał się zespół pawilonów rozrzuconych w cieniście parku i dla przybysza z rejonów budżetowej służby zdrowia zdawał się być przedsiönkiem rajü. I w pewnym sensie nim był, obszerną część obiektu zajmowało bowiem hospicjum specjalizujące się w stanach terminalnych lub, jak w przypadku bliźniaczki mojej ciotki, przewlekle beznadziejnych. Od wyłożonego sztucznym marmurem wejścia po najdalej zakamarki emanowało nowoczesnością i sterylnością. Sam widok przestronnych korytarzy, lśniących podłóg i zadowolonych z życia pielęgniarek winien postawić na nogi najciężej nawet chorych. A że często nie stawał, wynikało z ograniczeń ludzkiego gatunku, jakie istniały pomimo najwyżej rozwiniętej medycyny.

Obawiając się paniki, jaką mogłoby spowodować wśród personelu pojawienie się ducha Anny Karpickiej, poddałem ciotkę delikatnej charakteryzacji. Po pół godzinie pracy fryzjerek i kosmetyczek w Hiltonie i godzinnej wizycie w pobliskim *shopping center* Regina Mirska, jeśli nie wyglądała na Pierwszą Damę Ameryki, to z pewnością na Drugą.

— A co mi się tak przyglądasz — zachichotała. — Pamiętaj, Andrzejku, nie zakochaj się przypadkiem we mnie, łączy nas zbyt bliskie pokrewieństwo.

W celu zdobycia informacji zużyłem sporo pieniędzy i osobistego uroku. No, może nie osobistego. Wobec pielęgniarki z działu rejestracji zagrałem cudzoziemskiego lekarza, ot, taką skromną krzyżówkę doktora Kildare'a z profesorem Wilczurem.

Uzyskane dane były tyleż suche, co wymowne. Aparaturę podtrzymującą funkcje życiowe odłączono od Ann Karpicky-Herrnhut trzeciego października zeszłego roku, a ciało wydano rodzinie.

— Bez sekcji? — spytała ciotka.

— W komputerze nie ma na ten temat adnotacji.

— Ciekawe?

— Prawdopodobnie rodzina nie wyraziła zgody — stwierdziła leniwie pulchna Murzyneczka, podnosząc głowę znad klawiatury.

— A kto podpisał świadectwo zgonu?

— Lekarz prowadzący pacjentkę, doktor Edwin Benton.

— Nie orientuje się pani, czy mogę go dzisiaj spotkać w szpitalu?

— Doktor Benton już u nas nie pracuje — pielęgniarka mówiła, przeciągając sylaby jak kotka na gorącym blaszanym dachu. — Z tego, co wiem, przeszedł na emeryturę.

— A mogłaby pani udzielić nam bliższych informacji, gdzie obecnie przebywa?

— Dane o personelu są poufne.

Szelest kolejnego zielonego banknotu zadziałał jak flaga Proroka na ortodoksyjnego Araba, Murzynka zmiękła jak budyń, miauknęła coś z zadowoleniem, a jej szczupłe śniade paluszki poczęły skakać po klawiaturze. I po chwili mieliśmy doktora Bentona w całej okazałości.

Doktor Edwin Olivier Benton (tu imponująca liczba tytułów naukowych) *urodzony w 1929 roku w Springfield (Ill.) Studia na Illinois University, dalej w Boston Academy, praktyka w Londynie [...]. Początkowo anestezjolog, później specjalista w zakresie stanów letargowych i śmierci klinicznej...*

Z dossier wynikało, że obok działalności szpitalnej i edukacyjnej, wykładał w koledżu, parał się publicystyką, a jego artykuły zamieszczono m.in. w wielotomowym studium poświęconym „analizom stanów terminalnych”, kilka publikacji dotyczyło „suwerennych funkcji pnia mózgu”, był też autorem krótkiej broszurki opublikowanej

pod pseudonimem Joe Edwinton i zatytułowanej *Medycyna a parapsychologia*. Życiorys kończyła wzmianka o przejściu na emeryturę z jednoczesną rezygnacją z działań dydaktycznych. W ciągu ostatniego roku Benton nie opublikował żadnej nowej pracy. Brak było również jego aktualnego adresu.

Nachyliłem się do Vivien Leigh, bo takie imię widniało na plakietce identyfikacyjnej rejestratorki.

— Potrzebuję aktualnego adresu doktora Bentona.

— Nie mamy — nadąsana dziewczyna przypominała teraz opaloną świnkę Piggy.

— Dobrze zapłacę.

— Jak mówię, że nie mamy, to nie mamy...

Cofnąłem się. Z grymasu ciotki wynikało, że nie wierzy. Miałem już zamiar wyjść, gdy Regina Mirska wskazała mi leżący na stole „Neurological Review”.

— Zapytaj ją, czy Benton to prenumerował? — syknęła. Zapytałem.

— Każdy liczący się lekarz z naszego szpitala prenumeruje ten miesięcznik — odpowiedziała Vivien.

Podziękowałem i wyszliśmy.

— Nic nie mamy, nic nie wiemy — imitowałem miauknięcie Murzynki, idąc korytarzem.

— Jesteś niezły w parodiowaniu, ale sprawdzimy, do jakiego stopnia — powiedziała ciotka i, ku memu zaskoczeniu, pociągnęła mnie w stronę kabiny telefonicznej. Miała niezły pomysł. Zadzwoiłem do redakcji „Neurological Review”.

— Hello, mówi Vivien Leigh z Good Pastor’s Hospital w Deerfield — zacząłem piskliwie, wyobrażając sobie, że jestem zadbaną czarnulą o włosach przypominających rozplecioną cewkę elektryczną. — Dzwonię w imieniu doktora Bentona. Od dwóch miesięcy nie otrzymuje waszej prenumeraty. A może wysyłacie pod zły adres. Aha, aha... A pod jaki wysyłacie? Nie, nie wszystko się zgadza, sprawdzimy na pocztę, dziękuję.

Odłożyłem słuchawkę.

— Mamy go — powiedziałem, zmieniając koci głos Murzynki na męski szorstki ton Johna Wayne’a. — Five Oaks’ Farm koło Riverton w stanie Wyoming.

— Mówiłam, że jesteś lepszy, niż sam myślisz — skomentowała Regina Mirska.

— Czuję, że jesteśmy na właściwej drodze.

— Na jakiej podstawie?

— Kiedy czuję coś, to po prostu czuję.

3.

*Aby opisać wieczność, nie wystarczy
mieć wieczne pióro.*

Wylecieliśmy do Wyoming zatłoczonym boeingiem 737, skazani przez całą drogę na oglądanie fajerwerków pirotechnicznych w filmie *Dzień Niepodległości*, dydaktycznej chacie, zrobionej jednak, jak przystało na Hollywood, z gigantycznym rozmachem i wedle recept politycznej poprawności. Już od pierwszych klitek można się było domyślić, że dwóch Żydów, Murzyn, panienska z salonu Go-Go i prezydent harcerzyk uratują USA i świat przed szarańczą Obcych. Po kwadransie przełączyłem dźwięk w słuchawkach na muzykę poważną, przymknąłem oczy i usiłowałem wyobrazić sobie ziemię pod nami, tę geometryczną szachownicę stanów dawnej wielkiej prerii. Wyoming... Już sama nazwa pobudzała podróżniczą wyobraźnię, ale dopiero po zerknięciu na mapę, kiedy zobaczyłem miejsca znane z dziecinnych lektur — Yellowstone, Cheyenne, Larami czy góry Black Hills poczułem w myślach smak pieczonego bizona i zapach fajki pokoju. Zmierzaliśmy wszak do samego jądra dawnego Dzikiego Zachodu.

Zadowolona z dotychczasowych osiągnięć Regina Mirska poświstywała przez sen jak pozbawiony majaków i koszmarów imbryczek. A i ja odczuwałem satysfakcję, że nareszcie moje zdolności imitatorskie posłużyły czemuś lepszemu niżli rozbawianie gawiedzi w Słupsku lub Sieradzu.

Nie będę ukrywał, nie miałem ani najlepszego zdania na temat swojej kariery życiowej, ani pewności, że moje losy ułożyły się optymalnie. Swego czasu ciotka określała moją działalność z brutalną szczerością: „Jakiż sens ma parodiowanie tych, którzy i tak wyglądają jak własne karykatury?”

Kiedy zacząłem małpować? Kiedy uczepiłem się tego przedrzeźniactwa i uczyniłem z niego mój puklerz, ową zbroję przed światem i pewnie przed sobą samym? Jak wpadłem na to najgłupsze odkrycie, że łatwiej jest być kimś innym, niż szukać siebie w sobie? Może za bardzo bałem się tego, co tam znajduje? A może zachwyliła mnie ta łatwość, z jaką imponowałem moim kumplom z klasy, parodiując „dyra” czy „dziadka” od historii, z jego śmiesznym basem, znienacka przełamującym się w dyszkant.

A ileż taniej radości dostarczały mi kawały! Pamiętam, jak kiedyś zadzwoniłem na chatę, w której nasz kolega Zygmunt postanowił akurat rozdziewiczyc pewną panienskę z klasy maturalnej, i wycodziłem, podrabiając zdyszana chrypkę jej ojca ekspapasa: „Zapłacisz mi za to, młody człowieku”. Zyzio omal nie wykorkował na serce.

Cokolwiek by się powiedziało o moim talencie, naśladowanie kipiącego garnka czy parodiowanie Edwarda Gierka przychodziło mi równie prosto.

— Ta łatwość kiedyś cię zgubi — przestrzegali mnie profesorowie PWST i wykrali. W wieku czterdziestu lat mogłem wprawdzie żyć z udawania innych, ale nie potrafiłem pozbyć się wrażenia, że jest to jedynie udawanie życia.

*

W pobliżu lotniska Riverton wynajęliśmy terenowego dodge'a i przez Wind River Indian Reservation ruszyliśmy do farmy doktora Bentona, położonej na skraju Bridger Tenton National Forest, opodal wielkiego wodnego działu dzielącego kontynent

amerykański na zlewiska Pacyfiku i Zatoki Meksykańskiej.

Five Oaks' Farm leżała na głębokim odludziu, nie oznaczona żadnym drogowskazem i gdyby nie informacje uzyskane na stacji benzynowej, przegapilibyśmy niewielką skrzynkę pocztową ledwo wystającą z rozplenionych bujnie zarośli. Opodal zaczynała się boczna droga, właściwie ścieżka, wąska jak biblijne ucho igielne, na której jakakolwiek mijanka pojazdów była wykluczona. Po przejechaniu mniej więcej mili drogę przegrodziła nam solidna kuta brama osadzona w masywnym murze z kamienia, na którego szczycie bieleły się izolatory podtrzymujące druty, najwyraźniej pod wysokim napięciem. Ktokolwiek zamieszkiwał posiadłość, nie należał do ludzi nadmiernie towarzyskich.

Na wspomnianej stacji benzynowej uprzedzono nas lojalnie, że marnujemy czas, ponieważ doktor Benton nikogo nie przyjmuje, wyjątek robi raz w miesiącu dla księdza, a jeszcze rzadziej dla miejscowego szeryfa.

— Mieszka sam? — spytałem tyczkowatego pompierza o szpakowatych włosach, kontrastujących z twarzą chińskiego małolata.

— A skądże, w tej jego twierdzy przebywa stale paru uzbrojonych goryli, dziewczyny zajmujące się sprzątaniami i gotowaniem...

— A personel medyczny?

Azjata spojrzał na mnie spode łba.

— Kto jeszcze tam mieszka, jeden Bóg raczy wiedzieć, bo chyba nawet FBI nie ma zielonego pojęcia!

— Czuję ją, czuję moją Anusię — powiedziała prawie bezgłośnie ciotka. Jej szept zagłuszyłem atakiem kaszlu.

— A parę dni temu — kontynuował rozmowny benzyniarz — zjechał na farmę syn doktora, Maks, z narzeczoną. Babeczka palce lizać, prezenterka telewizji z Salt Lake City. Ale nie wygląda na mormonkę! Kiedy podjeżdżała tu zatankować swoim odkrytym lincolnem, to mój wąż sam poderwał łeb na dystrybutorze... — tu zaśmiał się ze swego dowcipu i zaczął wypytywać, dlaczego wybieramy się do Five Oaks' Farm.

Na to akurat byłem przygotowany, wspomniałem o jakiejś dysertacji naukowej, nad którą pracuję, a dla której uwagi Bentona mogłyby okazać się bezcenne. A że wracając z Parku Yellowstone, znalazłem się w okolicy...

— No, to życzę powodzenia — pompierz wyszczerzył w uśmiechu duże nierówne zęby — i zapraszam na piwo za dwie godziny, jak będziecie wracać.

Posiadłość rzeczywiście robiła wrażenie niedostępnej. Jednak pozostawiono jakieś szansę dla gości, ponieważ obok zasuwanej bramy i wążutkiej, wykonanej ze zbrojonej blachy furtki widać było dzwonek. Za to wyżej pulsowało rubinowe oczko kamery.

Nacisnąłem przycisk. Przez moment nic się nie działo, potem gdzieś w oddali rozległ się koncert psich ujadania, a obiektyw kamery znieruchomiał na naszych twarzach.

Minęło jednak dobre dziesięć minut, zanim za bramą ukazał się barczysty mężczyzna w skórzanej kurtce, ze strzelbą niedbale przerzuconą przez ramię. Pół kroku za nim trzymał się młodszy, drobniejszy, o bladej twarzy intelektualisty.

— Czego tu? — zapytał uzbrojony. Zignorowałem go, zwracając się bezpośrednio do młodzieńca wyglądającego na inteligenta.

— Nazywam się Andrzej Łański i chciałbym porozmawiać z doktorem Bentonem.

— Doktor nikogo nie przyjmuje — warknął uzbrojony w strzelbę cerber.

— Spokojnie, Gordon — mitygował go młody mężczyzna, przypatrujący się intensywnie ciotce Reginie. — Pan Uansky, a pani...

— Regina Mirska — powiedziałem, prezentując moją towarzyszkę. — Jej siostra

bliźniaczka Ann Karpicky była przez wiele lat pacjentką doktora Bentona. Chciałaby z pierwszych ust dowiedzieć się o ostatnich chwilach swojej siostry.

Na twarzy mężczyzny odmalowało się zakłopotanie.

— Niestety, mój ojciec zaprzestał jakiejkolwiek praktyki. Jest wyczerpany i unika kontaktów z ludźmi. Bardzo mi przykro, że fatygowali się państwo taki szmat drogi, ale...

Zabrzącał telefon komórkowy, młody Benton przerwał w pół zdania i przytknął słuchawkę do ucha. Przez chwilę wsłuchiwał się z uwagą. Potem rzekł krótko: „Tak, tato!” Schował komórkę do kieszeni i uśmiechnąwszy się głupkowato, rzekł:

— Otwieramy, Gordon. Doktor Benton będzie zachwycony, mogąc powitać państwa w swojej posiadłości.

Goryl wyszczerzył zęby i na moment zniknął z pola widzenia. Usłyszałem basowy głos, który mówił: „Thana’ bratem Hypnosa”, i brama zaczęła się otwierać.

*

Zapewne jeszcze całkiem niedawno główny budynek w Five Oaks’ Farm był niewielką rezydencją myśliwską. W ostatnim czasie, o czym świadczyły partie świeżego muru, musiano ją intensywnie rozbudować. W jednym, wkopanym mocno w stok pagórka skrzydło mieściło się, jak się później dowiedziałem, domowe laboratorium, nad którym nadbudowano obszerny gabinet i bibliotekę. Z drugiej strony, nad dawną sienią, kuchnią i salą myśliwską wzniesiono dwa piętra z kilkanaścioro pokojów gościnnych. Przybyła też, o czym się przekonałem, oglądając fotografie domu sprzed kilku lat, masywna wieża w części centralnej wyposażona w antenę satelitarną.

Przybycie gości na to odludzie wzbudziło zrozumiałe zainteresowanie, z garaży dobiegało wściekle ujadanie kilku, sądząc po głosie, okazałych bestii. Gdy mijaliśmy drzwi kuchenne, wyjrzała przez nie tęgawa kobieta wyglądająca na kucharkę (no, bo kto kiedykolwiek widział chudą kucharkę?), ale szybko się cofnęła.

Gospodarz oczekiwał nas w przestronnym salonie pełnym łowieckich eksponatów, odziedziczonych najprawdopodobniej po poprzednich właścicielach. Na wprost wejścia połyskiwały poroża kilkunastu reniferów, łosi karibu i jeleni wapiti, na podłodze leżały skóry ubitych przed laty grizzli, a na ścianach widniało mnóstwo sztychów o tematyce myśliwskiej. Edwin Oliver Benton na pierwszy rzut oka niezwykle przypominał Abrahama Lincolna. Nieprawdopodobnie wysoki, żylasty, z siwą brodą i gęstwą kruczoczarnych, niewątpliwie farbowanych włosów nie wyglądał na człowieka chorego lub zmęczonego. Przeciwnie, emanowała zeń siła i inteligencja, a lekki grymas wąskich warg i cienki nos nadawały jego twarzy wyraz lisiej chytrłości.

— Wejdźcie państwo — rzekł, potrząsając moją ręką z energią koła zamachowego lokomotywy. Ciotkę potraktował nieco łagodniej. — Wybaczcie też te wszystkie względy bezpieczeństwa, ale tak to już się dzieje, kiedy mieszczuchy wyprowadzą się na odludzie. Mojego syna Maksa zdążyliście już chyba poznać?

Skinąłem głową. Ciotka natomiast stała nieruchomo jak żona Lota, zatopiona w myślach, bo chyba nie we śnie.

Gospodarz zaprosił nas do nowoczesnego przeszklonego salonu, dobudowanego z zachodniej strony rezydencji — za panoramicznym oknem, wykonanym z pancernego szkła, rozciągał się imponujący widok rdzawych turni Tenton Range wyrastających wprost z żółkniejącej mierzwy liściastych lasów.

Na nasz widok z foteli podnieśli się kolejni domownicy. Benton kontynuował prezentację. Szczupła blondyneczka o biuście na miarę Gór Skalistych i lekko

zadartym nosku została przedstawiona jako Gloria Hooverton (domyśliłem się, że jest to owa gwiazdka telewizyjna — narzeczona Maksa), a dwaj mężczyźni sprawiający wrażenie naukowców — jako współpracownicy doktora.

Jeden, niewysoki, okrągłutki jak bałwanek, nazywał się Greg Ferguson, drugi, chudy szpakowaty drażał o brzydkiej dziobatej twarzy — Barney Crebs. Obaj przyglądali się nam tyle z ciekawością, co z rezerwą. Uścisnęliśmy sobie ręce. Przeżyłem spore zaskoczenie, twardej Crebs miał dłonie spoczone i delikatne jak kobieta, natomiast Ferguson zaprezentował uścisk godny frontowego żołnierza. Chwilę potem do pomieszczenia weszła jeszcze jedna dziewczyna — nieprawdopodobnie szczupła, niezbyt ładna, ale o fascynującej trójkątnej twarzy gada i wielkich zielonych, hipnotyzujących oczach.

— Rebeka Sanders, moja... asystentka — przedstawił ją doktor. Kobieta uśmiechnęła się, prezentując dwa rzędy równych, nadzwyczajnie drobiutkich zębów.

W tym momencie ciotka ożyła. Ignorując Rebeke, wyciągnęła kościstą dłoń w kierunku niskich drzwi w głębi i zawołała:

— Ona jest tam!

— Ma pani absolutną rację, pani Mirsky — uśmiechnął się Benton. — Rzeczywiście, pani siostra żyje i znajduje się pod naszą opieką.

*

Jeżeli we współczesnej nauce przeważa zasada, że „istnieje tylko to, co jest udowodnione”, to Edwin Olivier należał do wyznawców reguły z gruntu przeciwnej, choć moim zdaniem zdecydowanie bardziej twórczej: „Wszystko, co nie zostało kategorycznie wykluczone, musi być wzięte pod uwagę”. Już na studiach i podczas praktyki szpitalnej skłanianie się ku tej koncepcji wpędzało go w nieustanne konflikty z autorytetami naukowymi pragnącymi za wszelką cenę pilnować ufortyfikowanej granicy biegnącej między oficjalną nauką a czymś, co uznawali za czystą fantazję.

Atoli Benton nie został jednym ze strażników naukowej poprawności, nie dał się również zepchnąć do getta fantastyki naukowej. Ten doskonały klinicysta i lubiany wykładowca mógł sobie pozwolić na dodatkowe hobby, jakim było badanie życia po życiu. Niestety, badania te podlegały szeregowi ograniczeń, mogły się przecież opierać wyłącznie na analizowaniu wspomnień osób, które przeżyły śmierć kliniczną. Wprawdzie na ten temat wiele już napisano, ale mimo ogromu informacji zawsze pozostawały wątpliwości, na ile relacje „turystów z pogranicza życia i śmierci” mogły być sennym marzeniem, projekcją zasłyszanych historii, a w jakim stopniu zwyczajnym fantazjowaniem. Nadto wszystkie opowieści spisywane były *ex post*, nie wysłano bowiem nigdy w szarą strefę pogranicza królestw Hypnosa i Thanatosa żadnego wyszkolonego ochotnika, który wiedziałby, czym się zajmować i co badać. Benton, acz pasjonat, nie zaryzykował powtórzenia doświadczenia doktora Moreiro z Seattle, który celem udokumentowania podstawowych faktów osobiście wyprawił się poza krawędź śmierci. Niestety dokonał tego tak skutecznie, że już nie udało się go przywrócić do życia.

Nawet jednak, jeśliby przyjąć spisane dotąd relacje za dobrą monetę, nie rozwiązywały one podstawowej kwestii — czy życie po życiu jest jedynie projekcją ludzkiego mózgu i czy w momencie definitywnej śmierci duch, będący jedynie emanacją ciała, nie umiera razem ze swym projektorem.

Doktor Benton nie tracił nadziei na znalezienie odpowiedzi. W Good Pastor's Hospital przed wszystkimi operacjami, które związane były z poważnym ryzykiem, przeprowadzał rozmowy z pacjentami, uprzedzając ich przed możliwością „doznań

granicznych” i uwrażliwiają, jak winni się zachowywać i co zapamiętać.

Wyniki? Sześćset siedemdziesięciu ośmiu chorych przeżyło operację, nie wchodząc w strefę śmierci, stu siedmiu zmarło, dwudziestu czterech nie miało żadnych wspomnień, jeden zażądał znacznych pieniędzy, a otrzyma — wszy je, poczęstował doktora antologią opowiadań rodem z tanich czasopism poświęconych wydarzeniom nadprzyrodzonym, z zapalem relacjonując swoje rozmowy ze św. Piotrem, Marią Magdaleną, Jerzym Waszyngtonem i własnym stryjem. Z opowieści pozostałej trójki, dwie nie wykraczały poza standardy typowych majaczeń o „życiu po życiu”, zaś ostatni pacjent — niezwykle wstrząśnięty swymi doznaniem — w ogóle odmówił ich zrelacjonowania.

— To się nie mieści w głowie, panie doktorze.

— Co?

— Gdyby Stwórca spodobało się odkryć to, co zakryte, sam by to uczynił.

Przypadek Ann Karpicky należał do najciekawszych, jakie Benton mógł obserwować osobiście. Wskutek rozległych obrażeń powypadkowych, uszkodzenia rdzenia kręgowego i czasowego niedotlenienia mózgu nieszczęsna kobieta wegetowała niczym roślina. Lekarze stwierdzili pełny paraliż kończyn i wpatrując się w płaski encefalogram mózgu, jednogłośnie wydali diagnozę o bezpowrotnym zniszczeniu wyżej zorganizowanych centrów mózgowych.

Jeszcze kilkanaście lat temu uznano by ją za zmarłą, mimo że nadal żył pień jej mózgu, kontynuowały swoje funkcje komórki, działały organy wewnętrzne. Inna sprawa, że wszystkie czynności życiowe podtrzymywała aparatura najnowszej generacji.

— A jednak — mówił Benton — przez te dziesięć lat, przechodząc co dzień obok jej łóżka, nieodmiennie zadawałem sobie pytanie: Co się dzieje z jej duszą?

— Więc wierzy pan w duszę? — zapytałem.

— Nikt nie udowodnił, że czegoś takiego nie ma. A dowody pozytywne...

Pacjenci, którzy przebywali jakiś czas w stanie śmierci klinicznej, opowiadają o wychodzeniu z własnego ciała, o obserwowaniu siebie od zewnątrz, opisują rzeczy, jakie miały miejsce na sali operacyjnej i w jej najbliższych okolicach. Jedna z moich pacjentek przedstawiła mi szczegółową relację z porodu bliźniaków syjamskich odbywającego się równocześnie w tym samym szpitalu o trzy pawilony dalej. Nie wytłumaczmy tego na gruncie tradycyjnych pojęć medycznych.

— Ale czymże miałaby być dusza? Obłoczkiem energii nie podlegającym entropii?

— Nie wiem. Roboczo nazywam to nadzmysłowością albo innym stanem świadomości. W każdym razie próbowanie pogodzenia za wszelką cenę wyników naszych doświadczeń z aktualnym stanem nauk przyrodniczych byłoby błędem prowadzącym na manowce, z gruntu bowiem wykluczilibyśmy możliwość analizowania zjawisk, które nie mają prawa istnieć, choć istnieją.

Mętlik w mojej głowie niepokojąco się powiększył. Doktor chyba to zauważył.

— Aby ułatwić sobie zrozumienie zjawiska, proponuję wyobrazić panu sobie, że nasz mózg to jakby dysk twardy komputera, a dusza to dyskietka ze skopiowaną świadomością, która po śmierci opuszcza zepsutą stację dysków. I po ewentualnym usunięciu awarii może jeszcze wrócić.

— A jeśli powrót jest niemożliwy, to co się z nią dzieje?

— Wedle jednych wierzeń idzie do Centralnego Archiwum Dyskietek, pawilon górny, sekcja „Niebo” lub pawilon dolny, „Piekło”... — zaśmiał się Maks Benton, który dotąd przysłuchiwał się milcząco opowieści ojca, sącząc rozcieńczoną whisky.

— Natomiast ci, którzy wierzą w reinkarnację, powiedzieliby, że wyrusza na poszukiwanie nowej stacji dysków.

— A dysk twardy nic o tym nie wie?

— Nie wiem, czy czytał pan prace Baxtera albo O’Sullivana na temat przygłuszenia nadjaźni? — zapytał doktor.

— Przyznam się, że nie.

— Twierdzą oni, podobnie zresztą jak Bołotnikow w swoich *Oczerkach*, że rozwój przodomóżdża u pracźlowieka i dalsze mutacyjne zmiany, być może dokonane przez świadomą ingerencję Absolutu, zablokowały w gatunku *homo sapiens* pierwotne zdolności powszechne u innych zwierząt, takie jak komunikacja parapsychoiczna, tak zwany siódmy zmysł, antycypacja, kontakt bioenergetyczny czy pamięć genetyczna.

— Rozumiem, że uznał pan, że to właśnie siostra mojej ciotki może stanowić klucz do Nieznanego?

— Nie od razu. Dopuszczałem jednak możliwość, że wbrew opiniom konsyliów i na przekór encefalogramowi świadomość Ann wciąż krąży w pobliżu ciała. Jak pies na łańcuchu przy swej budzie. I że są to niesłychanie istotne doświadczenia, niestety ciągle dla nas niedostępne, ponieważ panna Karpicky nigdy nie opuści stanu comy. Nieraz patrząc na tę uśpioną kobietę, zazdrościłem jej.

— Czego, na Boga?

— Oglądania „tamtej strony”. Zakładałem, że jej wypadek zniósł blokady funkcjonujące u innych ludzi i jej częściowo uwolniona dusza może doświadczać niebywałych wrażeń, nie tracąc zarazem związku ze światem żywych. Dlatego nie może się pan dziwić, że tyle czasu zużyłem, poszukując sposobu pozwalającego się z nią skomunikować. Cały mój zespół, w skład którego wchodzi również neurolog doktor Crebs i comatolog doktor Ferguson, podejmował najróżniejsze próby porozumienia z Ann. Z zastosowaniem ultraczułych elektrod włącznie. Na próżno. Jazn panny Karpicky wyglądała na absolutnie martwą. Mimo to wciąż intuicyjnie wierzyłem, że w tej pozornie lodowatej skorupie płonie żywy ogień świadomości. Ale też bliski byłem kapitulacji.

— I wtedy — wtrącił się doktor Crebs — przybyła do nas na praktykę panna Rebeka Sanders, absolwentka psychologii, spełniająca jednocześnie wszystkie warunki doskonałego medium.

Popatrzyłem na „kobietę gada”, potwierdzająco skinęła głową.

— Czyżby udało się pani nawiązać kontakt z uśpioną?

Jej ostre zębki błysnęły olśniewająco.

— W pewnym sensie można to tak nazwać.

*

Z dalszej opowieści doktora Bentona nie wynikało, czy już wtedy Rebeka Sanders została kochanką szefa, czy też doszło do zadzierzgnięcia bliższych kontaktów dopiero po jego rezygnacji z pracy w Good Pastor’s Hospital, jednak dla dobrego obserwatora aktualny stan ich relacji nie mógł budzić wątpliwości. Stanowili parę. Dość zresztą typową w naszym świecie — stary uznany autorytet i młoda przebojowa adeptka. Jednak sugestie Bentona w tej materii narzucały daleko posuniętą powściągliwość. Po prostu panna Sanders postawiła pewną hipotezę, on jej nie odrzucił.

Można oczywiście wyobrazić sobie inny przebieg wydarzeń. Na przykład: fascynacja starzejącego się mężczyzny młodzieńką asystentką sprawia, że gotów jest przyjąć jej każdą, nawet najbardziej nieprawdopodobną teorię. Ale mniejsza o szczegóły. Szczęśliwym trafem w tym samym czasie Edwin Olivier odziedziczył po swym bezdzietnym stryju rozległą posiadłość w Wyoming i znaczną kwotę pieniędzy. Świta mu pomysł kontynuowania badań na własną rękę. Przedtem jednak zgadza się

na pierwszy seans Rebeki z uśpioną pacjentką...

*

Panna Sanders opowiedziała mi o tym doświadczeniu. Wyczerpującym, wielogodzinnym. Karpicky okazała się niesłychanie oporna.

— To znaczy?

— Bardzo silnie odczuwałam, że po prostu nie życzy sobie tego kontaktu. Chciała umrzeć!

— Asystowałem przy tych próbach — wtrąca Ferguson. — Ultraczułe aparaty delikatnie iskrzyły, termometry wskazywały minimalny wzrost temperatury ciała pacjentki... Ale nic ponadto.

— Po czwartej godzinie Rebeka, nasze medium, osunęła się zemdłona — kontynuował Benton. — Musiałem przerwać seans, przekonany, że trzeba pogodzić się z porażką. Jednak następnego dnia panna Sanders zapukała do mojego gabinetu. Stwierdziła, że jednak między nią a Ann doszło do kontaktu, choć nie był on przekładany na słowa.

— Czułam w niej życie. Jednocześnie odbierałam jej gniew, żywą niechęć do rozmowy! — Rebeka mówiła tak impulsywnie, że jeszcze dziś czuję w jej głosie tamtą emocję. — Prosiłam, żebyśmy spróbowali jeszcze raz.

— Tą samą metodą?

— Nie, tym razem zaproponowałam, aby posłużyć się dziecinnymi literkami. Trochę jak podczas seansu spirytystycznego.

— Mimo rosnącej rezerwy do przedsięwzięcia, wyraziłem zgodę — spuentował jej wypowiedź Benton.

*

Wyobraziłem sobie tę niezwykłą noc. Trupie jarzeniowe światło zalewa woskową twarz pacjentki. Usytuowana obok niej Rebeka Sanders pogrąża się we śnie. Jej ręce, zda się, bez ładu i składu przewracają kolorowe literki: „C”, „H”, a potem znowu „C” ... Powtarzające się chaotycznie litery i wreszcie jedyne zrozumiałe nazwisko: „Sullivan”. Nic więcej.

Ale to wystarcza, by dać Bentonowi sporo do myślenia; tylko on z całego zespołu wie, że profesor Sullivan ma stanąć na czele komisji szpitalnej, która zdecyduje o odłączeniu aparatury od Ann Karpicky. Dlaczego jednak reszta liter wygląda na przypadkową zbitkę klocków?

— A może to nie po angielsku? — podsuwa naraz hipotezę Ferguson. — Przecież Ann Karpicky to cudzoziemka, gdzieś z Europy Środkowej, może jej podświadomość artykułuje myśli w ojczystym języku?

Szczęśliwym trafem w Good Pastor’s Hospital pracuje dwudziestoletnia pielęgniarka — Dolores Ibanez. Mimo latynoskiego nazwiska jest córką polskiej emigrantki i doskonale posługuje się językiem przodków.

— Potrafisz coś z tego zrozumieć, Lola? — panna Sanders podtyka dziewczynie zdania ułożone z kolorowych literek.

— Oczywiście, to po polsku. W różnych wariantach powtarza się jedna myśl: „Chcę umrzeć, pozwólcie mi wreszcie umrzeć. Niech komórka Sullivana wyda wreszcie swój sąd”.

Otwierają się wąskie drzwi w głębi salonu, które przez godzinę tak zafascynowały moją ciotkę. Odwracam głowę i czuję nagły elektryzujący impuls. W drzwiach stoi

szczupła dziewczyna o urodzie młodej Kleopatry, ogromnych migdałowych oczach i kształtach pięknie zarysowanych pod kitlem pielęgniarki.

— Coś się dzieje z Anną, panie doktorze — mówi. — Wskaźniki po prostu oszalały.

Ciotka nie zna angielskiego, a jednak wszystko rozumie, bo podrywa się na równe nogi.

— Moja siostra poczuła, że tu jestem, i koniecznie chce ze mną porozmawiać — woła gwałtownie.

Benton nie odmawia, prosi jednak o danie mu chwili czasu na przygotowanie. Najpierw mamy wziąć prysznic i założyć specjalnie odkażone ubrania. Jakakolwiek infekcja mogłaby być dla chorej zabójcza.

— Zaprowadzę pana do pokoju gościnnego. — Dolores Ibanez sięga po moją walizkę, nie pozwalając jej na to, a w drzwiach przepuszczam ją przed sobą. Moja szarmanckość zaskakuje ją.

— Jest pan Polakiem? — pyta, a w ustach tego dziecka Chicago, które nigdy nie opuściło USA, pobrzmiwa delikatnie charakterystyczny akcent nowosądecki. Przytakuję skwapliwie, widząc kątem oka, jak goryl Gordon zajmuje się bagażem ciotki. Moja młodziutka Kleopatra porusza się z wdziękiem, stąpa lekko, stawiając stopy niczym zawodowa tancerka. Idę za nią po schodach na pięterko. Wprowadza mnie do niewielkiego pokoju.

— Powinno tu być panu wygodnie. Tylko proszę nie próbować otwierać okien, bo uruchomi pan alarm, i nie wychodzić do parku wieczorem, kiedy są spuszczone nasze rottweilery.

Jeszcze raz przychodzi mi na myśl, że Benton i jego ludzie należą do wyjątkowo ostrożnych.

Dziewczyna pokazuje mi jeszcze maleńką łazienkę z kabiną prysznicową, otwiera szafę. Mimo „boleściwego” imienia jest uśmiechnięta, pełna życzliwości, oczy jej błyszczą, a strome piersi zdają się rozrywać trykot pod rozpiętym fartuszkim. Naraz żałuję, że nie mam dwadzieścia lat mniej albo że nie jestem bogatym i pięknym ordynatorem, że nie mogę rzucić świata do jej stóp, a jej na to białe pachnące łóżeczko...

— Przyniosę panu coś do przebrania — mówi i znika jak motyl, pozostawiając zapach kwiatowego pyłku.

Stoję pod prysznicem. Ostrymi igielkami wystrzeliwanych kropli siecze mnie ciepły dreszczyk aromatycznej wody. Mam erekcję! Po raz pierwszy od dłuższego czasu tak pragnę kobiety. Konkretniej kobiety. Dolores!

Prawdopodobnie czterdziestka jest wiekiem, kiedy wielu mężczyzn zaczyna bilansować swoje życie. I ten bilans raptownie ich zatrważa. Farbują włosy, zmieniają żony, rozglądają się za inną pracą. Wielu zaczyna nagle uprawiać sport lub szukać pociechy w metafizyce.

Nie taję, i ja robiłem wielokrotnie takie rachunki, zwłaszcza po rozstaniu z Magdą. Moje dotychczasowe życie składało się, delikatnie mówiąc, z półspełnień przemieszanych z niespełnieniami. W przedmaturalnej klasie do nieprzytomności kochałem się w Helence, ciemnowłosej miss naszej szkoły, która po pradziadku, carskim żandarmie, odziedziczyła urodę i temperament kobiet z Kaukazu. Kochałem ją tyleż mocno, co beznadziejnie. Cóż, stałem zbyt nisko w hierarchii naszej paczki, by serio myśleć o poderwaniu takiej dziewczyny. Zwłaszcza że obstawiali ją mocno najlepszy tancerz w szkole, mistrz dzielnic w biegu na pięć kilometrów i nasz młody nauczyciel od angielskiego (ksywka „Templar”). Czym mogłem przelicytować ich ja, błaznek jeno, imitator głosów, krypto poeta, który dusznych od seksu strof o pięknej Helenie nie udostępnił nawet najbliższemu przyjacielowi...

Poprzestawałem więc na marzeniach. Skryty za ośnieżonymi choinkami obserwowałem, jak po szkole, szczebiocąc z koleżankami, spieszy do domu; umierałem z zazdrości, widząc, jak tańczy podczas zabaw z Mirkiem, jak wsiada do syrenki naszego anglisty... Ileż w międzyczasie ułożyłem scenariuszy „korzystnego obrócenia biegu wydarzeń”, od prostego zaproszenia jej do kina, po zwabienie Helenki do mieszkania pod nieobecność rodziców i tam przeczytania jej tych wszystkich moich sonetów. Co miało wywołać natychmiastowy efekt.

Nie zrealizowałem żadnego z tych planów, to znaczy jeden z nich samoistnie się zrealizował. Przypadkiem. Pojechaliśmy razem na obóz harcerski. Helena pełniła w żeńskim podoboże funkcję przybocznej i razem z oboźną Kingą zajmowały podwójny namiot. Natomiast jej aktualny amant, Mirek, piastował analogiczną funkcję w naszym podoboże, dzieląc namiot z absztyfikantem Kingi, Czarkiem. Trudno o praktyczniejszy układ! Ileż razy, pełniąc wartę, byłem świadkiem rozład cieniów między namiotami. Mogłem tylko wzdychać. Aż do krytycznej nocy 22 lipca. Nasza szczepowa, oboźna Kinga i większość starszyny zostali zaproszeni do komendy zgrupowania, natomiast w męskim podoboże rozszalał się Bachus, którego siłę rażenia obliczam dziś na kilkadziesiąt butelek wina „patykiem pisanego”.

Pochlali się wszyscy. Mirek padł. Ja, wiedziony jakąś intuicją, piłem powściągliwiej. Tak że koło północy byłem wprawdzie na niezłym rauszu, ale w pełni kontrolowałem swe ruchy i mowę.

W pewnej chwili, kiedy wyszedłem za potrzebą, podkusiło mnie coś i ruszyłem pod uśpiony podobóz harcerek. Noc była widna, letnia, cykały świerszcze, pachniało igliwiami i żywicą. Naraz udzieliło mi się szaleństwo tej nocy letniej. Podszedłem pod namiot, dwójkę, położony w pobliżu masztu...

— Kto tam? — rozległ się szept Helenki.

— Ja, Mirek — powiedziałem, imitując nosowo-gardłowy tembr jej amanta.

— Myślałam, że już o mnie zapomniałeś! Ty pijaku! Wczołgałem się do środka. Pierwszy dotyk uświadomił mi, że Helena jest naga, wilgotne gorące usta musnęły moje wargi, a jej ręce zajęły się paskiem moich spodni. Straciłem samokontrolę, porwałem ją raptownie w ramiona, a ona wtuliła się we mnie, by po chwili gwałtownie się odsunąć.

— Kto to?

Chciałem ją przygarnąć, ale rozwrzeszczała się na dobre. Nie pozostało mi nic innego, jak salwować się ucieczką. Wpadłem w jałowce, zanim z sąsiednich namiotów wysypały się rozbudzone harcerki.

Do rana nie zasnąłem, umierałem ze strachu przed konsekwencjami mojego postępu. Kiedyś widziałem Mirka w akcji. Na moich oczach poradził sobie z dwoma zakapiorami z zawodówki. Byłem przekonany, że Helena opowie mu o nocnej wizycie intruza podszywającego się pod niego, a ja, jako znany imitator głosów, będę jedynym podejrzanym. Helena jednak nie poskarżyła się. Mirek, kiedy wytrzeźwiał, nadal zachowywał się wobec mnie przyjacielsko. Zresztą wkrótce sam stracił miejsce w sercu pięknej Helenki na rzecz gitarzysty basowego ze szkolnej kapeli.

Przebywaliśmy w jednej budzie aż do matury, ale nigdy nie rozmawialiśmy o incydencie, tylko czasami na korytarzu, na stołówce czy podczas apelu, „najpiękniejsza” spoglądała na mnie ironicznie, prowokująco. Jakby chciała zaznaczyć, że łączy nas wspólna tajemnica. Potem straciłem ją z oczu.

Spotkaliśmy się wiele lat później na koleżeńskim bankiecie z okazji dziesięciolecia naszej matury. Helena, mieszkająca od lat w Kanadzie, przyjechała wtedy po raz pierwszy do Polski i zatrzymała się w kawalerce udostępnionej jej przez jakąś koleżankę. Nadal była bardzo piękna. Mirek, podówczas oficer ZOMO, wolał nie pojawić się na balu zdominowanym przez opozycję. Z konieczności robiłem więc za

tancerza. I za gwiazdę. Odważny artysta estradowy, zawieszany i odwieszany przez cenzurę... Mogłem wybierać wśród adoratek. Wszyscy sporo wypiliśmy. Po przyjęciu odprowadziłem Helenę pod kawalerkę w alei Wyzwolenia... Maj był ciepły, ulice ze względu na trudności benzynowe wyludnione. Gdy zbliżyliśmy się do klatki schodowej, raptownie się do mnie przytuliła.

— Napijesz się herbaty? — zapytała.

— Z miłą chęcią.

Wchodząc po schodach, mogłem się domyślić dalszego rozwoju wypadków. Nastąpiły prędko. Bardzo prędko. Za prędko! Całowaliśmy się już w przedpokoju. Nie było czasu na kąpiel. Zrywaliśmy z siebie ubrania, znacząc szlak krótkiej gonitwy od drzwi do rozgrzebanego zachęcająco tapczanu.

— Och, Andrzej — powiedziała, całując mnie w szyję — czy musieliśmy czekać aż tak długo?

Była wilgotna, gotowa... Ja też. Wszedłem w nią z impetem matadora zadającego sztych tolekański... I niestety już było po wszystkim.

Potem sączyliśmy jakiś koniak i próbowaliśmy jeszcze raz. Na próżno. Czy sprawił to wypity alkohol, czy nadmiar emocji, w każdym razie mój mały wierny przyjaciel, mimo pełnych poświęcenia zabiegów reanimacyjnych ze strony partnerki, już się nie podniósł. Helena odniosła się do mej niedyspozycji z dużą tolerancją, była kobietą doświadczoną. W Kanadzie miała przecież córkę i kolejnego męża.

Obudziłem się nad ranem, po ledwie paru godzinach snu. Głowa mi pękała, przez brudne szyby zaglądał blady świt. Moje nozdrza drażnił obcy zapach ostrego potu i przetrawionego koniaku. Na poduszce obok mnie spało moje największe spełnione marzenie. Kołdra zsunęła się na ziemię. Oslupiały patrzyłem na piersi, które utraciły dziewczęcą jędrność, na nos, który wydłużył się jak u Pinokia po serii kłamstw, na twarz, lekko podpuchniętą, z rozmazaną szminką, na brzuch z blizną po cesarskim... A potem, raptownie trzeźwiejąc, pomyślałem o śpiącej o parę kilometrów stąd żonie i Grzesiu.

Cichutko zsunąłem się z łóżka i pozbierałem porzrzuconą garderobę. Ubrałem się w korytarzu i delikatnie zatrzasnąłem za sobą drzwi. Słyszac szcęk zaskakującej zapadki, poczułem ulgę i nie oglądając się za siebie, pobiegłem przez puste, jaśniejące porankiem miasto, wiedząc na zawsze, że nigdy nie należy wracać do przeterminowanych marzeń.

*

Wróciłem do rzeczywistości i wyszedłem spod prysznic. Nadal miałem erekcję. Może jeszcze bardziej okazała.

Wycierając się, wbiegłem do pokoju i tam natknąłem się na pannę Ibanez z wysterylizowanymi dresami w ręku. Zacerwieniłem się jak małolat i pospiesznie otuliłem ręcznikiem.

— Mnie może się pan nie wstydzić, jestem zawodową pielęgniarką — powiedziała Dolores. I wyszła.

4.

*Rzeczywistość przerasta wszelkie
oczekiwania, a już najbardziej u
liliputów.*

Kierując się w stronę przeszklonego salonu, już z oddali łąwiłem dźwięki przypominające gdakanie podenerwowanej perliczki. To ciotka Regina usiłowała się dogadać z Fergusonem.

— Ja muszę natychmiast spotkać się z moją siostrą. Muszę! — cedziła superwyrażnie, chcąc zapewne ułatwić Amerykaninowi zrozumienie polskich słów. Ten jednak, nieporuszony, z lekko wytrzeszczonymi oczami nadal blokował jej drzwi do laboratorium.

— Andrzejku! Czy możesz wytłumaczyć temu konowałowi, że jestem już czysta, przebrana i gotowa na spotkanie? — zawołała na mój widok.

Wystarczyło parę zdań, aby dowiedzieć się, w czym rzecz. Przed spotkaniem bliźniaczk lekarze, obawiając się raptownego szoku u pacjentki, domagali się szczegółowego przebadania pani Mirskiej. Ciotka pomstowała chwilę, ale uspokojona przez Dolores paroma miłymi słowami, dała się zaprowadzić do gabinetu Bentona.

— Musimy być ostrożni, pani Karpicky balansuje na krawędzi życia i śmierci, a pani Mirska również musi zostać odpowiednio przygotowana. Dla niej to spotkanie też z pewnością będzie wstrząsem — powiedział uspokajającym tonem Ferguson.

Tych parę zdań wystarczyło, aby udobruchać ciotkę; posłusznie ruszyła za lekarzem do gabinetu, a ja zdążyłem jeszcze spytać anestezjologa, czy mógłbym obejrzeć bibliotekę.

— Naturalnie, chociaż mamy tu przeważnie literaturę medyczną — rzekł Ferguson i dorzucił: — Znakomicie pan włada angielskim, mister Uansky.

Z uśmiechem skinałem głową. Nie widziałem powodu, aby wyjaśniać komukolwiek, ile mnie ta znajomość kosztowała.

*

W 1986 roku, kiedy nastroje społeczne opadły w Polsce poniżej dopuszczalnych norm depresji, a frekwencja na imprezach estradowych wykazywała stałą tendencję gasnącą, moja Magdusia rzuciła pomysł:

— Emigrujemy! Ty z twoim talentem sprawdzisz się wszędzie.

Prawdę powiedziawszy, początkowo miała to być jedynie próbna półemigracja. W odróżnieniu od wielu znajomych nie paliliśmy za sobą mostów, nie sprzedaliśmy mieszkania i nie odżegnaliśmy się publicznie od chęci powrotu w przyszłości. Magda załatwiła sobie wizę angielską, podając jako powód przyjazdu opiekę nad stryjecznym dziadkiem, oficerem armii Andersa, a ja po dość długich i skomplikowanych zabiegach pojechałem z nią jako osoba towarzysząca. Angielski znałem ze szkoły i z kursów u metodystów; przed wyjazdem przez trzy miesiące codziennie brałem konwersacje, a po przybyciu do stolicy Albionu oddałem się wręcz katorżniczej nauce. W dzień chodziłem na lekcje, nocami ryłem słówka, oglądałem też na okrągło brytyjską telewizję. Z moim nie najgorszym w końcu uchem nieźle przyswoiłem sobie akcent, budząc podziw miejscowych Polonusów, którzy często nie opanowali języka w tym stopniu przez pięćdziesiąt lat. Równocześnie, gdzie tylko mogłem, rozsyłałem oferty: „Fenomenalny parodysta imitator”...

Czasami udało mi się wkręcić na castingi do BBC i stacji prywatnych. Nauczyłem się parodiować wszystkich powojennych premierów brytyjskich, z panią Thatcher włącznie; jako księżę Walii byłem lepszy od księcia Karola, potrafiłem równie dobrze „robić” królową, jak Benny Hilla, sir Lawrence’a Oliviera i Paula McCartneya. Wszystko na nic. Rozmowy, czy to w redakcjach radiowych, czy telewizyjnych, kończyły się niezmiennie zdawkową pochwałą i sakramentalnym: „Skontaktujemy się z panem!”

Pies z kulawą nogą się nie skontaktował! Zdeptałem buty, łąząc po najrozmaitszych lokalach Soho i West Endu, ale jedyną otrzymaną propozycją była oferta parodiowania Ronalda Reagana w programie porno. Może bym się i zdecydował, ale niestety program miał być adresowany do homoseksualistów. I tak nie zostałem „Ronniem”. Z zupełnej rozpaczy, myśląc, że może jednak Anglicy ciągle wyczuwają we mnie kogoś obcego, opracowałem zestaw parodii światowych: Gorbaczowa, Mitteranda, Kohla, nawet Mobutu Sese Seko. Nic!

A tu jeszcze z tygodnia na tydzień spadał mój autorytet w oczach żony, która utrzymywała nas oboje, dorabiając w knajpach, i nie wierzyła, gdy opowiadałem jej o nieludzkiej ksenofobii Angoli.

— Po prostu za mało się starasz, kotku! Za mało? Oh, my God! Postanowiłem w końcu spróbować szczęścia w POSK-u, Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym. Ale dla tamtejszego towarzystwa wybraliśmy się na emigrację zbyt późno i mieliśmy zbyt poprawne stosunki z reżimową ambasadą.

Nie wiem, czy już wtedy trwał romans Magdy z tym urzędniczyną Piotrem Żemańskim. Długi czas sądziłem, że kontaktują się wyłącznie w sprawach wizowych. W końcu to dzięki jego chodom w Foreign Office udawało się nam raz po raz przedłużyć pobyt. Dziś z perspektywy czasu mam prawo przypuszczać, że cały ten wyjazd był inspirowany przez niego. Na szczęście emigracyjny epizod trwał dość krótko, w sierpniu 1988 roku doszły nas słuchy o strajkach. Pamiętam te dni, a właściwie noce. Za odłożone przez Magdę pieniądze, czego nie omieszczała wielokrotnie mi wypomnieć, spędziliśmy pierwsze emigracyjne wakacje w Algeciras nad Cieśniną Gibraltarską. Nasza trójka i Żemański z córką. Nad nami rozpościerało się gwiazdziste niebo, w oddali na jego tle ciemniała skała Gibraltaru jak kiel prehistorycznego potwora. Towarzyszył nam dzban sangrii, jakiś przypadkowo poznany polski dziennikarz, który przyplątał się z pobliskiego kempingu. Wsłuchiwalismy się z wysiłkiem w radyjko odbierające dziennik BBC po polsku. Chłonęliśmy rewelacje o jakichś rozmowach, padały nazwiska: Kiszczak, Wałęsa... Byłem sceptyczny w ocenie szans na nowy polski zryw, Żemański jadownicie ironizował na temat robola Lecha jako kandydata na męża stanu, natomiast redaktor kipiał nadzieją — tym razem nam się uda.

— Co się może udać, panie redaktorze?

— Nowa Polska, panie Andrzeju! Na naszych oczach zaczyna się inny świat. W Rosji cztery lata Gorbaczowa osłabiły paraliż strachu. Imperium Zła przegrało wyścig zbrojeń. Czuję nadchodzące zmiany i gotów jestem prorokować, że Polska może okazać się pierwszą kostką przewracającego się domina.

Rozległ się śmiech pijaniusieńkiego Żemańskiego.

— Nowa Polska, nowe czasy? Z jakiej gazetki pan się urwał, z samizdatu? Nie ma nic nowego pod słońcem! Jest tylko falowanie, popuszczanie i przykręcanie, popuszczanie i przykręcanie...

Do kraju wróciliśmy niecały rok później, dokładnie na czerwcowe wybory. Poniosłem definitywną porażkę, usiłując wkręcić się do półamatorskiej trupy cyrkowej, i postanowiłem poniechać dalszych prób zawojowania angielskiego rynku. Magdzie również nagle znudziło się płukanie kufli. A może chodziło o Żemańskiego,

który akurat został odwołany z placówki. Inna sprawa, że po powrocie do kraju na parę lat straciłem go z oczu, osobnik ów, nie zweryfikowany w macierzystym resorcie, zaczął robić karierę naukową. W międzyczasie owdowiał, starsza od niego żona, w bardzo dogodnym dlań momencie utopiła się, wypadając z jachtu podczas rejsu po Karaibach. A ja, jak ten operetkowy mąż, nie miałem pojęcia, że od lat moja Magda jest kochanką Żemańskiego. Czy nie zauważałem, że — nasze pożycie od dawna było fikcją? Cóż, moja małżonka przekonywała mnie, że pewni ludzie, w naszym wieku, na poziomie, posiadający potomka nie powinni uprawiać zbyt często tych śmiesznych ruchów. A ja, imbecyl, jej wierzyłem. W końcu jednak dotarło do mnie, że — ubiegłoroczny wyjazd Magdy z koleżanką do Paryża był *de facto* wyprawą na Seszele z kochasiem i nie mogłem nawet udawać, że o tym nie wiem, bo aferę nagłośniły plotkarskie tygodniki. Nie miałem innego wyjścia, jak zażądać rozwodu. Kosztowało mnie to trochę bólu i segment w Międzyzlesiu, ale udało się. Bałem się, jak przyjmie to Grześ, ale on, jak się okazało, bardzo polubił prezesa Żemańskiego.

I tak, w ostatecznym rozrachunku, dzięki londyńskiemu epizodowi zostałem bez złudzeń, bez żony, za to z doskonałą znajomością języka Szekspira i Lennona, którą to umiejętność przez długi czas uważałem za absolutnie nieprzydatną.

*

Biblioteka w Five Oaks' Farm rozczarowała mnie. Spodziewałem się dostojnego wnętrza w stylu angielskim, orzechowych szklonych szaf i równych rzędów książek oprawnych w wyłaczaną skórę. Księgozbiór Bentona, chociaż bogaty, nie miał takiego charakteru — składały się nań setki tomów, niezbyt starannie poukładanych na jasnych otwartych półkach. Część woluminów i broszur leżała w stertach, a nie rozpakowane kwartalniki medyczne wypełniały pudła i skrzynie. Zgodnie z zapowiedzią Fergusona, przeważała literatura medyczna, choć nie brakowało publikacji z takich dziedzin, jak magia, okultyzm, demonologia.

— Straszna kasza, prawda? — Gloria Hooverton z papierosem przyklejonym do krwisto wymalowanych warg wyłoniła się z jakiejś wnęki niczym duch. — Szuka pan czegoś konkretnego?

— Rozglądam się tylko.

— To zupełnie jak ja. Pełno makulatury, a nic do poczytania. Napijesz się czegoś, Andrew? — niespodziewanie przeszła na ty. I nie czekając na odpowiedź, otworzyła barek. W jej zachowaniu wyczuwałem coś prowokującego; przechodząc musnęła mnie piersią, a podając szklanekę z whisky, drasnęła paznokciem wierzch mej dłoni. Podrywała mnie czy co?

— Od dawna tu jesteś, Glorio? — spytałem, smakując pierwszy łyk drinka.

Siadła na poręczy fotela, a wąskie mini zsunęło się do rozmiarów paska. Miała czerwone prześwitujące majtki.

— Wystarczająco. Jestem tu dopiero trzy dni, a wydaje mi się, że wieki. Chciałam poznać bliżej staruszka mojego narzeczonego. Myślałam, że będzie zabawniejszy. A tu tylko badania, badania...

— Maks też jest naukowcem?

— Na szczęście prawnikiem — uśmiechnęła się. — A ty?

— Aktorem — odparłem niedbale, dochodząc do wniosku, że „parodysta” może zabrzmieć niepoważnie.

— Na Wybrzeżu Wschodnim czy Zachodnim?

— U siebie, w Polsce.

— I co cię przyniosło aż tutaj?

W paru słowach opowiedziałem jej o snach ciotki Reginy i naszej podróży.

— Ciekawe — powiedziała przeciągle, zakładając nogę na nogę. — Telepatyczne wezwanie? — Wlepiła we mnie mocno podmalowane oczy i pochyliła się tak, że mogłem się przekonać, iż nie nosiła stanika. — Wierzysz w telepatię, Andrew? Albo w przeznaczenie?

Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo akurat do biblioteki zajął Maks Benton. Z wydatnym brzuchem i wygniecionymi spodniami wyglądał wyjątkowo safandułowato.

— Wszędzie cię szukam, najdroższa — powiedział do Glorii. — Nie przypuszczałem, że cię tu zastanę.

— Pokazuję naszemu gościowi księgozbiór. Zdaje się, że mamy podobne zainteresowania.

Podszedł i niezdarnie ujął ją za rękę. Cmoknęła go w policzek. Pokraśniał. Cóż, Benton junior w niczym nie przypominał swojego rodzica. Raczej duże, naiwne, trochę rozpieszczone dziecko. Przypuszczam, że jako prawnik mógł uprawiać wyłącznie zawód adwokata, gdyż w żaden sposób nie wyobrażałem go sobie w roli prokuratora Starra. Inteligencja szła u niego w parze z dziecinną ufnością. Postanowiłem to wykorzystać i pociągnąć go za język. Gloria oddaliła się, a ja po wypowiedzeniu kilku konwencjonalnych zdań i dwóch drinkach zapytałem wprost, co się teraz dzieje w Five Oaks' Farm. Do jakich wyników doprowadziły eksperymenty z Anną Karpicką.

— Nie jestem lekarzem, ale z tego, co mówił mi ojciec, w kontaktach z jaźnią pani Karpicky osiągnięto znaczny postęp.

— Przewycięzono jej opory? Nie życzyła sobie przecież współpracy z wami, chciała umrzeć.

— Nie znam szczegółów, ale tato z Rebeką potrafili nakłonić ją do współdziałania. Oni się tak łatwo nie zniechęcają. W sumie odbyli kilkadziesiąt sesji i podejrzewam, że mogliby już wydać przewodnik po tamtym świecie. Jednak jeśli idzie o konkrety... — rozłożył ręce.

Zmieniłem temat i zapytałem go o te wszystkie zabezpieczenia, dlaczego farma przypomina wartownię.

— To obsesyjna ostrożność — wtrąciła się Gloria, która wróciła właśnie z tacą świeżych owoców. — Mój przyszły teść uważa, że jego odkrycia wstrząsną posadami nauki i cywilizacji, więc zazdrośnie strzeże swych wyników przed ewentualną kradzieżą.

— Ja nie użyłbym słowa „obsesja” — powiedział Maks, mimowolnie ścisząc głos. — Naprawdę nie wiemy, jaka będzie reakcja środowisk naukowych, a co ważniejsze, społeczeństwa na rezultaty badań. Jak zareaguje administracja. Co z silnym lobby materialistycznym... Nie sądzę też, aby możliwość wglądu w tajemnice tamtego świata nie zainteresowała FBI albo CIA.

— Kiedyś chyba doktor Benton zdecyduje się opublikować wyniki swych badań...

— Naturalnie. Ojciec sądzi jednak, że ujawnienie wyników musi być starannie przygotowane, a prezentacja osiągnięć tak przeprowadzona, żeby nikomu nie udało się udaremnić jej rozpowszechnienia.

— Mamy na ten temat pewne teorie — uśmiechnęła się panna Hooverton. — Na szczęście nikt nie wie dotąd o prowadzonych przez niego badaniach, nikt nie podejrzewa, czym ich papa Benton może zaskoczyć.

— Jesteście pewni, że nikt się nie domyśla?

— Pewności nie ma nigdy. Jednak wszyscy uczestnicy programu to ludzie zaufani. Większość w ogóle nie opuszcza farmy. Obiekt od wewnątrz i z zewnątrz jest monitorowany dzień i noc. Telefony są pod kontrolą. Bramę zewnętrzną może

uruchomić jedynie ojciec lub Rebeka.

— W takim razie zdumiewa mnie, że jednak zdecydowaliście się nas wpuścić... I wtajemniczyć.

— W wypowiedziach Ann Karpicky ostatnio dość często pojawiały się zdania o siostrze... Czekala na nią. Ojciec wiedział, że się zbliżacie. Miał nawet nadzieję, że spotkanie obu sióstr może podziałać na nie stymulujące

— Tak czy siak, miło nam, że okazujecie nam tyle zaufania.

— Niczym nie ryzykujemy. — Teraz dopiero zauważyłem, że rozmowie przysłuchuje się stojący w drzwiach Gordon. — Do czasu ogłoszenia wyników nie opuścicie tego domu.

— Co takiego? — zawołałem, wyobrażając sobie minę mojego impresaria. — Za tydzień mam trasę koncertową: Mielec, Stalowa Wola, Przeworsk...

Ochroniarz rozłożył ręce.

— Przykro mi, panie Uansky. To polecenie doktora.

— Miejmy tylko nadzieję, że dzięki twojej ciotce badania nabiorą przyspieszenia — próbował pocieszyć mnie Maks.

Poczułem się jakoś niewyraźnie i potoczyłem wzrokiem dookoła, w kącie biblioteki dostrzegłem oczko kamery, przy oknie dwa czujniki.

— Do diabła, rzeczywiście jestem więźniem!

*

Jak na osobę od kilkunastu lat w dużym stopniu nieżywą, Anna Karpicka prezentowała się całkiem nieźle. I niewiele różniła się od bliźniaczki. Można by pomyśleć, że to sama ciotka przyjęła pozycję horyzontalną i przy pomocy kabli i żyłek dała się zmienić w coś przypominającego stację filtrów skrzyżowaną z centralką telefoniczną.

Regina Mirska nie ukrywała wzruszenia, zwilgotniałymi oczami wpatrując się w swoją bliźniaczkę. Obok zgromadził się cały personel prowadzonego przez doktora Bentona ośrodka: Ferguson, Crebs, panna Sanders i Dolores Ibanez. Ani Maks, ani Gloria nie brali udziału w seansie; ze względu na późną porę woleli raczej oddać się obowiązkowi przedmałżeńskiemu.

Ciocia Regina rozsiadła się wygodnie na fotelu obok łóżka, wypila bez sprzeciwu szklanekę jakiejś podejrzanej gęstej cieczy i ujęła bezwładną, ale ciepłą rękę siostry bliźniaczki. Crebs z Fergusonem zajęli się instalowaniem aparatury na jej ciele. W oczach Reginy zapalił się niepokój. — Co oni mi robią, Andrzejku, sadzają na krześle elektrycznym?

Ferguson objaśniał łagodnym głosem wiejskiego lekarza, że są to zwykłe środki ostrożności: EKG, biomanometr...

— A po co mi przyklejacie te metalowe robaczki na głowie, co to za okropny hełm, czyżbyście zamierzali mi zrobić trwałą? — Ledwie nadażalem z tłumaczeniem.

— To elektroencefalograf nowej generacji — wyjaśnił comatolog Crebs. — Rejestruje aktywność mózgu bez konieczności iniekcji czaszki i wprowadzania kontrastu.

— Myślicie, że uda mi się zasnąć pod taką kupą żelastwa...

— Ależ naturalnie, zaśnie pani — powiedziała z głębokim przekonaniem Rebeka, siadając vis-à-vis mojej ciotki. Miała na sobie zielony kostium, jeszcze bardziej podkreślający jej gadzią urodę. — I proszę się nie denerwować, to tylko próba. Za pierwszym razem może się nie udać.

Ciotka zasnęła jak grzeczne niemowlę. Początkowo nie działało się nic

szczególnego. Benton przerosił oczy z jednego monitora na drugi, porównując zapis czynności życiowych obu bliźniaczek, potem kontrolował ekran trzeci, czwarty. Mogłem słyszeć i obserwować niezwykle spowolnione bicie serca Anny i nierówne postukiwanie „pompki” Reginy. Zapis fal mózgowych Karpickiej pozostawał płaski jak naleśnik, ciotki natomiast łagodnie falował... Po kolejnym kwadransie byłem mocno rozczarowany, patrzyłem na monotonicznie pracujące pisaki EKG, a cichy łomot dwóch serc, dochodzący z głośników, potęgował senność.

— Patrzcie! — ożywił się nagle Crebs. — Czy to nie interesujące?

Rzeczywiście zaczęło się coś dziać. Serce Anny przyspieszyło rytm, jednocześnie na aparaturze podłączonej do Reginy Mirskiej wyraźnie podskoczył wskaźnik ciśnienia.

— Co to oznacza? — spytałem.

— Jeszcze nie wiemy — odparł Crebs.

Tymczasem obraz na monitorze elektroencefalografu oszalał. Miałem wrażenie, że naraz przede mną odsłoniła się panorama Himalajów. Jeszcze chwila, a rozjuszone krzywe wypełnią cały monitor.

— Niech pan to przerwie — zawołałem do Bentona. Doktor siedział jak urzeczony. Na biomanometrze Reginy ciśnienie nadal rosło, podobnie było z temperaturą. — Na Boga, niech pan to przerwie!

— Przerwać? Teraz, kiedy rozmawiają. Popatrzyłem na monitor Anny. Sądząc po poziomej kresce, jej mózg był martwy i głuchy jak pień.

— Jakże mogą rozmawiać? — wyraziłem wątpliwość.

— Jak, tego nie wiemy. Jednak to, co pokazuje EEG pani Mirsky, i to, co aktualnie przeżywa, to zdecydowanie więcej niż marzenie senne.

— Nie słyszę bicia jednego serca — powiedział naraz Ferguson.

Aż podskoczyłem.

— Spokojnie, nic szczególnego się nie dzieje. — Na ramieniu poczułem delikatny, ale pewny uścisk Bentona. — Dźwięki się po prostu wyrównały i nałożyły na siebie, oba serca biją teraz unisono.

— Czy mogę zaczynać? — kobieta o gadzich oczach zwróciła się do doktora.

— Spróbuj, tylko bardzo ostrożnie.

Rebeka poprosiła mnie o napisanie fonetycznie paru zdań po polsku. Spełniłem jej prośbę.

— Słyszysz mnie, Regino? — zapytała, dość dziwacznie wypowiadając polskie zdanie.

Ciotka poruszyła się, ale nic nie odpowiedziała.

— Regino, mów!

Usta Mirskiej drgnęły i usłyszałem słowa wymawiane z ogromnym trudem, za to w bezbłędnej angielszczyźnie:

— Nie teraz, nie przeszkadzaj. Rozmawiamy.

Panna Sanders zdziwiła się, podobnie jak my wszyscy.

— Mówiła ciocia, że nie zna angielskiego?

— Nie ma angielskiego, jest jedno myślenie, bez słów.

— Nie rozumiem, czy może ciocia powtórzyć to, co powiedziałaś, ciociu Regino.

— Nie jestem Reginą.

— Jesteś Anną?

— Jesteśmy jednością. Miłość. Dobro. Ciepło. Zostawcie nas... — Tu chwila pauzy, a potem głos pełen bólu i goryczy. — Dlaczego krzywda? Dlaczego to zrobiliście? Dlaczego?

— EKG wariuje — ostrzegła stojąca nieco z boku Dolores. — Ciśnienie przekroczyło stan alarmowy.

— Dobrze. Hamujemy — zakomenderował doktor, ignorując wyraz zawodu na twarzy Rebeki. — Starczy na dziś. Dolores, podaj pani Mirsky zastrzyk wzmacniający.

*

Ciocia Regina obudziła się po kwadransie. Była bardzo zmęczona i jeszcze bardziej zdenerwowana.

— Dlaczego ją tak potraktowaliście, to po prostu nieludzkie! — zawołała, ledwo tylko otworzyła oczy.

— Pamięta pani jakieś sceny ze swego snu? — spytała Rebeka, kompletnie ignorując zły humor Mirskiej. Ciocia nie zrozumiała. Musiałem przetłumaczyć.

— Jakieś sceny? Wszystko pamiętam. Takich rzeczy się nie zapomina. Ale jak mogliście...

— O czym ciocia mówi? — wtrąciłem się, zaniedbując na moment tłumaczenie.

— O sposobie, jakim skłonili ją do współpracy.

— Jakim sposobie?

Przetłumaczyłem ten fragment na angielski i powiodłem wzrokiem po naukowcach, a ci milczeli zakłopotani. Za to ciocia kontynuowała:

— Narkotyki. Narkotyki podawane w niewielkich ilościach do płynu rdzeniowo — mózgowego, spowodowały stałe uzależnienie Anusi, sztuczny głód. Znalazła się w ich mocy, a oni bezwzględnie to wykorzystali. Najpierw podawali jej minimalne dawki, później, kiedy nie chciała rozmawiać, przerywali dozowanie.

— To prawda — powiedział Benton, spoglądając mi prosto w oczy. — Z punktu widzenia ludzkiej jednostki rzeczywiście zastosowaliśmy pewną formę niedozwolonego nacisku, ale, jeśli o to idzie, biorę całą winę na siebie. Proszę jednak nie zapominać, że nie robiliśmy tego eksperymentu dla zabawy. Badania, które prowadzimy, są prawdopodobnie najdonioślejszym doświadczeniem w historii ludzkości. Możecie mnie za nie potępiać, ale musicie docenić. Jeśli wyrazicie ochotę, pokażę wam dotychczasowe wyniki, zapoznam z relacjami Ann Karpickiej o „tamtej stronie”... — tu zwrócił się do Reginy Mirskiej. — Rozumiem pani emocje. Ale mimo to, właśnie panią chcemy prosić, aby nie tylko przeprosiła swoją siostrę w naszym imieniu, lecz także, by zechciała wyjaśnić jej nasze intencje. Proszę o pomoc przy kontynuowaniu eksploracji. Jesteśmy pewni, że jej poświęcenie zmieni oblicze ludzkości i skieruje ją ku dobru, ku światłu...

Wierzyłem mu. Wierzyłem temu cholernemu doktorowi. Może i grał o Nobla dla zespołu i o własną nieśmiertelność, ale z pewnością nie udawał. Znam się na aktorstwie. Tak mógł mówić wyłącznie człowiek absolutnie przekonany o swoim posłannictwie. Zresztą i mnie udzieliła się częściowo ta fascynacja.

Dokończyłem tłumaczenie, dorzucając parę zdań od siebie. Regina złagodniała. Może zaczął działać kolejny zastrzyk.

— Chce mi się spać — powiedziała. — Opowiem wam wszystko jutro. Mam nadzieję, że pan wie, co pan robi, doktorze Benton.

*

Przed snem strzeliłem jeszcze jedną whisky. Czułem, że bez pomocy ballantine'a nie zasnę. Zbyt wiele wrażeń. Znajdowałem się w dziwnym stanie nadaktywności, podobnym do tego, jaki przeżywałem przed laty, kiedy z przyjaciółmi zrobiliśmy sobie sesję brydżową, grając bez przerwy przez noc, dzień i noc następną.

Zaskakiwała mnie zdumiewająca jasność umysłu, a zarazem poczucie irracjonalności świata, który mnie otacza.

Zgasilem światło i przez pancerną szybę okna pozbawionego klamki patrzyłem na połyskujące w księżycowej poświacie skały Tenton Rangers, na ciemny grzebień lasu i na trawnik rozciągający się między basenem a dawną stajnią zamienioną na garaże. Wzrok mój przykuła rzeźba amorka na samym środku murawy. Przysięgłbym, że za dnia go tam nie było. Zamrugałem oczami. W tym momencie, jak na zamówienie, amorek drgnął, zeskoczył z postumentu i podskakując, począł biec wzdłuż zabudowań. Teraz widziałem już, że nie jest to żaden kupidyn, tylko nieduże dziecko. Dzięki pełni (było jasno niczym w dzień) dostrzegłem nie tylko boscie stopy, ale i chusteczkę na głowie. Moja Cyganeczka! Pomyślałem o spuszczonej rottweilerach i przestraszyłem się. Chciałem krzyknąć, ale w tym momencie maleństwo odwróciło się w moją stronę i przytknęło paluszek do ust. Jeszcze raz mrugnąłem oczami. Oczywiście miałem halucynacje. Dziecko zniknęło. Za to tuż za moimi plecami skrzypnęły drzwi. Serce podeszło mi do gardła, kiedy miękka pachnąca ręka zamknęła mi usta. Kobieta? Dolores?

Nocny gość miał na sobie cieniutki szlafrok, a pod spodem chyba nic. Poczulem zapach perfum anais. Kobięca dłoń musnęła mnie po piersi, po brzuchu, dość bezceremonialnie posuwając się ku dołowi. Byłem zbyt zdumiony, żeby odczuwać podniecenie. Zjawa bez słowa pchnęła mnie na łóżko, jedwabny szlafroczek zsunął się na podłogę. Teraz już nie zasłaniałem sobą księżycowego światła płynącego przez okno. Widziałem nade mną rozchylone usta i płonące oczy.

— Panna Hooverton... — Zamknęła mi usta pocałunkiem. Poczulem smak karminowej szminki. — Daj spokój, Glorio. — Delikatnie odsunąłem ją od siebie.

— Co się dzieje, Andrew. To przecież tylko zabawa! Nie lubisz się bawić? Napij się. Przyniosłam ci drinka.

Przez moment stanęła mi w oczach pocieszna figura młodego Bentona i jego rozanielony wzrok, jakim wodził za narzeczoną, i wiedziałem już, czego na pewno nie zrobię.

— Dobranoc, panno Hooverton, proszę pozdrowić Maksa — powiedziałem, podnosząc się i podając jej szlafrok leżący koło pościeli. Potrafiłem przy tym szklaneczkę z whisky. Alkohol chlusnął na wykładzinę.

— Jak nie kretyń, to katolik — syknęła wściekle. I wyszła, zostawiając mnie w przekonaniu, że wybrałem jedyne rozsądne rozwiązanie... Chociaż z drugiej strony... Nie, jednak dobrze! Tu przez minutę zastanawiałem się, jak by to zabrzmiało po angielsku: „Nie lubię kurewstwa”.

*

Być może wskutek emocji związanych z wizytą agresywnej nimfomanki sen ciągle nie przychodził. Wierciłem się na tapczanie, zmieniałem pozycje, ugniatałem poduszki... Daremnie. Po godzinie doszedłem do wniosku, że pomoc może mi najwyżej jeszcze jedna porcja ballantine'a. Ubrałem się i wyszedłem na korytarz. Cały dom pogrążony był we śnie. Drzwi wszystkich pokoi wokół korytarza wykonane były z dźwiękoszczelnego tworzywa, toteż z żadnego apartamentu nie dolatywały najmniejsze odgłosy. Zszedłem po schodach na parter. Wielki salon pogrążony był w półmroku; szukając barku, natrafiłem na jakieś drzwi i otworzyłem je. Zalało mnie jaskrawe światło i usłyszałem przenikliwy dźwięk brzęczyka. Dotarłem do dyżurki.

— Przepraszam — szepnąłem, chcąc się wycofać. Nikt jednak nie zareagował na moje wejście. Gordon, pochrapujący z głową na konsolce, ani drgnął... Przed nim

połyskiwało dziesięć monitorów. Kamer na terenie Five Oaks' Farm było znacznie więcej, toteż obrazy zmieniały się co dwadzieścia sekund: biblioteka, salon, living room, gabinet, laboratorium. Uśmiechnąłem się, widząc Dolores Ibanez czuwającą z książką w ręku obok Anny Karpickiej. Na kolejnych ekranach pojawiały się obrazy pochodzące z punktów obserwacyjnych na zewnątrz budynku. Kamery lustrowały teren we wszystkich kierunkach, dwie dodatkowe skierowane zostały na bramę. Wszędzie panowała absolutna cisza i spokój. Popatrzyłem na obraz z kamery, która monitorowała drogę dojazdową. Do licha, tam coś się działo! Wyteżyłem wzrok. Między drzewami przesuwiał się szybko jakiś duży cień. Czyżby niedźwiedź?

Oddalający się od farmy cień dotarł do głównej drogi i naraz włączyły się reflektory. Samochód... Skąd on mógł wyjechać i dlaczego ryzykował jazdę bez świateł?

Zapaliła się zielona kontrolka sygnalizująca autoryzowane odbezpieczenie głównego wejścia. Wlepiłem wzrok w monitory. Ten, kto wracał z nocnej przechadzki, najwyraźniej nie bał się rottweilerów i doskonale wiedział, czym mogą grozić mu kamery. Otworzył drzwi wejściowe dokładnie w momencie, kiedy na monitorze pojawiła się kuchnia, w sieni musiał się znaleźć, kiedy szedł przekaz z biblioteki... Schodów jednak nie pokonał wystarczająco szybko, przez moment jego cień przemknął po ścianie. To był mężczyzna, ale nie podjąłbym się jego identyfikacji.

Co tu się dzieje? Potrząsnąłem śpiącym Gordonem. Był zupełnie nieprzytomny, jak facet, który nie spał rok albo zażył silną dawkę środka usypiającego. Wróciłem do salonu, zbiegłem po schodach. Ani śladu żywej duszy. Pomyślałem o nękającym mnie fantomie Cyganczki, ale osobnik, który zbiegł po schodach, był zdecydowanie większy i absolutnie nie przypominał wzrokowego omamu. Poza tym żaden duch nie zadawałby sobie trudu, aby uśpić strażnika.

Układając się do snu, nie mogłem pozbyć się przekonania, że choć ostrożność Bentona była godna podziwu, nie zabezpieczył się przed wszystkim. Nie miałem jednak pojęcia, jakie mogły wyniknąć z tego skutki. Zadawałem też sobie pytanie, jak postąpić. Poinformować Bentona, co działo się w nocy w budynku. A jeśli nocnym spacerowiczem był sam Benton, który prowadził jakąś dodatkową grę? Zresztą dlaczego miałbym komukolwiek zaufać? Powiedziano mi jasno — jestem tu więźniem. Czy miałem chronić interes strażników, zwłaszcza gdy do końca nie wiedziałem, jaki to interes.

Stopniowo moje myśli rozmydliły się. Spałem mocno i bez snów. Prawdopodobnie wszystkie pożyczyla ode mnie Regina Mirska.

5.

Ilu diabłów mieści się na czubku szpilki? Spytajmy raczej, ile szpil da się wbić w jednego diabła?

Przepytywanie mojej ciotki zaczęło się dokładnie o ósmej rano i od pierwszej chwili wyczuć się dało panujące napięcie. Rumieńce na twarzach Rebeki i Bentona, tajemniczy grymas Crebsa i głupkowaty uśmiech Fergusona stanowiły tylko część sztafażu, reszty zaś dopełniała nadzwyczajna zwyczajność — pracujące magnetofony i cichy szum kamery wideo. A w tej rzeczywistości bohaterka podróży na drugą stronę świadomości, Regina Mirska — mniej potargana niż zwykle, bardziej skupiona, precyzyjna, mimo że bezpośrednio spotkanie z cudem odnalezioną siostrą bliźniaczką musiało ją kosztować bardzo wiele. Szczególnie zaskoczył mnie sposób opowiadania o swych wrażeniach; relacjonowała je niczym podróżnik, który zdobył już niejedną ośmiotysięcznik, a pieszo przez Antarktydę przechodzi kilka razy w roku.

Rozmowę zaczął Benton, ciepło, po ludzku, poprosił o wstępne zrelacjonowanie jej snów i odczuć, co okazało się wstępem do następnej tury pytań i odpowiedzi. Ciotka wyraziła zgodę i niczym Alicja z bajki Lewisa Carrolla przeprowadziła nas na drugą stronę lustra.

Ubiegłego wieczoru zapadła w sen bardzo szybko. Zrazu pogrzyła się w nicości nieporównywalnej z czymkolwiek, czego doświadczyła do tej pory. Nie był to zwyczajny lekki sen zapewniający kontrolę nad otaczającym światem ani też ciężki, pozbawiony uczucia niebyt. Po prostu zanurzyła się w ciemność gęstą i lepka, lepkością bezwoną, bezkształtną i pozbawioną temperatury. Otoczona ze wszystkich stron tym „czymś — niczym” czuła się jak kurzy embrion w jajku, a może jak płód w matczynym praocianie. Nie mogła oddychać ani się odezwać, odczuwała też strach, że nigdy nie zdoła się obudzić, a co ciekawsze, nie traciła zarazem świadomości, że nie śniąc, śni snem. I potem z nagłą otaczający ją bezkształtny wór zniknął. Pozostała sama. Czym teraz była, kroplą w ciemności? Ziarenkiem przywodzącym na myśl zarodek świata, nim wyłonił się on z Chaosu? Ale i owo poczucie osamotnienia nie trwało długo. Coś ją przyciągało, otaczało i to coś było dobre. Jeszcze chwila i oładnęło ją uczucie miłości. Nie była sama. Gdzieś w pobliżu znajdował się ośrodek promieniujący nie znanym jej dotychczas doznaniem. Anusia! Chciała biec ku niej. Biegła... A raczej przemieszczała się, pozbawiona wymiarów drobina świadomości.

— Może pani opisać dokładniej ten moment przejścia? — zapytał Crebs.

— Zupełnie jakbym zapadała się w siebie i z kosmiczną prędkością podróżowała labiryntem własnych jelit, żył, neurytów i dendrytów, przebywając w paru miejscach równocześnie.

— I dokąd się pani udała? — zapytał Benton.

— Do własnego mózgu. Do tego prawdziwego ula impulsów, rojowiska zdarzeń, metropolii informacji. Jednak zanim tam dotarłam, poczułam, że coś zmierza ku mnie z naprzeciwnika. I tak spotkałam ją. Drugą pulsującą kroplę jaźni.

— To była Ann Karpicky? Spotkałyście się?

— Zderzyłyśmy się ze sobą. Chociaż słowo: „zderzenie” nie jest właściwym określeniem. To było takie miękkie zetknięcie. Naraz poczułam się jak rozgałęźnik o tysiącu wtyczek, z których każda znalazła odpowiednie gniazdko. Anusia przyłgnęła do mnie. Zespoliłyśmy się, w okamgnieniu stałyśmy się jednością, zachowując zarazem poczucie własnej odrębności.

— Na czym więc ta jedność polegała — Sanders utkwiała wzrok w Reginie.
— Na wspólnocie odczuć, wrażeń. Nagle wyszłam z bezcielesnej nicości i znalazłam się tutaj.
— Na fotelu?
— Ani w fotelu, ani na łóżku. Wisiałam gdzieś ponad pana głowę, panie Crebs. Neurolog nerwowo przyglądał rzadkie włosy.
— Ale czy tożsamość z siostrą bliźniaczką dotyczyła także tych spostrzeżeń? — spytał Benton.
— Nie. Wymieniałyśmy informacje bez słów, ale mimo doskonałego wzajemnego przeniknięcia każda pozostawała sobą. Właśnie wtedy Ania powiedziała mi o waszej narkotykowej pułapce.
— Jeszcze raz przepraszam, ale musiałem — bąknął Benton. — Jednak, pomijając skargi, czy pani Karpicky pytała panią o dzisiejsze życie, o nasz świat?
— Wie pan, że nie. Bardzo mnie zaskoczyło, że Anusia, będąc od tak dawna po tamtej stronie, w ogóle nie jest ciekawa informacji z naszego świata. To przypomina stosunek motyla do zrzuconego kokonu. Przeszłość przestała być dla niej ważna.
— A terażniejszość?
— Jest znana, ale obojętna.
— W takim razie, co jest dla niej istotne? Czego dowiedziała się pani o drugiej stronie? — tym razem pytającym był Ferguson.
— Wiele nie zdążyła mi powiedzieć. Zresztą czułam się źle, coraz gorzej, do niej też to dotarło, kazała mi wracać... Poza tym irytowały ją wasze pytania.
— Ale mimo wszystko jest gotowa spotkać się z panią ponownie? — spytała Rebeka Sanders.
— Chyba tak. Czuję, że w jakiś sposób jestem jej potrzebna. Chociaż naprawdę nie wiem po co.

*

Po krótkim odpoczynku rozpoczęły się przygotowania do kolejnego seansu. Benton stawiał wobec nas sprawę jasno. Im sprawniej przebiegać będą podróże mojej ciotki na drugą stronę jaźni i im więcej przyniosą rezultatów, tym szybciej program się zakończy.
— A gdy się zakończy? — zapytała Regina Mirska. — Co wówczas?
— Pani z bratankiem wróci do kraju z godziwym ekwiwalentem za stracony czas, a Ann Karpicky... Cóż, jeśli nadal będzie pragnęła umrzeć, odłączymy aparaturę.
— Tylko co ma być owym rezultatem? Czego jeszcze chcecie się dowiedzieć?
— Jak najwięcej. Proszę zrozumieć, pani jest czymś w rodzaju sondy kosmicznej lądującej na zupełnie nie znanej planecie, o której mieliśmy do tej pory bardzo mgliste wyobrażenia, a wielu zgoła nie wierzyło w jej istnienie.
— Nie wiem, czy Anusia zechce mnie tam zaprowadzić.
— Proszę się o to postarać.
Popatrzyłem na Bentona, sztywny kostium „Abe’a” Lincolna pękł, podniecony lekarz przypominał teraz bardziej redaktora naczelnego jakiejś stacji telewizyjnej wysyłającego swą reporterkę na wywiad z Panem Bogiem.

*

— *Wezwałaś mnie, Aniu.*
— *Tak.*

- *Chcesz, żebym pomogła ci umrzeć?*
- *Jeszcze nie teraz.*
- *Nie rozumiem.*
- *Zrozumiesz. O jednym tylko pamiętaj: powiesz im tylko, co ci pozwolę.*
- *Nie masz zaufania do nikogo?*
- *Później. Możesz zaufać Andrzejowi. Musi przygotować waszą ucieczkę.*
- *Kiedy?*
- *Kiedy ty również będziesz gotowa. Kiedy będziecie wiedzieli, co robić dalej...*

Tę notatkę, zatajoną podczas przesłuchania, podała mi ciocia pod stołem podczas śniadania. Schowałem ją do kieszeni, a przeczytałem dopiero w kiblu, upewniwszy się uprzednio, że nie ma tam żadnych kamer. Nie dałem po sobie niczego poznać, ale moje obawy wzrosły. Do diabła, o co w tym wszystkim chodzi?

*

Druga popołudniowa wycieczka w transcendencję rozpoczęła się znacznie spokojniej. Regina Mirska wracała na znany przyczółek. Proces zasypiania przebiegł jeszcze szybciej, a sądząc po zapisach komputerowych, spotkanie z siostrą nie wywołało tak nieprawdopodobnego napięcia, jak za poprzednim razem.

— Anusia dała mi zaznać radości, unosząc się nad waszą grupką — relacjonowała ciotka. — Bez trudu przeniknęliśmy przez stropy i mogliśmy obejrzeć całą posiadłość z lotu ptaka.

— Widziałyście siebie podczas lotu? — zapytał Crebs.

— Nie. Ale czułyśmy się nawzajem.

— A odbicia: w lustrze, w tafli wody?

— Nie przypominam sobie, chyba nie miałyśmy ani odbić, ani cieni. Zresztą, zdaje się, niedokładnie się wyraziłam, przyrównując nasze doznania do lotu. Nie odczuwałyśmy pędu powietrza, temperatury, po prostu byłyśmy tam, gdzie chciałyśmy być. Tu lub o tysiące kilometrów stąd.

— Niewiarygodne — sapnął Ferguson.

— W zadziwiający sposób przypominało to podróżowanie w Internecie. Nie stanowiły dla nas problemu odległości, strefy czasowe czy jakiegokolwiek bariery. Przez moment przebywałam w swym pustym, małym, radomskim mieszkanku. Niesamowite wrażenie, znaleźć się nagle tam, gdzie na pewno mnie nie ma.

— Obraz był całkowicie realistyczny? — zapytał Benton.

— Jak najbardziej. Zauważyłam nawet, że na meblach nabierało się sporo kurzu, a na wiszącym w kuchni kalendarzu pozostawała ciągle nie zdarta kartka z dnia, kiedy wyjechałam do Warszawy.

— Może nie była to autotransportacja, a jedynie przywołane wspomnienie? — zasugerował Crebs.

— Też tak początkowo myślałam i dlatego wyjrzałam przez okno. Vis-à-vis mego lokalu budują blok. Kiedy wyjeżdżałam, postawili trzecią kondygnację, dziś zauważyłam, że już kończą czwartą.

Potem zapragnęła zobaczyć swojego kota oddanego na przechowanie sąsiadce. Znalazła go wygrzewającego się na balkonie w jesiennym słońcu. Nie mogła go dotknąć, ale chyba wyczuł jej obecność, bo najpierw zjeżył się cały, postawił uszy, ale potem rozkosznie rozłożył się i zamruczał.

— W słońcu? — przerwał nieco obcesowo Ferguson. — To która mogła być tam godzina.

— Bardzo wcześnie rano — odparła bez namysłu Regina.

Porównałem czas obowiązujący w Wyoming ze środkowoeuropejskim...
Pasowało!

— Proszę kontynuować — poprosiła Rebeka.

Podróż trwała. Chwilę później znalazła się na ulicy wśród ludzi spieszących do pracy, przenikała przez nich bezboleśnie, a oni przechodzili po niej, nie zauważając niczego.

— I widziała ich pani tak, jak nas w tej chwili czy jakoś inaczej?

— Widziałam więcej... — Mirska zawahała się na ułamek sekundy. — Widziałam ich aury.

— Aury? — słuchający poderwali głowy, a notującemu wszystko pedantycznie Fergusonowi długopis wypadł z rąk i potoczył się w pełnej napięcia ciszy po szklanym blacie stolika.

— Świetliste promieniowanie wokół postaci ze szczególną koncentracją wokół głowy. Bez trudu rozpoznawałam chorych, starych, umierających. I widziałam jeszcze...

— Tak?

— Nie, nic... Chyba mi się tylko wydawało.

— Proszę mówić — naciskał Ferguson.

— Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że w niektórych przypadkach potrafiłabym odróżnić ludzi dobrych od złych.

— Jest pani pewna?

— Nie wiem. Spróbuję następnym razem. Czy mogę kontynuować?

— Za chwilę — przyhamował ją Ferguson. — Wróćmy do tego rozpoznawania. Czy to siostra nauczyła panią rozróżniania tych aur?

— Mówiłam już: nie było mowy o jakichkolwiek naukach. Porozumiewałyśmy się na wyższym poziomie świadomości. Ja widziałam i czułam to, co ona chciała mi udostępnić. W trakcie tej podróży zapragnęłam zobaczyć więcej, sprawdzić, jak jest z tymi opowieściami dotyczącymi życia po życiu, chciałam spojrzeć poza tę krawędź, zza której podobno nie ma powrotu.

Na twarzy słuchających odmalowało się poruszenie. Jeśli idzie o mnie, nie miałem czasu na emocje, ledwie nadażałem z tłumaczeniem.

— I dokonała pani tego? — wyrwało się Rebecce.

— Wystarczyło spojrzeć w głąb siebie, tyle że bardziej intensywnie: W tym celu musiałam się cofnąć do własnej jaźni...

— W jaki sposób?

— Należało jedynie wyrazić z determinacją taką chęć, aby przeżywszy chłodny skurcz umierania, znaleźć się w przestrzeni będącej przeciwieństwem wcześniejszego kokona.

— Jasność, świetlisty tunel? — podsunął Ferguson.

— Ja odczuwałam to zupełnie inaczej. Tamten Świat różni się zdecydowanie od wszystkiego, co do tej pory o nim słyszałam. To znaczy, że gdybym tylko zechciała, mogłabym zobaczyć i świetlisty tunel, i pola rajskich kwiatów, słowem wszystko to, o czym mówią ci, którzy powrócili ze stanu śmierci klinicznej.

— Sugeruje pani, że ci ludzie kłamali? — Benton zmarszczył brwi.

— Skądże. Tyle że mówili nie o tym, co widzieli, tylko o tym, co pragnęli zobaczyć.

— A pani co widziała? — Benton przysunął się bliżej Mirskiej.

— Nic. To znaczy, niczego nie widziałam, nie słyszałam ani nie dotykałam. Znalazłam się w świecie pozazmysłowym.

— Żadnych wrażeń...

— Odczuwałam ich całe mnóstwo. I to z ogromną siłą. Obecność...

— Kogo? Siostry?
— Wszystkich. Anusia poinformowała mnie, że mogę przyzywać wszystkich, którzy kiedykolwiek stąpali po ziemi...
— Tylko ludzi zmarłych czy również inne stworzenia?
Znów moment zawahania.
— Proszę odpowiedzieć! — nalegał doktor.
— Szukam odpowiednich słów — wymamrotała Regina.
— Niełatwo przychodzi mi opisywanie mych doświadczeń, niezwykle dziwnych, nie mieszczących się w normalnych kategoriach. Proszę zrozumieć, ja tylko zaglądałam do Tamtego Świata... Czułam się tak, jakbym stała na moło lub wąskiej kładce, zawieszonyj między dobrem i złem. Byli tam ludzie, mnóstwo ludzi, ale nie tylko ludzie. O, właśnie, jeśli mogę powiedzieć, że coś czułam, to rozpoznawałam dwa bieguny: dobro i zło, znajdowałam się gdzieś między tymi dwiema sferami. Nie do końca rozgraniczonymi, przenikającymi się... Nie potrafię określić, jak długo to trwało, ale już po paru chwilach moje emocje stały się zbyt mocne, za ciężkie do wytrzymania. Narastał mętlik, emocjonalny hałas. Chcąc poznać tych, wśród których się znalazłam, próbowałam posunąć się głębiej i wtedy natrafiłam na niebywałe rojowisko obcych jaźni. A potem Ania kazała mi się cofnąć, zmusiła mnie wręcz do powrotu. Twierdziła, że to niebezpieczne, że jestem nie przygotowana i... To wszystko.

Ciotka umilkła i ukryła pobladałą twarz w dłoniach. Na mgnienie oka w salonie zapadła cisza tak głęboka, że czułem nieomal dotknięcie Absolutu.

— Dziękuję, to wystarczy na dziś — w głosie Bentona pobrzmiwała nuta satysfakcji. — Teraz musi pani solidnie odpocząć. Dolores zadba o to. A my chyba uczcimy ten dzień szklaneczką czegoś mocniejszego. Niewiarygodne stało się faktem. Przekroczyliśmy próg!

*

Nazajutrz przed południem wybrałem się na spacer do parku. Ciotka przeżywała drobne sensacje żołądkowe i była niezdolna do dalszych eksperymentów. Doktor Benton zwołał naradę „w węższym gronie” i chętnie pozbył się mnie z budynku. Oczywiście na czas spaceru przydzielono mi anioła stróża w postaci barczystego Gordona. Towarzyszył nam też jeden z rottweilerów, choć o tej porze i u boku ochroniarza był łagodny jak baranek. Oczywiście nawet gdybym chciał, nie mógłbym marzyć o ucieczce. Zresztą nie zostawiłbym ciotki na pastwę eksperymentatorów. Początkowo myślałem, że zgodzą się, by i ona uczestniczyła w spacerze (wtedy mógłbym dowiedzieć się więcej o obawach, jakie mi zasygnalizowała), ale Rebeka Sanders kategorycznie oświadczyła, że pacjentka musi wypoczywać. Poszliśmy więc we trójkę: pies, goryl i ja.

Gordon okazał się prostodusznym, nieco ociężałym umysłowo facetem. Ślepo przywiązany do doktora, podziwiał go i kochał miłością starego sługi.

Posiadłość miała około pięciu hektarów, ale pofałdowany teren i porastający ją las sprawiały, że wydawała się rozleglejsza. Ze wszystkich stron okalał ją dwumetrowy mur zabezpieczony dodatkowo drutami pod napięciem.

— A nie obawiacie się, że jakiś intruz mógłby spróbować przeciąć obwód elektryczny? — zwróciłem się do Gordona. Odpowiedział mi z pobłażliwym uśmiechem:

— Mamy co najmniej dwa niezależne obwody, a jakiegokolwiek ich uszkodzenie automatycznie uruchamia alarm. Zaś w tej gęstwinie otaczającej farmę trudno się

poruszać, a jeszcze trudniej uciekać. Pan doktor wszystko przewidział.

Dotarliśmy do zachodniego krańca farmy. Wielkim zaskoczeniem dla mnie okazała się niewielka furtka w murze. Strome schodki prowadziły do pomostu wybiegającego w jezioro, rozpościerające się o kilkadziesiąt metrów poniżej zabudowań.

— To nasza przystań — powiedział z dumą Gordon. — Złapałem kiedyś tam takiego łososia...

— Ale oczywiście ta furtka jest też zamknięta?

— Jasna sprawa.

— Ale nie widzę nigdzie zamka!

— Niepotrzebny — wskazał mi małe sitko zatopione w murze. — Mamy tu akustyczną zastawkę otwierającą furtkę na hasło. Podobnie jest z bramą główną.

— Czy to bezpieczne? — zapytałem. — Wystarczy przecież poznać hasło i wszystko staje otworem...

— Nie tak prosto — zachichotał. — Komputer ma zaprogramowane próbki głosu osób upoważnionych, a hasło, aby brama się otworzyła, musi zostać wypowiedziane przez którąś z nich. Ale dlaczego to pana tak interesuje? Myśli pan, jak się stąd wydostać? Strata czasu!

— Skądże znowu, to zwykła ciekawość, chodźmy dalej! W rezydencji nadal panował podszyty napięciem bezruch, trwały jakieś narady w gabinecie doktora. Dolores przyniosła mi obiad do pokoju, kraszając go pięknym uśmiechem.

— Co z moją ciocią?

— Zrobiliśmy jej serię badań i teraz śpi jak aniołek. Proszę się nie martwić, jest w znakomitej kondycji. Doktor twierdzi, że wieczorem będzie gotowa do następnej sesji. A może się pan napije?

Skinąłem głową, nalała mi do kieliszka półwytrawnego kalifornijskiego wina.

— A ty?

— Nie piję.

— Od zawsze?

— Od kiedy tutaj jestem. Szef rygorystycznie wymaga od personelu absolutnej abstynencji. Wczorajszy drink z okazji naszego triumfu stanowił wyjątek. Oczywiście zakaz nie dotyczy gości i rodziny.

Pomyślałem o skłonnościach Glorii Hooverton i tylko pokiwałem głową.

— Musi ci się tu bardzo nudzić, Dolores — powiedziałem, patrząc zafascynowany, z jaką płynnością ściele moje łóżko, poprawia zasłony i zbiera naczynia.

— Lubię swoją pracę, a w wolnych chwilach sporo czytam, oglądam filmy na wideo — powiedziała, jakby zgadując moje myśli.

— A samotność? Musi ci przecież doskwierać brak rodziny, przyjaciół.

Dotknąłem jej szczupłej śniadej ręki.

— Taka zupełnie samotna nie jestem — odparła, cofając dłoń. Po czym zdecydowanym ruchem postawiła talerze na tacy i wyszła, unikając mojego spojrzenia.

„Aluzju poniał”. Miała tu kogoś! Przez moment usiłowałem dopasować ją do któregoś z miejscowych mężczyzn. A były to obrazki bardzo nieprzyzwoite. Czyżby któryś z ochroniarzy, okrągłutki Ferguson, dziobaty Crebs? A może doktor Benton urządził tu sobie prywatny haremik? Nie wiem dlaczego, ale wszystko wskazywało mi na Crebsa! Co ustaliwszy, poczułem się jeszcze smutniej. Właśnie układałem się do popołudniowej drzemki, kiedy do mojego pokoju zastukał Maks.

— Zagra pan w bilard? — zaproponował. — Nie mam tu dobrych partnerów.

— Z przyjemnością, ale wyznam, że też nie jestem orłem.

— Nie szkodzi, lubię wygrywać.

Obietnica była rzucona zdecydowanie na wyrost. Młody Benton grał kiepsko,

jednak kolejne przegrane nie mąciły mu znakomitego humoru. Tego dnia Maks cały promieniał. Już po drugiej partii zdradził mi powód swej radości.

— Pobieramy się! — powiedział. — Za trzy dni.

— W takim razie, kiedy stąd wyjeżdżacie?

— Nigdzie się stąd nie wybieramy. Pomysł Glorii polega na tym, że ceremonia odbędzie się tutaj. Pastor O'Mallory dojedzie z Riverton.

— Ale czy uda się utrzymać uroczystość w tajemnicy? Czy wasz ślub nie ściągnie na farmę uwagi mediów?

— Mamy nadzieję, że tak. Bo o to właśnie chodzi! — wykrzyknął Maks. — Gloria wymyśliła wszystko wręcz genialnie. Telewizja z Salt Lake City jest zainteresowana transmisją na żywo!

— Nie wiedziałem, że twoja narzeczona jest aż taką gwiazdą.

— Dopiero będzie, ale powiedz, czy mówi ci coś nazwisko Carlton? Jimmy Carlton?

— Ten tandeciarz od *Superkraksy*?

— Aktualnie największy gwiazdor Hollywoodu, ekscentryczny, tajemniczy. Gloria dzwoniła do niego przed godziną. Zgodził się być naszym świadkiem.

Przypomniałem sobie zdjęcia Carltona, których pełno było również w naszych niemieckich ilustrowanych magazynach dla kucharek, pretensjonalnego pedałka o rybich oczach i brodzie à la Arafat.

— To rzeczywiście nie mały zaszczyt, tylko pogratulować. Jak się udało go namówić?

— Znają się od lat, a zanim Jimmy definitywnie określił swoją seksualną orientację, chodzili jakiś czas ze sobą.

— Tylko co to ma wspólnego z eksperymentem? — Gładko wbiłem dwie bile.

— Nie rozumiesz, Andrew? Nasz ślub tutaj to właśnie pomysł na promocję.

Chwył, żeby dzięki Jimmy'emu Carltonowi ściągnąć tu ekipę telewizyjną, a gdy już zacznie się transmisja, otworzyć drzwi do laboratorium. Gwarantuję ci, że po pierwszych ujęciach reportażu na żywo z Tamtego Świata nikt nie przełączy się na inny kanał. Odkrycie taty stanie się publiczną własnością. Pewnych faktów nie da się cofnąć, pewnych spraw odwołać. Nikt nie będzie mógł przeciwdziałać, żadne naciski nie zapobiegą ogłoszeniu wyników doświadczeń. Mając za sobą opinię publiczną, mój ojciec stanie się drugim Kopernikiem!

Wbiłem ostatnią bilę, kończąc rozgrywkę. Bila była czarna. Przypieczętowała mój sukces.

— To rzeczywiście inteligentny pomysł, Maks.

— Genialny! Gloria sama to wymyśliła. A tata zaakceptował.

W zasadzie powinienem się ucieszyć z tej informacji; ogłoszenie wyników doświadczeń musiało przynieść wolność mnie i ciotce Reginie. Skąd jednak ten uporczywy wewnętrzny niepokój? Niby nic konkretnego. Jednak już od dwóch dni wiedziałem, że na farmie jest ktoś, kto nieoficjalnie kontaktuje się ze światem zewnętrznym. Tylko kto?

Goryl Gordon odpadał zdecydowanie. Spał przecież, kiedy tajemniczy nieznajomy buszował po domu. I tak samo Dolores, która — co sam widziałem — czuwała nad bliźniaczą siostrą mojej ciotki. Z przyczyn oczywistych należało też wykluczyć starego Bentona. Nie działałby przeciwko sobie. Z listy podejrzanych wypadał automatycznie Maks, bo jakież miałby interes w przeszkadzaniu własnemu ojcu? A ta jego dupeczka Gloria? Nimfomanka, i owszem, ale przecież niegłupia. Decydując się na wejście do klanu Bentonów, musiała mieć świadomość, że sukces rodziny to także jej sukces. Finansowy i nie tylko. Kto zatem pozostawał? Rebeka Sanders? Doktor Ferguson, doktor Crebs, drugi z ochroniarzy, Murzyn, a może kucharka lub pokojówka?

Postanowiłem przyjrzeć się im wszystkim dokładniej, a przy okazji spróbować ustalić, kto zawrócił w głowie pannie Ibanez.

Następny mecz z Maksem wygrałem równie łatwo i zadowolony z siebie poszedłem się zdrzemnąć przed kolejnym seansem.

*

— Nie mamy czasu! — doktor Benton pokręcił głową, kiedy usiłowałem wydębic jego zgodę na relaksującą przechadzkę z ciocią po parku.

— Przecież eksploatując ją tak intensywnie, doprowadzicie do jej śmierci! Ona przecież nie jest wahadłowcem.

— Bez przesady! Stan pani Mirsky jest bardziej niż zadowalający. — W sukurs szefowi przyszedł Crebs. — Do transmisji telewizyjnej mamy zaledwie trzy sesje i wszelkie spacery byłyby marnotrawieniem czasu.

— Poza tym jest wyspana jak mało kto — dorzucił Ferguson, a Rebeka Sanders potwierdziła, że mimo swego wieku, Regina potrafi się błyskawicznie zregenerować.

W ten delikatny sposób dowiedziałem się, że mogę sobie wybić z głowy jakiegokolwiek „sam na sam” z moją ciotką. *Ergo*, nie mogłem podzielić się z nią swymi obawami ani dowiedzieć, o co chodziło w przekazanym ostrzeżeniu.

Mogłem oczywiście w trakcie selektywnego tłumaczenia przemycać pewne informacje, ale skąd mogłem mieć pewność, że nikt oprócz Dolores nie zna polskiego. A ona sama? Nie mogłem jej w nic wtajemniczyć, zwłaszcza że w ciągu ostatniej doby dziwnie się zmieniła. Nie zwracała się już do mnie z promiennym uśmiechem, przeciwnie, cały czas chodziła naburmuszona. Czyżbym zraził ją jednym nazbyt poufałym gestem?

Nie pozostawało mi nic innego, jak solidnie tłumaczyć relację z kolejnej wyprawy.

*

Tym razem naukowcy zdecydowali się przeprowadzić eksplorację bezpośrednią. Rebeka cały czas pozostawała w kontakcie z Reginą Mirską, a ta relacjonowała swą niezwykłą podróż.

Znów ogarnął ją emocjonalny dygot, znajdowała się na tej samej krawędzi światów, gdzie dotarły poprzednim razem. Wówczas spanikowana zawróciła. Teraz była lepiej przygotowana. Czuła obecność Anny, która w sobie, wokół siebie, przekazywała jej bez słów swój spokój, swą pewność, swą miłość.

— Nie denerwuj się. Wszystko jest w porządku. Czuj to samo, co ja. Kochaj ich.

— Ale kim oni są?

— Umarłymi... Chcesz nawiązać z nimi bliższy kontakt.

— Ale jak?

— Po prostu chciej.

Okazało się to prostsze, niż przypuszczała. Myśl niczym laser wyszukiwała właściwych mieszkańców niebytu.

— Mama?

Szept. Impuls. Zobacz ją taką, jaką pragniesz!

Nagły przepływ ciepła, jasność i wyłaniający się z mgły profil Klary Łańskiej. Wczesne lata pięćdziesiąte. Regina może przysiąc, że matka wygląda dokładnie jak wówczas, owego słotnego dnia, kiedy pierwszy raz poszły oglądać odbudowaną Starówkę.

— To ty, mamusiu — woła bezgłośnie.

Ale Klara Łańska nie odpowiada, patrzy gdzieś w górę, ponad głową nieobecnej materialnie Reginy, uśmiechnięta, promienna, spokojna...

— Co tam widzisz mamó, Boga? Odpowiedz, daj znak... Proszę. Wiesz, jak strasznie mi Ciebie brakowało... Tyle lat. Mamusiu moja!

W zamkniętych oczach cioci kręcą się grube łzy. Rebeka Sanders szepce, by spróbowała nawiązać kontakt z kimś innym.

— Wszystko na nic! — pada odpowiedź po angielsku. — Nie mogę. Oni nie tego chcą, oni są odwrócen!

— Jednak...

— Nie przerywajcie mi — odpowiada twardo ciocia Regina. Ale czy to na pewno ona? Charakterystyczny chicagowski akcent sugeruje, że ustami Reginy mówi Anna.

— Pozwólcie mi żeglować. Opowiem wszystko po powrocie. — I milknij.

Rebeka podnosi wzrok na doktora.

— Mam ją obudzić?

— Pozwólcmy jej płynąć.

Po przebudzeniu ciotka wyjaśniła nam wszystko dokładniej. Bariera w komunikowaniu się ze zmarłymi powstawała dlatego, że ludzie z Tamtej Strony nie byli zainteresowani kontaktem z nami, obcowali przecież z Absolutem. Ziemi padół, z którego odeszli, wydawał się im tak błahy, jak kurz na butach wędrowca.

— A może to obcowanie ze zmarłymi było jedynie złudzeniem, iluzoryczną projekcją własnych pragnień? — zapytał sceptycznie Crebs.

Ciocia przerwała mu impulsywnie:

— Zanim zechciałam ich zobaczyć, bardzo silnie czułam ich obecność.

— W każdym razie ta niemożność komunikowania bardzo mnie zasmuca — westchnął wyraźnie zawiedziony doktor Benton.

— Kontakt nie jest całkowicie wykluczony — sprostowała Regina. — Ci, którzy umarli całkiem niedawno, są wdzięcznymi rozmówcami... Tęsknią za swoim starym życiem. Odwracają się od niego powoli i odchodzą definitywnie dopiero po upływie określonego czasu. Przeważnie są to trzy dni.

— A więc rozmawiała pani z kimś po Tamtej Stronie?

— Tak!

Poczuła w pewnym momencie obecność młodego, najwyżej czternastoletniego chłopaka. Nie rozpoznawała rysów, ale czuła, że jest bardzo przestraszony. Pięć minut wcześniej popchnięty przez szarżujący tłum kibiców wracających z meczu, wpadł pod nadjeżdżający elektrowóz nowojorskiego metra. Regina wyczuwała jego lęk, zagubienie i potrzebę rozmowy. Opowiadał o swoim psie, który został zamknięty w domu, i o szkolnych rozgrywkach baseballa, gdzie nie powinno zabraknąć go na trzeciej bazie. A potem nagle ożywił się, jakby zauważył kogoś znajomego. Zawołał: „Babcia!” i roztopił się w pulsującej masie ludzkich dusz.

— A widziałaś swojego tatę? — spytałam Reginę.

— Tak, parokrotnie. Po raz pierwszy zobaczyłam go takim, jakim nigdy nie widziałam go za życia. Pamiętasz taką starą fotografię... 1935 rok. Letnisko nad Liwcem, on w długiej koszuli... A potem inna, przedwcześnie dorosła twarz w ponemieckim hełmie, to chyba musiał być jeden ze wczesnych dni Powstania. Wreszcie widziałam go takim, jakim nie zdążyłam zobaczyć za życia, posiwiąłego, wycieńzonego chorobą.

— Czy pamiętasz piżamę? — przerwałam.

— Piżamę?

— Proszę odpowiedzieć, pani Mirsky — poparł mnie Benton. — To bardzo ważne.

— Była niebieska... — zamyśliła się. — Nie, chyba szaro — niebieska w pasy, miała oderwaną lewą kieszeń.

— Zaraz, to jak właściwie wygląda tam teraz pana ojciec? — nie wytrzymała Dolores.

— Nie ma „teraz”. Jest wieczność. A w niej wszyscy są tacy, jakimi w danym momencie chcemy ich widzieć.

— Czy mógłbym zadać pytanie? — odezwał się milczący dotąd Ferguson. — A co z sądem po śmierci; w świetle tego, o czym pani mówi, wynika, że nie ma żadnego sądu, podziału na zbawionych i potępionych?

— Jest! — dziwny błysk przelatuje przez pobladłą twarz ciotki. — Ten świat cieni składa się ze stref. Nie ma tam wprawdzie kierunków w naszym rozumieniu, podziału na dół czy górę, ale odczuwa się, jak mówiłam, coś na kształt obszarów dobra i zła. I kiedy zbliżamy się do ludzi z Tamtej Strony, to odbieramy ich jako radosnych lub smutnych. Lekkich i wolnych albo przyciśniętych brzemieniem własnych win.

— A więc jednak!

— Tak, czułam jeszcze, że są gorsze kręgi, pełne niepokoju i rozpacz.

— I męki? — dopytywał się anestezjolog.

— Chyba raczej zła, które zmarli sami w ciągu życia zgromadzili w sobie. Był kiedyś taki chłopak na naszym podwórku, Czarek. Jako dziewczynka bałam się go i nienawidziłam równocześnie; zabijał bezpańskie koty, oblewając je terpentyną, później został bandytą i zginął w bandyckich porachunkach.

— I teraz zobaczyła go pani?

— Byłam ciekawa jego losu, ale cofnęłam się, zanim się zbliżył. Znajdował się jeszcze daleko, a nie macie pojęcia, ile zbliżało się wraz z nim żalu i rozpacz. Ponad moje siły.

Słuchający milczeli. Ferguson nerwowym gestem zapalił papierosa.

*

Tym razem odpytywanie ciotki i rejestrowanie jej relacji zajęło nam czas do drugiej w nocy. Benton wydawał się bardzo zadowolony. Jego zdaniem, ciocia robiła postępy.

— Marzę o tym, żebyśmy w trakcie telewizyjnej transmisji mogli na bieżąco testować pani możliwości bez przerywania kontaktu.

— Postaram się, panie doktorze.

Mały sprawdzian zafundowała nam już podczas następnej sesji. Tuż przed uśpieniem Crebs pokazał Reginie na odtwarzaczu wideo skopiowany z telewizji obraz zwłok młodego mężczyzny zastrzelonego nad ranem w Memphis przez nieznaną sprawców.

— Może uda się pani go znaleźć. Porozmawiać o okolicznościach zbrodni.

Na efekt przyszło nam czekać niespełna dziesięć minut.

— Było dwóch pieprzonych zabójców — przemówiła nieoczekiwanie ciotka charakterystycznym dialektem z Tennessee. — Kolumbijczyk Lopez i biały dealer narkotyków Simpson, bywalec kafejki Cacadoo. Ten zabity chłopak, Dick, chciał ich przekręcić na dziesięć kawałków. — Tu naraz głos stał się młodszy, bardziej płaczliwy. — Cholernie głupio zrobiłem! A ta suka Peg po prostu mnie wystawiła!

Trudno opisać zadowolenie Bentona. Możliwości demonstrowane przez Reginę przerastały jego największe oczekiwania. A przecież to był dopiero początek. Kątem oka popatrzyłem na Maksa. Wydawał się być zaniepokojony. Ja też czułem, że idzie coś za dobrze.

6.

Nie można dwa razy napluć do tej samej rzeki, chyba że akurat zamarzała.

Ekipa telewizyjna z Salt Lake City pojawiła się późnym popołudniem w przeddzień przewidywanej transmisji. Z wozu pokrytego reklamami wynurzyło się trzech zblazowanych typulów o cwaniackim spojrzeniu. Akustyk, oświetleniowiec i kamerzysta. Na liczniejszy skład ekipy nie zgodził się doktor Benton, ale Gloria stwierdziła, że to absolutnie wystarczy.

— Do transmisji wykorzystamy anteny z waszej farmy — powiedział Tim Tedesco, barczysty blondyn w skórzanej kamizelce, który miał być nie tylko operatorem, ale pełnić również obowiązki reżysera zaplanowanego spektaklu. Niezwykle pewny siebie i nonszalancki, nie wyglądał mi na faceta, z którym chętnie dzieliłbym garderobę lub, co gorsza, przyjaciółkę. Nie miał też najłatwiejszego charakteru — z miejsca pożarł się z Gordonem, gdy ochroniarz zaczął rekwirować telefony komórkowe należące do ekipy.

— Na farmie obowiązuje zasada, że wszystkie rozmowy są łączone przez naszą centralę.

— Mam w dupie wasze zarządzenia! — warknął Tim i wykonał obraźliwy gest palcem.

— W takim razie będę ci musiał wbić w tę dupę twoją komórkę, przyjacielu — rzekł Gordon i zrobił krok naprzód.

— Daj spokój, Tim! — do rozmowy wmieszała się Gloria. — Mówiłam ci, że takie są tu zasady.

Kolejny konflikt wybuchł, kiedy ze skrzynki akustyka drugi z ochroniarzy, czarnoskóry Smiles, wydułbał pistolet z pełnym magazynkiem.

— Nigdy się z nim nie rozstaję! — wyszczerzył zęby Rod Visconti, dźwiękowiec.

— Otrzyma go pan, opuszczając Five Oaks' Farm — uprzejmie zakomunikował Smiles.

Na szczęście żółtoskóry oświetleniowiec, Wa Nang, zachował się tak, jak oczekiwali ochroniarze doktora Bentona — mówił mało, nie usiłował przemycić broni ani środków łączności i spełniał wszelkie polecenia z typową uprzejmością nieprzeniknionego Azjaty.

Po obejrzeniu salonu i biblioteki, z których miano prowadzić transmisję, telewizyjny team przeniósł się na wieżę i zajął antenami, czego pierwszym efektem było wyłączenie w całej rezydencji radia i telewizji.

— To niestety konieczne, jeśli jutro chcemy mieć czystą i precyzyjną transmisję — stwierdził Rod Visconti.

— I tak praktycznie nie oglądamy tutaj telewizji — powiedziała Gloria. — Niczego tu nie oglądamy — dodała, opuszczając wzrok mniej więcej na wysokość rozporoka operatora.

Po zakończeniu przygotowań wszyscy trzej fachowcy zostali wyproszeni do pawilonu nad garażami, gdzie przygotowano dla nich nocleg. Tedesco oczywiście potraktował to jak kolejną zniewagę, ale tylko prychnął gniewnie. Za to Gordon przyjął zniknięcie ekipy z wyraźnym westchnieniem ulgi.

— Nie lubię, jak za dużo ludzi kręci się po domu — mruknął do mnie, kiedy zamknięto już drzwi zewnętrzne.

Tuż przed zmierzchem zaanonsował się telefonicznie kolejny gość — sam Jimmy

Carlton — jego helikopter znajdował się już nad Tenton Park.

— Wylądujcie nad brzegiem jeziora — poleciał doktor.

— A co, na farmie brak miejsca? — zdziwił się gwiazdor.

— Gloria mówiła mi, że macie rozległe trawniki.

— Powiedziałem, wylądujcie nad jeziorem przy pomocy!

— Okay, okay!

Wyglądało to trochę na przygotowania twierdzy do długotrwałego oblężenia.

— Czego się tak boicie? Ataku komandosów? — zapytałem Crebsa.

— Strzeżonego pan Bóg strzeże — odparł dziobaty naukowiec. — Nie żyjemy w próżni, pół roku temu wykryliśmy, że nowo przyjęty ochroniarz ukrywa telefon komórkowy i porozumiewa się z kimś z zewnątrz.

— Został zwolniony?

— Można to tak nazwać. Przesłuchiwaaliśmy go dość długo i... — przez chwilę szukał właściwego słowa — trochę boleśnie. Nikogo nie sypnął i próbując wykorzystać chwilę naszej nieuwagi, oblał mnie kwasem i rzucił się do ucieczki. Prawie mu się udało...

— Prawie?

— Ferguson położył go jednym strzałem ze sztucera w połowie trawnika.

— Ferguson? — Na moment stanęła mi przed oczami okrągłutka twarz naukowca.

— Taki z niego zawodnik?

— W młodości służył w Wietnamie. A celne oko zachował do dziś.

— Były jeszcze potem jakieś inne incydenty?

— Parokrotnie w lesie znajdowaliśmy elektroniczne instalacje podsłuchowe. Wie pan, mikrofony nastawione na rezonans szyb i tym podobne. Ale nic nie mogli podsłuchać. Wygląd Gordona może pana zmylić, ot, mięśniak! — Tu zerknął w stronę ochroniarza, który wniósł właśnie na taras jakąś podłużną skrzynkę. — W istocie jest bardzo zdolnym specjalistą od wszelkiego rodzaju aparatury. Dzięki niemu jesteśmy tu, można powiedzieć, elektronicznie impregnowani. Rzecz jasna, nie zwalnia nas to z obowiązku zachowania czujności. Ostatni incydent zdarzył się dwa tygodnie temu. Ktoś usiłował napaść na mikrobus, którym nasza kucharka, pani Weiss, i Smiles wracali z zakupów. Na równej drodze pojawiła się zapora z przewróconego drzewa. Obok w krzakach czaili się jacyś faceci. Ted, nie zwalniając, jakimś cudem zdołał ją staranować. Nie ośmielili się go gonić.

— To akurat mógł być przypadek.

— Teoretycznie. W każdym razie te przypadki wcale nie przygnębiają Edwina.

— Nie rozumiem. Ktoś nie szczędzi sił i środków, żeby poznać wasze dokonania, a doktor jest zadowolony...?

— Tak, bo to oznacza, że nie ma żadnego szpiega wewnątrz.

— Jest tego pewien? — Już otwierałem usta, żeby opowiedzieć o nocnym gościu, kiedy zbliżył się Gordon z długą rurą w ręku.

— Jesteśmy gotowi na przyjęcie każdego — powiedział.

— Co to jest?

— Bazuki nie widziałeś?! A mamy tu jeszcze zainstalowany karabin maszynowy...

Tak na wszelki wypadek.

Carlton okazał się, jak na hollywoodzką gwiazdę, nadspodziewanie posłuszny; jego śmigłowiec tylko raz przeleciał ponad farmą i usiadł miękko na wyznaczonym miejscu opodal molo. Gordon podał mi lornetkę. Mogłem zobaczyć, jak Carlton całuje się z Gloria, potem ściska dłoń Maksa, drugą ręką poklepując go po plecach, i wspólnie pieszo ruszają w stronę furtki. Równocześnie Smiles wskoczył do śmigłowca, przejął stery z rąk Carltonowego pilota, poderwał maszynę i po chwili posadził ją na trawniku przed domem.

— Ted służył kiedyś w marines — wyjaśnił Gordon. — A zatem wszystko jest w porządku. Możemy zejść na dół.

*

W porównaniu z wizerunkiem ukształtowanym przez telewizję, gdzie grywał zazwyczaj mocnych facetów, Jimmy Carlton wydał mi się znacznie mniejszy, drobniejszy i zdecydowanie bardziej pedalski. Kolczyk w uchu, apaszka na szyi i podmalowane oczy napełniły mnie niesmakiem, a kiedy jeszcze uszczypnął w policzek Maksa i podał mi rękę, miękką i wilgotną jak pstrąg z wody, poczułem obrzydzenie zdecydowanie nie pasujące do zasad *political correctness*.

Zaraz za Jimmym do domu wszedł jego pilot, niski, krótkoszyi, z wystającymi kośćmi policzkowymi.

— To jest mój drogi Aleks — przedstawił go Carlton. — Kochany chłopak, tylko niezbyt rozmowny, bo niestety niemowa.

Na końcu języka miałem pytanie, jak niemowa mógł otrzymać licencję pilota, ale widocznie w Ameryce, zwłaszcza w dobie gadających komputerów, wszystko jest do załatwienia.

— Przygotowaliśmy dla niego pokój w pawilonie zewnętrznym — poinformował Smiles.

— Z pewnością nie obrazi się z tego powodu... — rzekł Jimmy. — Ale, Glorio, nie przedstawiłaś mi jeszcze twojego znakomitego teścia.

Pojawił się Benton. Wybitny naukowiec był nieco zmieszany obecnością telewizyjnego idola, ale ten szybko zniwelował barierę, zanim zdołała powstać.

— Jestem Jimmy, a ty, Edwin...?

— Używam częściej drugiego imienia Olivier.

— W porządku, Ollie... A więc jutro twoja premiera w roli ojca pana młodego. Dobra rólka, chociaż mała, grałem coś takiego chyba ze dwa razy. — Tu zwrócił się do Glorii: — Będą twoi starszuchowie?

Nieprzyjemny grymas przemknął przez twarz panny Hooverton.

— Zapomniałeś Jimmy, że oboje nie żyją.

— Naturalnie, naturalnie. Strasznie cię przepraszam, ale pamiętaj, co ci zawsze powtarzałem: aktorzy mają pamięć wróbelka. Zapominają rolę natychmiast po jej odegraniu.

— Wołałabym, żebyś takie rzeczy pamiętał!

*

Miałem nadzieję, że na kolacji pojawi się ciocia Regina i znajdę okazję, żeby porozmawiać z nią na osobności. Pomyliłem się, z tylko sobie znanych powodów doktor Benton postanowił ukryć jej obecność przed gośćmi. Prawdopodobnie też dlatego, prezentując mnie Carltonowi, przedstawił mnie jako kolegę po fachu: „Doktor Uansky, mój gość z Europy”. Również wznosząc bezalkoholowy toast: „Za jutrzejszy dzień, który rozpocznie nową epokę”, zachował daleko posuniętą ostrożność. Czyżby w wigilię światowej premiery swego odkrycia przedsięwziął dodatkowe środki ostrożności?

Chyba coś w tym było, zaraz po kolacji odwołał mnie bowiem Ferguson. Tęgawy naukowiec tym razem nie uśmiechał się, robił raczej wrażenie zakłopotanego.

— Mielibyśmy z Oliem małą prośbę do pana, Andrew...

— Tak, słucham?

— Doktor zarządził dodatkowe dyżury nocne. Oprócz Gordona i Smilesa, stale ma nam towarzyszyć jeden z domowników. Czy nie zechciałby się pan przyłączyć do tej akcji?

— Oczywiście. Jestem zdumiony zaufaniem, jakie okazujecie przypadkowemu przybyszowi.

— Nie mamy ludzi — odparł prostodusznie. — Zresztą czuwać będą fachowcy, a my będziemy jedynie im asystować, tak na wszelki wypadek, gdyby ktoś próbował ich uśpić.

Postanowiłem dłużej niczego nie zatajać i opowiedziałem mu o zdarzeniach z pierwszej nocy. Ferguson dłuższą chwilę pocierał swoje rozległe czoło.

— A więc mają kogoś w środku — sapnął wreszcie. — Uśpili Gordona. No, no! W sumie jednak jest w tym pewien element pocieszający.

— Jaki?

— Nie mają zbyt dużej swobody ruchów. Poza tym ktokolwiek by to był, nie posiada też nadajnika, skoro chcąc nawiązać kontakt, musi wychodzić z rezydencji.

— Ma pan jakieś podejrzenia, kto to mógł być?

— Niestety nie. Jeśli mamy tu jakiegoś szpiega, to jest on głęboko zakonspirowany. Na szczęście po jutrzejszej transmisji wynalazek stanie się własnością publiczną i nie trzeba będzie aż tak go chronić.

Grafik dyżurów przedstawiał się następująco: od 22.00 do 24.00 miał towarzyszyć Gordonowi Maks, następnie dwie godziny ja, od 2.00 do 4.00 Crebs, wreszcie od 4.00 do 6.00 Ferguson. Punktualnie o 6.00 miał zostać obudzony doktor Benton, który zamierzał zorganizować jeszcze jedną krótką transcendentalną wycieczkę Reginy Mir — skiej, taką próbę generalną.

— Pana jednak ta pobudka nie dotyczy. Tłumaczeniem zajmie się Dolores — dorzucił pocieszająco Ferguson.

— Ale czego się właściwie obawiacie, szturm na farmę? — zapytałem.

— Szturm raczej nie, doktor załatwił z szeryfem wzmożone kontrolowanie okolicznych dróg. Mamy też kontakt ze strażą parkową i stałą łączność z Rock Springs. Smiles ma tam kumpli wśród kontrolerów lotów i gdyby ktoś nieproszony chciał nam złożyć wizytę drogą powietrzną, zostaniemy uprzedzeni.

— W takim razie, co może wchodzić w grę?

— Nie mam pojęcia, najpewniej mały sabotaż — stwierdził. Ale nie wyglądał na przerażonego.

*

Nie powiem, żeby ta opinia bardzo mnie uspokoiła. W oczekiwaniu na swoją wartość spałem źle, a gdy na moment zapadłem w głębszy sen, pojawiły się koszmary. Zjawy nie miały twarzy, ale czułem ich obecność. Ich krąg gęstniał i nagle przebił go głos mojej ciotki.

— Musimy uciekać, Andrzejku! Najwyższy czas, a ty ciągle nie podjąłeś żadnych przygotowań.

Chciałem wytłumaczyć swoją opieszałość, kiedy dostrzegłem, że nie jest to wcale moja ciotka, tylko znów mała tajemnicza Cyganeczka.

— O co ci chodzi, dziecko?!

Nie odpowiedziała, bo nagle zaszła zmiana w scenach mojego widzenia. Targany wiatrem stałem na wieży ponad dachami rezydencji i szykowałem się do lotu. Miałem skrzydła, wielkie białe skrzydła Ikara, do których, co za ironia, podoczepiano maleńkie dzwoneczki, toteż każdemu poruszeniu towarzyszył rozdzierający dźwięk.

A ja doskonale wiedziałem, że muszę odlecieć po cichu. Starłem się więc rozłożyć skrzydła wolniutko, precyzyjnie, jak prymus średniowiecznej szkółki złodziejskiej.

— Dzyń, dzyń, dzyń!

— Jest punkt dwunasta — usłyszałem głos Maksa Bentona. — Zdaje się, że zamawiałeś budzenie, Andrew.

*

Cały dom pogrążony był w uspieniu, podobne wrażenie sprawiało jego otoczenie. Jak twierdził Gordon, światła w pawilonie, w którym nocowała ekipa telewizyjna i pilot, grzecznie pogasty koło północy. Obok Anny Karpickiej dyżurowała osobiście Rebeka Sanders. Ciocia spała w separacie obok. Korciło mnie, żeby zajrzeć do niej i pogadać, ale wyrażenie na to zgody nie leżało w kompetencjach ochroniarza. Mogłem jedynie żywić nadzieję, że jutro wszystko dobrze się skończy, a obawy cioci okażą się bezzasadne. Około pierwszej Gordon zaczął użalać się na swój żołądek, a dziesięć minut potem zniknął w pobliskim kibelku, zostawiając mnie w dyspozytorni samego.

Któż nie skorzystałby z takiej gratki; nałożyłem słuchawkę na jedno ucho, drugim strzygąc czujnie, czy ochroniarz nie wraca, i włączyłem podgląd sekcji trzeciej, opatrzonej napisem: „Private”. Odnalazłem jedenastkę — pokój Dolores. Miałem nadzieję, że śpi sama i w dodatku nago. Nie sprawdziło się ani jedno, ani drugie, pokój pielęgniarki świecił pustkami. Kolejno przeskakiwałem apartamenty. I naraz dostrzegłem dwa nagie ciała w trakcie intensywnej gry miłosnej. Zerknąłem na numer. Dwójka — apartament Glorii Hooverton. Uśmiechnąłem się i nie chcąc podglądać zabaw przedmażeńskich, już zamierzałem zmienić obraz, gdy... Do licha! Maks strzygł się na języka, natomiast obie postacie igrające w pozycji 69 miały długie włosy. Dwie kobiety, to byłaby niespodzianka! Poprawiłem ostrość, zrobiłem zbliżenie. O, cholera! — partnerem nienasyconej Glorii był Jimmy Carlton. Jak na homoseksualistę, gwiazdor zachowywał się zaskakująco normalnie, jeszcze chwila, a posiadał ją zgoła „po Bożemu”.

— Ach tak, tak, rżnij mnie, Rudi! — namiętny szept sączył się z głośniczka. Następnego dnia dziwiłem się, jak mogłem przegapić fakt, że Gloria mówi Jimmy’mu: „Rudi”, ale wówczas przepajał mnie niesmak. Czyżby ambicją panny Hooverton było zaliczenie wszystkich mężczyzn, jacy stanęli na jej drodze? I dlaczego Jimmy manifestował swoje gejostwo. Dla poklasku? Z wyczucia obyczajowej poprawności?

Przeszedłem na trójkę...

— Błagam cię, Maks, nie możesz tego zrobić!!! — dobiegł mnie głos pełen bólu. A więc i Benton junior tej nocy nie spędzał sam.

— Uspokój się, Dolores. Niczego ci nie obiecywałem.

— Mówiłeś, że mnie kochasz.

— Nie wmawiaj mi, prosiłem cię zawsze, byś traktowała to jak wakacyjny flirt.

— Ale ja nie mogę...

— Bardzo mi przykro.

— Ależ Maks, zrozum, tu już nawet nie chodzi o nas. Tylko o ciebie. Co ty właściwie o niej wiesz? Znacie się zaledwie trzy miesiące. Imponuje ci jako seks gwiazda, ale czy to wystarczający powód, żeby się żenić?

— Wiesz, że ślub jest tylko pretekstem...

— Ale zostanie zawarty naprawdę. Z kobietą, która dymała się z połową mieszkańców stanu Utah.

— Nie przesadzaj!

— Dobra. Tylko jedną czwartą. Ale zaręczam ci, będzie to robiła dalej.
— Na to nie pozwolę!
— Jesteś ślepy jak kret w worku. Czy ty nie widzisz, co ona robi z mężczyznami? Wiem, że spała z Crebsem, próbowała uwieść tego Polaka, a Carlton... widziałeś te ich spojżenia.
— Dawny sentyment, przed laty chodzili ze sobą, ale teraz Jimmy to stuprocentowy gej. Najlepiej będzie, jeśli pójdziesz już spać, Dolores.
— Pozwól mi zostać ze sobą chociaż przez dzisiejszą noc...
Szum spuszczonej wody przerwał moje podglądactwo. Błyskawicznie wyłączyłem sekcję prywatną.
— No, trochę lepiej — powiedział Gordon, wycierając ręce. — Czym ja się mogłem tak struć?

*

Nie dane było mi pospać tej nocy. Zaraz po siódmej obudził mnie Ferguson. Blady, najwyraźniej niewyspany.

— Jesteś potrzebny jako tłumacz. Szybko.
— Miałem być zwolniony z uczestnictwa w porannej sesji. Czyżby wasza mała Ibanez nie dawała rady?
Szczęki naukowca drgnęły nerwowo:
— Dolores popełniła samobójstwo!
Jakby piorun we mnie strzelił.
— Nie żyje?
— Miała więcej szczęścia niż rozumu. Zażyła wprawdzie mnóstwo środków nasennych, ale potem zafundowała sobie pożegnalnego papierosa i zasnęła z nim w ręku. Zaraz zatliła się pościel. Dym uruchomił czujnik... Z Rebeką w porę wypłukaliśmy jej żołądek.
— A więc będzie żyć?!
— Oczywiście. Tylko na razie śpi. I prawdopodobnie ominie ją cała uroczystość ślubna.

Może to i lepiej dla niej, pomyślałem, przeklinając w duchu Glorię.

W bibliotece wszystko było przygotowane do seansu. Usunięto kilka regałów i pudeł z książkami. Przeniesiono większość aparatury z laboratorium. Chmurny Benton przywitał mnie skinieniem głowy — mogliśmy zaczynać.

Próba generalna polegała na licznych sprawdzianach możliwości efektywnego porozumienia z Drugą Stroną. Benton za pomocą telefaksu otrzymał z biura szeryfa informacje o zgonach i rozmaitych incydentach z ostatniej doby, na wydrukach znajdowały się liczne fotografie osób zaginionych. Jeśli żyły, bliźniaczki winny je odnaleźć, jeśli nie — porozumieć się z ich duszami.

— Parę spraw wolałbym wypróbować zawczasu. Nie możemy sobie pozwolić na kompromitację. — Doktor Edwin nerwowo gryzł cygaro. — Bierzmy się do roboty!

Na pierwszy ogień poszła zagadka trzynastoletniego Kevina Stone'a, który trzy dni temu zaginął w Kansas City. Siostry odnalazły go dość łatwo, żądny przygód wyrostek dostał się do podziemi starej, zamkniętej fabryki maszyn do pisania i skręcił nogę w szybie windy. Daremnie wzywał pomocy. Ledwie udało mu się doczołgać do jakiegoś kranu i dzięki temu nie brakowało mu wody.

— Trzeba szybko zawiadomić policję w Kansas, gdzie mają szukać chłopaka — zawołałem.

— Tych parę godzin go nie zbawi, a gdy ogłosimy odkrycie na żywo, jaki to będzie

telewizyjny hit, rewelacja — wtrącała się, tym razem obecna przy doświadczeniu Gloria Hooverton. Popatrzyłem na Bentona...

— Następna sprawa — rzucił bez komentarza. — Zaginiona dwunastoletnia Betty Leider z internatu w Detroit.

Bliźniaczki przez dłuższą chwilę poszukiwały dziewczynki. Potem usłyszeliśmy płacz. Zadrżałem. Za pośrednictwem Reginy Mirskiej docierał do nas rozpaczliwy szloch. Betty nie żyła od pięciu godzin — poprzedniego wieczora, gdy dłużej niż inne koleżanki pozostała pod prysznicami, pracownik kotłowni, niejaki Stubbs, ogłuszył ją i zaciągnął do swojej kanciapy. Kilkakrotnie zgwałcił dziewczynkę, poranił, na koniec udusił i poćwiartowawszy, spalił w staromodnym piecu centralnego ogrzewania.

Kolejne incydenty były nie mniej dramatyczne. A siostronom nie sprawiało najmniejszej trudności rozwikływanie tajemnic. Słuchaliśmy wstrząśnięci. Ja byłem przejęty podwójnie. Pomiedzy zdania stanowiące relacje z niebytu ciotka wtrącała informacje przeznaczone bezpośrednio dla mnie. Przekaz brzmiał mniej więcej tak:

— Bądź gotów, bratanku. Musimy uciekać. Podczas ceremonii. Mnóstwo złych ludzi. Stygmaty śmierci. Wielu zginie!

W ten sam sposób zapytałem ciotkę, komu w tym domu mogę zaufać.

— Biały ochroniarz, czarny ochroniarz, pielęgniarka... Naraz poczułem na sobie czujny wzrok Crebsa.

— Czy tłumaczysz dzisiaj dokładnie, Andrew? — zapytał.

— Staram się.

— Wydaję mi się, że dokonałeś jakiejś selekcji w tekście.

— Wszyscy jesteśmy dzisiaj trochę podenerwowani, ale jeśli czasem pomnę jakieś słowo, to dlatego, że dbam bardziej o to, żeby przekazać sens i wymowę przekazu niż tekst słowo w słowo.

— Nie bądź upierdliwy, Barney — nieoczekiwanie w sukurs przyszedł mi sam doktor. — Tłumacz dalej, Andrew.

Mechanicznie dokonywałem tłumaczenia, jednocześnie nie przestając kontynuować tajnego wątku. Zdawałem sobie sprawę, że stąпам po niesłychanie kruchym lodzie. Nie miałem jednak wyjścia.

— Czy ciocia wie, co tu się dzieje?

— Transmisja. Niebezpieczeństwo blisko. Sprawdź transmisję. Uważaj na żywego trupa...

Dobre sobie, ciotka posługując się jakimiś szaradami, wydawała mi polecenia, nie precyzując, co takiego miałbym sprawdzać. Rozumiałem, że z powodów oczywistych nie mogła wymienić nazwisk, przez co przekaz był zbyt enigmatyczny. Tymczasem pogarszające się zapisy stanu Karpickiej nakazywały zakończyć seans. Ostatnią rzeczą, której mógł życzyć sobie Benton, byłaby niedyspozycja pacjentek.

Starsza pani dostała zastrzyk wzmacniający, a Anna jakąś ekstra kroplówkę, my zaś wyszliśmy z biblioteki. Zgodnie z sugestią ciotki czekałem na sposobną chwilę, aby wyciągnąć kóregoś z ochroniarzy na chwilę rozmowy. Tylko właściwie co miałem im powiedzieć, przed czym ostrzec? Co niebezpiecznego kryło się w transmisji? Kogo określiła mianem żywego trupa?

Pół godziny po zakończeniu seansu wrócił Jimmy Carlton, kórego na czas badań Maks wyprowadził na długi spacer po posiadłości. Po kolejnej godzinie klakson przy bramie zaanonsował przybycie pastora.

Wyszliśmy na schodki, zamierzałem właśnie odwołać na bok Gordona, kiedy dobiegł mnie zaskoczony głos gospodarza.

— Przecież to nie jest ojciec O'Mallory. Co to znaczy?

— Zapomniałam ci powiedzieć, Ollie — uspokoiła go Gloria. — Pastor O'Mallory dzwonił wczoraj, przepraszając, że nie będzie mógł wziąć udziału w uroczystości,

chyba dopadły go korzonki. W zastępstwie wydelegował ojca Hamiltona.

George Hamilton był sympatycznym Mulatem, elokwentnym i mimo młodego wieku kompletnie łysym. Bez większego podniecenia przyjął informację, że wystąpi w ceremonii transmitowanej przez telewizję.

— Zaczynamy za kwadrans — powiedziała Gloria, spoglądając na zegarek. W białej sukni obszytej koronką wyglądała na wcielenie niewinności. Wszyscy weszli do domu, a ja widząc, że Gordon zniknął w skrzydle gospodarczym, pobiegłem za nim.

Dogoniłem go w kuchni, gdzie właśnie pocieszał rozżaloną kucharkę.

— Kto mi to zrobił, kto to zrobił?! — narzekła kobieta. — Zniszczyć takie nowe radio...

— A co się stało? — zapytałem, podchodząc bliżej.

— Ktoś w nocy dostał się do kuchni, strącił, a następnie doszczętnie rozdeptał tranzystorowy odbiornik Melindy — powiedział Gordon.

— Może radio samo spadło?

— I samo się rozgniotło tak, że wygląda, jakby przejechał po nim czołg? — ochroniarz wskazał na smutne resztki leżące na stole.

Odciągnąłem go na bok do pozbawionej okien spiżarni.

— Czy tutaj może nas ktoś podsłuchać, Gordon?

— Podsłuchać? — Zrobił wielkie oczy, ale widząc po mojej minie, że nie żartuję, odpowiedział: — Nie, w kuchni nie ma ani kamer, ani podsłuchu.

— To dobrze. Musisz mnie wysłuchać. Dzieje się tu coś niedobrego.

— To znaczy...

W paru słowach streściłem mu ostrzeżenie przekazane przez ciotkę. Nie wydawał się bagatelizować jej niepokoju.

— Wydaje mi się — podsumowałem — że w jakiś sposób te wszystkie fakty są ze sobą powiązane: ostrzeżenia ciotki, fakt, że przybył inny pastor i że zniszczono jedyne radio niezależne od kabla satelitarnego, który został wyłączony na czas transmisji...

— Ale jaki miałyby to sens? Gdyby chciano nas pozbawić komunikacji ze światem, uszkodzono by centralkę. A ta działa! Zresztą doktor ma rezerwową radiostację.

— Może chodzi o coś odwrotnego: z jakiegoś powodu chce się nas odseparować od informacji ze świata.

— Ciekawie kombinujesz.

— Może by gdzieś zadzwonić, spytać się, czy nie zdarzyło się ostatnio coś istotnego.

— Mam inny pomysł. Przecież zostały jeszcze radia w samochodach w naszym garażu.

Podeszliśmy do drzwi, Gordon przychylił usta do kratki. „Gordon. Dzień sukcesu” — wyrecytował. Po ułamku sekundy szczęknął zamek i drzwi stanęły otworem.

Wybraliśmy cadillaca doktora Crebsa i wskoczyliśmy do środka. Gordon przeskakiwał z kanału na kanał. Nie szukaliśmy długo, trafiliśmy na wiadomości podawane przez jakąś stację z Montany:

Jak donoszą z Miami, po trwających całą noc poszukiwaniach odnaleziono wreszcie ciało Jimmy’ego Carltona, którego awionetka wczoraj po południu rozbiła się, podchodząc do lądowania na lotnisku Georgetown na Wielkim Kajmanie...

— Ale przecież Jimmy Carlton jest tu z nami! — wykrztusił Gordon.

Naraz rozjaśniło mi się w głowie.

— A może to nie jest Jimmy Carlton, tylko jego dubler o imieniu, powiedzmy, Rudi, może ekipa wcale nie zamierza niczego transmitować na żywo, a jedynie nagra eksperyment...

Rozległ się szcęk przeładowywanej broni.
— Dobrze kombinujecie, chłopcy — powiedział ktoś z cudzoziemskim akcentem.
— Aż szkoda, że nie pokombinujecie dalej. I śmieszno, i straszno!
Odwróciliśmy głowy. Niemowa Aleks stał z uzi w dłoni i mierząc w nas,
uśmiechał się złośliwie.

7.

Nie ma żartów ze śmiercią, nawet jeśli szlag ma trafić wesółka.

Uderzenie paraliżującego strachu wyzwoliło we mnie odruch strusia; gdyby gdzieś był piasek, z pewnością próbowałbym schować weń głowę, a z braku takowego tylko zacisnąłem powieki. Śmierć, koniec, kres! Jednak zamiast nieuchronnego strzału usłyszałem spokojny głos Gordona:

— Chcesz strzelać bez tłumika, kolego? Świetnie, zaalarmujesz wszystkich, powiedz lepiej, skąd zdobyłeś ten stary automat, brachu. Od Glorii?

Napastnik zawahał się.

— Wyłażcie z wozu z podniesionymi rękami. I nie próbujcie żadnych numerów! — warknął.

— To już jakaś rozsądniejsza propozycja — powiedział ochroniarz, wychodząc z samochodu.

W ręku Aleksa, czy raczej, sądząc po akcencie, Aleksieja, błysnął nóż. Najwyraźniej postanowił załatwić nas bezszmerowo. Gordon odepchnął mnie w prawo, a sam skoczył w lewo. I niczym celnie trafione kręgle, poturlaliśmy się między samochodami. Najemnik zaklął po rosyjsku. — Wiej, Andrew! — krzyknął Gordon. Rzuciłem się w stronę wlotu podziemnego korytarza, który, jak mniemałem, powinien prowadzić do laboratorium. Wbiegając w mroczną czeluść chodnika, usłyszałem odgłosy szamotaniny. Gdy przystanąłem i odwróciłem głowę, zobaczyłem, jak broń wybita kopniakiem wylatuje z ręki najemnika. Cios bykiem odrzucił Aleksa daleko do tyłu. Brawo, Gordon. Niestety, mieliśmy pecha. Kiedy niedźwiedziowaty ochroniarz skoczył, by ostatecznie rozprawić się z napastnikiem, poślizgnął się na plamie oleju i runął na beton... Nie czekałem na wynik walki, zwiewałem.

Daleko jednak nie uciekłem, zaraz za zakrętem korytarza nadziałem się na zagradzające drogę stalowe drzwi pozbawione klamki. Uderzyłem w nie z rozpędu, ani drgnęły. Z tyłu doleciał mnie śmiertelny charkot. Pilot musiał mieć za cholewę drugi nóż i tym razem nie chybił. Gordon zginął albo był ranny, a ja miałem odciętą drogę ucieczki.

Pod palcami wyczułem sitko mikrofonu, kolejne drzwi otwierane głosem?

— Dzień sukcesu — rzuciłem hasło.

Żadnej reakcji. Gorączkowo usiłowałem sobie przypomnieć dokładne brzmienie basu ochroniarza.

— Gordon. Dzień sukcesu — powiedziałem zdecydowanie. I zdarzył się cud, ozwał się srebrzysty brzęczyk, zwolniły jakieś blokady, drzwi stanęły otworem. Skoczyłem do przodu i zatrzasnąłem je przed nosem nadbiegającego Aleksieja. Przecwałowałem kilkadziesiąt metrów dzielących pawilon od głównego budynku. Kolejne pancerne drzwi.

— Gordon. Dzień sukcesu! Otwarte!

Laboratorium ziało pustką. Większość aparatury przeniesiono już do biblioteki. Zabrano tam też Annę Karpicką. Na włączonym telewizorze w gabinecie analitycznym widziałem czołówkę UTAH 2 TV. Dranie! Udając, że rozpoczynają transmisję na żywo, puszczała nam spreparowaną taśmę. Naraz cały plan stał się jasny. Banda, z którą współpracowała Gloria Hooverton, zamierzała wydrzeć doktorowi Bentonowi jego tajemnicę. Tylko w jakim celu i na czyje zlecenie?!

Dobiegło mnie pociągnięcie nosem. Uchyliłem drzwi do pokoju pielęgniarki. Na

kozetce siedziała zapłakana Dolores.

— Jak się czujesz? — zapytałem.

— A, to pan Andrzej... Nie na górze? — zdziwiła się. — Przecież zaraz zaczyna się ceremonia. — Słowo „ślub” najwidoczniej nie chciało jej przejść przez usta.

W paru zdaniach scharakteryzowałem jej sytuację. Widziałem, jak zażawione oczy dziewczyny robią się coraz większe ze zdumienia, potem ze strachu. Ale nie zadawała zbędnych pytań.

— Zawiadomię Smileasa — powiedziała krótko.

Nacisnęła przycisk interkomu, ale nikt nie odbierał. Licho wie, co działo się w dyżurce.

— Czy możemy się tam dostać, omijając główny salon? — zapytałem.

— Jest przejście awaryjne... — Otworzyła jakąś szafkę i naszym oczom ukazał się wąski szyb. — Tędy.

— Dokąd to prowadzi?

— Do dyżurki.

— Świetnie.

Kiedy dotarliśmy do dyspozytorni, zrozumieliśmy, dlaczego ochroniarz nie odpowiadał na nasze wezwania. Leżał martwy na tablicy rozdzielczej, a jego krew rozlewała się szeroką kałużą. W wytrzeszczonych oczach zastygł wyraz zdumienia i niedowierzania. Ktoś, kogo nigdy by o to nie podejrzewał, z bliska strzelił mu prosto w twarz. Z jeszcze ciepłych palców Smileasa Dolores wydobyła fragment białej falbanki pachnącej perfumami anais.

— Załatwiła go ta kurwa! — zawołała. Ja całą uwagę skierowałem na monitory. W salonie zgromadzili się już wszyscy. Pastor, państwo młodzi, Benton i Rebeka, nieboszczyk Jimmy Carlton (czy raczej jego dubler), Crebs i Ferguson. Operator wycelował kamerę w stronę podium. Akustyk i oświetleniowiec, przyczajeni, pozostawali z tyłu. Jeszcze chwila, a w uchylonych drzwiach zobaczyłem Aleksa. Jedną rękę ukrywał w kieszeni, z rozbitego nosa sączyła się krew, ale na twarzy dostrzegłem wyraz triumfu. Biedny Gordon. Szybko dokonałem na monitorach przeglądu pozostałych pokoi. Zobaczyłem otwarte szafy w sali myśliwskiej. Broń zniknęła. A w bibliotece...

— Nie ma pani Mirskiej — wyszeptała Dolores.

Rzeczywiście, ciotka zniknęła. Drzwi na taras były uchylone. Nie sygnalizowały tego wprawdzie żadne lampki alarmowe, ale najwidoczniej Gloria po zabiciu Smileasa wyłączyła całą instalację, w ten sposób mimowolnie ułatwiając starszej pani ucieczkę.

Reginę wyśledziłem dopiero przy pomocy kamery zainstalowanej na wieży. Z zadziwiającą jak na osobę w jej wieku energią biegła truchcikiem przez park w stronę furtki prowadzącej nad jezioro.

— Co robimy? — spytała panna Ibanez.

— Wiejemy.

— A oni?

— Bez ciotki niewiele im wyjdzie z fałszywej transmisji.

— Wówczas zabiją doktora, Maksa... Musimy im jakoś pomóc!

— Jak? Bez broni? Nie jestem Rambo! Jak wydostaniemy się z farmy, zawiadomimy policję! — Pociągnąłem dziewczynę na powrót w stronę podziemia.

Szybko przemierzyliśmy laboratorium, korytarz, garaże. Trzymając się blisko żywoptotów, dobiegliśmy alejki wiodącej w stronę furtki. Dolores, bardzo błada po nocnych przeżyciach, dzielnie dotrzymywała mi kroku. Lada chwila spodziewałem się pogoni. Ale nikt nas nie ścigał...

Ciotka czekała ukryta w krzakach opodal furtki.

— Potrafisz uruchomić to świństwo? — zapytała, wskazując zamek.

— Spróbuję.
— Gdzie ochroniarze?
— Obaj nie żyją.
— Anusia to przeczuwała!
— Gordon. Dzień sukcesu — rzuciłem do mikrofonu.
Furtka ani drgnęła.
— Pewnie jestem zdyszany i używam niewłaściwej intonacji — usprawiedliwiłem się. — Zaraz powtórzę. Gordon. Dzień sukcesu!
Nic! Gdzieś w głębi domu rozległy się strzały. Ciotka jęknęła.
— Tę furtkę mógł otworzyć tylko doktor Benton albo Rebeka — podpowiedziała Dolores. — A może potrafisz imitować również głos któregoś z nich?
— Spróbuję. Tylko jak mówi doktor? Zaraz. Głos powinien być nieco świszczący, nosowy, lekko pretensjonalny. — Chwilę próbowałem na dłuższych, najbardziej charakterystycznych zdaniach.
— Rewelacja! — w słowach Dolores zabrzmiał nieklamany podziw. — Jakbym go słyszała.
Zachęcony rzuciłem do automatu.
— Benton. Dzień sukcesu.
Żadnej reakcji. Z tyłu dobiegł mnie dźwięk tłuczonych szyb.
— Może furtka jest zaprogramowana na inne hasło?
— Nie. Jedno hasło obowiązywało zawsze przez cały dzień — upierała się pielęgniarzka. — Może zamiast Benton, należy powiedzieć: „Olivier”.
Chwilę później wbiegliśmy na pomost. Łódź kołysała się obok, gotowa do drogi. Nigdy nie kierowałem czymś takim... Rozglądałem się bezradnie.
— Odwiąż linę, ja zapalę! — Dolores przejęła inicjatywę. Silnik zaskoczył błyskawicznie. W pół minuty później tylko spieniona bruzda znaczyła ślad naszej ucieczki. Z wieży Five Oaks' Farm rozszczękał się karabin maszynowy, byliśmy jednak poza jego zasięgiem.

*

Wydarzenia rozgrywające się na farmie, miały o wiele bardziej dramatyczny przebieg. (Rekonstruuje je na podstawie późniejszych informacji.)
Ksiądz zwrócił się właśnie z pytaniem do Maksa, czy pragnie tę oto kobietę, Glorie Hooverton, pojąć za żonę, kiedy przez uchylone drzwi biblioteki dobiegł uczestników ceremonii okrzyk Aleksa:
— Nie ma staruchy!
Nim osłupieni domownicy zdążyli zareagować, w rękach ekipy telewizyjnej pojawiła się broń.
— Pod ścianę — wołał Aleksiej.
— Och, nie! Do tego miało nie dojść! — pisnął fałszywy Carlton.
— Milcz, mięczaku — zgromiła go Gloria, wyciągając spod ślubnej sukni uzi.
Tim Tedesco wyszedł zza kamery, w rękę trzymał sztucer i widać było, że nie zawaha się zrobić z niego użytku. Sprawnie wydawał komendy:
— Pastor na wieżę. Rod do dyżurki, przekaż komunikat o uciekinierach Diegowi i reszcie. Wa Nang, ty będziesz pilnował tej czeredki, żeby nie wymyśliła czegoś durnego. Aleks do helikoptera, rozejrzysz się za uciekinierami!
— Co to znaczy, Glorio? — oszołomiony Maks wytrzeszczał swoje krótkowidzące oczy. — Wytłumacz, co się dzieje, ty z nimi...
Rąbnęła go na odlew automatem, rozbijając mu nos. Krew trysnęła na biały frak

ślubny. Powstały moment zamieszania spróbowali wykorzystać Ferguson i Crebs. Wcześniej porozumieli się wzrokiem i skoczyli ku drzwiom. Padł strzał i Crebs runął na ziemię. Ferguson miał więcej szczęścia. Ze zwinnością, o jaką, przy jego tuszy, nikt by go nie podejrzewał, chwycił pseudo-Carltona i zasłaniając się nim jak tarczą, zaczął się cofać w stronę drzwi jadalni. Huknęły kolejne strzały, trafiony dubler zaskowyczał i sflaczał jak przekłuty balon, jednak Ferguson, cały i zdrowy, zdążył skryć się za drzwiami.

— Co wy robicie, ludzie?! — w pełnym wyrzutu głósie Bentona brzmiało zdumienie i gniew.

— Mają ochotę zebrać owoce naszej pracy — syknęła Rebeka Sanders.

— Słusznie, paniusiu — przytaknął Tim. — Nie nasza wina, że starsza pani popsowała całą zabawę. Myśleliśmy, że dowiemy się wszystkiego podczas transmisji, a tak czeka was długie i bolesne przesłuchanie. Aleks jest pod tym względem dużej klasy fachowcem.

— Dla kogo pracujecie, dla Rosjan? — zapytał Benton z chłodną ciekawością naukowca.

— Jacy ciekawi. Może dla siebie, może zorganizujemy światowy przetarg.

— Czy jednak musicie zabijać?

— Ależ nie, papciu — zaśmiała się Gloria. — Jeśli będziecie grzeczni, być może obejdzie się bez dalszych ofiar.

— Na razie oczyścimy teren — komenderował Tedesco. — Gdzie można by ich zamknąć, żeby nie przeszkadzali?

— Proponowałabym „skarbiec” — powiedziała Gloria. — Działa tam wentylacja i nie ma okien.

— Co chcecie z nami zrobić? — osłupiały Maks z niedowierzaniem oglądał krew na śnieżnym gorsie koszuli.

— Na razie nie utrudniajcie nam roboty. No, ruszcie się!

— Jestem przekonany — powiedział doktor Benton — że poniesiecie za to konsekwencje.

Gloria roześmiała mu się w twarz. Rebeka Sanders chciała ruszyć za doktorem i jego synem, ale Tim ją zatrzymał.

— Ty zostaniesz, ktoś musi się zajmować tą półdechłą staruchą. I przysięgam: jeśli spróbujesz coś jej zrobić, pokraję cię na plasterki.

— Bądź dzielna, Rebeko — Edwin Olivier Benton popatrzył jej głęboko w oczy. Odpowiedziała mu bladym uśmiechem.

*

Pędziliśmy jak na skrzydłach. Po zaledwie paru minutach łódź znalazła się po drugiej stronie jeziora. Dolores wskazała nam stary pomost ledwie widoczny wśród sitowia.

— Możemy tu zacumować.

— Kto tu mieszka?

— Strażnik rezerwatu, pan Leward. Dobry człowiek, chociaż mruk. Zadzwonimy od niego do szeryfa.

— Doskonale!

Niestety, obejście było puste jak gąsior po suto zakrapianej biesiadzie. Strażnik najwyraźniej wyruszył na obchód terenu. Nie znaleźliśmy jego wozu, a wewnątrz, po wyłamaniu okna, zamiast telefonu natrafiliśmy jedynie na ładowarkę komórki. Po dłuższym poszukiwaniu Dolores znalazła jakąś starą dubeltówkę. Nie był to zbyt

groźny oręż, zwłaszcza że mieliśmy do niej ledwie kilka naboju.

— Co robimy, czekamy na tego strażnika, czy płyniemy dalej? — zapytała ciotka.

Z lasu dobiegł warkot silnika i chrzęst łamanych gałęzi. Ktoś spieszył w stronę leśniczówki. Wkrótce pojawili się w mej lornetce. W terenowym wozie siedziała ich trójka. Nie wyglądali na strażników, znacznie bardziej na myśliwych, chociaż sądząc po broni maszynowej, w jaką byli zaopatrzeni, celem ich polowania mieli być ludzie! Wśród nich wypatrzyłem wysokiego Chińczyka o twarzy dziecka — jeszcze przed paru dniami pracującego na stacji benzynowej jako pompiarz.

— Do łodzi! — zawołałem. — Musimy dalej uciekać wodą. Posłuchali bez dodatkowych pytań.

— Dokąd trafimy, kierując się w tamtą odnogę? — zwróciłem się do Dolores.

— Z jeziora wypływa rzeka; pływałam tam pół roku temu z Maksem — powiedziała pielęgniarka. — Nurt jest rwący, ale być może da się dopłynąć aż do Rivertonu.

Trzymając się możliwie blisko trzcin, wpłynęliśmy w odnogę, zostawiając daleko za sobą pomost i pościg. Odetchnąłem. W tej gęsto zarośniętej głuszy nawet wóz terenowy miał niewielkie szanse, aby nas dogonić.

— A to co takiego? — krzyknęła nagle Regina. — Słyszycie ten warkot?

Sponad drzew wychynęło stalowe ptaszysko. Helikopter Aleksa. Wzięli nas w dwa ognie!

*

Skarbiec był mroczny, a jedyne światółko dawała mała czerwona lampka nad drzwiami. Ojciec i syn milczeli dłuższą chwilę, w końcu jednak Maks nie wytrzymał.

— I na co zdała się cała ostrożność! Wszystko tata przewidział, wszystko z wyjątkiem tego jednego — wybuchnął. — Zabili Crebsa, zabiją nas wszystkich.

Doktor wydawał się ignorować te gorzkie żale, przykucnął w kącie i przy pomocy spinki od krawata zajął się podważaniem jakiejś płytki.

— Czyżby tata zamierzał zrobić tutaj podkop?

— Siedz cicho, Maks, zatamuj krew z nosa, odpocznij.

— Ja wiem, tata uważa, że to moja wina. Dałem się podejść tej dziwce.

Uwierzyłem w bezinteresowną miłość od pierwszego wejrzenia. Tak! Powinienem być ostrożniejszy, a już pod żadnym pozorem nie przywozić jej tutaj. Po co mi to było? Dolores kochała mnie, była taka oddana, taka namiętna...

Stary Benton zdawał się nie słuchać monologu syna. Po odkręceniu paru śrubek zdjął płytkę, odsłaniając jakieś urządzenie.

— Teraz się pobawimy — rzekł ze zgryźliwością w głosie.

— Co chcesz zrobić?

— Zastosować wariant ostateczny.

— To znaczy?

— Wbrew temu, co mówisz, przewidziałem, że zostaniemy napadnięci i będziemy się musieli tutaj schronić. Miejmy nadzieję, że Ferguson oddalił się dostatecznie daleko, a równo z uderzeniem dwunastej Rebeka też znajdzie się na zewnątrz.

— Ale co ma być o dwunastej?

— Układając plan awaryjny, ustaliliśmy, że akcję podejmujemy o najbliższej pełnej godzinie.

— Przecież jesteśmy zamknięci.

— Jeśli byś pomacał, to w tym narożniku znajdziesz zawór od naszych przewodów klimatyzacyjnych. Pewnie pamiętasz, że mamy dziś we wszystkich pomieszczeniach

włączony nawiew. Po przekręceniu tego kraniku wejdzie do obiegu pewien silnie toksyczny gaz.

— Jak to, my również mamy zginąć!?

— Nie powinniśmy. Zawczasu ukryłem w tym schowku parę masek przeciwgazowych. Załóż jedną z nich, Maks. Ja wezmę drugą. Tylko dopasuj starannie!

— A nie bierzesz, tato, pod uwagę, że puszczając gaz, zabijemy także Ann Karpicky...

— Nie ma takiego ryzyka! Pacjentka oddycha tlenem z respiratora.

— Jeśli na zewnątrz wszyscy zginą, to kto nas wypuści?

— Zamontowałem tu również odpowiednią dźwignię odblokowującą drzwi. Jak widzisz, zbyt pochopnie zarzuciłeś mi brak przezorności.

— Wybacz ojcze! Ale wewnątrz budynku jest tylko część bandy. Co z pilotem helikoptera? Poza tym, biorąc pod uwagę staranne przygotowanie napadu, z pewnością mają w okolicznych lasach jakichś wspólników!

— Bądź spokojny! Obok dźwigni znajduje się również przycisk alarmu. Nacisnąłem go. Od pięciu minut nasz szeryf wie, że mamy duże kłopoty. Przybędzie tu najdalej za godzinę. A zatem jeszcze trzydzieści sekund... Zakładaj maskę!

*

Dochodziła dwunasta. Minął ledwie kwadrans od początku akcji. Tim i Gloria byli wściekli. Ferguson jakby się pod ziemię zapadł. Próżno wspólnie z Rodem przeglądali obrazy z wszystkich kamer. Trochę pomyślniejsze wiadomości nadchodziły od Aleksa.

— Widzę ich, widzę — meldował, przekrzykując warkot silnika. — Ich łódź kieruje się w dół rzeki, są mocno spanikowani. Mam ich na celowniku.

— Świetnie, załatw tego Polaka, ale postaraj się nie uszkodzić staruchy. Może się jeszcze przydać — powiedział Tedesco, pochylając się nad pulpitem.

— Tej dziwki Dolores też nie musisz oszczędzać — mściwie dorzuciła Hooverton.

— Czekaście. A co robi ta Sanders? — przerwał ich dialog Tedesco. — Daj bibliotekę!

Na monitorze widać było, że Rebeka, nie spuszczać oka z zegarka, wyciąga z szufladki coś, co przypomina opatrunek i nakłada na twarz. Pilnujący jej Azjata zaskoczony uniósł pistolet. Chciał unieść. Gloria, Tim i Rod zdążyli jeszcze zobaczyć, jak Wa Nang upuszcza broń, a w jego wybałuszonych oczach pojawia się grymas bólu, jak usta rozpaczliwie usiłują złapać powietrze... Nie wiedzieli, że gaz, który równo o dwunastej znalazł się w obiegu klimatyzacji, najpierw dotarł do biblioteki, ale zaraz potem...

— Co tam się dzieje? — krzyknęła Gloria. — Spójrzcie na pastora!

George'a Hamiltona gaz poraził w momencie, gdy pospieszenie zbiegał po schodach. Znajdował się na zakręcie, siła rozpędu wyniosła go poza barierkę, umarł w locie. Zanim jego ciało dotknęło dywanu, Tim już wiedział:

— Gaz, gaz w przewodach!

Teraz Gloria Hooverton również zobaczyła żółtawe pasemko sączące się z nawiewnika. Zamarła ze strachu i w chwilę potem szpony śmierci chwyciły ją za gardło.

Tedesco nie miał zamiaru umierać. Ten były funkcjonariusz Stasi wiedział, jak postąpić. Wstrzymał oddech i dwoma susami rzucił się do wyjścia. To była potwornie długa droga, przez salon, bibliotekę, obok śpiącej i obojętnej na wszystko Ann

Karpicky. Dopisało mu szczęście — uciekając, Rebeka Sanders pozostawiła otwarte okno. Rozpaczliwie łaknąc oddechu, wypadł na zewnątrz. Zrobił jeszcze kilkanaście kroków i dopiero teraz odważył się zaczerpnąć tchu. Od jeziora wiał rześki wiatr, ani śladu trucizny.

Udało się — przemknęło mu przez myśl. Pomacał się po boku, szukając broni. Cholera, zostawiłem w środku! Zrobiło mu się nieprzyjemnie, zwłaszcza, że zza winkła wyłonił się mężczyzna w masce przeciwgazowej i z pistoletem maszynowym w ręku. To nie mógł być żaden z jego ludzi. Tim uniósł ręce do góry, ale na facecie nie wywarło to najmniejszego wrażenia. Najemnik widział, jak palec w rękawiczce naciska spust, nieomal czuł, jak pociski lecą mu na spotkanie. I trochę jakby z boku obserwował ich uderzenia we własną klatkę piersiową... Siła uderzeń cisnęła go na środek klombu.

— Brawo — zawołała Rebeka, wybiegając z zarośli, w których się ukryła. — Pięknie załatwiłeś tego skurwysyna. Teraz trzeba szybko wyciągnąć z domu panią Karpicky, a Olliego i Maksa ze skarbcą.

Mężczyzna w masce miał jednak całkowicie inne plany. Odwrócił się powoli i prawie nie mierząc, przeciął jej ciało krótką serią. Padając na trawnik, zdążyła jeszcze zadać sobie pytanie: dlaczego on to robi?

Tymczasem doktor z synem opuścili skarbiec, minęli zwłoki pastora, przez uchylone drzwi dostrzegli blond loki Glorii rozrzucone na wykładzinie dyżurki, wbiegli do biblioteki. Jeden rzut okiem na monitory i czujniki przekonał ich, że pacjentce nic się nie stało. Gaz nie przeniknął przez skórę... Edwin ucisnął dłoń syna. Wszystko jest do odrobienia!

Chwilę po nich do pomieszczenia wszedł korpulentny mężczyzna w masce z pistoletem uzi w ręku. Na moment jakby się zawahał. Potem uniósł broń.

— Co ty, Ferguson? — chciał wrzasnąć doktor, ale przez pochłaniacz wydobył się tylko nieartykułowany bulgot. Maks skoczył, aby zasłonić ojca... Zginęli w tej samej chwili.

Doktor Ferguson popatrzył na zegarek. Cholera! Jego ekipa nie zdąży przybyć przed ludźmi szeryfa. A więc pozostało jedno wyjście. Pełen wściekłości szarpnął kable. Stało się płuco-serce, respirator, sztuczne nerki... Pociemniały monitory. Ciałem na łóżku poruszył ledwo dostrzegalny skurcz.

Morderca zbiegł do laboratorium. Przyniósł stamtąd kanistry ze spirytusem, porozlewał metodycznie, potem podpalił. Opuszczając dom, cisnął do dyspozytorni granat. Na wszelki wypadek, gdyby ogień nie strawił wszystkich dysków z zapisami audio i wideo. Z dyżurki wziął broń Tima i uważnie, nie chcąc uszkodzić żadnej ważnej arterii, strzelił sobie w udo. Udało się, noga krwawiła jak cholera! Potem wetknął broń w rękę leżącego terrorysty. Pożoga ogarnęła cały dom. Paliła się biblioteka, salon myśliwski. Ogień ogarniał boazerie, dywany, drewniane stropy. Z hukiem wybuchały bańki z odczynnikami w laboratorium, wkrótce zajęło się również drewniane poddasze. Jeszcze chwila, a płonący dach pogrzebie ofiary i dowody Ozbrodni.

Maskę przeciwgazową cisnął w płomienie. Kulejąc, dowlókł się do klombu, rozsmarował obficie krew broczącą z nogi, potem padł twarzą w rabatę i dysząc ciężko, czekał na przybycie policji. Nie wiedział o jednym. Tim Tedesco żył. Strzały, które trafiły głównie w kamizelkę kuloodporną, jedynie go ogłuszyły, a z pozostałych ran żadna nie zagrażała życiu. Kiedy Ferguson zniknął w kwiatkach, cicho poczołgał się w stronę muru. Wspiął się nań z wysiłkiem i bezwładnie osunął się na drugą stronę. Chwilę odpoczywał, a potem ze schowka w krzakach wydobył komórkę. Połączył się z Diegiem. Owszem, ta runda była przegrana — pan Huy z pewnością nie będzie zachwycony, ale póki żyje Regina Mirska, wszystko można zacząć od nowa.

*

Aleks, podobnie zresztą jak my, nie miał pojęcia o drugim akcie bitwy rozgrywającym się w rezydencji. Całą uwagę skupił na naszej łodzi. Motorówka śmigała już po rzece. Wprawdzie po zahaczeniu o podwodną skałę urwała się śruba, a silnik zgasł, sam nurt niósł ją z narastającą szybkością w dół. Rosjanin co pewien czas otwierał do nas ogień, ale jego kule trafiały w skały albo w wodę.

Próbowałem odgryzać się z dubeltówki, ale z równym skutkiem mógłbym rzucać w pikującego szerszenia kamieniami. Tak więc, nie czyniąc sobie krzywdy, pędziliśmy na łeb, na szyję. Coraz częściej dno łodzi ocierało się o skały. Wtem Dolores krzyknęła:

— Wodospad! Zapomniałam o wodospadzie! Musimy się zatrzymać, w przeciwnym razie zginiemy.

W samej rzeczy grzmot kaskady stawał się coraz bliższy, a nasza podróż coraz bardziej przypominała przejażdżkę lunaparkową kolejką śmierci. Przy tej prędkości każda próba opuszczenia łodzi musiała się skończyć tragicznie. Czy mieliśmy jednak wybór? Na moment wir wytrącił nas z głównego nurtu. Z kolejki trafiliśmy na diabelski młyn.

— Skacz! — zawołałem do Dolores.

Nie trzeba było jej dwa razy powtarzać. Przewiązana w pasie liną dziewczyna skoczyła i chwyciła się jakichś wystających korzeni. Zagrzechotały strzały, na szczęście niecelne. Zresztą nawis skalny już po chwili zasłonił ją przed atakiem z góry. Lina wyszarpnęła ciotkę poza łódź, w samo serce kipieli. Nic nie mogłem zrobić ani żadnej z nich pomóc. Pozbawiona balastu łajba znów pomknęła w stronę kaskady.

Dolores ciągnęła mozolnie Reginę. Aleksiej przez moment wahał się, co robić. Nie miał łatwego zadania. Musiał strzelać, równocześnie sterując śmigłowcem.

Wychylił się przez okienko, celował starannie. Dolores, która obwiązała linę wokół konara i teraz wyciągała rękę do Reginy, wydawała się łatwym celem. I wtedy jego samego uderzył pierzasty pocisk. Prawdopodobnie strzały spłoszyły górskiego orła, który w tej okolicy miał swoją ostoję. Może zresztą nie był to przybysz z tego świata? W każdym razie kłęb skrzydeł i pazurów spadł naraz na wysuniętą głowę najemnika. Aleks cofnął się przerażony, szarpnął sterami. Za mocno! W ułamku sekundy zrozumiał swój błąd, ale było już za późno. Jedna z łopat wirnika zahaczyła o wystający parusetletni konar drzewa, które wykiełkowało tu zapewne, zanim jeszcze Krzysztof Kolumb postawił nogę na plaży San Salvador. Pierwszy trzask nie był głośny. Helikopter jednak stracił sterowność, uderzył w skalną ścianę, odbił się od niej, wpadł na następną, po czym runął w dół kanionu. Widziałem tę katastrofę, zahipnotyzowała mnie do tego stopnia, że zapomniałem, że przecież muszę skakać. Do rzeczywistości powróciłem w momencie, kiedy dziób łodzi znalazł się ponad krawędzią wodospadu. Wysoki był zaledwie na kilkanaście metrów, ale mnie wydawał się Niagarą. Nie miałem gdzie skoczyć. Zobaczyłem tylko niczym na zwolnionym filmie, że łódź wykonuje koziołka, a ja wypadam z niej i lecę, lecę na spotkanie kipieli...

8.

Tchórz obsadzony w roli bohatera to komedia, bohater w roli tchórza — tragedia. Tchórz w roli tchórza — jedynie smród!

Kiedy ocknąłem się w przybrzeżnych szuwarach, cały w błocie i posiniaczony, słońce minęło już zenit, kierując się ku zachodowi. Nie dochodziły mnie żadne odgłosy pogoni, żadne nawoływania ani naszczekiwania psów. Czyżby nikt mnie nie szukał? Dość dziwne! A ciotka i Dolores? Co się mogło z nimi stać? Czemu zostawiły mnie na pastwę losu? A może ze względu na wyjątkowo strome i spadziste ściany parowu nie sposób tu zejść?

Wstałem, wyjąłem wilgotne ubranie. Było mi zimno i odczuwałem głód. Jednak nie chcąc nocować na tym pustkowiu bez ognia, za to w towarzystwie kojotów i szarych niedźwiedzi, należało iść naprzód.

Do Five Oaks' Farm, niezależnie od wyniku stoczony tam batalii, nie miałem najmniejszej ochoty wracać. Mogłem iść jedynie w dół rzeki, gdzie parów rozszerzał się w rozległą dolinę. Przeskakując z kamienia na kamień, ruszyłem więc brzegiem, pilnie wypatrując śladów obecności człowieka. Wkrótce las przerzedził się; jeszcze chwila, a zobaczyłem słupy trakcji elektrycznej i biegnącą obok nich drogę. Ten widok napełnił mnie otuchą. Najwyraźniej pisane było mi przeżyć. Pomyślałem o powrocie do Polski. Zarówno paszport, jak i bilet lotniczy „open” miałem przy sobie. Wilgotne, ale całe.

A potem zobaczyłem zbliżającą się ciężarówkę. Wszedłem na trakt, zamachałem rękami... Trak stanął. Siedzący za kierownicą farmer nie był przesadnie rozmowny ani dociekliwy. Wysadził mnie po kilkunastu minutach przed tanim motelem w Crowheard. Nie przyjął zapłaty. Zmęczony i obolały marzyłem o odpoczynku. W ciepłych strugach prysznic zmywałem z siebie zmęczenie, brud i strach. Próbowałem też zebrać myśli i zastanowić się, co dalej.

Ułożywszy się na tapczanie, włączyłem telewizor i odszukałem lokalny kanał. Jak było do przewidzenia, „Dramat na farmie doktora Bentona” stanowił temat dnia. Trafiłem na sam początek reporterskiej relacji z miejsca zajścia. Już pierwsze kadry przyprawiły mnie o skurcz serca. Z pięknej rezydencji pozostały jedynie wypalone mury parteru i osmalone kikuty kominów. Z powtarzanego komunikatu wynikało, że śmierć w walce z nie zidentyfikowanymi napastnikami ponieśli obaj Bentonowie i piękna prezenterka z Utah TV — Gloria Hooverton. Mówiono też o śmierci wszystkich bandytów. Ciało większości z nich nie nadawały się do identyfikacji. Komentatorzy zastanawiali się, dlaczego zabójcy udawali pracowników telewizji z Salt Lake City i skąd znalazł się na miejscu zbrodni sprzęt należący do tejże stacji. Ani słowo nie padło o sobowtórce Jimmy'ego Carltona. Dziennikarze rozważali też ewentualne motywy napaści. Przeważały opinie, iż dokonano jej na tle rabunkowym. Prowadzący śledztwo czarnoskóry inspektor Hardy zachowywał daleko posuniętą powściągliwość. Wspomnił jedynie, że przy życiu pozostał jeden naoczny świadek dramatu, ale odmówił wyjawienia jego personaliów. Nie padło ani słowo o śmigłowcu, ani o drugiej grupie intruzów buszujących w pobliskim lesie, nie wspomniano również o ucieczce naszej motorówki.

Przez chwilę zastanawiałem się czy zadzwonić na policję. Szybko jednak odrzuciłem ten pomysł. Skoro nie byłem poszukiwany, istniała szansa, że nikt nie

połączy mej osoby z tą tragedią. Zresztą jeśli plan terrorystów spalił na panewce i wszyscy zginęli, któż by mnie szukał? Trudno też wyobrazić sobie, żeby Anna Karpicka przeżyła pożogę. Tak, tak, należy nie mieszać się do rozgrywki, tylko jak najszybciej wrócić do Chicago. Jeśli ciotce udało się wyjść cało z opresji, z pewnością skontaktuje się z polskim konsulem. Jeśli nie, zamówię mszę w polskim kościele za spokój jej duszy. Z zabranych z Polski zasobów zostało mi jeszcze ponad pięć tysięcy zielonych i to powinno wystarczyć na wszystko. Z mszą włącznie.

Pokrzepiony tą konkluzją, opadłem na poduszki. Sen nadciągnął bezzwłocznie.

*

Nie po raz pierwszy śniłem, że śnię. To znaczy zdawałem sobie sprawę, iż rzeczywistość, która mnie otacza, jest wyłącznie sennym majakiem, wytworem znerwicowanego mózgu. Ba, usiłowałem nawet pokierować tym snem. Pragnąłem zobaczyć ciotkę, znaleźć się na chwilę na Five Oaks' Farm, dowiedzieć się, co tam zaszło. Niestety nie miałem telepatycznych talentów moich ciotek bliźniaczek. Świat, który mnie otoczył, nie przypominał „projekcji na życzenie” — był obcy, nieprzychylny. Oto otworzył się przede mną zimny, ociekający wilgocią korytarz, a właściwie kanał. Samotność, plusk spadających kropel, strach... Hen w oddali zapaliło się światełko, mały ognik w tunelu. Ale ten promyczek, zamiast napełnić mnie otuchą, spotęgował jeszcze mój lęk. Ognik rósł, wzmagало się dudnienie. I nagle zdałem sobie sprawę, że mam przed sobą rozpędzony samochód wypełniający praktycznie całą szerokość tunelu. Chciałem się cofnąć. Daremnie. Za plecami czułem ścianę, zrobiłem krok do przodu, ściana postąpiła za mną. Głupia sprawa, ale — kombinowałem — przecież nie beznadziejna: wystarczy się obudzić. Niestety nic z tego nie wychodziło! Chciałem wrzasnąć: „Ratunku!”, ale z moich ust nie wydobył się nawet skrzek. Światło wypełniło mi źrenice... Nieee!

Ocknąłem się w końcu, ale nadal byłem jak sparalizowany. Ktoś nakrywał mi usta dłonią, a ktoś inny świecił prosto w oczy latarką.

— To on, Diego! — zabrzmiało naraz zdanie rzucone z latynoskim akcentem. — Chyba się już wyspał.

Szarpnąłem się desperacko, ale w tym momencie w snopie światła pojawiła się lufa pistoletu z nakręconym na nią tłumikiem.

— Nie krzyczeć, señor! — powiedział osobnik, którego imię przed chwilą poznałem. — Chcemy tylko porozmawiać.

Zdjął rękę z moich ust. W międzyczasie jego towarzysz zapalił kinkiet. Zrobiło mi się jeszcze bardziej nieprzyjemnie. Twarz dryblasowatego Meksykanina nie była mi obca — widziałem go w południe przez lornetkę na brzegu jeziora.

— Nie chcemy cię zabijać — oświadczył Diego. — Potrzebujemy tylko paru informacji. Pójdziesz z nami.

— Ja nic nie wiem, chociaż oczywiście wszystko, co wiem, mogę powiedzieć wam tutaj. Nie ma więc potrzeby wychodzić.

— Szef chce z tobą porozmawiać — wyjaśnił zimno dryblas. — Ubieraj się! Wyjdziemy wyjściem awaryjnym. I radziłbym ci nie robić hałasu.

Ledwie zdążyłem założyć spodnie i buty, popchnęli mnie ku drzwiom. Po resztkach snu nie zostało nawet śladu. Gorączkowo zastanawiałem się nad sposobami ratunku. Rozmawiać, za wszelką cenę należy z nimi rozmawiać! — nic innego nie przychodziło mi do głowy.

— Czego chcielibyście się panowie dowiedzieć? — zacząłem grzecznie. — Uciekłem z farmy, zanim przerobiliście ją na jatkę.

— To nie my! — głos Meksykanina zabrzmiał niezwykle szczerze. — To nie my. Przecież to nie miałoby sensu!

Faktycznie, coś w całej tej aferze wyglądało nielogicznie. Jeśli tak bardzo chcieli wykraść doktorowi Bentonowi jego tajemnicę, to z jakiego powodu mieliby zabijać. Doktora, jego rodzinę i współpracowników. A także — co najdziwniejsze — Annę Karpicką? Co chcieli osiągnąć, podpalając dom?

Landrover, który wcześniej mogłem oglądać w rezerwacie, czekał zaparkowany kilkadziesiąt kroków od motelu. Diego kazał mi usiąść obok kierowcy, sam usadowił się z tyłu, oświadczając, że chce mieć na mnie oko. I pojechaliśmy. Ruch na drodze był niewielki, noc głęboka, po drogowskazach zorientowałem się, że posuwamy się na wschód. Bez zatrzymywania się minęliśmy Riverton. Parokrotnie usiłowałem nawiązać rozmowę, ale każda próba kończyła się krótkim:

— Jeszcze się nagadasz!

W trakcie podróży dwukrotnie łączyli się z kimś przez telefon komórkowy. Rozmawiali po hiszpańsku i niewiele zrozumiałem poza tym, że przybędziemy nad ranem i że pan Huy może być spokojny. Padło też imię Tim. Czyżby kamerzysta przeżył krwawą łaźnię?

Koło czwartej, zacząłem właśnie znów przysypiać, targnęło mną gwałtownie. Landrover stanął.

— Opuuszczony szlaban? — zdziwił się kierowca. — Myślałem, że pociągi nie kursują tędy od lat.

— Gazu! — wrzasnął Diego. — To pułapka!

Było już jednak za późno. Huknęły dwa strzały i obaj przestępcy osunęli się na siedzenia. Zaciskając powieki, oczekiwałem trzeciego wystrzału...

— Proszę otworzyć oczy, mister Uansky! Pomoc nadeszła — usłyszałem jowialny głos doktora Fergusona.

*

Ku memu zaskoczeniu Greg Ferguson nie zadał sobie nawet trudu, aby sprawdzić, czy obaj Meksykanie są martwi, czy jedynie ciężko ranni.

— Zajmą się nimi inni — powiedział. A widząc zaskoczenie malujące się na mojej twarzy, pokazał mi błyszczącą odznakę. — Major Gregory Howard Ferguson z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

Natychmiast zrobiło mi się raźniej, niczym osobnikowi przemierzającemu bezkresne przestrzenie Dzikiego Zachodu na widok nadciągającej kawalerii. Idąc w stronę wozu, zauważyłem, że doktor utyka.

— Trochę oberwałem — uśmiechnął się — ale najgorsze za nami. Wskakuj pan do wozu. — W zaroślach czekał jego sportowy lincoln.

W ciągu następnej godziny powiedział mi o sprawie tyle, ile — jak lojalnie uprzedził — mógł.

— I tak powiem panu więcej niż FBI i miejscowa policja razem wzięte — uprzedził. — Oczywiście, mam nadzieję, że zachowa pan to wszystko dla siebie.

Przytaknąłem.

— Od dłuższego czasu dyskretnie obserwowaliśmy poczynania doktora Bentona. Wbrew pozorom moja firma nie lekceważy żadnych sygnałów, nawet jeśli dotyczą maniaków, szaleńców czy fantastów. Informacje, które otrzymaliśmy na temat działalności doktora Bentona, z pewnością nie maniaka i nie mitomana, spowodowały, że ładnych kilka lat temu wzięliśmy go pod swoją opiekę. Jak widać słusznie. Przebieg ostatnich eksperymentów musiał przekonać pana o ogromnych,

grożących światu niebezpieczeństwach, jakie wiążą się z penetrowaniem pogranicza życia i wieczności. Pewnie uzna pan za nieetyczne zajmowanie się służb specjalnych tą arcyprywatną sferą. Niestety, żyjemy w podzielonym świecie, panie Uansky. Wiemy, że podobne badania prowadzą również nasi przeciwnicy. W Chinach, w Rosji... A wczorajsza napaść stanowi tego najlepszy dowód.

— A doktor Benton nie domyślił się, że ma pan dodatkowego pracodawcę?

Agent uśmiechnął się dobrotliwie:

— Przy jego staroświeckich zasadach! Parę lat wcześniej próbowaliśmy oficjalnie zwerbować Olliego i stworzyć mu komfortowe warunki pracy w naszym ośrodku w Maryland. Mieliśmy też na niego mały haczyk, zgon jednego z pacjentów wynikający z błędnej diagnozy... Mimo to odmówił. Cóż, mój biedny przyjaciel należał do niepoprawnych idealistów, marzycieli w dziewiętnastowiecznym stylu. Firma zdecydowała się zaakceptować jego decyzję. Przynajmniej oficjalnie. Pozwoliliśmy mu odejść. A ja pomogłem mu odzyskać skonfiskowane materiały. Przypłaciłem to dymisją.

— Naprawdę?!

Znów uśmiech.

— Przynajmniej taka wersja dotarła do Bentona. W odruchu solidarności zaproponował mi pracę w swoim szpitalu, a potem na farmie...

— Pan, rozumiem, przyjął?

— Miałem za zadanie pomagać mu i go chronić...

— To się jednak nie udało?

Nerwowo uderzył dłońmi w kierownicę.

— Przyznam, że Gloria Hooverton przechytrzyła nas wszystkich. Napastnicy musieli się bardzo spieszyć i dokonać zamachu, zanim Benton nie opublikuje wyników badań, a media nie nadadzą temu rozgłosu.

— Wiecie już, kim byli ci bandyci?

— Badamy sprawę. Niewykluczone, że w grę wchodzi całkiem nowa globalna struktura nazywana Grupą Karakorum. To takie polityczno-gospodarcze konsorcjum irańsko-chińskie, posiadające dość duże wpływy w Trzecim Świecie i zatrudniające fachowców różnej proweniencji: Kolumbijczyków, byłych współpracowników KGB, sieroty po Stasi. Dziś już wiem, że ten przyjemniaczek Tim Tedesco to w istocie Thomas Adler, jeden z najlepszych enerduśów od mokrej roboty.

— Ale zginął?

— Niestety, udało mu się zwać i pewnie jest w drodze do Meksyku. Z tym, że to płotka, operacjami zagranicznymi kieruje pewien śliski żółtek z Macao nazwiskiem Huy.

Pomyślałem, że trudno znaleźć nazwisko bardziej adekwatne do pełnionej funkcji i uśmiechnąłem się. Dojrzał ten uśmiech.

— Zgromadzili dość interesujące komando najemników. I zrobili to starannie. Weźmy pannę Hooverton. Ktoś zadbał o wyczyszczenie jej dossier. Dopiero dziś dowiedziałem się, że ta niedoszła prawniczka, dorabiająca swego czasu jako call-girl, miała w czasach studenckich rozległe znajomości w kręgach lewackich frustratów. Pomysł z transmisją telewizyjną uważam za bardzo błyskotliwy, a wcześniejsze omotanie Maksa za równie perfekcyjne. W efekcie cała ostrożność Bentona: niepublikowanie wyników cząstkowych, prowadzenie badań na farmie zamienionej w twierdzę zadziałało przeciw niemu. Co gorsza, pomysł z transmitowaniem ślubu nie został skonsultowany ze mną. Zabrakło czasu, by przedsięwziąć nadzwyczajne środki ostrożności.

— Nie mógł pan uratować farmy? Zażądać posiłków?

Uśmiech znikł z twarzy Fergusona.

— Jesteśmy organizacją kadrową, panie Uansky. Zanim moje meldunki dotarły do Waszyngtonu, tragedia już się rozpoczęła.

— A właśnie, czy może mi pan powiedzieć, co zdarzyło się w rezydencji po naszej ucieczce? Wiem tyle, co z telewizji...

— Wasza ucieczka razem z panią Mirsky sprawiła, że Tim i jego ludzie potracili głowy, przerwali ceremonię, usiłowali sterroryzować nas bronią. Próbowaliśmy razem z Barneyem Crebsem stawić opór, ale bandziory miały dużą przewagę, wcześniej przecież zabito Gordona i Smileasa. W strzelaninie, jaka się wywiązała, zginęli Barney, Rebeka oraz doktor z synem. A także panna Hooverton i dwaj bandyci. Z mieszkańców farmy tylko mnie udało się ująć z życiem. Tim Tedesco, który także ocalał, podpalił laboratorium, zniszczył dyspozytornię i archiwum dysków, zamordował bezbronną Ann. Uciekając, nadział się co prawda na mnie, ale niestety nie wiedziałem, że ma kamizelkę kuloodporną.

— Ale czemu nie próbował zabrać ze sobą Anny?

— Byłaby dla niego tylko ciężarem. Liczył, że ludzie Diega pochwyć panią Mirsky. Jeśli się to im nie powiedzie, śmierć Bentonów nie pójdzie na marne, bo na podstawie tego, co zapamiętała Mirsky, można będzie sporo danych odtworzyć, ja zaś wiem prawie wszystko o doświadczeniach z jej siostrą bliźniaczką. Powołamy instytut imienia doktora Bentona. Najważniejsze w tej chwili to odszukać pańską ciotkę i naszą małą Dolores. Zanim zrobią to ci terroryści. Wie pan, gdzie mogą one teraz przebywać?

— Nie mam pojęcia. Po raz ostatni widziałem je, gdy wyskakiwały z łódki tuż przed wodospadem. Z tego, co zrozumiałem, Diego i ten drugi Meksykanin też nie wiedzieli, gdzie ich szukać. A może schwytał je ktoś zupełnie inny...

— Wątpię. Deng, taki tyczkowaty Azjata, bez wątpienia także należący do komanda, węszył za nimi po całej okolicy, aż w końcu nadział się na ludzi szeryfa i wylądował w areszcie w Lander. Wprawdzie szeryf po interwencji ambasady Chin zapewne zwolni skubańca, nie ma zresztą konkretnych dowodów, by ten miał coś wspólnego z dramatem na Five Oaks' Farm, ale, jak znam życie, dostanie dwadzieścia cztery godziny na opuszczenie Stanów i odkonwojują go na najbliższe lotnisko. Zakładam więc, że obie panie ciągle są wolne. Jednak dalsze ukrywanie się naraża je na ogromne niebezpieczeństwo. Karakorum wyśle zapewne do Wyoming nowych ludzi. Jak myślisz, dokąd twoja ciocia mogła się udać?

— Przypuszczam, że do Chicago, i dlatego i ja tam powinienem pojechać jak najszybciej, doktorze Ferguson.

— Mów mi Greg! — powiedział, wyciągając do mnie nadszpiewanie mocną rękę. Uścisnąłem ją skwapliwie.

*

Sportowy lincoln zawiózł mnie z powrotem do Riverton. Obecność Fergusona sprawiła, że automatycznie zniknęły wszystkie moje obawy. Spokój i wyrozumiałość emanujące z jego postaci spowodowały, że po raz pierwszy od początku tych zwariowanych zdarzeń poczułem się bezpieczny. Powiedzmy otwarcie: lubiłem zawsze, kiedy kto inny martwił się za mnie. Stale wymawiała mi to Magda, a i ja sam w chwilach refleksji wyrzucałem sobie brak samodzielności.

Równocześnie dziwiły mnie własne reakcje — bo choćby jakże łatwo przeszedłem do porządku nad ofiarami ścielącymi się wokół mnie. Czyżbym stracił wrażliwość? Gdy byłem dzieckiem, po zobaczeniu przejechanego psa przez miesiąc nadkładałem kilometr drogi, aby ominąć miejsce, w którym leżał. Jakże mocno przeżyłem śmierć

babci! Zgon ojca, mimo że byłem nań przygotowany, wywołał u mnie półroczną depresję. Teraz jednak, kiedy skrzydło Thanatosa musnęło mnie osobiście, czułem się bardziej jak obserwator multimedialnego spektaklu niż rzeczywisty uczestnik wydarzeń.

Ferguson zakwaterował mnie w dość zaniedbanym apartamencie niedaleko centrum Riverton. Obiecał, że nie będę musiał zeznawać na policji, a gdy tylko odnajdzie się moja ciotka i zrelacjonuje wszystkie swoje przeżycia związane z jej siostrą bliźniaczką, będziemy mogli udać się, gdzie chcemy i to na koszt władz Stanów Zjednoczonych.

Przespałem spokojnie parę godzin. Tylko raz obudził mnie jakiś klakson z ulicy, ale poza tym nic podejrzanego się nie działo. Ferguson pochrapywał na sąsiednim tapczanie. Około dziewiątej poderwał mnie na równe nogi brzęczyk telefonu komórkowego. Greg wyszedł z nim do łazienki, ale za sprawą mego wyjątkowo dobrego słuchu słyszałem każde wypowiedziane słowo.

— Tak... Gdzie? Jak one się tam dostały? To zdumiewające. Kto poinformował? Aha. Nie, nic nie róbcie! Żadnej miejscowej policji. Będę tam najpóźniej za trzy godziny.

— Znaleźli je? — spojrzałem pytająco, gdy Ferguson wynurzył się już z łazienki.

— Być może. Dzwonili z Moran. To niewielka osada na skraju parku Yellowstone. Dwie kobiety, których twarze odpowiadają rozesłanym przez nas rysopisom, zatrzymały się tam w domku kempingowym. Dały w łapę hotelarzowi, żeby ich nie meldował.

— Skąd więc...

— Są jeszcze obywatele współpracujący z administracją. Tak. — Przez moment przyglądał mi się uważnie.

Nie wiem, dlaczego poczułem zimny pot na plecach. Może dlatego, że nigdy dotąd nie patrzył na mnie takim wzrokiem. Jego jowialna twarz zwężała się, a zza półprzymkniętych powiek mierzyło we mnie coś niesamowicie zimnego, ciemnego biblijną czernią. Niczym wyloty luf dubeltówki. Ferguson jakby coś rozważał. Trwało to ledwie sekundę, potem na jego twarzy pojawił się znów znajomy dobroduszny uśmiech.

— No nic! Odpoczywaj, przyjacielu, ja wrócę za jakichś sześć, siedem godzin. Nie chciałbym tylko, żebyś wychodził. Zresztą wkrótce ktoś tu do ciebie wpadnie.

— To zbyt bezpieczne, nie będę wychodził, jeśli tego sobie życzysz, Greg!

— Oczywiście, jednak muszę być absolutnie pewny twego bezpieczeństwa. — Jego słowom towarzyszył szcęk kajdanek zapinanych na moim przegubie i rurze od staromodnego grzejnika.

— Zwariowałaś, po co to robisz?

— W grę wchodzi bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych. A także twoje osobiste bezpieczeństwo. Żartów nie ma. Zresztą bardzo szybko przybędzie tu któryś z moich ludzi i cię rozkuje. Muszę upewnić się osobiście, czy naprawdę dorwali Dolores i Reginę Mirsky.

Wyszedł. Bez pożegnania i bez uśmiechu. Usłyszałem warkot zapuszczanego motoru i pisk opon.

*

Przez pierwsze piętnaście minut byłem wściekły. Wściekły na Fergusona, jego szefów, więcej powiem, wściekły na całą waszyngtońską administrację, nie wyłączając prezydenta, Senatu i Izby Reprezentantów. Jak mogli okazać mi taki brak

zaufania... Jak mogli... Poczynając od szesnastej minuty zacząłem jednak zadawać sobie inne pytania. Na jakiej podstawie miałem wierzyć we wszystko, co mi Ferguson opowiedział? Na moich oczach zabił z zimną krwią dwóch ludzi, wprawdzie nie byli oni aniołami i niejedną śmierć mieli z pewnością na sumieniu, ale byli to jednak ludzie. W zagadkowy sposób przeżył jatkę w Five Oaks' Farm. Odznaka Agencji Bezpieczeństwa Narodowego? Sam mógłbym sprezentować sobie taki znaczek, gdybym wiedział, jak wygląda. Jedno nie ulegało wątpliwości, bardzo chciał dorwać moją kochaną ciocię. Tylko co zamierzał zrobić z nami, kiedy już ją dorwie?

Zza drzwi usłyszałem skrzypienie schodów. Szarpnąłem kajdankami, ale rura ani drgnęła. Ktoś poruszył klamką. Zastukał. Wstrzymałem oddech, chociaż, logicznie rzecz biorąc, jeśli znajdował się tam ktoś postronny, to przecież powinienem krzyknąć i wzywać pomocy. Coś zazgrzytało w zamku. Wytrych? Jeszcze chwila i drzwi stanęły otworem.

— Boże, Andrzejku, jakież sadysta tak cię przykuł?

Co za ulga! Do łóżka podeszła ciotka Regina ubrana w spodnie, kowbojskie buty i kapelusz od Cejrowskiego z „WC kwadransu”. Postępująca za nią Dolores zamknęła drzwi i zajrzała do łazienki.

— Nie ma tam nikogo — powiedziałem.

Regina Mirska cmoknęła mnie w policzek.

— Zawsze lepiej się upewnić.

— A więc komunikat o waszej obecności w Yellowstone był fałszywy?

— Same żeśmy go nadały. Dzięki temu ten zbir, Ferguson, wróci najwcześniej za siedem godzin. A my już będziemy daleko.

— Mamy bilety na Alaska Airlines. Lot do Calgary jest za półtorej godziny — dodała Dolores.

— O ile do tej pory zdołacie mnie uwolnić!

— Nie ma problemu! — Ciotka przez chwilę przyglądała się ruzce wzrokiem zawodowego hydraulika, potem wzięła kryształową popielniczkę i rąbnęła nią w kolanko. Żeliwo rozsypało się w proch. — W tym miejscu była cała skorodowana — wyjaśniła.

Byłem wolny, mogłem odejść od ściany, chociaż stalowa bransoletka nadal tkwiła zaciśnięta na moim przegubie.

— Tym zajmiemy się później — powiedziała Dolores. — Teraz trzeba uciekać.

— Ferguson wspominał, że ktoś będzie miał mnie na oku — wszedłem jej w słowo.

— Myślisz o tym zezowatym rudzielcu, który akurat dopija trzecie piwo w barze na dole i wybiera się tu do ciebie? — Ciotka miała przymknięte oczy, jak podczas parapsychologicznego seansu, a twarz skupioną. — Musimy godnie go przyjąć, właśnie wchodzi na schody. Na szczęście nie wyjął ani nie odbezpieczył broni i niczego się nie spodziewa.

— Do diabła, ciotka jest jasnowidzem?

— Nie ja. Nie ja. Tylko dusza mojej kochanej Anusi, bez pomocy której dawno znaleźlibyśmy się w szponach łotrów. Niezależnie kimkolwiek by oni byli.

Przygotujmy się więc!

Zacząłem się za drzwiami i ledwo rudy zezol wszedł, walnąłem go w głowę wazonem. Nie miałem wprawy w ogłuszaniu zezowatych osobników. Zamiast w głowę trafiłem faceta w ramię, ten zaś, rycząc wściekle, odwrócił się, chcąc chwycić mnie za gardło, ale Dolores zwinnie wyrwała mu z kabury smith and wessona. Charakterystyczny szczęk zamka ochłodził temperament rudzielca.

— Co wy, ludzie? — zachrypiał. — Zwariowaliście, chciałem tylko przynieść panu Polakowi trochę piwa.

- W takim razie gdzie to piwo? — zapytała Dolores z nieodpartą logiką.
- Zaraz przyniosę...
- Może nie tym razem — przerwała mu ciotka. — Kładź się na brzuchu, a ty, Andrzejku, drzyj prześcieradło na pasy. Dolores, skoro jesteś pielęgniarką, musisz wiedzieć, jak się zakłada knebel.
- Oczywiście, miałam trzymiesięczną praktykę w zakładzie psychiatrycznym o zastrzonym rygorze. Tylko co dalej?
- Zapytaj go, czy ma samochód i gdzie są kluczyki? — Regina z papierosem w ręku zbliżyła się do krępowanego napastnika. Przetłumaczyłem pytanie, a od siebie dodałem puentę.
- Gadaj, bo ta pani użyje twego oka zamiast popielniczki.

9.

*Chciałaby dusza do raju — powiedział
sklepikarz, sprzedając żelazko
archaniołowi.*

Całą drogę do lotniska Regina Mirska terkotała zawzięcie, opowiadając o swoich przeżyciach z ostatnich trzydziestu sześciu godzin. Przytaczając jej relację, pomijam oczywiście wszelkie uwagi poboczne typu: „Jak jedziesz? Było ograniczenie prędkości, czy ta nyska (dla ciotki wszystkie wozy dostawcze to nyski) nas ściga? Dolores, nie jest ci niedobrze, dziecinko?”

Dokładnie w momencie, w którym razem z Dolores znalazła schronienie na wąskiej skalnej półce, dusza Anny Karpickiej nareszcie opuściła jej nieszczęsne ciało. Natychmiast odczuła to jej siostra bliźniaczka. Cała jej jaźń eksplodowała, a serce na moment zamarło. Jestestwo Mirskiej wydało się jej naraz rozdartą klatką, z której uciekł oszalały ptak. „Umieram!” — przemknęło jej przez myśl. Jednak prawie natychmiast, niczym cofająca się fala przyboju, przerażenie odpłynęło, a wnet zastąpił je niewypowiedziany spokój, wielki przyływ ciepła, miłości. I coś szepczące wewnątrz jej mózgu: „Jestem z tobą, Reniu!” Pojęła, co się stało. Łzy trysnęły jej z oczu i straciła przytomność.

— Mój Boże, pani mdleje — zawołała pielęgniarka. Rzeczywiście na krótką chwilę Regina straciła świadomość i nie zarejestrowała w swym umyśle obrazu eksplozji śmigłowca. A nawet gdyby, to uznałaby go za fakt zgoła drugorzędny. Odwrócona do świata wewnętrznego, doznała zgoła nieprawdopodobnego wrażenia — żalu splecionego z radością. Przez moment nie miała pewności, kim jest? Przeżywała przedziwne zespolenie z duszą Anny. Mogła widzieć świat z dowolnej perspektywy. Nie musiała zasypiać, aby zobaczyć, co rozgrywa się na farmie, być świadkiem działań Fergusona i trójki najemników kluczących po rezerwatowych bezdrożach, obserwować nadjeżdżające policyjne radiowozy i nieprzytomnego bratanka, którego dobroczynny nurt wynosi w oczerety poniżej kaskady. Wszystko to w parę minut. Wiedziała, że Anna umarła, ale przekazywane nadal impulsy przekonywały ją, że siostra jest szczęśliwa, że gotuje się na spotkanie Wiecznego Dobra i tylko miłość do ludzi pozostawionych tu, na Ziemi każe jej jeszcze przez krótki czas zajmować się sprawami tego świata... Regina ocknęła się, kiedy Dolores, pełna najgorszych obaw, masowała jej klatkę piersiową.

— Wszystko w porządku — rzekła. — Z pomocą Anusi wygramy tę partię.

Rzeczywiście, dzięki nadprzyrodzonemu wsparciu obie panie bez większych trudności ominęły wszelkie czyhające na nie pułapki i opuściły rezerwat. Przychodziło im to tym łatwiej, że informowana przez duch Anny o ludzkich aurach Regina potrafiła odróżniać osobników dobrych od złych.

Dolores nie odzywała się, wydawała się być nieobecna duchem. Moje pytania zaś obracały się wokół jednej podstawowej kwestii: Co właściwie było powodem tragedii na farmie?

— W pewnym stopniu my — westchnęła starsza pani. — Ja wypaplałam, a ty przetłumaczyłeś informację o umiejętności odróżniania przez Anusię ludzi dobrych od złych.

— I to miałyby być powodem?

— Dla złych na pewno. Zwłaszcza jeśli mogłoby zagrozić ich władzy, wpływom, karierze...

— Zaraz, zaraz! Myślałem, że wszystko zaczęło się od Tedesco i jego ludzi.

— Rzecz jest o wiele bardziej skomplikowana, Andrzejku, a Greg Ferguson stanowi do niej klucz.

— Właśnie, wie ciocia, kim on jest?

— Z grubsza. Moja siostrzyczka nie jest wszechmocna. Owszem, potrafi odróżnić dobro od zła. Może zobaczyć, co aktualnie dzieje się na świecie, może w pewnym stopniu przewidywać zdarzenia, jak również wypytywać zmarłych, ale nie ma możliwości przenikania do mózgow ludzi żyjących ani podsłuchiwania kodowanych rozmów telefonicznych.

— A w tej chwili? Nadal macie kontakt?

Regina przymknęła oczy i chwilę w skupieniu wsłuchiwała się w siebie.

— Tak, nadal mi towarzyszy, ale więź jest coraz słabsza. Anusia nieubłaganie odwraca się od spraw ziemskich. To silniejsze od niej. Zrozum, wprawdzie jej duch pozostaje w kontakcie ze mną, ale coraz mniej absorbuje go świat doczesny, kiedy tam, z zaświatów wyłania się ku niej twarz Boga.

— Ona widzi Boga?

— W każdym razie czuje, że się do Niego zbliża. Można wyobrazić sobie jej duszę na podobieństwo balonu na uwięzi. Jeszcze związany z przyziemnością, ale już, wypełniany gazem, wyrwa się ku słońcu. Moment startu nadchodzi. Dlatego nie mam wiele czasu. Póki jest ze mną, muszę wydobyć od niej maksimum informacji. A ta myśl, jakby tu najszybciej ująć pogoni tych strasznych ludzi.

— Fergusona?

— On nie działa sam.

— Podszywa się pod Agencję Bezpieczeństwa Narodowego.

— Wcale się nie podszywa. Jest rzeczywiście funkcjonariuszem Agencji Bezpieczeństwa. Otrzymał rozkaz zakończenia eksperymentu i zlikwidowania wszystkich osób biorących w nim udział. Nawet on był tym zaskoczony.

— Kiedy dostał ten rozkaz?

— W trakcie walki. Kiedy tylko zdołał wydostać się z rezydencji, natychmiast skontaktował się z centralą. Wtedy zażądali ostatecznego rozwiązania. I chociaż wariant taki na wypadek niekorzystnego obrotu spraw rozważany był już wcześniej, to Fergusona poinformowano o takiej ewentualności dopiero nad ranem. I stąd jego zdenerwowanie, którego nie był w stanie przede mną ukryć. Dopiero potem, przed ostatnim seansem doszedł do siebie. Chociaż Ania i tak go wyczuła. Wiesz, jakie było jej pierwsze zdanie? „Wokół nas jest śmierć”.

— Zapytała ją ciocia, komu ta śmierć jest pisana?

— Naturalnie. Odpowiedziała, że wielu, z nią samą włącznie. Radziła nam uciekać! I strzec się. Fergusona także.

— Ale kto z rządzących mógł podjąć taką zbrodniczą decyzję?

— Wiem, że bezpośredni zwierzchnik Fergusona porozumiewał się w tej sprawie z doradcą prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego.

Omam nie wypuściłem z rąk kierownicy.

— To niesamowite! Czy znacie motyw tego rozkazu?

— Nie. Mówiłam ci już, Anusia wprawdzie może żeglować duchem po całym świecie, ale nie jest w stanie odtwarzać tego, co było wcześniej. A śledzeniem Fergusona zajęła się zbyt późno. Myślała, że zawarte w nim zło jest innego rodzaju, że po prostu zazdrości Bentonowi... Dopiero wczoraj nad ranem pojęła, jakie zagrożenie stanowi jego osoba.

Nadal nic mi nie pasowało w tej historii. Jeśli Ferguson, tak jak mi mówił, od lat kontrolował poczynania doktora, to co spowodowało radykalną, wręcz paniczną zmianę jego postępowania? Fakt, że Benton zdecydował się ujawnić odkrycie podczas

publicznej transmisji? Chyba nie. Zdaniem ciotki, Ferguson domyślał się, że przekaz będzie mistyfikacją i że pod pracowników telewizji z Salt Lake City ktoś się podszywa. Czym wobec tego ryzykował? Transmisja miała trwać parę godzin. Przez ten czas siły specjalne mogłyby zjawić się na farmie, unieszkodliwić najemników i przejąć zarejestrowany przez nich materiał. Postawiony zaś w takiej sytuacji Benton musiałby się zgodzić na współpracę z agendami rządowymi.

Dlaczego zatem poniechano tego planu i zdecydowano się wymordować wszystkich uczestników eksperymentu?

Po prawie półgodzinnej dyskusji doszliśmy do wniosku, że lawina ruszyła po przesłaniu informacji (Ferguson miał nadajnik ukryty w piwnicach rezydencji) o ostatnich wynikach doświadczeń. Najwyraźniej z jakiegoś powodu uznano je za zagrożenie większe niż zyski, jakie można by osiągnąć, kontynuując badania. Sprawę musiała też skomplikować nasza ucieczka oraz przedwczesne rozpoczęcie się walki. Sytuacja wymykała się spod kontroli, a po przybyciu ludzi szeryfa i podążających w ślad za nimi reporterów tajemnica doświadczeń prowadzonych na farmie byłaby już nie do ukrycia. Mogliśmy domniemywać, że gdzieś na najwyższym szczyble ktoś wpadł w panikę i gdy Ferguson połączył się z centralą, otrzymał jednoznaczny rozkaz zabicia wszystkich świadków i zatarcia śladów.

— Tylko kto poczuł się aż tak zagrożony? I czym? — pytałem.

— Z tego, co zrozumiałam (Ania wyraża się na ten temat dość mgliście), chodzi o złych ludzi.

— Ale kim są ci źli ludzie? Jakies lobby związane z siłami bezpieczeństwa?

— Tu nie chodzi tylko o jakąś koterię czy przestępczą klikę. Chodzi o cały świat. Poczekaj, skoncentruję się — przymknęła oczy, a jej głos zmienił timbre i akcent. — Od początku dziejów ludzkości istnieje delikatna równowaga sił dobra i zła, z niewielką przewagą na rzecz dobra. Ale oto nadchodzi czas zła. Jeszcze w tym roku ma zostać podciętych sześć filarów harmonii i jeśli się nie uda temu zapobiec, otworzą się na oścież bramy Królestwa Zła. Czas Armageddonu jest bliski.

— Co ciocia gada? To brzmi jak tandetny horror!

— A ja w to wierzę — pielęgniarka nieoczekiwanie odzyskała mowę. — Od dawna mówią o tym wszystkie przepowiednie i Pismo Święte. Zbliża się dzień rozgrywki z szatanem. Jak przepowiadał Nostradamus, jak głosi prorocstwo świętego Malachiasza.

— Ale co my mamy z tym wspólnego? Czemu ci słudzy ciemności z taką zawziętością nas ścigają?

— Bo potrafię rozpoznać tych najgorszych — przemówiła znowu ciotka głosem Anny. — Tych, którzy są kroplą mającą przechylić szalę. Widzę ich twarze, znam nazwiska.

— Rany boskie! A więc to jakiś spisek? Ciociu! Ciociu Anno!

Szarpnąłem ją chyba za mocno, obudziła się i rzekła własnym głosem:

— Spisek? Za mało wiemy. Może są jeszcze inne elementy, o których nie mamy pojęcia. Jedno jest pewne: ktoś poczuł się zagrożony. I Ferguson wkroczył do akcji. Teraz do wyeliminowania zostaliśmy mu tylko my...

Pojawił się drogowskaz: „Airport 1/2 miles”.

*

W Calgary Kanada nie pachniała żywicą. Raczej typowymi dla wielkich metropolii spalinami i jesienną wonią opadających liści. Miejsce zimowej olimpiady z 1988 roku to spore miasto położone nieopodal Gór Skalistych z charakterystyczną dla

amerykańskich metropolii koncentracją wieżowców w „downtown” przypieczętowanych przez przypominającą odwrócony do góry nogami choinkowy szpikulec, wieżą telewizyjną. Podczas niezbyt długiego lotu milczeliśmy. Regina Mirska, pogrążona we śnie, prowadziła gorączkową naradę z siostrą, świadczyć mogły o tym skurcze twarzy, konwulsyjne drganie rąk, czasem zduszony jęk. Dolores nie spała. Najwyraźniej nadal nie mogła pogodzić się ze śmiercią Maksa. Zaczerwienione oczy wskazywały, że ukradkiem musiała sobie popłakiwać. Powiem szczerze, trochę byłem tym poirytowany. Zakochać się w takim safandule! Zaiste bożek miłości musi mieć duże i niebanalne poczucie humoru, skoro sprawił, że Maks, mając tak wspaniałą i uległą kochankę, poleciał na wątpliwe wdzięki telewizyjnego wycirusa! Niezbadane bywają ścieżki Kupidyna!

Abstrahując od tego, co roіło się błędzając skrajem rzeczywistości i transcendencji ciotce (może rzeczywiście wyobrażała sobie nas w roli zbawców świata), miałem zgoła inny plan: jak najszybciej znaleźć się w Polsce i modlić się, aby Ferguson i jego mocodawcy nie zechcieli nas ścigać.

Tymczasem w kasie na lotnisku w Calgary poinformowano mnie uprzejmie, że wprawdzie są jeszcze miejsca na samolot do Warszawy, odlatujący nazajutrz wieczorem z Montrealu, ale niestety nie ma już biletów na żaden z dzisiejszych lotów do Montrealu. Wolne miejsca, i to w bussines klasie, były tylko w samolocie odlatującym za piętnaście godzin. Perspektywa spędzenia tak długiego czasu w Calgary zdecydowanie mi się nie podobała. Czułem na plecach oddech Fergusona. A najemnicy? Być może też nas tropili. Ciotka, indagowana w tej kwestii, stwierdziła, że mamy jeszcze małą przewagę czasową, która jednak stale topnieje.

— Czy możesz się dowiedzieć, kto nas ściga i jakie ma plany?

— To za trudne zadanie, Anusia słabnie, przekazała mi jedynie, że Ferguson już wie o naszej ucieczce. Dużo gniewu, dużo strachu...

— Ale konkrety!

— Zajmujemy się czym innym. Zorganizowanie ucieczki to twoja sprawa.

Tymczasem panienska z kasy, sympatyczna Murzynka z wyraźną domieszką krwi indiańskiej, zrozumiała z naszej nerwowej wymiany zdań, że bardzo zależy nam na jak najszybszym odlocie. Przez chwilę biegała palcami po klawiaturze komputera, po czym oznajmiła triumfalnie:

— Są jeszcze miejsca na liniach lokalnych. Za czterdzieści pięć minut odlatuje samolot do Edmonton, tam po godzinnej przerwie złapałibyście państwo połączenie do Winnipeg. Potem tylko godzina oczekiwania...

— I lot do Montrealu?

— Nie, do Thunder Bay...

Nazwa nie wydawała mi się obca, przysiągłbym, że kiedyś już się z nią spotkałem, choć w obecnym stanie emocji nie potrafiłem przypisać jej do konkretnej prowincji kanadyjskiej. Thunder Bay? Dopiero na konturowej mapce wyłowilem niewielką miejscinę nad brzegiem Jeziora Górnego.

— Tam musieliby państwo przenocować, Air Canada może wam zapewnić nocleg w hotelu Ramada Inn — informowała dalej młoda czarnulka — a już o siódmej rano macie lot bezpośrednio do Montrealu i tam złapiecie samolot Polskich Linii Lotniczych. Czy to by państwu odpowiadało?

Naradziłem się z moimi towarzyszkami. Ciotka wyraziła zgodę. Też nie miała ochoty na spotkanie z agentami Agencji Bezpieczeństwa Narodowego USA. Znajdowaliśmy się wprawdzie w Kanadzie, ale czuliśmy, że granice nie stanowią specjalnych przeszkód dla naszych przeciwników. A tak przynajmniej oddalaliśmy się od nich.

Podczas kolejnych etapów podróży nie rozmawialiśmy zbyt wiele. Czas krótkich

przelotów wykorzystywałem głównie na sen, chociaż po każdej drzemce wydawało mi się, że jestem jeszcze bardziej niewyspany. Zresztą nie bardzo miałem z kim rozmawiać — Dolores pozostawała jakby nieobecna, zatopiona w swoich myślach, a ciotka niestrudzenie, niczym zawodowa stenotypistka zapisywała dziesiątki stron papieru listowego równymi rządkami nazw, nazwisk i chyba jakichś refleksji.

— Co tam ciocia tworzy? — zapytałem w końcu, gdy przekroczyliśmy progi hotelu Ramada Inn i znaleźliśmy się w holu, z którego przez panoramiczną szybę rozpościerał się widok na bezkresną połąć największego z Wielkich Jezior.

— Możesz to nazwać raportem. Ania przekazuje mi informacje na temat rozmieszczenia sił zła, podaje punkty jego koncentracji i wskazuje najważniejszych przywódców.

— Przywódców? Czy to oznacza, że istnieje jakaś organizacja?

— Chyba nie, jeszcze nie... Chociaż być może wspólnota interesów sprawi, że już wkrótce powstanie coś takiego. Teraz wydaje mi się, że owi superzli są raczej kondensatorami niegodziwości niż członkami jakiejś rzeczywiście istniejącej siatki. Działają autonomicznie, nie bardzo wiedząc, w jaką mozaikę ułożą się ich indywidualne plany. W każdym razie Anusia przekazała mi informację o sześciu ludziach, którzy do końca tego roku mają ostatecznie przeważać szalę na korzyść zła.

— Szalę zła w globalnej skali? I co miałyby nastąpić potem? Koniec świata?

— Nie wiem, co może nastąpić, Ania też nie ma pojęcia, mówi tylko, że jeśli niczego nie przedsięwziemy, definitywnie zostaną zaprzepaszczone szanse zaistnienia „cywilizacji miłości”, a ludzkość wkroczy w erę „cywilizacji śmierci”. Oczywiście jej animatorzy będą używać różnych kamuflujących terminów: kultura rozkoszy, kultura ostatecznego wyzwolenia jednostki, ale sens będzie jeden... Degeneracja gatunku, przynajmniej na obszarze cywilizacji zachodniej.

Nie miałem głowy do tych filozoficznych wynurzeń dobrych dla zwolennika ZChN-u, zresztą emocjonalnie bliższy był mi modny postmodernizm niż fundamentalny katastrofizm, toteż zdecydowałem się jej przerwać:

— Rzeczywiście prognozy wyglądają paskudnie, a przecież my nie mamy najmniejszego wpływu na to, czy się sprawdzą, czy też nie.

— Nigdy nie wiadomo, która kropla przeleje kielich, a która zapoczątkuje Amazonkę. My możemy być tą kroplą.

— My?!

— Przynajmniej powinniśmy spróbować. Opracowuję w tej chwili całościowy raport: najpierw opisuję przebieg doświadczeń z Anną i ich rezultaty, potem przedstawiam prawdziwą chronologię wydarzeń na farmie, wreszcie ujawniam zagrożenia i wymieniam nazwiska superzłych. Ty to przełożysz na angielski...

— Ja?

— ...a potem — ptasią twarz ciotki rozjaśnił płomień godny byłej aktywistki z organizacji Służba Polsce — dotrzemy z moim raportem do mediów, do władz mocarstw, do Kościołów różnych wyznań. Wszystkiemu jeszcze można zapobiec!

Poczułem kropelki zimnego potu pod koszulą.

— W życiu nie przyłożę do tego ręki! Niech ciocia wybije sobie z głowy podobne pomysły. To byłoby szaleństwo. Zwykli ludzie nas wyśmiejają, a tamci... Znajdą i zabiją.

— Sądzę, że jeśli zechcą, i tak nas znajdą.

— Tym bardziej nie możemy ich prowokować. Walka o wszechświatowe dobro? Od tego są prorocy, święci, aniołowie, wreszcie sam Pan Bóg, ja nie mam kwalifikacji Dawida do pojedynku z Goliatem.

— Boisz się? — syknęła nagle Dolores, wlepiając we mnie swoje wielkie czarne ślepie. — Ale czego właściwie się boisz, śmierci? Czy może w ogóle ryzyka? Ech,

Andrzeju! Czy nie rozumiesz, że największym ryzykiem jest właśnie nierobienie niczego?!

— Chce mi się spać — odburknąłem, znikając w swoim pokoju. — Pogadamy jutro.

Spałem może wszystkiego trzy kwadranse, kiedy tuż koło mego ucha rozdarł się wściekły dzwonek telefonu. Podskoczyłem na wysokość olimpijskiego skoku Jacka Wszoty.

— To ja — usłyszałem po podniesieniu słuchawki szept panny Ibanecz. — Obudziłam cię, prawda?

— Nic nie szkodzi. Wyspałem się podczas przelotów.

— A mogę na chwilę wpaść do ciebie, porozmawiać?

— Proszę cię bardzo — zmusiłem się do uprzejmości.

Przyszła ubrana jedynie w haleczkę, zastępującą jej koszulę nocną. Na wierzch narzuciła płaszcz. W ręku trzymała kupioną jeszcze w samolocie butelkę kanadyjskiej whisky. Butelka była mocno napoczęta.

— Napijesz się? — spytała lekko drżącym głosem.

— Nigdy nie odmawiam, zwłaszcza kobietom — odparłem, usiłując być miłym, chociaż w środku wzbierała we mnie wściekłość. Doskonale wiedziałem, w jakim celu do mnie przyszła. Będzie mnie agitować. Namawiać do wsparcia szalonych zamierzeń ciotki. Motywy, dla których gotowa była na nierówną walkę, akurat rozumiałem, co jednak nie znaczy, że je podzielałem! Pragnęła zemsty. Odwetu za śmierć Makska. Odczytałem to jeszcze wczoraj w jej oczach. I tu się różniliśmy. Ja tęskniłem za fordem transitem pana Leona z czerwonymi literami naklejonymi na białej masce: „Kabaret Wesoła Banda”. I dlatego zanim otworzyła usta, wiedziałem, że jej odmówię, że będę głuchy na jakiegokolwiek argumenty. Tyle że Dolores wcale mnie nie zamierzała agitować.

— Zimno mi — powiedziała, siadając na fotelu. — Mogę wziąć koc?

Nakryłem ją i nalałem dla nas dwojga. Piła wolnymi łykami, a jej ząbki uderzały o krawędź szkła. Z zimna czy ze zdenerwowania?

— Bardzo się boję, Andrzeju — powtarzała.

— Czego, dziewczyno? Jutro przekonam ciotkę, żeby zrezygnowała ze swoich poronionych pomysłów, polecimy do Polski, tam wystaram się dla ciebie o inne dokumenty. Ukryjesz się.

— Nie boję się śmierci — przerwała mi, drżąc nadal. — Wiem, że to nieuchronne. Boję się jedynie, że umrę nadaremnie. Że tam po drugiej stronie nie będzie na mnie czekał Maks. Nikt nie będzie na mnie czekał!

— A Bóg? Przecież wierzysz w Boga.

Westchnęła.

— Byłam taka grzeszna. Taka głupia. Pół roku temu mogliśmy mieć z Maksem dziecko. Powiedziała mi o tym. Przestraszył się gniewu starego, kazał mi je usunąć. Usunęłam. Zawsze go słuchałam. Chociaż dzisiaj już wiem, że to chyba nie była miłość, raczej fascynacja. Zachwyty biednej dziewczyny z emigranckiej rodziny zapatrzonych w splendor rodziny Bentonów. A ta przecież przenigdy by mnie nie zaakceptowała. Nie udało mi się życie, Andrzeju, nie udało.

Cóż miałem jej powiedzieć. Że i ja w swoim życiu poniosłem porażkę? Że związek z Magdą okazał się pomyłką, a w sprawach zawodowych wybrałem ścieżkę łatwizny i tak naprawdę nigdy nie zaznałem szczęścia.

— Jesteś młoda, czas goi rany. Jutro popatrzysz na to wszystko inaczej.

— Jutro mówisz?

— Jutro, pojutrze...

— A jeśli nie będzie pojutrze? Jeśli już nic nie będzie?! — załkała, koc i płaszcz

zsunęły jej się z ramion. Z ustami wygiętymi w podkówkę wyglądała teraz jak mała bezbronna dziewczynka. Zrobiło mi się jej żal.

— Nie płacz. Wszystko będzie dobrze! Spotkasz i szczęście, i miłość...

— Opowiedz mi o tym — szepnęła jak dziecko domagające się bajki.

— A więc — zmieniłem swój głos w dyskant staruszki — była sobie kiedyś śliczna i strasznie nieszczęśliwa dziewczynka... A świat był dookoła niegodziwy, szalała burza, a ona sama szła przez las pełen dobrych duchów i gadających kwiatów. — Improvizowałem tak przez kwadrans, a Dolores stawała się coraz spokojniejsza, jej twarz rozpogodziła się, oczy zwilgotniały, ale chyba nie z rozpaczy. — I zamieszkała na zawsze z wybranym krasnoludkiem, który choć nieduży, zapewnił jej miłość, bezpieczeństwo i codzienną porcję żartów...

Odprężyła się, ramiączko haleczki zsunęło się z jej ramienia, odsłaniając piersi. Chciałem odwrócić wzrok. Schwytała go swymi źrenicami.

— Bądź dla mnie dobry Andrzeju — powiedziała tkliwie. — Bądź dziś ze mną...

Wówczas nie wiedziałem, dlaczego się na to zdecydowała, dziś zresztą nadal tego nie wiem. Może Regina odsłoniła przed nią najbliższą przyszłość. Może naprawdę się bała i pragnęła zagłuszyć strach albo po prostu chciała mi zrobić przyjemność...

A ja jak miałem postąpić, co uczynić, poza przytuleniem tego smukłego, dygocącego ciała? Zrobiłem to po ojcowsku, nie mając w głowie żadnych podtekstów. Dawno pogodziłem się z myślą, że nie mam u niej szans. Jakież było więc moje zaskoczenie, gdy wtuliła się we mnie wcale nie jak córka. Gdy jej pełne, wilgotne wargi dotknęły mojej szyi, a koniuszek języka dotarł do małżowiny usznej.

— Dolores!

— Nie mów nic!

Niespiesznie całowała moje oczy, nos, usta, jak piesek liżąc mnie, ssąc, nadgryzając i pieszcząc otarciami policzków. Jednocześnie powolutku rozpiniała guziki mej koszuli. Jej paznokcie delikatnie przejechały po mych plecach. Nie zaprotestowała, kiedy zerwałem z niej haleczkę. A gdy byliśmy już całkiem nadzy, nie oddała mi inicjatywy. Całowała moje brodawki, brzuch. Czułem, że lada chwila eksploduję. Zauważyła to, zwolniła. Zasugerowała, abyśmy ułożyli się w figurze dopełnienia.

69! Nigdy nie kochałem się tak z moją Magdą. Przez wszystkie lata naszego związku pozostała pensjonarsko pruderyjna, majtki zawsze ściągała pod kołdrą i zanim do czegokolwiek doszło, żądała, żebym zgasił światło. Czy ze swoim dyplomatać esbekiem bywała równie powściągliwa?

I znalazłem się na skraju cieniściego wąwozu. Pachnącego delikatnie, tajemniczo, upajająco. Całowałem jedwabistą skórę ud poczynając od kolan, a te rozchyłały się przede mną jak dolina. W głowie szumiał mi wodospad pulsującej krwi, a ja szedłem łąką, jakże jedwabistą, w górę, ku kotlinie zacisznej. Zdało mi się, że na moment zniknął świat zewnętrzny i nie ma innych obrazów, dźwięków i impulsów, a jedynie my dwoje, skoncentrowani na sobie, w siebie wkochani... I natrafiłem na źródło życia i prapoczątku. Zanurzyłem się w tej wilgoci jak utrudzony wędrowiec dopadający wodopoju. Orzeźwiałem się jego dobrodziejstwem, głęboko, w pełni. A smak miał ten zdrój, ten najbardziej naturalny z naturalnych afrodyzjaków przedziwny, jedyny w swoim rodzaju — słodko upajający, oszałamiający.

Przestała pieścić mnie ustami.

— Chodź, chodź ze mną do lasu. — I padła na poduszki pełna oddania, a ja wszedłem w tę leśną głębię, wilgotną, świeżą, niczym ogrodnik śmiałym sztychem łopaty w wiosenny czarnoziem. Matecznik zamknął się wokół mnie, otoczył mnie rozkosznym, ciasnym kręgiem wspólnej tajemnicy. I podążałem w ten rajski ostęp, jak ów pasterz w Salomonowej *Pieśni nad pieśniami*, skacząc po górkach i podskakując

na pagórkach. Jej sutki jak dwoje bliźnięt sarnich, które wyszły z kąpieli, drażniły się z moimi piersiami. Jej ramiona, szyję, twarz ogarnął łososiowy pąs, oczy miała szeroko otwarte, a na ustach igrał uśmiech psotnego dziecka, które doskonale wie, że kradnie niedozwolone łakocie, ale jest szczęśliwe, bo wie, że nie spotka go żadna kara. Zapominając o groźbach, złych wróżbach, strachach, wznieśliśmy się niczym na latającym dywanie ponad rzeczywistością. I byliśmy żywiołem — sumą żywiołów...

Przyspieszyłem rytm. Przemierzałem leśną przesiekę długimi, posuwistymi szusami od krańca do krańca. A jej mikrokosmos napierał na mnie wpółomdlały, acz żądny rozkoszy. Reszta świata zgubiła się gdzieś w symfonii szeptów, oddechów, przechodzących w krzyk. I widziałem już tylko oczy Dolores, dwa księżycy w pełni, usta rozchylone, wołające coś po hiszpańsku. I targnęło nami spełnienie wielkie, ostateczne. Radość zespolona z zadziwieniem, że to, co przeżywamy, jest możliwe, że zdarza się naprawdę.

— Dziękuję — powiedziała, gdy znów leżeliśmy obok siebie w zmierzwionej pościeli, a świat wracał do nas ze swoimi wytapetowanymi ścianami, sufitem i wirującym światłem kinkietu. Z jej oczu płynęły łzy. — To ze szczęścia, Andrzejku. Wiesz, moglibyśmy się kochać całą wieczność.

— I będziemy! — zapewniłem żarliwie.

Pocałowała mnie delikatnie.

— Śpij, wypocznij, musisz być silny — powiedziała.

A potem odwróciła się tyłem, przywarłem do niej. I wpasowani w siebie usnęliśmy, trzymając się za ręce. Marzyłem o tym, żeby ta noc trwała wiecznie w tysiącu odcinków podobnych, a zarazem cudownie odmiennych. Nie wiem, kiedy zniknęła. W każdym razie nad ranem już jej nie było.

*

Punktualnie o szóstej spotkaliśmy się przy recepcji. Dolores wyglądała spokojnie, choć znów smutno. Ciotka za to była zdenerwowana bardziej niż zwykle. Zmierzwione siwe włosy nadawały jej wygląd przepiórki po przejściu trąby powietrznej.

— Jakie wieści od Ani? — spytałem.

— Kontakt się urwał — oświadczyła lakonicznie. Potem wyciągnęła plik kartek.

— Weź je!

— Niech je lepiej ciocia trzyma przy sobie, ja wszystko gubię — wykręciłem się. Tylko westchnęła.

Zapłaciłem za pokoje. Obie panie wyszły do taksówki. Ja podszedłem do szyby jeszcze raz popatrzeć na ogromne jezioro. W głębi obok pomostu niewysoki mężczyzna w skórzanej kurtce stał, obserwując hotel i palił papierosa. Chyba zorientował się, że go zauważyłem. Cisnął niedopałek na ziemię i zmiażdżył go obcasem.

*

Lotnisko w Thunder Bay nie należy do gigantów. Ot, prowincjonalna, choć czysta dziura w samym środku kontynentu. Ponieważ oprócz bagażu podręcznego nie mieliśmy ze sobą niczego, nasza odprawa odbyła się błyskawicznie, tylko podczas przepuszczania toreb i płaszczy przez lotniskową prześwietlarkę rozsypał się ciociny manuskrypt. Chciałem krzyknąć, aby obyczajem aktorów przydeptała go, ale dzieliło nas w tym momencie kilku pasażerów. Dopiero po przejściu przez bramkę

zauważyłem, że jedna ze stron rękopisu leży na podłodze. Podniosłem ją, a ponieważ ciotka już zniknęła z mego pola widzenia, machinalnie złożyłem kartkę na czworo i wsunąłem do kieszeni. Potem pomogłem Dolores, która przechodząc przez bramkę, co rusz uruchamiała brzęczyki. Winowajcą okazała się ciężka metalowa bransoleta.

Po pół godzinie oczekiwania ogłoszono, że samolot przyleciał z Vancouver z piętnastominutowym opóźnieniem i o tyle samo odwlecze się moment startu. Postanowiłem wykorzystać ten czas na wizytę w toalecie. Żołądek najwyraźniej miał dosyć nerwowych zdarzeń.

— Zaraz wrócę — powiedziałem do Reginy siedzącej na kolorowej ławeczce. Nie odpowiedziała, z ruchu warg wywnioskowałem, że się modli.

Za to Dolores podniosła się i zrobiła za mną parę kroków.

— Wiesz, Andrzeju, zasługujesz na miłość, na bardzo wielką miłość — powiedziała.

— Tylko z tobą!

W kabinie zmitrężyłem zaledwie kilka minut, spuściłem wodę i zapinałem właśnie spodnie, kiedy usłyszałem dziwny dźwięk, coś jak tupot bosych stóp po posadzce, potem szmer wody z kranu, jakieś dziwne pacnięcie i znów tajemniczy trucht. Otworzyłem drzwi i zbaraniałem — oto przy wyjściu dostrzegłem moją maleńką Cyganeczkę, tym razem wyglądającą na bezdomne dziecko indiańskie. Skoczyłem na nią z zamiarem pochwylenia jej i wypytania, co właściwie tutaj robi, ale — trzeba pecha — noga moja trafiła na porzucone mydło, wpadłem w nie kontrolowany poślizg i z pełnym rozpędem tryknąłem łbem w ścianę, a ściślej mówiąc, w pudło automatu z prezerwatywami.

Mrok!

*

Nie wiem, jak długo leżałem na podłodze toalety. Ocknąłem się ze wściekłym bólem głowy, zamglony obraz kiblowego wnętrza tańczył wokół mnie, na dodatek pokrywał mnie śnieg prezerwatyw. Strząsnąłem je z siebie i usiłując odzyskać ostrość wzroku zerknąłem na zegarek. 7.22. Leżałem nieprzytomny blisko pół godziny. Boże! Mój samolot!

Wbiegłem do szklanego boksu poczekalni. Świecił pustkami, zniknęli pasażerowie i personel kontrolny. Dobięgam szyby. Wielki DC-10 zdawał się przecineczkiem na krańcu pasa.

Zostawiły mnie? Naprawdę mnie zostawiły? — powtórzyłem w osłupieniu. Niczego nie rozumiałem. Jak mogły mnie zostawić, przecież wiedziały, że poszedłem do toalety. Mogłem tam zasłabnąć, więc czemu nikt mnie nie szukał? Zabrały ze sobą moją torbę, bilet, paszport. Na miłość Boską, jak mogły tak postąpić?

Wtem otworzyła mi się komóreczka w mózgu, a gardło ścisnęła lodowata dłoń strachu. Nie. Nieeee!

Samolot właśnie ruszył, błyskawicznie nabierał tempa. Sto metrów przed pawilonem lotniska oderwał się od pasa, szybko unosił się do góry. Pierwsza detonacja nie była wielka. Możliwe, że oprócz mnie nikt jej nie usłyszał. Druga, ułamek sekundy potem, była przepiętna. McDonell — Douglas zmienił się w świetlistą kulę, która prawie natychmiast rozpadła się na parę mniejszych... Spóźniony huk eksplozji targnął lotniskiem. Posypały się szyby, zawyły syreny alarmowe. Opadłem na kolana. Obręcz rozpaczy miażdżyła mi mózg. Nie, nie, to niemożliwe. Nie!

Nie pamiętam, w jaki sposób wyszedłem na zewnątrz, jak nie indagowany przez

nikogo znalazłem drogę w stronę miasta. Prawdopodobnie sprzyjał mi kosmiczny bałagan, który zapanował na całym lotnisku. W każdym razie pamięć wróciła mi dopiero po dłuższym czasie, pamiętam, że stałem na jakimś mostku i płakałem. A potem, szukając chusteczki, sięgnąłem do kieszeni.

Kartka była zapisana do połowy. A właściwie znajdowało się na niej tylko sześć nazwisk w słupku, wypisanych drukowanymi literami. Przy każdym ciotka postawiła zamaszty wykrzyknik. Pierwsze z nazwisk nie było mi obce: Harry Meyerhold, prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa... Zwierzchnik Fergusona. Pozostałe brzmiały międzynarodowo:

Bo Syn Wun
Patrick Prescott
Wasył Łazarienko
Gilbert Seguin
Filip Wonder

Najciekawiej jednak przedstawiał się dopisek; na tle drobnego pisma Reginy Mirskiej energicznie nakreślone litery zdawały się krzyżeć:

NADZIEJA? — Maciek Pawlik. Chłopiec, który jest inny.

Dygresja 1. Jamajka

*Trop trupów prowadzi do tropiku —
wyznał strapiony traper.*

Mierzeja Port Royal, zwana Palisadą, przypomina zdruzgotaną mackę jakiegoś olbrzymiego owada. W połowie jej długości, na wprost położonego po przeciwległej stronie zatoki centrum Kingston znajduje się Norman Manley International Airport — główne lotnisko Jamajki, ale kręta, mocno zdewastowana i praktycznie nie oświetlona droga prowadzi na sam cypel, na którym rozpościerają się ruiny fortu Karola, starej kolonialnej fortyfikacji, wsławionej faktem, że przed dwustu laty odbywał tam staż marynarski admirał Nelson. Opodal przy kilku wąskich uliczkach tłoczą się domki biedoty i resztki brytyjskich willi kolonialnych, których od trzydziestu lat nikt nie remontował, a ubytki w kutych kratkach i eleganckich ongiś ogrodzeniach wypełniono blachą falistą, kawałkami starych łóżek czy resztkami karoserii. Znajduje się tam również niewielka przystań promowa, przy której największą atrakcją jest smażalnia ryb skonstruowana z kartonowego daszku i starej felgi zastępującej palenisko. Nieco w prawo od głównej drogi wznosi się Morgan's Harbour Hotel, obszerny pensjonat stylizowany na dwór kolonialny, z otwartym na przestrzał holem, którego główną ozdobą jest wiszący nad drzwiami obraz olejny przedstawiający kapitana Morgana. Słynny ów pirat był przed laty, jak twierdzą podania, właścicielem tej posiadłości. Innych pamiątek po tym siedemnastowiecznym gubernatorze Jamajki niestety nie ma, natomiast przy hotelowym mołu zawsze stoi przycumowanych wiele jachtów i luksusowych łodzi wynajmowanych przez gości pragnących zmierzyć się z marlinem lub zapolować na *reef-sharka* czy królewską barrakudę. Tej nocy hotel świecił pustkami, chociaż wedle informacji biur Cooka, Delta Travel i Jamaica Tourist Board wszystkie miejsca zostały wyprzedane.

Około pierwszej w nocy zdezelowana taksówka, zatoczywszy łuk na podjeździe, zatrzymuje się przed frontowymi drzwiami. Dwóch snajperów rozlokowanych na drewnianych galeriach ożywia się, ale natychmiast niski głos w słuchawkach rozprasza ich obawy.

— Numer 3 przybył.

Piękna czarnoskóra hostessa wychodzi powitać przybysza. Wiekowy portier, którego twarz przypomina doskonale wysuszoną śliwkę, rusza po bagaż. Jednak przybysz, nieduży, okrągłolicy Azjata w okularach nie ma żadnego bagażu. Towarzyszy mu za to muskularna Koreanka o surowej „twarzy jakby pochodzącej z eposu rycerskiego dla niewyżytych feministek.

— Witam czcigodnego, sir Patrick czeka na pana nad basenem — mówi śpiewnie hostessa.

— Siła i seks niech będą z tobą, siostró — odpowiada Bo Syn Wun.

Nad basenem, popijając campari, oczekuje go dwóch mężczyzn. Gospodarza, Patricka Prescotta rozpoznaje od razu. Któż nie znałby najwybitniejszego ze współczesnych playboyów, właściciela niezliczonych magazynów erotycznych, kasyn, wytwórni filmowych, sieci kablowych i stacji telewizyjnych. Prescott na oko liczy trzydzieści kilka lat, choć musi być znacznie starszy. Na jego ciele nie ma jednak grania tłuszczu, a z twarzy emanuje energia i bezwzględność.

Rozpusta konserwuje, komentuje w duchu Koreańczyk.

Bo Syn Wun nie wygląda na arcykapłana, a przecież jest zwierzchnikiem Najwyższej Świątyni Kultu Ziemi i Ognia, która od paru lat zajmuje się jednoczeniem

rozmaitych sekt i tajnych kultów, a w szczególności gmin satanistycznych, niedobitków japońskiej Najwyższej Prawdy i rosyjskiego Białego Bractwa, dysydentów od Moona, a ostatnio wyraźnie kokietuje rozłamowców z kościoła scjentologicznego. Nawiasem mówiąc, wielu członków tych wspólnot, przekonanych o własnej autonomii, nawet nie wie o istnieniu centrali kierowanej przez operatywnego Azjatę.

Towarzysz Prescottta nie ma aż tak znanej twarzy, ale oczywiście pan Bo Syn Wun wie, z kim ma do czynienia; baron Gilbert Seguin, francuski intelektualista, przez czas jakiś jeden z przywódców Frontu Lewicy, obecnie niezależny poseł do parlamentu europejskiego, jest *de facto* mistrzem Wielkiej Łoży Zachodu, nowej tajnej organizacji postmasońskiej, o której istnieniu wie zaledwie kilku wybitniejszych prominentów światowego wolnomularstwa.

— Widzę, że nie jestem ostatni — uśmiecha się Wun, wymieniając uściski przyjaźni. — W zaproszeniu wspomniano, że będzie nas szóstka.

— Biskup Wonder zaraz przybędzie, przedłużyło mu się spotkanie z biedotą w slumsach Kingston — odpowiada Prescott. — Doktora Meyerholda oczekujemy w każdej chwili, nie mam natomiast żadnego sygnału od naszego gościa z Rosji. I trochę to mnie niepokoi.

W tym samym czasie około mili od brzegu wynurza się wieżyczka prywatnej łodzi podwodnej, odkupionej za grosze od rozpadającej się floty czarnomorskiej, z przeznaczeniem na złomowanie. Na wodę spuszczonego zostaje ponton wyposażony w nieduży, ale bardzo wydajny silnik. Obok Wasyla Łazarienki w pontonie zajmują miejsce jego dwaj wierni goryle, specjaliści od prostego rozwiązywania trudnych problemów — Igor i Aleksandr. Na tle rozświetlonego Kingston ciemny cypel Port Royal przypomina uśpionego krokodyla.

— Ruszajmy — komenderuje nieformalny boss światowej mafii, a w wolnych chwilach bliski doradca rosyjskiego ministra finansów. — Mamy kwadrans opóźnienia.

Ponton dobiega do brzegu w momencie, gdy na opróżnionym z samochodów podjeździe ląduje śmigłowiec ze znakami amerykańskich sił powietrznych, z którego wyskakuje dwóch mężczyzn. Senator Harry Meyerhold, doradca prezydenta USA do spraw bezpieczeństwa narodowego i jego wypróbowany współpracownik, agent Greg Ferguson. Gdy w parę minut później dołącza do nich Filip Wonder, w złachanej sutannie, której miejscowi wyznawcy omal nie podarli na relikwie, można powiedzieć, że są w komplecie. Portier o pomarszczonej twarzy i charakterystycznym znamieniu na czole, który właśnie zabrał się za zmiatanie westybuli, uśmiecha się pod nosem.

— Nareszcie!

*

— Panowie — zagaja Meyerhold swym dźwięcznym głosem, którym tylekroć zdarzało mu się uwodzić swych wyborców i dzięki temu dwukrotnie wejść w skład Izby Reprezentantów, a ostatnio objąć fotel senatorski, chociaż ten ostatni na krótko, bo zaledwie trzy miesiące temu, ku zaskoczeniu opinii publicznej i swych najbliższych współpracowników, prezydent powołał tego senatora z opozycyjnej partii na swego oficjalnego doradcę do Spraw Bezpieczeństwa Narodowego. Media spekulowały, że wraz z pogarszającym się stanem zdrowia wiceprezydenta już niedługo Harry może być mурowanym kompromisowym kandydatem na stanowisko drugiej osoby w państwie. Ani prezydent, ani Meyerhold nie zdementowali tych

pogłosek. — Panowie — powtarza Czysty Harry (jak lubi nazywać go prasa) — zapewne wielu z was zaskoczonych było trybem oraz nagłością mojego zaproszenia. Dotąd nigdy nie spotkaliśmy się w tym gronie, nie utrzymywaliśmy ze sobą żadnych kontaktów, a w paru przypadkach nie bardzo wiedzieliśmy nawet o swoim istnieniu.

— Pan z racji swych obowiązków zna chyba wszystkich — wtrąca cichutko zwierzchnik Najwyższej Świątyni. Meyerhold kwituje uwagę uśmiechem.

— Jeśli pozwolicie, nakreślę pokrótce powód naszego spotkania. Choć wymagać to będzie dłuższego wyjaśnienia. Otóż od pewnego czasu w stanie Wyoming grupa naukowców prowadziła na własną rękę pewne... nazwijmy to... niekonwencjonalne badania, mogące mieć doniosłe znaczenie dla całej ludzkości.

— Na własną rękę? — Łazarienko marszczy krzaczaste brwi upodabniające go do młodego Breżniewa. — A co na to władze?

— Żyjemy w wolnym kraju! Naturalnie wszystko znajdowało się pod naszą kontrolą — uspokaja go Meyerhold. — Tu obecny Greg Ferguson, mój przyjaciel i wieloletni współpracownik, należał do tamtejszego zespołu badawczego. Niestety dowiedzieliśmy się, że z jednej strony wynikami badań zainteresowały się siły dążące do zachwiania podstawami światowej stabilizacji, a z drugiej badane osoby, niezwykle uzdolnione parapsychologicznie, zaczęły przekazywać informacje mogące zagrozić fundamentom współczesnej cywilizacji.

— To znaczy? — baron Seguin unosi arystokratyczną czaszkę niczym nasłuchująca sarna.

— Odkryto sposób rozpoznawania ludzi dobrych i złych, ocenianych zresztą w obrzydliwie fundamentalistyczny sposób. Groziło, że dojdzie do nie kontrolowanego upowszechnienia wyników, co mogłoby się skończyć, krótko mówiąc, nawrotem średniowiecza.

— Proszę mówić jaśniej — rozbrzmiewa śpiewny głos nigeryjskiego biskupa. — Co znaczy rozróżnianie dobra i zła, czyż nie są one w dzisiejszym świecie kompletnie pomieszane?

— Nie jestem teologiem, wielobny biskupie, ale medium dość arbitralnie rozpoznawało aury: dobrą i złą. Groziłoby to wybuchem zbiorowego obłędu. Moi ludzie dokonali symulacji ewentualnych następstw. Najpierw nazwano by wszystkich nonkonformistycznie myślących ludzi zwolennikami szatana, a potem rozpoczęłyby się największe polowanie na czarownice w historii... Najwybitniejsi myśliciele, twórcy kultury, politycy zostaliby poddani weryfikacji według archaicznych kryteriów dekalogu.

W ciszy wypełnionej jedynie dźwiękiem cykad słychać tylko gniewne parsknięcie Prescottta.

— Czy nie maluje pan zbyt katastroficznej wizji? — odzywa się Seguin. — Nawet jeśli te rewelacje przebiłyby się przez środki masowego przekazu, które przecież w większości kontrolują ludzie rozsądni i postępowi, kto dałby im posłuch?

— Świat jest pogrążony w kryzysie! — w sukurs Meyerholdowi przychodzi Bo Syn Wun. — Istnieje w społeczeństwie głód nadzwyczajności i potencjał skumulowanej agresji. Jeśli znajdzie się ktoś obdarzony odpowiednią charyzmą i potrafiący wykorzystać wyniki owych quasi-naukowych badań wezwie ludzi do jakiejś wewnętrznej krucjaty, to na rezultaty długo nie będziemy czekać.

— Ale co ma to wspólnego z nami? — niecierpliwi się Łazarienko. — Ja osobiście nie mam żadnych trudności, jeśli potrzebuję wsparcia ze strony Cerkwi dla jakichś moich działań.

— Nie ja ustalałem skład naszego grona — odpowiada Harry. — I nawet zastanawiałem się, dlaczego ktoś połączył nas na tej liście? Przecież nie tylko dlatego, że wszyscy jesteśmy ludźmi sukcesu. Poza tym z całkiem innego źródła otrzymałem

informację, że albo zaczniemy współdziałać, albo nikt z nas nie dożyje do końca roku.

— Czy wynika to z horoskopów czy z raportów tajnych służb? — pyta Wonder.

— Powiedzmy... powiedzmy, że mamy pewne niekonwencjonalne źródło informacji dotyczących przyszłości.

— Komputer o imieniu „Kasandra”? — pyta ironicznie Seguin.

— Nie użyłbym akurat tego imienia — Meyerhold spogląda wymownie na Fergusona, a ten natychmiast przypomina sobie COŚ, co leży na dnie lochu w Spanish Town i uśmiecha się kącikami ust. Senator zaś kontynuuje: — W każdym razie wobec realnej możliwości wymknięcia się spraw spod kontroli z wielkim bólem serca podjąłem decyzję o zakończeniu eksperymentu i rozwiązaniu zespołu badawczego.

— Fizycznie? — pyta dociekliwy Łazarienko.

— W sposób odpowiedzialny. Bez angażowania służb. Z farmy uciekły wprawdzie trzy osoby, ale niezbyt daleko. Cała trójka zginęła w katastrofie na lotnisku w Thunder Bay. Greg był na miejscu i może ten fakt potwierdzić.

— Nikt z pasażerów nie przeżył wybuchu bomby, która eksplodowała w luku bagażowym zaraz po starcie samolotu.

— A zatem skoro problem został rozwiązany, jaki jest powód naszego spotkania?

— odzywa się kapłan Najwyższej Świątyni. — Poza tym co my mamy ze sobą wspólnego? My, ludzie różnych zainteresowań, profesji, wywodzący się z zupełnie innych kręgów kulturowych?

— Wiemy, że jedna z uciekinierek opisała cele i przebieg całego eksperymentu. Wiemy o tym, bo na papierze listowym hotelu Ramada Inn w Thunder Bay zachował się odcisk ostatniej strony jej raportu. W gruncie rzeczy ograniczał się on do nazwisk. Naszych nazwisk. Dlaczego akurat naszych, nie wiem.

Zapada cisza. Prescott rozlewa wino do kieliszków. — Być może wszystkie te zapiski zostały zniszczone w trakcie eksplozji — kontynuuje Meyerhold. — Mogły jednak zostać wysłane, a tej ewentualności nie da się przecież wykluczyć, gdzieś pocztą lub faksem. Nasza ekipa zjawiła się na lotnisku dopiero po paru godzinach i miała ograniczone możliwości działania. Choć do wczoraj o raporcie było w mediach głucho, to kto wie, co stanie się jutro, pojutrze... I dlatego zaprosiłem panów, abyśmy, jako najbardziej zainteresowani, razem ustalili strategię postępowania. Na wypadek, gdyby ktoś wszedł w posiadanie zapisków pani Mirsky, tego świętej pamięci medium.

— No, dobrze, ale dlaczego akurat my znaleźliśmy się na tej liście? — mruczy Łazarienko.

— Jeszcze raz powtarzam, nie mam pojęcia. Może uznano nas za najbardziej przyszłościowych ludzi tego świata, a może nasza praca i poświęcenie dla dobra ludzkości jest komuś nie w smak.

Gdzieś w głębi ducha prezydencki doradca czuje podziw dla samego siebie. Jak przekonująco scharakteryzował sytuację, nie mówiąc najważniejszego. Ann Karpicky i ludzie z farmy musieli zginąć również dlatego, bo ostatnia wiadomość przekazana przez monstrum ze Spanish Town została rozszyfrowana jako memento — nie chodziło o dość enigmatyczne zagrożenie życia całej szóstki, to przede wszystkim on, Harry Meyerhold, miał stracić władzę, a prawdopodobnie i życie za sprawą „podwójnej kobiety ze Wschodu, co zwie się ryba, która widzi, gdzie czern, a gdzie biel i otworzy drzwi świata na wielką jasność”.

— Tak więc, panowie, skoro zostaliśmy już złączeni za przyczyną czyichś wizji, wspierajmy się, a z pewnością nikt nam nie da rady.

Stary portier słyszy te słowa wyraźnie i zaciera ręce. On jeden wie, dlaczego cała szóstka z listy Reginy Mirskiej spotkała się właśnie dziś w Morgan's Harbour Hotel. I dlaczego on również się tu znalazł.

*

Mussa urodził się w okrągłej chałupce o dwa kroki od totemu z czaszką nosorożca. Jako syn wioskowego szamana do trzynastego roku życia nie zaznał głodu ani cierpienia. Rósł beztrudnie w przekonaniu, że jego świat, ograniczany przez morskie wybrzeże, rozlewiska rzeki i wyżynną sawannę, jest najlepszy z możliwych. Cała jego rodzina należała do starszyny plemiennej i w równym stopniu była odpowiedzialna za proceder, który zmienił wielowiekową koegzystencję murzyńskich szczepów na Wybrzeżu Niewolniczym. Przyplływający na pokładach wielkich skrzydlatych łodzi biali obsesyjnie pożąдали dwóch rzeczy: złota i niewolników, oferując w zamian broń, narzędzia, tkaniny i alkohol. Kto współpracował z przybyszami, zostawał myśliwym; kto się uchylał — zwierzyną łowną. Mussa podświadomie czuł, że nie jest w porządku, jeśli czarni dla białych polują na czarnych, ale wszyscy dorośli w szczepie akceptowali ten układ. O tym, jak zdradliwy był ich partner, cała wioska miała przekonać się dość szybko. Pewnego dnia łowcy niewolników nie dostarczyli na czas hebanowego towaru. Angielski kapitan nie miał zamiaru odpływać z pustymi ładowniami. Zażądał dostarczenia na pokład współplemieńców Mussy, a gdy starszyna odmówiła, wioska została zaatakowana. Artyleryjski ostrzał rozpoczął się tak nagle, że nie sposób było wezwać na pomoc Moce lub uciec się do czarów, w których powodzenie Mussa święcie wierzył. Dysponujący armatami i muszkietami biali mieli druzgocącą przewagę. Mussa widział na własne oczy śmierć swego ojca, matki, braci. Na polecenie dziadka szamana ukrył się w spróchniałym pniu, ale i tam wytropiły go psy. Spętany jak zwierzę znalazł się pod pokładem żaglowca noszącego poetycką nazwę „Golden Swallow”. Tylko jedno mu się udało. Zanim go pojмали, zdołał połknąć niewielką złotą bryłkę w kształcie łyżki, pokrytą znakami z czasów tak pradawnych, że nikt nie znał ich sensu. Mussa wiedział, że zarówno jego dziadek, jak i pradziadek traktowali tę bryłkę jak największy skarb. Skarb, ale nie świętość! W złotej łyżce kryło się bowiem Zło. Zło ponoć starsze niż dzieje ich szczepu, a być może starsze niż ziemia, po której stąpali. Zło, które można było niekiedy wykorzystywać, ale którego nie wolno wyzwolić. Dziadek twierdził, że raz w trakcie rytualnego tańca udało mu się ujrzeć obraz zaklęty w łyżce — obraz Ziemi zaludnionej przez wielkie gady i złe duchy! W trakcie swej edukacji Mussa poznał większość zaklęć związanych z amuletem, wiedział też, czego potrzeba złotej łyżce — świeżej ludzkiej krwi. Zawsze z nieodmienną fascynacją obserwował rytuał odprowadzany przez jego ojca i dziadka — trzeba było nalać odrobinę krwi na muszlę, a potem włożyć do niej bryłkę. I bić w tym momencie w mały bębenek obciążony małpią skórą. Nigdy nie zdołał zaobserwować, w jaki sposób łyżka pochłania krew. W każdym razie zawsze nim dokończyli modły, muszelka była czysta.

Połknięcia amuletu omal nie przypłacił życiem. W trakcie wędrówki bryłki przez jelita trawił go żywy ogień. A ból odbytu porównywalny był chyba tylko z cierpieniem skazańca wbijanego na pal. Ale przetrzymał, nadto łyżka była zbyt inteligentna, aby zabić swego małego strażnika i stać się wraz z jego ciałem karmą rekinów. Toteż zawarli swoisty pakt o współpracy. Po wydaleniu Mussa ukrył bryłkę w szczeliny między deskami ładowni i starał się możliwie regularnie ją karmić, gdyż głodna wpadała w nerwowe wibracje napełniające go przerażeniem. Początkowo krwawego pokarmu nie brakło, wśród niewolników było wielu rannych, a amulet nie gardził osoczem i limfą. Młody Murzyn czuł, że między nim a złocistą kroplą tajemnicy nawiązało się prawdziwe przymierze. I rzeczywiście łyżka potrafiła być na swój sposób wdzięczna, reagowała na zaklęcia, które szeptał, uważając

wszakże, aby nie wypowiedzieć najstraszniejszego. Nawet dziadek, ucząc go formuł, recytował tekst od końca, zmieniając ponadto kolejność poszczególnych fragmentów, aby przypadkiem nie przywołać Wielkiego Zła.

Na statku Mussa poprosił łezkę o pomoc tylko dwukrotnie. Raz jej mroczną siłę poznał chłopiec okrętowy, wyjątkowo złośliwy szczeniak przynoszący im pożywienie — pewnej spokojnej, bezksiężycowej nocy porwała go w odmęty nągła, niespodziewanie wysoka fala. Drugą ofiarą zakłęb stał się bosman, który z lubością wyciągał z ładowni młode Murzynki i zabierał je na górny pokład. Którejś nocy roztrzaskała mu głowę oblużowana reja...

Trzy dni później okrzyki z górnego pokładu zwiastowały, jakieś doniosłe wydarzenie. Mussa nie rozumiał wówczas tych słów. Ale zapamiętał je do końca życia. Brzmiały one: „Ziemia, ziemia”. W parę godzin później ustało kołysanie i rozległ się dźwięk łańcucha kotwicznego. „Golden Swallow” zawinął do portu w Port Royal. Z załadowanych w Afryce dwustu dwudziestu niewolników przeżyło dziewięćdziesięciu, a z jego wioski tylko on jeden.

Mussa miał sporo szczęścia. Na targu od ręki kupił go sir Anthony Harding, plantator z okolic Kingston, człek pobożny i skrzętny, toteż dbający o swoich niewolników. Podobnie przecież zwykł dbać o inne środki produkcji. I dlatego kiedy Mussa już pierwszego dnia próbował ucieczki (pochwycono go po godzinie), nie obcięto mu żadnej kończyny ani nie wylupiono oka, poprzestając jedynie na dotkliwej chłości. Karę wymierzył, a potem opatrzył rany Samson, olbrzymi Murzyn pochodzący z wioski odległej zaledwie trzy dni drogi od osady Mussy. Dźwięk rodzinnej mowy przywrócił chłopakowi przytomność.

— Na przyszłość zapamiętaj sobie, nigdy nie uciekaj, bracie — mruczał Samson.
— To wyspa, stąd nie ma gdzie uciec. Możesz jedynie umrzeć albo żyć. Lepiej żyć!

Gdy chłopak wydobrzeł, pozostał w chacie ziomka. Olbrzym przebywał na Jamajce już dwadzieścia lat, służył początkowo Hiszpanom, potem wraz z nimi umknął przed Brytyjczykami w Góry Błękitne, później trudnił się bandytyzmem, ale osaczony przez Anglików, postanowił się poddać. Nie miał wyboru — w otoczonej przez żołnierzy obozowisku przebywała wraz z nim żona i maleńka córka.

— Znów zostałeś niewolnikiem? Nie lepiej było umrzeć?!

— Wielkie Duchy chciały, abym żył. I jakoś żyję.

Faktycznie powiodło mu się nie najgorzej, nie rozdzielono go z rodziną, z czasem stał się prawą ręką nadzorcy. Znał się na koniach, miał posłuch wśród innych niewolników. Mussa, gdy wydobrzeł, został jego pomocnikiem. Ich więź wzmocniła się jeszcze bardziej, gdy poślubił Melanię, najstarszą z córek Samsona, która musiała po swych jamajskich przodkach odziedziczyć odrobinę krwi indiańskiej, była bowiem wiotka, a jej skóra miała jasną karnację.

Można powiedzieć, że jak na niewolników żyli spokojnie i szczęśliwie. Melania była chrześcijanką, a Mussa, który nigdy nie przyznał się żonie do swych szamańskich korzeni, też został ochrzczony. Inna sprawa, że nigdy nie przekonał się do Boga białych, a zwłaszcza do jego Syna, który lubo umiał chodzić po wodzie i wskrzeszać zmarłych, dał się przybić do krzyża jak najgłupszy niewolnik. Toteż gdy nastawała pełnia, on, Samson i jeszcze dwóch czarnych udawali się dyskretnie na odległą polankę za plantacją i tam oddawali rytualnym tańcom. Mała tykwa zastępowała tam-tam, a kocia skórka zakładana na głowę — wodzowską skórę lamparta. Mussa nie zabierał ze sobą kulki. Bał się, że przywołane demony mogą zaszkodzić jego rodzinie. Tylko raz w miesiącu zanosił łezce odrobinę krwi kury lub świniaka. Ignorował gniewne wibracje. Ludzkiej krwi postanowił więcej nie przelewać.

Czasami pan kazał zaprzęgać powóz i wtedy jechali do Kingston, które na ich oczach ze wsi stawało się sporym miastem. Mussa z ogromnym szacunkiem

przyglądał się maszerującym oddziałom angielskich żołnierzy, podziwiał portowe fortyfikacje. Parę razy spotkali na głównej ulicy samego Morgana. Mussa znał opowiadane o nim historie i nie mógł się nadziwić, że odległy król Anglii mianował gubernatorem kolonii kogoś, kto wcześniej był pospolitym piratem.

Samson zmarł w roku 1690, doczekawszy siedmiorga wnuków i wnuczek, z których najpiękniejsza była Mary Rose. Po Melanii odziedziczyła jasną skórę, po Mussie harmonijną sylwetkę. Będąc ulubienicą Starej Pani, od dziecka służyła na dworze, nauczyła się nawet pisać i czytać. Ku niezadowoleniu ojca została gorliwą chrześcijanką.

Zimą 1691 roku gorączka bagienna zabrała starą lady Harding, a wiosną zachorzał sam sir Anthony. Ponieważ był bezdziejny, postanowił wezwać swego bratanka i spadkobiercę Harolda, oficera stacjonującego po drugiej stronie wyspy w Montego Bay. Spiesznie wysłał w drogę nadzorcę Leedsa, przydając mu do pomocy Musse. Podróż trwała tydzień i okazała się całkowicie niepotrzebna, albowiem Harold — jakby tknięty przecuciem — popłynął do Kingston statkiem. Nie pozostawało im nic innego jak zawrócić. Padające deszcze i szalejący cyklon uniemożliwiły prędko powrót. Toteż na plantacji zjawili się już po pogrzebie Hardinga. Wszędzie było cicho, pusto i była to cisza przerażająca.

Spadkobierca, Harold Harding, w ciągu zaledwie paru dni zdążył wprowadzić nowe porządki. Sprzedał większość niewolników i znaczną część gruntów. Protestująca Melania została przykładnie wysmagana. Mąż zastał ją umierającą.

— Nasze dzieci, nasze biedne dzieci... — łkała.

Szybko dowiedział się, że zostały sprzedane na targu. Każde innemu plantatorowi.
— A Mary Rose? Komu? Dokąd?

Nie wiedziała. Nikt nic nie wiedział. Przed oblicze Hardinga go nie dopuszczono. Mussa błagał o pomoc Leedsa. W podróży wielokroć zasłużył sobie na wdzięczność nadzorca, który wybierał się właśnie do Port Royal, gdzie znajdowało się najbliższe targowisko i obiecał wywiedzieć się o losach sprzedanych. Mussa całą noc czuwał przy żonie. Nad ranem umarła. Jak otepiały wyszedł z chaty i przy studni natknął się na Leedsa, który dopiero co wrócił po nocy spędzonej w mieście. Nadzorca musiał mieć tego w czubie. Na widok Murzyna zarechotał:

— Wiesz, kto kupił twoją małą? Najlepszy burdel w Port Royal, najlepszy! Muszę sam się tam wybrać...

Nie dokończył, gdyż Mussa nagłym ruchem wyrwał mu nogę ze strzemiona i ściągnął na ziemię. Walka nie trwała długo — Leeds był zbyt pijany i zbyt oszołomiony upadkiem. Mussa wbił się w plecy nadzorca kolanami, splótł dłonie na jego podbródku i szarpnął z całej siły. Potem udał się do swojej kryjówki w pobliskich zaroślach i wydobyl amulet. Zawiesiwszy go w skórzanym torebce na szyi, dosiadł konia Leedsa i pognął ku morzu. Czuł na piersi dotyk łezki, była coraz zimniejsza, coraz zimniejsza... Do Port Royal dotarł około jedenastej. W mieście panował wzmożony ruch, charakterystyczny dla tej pirackiej mekki, pracowały warsztaty rzemieślnicze, funkcjonowały tawerny, portowe dziwki zaczęły przechodzić, a handlarze przywoływali ich do swych kramów. Normalne przedpołudnie. Wszelako ledwie minęli pierwsze zabudowania, koń Leedsa zdradzał począł dziwne objawy niepokoju. Muśsa nie zwrócił na to uwagi, zeskoczył z siodła, postanawiając resztę drogi przebyć pieszo. Samotny Murzyn na koniu musiałby w owych czasach natychmiast wzbudzić podejrzenia. Dom publiczny, o którym wspomnieli nadzorca, mieścił się w błotnistej uliczce zaraz nad brzegiem. Od innych baraków wyróżniały go jaskrawo pomalowane żaluzje i wielki kolorowy kogut nad wejściem. Przed domem zebrał się spory tłumek gapiów. Mussa, czując bolesny skurcz, zaczął się przezeń przepychać, ignorując kłątwy, ciosy i okrzyki: „Dokąd,

czarnuchu?!”

Tłum falował, napierał, kłębił się na kształt żywego stworzenia. Ciało Mary Rose leżało zaś na schodach nieruchome, nagie i bardzo piękne. Jeden rzut oka wystarczył — dziewczyna miała poderżnięte gardło.

— Dałem za nią tyle pieniędzy, tyle pieniędzy, a ta głupia czarna suka sama to sobie zrobiła! — złorzeczył właściciel burdelu.

Mussa nie powiedział nic. Odwrócił się na pięcie i zaczął biec. Biegł, aż wypadł poza zabudowania na skraj morza po drugiej stronie cypla. Tam ukląkł i wydobyl amulet — potem gwałtownym ruchem noża rozciął sobie ramię. Buchnęła krew.

— Pij! — wycharczał, widząc, jak łezka nurza się w jego posoce. A potem uniósł zaciśnięte pięści ku niebu i gardłowo wyrzucał z siebie najstraszliwsze zaklęcia. Wzywał pradawne demony i moce najgorsze ze złych. Żądał pomsty.

Nawet nie usłyszał tętentu czterech jezdnych. Prawdopodobnie zignorowałyby również galop jeźdźców apokalipsy. To nadciągał Harold ze zbrojnymi.

— Tam jest, brać czarnucha! — wrzeszczał dziedzic plantacji. Siepacze rzucili się w stronę klęczącego.

Stęknęła ziemia. Raz, drugi. Harold Harding wyleciał z siodła, jego ludzie upuścili broń. I czołgali się po plaży zdjęci strachem jak marne robaki.

Mussie wydało się, że słyszy straszny głos Ojca Demonów: „Wzywałeś mnie, więc przybywam!” Ale był to tylko ryk fali. Na horyzoncie pojawił się wał wodny, który toczył się w stronę wybrzeża z szybkością szarżującego bawołu. W mieście nie zdążono nawet uderzyć w dzwony. Jeszcze raz stęknęła ziemia, a grunt zaczął zapadać się w głąb. Jeszcze chwila, a potworny grzywacz przetoczył się ponad falochronem, pianistą pierzyną pokrył port, ulice, zabudowania, zmiotł straże z murów twierdzy i rycząc, dopadł ściganego i ścigających. Harding, kwicząc ze strachu, poczuł jeszcze otaczający go kłęb wodny, wciągający w bezkres przerażenia i śmierci.

Po kwadransie morze uspokoiło się. Poza unoszącymi się śmieciami, fragmentami zabudowań, łodzi, trupami ludzi i zwierząt nic nie pozostało ze słynnego Port Royal.

*

Dwieście dziewięćdziesiąt lat później koło wysepki Guy Cay opodal mierzei Palisady zakotwiczył niewielki, acz znakomicie wyposażony statek Jamaica National Trust Commission, specjalizujący się w badaniach podwodnych. Jego załogę stanowiło pięć osób. Kapitan, dwóch marynarzy, piękna instruktorka scuba-divingu Pamela Masters oraz czarnoskóry profesor Matthew M. Harding z Uniwersytetu Indii Zachodnich. Harding przekroczył już wówczas pięćdziesiątkę, ale dzięki znakomitej kondycji wiek w najmniejszym stopniu nie przeszkadzał mu ani w nurkowaniu, ani w uwodzeniu uroczej współpracownicy, do niedawna studentki historii sztuki.

Kolejny rok trwały badania podmorskie zatopionego Port Royal. W tym sezonie przeniosły się na drugą stronę półwyspu. Kapitan Coulon nie uważał, że mają tam jakiegokolwiek szansę na rewelacyjne znaleziska. Mocny prąd, biegnący skrajem Green Bay, ten sam, który stał się twórcą piaszczystej mierzei, w ciągu wieków musiał skutecznie zdewastować wszystko, co mogło pozostać z tej części zatopionego miasta, a już na pewno pokryć resztki grubą warstwą piasku. Harding pozostawał optymistą...

Salto w tył. Woda zamknęła się nad profesorem. Pamela plusnęła tuż obok niego. Dzięki powietrzu w kamizelce wynurzyli się prawie natychmiast. Kapitan podał im sprzęt: kamerę przystosowaną do zdjęć podwodnych i wykrywacz metali. Nurkowie

wymienili spojrzenia i gestami dali sobie znać, że wszystko jest okay. Wypuścili powietrze z Kamizelek, powoli zaczęli się zanurzać. Harding, który nurkował od dziecka, rutynowo nie zwalnając podczas opadania, błyskawicznie przełykaniem śliny i energicznymi ruchami szczęk wyrównywał ciśnienie w uszach. Miętko zawisł kilkanaście centymetrów nad piaszczystym dnem. Pamela już po chwili znalazła się obok niego. Według wskazań naręcznego komputerka znajdowali się na głębokości trzydziestu stóp. Grubo poniżej poziomu zatopionego miasta, ale właśnie na tej głębokości poprzedniego dnia znaleźli fragment łodzi, kulę armatnią, a także kompletnie skorodowane kajdany niewolnika. Ogromna płaszczka przepłynęła o pół metra od ich nóg, niemal dotykając ich kolcem ogonowym. Profesor wypatrzył wbitą metalową żerdź znakującą koniec rejonu spenetrowanego poprzednio. Uruchomił wykrywacz. Powolutku ruszyli do przodu. Pamela nie odmówiła sobie przyjemności nakręcenia dorodnej barrakudy, która łypnęła na nich złym okiem drapieży, ale szybko oddaliła się w głąbie. Po kwadransie udało im się natrafić na parę ogniw jakiegoś łańcucha kotwicznego, potem znaleźli kawałek rękojeści hiszpańskiego rapiera, który Pamela skwapliwie sfilmowała i włożyła do siatki. Ominęli porośnięty ukwiałami i rurkowatymi gąbkami okruch skalny, spod którego wyszczerzyła złośliwy pysk drapieżna murena. W tym momencie czujnik zmienił kolor. Profesor odczuł dreszcz podniecenia. To mogło oznaczać złoto. Po drugiej stronie mierzei udało im się w ubiegłym sezonie znaleźć trzos pełen luidorów, dublonów, florenów, escudów. Zaczął delikatnie rozgarniać piasek. Nie chciał uszkodzić ewentualnego znaleziska, poza tym zawsze mógł natrafić na jadowitego ślimaka, w kilka minut wywołującego śmiertelny paraliż lub toksyczną *stone-fish*. Czuł, że jego poziom adrenaliny stale rośnie.

Spokojnie! — zgañił się w myśli. Większe podniecenie oznaczało większe zużycie powietrza, zatem krótszy czas eksploracji. I nagle czujnik zgasł. Zirytowany zamierzał zawrócić, gdy coś błysnęło w piasku niczym karaibska złota rybka zwana *golden-conny*. Nie była to jednak rybka, tylko przypominająca łezkę bryłka ze szlachetnego kruszcu. Wyciągnął rękę, chwycił... I naraz poczuł rozdzierający ból w piersiach, gwałtownie szarpnął się jak pływak porażony przez elektrycznego węgorza i instynktownie nacisnął wpust powietrza do kamizelki.

Przytomność odzyskał dopiero na pokładzie. Czuł się źle, a na dodatek miał paskudnie rozcięte czoło. Kapitan Coulon kończył nakładać mu szwy.

— Ale napędziłeś nam strachu, Matt. Dzięki Bogu wypływałeś tylko z dziesięciu metrów, inaczej skończyłoby się na komorze dekompresyjnej — Pamela owinięta szlafrokiem uśmiechała się, usiłując dodać mu otuchy. Był upalny, bezwietrzny dzień, profesor jednak czuł nadal chłód i lęk, dziwną dojmującą grozę, a w głowie dudnił mu oszałamiający łomot tam-tamów.

— Zgubi... zgubiliśmy ją? — wybełkotał.

— Złotą łezkę? Nie sądzisz chyba, że straciłam głowę. Jest tutaj — podsunęła mu popielniczkę, rozległ się grzechot metalu na szkle. Łomot w uszach lekko zelżał. Wróciło wspomnienie rozdzierającego bólu.

— Nic nie poczułaś, żadnego porażenia?

— Nic. Inna sprawa, że brałam ją przez rękawiczkę. Ale tu na pokładzie wszyscy brali ją do ręki. Ciekawe cacko. Masz pojęcie, co to może być?

Wzruszył ramionami.

— A jaka jest twoja opinia?

— Wygląda mi to na afrykański amulet, bardzo stary, jeszcze sprzed czasów, kiedy w centralnej Afryce pojawiły się ludy Bantu — powiedziała Pamela. — Będę musiała sprawdzić w katalogach. Stylem przypomina datowane na okres sprzed naszej ery znaleziska z rejonu ujścia Konga. Jakiś niewolnik musiał to przemyścić z Afryki albo

któryś z handlarzy zabrał sobie na pamiątkę.

— Czemu to miało służyć, czarnej magii? — zainteresował się kapitan.

— Może miało po prostu przynosić szczęście. Albo chronić przed wpływem złych mocy.

Harding nie miał zdania. Czuł się rozbity, ogromnie zmęczony, jakby sam był w wieku złocistej łezki.

— Prześpij się, stary, jutro normalnie wrócisz do pracy — Pamela cmoknęła go w policzek.

Ocknął się koło północy. Zmęczenie minęło. Wszyscy wokoło spali. Matthew uniósł się na łokciu i popatrzył w stronę popielniczki. Amulet lśnił w księżycowym świetle. Długoletnie przebywanie w słonej wodzie najwyraźniej w niczym mu nie zaszkodziło. Profesor nie mógł oderwać od niego oczu. Nie potrafił określić stanu, który wzbudzał w nim ten kawałek kruszcu. Tam–tamy w uszach znowu się wzmożyły.

— Komba tahima ute — szepnęły jego usta. I naraz wydało się Hardingowi, że jest gdzieś tam, gdzie nie mógł przecież nigdy być, gdzieś przed wielu, wielu laty.

Przymknął powieki, zawirowały obrazy: płomienie pożerające trzciny chaty, grzechot starodawnej broni... A potem otoczyły go niczym sepiowate pocztówki z zeszłego wieku własne wspomnienia z dzieciństwa. Pamiętna wizyta u stryjecznej babki, która niczym bohaterka filmowych *Korzeni* wyrecytowała mu rodzinną historię. Poczynając od Mussy, chłopcu przywiezionym z Afryki u schyłku XVII wieku, którego potomkowie od nazwiska właściciela plantacji nazwani zostali Hardingami. Wedle tej sagi, powtarzanej przez pokolenia, patriarcha Mussa zginął wraz ze swym właścicielem podczas zagłady Port Royal. Po nim był Anthony — niewolnik, który całe życie spędził przy uprawie trzciny cukrowej, dalej nastął George, przezwisko „Buntownik”, powieszony w Gordon Town pod zarzutem zabójstwa swego pana za pomocą trucizny czy też czarnej magii. Prawnuk Mussy, Samuel doczekał zniesienia niewolnictwa, jednak nadal pracował na plantacji jako robotnik kontraktowy. Ale już jego syn Joshua został służącym na dworze dyrektora poczty królewskiej. Potem szła cała lista Hardingów pnących się z wolna po drabinie społecznej, z których przedostatnim był sierżant Lukę Harding, jego ojciec, poległy za króla w II wojnie światowej. Nie skończyło się na wspomnieniach. Ze złotej łezki dobywała się dziwna, mroczna energia. Jakieś żądanie, któremu nie umiał się oprzeć. Naraz złapał się na tym, że porusza ustami, sam ze sobą prowadząc dialog.

— Kim jesteś?

— Tym, który przychodzi.

— Czego chcesz?

— Dać ci wielkość.

— A czego chcesz w zamian?

— Wszystkiego!

Harding drżał cały, czuł, że powinien chwycić złoty amulet i wyrzucić z powrotem w morze. Nie potrafił jednak tego uczynić.

— Nadchodzi czas — szeptały bez jego woli spierzchnięte usta. — Nareszcie nadchodzi czas...

— Jaki czas?

— Ostateczny. Daj mi ją!

— Kogo?

— Krew!

— Krew?

— Potrzebuję krwi!

Naraz profesor stwierdził, że przygląda się uniwersalnemu nożowi płetwonurka, który leżał na środku stołu, tam, gdzie po odpięciu z nogi położyła go Pamela.

— Krwi!

Czuł, że musi położyć temu kres, póki jeszcze panuje nad sobą.

— Nigdy! — odwarknął.

Huk tam–tamów stał się ogłuszający. Matthew chciał krzyknąć, ale żaden dźwięk nie zdołał wydobyć się z jego ust.

Muszę uciekać. Muszę — kołatało się rozpaczliwie w jego świadomości.

— Myśl racjonalnie — głos w jego czaszce zabrzmiał kusząco, przypominał do złudzenia zmysłowy szept kobiety. — To są świadkowie odkrycia, zabiorą ci mnie, zabiorą ci wszystko. A jam jest sława, potęga i wieczność. Krwi! Krwi!

Powziął szaloną myśl przebicia się tym nożem. Wiedział już bardzo dużo. Gdzieś z zakamarków pamięci genetycznej wracały teksty dawnych magicznych zaklęć. Nawet tych najstraszliwszych. Czy było w nich to odsyłające zło poza krawędź świata? Tam–tamy, obrazy, tam–tamy, krew!

— Boże, wybacz mi! — uniósł nóż, kierując go ku własnym trzewiom. Tam–tamy umilkły. Dobrze! Ale w tym momencie zobaczył szeroko otwarte oczy Pamelii, jej ręce wyciągające się ku niemu. Pchnął raz i drugi. Dlaczego to nic nie boli? — pomyślał. Lekka bryza przechyliła statek, bryłka potoczyła się po stole, przeleciała przez metalowy rant, trafiając w środek krwawej plamy rozkwitłej na piersi dziewczyny.

Co ja zrobiłem — przeraził się profesor. — Zwariowałem, zabiłem Pamelę!

— To dopiero początek... — zachichotał głos złośliwego potwora w jego czaszce. — Krwi, trzeba dużo krwi!

Był jak w amoku. Zabił wszystkich członków załogi. Poszło łatwiej, niż mógł przypuszczać. Nikt się nie obudził. Potem kolejno wyrzucił ciała za burtę. Na efekt nie czekał długo. Na ciemnej tafli wód pojawiły się charakterystyczne trójkątne płetwy rekinów.

Moi współnicy — pomyślał. — Zacierają ślady! Nie zauważył jasnej ręki, która chwyciła za linę pontonu towarzyszącego statkowi. Nadludzkim wysiłkiem kapitan Coulon wciągnął się do wnętrza. Uratowały go panujące ciemności. Tymczasem Harding podniósł kotwicę i skierował statek ku brzegowi, a kiedy ten zaczął szorować kilem po dnie, ustawił go w dryf, a sam zeskoczył na płyciznę. Miał dziwną pewność, że rekiny go zignorują. Złotą łezkę ukrył w kieszeni na piersi. Jakże była teraz ciepłutka... Jakże delikatnie i przyjemnie wibrowała. Stojąc wśród kolczastych zarośli, widział, jak prąd wynosi stateczek ku pełnemu morzu. Pewnie jutro, najdalej pojutrze zostanie znaleziony, a zniknięcie jego i reszty załogi zostanie uznane za kolejną nierozwiązywalną zagadkę Morza Karaibskiego.

*

Spotkanie w Morgan's Harbour Hotel nie przynosi rozstrzygnięć. Uczestnicy uzgadniają jedynie tryb konsultacji. Każdy na własną rękę miał śledzić, czy gdziekolwiek nie pojawią się jakieś przecieki na temat wydarzeń w Five Oaks' Farm. Ogólnikowo obiecują wspierać swoje poczynania.

— Jest jeszcze jedna sprawa — mówi tuż przed pożegnaniem Meyerhold. — Oprócz naszych nazwisk na tym papierze listowym odbiło się jeszcze coś, fragment zdania napisanego po polsku. Niestety między kartki musiał się dostać klucz magnetyczny, pocztówka lub karta kredytowa, tak że odczytanie całości zapisu jest niemożliwe. To, co udało nam się odszyfrować w przekładzie wygląda tak:

NADZIEJA — Maciek Paw...

Chłopiec, który jest i...

— Czy wiemy, co to znaczy? — pyta Łazarienko.

— Może znaczyć wiele, osobę, na przykład kogoś z rodziny, do kogo starucha wysłała swoje bazgroły...

— Albo — włącza się biskup Wonder — jakiś dzieciak, który ma zdolności zbliżone do bliźniaczek.

— Ponieważ mamy tylko fragment nazwiska, mamy niewielkie szansę odszukania go...

— Chyba że wykona pierwszy ruch — zauważa Seguin.

Portier czyta ich wypowiedzi na podstawie ruchu warg.

Sprawa tajemniczego chłopca nie niepokoi go. Nikt nic nie wie o planach łezki ani o tym, kim właściwie jest stary, zawsze pełen szacunku wobec hotelowych gości portier. Nawet spośród wielkiej szóstki nikt nie był na tyle dociekliwy, aby zastanowić się nad głębszym sensem wydarzeń, tego spotkania i ról, jakie przyjdzie im odegrać. Nikt nie próbował cofnąć się w głąb własnego życiorysu. Byli wobec siebie nieufni, nie zdradzali swych najbliższych zamierzeń. Meyerhold nie pochwalił się ostrzeżeniem, które otrzymał od jasnovidzącego monstrum z lochu w Spanish Town: „Strzeżcie się Starej Kobiety! Strzeżcie się Podwójnej Starej Kobiety o twarzy ptaka”. Ale przecież obie Starsze Pani nie żyją.

Stary Murzyn z trójkątną blizną na pokrytym siatką zmarszczek czole zabiera się do mycia samochodu biskupa z Enugu. Właściwie powinna przypomnieć mu się całkiem inna noc...

*

Wibracje bryłki nie odebrały profesorowi zdolności logicznego myślenia. Jego ubranie było całe utyłane we krwi, w takim stroju nie uszedłby daleko, toteż ściągnął koszulę i zaczął ją prać. Potem rozwiesił na krzakach, by wyschła. A gdy cofnął się o krok, odczuł przerażenie. Wpływ bryłki pozostawionej w kieszonce zmalał, niemal znikł. Znow poczuł się pocziwym profesorem Hardingiem, ulubieńcem studentów, ukochanym Pamelii. I przerażenie chwyciło go za włosy.

— Co ja zrobiłem? Dobry Boże! Co ja zrobiłem? Oczywiście zdawał sobie sprawę, kto był właściwym winowajcą. Poznał moc łezki i wiedział, jakie zagrożenie niesie ze sobą. I to nie tylko dla niego. Był zdecydowany pozbyć się amuletu. Bez względu na następstwa! Nie wolno było się do niego zbliżyć. W krzakach znalazł dość długą deskę wyrzuconą przez morze. Z bezpiecznego dystansu wytrzepał łezkę z kieszonki na piasek. Zalśniła oślepiająco.

— Co to za numery, Mussa — usłyszał prawie natychmiast głos wewnętrzny, znajomy, kusicielski.

— Nie jestem żaden Mussa!!!

— Nie szkodzi i tak jesteśmy skazani na siebie, skazani, aż się dopełni...

Nie chciał tego słuchać. Czuł, że lada chwila powróci szaleństwo. Uciekł w głąb zarośli i w bezpiecznej odległości wypoczywał chwilę, mobilizował wolę. Potem, całkowicie zdeterminowany, z dechą w dłoniach ruszył ku plaży.

— To na nic, na nic! — chichotał demon.

Udało mu się jednym ruchem nabrać bryłkę wraz z garścią piasku i cisnąć w morze. Szedł przypływ, poziom wody rósł, wkrótce własny ciężar pograży amulet w piachu. Na zawsze!

Wyzwolony i lekki ruszył w stronę miasta. Miał nadzieję opuścić wyspę, zanim

zacznie być poszukiwany.

Nie udało się. Statek odnaleziono wcześniej, a kapitan Coulon, wprawdzie trzykrotnie pchnięty nożem, przeżył w pontonie i zdołał wskazać mordercę. Hardinga zatrzymano w jego własnym mieszkaniu w Kingston, gdy przygotowywał się do podróży. Przed sądem przyznał się do zbrodni, tłumacząc swoje postępowanie nagłym atakiem szału, wynikłym wskutek zatrucia azotowego i gwałtownej dekompresji po nurkowaniu. Biegli nie podzielili tej opinii. U podsądnego nie wykryto najmniejszych śladów choroby psychicznej.

Rok później były profesor Uniwersytetu Indii Zachodnich był już jednym z kilkuset więźniów w gorącym jak piec chlebowy więzieniu w Spanish Town. Skazany na dożywocie, bity i poniżany przez strażników, gwałcony przez współwięźniów, zmienił się w strzęp człowieka, parokrotnie chciał skończyć ze sobą. Wiedział, że nic nie może odmienić jego losu. Znienawidził do szczytu świat i ludzi. I było tak aż do Wielkiego Piątku.

Zgodnie z obyczajem podano wówczas rybę, olbrzymiego pieczonego tuńczyka. Harding zasiadł z innymi przy stole, chociaż nie był głodny. I nagle usłyszał znajomy głos.

— Przybywam, Mussa. Stęskniłem się za tobą. Razem dokonamy wielkich rzeczy, weźmiemy odwet. — Łezka, jak pierścień Polikratesa, wiedziała, kiedy powrócić.

Jakiś współwięzień chciał sięgnąć po wielki, ostatni na talerzu, kęs tuńczyka, ale Harding odtrącił go. Tamten, nie zwracając na profesora uwagi, odepchnął go i ponownie wyciągnął rękę. Harding, nie panując nad sobą, przybił widelcem dłoń głodomora do stołu i sam porwał ów ostatni, potężny kawał ryby. Wetknąwszy go sobie do ust, od razu poczuł żar i znajome wibracje amuletu. I już się nie bał. Po roku w więzieniu był gotów zaakceptować każdego współlnika, byle tylko się stąd wydostać.

Tymczasem jamę ustną wypełnił mu nagły chłód. Niczym potężny zastrzyk znieczulający. Nogi ugięły się pod Hardingiem i bez czucia runął na kamienną posadzkę stołówki.

Część II
Chłopiec, który był inny

10.

Podobno prawdziwe życie zaczyna się po śmierci, a gdyby jeszcze dało się żyć, nie umierać.

A może powinienem się pomodlić? Myśl ta uderzyła mnie swą prostotą, niczym przyjazna fala wyrzucająca rozbitka na brzeg atolu. Stałem nadal pośrodku mostu na skraju kanadyjskiej miejsciny, ściskając ostatnią kartkę manuskryptu ciotki. O parę kroków dalej białe ściany niewielkiego kościołka.

Nie modliłem się od dawna. To znaczy miałem już za sobą okres pełnego zwątpienia i naukowego ateizmu, gdzieś w latach siedemdziesiątych odbiłem się od dna niewiary, mocno przeżyłem wybór papieża Polaka i jego pielgrzymkę do kraju, później z patriotycznego obowiązku uczęszczałem na msze za Ojczyznę, no i żegnałem się zabobonnie przed każdym startem samolotu, ale modlitwa... Tak, odmawiałem pacierz na pogrzebie ojca, ale bardziej z rozpacz, bardziej z poczucia bezradności.

Dotarłem do drzwi świątyni. Zamknięte. Najwyraźniej nie miałem szczęścia. Mimo to czułem ogromną potrzebę zwrócenia się do zapomnianego Ojca. Byłem pewien, że jestem to winny Reginie i Dolores. Przeżegnałem się. Prawie w tym samym momencie usłyszałem ciche skrzypnięcie. Machinalnie sięgnąłem klamki. Drzwi otworzyły się lekko. Onieśmielony, nie wchodziłem w głąb ciemnej nawy, klęknąłem w kruchcie. Szeptalem: „Ojcie Nasz,” potem „Zdrowaś Mario”, raz jeszcze i raz jeszcze. A we łzach wypełniających mi oczy, jak w pokruszonych drobinach pryzmatu, widziałem twarze ciotki i panny Ibanes spokojne, można powiedzieć — pogodne. Nie wiem, czy śmierć przyniosła ukojenie młodej pielęgniarce, miałem jednak przeświadczenie, że bliźniaczki Anna i Regina są wreszcie razem i podążają wspólnie świetlistą drogą wieczności.

Ile czasu przebywałem w kruchcie? Zapewne dość długo, bo w którymś momencie odczułem głód. Jednak oprócz niego spłynął na mnie spokój. Wychodząc z kościoła, na schodach spostrzegłem kobietę w czerni, klęczącą pod ścianą.

— Jest otwarte, proszę pani — powiedziałem. Popatrzyła na mnie jak na zjawę, ale wstała i poruszyła klamką. Drzwi ani drgnęły.

— Nie dla wszystkich są otwarte — westchnęła i znów uklękła pod murem.

Coraz bardziej zgłodniały wszedłem do pobliskiej knajpki. Napilem się kawy, i zjadłem jajecznicę na boczku z frytkami. Oprzytomniałem do końca. Z wolna wracała mi umiejętność logicznego myślenia. Najważniejsza konstatacja: żyłem. Wrogowie myśleli, że zginąłem — duży plus. Kolejne pozytywy: znam swoich przeciwników, znam nazwisko jakiegoś chłopca, który może pomóc. Tym lepiej. Do aktywów mogłem zaliczyć również swoje szczęście. Trzykrotnie unikałem nieomal pewnej śmierci. Miałem prawo nabrać przeświadczenia, że coś czuwa nade mną. Nawet Cyganeczkę z moich zwidów zacząłem postrzegać nie jako fatum, ale istotę zgoła przyjazną. Na tym jednak pozytywy się kończyły. Znajdowałem się w sercu Kanady, piekielnie daleko od kraju, bez dokumentów i właściwie bez pieniędzy. Cholerne Thunder Bay! Zatoka Gromu. A niech to jasny grom!

Myśl, która przeleciała mi przez głowę, też miała szybkość i jaskrawość błyskawicy. Zatoka Gromu! Naraz przypomniało mi się, skąd znam tę nazwę. Helena! Helena, moja szkolna miłość wyszła za Kanadyjczyka polskiego pochodzenia i mieszkała właśnie w Thunder Bay. Z pewnością nie odmówi mi pomocy!

Gorączkowo usiłowałem przypomnieć sobie jej aktualne nazwisko. Cholera! Słyszałem je tylko raz. Raz również widziałem na kartce z życzeniami świątecznymi. W pamięć wrył mi się jeden szczegół — nazwisko od początku i od końca czytało się tak samo. Reder — nie, Remer — nie... Reger!

Poprosiłem kelnerkę o książkę telefoniczną. Thunder Bay nie obfitowało w Regerów. Po chwili miałem zarówno telefon, jak i adres: Reger H & J., Kings Drive 4304. Los mi sprzyjał, znajdowałem się w rodzinnym mieście jedynej znanej mi osobiście obywatelki Kanady i w dodatku jadłem lunch na jej ulicy!

Postanowiłem nie dzwonić, tylko po prostu wpaść. Nie wziąłem pod uwagę faktu, że ulice w Nowym Świecie potrafią ciągnąć się wiele mil. Dotarcie z centrum pod numer 4304 — niewielką, wolno stojącą willę pokrytą wykładziną imitującą pomalowane na biało deseczki zajęło mi ponad dwie godziny. Najważniejsze jednak, że dotarłem. Nacisnąłem dzwonek przy furcie między dwoma srebrzystymi świerkami. Potem drugi raz...

— Otwarte — dobiegł mnie młodzieńczy głos z góry. Uniósłszy głowę, dostrzegłem młodego, krótko ostrzyżonego człowieka siedzącego okrakiem na kalenicy, zajętego przybijaniem nowych dachówek.

— Nie orientuje się pan, czy zastałem panią Helen Reger?

— Wyjechali na Hawaje, wrócą za dwa tygodnie... Masz! Jednak opinia o moim niebywałym szczęściu była zdecydowanie przesadzona. Cofnąłem się do furki.

— A może coś przekazać, jak wrócą? — głos z dachu brzmiał wyjątkowo uprzejmie.

— Nie, dziękuję — zakręciłem się na pięcie i wróciłem na ulicę. Nie uśmiechał mi się powrót na piechotę, ale przypominałem sobie, że mijałem po drodze parę budek telefonicznych. Postanowiłem wezwać taksówkę, chociaż Bogiem a prawdą nie miałem pomysłu, dokąd jechać.

Daleko nie uszedłem, po kilkunastu metrach usłyszałem za plecami tupot nóg i nim zdążyłem się odwrócić, mój rozmówca z dachu był przy mnie. A właściwie była, rzekomy chłopak okazał się szczupłą, odzianą w dżinsy dziewczyną, zaróżowioną od biegu.

— Pan Andrzej Łański, prawda? — zawołała. — Mama dużo mi o panu opowiadała. Poza tym widziałam pana na zdjęciach.

— To ty jesteś...

— Amanda — energicznie wyciągnęła do mnie rękę. — Zapraszam do domu. Wiele nie ma do jedzenia, bo zostałam sama na gospodarstwie, ale coś się znajdzie.

— Nie jestem głodny — wybąkałem. Ale zawróciłem. Po drodze przypatrywałem się dziewczynie. Miała sporo cech matki, oczy, usta, ale cała sylwetka była bardziej chłopięca, skórę miała zdecydowanie jędrniejszą, a ruchy zdradzały kogoś, kto równie dobrze czuje się w siodle, jak na korcie tenisowym.

— Szkoda, że nie przedzieliś nas o przyjeździe — płynnie przeszła na doskonałą polszczyznę, zachowując jednocześnie amerykańską bezpośredniość pozwalającą mówić „ty” mężczyźnie dwa razy od siebie starszemu. — Teraz mama będzie niepokojona, jeśli się nie spotkacie.

— Parę dni temu sam nie wiedziałem, że się tu znajdę — odrzekłem, zastanawiając się, co powiedzieć dziewczynie. Nie miałem przecież zamiaru wtajemniczać jej w swoje perypetie. Mogło się to okazać dla niej zbyt niebezpieczne. Delikatnie spytałem, czy mógłbym zatrzymać się na dzień lub dwa?

Zareagowała entuzjastycznie.

— Najlepiej będzie, jeśli zaczekasz aż do powrotu rodziców. Pomożesz mi w remoncie, poopowiadasz, co nowego w Polsce. Byłam tam tylko dwa razy na kursach językowych dla młodzieży polonijnej i raz z rodzicami na wakacjach. Chyba, że nie

masz czasu?

— Tego akurat mam pod dostatkiem! Do niedawna miałem wprawdzie inne plany... — Nie musiałem zwierzać się z moich nieszczęść, Amanda okazała się bardzo gadatliwa i dłuższy czas opowiadała mi o sobie. Miała osiemnaście lat i ukończyła właśnie szkołę średnią. Do przyjęcia na uniwersytet w Toronto zabrakło jej paru punktów.

— Byłam za słabo przygotowana, z egzaminatorami bym sobie poradziła, ale bezosobowe testy premiują obkucie, a nie inteligencję. Nic nie szkodzi. Za rok pójdzie mi lepiej.

— A co zamierzałaś studiować?

— Dziennikarstwo!

Nie pomyliłem się co do jej sportowych zainteresowań, choć nie wyczynowo, dziewczyna uprawiała jazdę konną i pływanie, od najmłodszych lat z ojcem — zawołanym wędkarzem i myśliwym — przemierzała ostępy kanadyjskiego interioru. Mając siedemnaście lat wspięła się na szczyt McKinlay. Jakiś czas trenowała również szermierkę. Miała też za sobą pierwszy krok w walkach Wschodu... Nawet jeśli w połowie były to przechwałki, każdy chciałby mieć takiego kumpla.

— Byłe chuligan mi nie podskoczy — mrugnęła szelmowsko.

Oczywiście początkowo usiłowała się dowiedzieć, co mnie przyniosło do Thunder Bay, ale widząc moją niechęć do zwierzeń, zmieniła temat. Później wspięliśmy się na dach. Do zmroku skończyliśmy wymianę dachówek, a po symbolicznej kolacji zwałem się do łóżka jak kłoda. Nie miałem snów. Raz tylko nad ranem obudziłem się, szukając na poduszce obok siebie bujnych, pachnących włosów Dolores, a nie znalazłszy nawet łysiny Maksa, nie potrafiłem opanować ciężkiego westchnienia.

*

Amanda musiała wstać dużo wcześniej niż ja, bo kiedy zwlokłem się z łóżka, śniadanie było już przygotowane, czekała gorąca kawa i poranne gazety. Widok długiej listy ofiar katastrofy w Thunder Bay zmroził moje serce.

— A więc oficjalnie nie żyjesz — powiedziała dziewczyna, przyglądając mi się badawczo. — Szkoda, że nie powiedziałeś mi tego wczoraj, nie musiałabym snuć różnych głupich domysłów. Rozumiem, że wpakowałeś się w jakieś tarapaty, chętnie ci pomogę.

Gorączkowo szukałem wykrętu. Wyraźnie nie doceniłem dedukcyjnych zdolności panny Reger.

— W jakie tarapaty, po prostu spóźniłem się na ten samolot...

— Ależ Andrzeju, gdybyś się spóźnił, nie byłoby cię na liście ofiar, tylko na czołówkach wiadomości pod nagłówkiem: „Szczęśliwy pechowiec”.

— Odpowiem ci szczerze, zasłabłem w toalecie, a kiedy odzyskałem przytomność, było po wszystkim. — Nie oszukałem jej.

— Telewizja podała, że przyczyną katastrofy był wybuch bomby. A ty uciekłeś z lotniska bez rozmowy z policją, bez kontaktu z prasą?

— Chyba byłem w szoku. Straciłem głowę!

Uśmiechnęła się jak niańka łapiąca dziecko na kłamstwie:

— Istnieją tylko dwie przekonywujące interpretacje. Albo to ty jesteś sprawcą katastrofy...

— Albo?

— Zamach był skierowany przeciwko tobie i jeśli twoi wrogowie dowiedzą się, że żyjesz, spróbują go powtórzyć.

Po oczach poznałem, że skłania się ku drugiej ewentualności.
— Załóżmy, że masz rację. Ale niestety nie mogę ci powiedzieć wszystkiego.
— Służba? — popatrzyła na mnie ze zrozumieniem i z podziwem, jakbym był samym Jamesem Bondem. — Powiedz, czy mogę ci jakoś pomóc.
— Potrzebuję paszportu na jakieś inne nazwisko, żeby móc opuścić Kanadę — wydusiłem z siebie — ale wątpię, żebyś potrafiła...
— Postaram się coś załatwić — przerwała. — Trenując aikido, zawiera się różne dziwne znajomości, które czasem mogą się przydać.
Przepadła na cały dzień i poważnie obawiałem się, czy aby nie skontaktowała się z policją. Nie miałem jednak gdzie uciekać, więc potulnie czekałem.
— Będzie kosztować pięć tysięcy i potrzebują twojego zdjęcia — oznajmiła, zjawiając się dobrze po zmroku. A widząc moją zdumioną minę, dodała: — Nie pytaj, kto i jak to załatwia, bo i ja wolałam nie zadawać za dużo pytań. Ważne, że jeśli jutro dostarczymy zdjęcie, to za cztery dni odbierzemy dokument w Toronto.
— Odbierzemy?
— Przecież ktoś cię musi tam zawieźć, prawda?

*

Amanda nie zadawała więcej pytań na temat mojej działalności. Najwyraźniej pogodziła się z rolą anonimowego współpracownika wielkiego agenta. Aura tajemniczości bardzo mi odpowiadała. Nie chciałem narażać tej dzielnej istotki na spotkanie z osobnikami w rodzaju Fergusonów. Z drugiej strony, na jakiej podstawie miałem ufać jej aż tak bezgranicznie? Tymczasem pojawił się inny problem. Pieniądze. Z moich zasobów zostało nieco ponad trzy tysiące dolarów. Tymczasem sam nowy paszport miał kosztować pięć, a bilet lotniczy, cena przejazdu do Toronto... zimno się robiło! Możliwości pożyczkowe Amandy również przedstawiały się niewesoło. Cały jej majątek ograniczał się do kilkuset dolarów.

— Nie wzięłaś karty kredytowej na taką wyprawę? — dziwiła się Regerówna.
Ratując opinię agenta profesjonalisty, naplotłem coś o sprzęcie, który przepadł wraz z samolotem.
— A bardzo jesteś przywiązany do tego pierścionka? — zapytała nagle.
— Jakiego pierścionka? — zdziwiłem się. — Nie noszę żadnego...
— A ten? — błysnęła mi w oczy złotym cacuszkiem. — Piękny kamień, chyba stara robota. Znalazłam go pod podszewką rozprutej kieszeni twojej kurtki, kiedy chciałam ją odczyścić.

Oczywiście natychmiast poznałem klejnot. Pochodził z pożydowskiego skarbu ukrytego w kominie. Przysiągłbym, że kiedy pokonywaliśmy bramkę na lotnisku w Thunder Bay, lśnił jeszcze na palcu ciotki Reginy. Czyżby przewidując rozwój wydarzeń, wsunęła mi go do kieszeni? Ale Amanda znowu o nic nie pytała. Zadowolona się zgodą na sprzedaż i po kolejnej wycieczce do miasta wróciła, wymachując paczką sześćdziesięciu banknotów studolarowych.

— Był wart znacznie więcej, ale ponieważ tak bardzo zależało ci na czasie, wzięłam tyle, ile udało się utargować.

*

Wprawdzie Thunder Bay i Toronto leżą w tej samej prowincji Ontario, dzieli je jednak 1400 mil, a ponieważ nie ma autostrady, więc czas podróży podawany przez *Mobil Road Atlas* — 17 godzin 55 minut — należy potraktować z dużym

przymrużeniem oka. Co gorsza, samochód Amandy, stareńki mini morris z rozkładanym dachem, wyglądał na pojazd zdatny do niedzielnej przejażdżki, a nie do tak dalekiej podróży.

— Czy aby się nam nie rozkraczy w drodze? — niepokoilem się.

— Nie rozkraczy. Ma nowy silnik, a resztę potrafię sama naprawić.

Jeszcze raz uznałem, że moja młoda przewodniczka jest niesamowitą chwalipiętą.

Ruszyliśmy skoro świt, kierując się na wschód. Wkrótce po opuszczeniu ostatnich przedmieść Thunder Bay ogarnęły nas jesienne lasy. Po dwóch godzinach, mijając niewielkie miasteczko, na widok napisu: „Nipigon” odczułem przyjemne wzruszenie. Znajdowałem się w krainie łowców wilków, łowców złota, łowców przygód. Na moment otoczyły mnie cienie bohaterów powieści Curwooda — Wabiego, Roda, Mukiego, Minnetaki... Moja księżniczka drzemała. Zbierała siły. Nie budziły jej nawet moje coraz donośniejsze kichnięcia. Najwyraźniej kąpiele, ucieczki, nieprzespane noce owocowały potężnym przeziębieniem. Oby tylko przeziębieniem! Nie chciałem jednak martwić Amandy.

Nazwa Nipigon przypomniała mi bezgrzeszną młodość, czasy, kiedy marzyłem o dalekich podróżach, o robieniu filmów, o pisaniu reportaży. Ale skończyło się na marzeniach. Jak już mówiłem, co jakiś czas ogarniały mnie szalone plany, jednak życie szybko zwracało mnie do szufladki parodysty. Tuż przed stanem wojennym zacząłem trochę pisać, później wraz z kolegą mieliśmy pomysł na film, ale kamerę rozbiło nam ZOMO podczas trzeciomajowej demonstracji, a ja wróciłem na dechy estrady.

W miejscowości Marathon zmieniliśmy się przy kierownicy. Teraz ja zacząłem przysypiać. Po oswojeniu się z widokami powtarzających się rzeczek i jeziorok droga dłużyła się coraz bardziej. Chociaż kiedy za Agawa Bay nagle otworzyła się perspektywa na Wielkie Jezioro z odbijającym się na jego powierzchni zachodzącym słońcem, wyrwał się nam obojgu okrzyk zachwytu. O zmroku minęliśmy Sault Sainte Marie i znaleźliśmy się nad brzegami jeziora Huron. Czułem się coraz gorzej; do kataru dołączył się ból kości i mięśni. Narastała gorączka.

— Połowa drogi — powiedziała naraz Amanda. — Powinniśmy gdzieś zanocować. Zdaje się, że źle się czujesz?

— Drobiazg! Nic mi nie będzie.

Zaraz koło Echo Bay spostrzegliśmy opodal drogi zaciszny motel. Dziewczyna zatrzymała wóz.

— Wsiądź i zaczekaj, ja załatwię dla nas pokój.

— Dlaczego?

— Nie chcę, żeby cię widzieli. Zamelduję się sama, a potem otworzę ci drzwi. Na szczęście do każdego pokoju prowadzi wejście bezpośrednio z dworu.

W kwadrans potem znalazłem się w motelu. Umyłem twarz. Była gorąca i zaczerwieniona. Przed oczyma tańczyły mi podejrzane mroczki.

— Ależ ty jesteś rozpalony! — zawołała Amanda. — Muszę kupić ci jakieś lekarstwa, koło baru widziałam czynny drugstore.

Wymamrotałem nieskładne podziękowanie. Zgrzytnęły drzwi. Opadłem na poduszki. Może przysnąłem.

Obudził mnie hałas z zewnątrz. Podszedłem do okna i zamarłem: trzech podpitych facetów otaczało Amandę coraz ciasniejszym kręgiem. Zacząłem gmerać przy drzwiach, chcąc przyjść jej z pomocą. Ale pomoc nie była potrzebna. Dziewczyna chwyciła w zęby niesioną torbę, gwałtownym wyprostem nogi trafiła jednego z napastników w podbrzusze, drugiego z obrotu kopnęła prosto w twarz. Trzeci rzucił się na nią, wymachując butelką. Zablokowała cios, założyła dźwignię. Facet był wielki i gruby, miała trudności z przerzuceniem go. Poradziła sobie inaczej. Rozległo

się wycie i aż do mnie dobiegł trzask łamanej kości.

— Wiejemy! — rzuciła, dostrzegając, że chwiejnie wychodzę z pokoju. — Zdaje się, że potraktowałam ich zbyt ostro, a tylko tego nam trzeba, żeby policja zechciała nas spisać.

Ścigani przez jęki i klątwy pechowych amantów ruszyliśmy w noc. Amanda włączyła ogrzewanie na full, maksymalnie rozłożyła mój fotel i nakryła kocem mój dygocący zezwłok. Wziąłem potrójną dawkę lekarstwa i popiłem colą z puszki. Potem zapadłem w sen. Ciężki, nerwowy. Ciągi geometrycznych kręgów, przelewająca się plazma, cienie. Bardzo chciałem zobaczyć Dolores. Zamiast niej we śnie pojawiła się ciotka. Nie pamiętam dokładnie, ale sen należał do typowo agitacyjnych. Regina Mirska, ubrana dokładnie tak jak tamtego poranka na lotnisku, szła piaszczystą drogą wśród oszalałej tropikalnej roślinności z nieodłączną parasolką, mimo że nie padało. Wiał natomiast koszmarny wicher. Wokoło gięły się trawy i palmy (skąd te palmy?!), a parasolka co chwila wyginała się w gigantycznego rydza. Ciotka jednak zachowywała uśmiech.

— No i z czego jest ciocia taka zadowolona? — wybuchnąłem w końcu.

— Bo wierzę w ciebie, Andrzejku! Możesz zrobić zdecydowanie więcej, niż ci się wydaje.

— Co mam robić?

— Zerwij z polityką niezaangażowania i włącz się w walkę ze złem.

— Może jestem chory, ale jeszcze nie zwariowałem! Nie chcę skończyć jak ciocia! Zaśmiała się w odpowiedzi.

— Liczę na ciebie, Andrzejku. Na pewno niedługo się zobaczymy.

Zabrzmiało to tak cholernie jednoznacznie, że krzyknąłem i obudziłem się. Zdawałem sobie sprawę, że śniłem, wiem, że widziałem coś niesłychanie ważnego, ale niczego nie pamiętam. Już świtało. Zniknęły leśne ostępy. Samochód posuwał się zatłoczoną nad miarę autostradą. W perspektywie majaczyła smukła sylwetka najwyższej na świecie wieży telewizyjnej. Byliśmy w Toronto. Po 17 godzinach i 55 minutach od opuszczenia Thunder Bay.

*

Jak przez mgłę przypominam sobie, co działo się po naszym przyjeździe do miasta. Amanda zatelefonowała do swoich znajomych, ci podali jej adres wolno stojącego domku na peryferiach. Półprzytomny zarejestrowałem jedynie, że dziewczyna ukryła morrissa w krzakach za domem i pomogła mi dowlec się do łóżka. Potem zaaplikowała mi mocną dawkę antybiotyków.

Przez kolejne trzy dni zmagalem się z gorączką, budziłem się, brałem lekarstwa, zasypiałem. Złośliwy wirus, natrafiwszy na osłabiony stresami organizm, nie chciał ustąpić. Amanda zajmowała się mną jak najlepsza pielęgniarka. Kiedy temperatura dochodziła do wierzchołka termometru, robiła mi oziębające kompresy. Wreszcie, trzeciego ranka temperatura spadła równie nagle, jak się pojawiła. W ciągu dnia nabrałem apetytu, a nazajutrz obudziłem się wprawdzie osłabiony, ale jak najbardziej zdrowy.

Pierwszą rzeczą, którą zauważyłem na nocnej szafce, był nowiutki kanadyjski paszport, wystawiony, na nazwisko Alberta Byrnese z Toronto, opatrzony moją fotografią.

— Świetny falsyfikat — pochwaliłem.

— To oryginał. Pan Byrnes istnieje naprawdę i obecnie zajmuje się poszukiwaniami geologicznymi na Labradorze. Znajomi znajomych moich znajomych

zajęli się mieszkaniem pod jego nieobecność. W sejfie znaleźli paszport, wrzucili go do pralki, a następnie wysłali do Biura Paszportowego z twoim zdjęciem i prośbą o wystawienie duplikatu.

— I nikt niczego nie sprawdził?

— Myślisz, że łapówki są wyłącznie wschodnioeuropejską specjalnością? A propos, mamy już bilety do Warszawy. Świetnie, że czujesz się lepiej, bo lecimy jutro.

— Jak to lecimy?! — zaniepokoiłem się. — Nie masz chyba zamiaru...

— Mam. Ktoś ci musi pomóc. A ja całe życie marzyłam o udziale w takiej akcji.

— To nie jest zajęcie dla małych dziewczynek.

— Ani dla komików estradowych. Słuchaj, Andrzej, przede mną nie musisz zgrywać Jamesa Bonda, domyślałam się, że zaplątałeś się w aferę przypadkowo, a teraz masz przeciwko sobie potężnych przeciwników, którzy nie zawahają się przed niczym.

— Skąd tak dużo o mnie wiesz?

— Mama bardzo często wspominała o tobie. Ma cały album z wycinkami: twoje sukcesy, programy, recenzje.

— Skąd to ma, siedząc tu, w Kanadzie?

— Musisz być kimś ważnym w jej życiu. Od kilkunastu lat ma zamówiony monitoring twojej kariery w agencji wycinków Glob. I nie trzeba być analitykiem z Langley, żeby stwierdzić, iż jest to kariera estradowca, a nie wywiadowcy. Zresztą sprowadziłam faksem fragmenty gazet z ostatnich dni...

Wycinki atakowały oko agresywną czernią: „Popularny artysta ginie w katastrofie kanadyjskiego samolotu”. „Tragedia nad Jeziorem Górnym”...

Z mieszanymi uczuciami przeglądałam własne nekrologi — Ministerstwo Kultury i Sztuki, ZASP, ZAiKS, Stołeczna Estrada. Zespół „Wesołej Bandy”... Zastanawiałem się, czy pan Leon zarządził zrzutkę, czy wyłożył z własnej kieszeni. Na mały nekrolog wykosztowała się moja eks-żona. Było tylko parę zdawkowych słów i podpis: Grzesio z Magdą...

— Czytać własne klepsydry to gwarancja bardzo długiego życia — podsumowała Amanda.

W „Wyborczej” trafiłem na krótkie wspomnienie pióra Ryszarda Marka Łódzkiego. Ten najbardziej złośliwy z moich zoilów rozvodził się długo nad bolesną stratą i, o dziwo, wspominał nawet o „nieznanych talentach literackich i fotograficznych genialnego imitatora, który zrezygnował z marzeń o wielkiej sztuce, chcąc służyć ludziom na posterunku, z którego miał do nich najbliżej”. Byłem ciekaw, czy zacytuje swój ulubiony prywatny kalambur, którym od lat żegnał odchodzących szmirusów: „Przeniósł się do Krainy Wiecznych Chałtur. Cześć jego pamięci... wypłaci ZAiKS”. Ale żaden z tych bon motów nie padł.

— Jesteś osobą znaną i bardzo zapracowaną, Andrzej. Ale na pewno nie wywiadowcą — kontynuowała Amanda. — Tym większy mam dla ciebie podziw, że postanowiłeś sam jeden zmierzyć się z szóstką potężnych przeciwników. Nie chcąc prostować opinii na swój temat, odwdzięczyłem się pytaniem:

— Skąd przyszła ci do głowy myśl o jakiejś szóstce moich rzekomych wrogów? Zrobiła przepraszającą minkę:

— Pewnie się na mnie pogniewasz, ale nie mam zamiaru cię oszukiwać. Kiedy leżałeś w gorączce, przetrząsnęłam twoje kieszenie. Znalazłam tę kartkę z sześcioma nazwiskami. Poznałam, że nie jest to twój charakter pisma. Więc musisz mi wszystko powiedzieć.

— Głowa mnie boli i chyba znowu gorączka rośnie — jęknąłem, zapadając się w poduszki. Amanda, naprawdę zaniepokojona, pobiegła zaparzyć mi herbaty. Tak,

rzeczywiście miałem problem. I musiałem go jakoś rozwiązać.

11.

Czy istnieją szulerzy specjalizujący się w grze w otwarte karty? Istnieją, ale zajmują się raczej polityką.

Z pewnością mój postępek wobec panny Reger nie należał do najuczciwszych. Uważam jednak, że nie mogłem postąpić inaczej. Ponieważ postanowiłem nie mieszać się do rozgrywek między Dobrem i Złem, tym bardziej nie zamierzałem pozwolić na to Amandzie. Zarazem nie miałem najmniejszej ochoty wyznać wprost, że nie zamierzam zrealizować testamentu ciotki, bo się boję. Chciałem wyplatać ją z tego jak najbardziej bezboleśnie. W tym celu wykonałem dość paskudny, a co gorsza starannie zaplanowany numer. Znajdowaliśmy się już w hali odlotów Międzynarodowego Lotniska w Toronto i do startu pozostawała niecała godzina, gdy znienacka spytałem:

— Wzięłaś mój paszport?

Zdziwiła się:

— Ja? Przecież ty go brałeś.

— Ale nie mam — nerwowo przetrząsałem kieszenie. — Ani biletów, ani paszportu. Cholera, chyba zostawiłem wszystko w twoim samochodzie w skrytce...

— Czekaj tu na mnie, zaraz wrócę — zawołała.

— Nie zdążysz!

— Zdamę, w najgorszym razie polecimy jutro.

— To może lepiej ja pójdę...

— Daj spokój, ledwie trzymasz się na nogach. — Jak strzała pobiegła w stronę parkingów. Na to czekałem. Podskoczyłem do automatu telefonicznego i wykręciłem numer ochrony lotniska.

— Słuchajcie, niewierni! — rzuciłem z wyraźnym akcentem arabskim. — W garażu na poziomie trzecim jest bomba, samochód mini morris... — Podałem rejestrację z Thunder Bay i rozłączyłem się. Potem podbiegłem do stanowiska Lotu.

— Jest pan spóźniony, panie Byrnes — powiedziała stewardesa.

— Ale za to nie mam żadnego bagażu oprócz podręcznego.

Dziesięć minut później znajdowałem się już wewnątrz maszyny tętniącej znajomym polskim gwarem. Znając procedury, wiedziałem, że nawet jeśli Amanda wy tłumaczy pomyłkę, nie ma szans zdążyć na samolot. Zresztą ja miałem jej bilet. Wiedziałem też, że nie zaryzykuje wyznania prawdy, bo wówczas musiałaby opowiedzieć o fałszywym paszporcie pana Byrnese. Jednak naprawdę dobrze poczułem się, kiedy miejsce 22B obok mnie pozostało puste, a dziób boeinga uniósł się nad krańcem pasa startowego i wykonawszy szeroką rundę nad lotniskiem, skierował na wschód. Żegnaj, piękna Kanadyjko! Nigdy się już nie zobaczymy.

*

Czy dziewięć godzin lotu to wystarczający czas dla obmyślenia planów na resztę życia? W każdym razie, wysiadając na Okęciu w dżdżysty późnopaździernikowy poranek, czułem się jak rekonwalescent. Fizyczny i psychiczny! Parę rzeczy miałem z grubsza przemyślanych. Wiedziałem, że nie wolno mi, przynajmniej przez najbliższy rok, wrócić do swojej postaci. Andrzej Łański powinien przez jakiś czas być nadal uznawany za zmarłego. Wykluczało to powrót do dotychczasowego życia, do starego

mieszkania, do zawodu. Musiałem zmienić wszystko...

Niewiele brakowało, aby cały ten plan runął, kiedy w hali przylotów z impetem wpadłem na Grzesia Myszkowskiego. Po tournée australijskim najwyraźniej zajrzał na parę dni do Kanady i musiał wracać tym samym samolotem co ja.

— Sorry — burknąłem, opuszczając głowę i pragnąc jak najszybciej zapaść się pod ziemię. Ale Grześ, z którym ponad dziesięć lat szlifowałem deski scen i estrad, mnie nie poznał. Cud? Kiedy przejrzałem się w lustrze, uznałem, że faktycznie nie miał prawa mnie poznać. W ciągu całej eskapady schudłem blisko dziesięć kilogramów i kompletnie posiwiiałem, twarz mi zszarzała, a na dobitkę pokrywał ją parodniowy zarost. Punkt dla mnie!

Minąłem grupkę namolnych taksówkarzy pragnących zedrzeć skórę z co najmniej przybyszów i wyszedłem na zewnątrz. Miałem do rozwiązania podstawowy problem — pieniądze. Pozornie byłem bogaty. Na koncie walutowym posiadałem kilkanaście tysięcy dolarów, nadto w skrytce bankowej spoczywała znakomita część pożydowskiego skarbu. Ale żeby do nich dotrzeć, winienem mieć jakiś dowód tożsamości. Tymczasem stary paszport przepadł w samolocie, a dowód osobisty znajdował się w moim warszawskim mieszkaniu. I jak miałem się tam dostać bez kluczy? Rozwiązanie tego problemu obmyśliłem w autobusie zdążającym z Okęcia do centrum. Komplet kluczy, oprócz mojej siostry, której nie chciałem informować o swym zmartwychwstaniu, miała również pani Eugenia, sprzątaczką, na co dzień zatrudnioną w baraczkę mego menadżera Leona Jabłońskiego. Wiedziałem, że przechowuje swoje klucze w szafce w służbówce. Sama jednak wiedza nie wystarczała. Aby dostać się do szafki, musiałem wywabić jej zmiennika. Ale i na to znalazłem sposób. Obsesją wszystkich pracowników ośrodka było bezprawne korzystanie z klubowych pojemników na śmieci przez mieszkańców okolicznych bloków. Wystarczał moment nieuwagi, nie domknięta brama, a już blaszane kontenery były pełne.

Z automatu vis-à-vis baraczkę zadzwoniłem do zmiennika pani Eugenii.

— Panie Krysiak, znów podrzucają wam śmieci — warknąłem, imitując przepity głos sąsiada z położonego obok zakładu wulkanizatorskiego. W pół sekundy cieć znalazł się na zewnątrz i pognał w kierunku pojemników, na szczęście niewidocznych, za garażami. Błyskawicznie wślizgnąłem się do budynku. Dzięki Bogu, szafka nie była zamknięta, a klucze do mego mieszkania wisiały gdzie powinny. Przewiesiłem na ich miejsce jakieś inne i umknąłem, zanim sapiący z wściekłości Krysiak powrócił do służbówki.

To niesamowite uczucie, wkraść się jak złodziej do własnego domu. Profilaktycznie wjechałem windą piętro wyżej, potem cofnąłem się schodami, pilnie bacząc, czy nikt mnie nie obserwuje. Ze wzruszeniem nacisnąłem klamkę, jak zwykle kalecząc się o wystający gwoździć. Wewnątrz przywitała mnie cisza. Nic się nie zmieniło. Tylko ktoś powycierał kurze i podlał kwiaty. W powietrzu unosił się ten sam zapach książek. Nic oprócz wiszącego nad biurkiem mojego dużego zdjęcia w kostiumie Stańczyka nie zniknęło — ktoś widać wziął je sobie na pamiątkę — eks-zona, siostra?

Przez moment obawiałem się, że mój dowód osobisty mógł zostać zabrany jako dokument potrzebny do załatwienia formalności związanych z pogrzebem. Ale kto by go znalazł w wewnętrznej kieszeni starej marynarki wiszącej w samym końcu szafy... Wziąłem też kilka dokumentów, przepisałem na wszelki wypadek najważniejsze numery z wiekowego notesu z telefonami, wziąłem ze skrytki pod tapczanem złoty medalik z Matką Boską (pamiątka Pierwszej Komunii) i wieczne pióro, dar od Wałesy wręczony mi z okazji jakiegoś koncertu charytatywnego, i już zamierzałem opuścić mieszkanie, gdy zadzwonił telefon. Znieruchomiałem. Moja ręka, która

machinalnie wyciągnęła się w stronę słuchawki, zastygła w powietrzu. A aparat dzwonił, dzwonił i dzwonił...

Zrobiło mi się gorąco. Czyżby ktoś mnie obserwował? Kto, przecież wszyscy wiedzieli, że nie żyję. Wreszcie dzwonek umilkł. Postanowiłem natychmiast się ulotnić, rezygnując z zamiaru przelania z komputera na dyskietki odrobiny mojej twórczości. Nigdy nie dokończona sztuka, szkic powieści, pamiętnik musiały poczekać. Lepiej nie prowokować losu.

Byłem już w przedpokoju, kiedy znów odezwał się dzwonek, tym razem przy wejściu. Krótki, urwany... Cholera, czy ja na pewno zamknąłem drzwi? Cichuteńko zbliżyłem oko do wizjera. Na przedwinda dostrzegłem drobną smagłą postać. Cyganecka! Dziewczynka stała przez moment na wycieraczce, po czym podeszła do sąsiednich drzwi i tam zadzwoniła. Również nikt nie zareagował. Odczekałem, aż obdzwoni pozostałe drzwi naszej klatki i odejście, po czym wymknąłem się z mieszkania. Zanim nadjechała winda, zerknąłem jeszcze w ciemnawy korytarz, w który skręciła tajemnicza dziewczynka. Ale nie było tam nikogo.

*

Następny dzień był niezwykle pracowity dla pana Byrnese. Najpierw jeszcze jako Andrzej Łański (modliłem się, aby nie trafić w banku na kogokolwiek inteligentnego, kto mógł słyszeć o mojej śmierci) opróżniłem sejf i konto ciotki, na które miałem upoważnienie, i w innym banku założyłem sobie skrytkę już jako Byrnes. Potem telefonicznie dogadałem się w sprawie wynajęcia kawalerki w Częstochowie. Dlaczego akurat tam? Nie wiem, inne miasto nie przyszło mi do głowy. Miałem nadzieję, że nikt nie będzie podążał tropem skradzionego paszportu Kanadyjczyka. W każdym razie, kiedy wolny i w miarę bezpieczny znalazłem się wreszcie pod Jasną Górą, odetchnąłem z ulgą. Co do dalszych planów, pozostawały nie — sprecyzowane. Chciałem przede wszystkim odpocząć. A później — może pisać, może spróbować rozkręcić jakiś biznes. Pieniądzy miałem dosyć. Spacerując po alei NMP zacząłem nawet zastanawiać się nad ogłoszeniem w miejscowej edycji „Gazety Wyborczej”: „Konwersacje angielskie — szybko i tanio”.

I tylko kiedy zasypiałem w małym, przypominającym sarkofag pokoiku, odczuwałem dojmującą samotność. Myślałem wtedy o mych bliskich — zmarłych i żyjących. O Dolores, o ciotce Reginie i o tak brzydko potraktowanej Amandzie.

Trzeciego dnia zaszedłem na Jasną Górę. Odczuwałem potrzebę zwierzenia się komuś. Całe dziesięciolecie nie przystępowałem do spowiedzi. Ale kiedy byłem prawie gotów, młodego sympatycznego księdza zastąpił w konfesjonale starzec o twarzy Torquemady. I stchórzyłem. Czego się przestraszyłem? Nakazu, żeby kontynuować misję wyznaczoną mi przez Reginę Mirską? Zresztą jak? Nie było dnia, żebym nie myślał o tajemniczym Maćku Pawliku. Przecież nawet gdybym chciał coś zrobić, nie było sposobu, żeby go odszukać. Imię popularne, podobnie jak nazwisko, w dodatku chłopiec, a więc ktoś nieobecny w książkach telefonicznych. Nawet gdyby nazywał się Medrad Pawello, byłyby trudności z odnalezieniem, a tak... Nie, naprawdę nic nie mogłem zrobić!

W wigilię Wszystkich Świętych wpadł mi w ręce numer „Wprost”, gdzie na rozkładówce, wśród zdjęć osobistości zmarłych w ciągu ostatniego roku, zauważyłem i swoją podobiznę. Poczułem naraz ogromną ochotę, by w Dniu Zmarłych znaleźć się przed naszym grobem rodzinnym na Powązkach. I choć było to wysoce nierozsądne, następnego dnia o świcie wsiadłem do pociągu.

*

Alejki najstarszego warszawskiego cmentarza wypełniał gęsty tłum. Powietrze przepajała woń zniczy, świeżych kwiatów, igliwia z wieńców i normalnej listopadowej wilgoci. Panował też ów rzadko spotykany nastrój wzajemnej życzliwości, ciepła, które unosząc się nad płomykami lampek, docierało do ludzkich serc. Przy wejściach kwestowali aktorzy. Z rozpędu omal nie przywitałem się z Zuzią Krecińską, energicznie potrząsającą puszką przy IV bramie. Mój Boże, gdyby nie jej choroba, zamiast do Chicago pojechałbym do Bełchatowa... Na wszelki wypadek ominąłem gwiazdę z daleka, wrzucając zwinięty banknot siwemu koryfeuszowi z Ateneum. Też mnie nie poznał. Nie miał prawa, mojej charakterystyki dopełniały ciemne okulary i pospolita jesionka, jakiej jeszcze miesiąc temu w żadnym wypadku nie włożyłbym na grzbiet.

Grób rodziny Łańskich leżał w nowszej części Powązek, nieopodal rozświetlonej tysiącami zniczy mogiły marszałka Rydza Śmigłego, jednej z tych tragicznych postaci, jakich pełno w polskiej historii. Wąska ścieżka między mogiłami na szczęście była pustawa, dlatego mogłem szybkim krokiem przedelfilować przed szarą płytą. Ileż razy odwiedzałem to miejsce z babcią, później z rodzicami — teraz wszyscy już tam leżeli. Oprócz mnie. Mogiłę pokrywało mnóstwo świeżych wieńców i wiązanek, najwyraźniej nasz symboliczny pogrzeb odbył się zaledwie parę dni temu. Kto wie, może garść prochów z Thunder Bay wróciła do ojczyzny tym samym samolotem, co ja... W najokazalsze wieńce wetknięto dwie blaszane tabliczki z personaliami cioci i moimi. Biedna Regina! Biedne bliźniaczki!

Nie zatrzymałem się dłużej. W każdej chwili ktoś mógł nadejść. Stałem dwa rzędy grobów dalej, przy zaniedbanej mogile najwidoczniej nie odwiedzonej od kilku lat, powyrywałem chwasty, ukradłem z sąsiednich grobowców trochę zniczy i kwiatów w doniczkach. Pierwszy listopada był tego roku wyjątkowo ciepły, ale i tak przemarzłem do szpiku. W ciągu czterech godzin mój grób odwiedziło sporo osób. Moja siostra z konkubentem, pani Eugenia z małym bukiecikiem kwiatów, Leon Jabłoński sam, ale autentycznie wzruszony. Poczciwy menago! Pojawiło się też dwóch posiwiałych kolegów ze szkoły, z którymi nigdy nie byłem w większej przyjaźni, Mirek, ongiś klasowy amant, dziś otyły, kompletnie łysy dziadyga, nasza sąsiadka z Międzylesia, z trudem poruszająca się o kulach. Mój sędziwy pan od wufu. Jak było do przewidzenia, nie pojawił się nikt z kolegów artystów.

Około trzeciej nadeszła Magda z Grzegorzem. Ona najwyraźniej z obowiązku, a mój jedyny syn... Nie sądzę, żeby cokolwiek przeżywał. Kręcił się, dłubał w nosie, z trudem dał się namówić na zmówienie paciorka. I to był koniec krótkiej defilady. Jakże niewiele po nas pozostaje. Był Jędrus, nie ma Jędrusia, aż chciało mi się zanucić refren pięknej piosenki zmarłego dekadę wcześniej Adasia Kreczmara: „A życie sobie płynie, jak gdyby nigdy nic...” Zapadał wczesny zmierzch. Światła zniczy gorzały coraz jaśniej. Wypadało się zbierać. Na odchodnym rzuciłem okiem na uporządkowaną przez siebie mogiłę. Na odsłoniętą spod chaszczki poczerniałą płytę, na której brud i mech pożarły napisy... Nawet nie wiedziałem, kto tu leżał. Tknięty nagłym impulsem, zacząłem skrobać chropawy kamień. Litery zaczęły wychodzić coraz czytelniej. Gdy skończyłem, wziąłem najokazalszy ze zniczy i zbliżyłem do płyty.

Maciej Pawlik (1897–1947) — przeczytałem.

— Czy to nie symboliczne? — usłyszałem za sobą dźwięczny głos.

*

Szliśmy obok siebie cmentarną alejką. Czułem się wyjątkowo głupio i Amanda chyba to rozumiała.

— Nie mam do ciebie pretensji — szczebiotała. — Chciałeś trzymać mnie z daleka od tej rozgrywki, chronić mnie. Ale ja jestem dorosła i postanowiłam, że ci pomogę.

Powiniennem wyjaśnić, że nie potrzebuję pomocy, bo nie mam najmniejszego zamiaru zajmować się sprawami wymagającymi udzielenia mi pomocy, ale takie wyznanie w żaden sposób nie chciało mi przejść przez usta. Dlatego spytałem jedynie:

— W jaki sposób mnie znalazłaś?

— Za niewielką opłatą udało mi się odtworzyć nie wykorzystany bilet i przylecieć dwa dni po tobie.

— Musiałaś mieć przeze mnie niezłe pierepałki na lotnisku!

— Niewielkie. Już po dwóch godzinach udało mi się przekonać ochroniarzy, że ktoś zrobił głupi kawał. Staram się o odszkodowanie za uniemożliwienie mi lotu w terminie i pewnie je dostanę.

— Ale tutaj, skąd ci przyszło do głowy, żeby szukać mnie na cmentarzu?

— Wiedziałem, że się ukryjesz. Zresztą potwierdziła to twoja siostra.

— Irena wie, że żyję? Wsypałaś mnie?!

— Masz mnie za idiotkę? Po przyjeździe zadzwoniłam do niej, twierdząc, że poznaliśmy się w Stanach, że jestem córką twojej szkolnej koleżanki i że zamierzam studiować w Polsce. Dziwiłam się, że twój telefon nie odpowiada. Wtedy poinformowała mnie o twojej śmierci... i rozpląkała się.

— A ty?

— Nie wyprowadzałam jej z błędu. Wiedząc, że się ukrywasz, miałam do wyboru albo szukać po całej Polsce pana Byrnesa, albo założyć, że wpadniesz dziś, przy święcie, zobaczyć własny grób. Jakież artysta by tak nie uczynił?

— Brawo, mój Sherlocku.

— Dziękuję, Watsonie. Mam dla ciebie mnóstwo informacji o tej szóstce z listy twojej ciotki...

— Nie bardzo mam czas, za godzinę odjeżdża pociąg do... do miejsca mego pobytu.

— Możesz przenocować u mnie. Wynajęłam mieszkanie. Twoje.

— Co takiego? — moje zdumienie nie miało granic.

— Przekonałam panią Irenę. Skoro lokal i tak stoi pusty, a postępowanie spadkowe zajmie co najmniej pół roku, to lepiej, żeby ktoś zaprzyjaźniony opiekował się lokalem. Za niewielką opłatą. Pozwoliła mi również korzystać z twojego samochodu. O, widzisz, zaparkowałam go koło kościoła. Wsiadasz?

Byłem zdumiony. Ale czy mogłem odmówić?

*

Zatem byłem gościem we własnym mieszkaniu. Co gorsza, zostałem zepchnięty do absolutnej defensywy. Przyparty do muru, nie chcąc zostać uznany przez śliczną dziewczynę, która mogłaby być moją córką, za tchórza, mogłem jedynie brnąć w coraz większe tarapaty, łudząc się, że i tak nic z tego nie wyniknie.

Moja spowiedź trwała parę godzin. Do północy opowiedziałem Amandzie wszystko, no, może prawie wszystko, co wydarzyło się od momentu, kiedy przybyła do mnie ciotka Regina, aż po dramat na lotnisku w Thunder Bay. Ocenzuowałem jedynie historię mego romansu z Dolores jako nie mającą wpływu na główny wątek dramatu. Nie wspominałem również o prześladowającej mnie zjawie małej Cyganeczki,

ale jestem przekonany, że trzeźwo myśląca dziewczyna wzięłaby mnie za czubka. Relacjonując zdarzenia, jeszcze raz przeżyłem poszukiwania w Chicago, niezwykle relacje Reginy z podróży poza krawędź śmierci, dzień horroru na farmie, naszą ucieczkę, uprowadzenie mnie przez najemników, oszustwa Fergusona... Amanda słuchała zafascynowana. A potem zrewanżowała się informacjami zdobytymi na temat sześciu facetów z „testamentu” ciotki:

Harry Meyerhold — urodzony 5 stycznia 1940 roku w Chicago, trzy miesiące po przybyciu swych rodziców, ubogich emigrantów żydowskich z Europy Środkowej. Dzięki pomocy zamożnego stryja udaje mu się ukończyć prawo na Harvard University i rozpocząć pracę w charakterze wykładowcy w jednym z uniwersytetów Środkowego Zachodu. Aktywnie włącza się w studencki bunt 1968 roku, mówią, że właśnie w tym czasie poznał obecnego prezydenta USA (razem palili trawkę i zaliczali kolejne hipiski). Za aktywny udział w zamieszkach i popieranie oporu przeciwko wojnie wietnamskiej traci pracę na uczelni i próbuje szczęścia w zawodzie prawnika. Po paru latach przenosi się do Tamy na Florydzie, gdzie zaczyna pracować w biurze prokuratora okręgowego. Awansuje bardzo powoli i nic nie zapowiada olśniewającej kariery. Przełomowy okazuje się rok 1985. Po efektownym rozstrzygnięciu procesu przeciwko seryjnemu mordercy Murdochowi (zaczyna przewód jako zastępca prokuratora, a po śmierci szefa kończy jako zwycięski oskarżyciel) zaczyna się jego usiana sukcesami droga. Harry przenosi się do stolicy Florydy. Włącza aktywnie w życie polityczne, a po śmierci prokuratora stanowego z rąk nieznanego sprawcy otrzymuje jego stanowisko. Sukcesy w walce z korupcją i mafią wynoszą go na stanowisko kongresmena, a potem senatora. W połowie lat dziewięćdziesiątych należy już do czołowych polityków Partii Republikańskiej, działa w komisji nadzorującej siły specjalne. Na koniec obejmuje stanowisko doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego. Nieprzekupny, surowy, a jednocześnie towarzyski i dowcipny, cieszy się łaskami mediów i uważany jest za polityka przyszłościowego.

Patrick Prescott — o jedenaście lat młodszy, pochodzi z Teksasu. Mimo arystokratycznie brzmiącego nazwiska jego przodkowie należeli do typowej „białej nędzy”, jakiej pełno w miasteczkach i wsiach Południa. Natura wyposażyła Patricka w wyjątkową urodę, dzięki której od najmłodszych lat mógł dorabiać w charakterze modela, mówi się, że nie gardził w tym czasie rolami w filmach pornograficznych. Zajmuje się też podejrzanymi interesami, co powoduje, że w 1984 roku musi opuścić rodzinne San Antonio i przenieść się na Karaiby. Na Jamajce pracuje jako fotograf. W tej dziedzinie wykazuje niewątpliwy talent. Jego zdjęcia etnograficzne, a wkrótce i reportaże z obszarów gwałtów i wojen przynoszą mu sławę i pieniądze. Mówi się, że w pogoni za tematem nie cofnie się przed niczym. Sławę i uznanie przynosi mu drastyczny reportaż z Salwadoru. Wkrótce okazuje się też, że umie inwestować: początkowo stawia na filmy i pisemka erotyczne, szczególnie te kierowane do mniejszości seksualnych (choć sam Patrick jest typowym szowinistycznym hetero), a w latach 30. dziewięćdziesiątych na kasyna, flotę jachtów przystosowanych specjalnie do rejsów turystycznych połączonych z nurkowaniem. Prasa popularna rozpisuje się o nim jako o „piękniejszej wersji Larry’ego Flynta”.

Bo Syn Wun — urodzony w 1952 roku, w samym apogeum wojny koreańskiej, też długi czas czeka na swoją szansę. Po rodzicach emigrantach dziedziczy kiepsko prosperujący sklepik w Los Angeles. Nic nie zapowiada, aby kiedykolwiek stać go było na drugi aż do momentu, gdy w roku 1985 wyrusza w podróż poślubną na Karaiby. Tam w bliżej nieznanych okolicznościach traci żonę. Według jednych dziennikarzy ginie ona podczas bandyckiego napadu na ulicy w Kingston, według drugich popełnia samobójstwo wkrótce po obejrzeniu folklorystycznych obrzędów w głębi interioru. Bo Syn Wun wraca jako inny człowiek. Próbuje znaleźć ukojenie w

różnych sektach, po roku wyjeżdża do Seulu szukać swych azjatyckich korzeni, tam też zostaje kapłanem niewielkiego zgromadzenia Kultu Ziemi i Ognia. Odkrywa w sobie talenty charyzmatyczne, a telewizja staje się jego orężem. Obecnie liczba jego zwolenników na całym świecie przekracza kilkaset tysięcy. I stale rośnie.

Jeśli idzie o pozostałe postaci z listy ciotki, to Amandzie wykorzystującej przede wszystkim artykułki z plotkarskiej prasy, nie udało się zdobyć zbyt wielu informacji. Wszyscy trzej nie zabiegają o rozgłos, dziewczyna zwróciła jednak uwagę, że każdy z nich w jakiś sposób otarł się o basen Morza Karaibskiego.

Gilbert Seguin miał na Martynice rodzinną plantację w pobliżu osady Saint Pierre i wielokrotnie właśnie stamtąd był deputowanym francuskiego Zgromadzenia Narodowego. Małoletni Filip Wonder razem z grupą uciekinierów z nigeryjskiej Biafry na początku lat siedemdziesiątych znalazł schronienie na Puerto Rico, tam w San Juan skończył seminarium duchowne, później jako młody duszpasterz pracował na Jamajce, skąd wyruszył na dalsze studia do Rzymu, by teraz być filarem młodego kościoła afrykańskiego.

Również Wasyl Łazarienko związany jest z Ameryką Środkową. Ongiś wysoki funkcjonariusz KGB rezydujący na tym terenie, znany z doskonałych kontaktów zarówno z rządami na Kubie i w Nikaragui, jak i z bossami kolumbijskich kartelów narkotykowych, po rozpadzie ZSSR zajął się biznesem. Obecnie posiada obywatelstwo Republiki Belize i dysponuje pakietami kontrolnymi akcji licznych banków na Kajmanach, Bahamach i w Panamie, z Bankiem Indii Wschodnich na czele.

— Jak widzisz, sami ciekawi, bardzo potężni ludzie — podsumowała Amanda. — Jeśli tacy zaangażowali się w służbę złu, to rzeczywiście kiepsko jest z tym światem.

Jeśli przedtem odczuwałem do sprawy niechęć w zasadzie intuicyjną, teraz miałem pełne powody odczuwać strach. Dlaczego więc nie dałem tego poznać po sobie? Dlaczego wdałem się w rozmowę merytoryczną?

Wspólnie z Amandą zastanawialiśmy się, co łączy tych ludzi poza tym, że są zamożni, niezwykle wpływowi i otarli się o rejon Trójkąta Bermudzkiego. Czy się znają, kontaktują, koordynują działania? Jeśli tak, to w jakim celu?

— A te aury? — mówi naraz dziewczyna. — Mówiłeś, że największym zagrożeniem dla tych ludzi były umiejętności pani Karpickiej rozróżniania osobników dobrych od złych. Być może wymieniona szóstka to najgorsi z najgorszych, przywódcy jakiegoś ogólnoswiatowego spisku...

— Niewykluczone, ale nadal nie wiem, co mielibyśmy z tym począć. Raport ciotki przepadł. Jak zatem zainteresować kogokolwiek sprawą, w której nie mamy żadnych dowodów. Jest więcej niż pewne, że cokolwiek uczynimy, ściągniemy na siebie uwagę nie mediów czy władz, tylko naszych przeciwników.

— Ale jednak zamierzałeś coś z tym zrobić? — Reagerówna patrzy na mnie uważnie, przenikliwie.

— Oczywiście, oczywiście... Chciałem odnaleźć tego chłopca, Maćka Pawlika. Tyle że nie posiadam najmniejszego punktu zaczepienia. Nic o nim nie wiem. To nazwisko w ogóle nie pojawiło się w moich rozmowach z ciotką. W ogóle nie wiem, skąd się wzięło.

— Zostało dopisane innym tuszem — zauważa Amanda i dodaje: — A ten grób, na który natrafiłeś?

— Prawdopodobnie to tylko przypadkowa zbieżność nazwisk. Tamten Maciej Pawlik nie żyje od pół wieku. Oczywiście mogę sprawdzić jutro w zarządzie cmentarza. Jednak wnosząc po stanie mogiły, jej lokator nie pozostawił po sobie kochającej rodziny. A ty masz jakiś pomysł, Amando?

Oczy dziewczyny błyszczą.

— Wiele. Jeśli ma być to postać niezwykła, obdarzona nadprzyrodzonymi siłami, być może dała już się poznać. Trzeba przyjrzeć się wszystkim działającym uzdrowicielom, pogadać z członkami sekt. W waszych gazetach zauważyłam również anonsy wróżek i salonów medycyny niekonwencjonalnej. Być może gdzieś natrafimy na tego chłopaka.

— Ależ to zadanie na lata.

— Mam czas do końca roku. Rozmawiałam z rodzicami. Powiedziałam, że znalazłam pracę, a po Nowym Roku spróbuję dostać się na jakąś płatną uczelnię.

— Znalazłaś pracę. Ciekawe gdzie?

— U ciebie, Andrzeju. Zaczynamy od jutra! Milcząco wyrażam zgodę. Potem oddaję Amandzie swój tapczan, sam przenoszę się na połówkę, którą przechowywałam na pawlaczu. Po umyciu zębów, idąc do swego pokoju, dziewczyna muska mnie w policzek. Czuję przez moment zapach pasty Colgate i delikatnych perfum. Ach, moja biedna Dolores!

*

I tak zabraliśmy się do tej niewdzięcznej roboty. Nie ukrywam, szło nam powoli, w dwa tygodnie Amanda zdążyła złożyć wizytę w setce punktów, gdzie miała nadzieję spotkać tajemniczego młodzieńca. Ja przetrząsałem gazą — ty naukowe lub popularnonaukowe, szukając jakiejś wskazówki. Nic. Dotarliśmy do towarzystwa skupiającego wszystkich ważniejszych fanów psychotroniki. Zdobyliśmy katalogi ich klientów. Osobiście, podając się za współpracownika polsatowskiego *talk-show* „Na każdy temat”, odwiedziłem ze dwa tuziny mediów. I nadziewałem się przeważnie na szajbusów lub hochsztaplerów.

Po dwóch tygodniach byliśmy potwornie zmęczeni i zniechęceni. Moja Kanadyjka jednak nie rezygnowała, za pośrednictwem Internetu dotarła do archiwum prasy. Poważną z ostatnich miesięcy mieliśmy przerobioną, ale panna Reger wpadła na pomysł, aby cofnąć się o trzy lata i przejrzeć również gazety brukowe. Efektem był obszerny spis nagłówków, w których występowało nazwisko Pawlik.

Włączyłem komputer i zaczęliśmy je przeglądać. Ku memu przerażeniu było tego mnóstwo. Od pozycji: „Andrzej Pawlik «Nowa architektura sakralna na Mazowszu»,„ czy „Bronisław Pawlik — inna twarz mistrza sceny w spektaklu Macieja Wojtyszki” po „Zenon Pawlik zeznaje: «Niezwykła spowiedź recydywisty*”.

— Skąd pochodzi ten artykuł? — zapytałem machinalnie.

— Z „Super Expressu”. Sprzed dwóch i pół roku. Wkrótce udało nam się przywołać tekst *in extenso*.

Dramatyczny zwrot w rozprawie przeciwko recydywiście Zenonowi Pawlikowi (nazwisko drukujemy za zgodą prokuratora). W drugim dniu przewodu przed sądem rejonowym dla Pragi Południe ten niebezpieczny recydywista podejrzany o zabójstwo młodego złodzieja, dotąd zachowujący kamienne milczenie, nieoczekiwanie zgadza się zeznawać — i mimo protestu swego adwokata, przez dziesięć minut ujawnia przy pełnej sali najbardziej mroczne szczegóły swego procederu i wskazuje miejsce zakopania ciała Franciszka W.

Publiczność jest niezwykle poruszona, a gdy obecny na sali syn Pawlika, siedemnastoletni Maciej mdleje, sąd ogłasza przerwę. Zanim jednak do niej dochodzi, oskarżony przerywa zeznania. W ataku furii zaprzecza wszystkiemu, co zeznał do tej pory, atakuje pilnujących go funkcjonariuszy. Sąd odracza rozprawę.

Patrzymy na siebie z Amandą.

— Maciek Pawlik, syn kryminalisty. Czy to może być właściwy trop? —
zastanawiam się głośno.

— Jest imię, jest niezwykle zdarzenie w sądzie, wyjątkowa kumulacja zła...

— No to nie pasuje, Pawlik wspomniany przez ciotkę miał być orężem w służbie
Dobra.

— Niczym nie ryzykujemy, idąc tym tropem.

Dygresja 2. Jamajka (ciąg dalszy)

*Nie da się uciec przed swoim
przeznaczeniem, szczególnie gdy się
nie ucieka.*

Pogrzeb przypominał szybką akcję asenizacyjną. Niższy urzędnik zastąpił dyrektora więzienia. Lekarz podpisał świadectwo zgonu i pośpiesznie pojechał do Kingston na dziwki. Ksiądz spóźnił się i odmówił modlitwę nad zasypaną mogiłą. Na starym przywieszonym cmentarzyku nie widziano nikogo z rodziny profesora Hardinga. Zresztą od dawna nikt nie chciał mieć nic wspólnego z psychopatycznym mordercą. Oszczędzono na stroju i trumnie. Ciało złożono do dołu w więziennym drelichu i foliowym worku. Nie były dzwony, choć pewnie powinny.

Mrok w tropikach zapada szybko. Cztery godziny później nad cmentarzem w Spanish Town panowała noc. Spali wszyscy w swych mogiłach: hiszpańscy kolonizatorzy, angielscy piraci, liczne pokolenia wyzwolonych niewolników i mnóstwo zwykłych, zmarłych dawno temu ludzi. Wyjątek stanowił Matthew Harding.

Obudził go żar promieniujący ze środka organizmu. Jego trzewia płonęły. Nie wiedział, gdzie się znajduje, ale czuł suchość w gardle, brakowało mu powietrza. Foliowy worek nie dawał mu wiele luzu. Usiłował się poruszyć, ale nie mógł. Z najwyższym wysiłkiem nie obcinanym od dawna pazurem rozdarł folię. Po dłoni posypał się chłodny piasek... Groza na moment wstrzymała rytm pracy jego serca.

Pogrzebali mnie żywcem!

Próbował mocniej poruszyć ręką lub nogą, daremnie. Na ile czasu mogło mu starczyć powietrza? Na pięć minut? W rozpaczy pomyślał o amulecie.

Teraz mógłbyś pokazać swą siłę. Jeśli ją masz! Wsłuchiwał się, czekając na jakiś znak z wewnątrz lub zewnątrz.

— Będę zawsze twój! — powtarzał. — Przysięgam! Komba tahima ute! Okaż swoją moc!

Wtem gdzieś z góry dobiegł go szelest. Zrazu słaby, potem mocniejszy. Czyżby jakieś zwierzę zabierało się do rozkopywania grobu? Po chwili o kamień brzęknęło ostrze łopaty. Ekshumatorem nie było więc żadne zwierzę.

Strażnik Jim Slower znany był z doskonałego wzroku. Nikt lepiej w całym więzieniu nie robił w celach kipiszu, zawsze uwieczzonego jakimś cennym znaleziskiem. W czasie incydentu w stołówce dostrzegł złotą łażkę w rozkrojonym tuńczyku, zarejestrował również fakt, że więzień ją połknął. Plan miał prosty, a środkami jego realizacji miały być szpadel i maczeta. Wykopać więźnia, rozkroić mu brzuch, zagarnąć łup. Na sąsiednim nagrobku położył zapaloną latarkę, tak by oświetlała mu teren działania. Ziemia okazała się dość miękka, paroma ruchami rozgarnął wierzchnią warstwę, po czym odłożył łopatę i sięgnął po worek. Trup nie był ciężki, tylko folia pękła mu w rękach. Slower obrócił się po maczetę, lecz nie zdążył jej dotknąć; cios bykiem powalił go na ziemię.

Harding był słaby i półprzytomny, ale sprzyjało mu przerażenie strażnika, który zamiast poderwać się na nogi, stawić czoło zmartwychwstańcowi lub przynajmniej uciekać, leżał wywijając nogami i skowycząc ze strachu, bezbronny jak obrócony na grzbiet chrabąszcz. Matthew natomiast nie zawahał się użyć maczety lśniącej w świetle latarki. Cios! Krzyk strażnika umilkł. Jeszcze chwila, a obdarte z munduru ciało zsunęło się do dołu. Parę ruchów łopatą i ziemia została ponownie przyklepana.

Dobra passa więźnia trwała, w mieszkaniu Slowera (strażnik mieszkał samotnie)

znalazł nie tylko sporo gotówki, ale także paszport z wielokrotną wizą amerykańską. Na lotnisku udało mu się również dostać bilet na poranny lot do Nowego Orleanu. Zanim w więzieniu zorientowali się, że brakuje strażnika, jego morderca znajdował się już nad brzegami szeroko rozlanej Missisipi i korzystał z uciech, jakich dostarczały liczne kluby na całej długości Bourbon Street, zatrudniające panienki wszelkiej maści: od hebanu przez elegancki brąz po złocistość starego chińskiego kruszcu.

Wyboru dalszej drogi życiowej dokonał w toalecie boeinga, gdzieś na wysokości Kajmanów. Pałący żywym ogniem amulet znalazł właśnie drogę na zewnątrz, zgodną z prawem natury, i po paru sekundach bólu zagrzechotał wewnątrz muszli klozetowej niczym kulka w ruletce. Teraz wystarczyło jedynie nacisnąć guzik i pozbyć się tej kropli zła na zawsze.

Ale pojawiły się wątpliwości.

Co się stało, już się nie odstanie — w duszy Hardinga odezwał się dialektyczny umysł naukowca. — Amulet oczywiście można wyrzucić, ale czy nie powinno się go wpierw zbadać? Jest ewenementem na skalę światową. Historyczną pamiątką po starej afrykańskiej cywilizacji, potężnym środkiem sprzyjającym realizacji życiowych celów. Owszem, do tej pory skłaniał mnie do zabijania, ale przecież nie czynił tego dla przyjemności, tylko w samoobronie. To ja straciłem głowę. Ale przecież to się już więcej nie powtórzy. Nie będzie takiej potrzeby. Prawda?

Łezka chyba zrozumiała pytanie, ponieważ sama z siebie zatańczyła z radosnym grzechotem wewnątrz muszli. Przez rok od tej chwili nie zdarzyło się nic dramatycznego. Hardingowi sprzyjało szczęście. Dzięki swym zdolnościom plastycznym bez trudu znalazł pracę i zatrudnił się na czarno w firmie dekoratorskiej obsługującej zamożnych właścicieli rezydencji w Luizjanie. W międzyczasie nabył bardzo dobre dokumenty niejakiego Mike'a Perry'ego, który po pijaku utopił się w jednej z odnóg rozległej delty Missisipi. W wolnych chwilach zajmował się badaniem amuletu. Po roku mógł śmiało stwierdzić, że wie o nim tyle, co na początku. Tylko pozornie przypominał on biżuterię afrykańską. Po przestudiowaniu dziesiątków albumów i opracowań dotyczących wszelkich kultur Czarnego Łądu, od Aszanti, Dogonów i Bantu poczynając, a na Buszmenach i Hotentotach kończąc, Matthew upewnił się, że ma do czynienia z egzemplarzem jedynym w swoim rodzaju.

Nie przyniosły też rezultatu badania fizyczne. Kruszec tylko z pozoru przypominał złoto. Twardszy niż diament, odporny był na zgniatanie i piłowanie. Jednocześnie swobodnie przepuszczał promienie rentgena i nie mógł zostać wykryty przez czujniki na lotniskach. Kwasy, łącznie z „wodą królewską”, nie czyniły na nim najmniejszego wrażenia. Podobnie neutralnie reagował na ogień — nie tylko nie ulegał topnieniu, ale ogrzewany palnikiem nie zmieniał własnej temperatury. Był stałocieplny. 36,6 stopni Celsjusza lub 97,87 Fahrenheita. Chyba że sam chciał ją zmienić.

Czym zatem mógł być? Okruczem materii pochodzenia pozaziemskiego? A może... — tę hipotezę Harding rozważał z lękiem — może odmienną formą życia. Wskazywałoby na to jego stałe zapotrzebowanie na krew. Amulet potrafił wypić jej całe morze. Kiedyś Harding wybrał się z nim do rzeźni w Baton Rouge i wrzucił łezkę do koryta z krwią bydłą. Po godzinie zastał je puste. Za to łezka, nie zmieniawszy pierwotnej objętości ważyła ponad trzydzieści kilogramów. Ledwo udało mu się ją podnieść. A przecież normalnie wydawała się lżejsza od aluminiowego dzwoneczka. Podlegała zatem jakiemuś fizycznemu prawu. Wchłaniała (nie wiadomo jak) krew, jak również preparaty krwiopochodne, a potem w równie niewytłumaczalny sposób trawiła wszystko, wracając do zwykłej wagi. Mogła też bardzo długo obywać się bez pokarmu, chociaż raczej tego nie lubiła. Czy coś odczuwała, widziała, słyszała? Matthew nie miał dowodów, ale obawiał się, że aż za dobrze. Jeszcze bardziej

niezglobione były jej cele. Dość apriorycznie założył, że amuletem, podobnie jak ziemskimi organizmami, kieruje instynkt samozachowawczy. Nie chce być głodny, a zatem wszystkie jego niegodziwości wynikały jedynie z walki o byt. A jak wytłumaczyć reagowanie na zaklęcia? Cóż, gotów byłby złożyć je na karb jakiegoś zawartego przed tysiącem lat kontraktu z ludźmi. W swym rozumowaniu były profesor Uniwersytetu Indii Zachodnich popełniał dość częsty błąd typowego intelektualisty: nie doceniał obiektu swych badań. Nie brał pod uwagę, że inteligencja łożki może być znacznie bardziej rozwinięta, a cele dalekosiężne. Brakowi czujności sprzyjał fakt, że przez cały rok amulet nie wyrażał żadnych żądań, zachcianek, a wręcz przeciwnie — bezinteresownie — bezinteresownie przynosił mu szczęście. W jego towarzystwie Matthew miał powodzenie u kobiet, szczęście w grach i pełne bezpieczeństwo. Nigdy nawet się nie skaleczył. I to było wspaniałe. Niestety Harding nie zauważał, jak stopniowo złocisty obiekt zdobywa nad nim władzę, jak krok po kroku przeprofilowuje jego charakter, zapuszcza korzenie w jego jaźni, zmieniając go w powolnego wykonawcę swych planów. Nie uchwycił momentu, kiedy stali się jednością, kiedy jego myślenie zostało całkowicie podporządkowane zamierzeniom łożki.

A potem poczuł, tak sam z siebie (amulet nie wydawał przecież komend), że musi wrócić się na Jamajkę. Po co? Nieważne. Na Jamajce nikt przecież nie szukał Mike'a Perry'ego. Matthew Harding nie żył, a o więziennym strażniku, który zdezerterował, zapomniano.

Kiedy zrozumiał, czego wymaga od niego złocisty partner, potraktował jego sugestię ze zrozumieniem. Nie czuł strachu, nie przyszła mu do głowy myśl o proteście. Uznał za naturalne, że ich związek wymaga potwierdzenia — czegoś w rodzaju arcycyrografu. To musiało zdarzyć się na starym cmentarzu w Spanish Town. Wcześniej jednak należało odwiedzić Kajmany.

*

Wśród gości hotelu Treasure Island rodzina Marshallów z Tennessee nie odstawała od reszty zamożnych, zadowolonych z siebie Amerykanów. On, szczupły, elegancki Mulat, bankowiec z Nasville, w okularach, z minimalnymi zaczątkami brzuszka, ona, kokietyjna i dbająca o siebie biała „czterdziestka”, dwójka sympatycznych dzieci: czternastoletni Kevin i dwunastoletnia Sharon — typowa amerykańska rodzina. Ponadprzeciętna była tylko śliczna jak sen Sharon. Już teraz zwracała uwagę mężczyzn kręcących się nad basenem, nieodmiennie zadających sobie pytanie, jakie cudo z niej wyrośnie? Europejskie rysy szły w parze z oliwkową karnacją, migdałowymi oczami i jedwabistymi włosami opadającym burzą na opalone ramiona. Czy Sharon zdawała sobie sprawę ze swej urody? Prawdopodobnie zaczynała się domyślać własnej wartości. Była jednak jeszcze ciągle dzieckiem przeżywającym cudowne wakacje w tropiku. Wesołym, niefrasobliwym... Może gdyby była mniej rozrzepana, zwróciłaby uwagę na szczupłego, szpakowatego Murzyna, który od dwóch dni kręcił się koło ich hotelu.

Tymczasem każdy dzień przynosił nowe atrakcje, a to wyprawa repliką statku pirackiego po wodach Georgetown Harbour, to znów wizyta na Żółtwej Farmie w Vicksville, fascynujące nurkowanie w Grotach Diabelskich na zakończenie kursu divingu czy płytkie nurkowanie w ciepłej północnej lagunie, wśród ogromnych i zadziwiająco łagodnych płaszczyk, które igrały z ludźmi, karmiącymi ich małymi kalmarami.

Ostatnią atrakcją przed powrotem do domu miało być opuszczenie się w żelaznych

klatkach do matecznika rekinów znajdującego się przy sąsiedniej wyspie — Cayman Brac. O świcie cała czwórka Marshallów zjawiała się na Owen Roberts Airport opodal Georgetown. Z pewnym zaskoczeniem zauważyli, że oprócz nich poleciał tylko jeden starszy, czarny mężczyzna. Podobno w ostatniej chwili cała wycieczka zrezygnowała z rezerwacji.

Wystartowali, samolot oderwał się od pasa, zatoczył łuk nad laguną i bagniskami porośniętymi mangrowią. Marshall zauważył jeszcze, że samotny Murzyn zdjął z półki podręczny bagaż, wydobył z niego termos i coś, co wyglądało jak czapka, a zaraz potem w nozdrza pasażerów i stewardesy uderzył jakiś dziwny zapach i prawie natychmiast wszyscy stracili przytomność.

Zanim Harding odkręcił termos zawierający sprężony gaz usypiający, naciągnął na twarz maskę przeciwgazową. Potem szybko wszedł do kabiny pilotów. Samolot pikował w górę. Obaj piloci zwisali bezwładnie przy sterach. Matthew wyciągnął jednego z nich i sam zajął jego miejsce. Wyrównał maszynę, zwolnił szybkość i obniżywszy lot do pięciuset metrów nad poziomem morza, włączył autopilota, a następnie wrócił do kabiny pasażerskiej. Drugi z podręcznych bagaży — worek z napisem: „Diving school” — wypełniał spadochron. Harding pozbył się pokrowca i zapiął pasy. Potem wziął na ręce nieprzytomną Sharon. Odblokował drzwi awaryjne. Uderzył go pęd powietrza, jednak nie odczuwał lęku. Cały czas działał jak automat albo ktoś, kto pół życia spędził w zielonych beretach. Czuł, że robi, co do niego należy, co musi zostać zrobione, coś, co jest fascynujące.

Brzeg Jamajki wyrósł przed nimi bardzo szybko, przelecieli nad plażą, sunąc w stronę Gór Błękitnych. Teren podnosił się, nie było na co czekać.

Skoczył!

Nim doleciał do ziemi, samolot z nieprzytomnymi pasażerami eksplodował na zalesionym stoku Cedar Valley.

*

Sharon wydawało się, że śni. A był to sen koszmarny. Dookoła niej paliły się świece, a niedaleko w mroku dudnił bęben.

— To zabawa! — szepnęła do siebie. — Starzy, nic mi nie mówiąc, zabrali mnie na wieczór obrzędów voodoo. Zaraz to się skończy i wszyscy będziemy się śmiać.

Ale wybuch śmiechu dość długo nie następował. Znudziło ją oczekiwanie. Usiłowała się poruszyć. Na próżno! Ręce i nogi miała przywiązane do kołków wbitych w ziemię. Potem zorientowała się, że jest naga.

— Chyba trochę przesadzili! Ale będę dzielna!

Kap! Coś ciepłego i lepkiego upadło jej na pierś, kap... Uniosła wzrok i znieruchomiała — nad jej głową wisiał czarny kogut z poderżniętym gardłem, a jego krew kapała wprost na nią.

— Nie, nie chcę! Zabierzcie mnie stąd! — krzyknęła. Odpowiedziało jej echo. Najwyraźniej znajdowała się w jakiejś jaskini. Sponad płomieni wyłoniła się postać starszawego Murzyna. Był nagi, a jego penis sterczał monstrialnie.

— Potrzebujemy cię, dziewczynko — zawołał.

— Nie rób mi krzywdy, proszę! — łkała.

Chyba znajdował się w transie. Pochylił się nad nią. Musnął jej drobne piersi, dotknął czoła w rytualnym geście.

— Muszą być ofiary — warknął.

W jego ręku pojawiła się złocista bryłka. Dotknął nią jej czoła. Sharon przeszedł dreszcz.

— Proszę... Moi rodzice zapłacą...

W ręce mężczyzny pojawił się młot. Krzyknęła. Zrozumiała, co zamierza zrobić. Wziął zamach i z potworną siłą uderzył. Łezka przebiła kości czaszki, wchodząc głęboko w mózg. Sharon nie miała pojęcia, co się stało. Nie wiedziała, że umarła, by wkrótce narodzić się jako Papina, przerażające monstrum ze Spanish Town, a zarazem istota, która jako jedyna na Ziemi będzie znać przyszłość.

12.

Oczekiwane życie po życiu może okazać się nieoczekiwane życiem na gorąco.

Amanda postawiła na swoim. Zamiast siedzieć jak mysz pod miotłą, ruszyłem na poszukiwania tajemniczego chłopca. Wbrew zdrowej logice, wbrew sobie. Ale jakie miałem wyjście? Zrejtrować raz jeszcze? Zresztą na razie zabawa nie wydawała się groźna.

Po dramatycznym incydencie w sądzie informacje o procesie Zenona Pawlika szybko zeszły z gazetowych nagłówek. Coraz trudniej, poza prasą prawniczą, było nam je w ogóle wypatrzeć. Przewód sądowy, co rusz odraczany i wznawiany, włókł się, oskarżony zaś, który odwołał poprzednie zeznania, poddawany był badaniom psychiatrycznym. Gdzieś po czterech miesiącach pojawiła się notatka: „17 marca br. w areszcie śledczym popełnił samobójstwo Zenon P. podejrzany o szereg przestępstw...” Nie było człowieka, nie było sprawy.

— Chyba to był zły trop — mruknąłem do Amandy ślęczącej nad zeskanowanymi zdjęciami wydobytymi z archiwum. Zenon Pawlik nie ma na nich urody amanta filmowego — wysoki, chuderławy, o małych, świdrujących oczkach gada i wełnistych włosach mógłby z powodzeniem grać przestępcę w czarno-białym filmie PRL-owskim. Inne zdjęcie uchwyciło jego żonę, niską, czerniawą, o aparycji zabiedzonego kurczaka. Jest i syn, Maciek — ciemnowłosa, drobny, niedożywiony, o wielkich ciemnych oczach i wąskich zaciętych ustach... Nic nie wskazywało, żebyśmy oglądali portret kandydata na zbawcę ludzkości.

— Powinniśmy szukać gdzie indziej — stwierdziłem. — Zobacz, tu mamy ciekawsze informacje: „Piętnastoletni Maciej Pawlik, ur. w Grudziądzu, 11 sierpnia zeszłego roku wyszedł z domu i dotychczas nie powrócił”. Albo to, też z ubiegłego lata: „UFO ląduje w gospodarstwie p. Pawlików pod Biłgorajem”.

Dziewczyna chyba nie słuchała, co do niej mówiłem.

— Zdobyłam adres naszych Pawlików — rzuciła. — Ulica Chełmżyńska, to gdzieś na Kawęczynie. Musimy tam zajrzeć.

Nie miałem na to wielkiej ochoty, ale wiedziałem, że Amanda i tak postawi na swoim.

*

Dzielnica nie należy do pięknych. A już szczególnie w listopadzie. Z jednej strony sterczy przerażający, nie tylko ekologów, komin elektrociepłowni Kawęczyn, dookoła płaszczy się chaotyczna bieda — zabudowa, nie otynkowane domki, pseudowille, baraczki, gołębniki. Brak miłosiernej zieleni, która mogłaby zamaskować brzydotę, jeszcze bardziej obnaża paskudztwo osiedla wyrosłego na pobojowisku bitwy o Olszynkę Grochowską. Ale kto powiedział, że z mogił bohaterów musi koniecznie wyrastać piękno i dobro...

Domek Pawlików niewiele różni się od kurnika, do którego zresztą przylega. Przed wojną zapewne wzniesiony jako jednorodzinny, obecnie, niewątpliwie we władaniu kwaterunku, jest zamieszkiwany przez wielu lokatorów. W podwórzu przyciał się jakiś warsztat, na drewnianym balkonie wietrzy się pościel, w przyciasnym kojcu ujadają dwa chude psy. Jednooki dziad rąbie drewno koło szopy. Pytamy o Pawlików.

— Już tu nie mieszkają — burczy.
— A nie orientuje się pan, gdzie mogli się przenieść?
— Nie moja sprawa — łypie przekrwionym okiem, wywijając nieprzyjemnie siekierą. Cofamy się za siatkę. Na szczęście napatacza się chuderlawa garbuska na rowerze, z wyglądu strzyga, z zawodu listonoszka. Mamy szczęście. Kobięcina zna aktualny adres młodego Pawlika. Razem z matką i młodszą siostrą mieszkają w Aninie. Amanda notuje nazwę ulicy i numer domu. Wsiadamy do samochodu, zauważając, że w ciągu tak krótkiego czasu jakieś bachory zdążyły nam złamać antenę i urwać wycieraczkę.
— Interesujący kraj — komentuje Kanadyjka. — U nas nawet Indianie nie sprawiają tyłu kłopotów.

*

Anin to zgoła inny świat. Tu nawet przybysz z Beverly Hills nie mógłby odczuwać kompleksu wyższości. Wille, pałacyki, baszty, bramy na fotokomórkę, arkady, pergole epatują nowobogactwem. Tylko ulice (co druga nosi nazwę Poprzeczna) pozostały na postkomunistyczną modłę zaniedbane — przedziwny prezent dla miłośników ekologii. Peugeot jak amfibia przedziera się przez kałuże, Amanda chichocze, dawno już nie jeździła jednostką pływającą, ja umieram ze strachu, że któraś z rozlewisk okaże się naprawdę głębokie, a przecież peryskopu nie posiadamy.

— To pewnie tu — wskazuję na drewnianą budowlę wielorodzinną w typie „nadświdrzańskim”.

— Następny numer! — poprawia mnie panna Reger.

Nie wierzę oczom. Następnym budynkiem jest stylowy pałacyk, godny ambasadora Szwajcarii lub rosyjskiego gangstera. Równe żywopłoty okalają ścieżki i tarasy, zza budynku wyziera oszklony kawałek oranżerii, a może krytego basenu, na piętrze łśni panoramiczne okno, a wśród sosen, tam gdzie tubylcy oprócz wkopanych opon zwykli ustawiać krasnale w stylu ernerdowskim, zachwyca klasycznymi proporcjami rzeźba fauna. Spoglądamy na siebie z niedowierzaniem. Czyżby garbata funkcjonariuszka Poczty Polskiej spletała nam kawał? Amanda przyciska dzwonek. Cisza. Drugi raz — mocniej, dłużej. Dobiaża nas chrzęst zamka; ktokolwiek przebywa w domu, nie wierzy domofonowi — na taras wychodzi szczupła starsza kobieta w czarnym gustownym kostiumie.

— Państwo do kogo — pyta.

— Do pani Marii i Macieja Pawlików — mówię.

— W jakiej sprawie?

— Jesteśmy z prasy — uprzedza mnie Amanda. — Mamy parę pytań.

Kobieta w czerni gwałtownie cofa się ku drzwiom.

— Państwa nie ma w domu! — Znów słyszeć szcęk ryglowanych zamków.

— To przecież ona. Poznałam! — gorączkuje się moja młoda towarzyszka.

Pociągam ją o parę kroków do tyłu, poza zasięg domofonu.

— Wiem, ale, jak widzisz, nie jest skłonna do rozmów.

— Może przesadziłam z tą prasą?

— To nieistotne. Zaczynam nabierać przekonania, że miałaś rację i rzeczywiście na coś jednak trafiliśmy.

Faktycznie, przeistoczenie się w ciągu niespełna kilku lat z przymierających głodem lokatorów kurnika we właścicieli pałacu w najdroższej dzielnicy Warszawy wskazuje na działanie sił nadprzyrodzonych. Albo mafii — dopowiadam w duchu.

Gdzieś całkiem niedaleko za nami odzywa się klakson. Uskakujemy pod płot, ale i

tam dosięgają nas tłuste bryzgi błota. Brama otwiera się automatycznie i przejeżdża przez nią olbrzymi mercedes. Za kierownicą siedzi czarnowłosy młodzieniec, w którym tylko przy ogromnym wysiłku można rozpoznać nieszczęśnika trzy lata temu zajmującego miejsce na ławach publiczności w sądzie rejonowym. Obok niego chichoczą dwie luksusowe panienki. Wesoły wehikuł znika gdzieś na tyłach domu, a brama zamyka się płynnie jak dobry szlaban graniczny. Milczymy. Nie wiem, o czym myśli Amanda, ale ja jestem zdezorientowany — szukaliśmy sojusznika dla sił Dobra, a tymczasem najwyraźniej trafiliśmy na jeszcze jednego pupilka diabła.

*

Przez trzy następne dni pilnie tropiliśmy początki fortuny sieroty cudownie przepoczwarzonej w złotego młodzieńca. Jakikolwiek spadek po Zenonie Pawliku nie wchodził w grę. Kryminalista był pospolitym menelem, alkoholikiem, który nigdy nie śmierdział groszem. Nikt w sądzie nie dopatrywał się związków między nim a kóymś ze słynnych podwarszawskich gangów. Wedle pozbieranych przez Amandę plotek początkiem fortuny Macieja była jakaś astronomiczna wygrana w toto-lotka, zrzęcznie pomnożona przez hazard (chłopak bywał częstym gościem kasyn i jaskiń pokerowych) oraz udane inwestycje. Poza tym, a dowiedziałem się o tym od znajomego dzielnicowego, wprawdzie nigdzie nie pracował, ale nie trudnił się żadną działalnością przestępczą, nikomu się nie narażał, bawił się wprawdzie ostro, ale nie chuliganił. Dbał o matkę i malutką siostrzyczkę.

Do wieczora 18 listopada nie trafiliśmy na nic rewelacyjnego.

— Może to jedynie szczęściarz — zastanawiałem się głośno — a my wężymy wokół niewłaściwego Pawlika... Jak myślisz? — pytanie skierowałem do Amandy, od dłuższego czasu okupującej naszą mikrołazienkę.

— Sprawdź to — odparła, wychodząc.

Zbaraniałem. Skromna, chłopięca Reger przeobraziła się w rockowego wampa. Włosy blond peruki sięgały połowy pleców, podniesiony biust rozpychał koszulkę ściągniętą skórzanym pasem nabijanym złocistymi ćwiekami. Niżej czerwieniło się skórzane mini, krótkie jak fraszka, i nogi w wysokich butach używanych przez ludzi staroświeckich do konnej jazdy. Strój uzupełniała ni to kurtka, ni mantyla, coś w sam raz dla Ptasznika z Tyrolu, a całości dopełniało złociste kółko w nosie, które skojarzyło mi się natychmiast z tragedią urzędniczki, która wetknąwszy w akta nos, przytrzasnęła go sobie zszywaczem.

— Coś ty z sobą zrobiła, dziewczyno?! — wykrzyknąłem.

— Założyłam strój roboczy. Zamierzam spenetrować mateczniki naszego Maciusia. Zajrzę do Harendy, Sceny, paru pubów...

— Pójdę z tobą!

— Jako ochroniarz czy tatuś? — zapytała, raniąc mnie tym „tatusiem” boleśnie. — Nic się nie bój, widziałeś mnie w akcji, w razie czego poradzę sobie ze stołeczną żulią... — Nie wiedzieć skąd koło mego ucha świsnął nóż i wbił się z impetem we framugę drzwi. — Mam również gaz w sprayu. Zresztą ten Maciek nie wygląda na bandziora.

— Ale co zamierzasz?

— Zaprzyjaźnić się z nim. A potem umiejętnie wybadać.

Chciałem zapytać, jak głębokie „zaprzyjaźnienie” może wejść w grę, ale ugryzłem się w język. Amanda należała do fanatyczek sprawy i jestem przekonany, że gdyby tylko sprawa tego wymagała, zdecydowałyby się na wiele.

— Nie przejmuj się. Będę dzwonić co godzinę i meldować, gdzie jestem. Na

wszelki wypadek ustalmy kod: jeśli użyję słowa „ubzdryngolona”, oznaczać to będzie, że jestem w niebezpieczeństwie, na hasło „wlana” powinieneś opuścić mieszkanie i ukryć się, jeśli zaś powiem „dętka”, nie przejmuj się, wróć rano!

— Do licha, skąd ty, w końcu cudzoziemka, tak doskonale znasz naszą pijacką terminologię?

— Genetyczne uzależnienie, tatuś cierpi na syndrom PKA: Polak, katolik, alkoholik. — Podeszła bliżej, prowokująco wypięła piersi i zapytała: — Powiedz, jako znawca przedmiotu, czy ktoś zechce na mnie polecieć?

— No... rzecz gustu — wydusiłem lekko zmieszany.

— A teraz? — Z rozmachem usiadła mi na kolanach, a zapach perfum prawie mnie oszołomił. Naraz uświadomiłem sobie, że nie jest to taka niewinna, dorastająca dziewczynka, za jaką ją uważałem.

— Zdecydowanie wolę cię w wersji bardziej stonowanej!

— Ja siebie też — ćwierknęła, pocałowała mnie w policzek i wyfrunęła z gniazdka.

Gdy wyszła, zgasilem światło. Jak konspiracja, to konspiracja. Dzięki poświacie wlewającej się z zewnątrz mrok nie był całkowity. Wyciągnąłem się na połówce. Cicho tykał zegar, stary domowy przyjaciel z dzieciństwa. Ileż to razy, zawsze w południe, mój ojciec stawiał stółek, wyjmował małą korbkę ukrytą za cyferblatem, sprawdzał czas na staromodnej cebuli, a potem delikatnie nakręcał mechanizm. Ciekawa sprawa, po jego śmierci zegar nie chciał działać. Nie pomagały konsultacje rozmaitych zegarmistrzów, zmiany haka, oliwienie trybów. Zawsze zatrzymywał się za pięć dwunasta. Magda była zdania, że należy go wyrzucić.

— Po co komu zegar, który nie chodzi — gderła. — Antyk to też nie jest.

A najdziwniejsze, że po rozwodzie i przeprowadzce, tu, w betonowej klatce, czasomierz znów zaczął działać... Może po prostu nie lubił Magdy.

Naraz zadzwonił telefon. Od wyjścia Amandy nie minęła jeszcze godzina... Czyżby coś jej się przydarzyło? Odezwałem się, tak jak się umówiliśmy, głosem emeryta numer 3, który brzmiał z grubsza jak skrzywienie rozeschniętej szafy.

— Słucham, magazyn...

— Czy to mieszkanie pana Łańskiego — zabrzmiał głosik czysty, wyraźny, jakby dochodzący z drugiego pokoju.

— Ccco? — z wrażenia zapomniałem zmienić barwę głosu.

— Wiedziałam, że to ty, Jędrusiu, ale czy nie powinieneś bardziej się zakonspirować?

Nogi ugięły się pode mną. Głos w telefonie należał do świętej pamięci Reginy Mirskiej, świeć Panie nad jej duszą.

*

Do drugiej nad ranem Amanda zdołała odwiedzić sześć warszawskich lokali, uchodzących za ulubione „łowiska” młodego Pawlika, zebrała po drodze wiele ofert matrymonialnych i krótkoterminowych (przeważnie finansowych). W eleganckich (i dodajmy — przyciasnych) butach bolały ją nogi, przywykłe bardziej do konnej jazdy niż dyskotekowych ćwiczeń, głowa spuchła od rocka i disco-polo. Że jak dotąd obyło się bez poważniejszych incydentów, zawdzięczała swej kuzynce Beacie i jej mężowi Arkowi, funkcjonariuszowi policji, którego wzrost (192 cm) i rozrośnięta kłata studziły zapędy co bardziej natarczywych podrywaczy.

— Czego ty właściwie chcesz od tego Pawlika? — dopytywał się policjant. — To nieciekawy typ, chociaż nie notowany.

— Chciałabym go poznać, to wszystko.

Szansa pojawiła się dopiero w Hybrydach o 2.25. Pierwszą osobą, którą dojrzała na wysokim stołku barowym, był właśnie Maciek. Okiem łowcy szacował dziewczęta tańczące na parkiecie, starając się zapewne odgadnąć, która z nich jest poszukiwaczką wrażeń, która portfeli, a która przyszła potańczyć ze swoim chłopakiem, ten zaś już się upił i całkiem stracił ochotę do zbiorowego gibania się w pulsujących światłach, zatem panienka jest do wyjęcia.

Regerówna wymieniła znaczące spojrzenia z Arkiem i Beatą i wtargnęła na parkiet. Następných dziesięć minut poświęciła prezentacji wszystkiego, czego nauczyła się podczas paroletniego uprawiania gimnastyki artystycznej, oraz w ciągu półrocznego stażu w kółku tanecznym. Wykonała nieprawdopodobną liczbę obrotów, wyskoków, skrętów, a ponieważ natychmiast zwrócono na nią uwagę, więc wkrótce utworzyło się wokół niej kółeczko, a kilka dziewcząt usiłowało podjąć z nią rywalizację, z dość żalonym wynikiem. Także kilku stołecznych „dansjorów” równie odległych od Freda Astaire’a, jak Chmielna od Bulwaru Zachodzącego Słońca zrezygnowało po paru próbach. Dyskdzokej, zorientowawszy się, co się dzieje, zaserwował koktajl złożony z najbardziej szybkich i rytmicznych nagrań, jakie miał pod ręką. Rychło ostatnie kobiety też powypadały z konkurencji i teraz, stojąc wokół parkietu, spoglądały jadownicie na klaszczących facetów. Jeszcze jeden obrót, jeszcze jeden... Czując, że za chwilę nogi spłyną jej krwią, Amanda uwieńczyła popis saltem, zakończonym efektownym szpagatem. Owacja! Arek pomógł jej wstać. Kątem oka popatrzyła na Pawlika. Nie klaskał, ale wpatrywał się w nią zachłannie rozszerzonymi źrenicami.

Odświeżyła się w łazience, a potem podeszła do baru, chcąc wyrównać bilans płynów w organizmie.

— Przepraszam — Maciej miał głos niski, miękki, trochę nieśmiały. — Czy mógłbym zaproponować pani coś do picia?

— Dziękuję, jestem w towarzystwie.

— Chętnie proponuję coś całemu towarzystwu.

— O co chodzi? — Za plecami dziewczyny wyrósł czujnie Arek.

— Pan zaprosił mnie na tonik, przyjęłam — odparła łagodnie.

Ulga na twarzy Pawlika, zdumienie w oczach Arka.

Spodziewała się, że Maciej będzie nalegał, aby wypić coś mocniejszego. Pomyliła się. Dla siebie zamówił whisky z colą.

— Wspaniale pani tańczy...

— Dziękuję. Chyba za bardzo się rozpędziłam, ale kiedy słyszę dobrą muzykę, sama nie wiem, co się dzieje z moimi nogami. — Wiedziała doskonale, co się działo, zdarty naskórek palił żywym ogniem. — A pan?

— Nie tańczę — odparł z lekkim zająknięciem.

— W ogóle?

— Uważam, że jeśli mamy brać się za coś, to powinniśmy robić to albo świetnie, albo wcale. Pani jest pewnie zawodową tancerką?

— Skądże, tylko studentką psychologii społecznej z Toronto. — Skąd jej ta psychologia strzeliła do głowy? Może dlatego, że termin „dziennikarstwo” zwykle peszy ludzi i powoduje, że się w sobie zamykają.

— Kanadyjka?

— Jestem od paru tygodni w Polsce, wie pan, załatwiam sprawy rodzinne — dopiła tonik i odstawiła szklaneczkę na kontuar. — Dziękuję panu. Muszę już wracać do domu.

Błagała w myślach, żeby próbował ją zatrzymać, żeby coś powiedział. Powiedział.

— Już... — szukał odpowiedniego zwrotu i zdecydował się na staroświecki: — Już pani wychodzi?

— Tak, jestem bardzo zmęczona.
— A... jutro nie wybiera się pani gdzieś wieczorem?
— Jestem bardzo zajęta.
— A pojutrze, moglibyśmy...
— Mam już zaproszenie do opery. Nigdy nie widziałam żadnego z dzieł Moniuszki i muszę to nadrobić.
— A później? — nieoczekiwanie zmienił temat. — Lubi pani grać?
— Rodzice zmuszali mnie kiedyś do męczenia skrzypiec.
— Myślałem o graniu na pieniądze, o duże stawki...
— To bardzo ryzykowne,
— Nie dla każdego. Chciałaby pani zobaczyć, jak wygrywam?
Udała wahanie.
— Sama nie wiem!
— Proszę się zdecydować. Tak się składa, że będę również w operze, znajdę tam panią. Proszę tylko dać znać, że się pani zgadza... Pani?
— Amanda — przedstawiła się.
— Maciek!
Pocałował ją w rękę, trochę tak, jak uczeń całuje nauczycielkę. Wyszła z Beatą i Arkiem. Cały czas powstrzymywała się, żeby się nie obejrzeć.
— Czyżby ci się spodobał ten dzieciak? — dopytywała się kuzynka.
Wzruszyła ramionami. Istotne było, że rybka nabrała ochoty na smakowitą przynętę.

*

Była czwarta, kiedy wróciła. Nie spałem. Nie mogłem zasnąć.
— I... Jak poszło?
— Chyba ma na mnie ochotę. Muszę skombinować na pojutrze bilet do opery dla mnie i Beaty. Po spektaklu Pawlik zabierze mnie do kasyna. Może zobaczę, w jaki sposób pomnaża swoje pieniądze. Albo dowiem się jeszcze czegoś innego?
— Czy nie za ostre tempo, dziewczyno?
— Trzeba bić żelazo... znaczy nie, kuć żelazo, póki gorące!
— Zgoda, trzeba kuć, ale ostrożnie. Nie podoba mi się ten młodzieniec. Do takich pieniędzy, jakie ma, nie można dojść uczciwie.
Usiadła na skraju łóżka.
— Nie bój się, Andrzej, nie jestem małą dziewczynką... Aha przepraszam cię, że nie dzwoniłam, to znaczy zatelefonowałam raz, ale było zajęte. Z kim rozmawiałeś?
— Z cicią.
— Myślałam, że miałeś tylko jedną ciotkę, Reginę Mirską, a ona nie żyje.
— Do wczoraj ja też tak myślałem.

*

Małe lotnisko w Thunder Bay nie posiada „rękawów”, nie zapewnia więc komfortowego dojścia bezpośrednio na pokład samolotu, choć oczywiście autobusy dowożące pasażerów są zdecydowanie bardziej nowoczesne niż będące dumą warszawskiej komunikacji niskopodłogowce.

Regina Mirska nigdy nie lubiła tłoku. Kiedy Dolores ruszyła na czele ludzkiej fali w kierunku autobusu, starsza pani zwolniła. Andrzej ciągle jeszcze nie wrócił z toalety? Czy coś mu się stało? Obejrzała się za siebie, raz i drugi! Nie ma go.

Postanowiła cofnąć się i zajrzeć do męskiego WC.

Nie wracaj — gdzieś w zakamarkach jaźni odezwała się słabiuteńko Anna. — Niech on tam zostanie. Musi przeżyć!

Kiedy sens tego sformułowania dotarł do mojej ciotki, ta przeraziła się na dobre. Czyżby złe przeczucia związane z lotem miały się potwierdzić? Do tej pory nie zwierzyła się nikomu, ale całą noc nękały ją przerażające sny, pełne bólu, rozpaczy, ognia... Cofnęła się o krok, wspięła na palce, szukając wzrokiem Dolores. Ta jednak zniknęła już w głębi autobusu.

Przecież jeszcze mogę zrezygnować z lotu — przemknęło starszej pani. — Albo lepiej zawiadomię władze lotniska, że coś jest nie w porządku z tym samolotem...

— W czym mogę pani pomóc? — Tuż obok niej pojawił się żółtoskóry, zdecydowanie za wysoki jak na Chińczyka mężczyzna w kombinezonie pracownika lotniska. Zrozumiała pytanie.

— Telefon... phone! — wybełkotała, myśląc spanikowana, co powie po uzyskaniu połączenia. „Akcident, katastrofa, a bomb...?”

Rosły Chińczyk milcząco wskazał jej jakieś drzwi. Minęła je, dalej były schodki, wszędzie napisy: „No entry”. Po chwili znalazła się w ciemnym korytarzu. Dalszą drogę przegradzał wózek akumulatorowy, na którym piętrzyła się sterta paczek. Grzebał w niej jakiś odwrócony tyłem mężczyzna.

— Sorry, mister... Phone... — powtórzyła.

Facet obrócił się i serce podeszło Reginie do gardła. Był to ten sam osobnik, z którym rozmawialiśmy parę dni temu na stacji benzynowej, spiesząc do Five Oaks' Farm. Cofnęła się. Tuż za nią stał jednak wysoki Chińczyk. Poczowała ukłucie igły wbijającej się pod łopatkę. Strach, gorąco, zimno...

*

Można bez trudu wyobrazić sobie, co nastąpiło dalej. Mężczyźni ułożyli bezwładną Reginę na wózku, nakryli ją paczkami, a następnie szybko ruszyli w stronę sportowej części lotniska. Dwusilnikowa awionetka dalekiego zasięgu należąca do pana Huya, arcybogatego biznesmena z Makau, otrzymała zezwolenie na start, zanim jeszcze nieszczęsny DC zakończył kołowanie na kraniec pasa. Samolocik bez przeszkód oderwał się od ziemi, biorąc kurs na zachód. Mirska śpi. Zdaży przespać start, grzot katastrofy, międzylądowanie w Vancouver, gdzie wysiada wysoki Chińczyk, za to dosiada się niski szpakowaty Azjata w okularach o złotych oprawkach. Przed nimi bezkres Oceanu Spokojnego, krótkie lądowanie w Hilo celem uzupełnienia paliwa, potem w planie jest daleki skok na Guam i wreszcie lądowanie na kontynencie azjatyckim. Ale pani Mirska nie zna harmonogramu jej porywaczy. Śpi.

*

Obudziło ją łagodne kołysanie i wibracje silników. Żyła i to było najistotniejsze. Ból głowy i lekkie nudności stanowiły zdecydowanie mniejszy problem. Nie otwierając oczu, nasłuchiwała, dolatywały ją pojedyncze słowa. Nie rozumiała niczego, ale nietrudno było się domyślić, że rozmowa była prowadzona w języku chińskim lub japońskim.

Jestem porwana! A niech to, w moim wieku! A to ci heca! — Była zdecydowana dalej symulować sen, jednak nie udało się jej zmylić porywaczy.

— Good afternoon, Mrs. Mirsky — powiedział pan Huy.

— No speak English — wydukała, otwierając oczy. Kabina miała charakter salonki. Ciotka, przypięta pasami, spoczywała na miękkiej kanapce, obok siedział złotobinoklowy boss, a za nim przeżył się ubrany w panterkę chuderlawy zółtek z lotniska.

— Parlez-vous français? Sprechen Sie Deutsch? — padały pytania. Przecząco kręciła głową. Wreszcie chiński biznesmen zapytał: — Gawaritie pa ruski?

— Niemnożko!

— Ja toże niemnożko, no możet byt' dagawarimsja — ucieszył się Azjata. — Izwienitie pażałsta za eto niekonwiencjonalnoje prigłasznije...

Sądząc po manierach, pan Huy mógł być bywalcem najlepszych salonów świata, choć Regina wystarczająco długo żyła w PRL-u, aby rozpoznać w nim agenta KGB, absolwenta Uniwersytetu imienia Lumumby w Moskwie.

— Właściwie — ciągnął porywacz — powinna być nam pani wdzięczna... Dzięki nam pani żyje.

— Jak to?

— Koledzy z Secret Service wybrali najprostszy sposób zakończenia całego eksperymentu, choć nie mamy pojęcia, co ich do tego skłoniło. Krótkie bum, był samolot, nie ma samolotu...

— Mój Boże... A Dolores?

— Wszyscy zginęli. Dolores, pani bratanek...

Zacisnęła powieki, płakała. A właściwie udawała, że płacze. Skoro Anna powiedziała, że Andrzej ma żyć, to z pewnością nie było go na pokładzie DC.

— Dlaczego mnie porwaliście? — zapytała, przełknawszy łzy.

— Widzę, że lubi pani trafiać w sedno. To nam ułatwi sprawy. Jak zapewne pani się domyśla, byliśmy zainteresowani doświadczeniami doktora Bentona. Uważaliśmy, że ich wyniki warto wykorzystać także i na innych kontynentach. Zamierzaliśmy się z nimi zapoznać, a panią razem z pani siostrą zaprosić w pewne miłe i bezpieczne miejsce o łagodnym klimacie, by tam kontynuować badania. Niestety nie wzięliśmy pod uwagę knozań doktora Fergusona i jego imperialistycznych mocodawców.

— Zatem jest już po wszystkim. Anna nie żyje, archiwum Five Oaks' Farm zostało zniszczone...

— Ale mamy panią, bezcennego świadka podróży na tamten świat.

— Nie mam drugiej siostry bliźniaczki. Więc nie wchodzi w grę kontynuowanie eksperymentu.

— Pani nie ma już siostry. Ale są miejsca w Ludowych Chinach, gdzie do tego typu doświadczeń będziemy mieli dowolną liczbę bliźniaków, trojaczków lub pięcioraczków.

— Zapomina pan, że podróże na Tamtą Stronę były możliwe tylko dzięki temu, że moja siostra znalazła się przez przypadek w specyficznym stanie.

— Zadbamy, aby spreparować osobniki o podobnych uszkodzeniach mózgu. Mamy na to dość czasu, ludzi i pieniędzy. — Zadygotała. Zauważył to. — Rozumiem pani niepokój. Cóż, eksperymenty kosztują, a nie ma wyników bez niezbędnych ofiar. Ale, zaręczam, te koszty będą naprawdę niewielkie w porównaniu na przykład z eksplozją atomową w Hiroszimie i z kosztami wojen w Korei czy Wietnamie.

— Ale po? co wam...

— Jedne cywilizacje obumierają, aby mogły rozkwitać nowe. — Chińczyk kliknął pilotem i przezroczysta dotąd szyba, oddzielająca salon od kabiny nawigacyjnej, stała się wielkim ekranem. Drugie kliknięcie i całość wypełniła mapa świata. Dziwna mapa, jej środek zajmowały Chiny, Japonia i Korea, dookoła zaś, jak labry obramowujące tarczę herbową, znalazły się pozostałe kontynenty. — Jak pani widzi, tak będzie wyglądać najbliższa przyszłość. Nowy podział świata jest nieunikniony, ale

znacznie lepiej będzie, jeśli trzecia wojna światowa rozegra się w sferze parapsychologii, bez krwawych ofiar. Wiadomo, że każde społeczeństwo to mieszanka ludzi potencjalnie dobrych i złych, a wiedza, kto jest kim, jest cenniejsza niż informacje o dyslokacji głowic i okrętów podwodnych. Zresztą gołym okiem widać, że cywilizacja Zachodu wyczerpała swoje żywotne soki. Nie ma w niej woli walki ani wielkiej idei, która mogłaby zjednoczyć ludzi. Bezmyślna konsumpcja, upadek sztuk, zatrata obyczajów... To będzie jak wyburzenie gmachu, który sam z siebie już dawno zmurszał.

— I sądzą, że ja wam pomogę?

— Nie ma pani wyboru. Widzi pani, my, Azjaci, mamy w zabawie, uczestnikiem której stała się także i pani, znakomitych współpracowników: ból, strach, głód. A właśnie, zapraszam na posiłek...

— Nie jestem głodna.

— Proszę mnie nie obrażać. Nasza kuchnia zyskała uznanie nawet naszych najzaciętszych przeciwników.

— Może później. Ciągle chce mi się spać.

— Jak pani sobie życzy. Nasz gość, nasz pan!

*

Całkiem świadomie zapadła jedynie w półsen. Umiejętności wyrobione podczas współpracy z Rebeą Sanders nie poszły na marne. Gorączkowo pragnęła kontaktu z Anusią. Bliźniaczka mogłaby poradzić, pomóc jak zawsze. Ale nic nie rozjaśniało mroku. Wołanie pozostawało bez odzewu. Nić ostatecznie się zerwała. Być może Anna Karpicka kroczyła już wśród cherubinów i serafinów albo stanowiła jedynie wiązkę jakichś superfotonów zmierzających do serca światła...

Regina nie ustawała w wysiłkach, nawoływała. I naraz wrócił jej sen — straszny sen poranny, pełen ognia i rozpacz, sen wieszczący katastrofę. I widziała ognistą czelusć i słyszała krzyk ginących.

— Dolores, Dolores!

Nagle stało się całkowicie ciemno. Zniknął krzyk i ogień, i ból. Mrok owinał ją delikatnie jak ircha. Poczowała łagodne muśnięcie na twarzy, ale to nie wietrzyk dmuchnął jej we włosy.

— Dolores?

Nie słyszała słów, ale czuła obecność dziewczyny. Tyle że, o dziwo, dusza pielęgniarki nie przekazywała jej cierpienia, rozpacz, a przeciwnie — wielki spokój i miłość.

— Dolores, spotkałaś Maksa?

I znów muśnięcie zefirka, jakby na potwierdzenie.

— Dolores, możesz mi pomóc...

I w tym momencie ujrzała skraj morza, grzywiaste palmy, rdzawe siodlaste wzgórze, fale łamiące się na piasku. Sama też była falą, była piaskiem. Ocierała się o żwir i muszelki, rozlewała po płyciźnie, zacierała ślady stóp i napisy na plaży. Napisy? Usiłowała je przeczytać. Nie mogła. Woda znów wspinała się grzywaczem nad mielizną, znów przełamывała się, zmieniając w kipiel i zamazując litery, wydrapane, wyszarpane, przepojone bólem. „Wezwij nas!”

— Was, czyli kogo?

I znów mrok i cisza, i chłód jakiś, i dalekie zawrozczenie. Zrozumiała. Nie wszystkie ofiary katastrofy znalazły ukojenie w zaświatach — grzeszni, podli, mali, zło czyniący, nie mogli tak łatwo, tak szybko zaznać spokoju. Prze pajała ich złość,

gniew, rozpacz, nienawiść... Większość tak ekstremalnych uczuć była jej obca. Nie miała jednak wyboru.

— Wzywam was — krzyknęła. I obudziła się.

*

Po zatankowaniu w Hilo na największej z Wysp Hawajskich samolot pana Huya znowu poderwał się do lotu. Było późne popołudnie, z ośnieżonych kraterów dobywały się pióropusze dymu, na horyzoncie majaczyły kolejne wyspy archipelagu: Maui, Oahu, Molokai, jak naszyjnik koralowy rozpięty w wodnym bezkresie. Pilot je omijał, biorąc kurs bardziej na południowy zachód. Na całościennym ekranie wyświetlano barwne, zmysłowe porno, które pan Huy oglądał z zainteresowaniem, popijając ryżowy likier.

— Może jednak coś pani zje — powtórnie zaproponował Reginie. Pokręciła głową, była zbyt zdenerwowana, czuła że to nadciąga.

Najpierw zaczęło stukać coś pod kadłubem. Tak jakby usadowił się tam jakiś złośliwy dzięcioł. Szef połączył się z pilotem.

— Co się dzieje, Egi?

Odpowiedź chyba nie zadowoliła pana Huya. W chwilę później, mimo że nie było żadnych turbulencji, czarka z likierem oderwała się od stołu i trafiła w metalowy wspornik, rozbijając się na kawałki. Zaraz potem zakrzuszył się lewy silnik. Zachrypiął i umilkł. Regina poczuła przykry swąd. Nie widać było dymu, ale swąd stawał się coraz silniejszy. Azjata warknął coś do pilota, zrozumiała jedynie słowo: „Honolulu”. Prawie natychmiast zgasł ekran telewizyjny, maszyna wykonała głęboki zwrot, kierując się w stronę najbliższego lądu.

Tymczasem hałas pod kadłubem nie cichł. Samolot leciał niczym fura po wyboistej drodze, a w kabinie trwało prawdziwe piekło — fruwały sprzęty, spod sufitu wypadły maseczki tlenowe, a z szafek powylatywały kamizelki ratunkowe. Na twarzy bossa widać było coraz większy niepokój. Szwargotał gniewnie to z pilotem, to ze swym gorylem, aż wreszcie zwrócił się do Reginy.

— Co to jest, możesz mi wytłumaczyć?

Próbowała udąć głupią. Nie wierzył jej.

— To twoja sprawka. To bezawaryjna maszyna. Przestań, kobieto, bo wszyscy zginiemy.

Strach Azjaty dodał jej odwagi.

— A co ja takiego mogłam zrobić?

— Wezwałaś tu poltergeista, całą horde pieprzonych poltergeistów.

Brzeg wyspy był tuż-tuż. Dzięki włączonym głośnikom słyszała prowadzony po angielsku dialog pilota z wieżą kontrolną w Pearl Harbour. Chińczyk na przemian nadawał „Mayday” i informacje o awaryjnym podchodzeniu do lądowania. Jednak zbyt szybko tracili wysokość. Mogło się nie udać! Przez okienka widziała już Diamentową Górą i rząd wieżowców nad plażą Waikiki. O rzut beretem — przemknęło jej.

— Zabiję cię, suko! — warknął pan Huy i wy dobył broń. Ale w tym momencie nastąpił kolejny gwałtowny wstrząs, Chińczyk wywinął kozła, jego spluwa wypaliła, roztrzaskując wewnętrzną szybę i raniąc jednego z pilotów. Ten targnął statecznikiem, maszyna opadła jeszcze niżej, jedno ze skrzydeł zawadziło o falę. Rozległ się trzask, samolot jak kaczka puszczone po wodzie wykonał parę skoków na powierzchni, następnie stanął dęba, skapotował, przy okazji pozbywając się ogona i znów znalazł się na brzuchu. Łoskot! To eksplodował jeden z silników, Regina zdążyła jedynie

szeptać: „Chryste!” Fala rozbiła szybę w kabinie pilotów. Chlusnęła woda... A pozbawiony skrzydeł kadłub wciąż sunął, sunął po wodzie, coraz wolniej, wolniej, aż wreszcie targnęto nimi potężne szarpnięcia. Rify wstrzymały dalszy ślizg. Regina odpięła pasy. Żyłła, morze wprawdzie wdzierało się do środka kabiny, ale przez dziurę powstałą w miejscu ogona dostrzegła wieczorne niebo. Szelf w tym miejscu musiał być dosyć płytki i samolot nie pograżył się całkowicie. Chwyciwszy kamizelkę ratunkową, wypłynęła na zewnątrz. Podczas lotu wydawało się jej, że wybrzeże jest tuż-tuż — w istocie do brzegu, na którym zaczynał się pas startowy, pozostał jeszcze spory kawałek.

Dopłynę! Pozbyła się butów. Dopięła kamizelkę. Gdzieś pod wodą została jej torebka. Ale w tej chwili miała na głowie ważniejsze rzeczy od torebki. Tuż za nią wyłonili się obaj porywacze. Chuderlawy krwawił mocno z rozciętego czoła. Boss na jej widok ryknął i kraulem ruszył w pościg. Nikt natomiast nie wypłynął z kabiny pilotów. Nie namyślając się, skierowała się w stronę brzegu. W młodości była niezłą pływaczką, ale czy uda jej się uciec zawodowemu terroryście? Rzucane po chińsku klątwy rozbrzmiewały coraz bliżej.

Naraz rozległ się przerażający wrzask. Chwila ciszy i kolejny bolesny skowyt. Odwróciła głowę, boss był wprawdzie tuż przy niej, ale jakby zupełnie stracił nią zainteresowanie. Dlaczego? Pojęła po chwili, widząc parę charakterystycznych trójkątnych płetw. Rekiny! Zwabione świeżą krwią, pojawiły się bezzwłocznie. Nie przestawała płynąć, czuła jednak, że siły ją opuszczają.

Po chuderlawym ochroniarzu kolejną ofiarą żarłaczy został sam pan Huy. Jego wrzaski nie trwały długo. Cóż za hańba dla wykwintnego smakosza stać się samemu pokarmem kostnoszkieletowych — pomyślała. — Teraz moja kolej. Płynąc coraz wolniej, nie przestawała się modlić, czuła, że za chwilę jej oszalałe ze strachu serce odmówi posłuszeństwa. Cały czas rozmyślała o nieuniknionym bólu, o śmierci z wykrwawienia, o przerażającym kłapnięciu rekinich szczęk. Oczekiwanie przedłużało się. Wreszcie nogami dotknęła gruntu. Stała. Szybko rzuciła wzrokiem za siebie. Żłótróżbnych płetw ani śladu. Czyżby rekiny po zrealizowaniu czyjegoś zamówienia po prostu się oddaliły? Zapamiętała brnąc po płyciźnie, dotarła do brzegu. Ściemniło się już. Po drugiej stronie zatoki gorzała feeria świateł Honolulu. Od strony morza dobiegał warkot łodzi poszukujących rozbitków, nisko przeleciał śmigłowiec. Ukryła się w krzakach.

— Po co ktokolwiek ma wiedzieć, że żyję.

Czekając aż maszyna odleci, szeptała modlitwę, dziękując Bogu, Anusi i Dolores.

*

Dla przejrzystości narracji zdecydowałem się wstawić opowieść ciotki Reginy w tym miejscu, choć jej relację poznałem znacznie później i w innych okolicznościach. Sama rozmowa, choćby ze względu na jej koszt, była znacznie krótsza:

— Cio... ciocia... Skąd?

— Z rajy! Ale z ziemskiego. Z Hawajów dzwonię.

— Niesamowite, przecież ciocia...

— Tak, powinnam już od miesiąca wachać trawkę od spodu, ale ci kochani terroryści uprowadzili mnie, zanim wystartował nasz samolot. Słuchaj, nie mam czasu długo gadać, bo dzwonię, korzystając z uprzejmości pani Bożenki.

— Jakiej pani Bożenki?

— Mojej nowej przyjaciółki. Ma w Honolulu Polskie Biuro Turystyczne. Zaopiekowała się mną. A ja już od miesiąca usiłuję cię złapać! Dwa razy odbierał

ktoś obcy.

— To Amanda, moja nowa współpracowniczka, ja jakiś czas nie nocowałem w domu, jednak przez ostatnie dwa tygodnie jestem już na miejscu...

— Ostatnie dwa tygodnie odpoczywałam na pięknym jachcie miejscowych Polaków, bez telefonu. Wczoraj wróciłam. Chyba wszyscy myślą, że nie żyję. Co?

— O mnie myślą, dzięki Bogu, podobnie.

— Ale nadal bądź ostrożny. Aha, w Warszawie przebywa mąż pani Bożenki. W hotelu Sobieski. Pokój 402. Daj mu trochę pieniędzy na moją podróż do kraju. Mam nadzieję, że szybko się zobaczymy. Znalazłeś tego Pawlika?

— Chyba tak — byłem zbyt zszokowany, aby powiedzieć coś rozsądnego.

— Musisz delikatnie pozyskać go dla naszej sprawy. Bo bez niego zdechł pies. I uważaj na przeciągi. Over!

Dygresja 3. Jamajka i okolice

Niedaleko pada jajko od jabłoni, na której siedzi kura.

Ceremonia w Cedar Valley sprawiła Hardingowi wiele satysfakcji. Miał nawet niewielki orgazm, choć nie zwrócił na niego większej uwagi. Seks przestał się liczyć w jego życiu. I bez niego czuł się szczęśliwy. Nie ubolewał nad rozstaniem z łezką. Obecnie amulet i on stanowili jedność, obojętnie gdzie się znajdowali. Opuścił jaskinię, pozostawiając sterowanie Sharon łezce ukrytej w jej mózgo–czaszce. Przed nim stały nowe zadania. Czuł, że przeznaczona mu jest rola rybaka. I to łowiącego grube ryby.

*

Żar lejący się z nieba przywodzi na myśl spust surówki z wielkiego pieca. Powietrze drży z gorąca. Pod murem baraku terminalu kuli się grupka ludzi poszukujących wąskiej strefy cienia. W środku, gdzie oczywiście nie działa klimatyzacja, jest jeszcze goręcej. Charczący głośnik informuje, że samolot z San Pedro do Mexico City tego dnia już nie odleci. Podróżnym oferowane są dość wątpliwe wygody miejscowego Maya Hotel. Patrick Prescott jest wściekły: mało że jego konkurentowi udało się dotrzeć do obozów nikaraguańskich *contras* przed nim i szansa na okładkę w magazynie „Time” przepadła, to jeszcze skradziono mu na bazarze w Ceibie jego ulubioną *practikę*.

— Dwa tygodnie tułaczki w honduraskim interiorze jak psu w dupę — klnie pod nosem.

Tymczasem odzywa się zachrypnięta szczekaczka, zapowiadając opóźniony o dwie godziny lot do San Salvador.

— Na twoim miejscu poleciałbym jak ja do Salwadoru — słyszy nad uchem znajomy głos. — Tam jest więcej połączeń międzynarodowych, a także parę hoteli o znośnym standardzie! Dobrze radzę, Pat!

Oczywiście, to pieprzony Christopher Hill! „Lucky Flash”, jak nazywają go w fotograficznym światku.

— Cześć, Chris — Prescott zmusza się do podania mu ręki. Hill to jeden z jego podstawowych kłopotów. Dopiero co go ubiegł, docierając wcześniej do *contras*. W Panamie było podobnie. — Mówisz, żeby lecieć dalej przez San Salvador? — sili się na uśmiech.

— Ja w każdym razie lecę, a słyszałem, że mają jeszcze wolne miejsca.

Oczekując na zdezelowanego DC — 10, Patrick łamie sobie głowę, czego taki łowca sensacji, jak Chris może szukać w Salwadorze. Od czasu, kiedy prezydent Duarte podjął niemrawe rokowania z miejscową lewicową partyzantką, a obustronny terror osłabł, doniesienia z tego zakątka spadły w gazetach na najdalsze kolumny międzynarodowe. Czyżby „Lucky” przeczuwał, że coś tam znowu się zdarzy?

*

W hotelu Pacific Plaża mają i klimatyzację, i zimne piwo, a nawet tanie dziewczyny do pokoju. Patrick wybiera bar. Nie traci nadziei, że coś wyciśnie z wielkiego reportera. Ale nie idzie mu łatwo. Hill gada o wszystkim, o nowym

sekretarzu Gorbaczowie w Rosji, o napięciach między papieżem a teologami wyzwolenia z Ameryki Łacińskiej i o jakichś bliżej nie znanych dziewczynach, które poderwał ostatnio w Santa Monica. Przed północą przeprosza Prescottta i wstaje od baru, twierdząc, że musi się wyspać.

Nie udaje się jednak do pokoju, tylko tylnymi drzwiami wychodzi na podwórko. Prescott, który skrada się za nim, widzi, jak „Flash” skręca w pobliską bramę, a zaraz potem zapuszcza się tam za nim jakiś starszawy czarnuch.

— Bloody bastard! Żeby tak wiedział, o czym oni gadają.

Rozmowa nie trwa dłużej niż minutę. Hill zawraca, mija wprasowanego we wnękę kolegę po fachu, a w recepcji mówi tubalnie do tlenionej Mulatki:

— Obudź mnie o czwartej, corazón!

Prescott wraca do baru i strzela dwie setki. Należy do ludzi, którym alkohol miast mącić, rozjaśnia umysł. Nagle oświecony pomysłem, szybko biegnie do pokoju i stamtąd dzwoni do recepcji.

— Corazón, serduszko! — buczy w słuchawkę na sposób Chrisa. — Zmieniłem zdanie, obudźcie mnie o szóstej. — Dla siebie budzenia nie zamawia, ma budzik zainstalowany na stałe w organizmie, poza tym wie, że tej nocy nie zmruży oka.

O czwartej nad miastem panuje jeszcze pełny mrok. Wściekle skrzeczą cykady. W oddali huczy Pacyfik. Wchodząc do ciemnej bramy, fotograf ma duszę na ramieniu. Ale kto nie ryzykuje... Stary Murzyn już tam czeka.

— Buenos días, señor — mówi.

— Señor Hill chory — duka po hiszpańsku Patrick. — Ja zastąpić!

— Dwa tysiące dolarów i nie ma sprawy — flegmatycznie odpowiada tubylec, zupełnie nie zaskoczony zmianą klienta. — I proszę mówić po angielsku. Rozumiem.

Dwie przecznice dalej czeka zaparkowany jeep pamiętający chyba czasy doktryny Trumana. Ruszają w stronę gór. Murzyn zna ten teren jak własną kieszeń; jadą bocznymi ścieżkami, czasem bezdrożami, unikając posterunków sił rządowych. Jeep mija ubogie, sprawiające wrażenie opustoszałych wioski i niewielkie poletka. Otacza ich rzeżki powiew przedświtu. Wóz skacze na wertepach, jęczą resory, bryzga błoto z kałuż. Tuż przed wschodem słońca wjeżdżają w las. Prescott częstuje przewodnika papierosem. Ten kręci tylko głową:

— Zdrowie rzecz najważniejsza.

Wysiadają przy kępie akacjowców. Jeszcze tylko parę kroków. Zastona z liści rozchyła się, otwierając widok na polanę.

— Caramba! — klnie przewodnik. — Pospieszyli się!

Na ziemi obok spalonych chat leżą trupy kilku ludzi w mundurach.

Prescott nie traci czasu, strzela migawka.

Mogło być lepiej. Miłośnicy lewicy, a tych w mediach nigdy nie brakuje, nie będą zachwyceni nagłówkiem: „Bojownicy z Frontu Wyzwolenia Narodowego im. Farabundo Marti bestialsko mordują pojmanych żołnierzy reżimu Duarte”. Ale muszą kupić!

— Wolałby señor mieć na zdjęciach przebieg egzekucji? — pyta przewodnik.

— Gadanie. Same trupy nie robią już na nikim wrażenia.

— To się dałoby załatwić — mruczy Murzyn. — Mają jeszcze paru pojmanych i gdyby señor zapłacił...

— Nie mam więcej pieniędzy.

— Podoba mi się ta kamera. — Z cienia wyłania się młody byczek ogolony na zero. Ma na sobie panterkę i długie sznurowane buty. — Moglibyśmy dobić targu.

Naraz Prescottowi rozjaśnia się w głowie. To nie partyzanci dokonują egzekucji, tylko chłopaki ze szwadronów śmierci wrabiają bojowców FWN-u. Z pobliskiej chałupy umundurowani siepacze wyciągają trzech młodych, przerażonych

wieśniaków. Dzieciaki prawie. Jeden płacze, drugi usiłuje się modlić, trzeci hardo wpatruje się w oczy fotografa.

— Właściwie zamierzałem puścić tych łapserdaków wolno, ale skurwysyńsko chciałybym mieć taką kamerę — powtarza przywódca bojówki.

Patrick jeszcze się waha. Wie, że reportaż z masakry uczyni go sławnym. Jednak nie protestuje, widząc, jak wojskowi każą złapanym smarkaczom przebrać się w mundury, golą pierwociny brody u najstarszych z nich, „żeby wyglądali bardziej na żołnierzy!”

— Nie mamy za dużo czasu, trzeba się pospieszyć, panie Prescott — mówi przewodnik. Zdenerwowany fotograf nie zastanawia się nawet, skąd Murzyn może znać jego nazwisko.

Nad górami wschodzi słońce. Trudno wyobrazić sobie lepszy plener niż ta polana. Patrick nie jest zdolny wydusić z siebie słowa. Nie mówi nic, kiedy ogolony na zero osiłek doprawia sobie brodę a la Che Guevara i zakłada maotsetungówkę.

— Jesteś tylko fotografem — szepce przewodnik, świadom rozterki klienta. — Chłodnym dodatkiem do obiektywu.

— Tylko fotografem — powtarza machinalnie Amerykanin. I strzela klatkę po klatce. Przebrany łysol i jego kompani też zaczynają strzelać.

Wracają do San Salvador w śmiertelnej ciszy. Milczy kierowca i nie odzywa się Prescott. Ma ogromną ochotę pozbyć się tych klisz i sprzętu. Jednak na milę przed miastem Murzyn przerywa milczenie.

— Pozostał mały problem — mówi. — Pan Hill. Będzie zły.

— Nie przesadzajmy. On parę razy ubiegł mnie, teraz ja jego.

— Ale on zna prawdę. Wie, że to przebieranka. Może zacząć mówić.

Serca zamiera w piersi fotografa. Reportaż jest nie do opublikowania.

— Jednak nie musi mówić. Wszystko jest do załatwienia. — Przewodnik zwalnia i wymownie pokazuje bank. — Trzy tysiące.

— A co w zamian?

— Koniec kłopotów.

*

„Lucky Flash” zmarł w swoim pokoju w San Salvador wkrótce po wypiciu południowej kawy. Nikogo to nie zdziwiło. Pracował nad siły, a miał takie słabe serce. Po reportażu „Krew w dżungli” „Wielki P & P”, jak nazywano teraz Prescottta, wkroczył do pierwszej ligi fotografów. Później posuwał się już wyłącznie od sukcesu do sukcesu. Od pierwszego miliona dolarów po kolejne.

— Idzie mu, jakby miał spółkę z diabłem — twierdzą zazdrościcy. A on przecież jest po prostu w tym fachu dobry. I potrafił wykorzystać daną mu szansę. Inna sprawa, że nieraz we snach prześladowa go obraz egzekucji, a szczególnie tego chłopaka, który z kamienną twarzą wpatrywał się w jego oczy do końca.

Co on tam widział?

Nigdy natomiast nie śni mu się czarnoskóry przewodnik z trójkątną blizną na czole. Zapomniał, że taki w ogóle istniał. Nie zarejestrował też w pamięci, jak zwracał się do Murzyna dowódca szwadronu — a imię to (pseudonim?) brzmiało: „Mussa”.

O ile zawładnięcie duszą Prescottta wymagało od Hardinga wiele wysiłku, o tyle Bo Syn Wun zgłosił się doń niejako na własną prośbę. Choć oczywiście jego przejście na Ciemną Stronę nie było przypadkiem. Matthew, posłuszny współpracownik łezki, ściśle realizował jej plany. Czasami nawet wydawało mu się, że to on sam je obmyśla. W gronie przyszłej Wielkiej Szóstki potrzebował charyzmatycznego Azjaty. Tylko

dlaczego wybór padł na tego niepozornego sklepikarza z Los Angeles, prowadzącego sklep z gadżetami, gdzie obok plastikowych Kaczorów Donaldów można kupić chińską tandetę i podróbki z Morza Karaibskiego, udające artefakty wyznawców voodoo?

Muszę, który przyszedł do Koreańczyka w poszukiwaniu indyjskich kadzidełek, zainteresował wielki, choć niezdrowy pociąg sprzedawcy do wiedzy tajemnej, a zarazem jego ogromna siła przekonywania. Klienci zachodzący do niego po zapalki opuszczali zazwyczaj sklepik obładowani jak wielbłądy (dwugarbne!) mnóstwem rzeczy absolutnie im zbędnych oraz z głową napakowaną kosmologicznymi dyrdymałami. Najwdzięczniejsi słuchacze zapraszani byli na zaplecze i częstowani koreańskimi specjałami, które, acz zachwalane jako domowe, pochodziły z chińskiej gar-kuchni z naprzeciwka.

Kosmologia pana Wuna przedstawiała się dość prosto. Przed tysiącami lat na Ziemi rozbił się statek z przedstawicielami Galaktycznej Cywilizacji, która właśnie przestała istnieć. Było ich kilkunastu i nosili różne imiona — Elohim, Wisznu, Ra, Isztar, Gaja, Pierzasty Wąż... Dysponowali niebywale rozwiniętą technologią, pozwalającą stworzyć im człowieka na swój obraz i podobieństwo i przekonać go, że są bogami. Zbudowawszy podwaliny cywilizacji Egiptu, Mezopotamii, Grecji, Indii, Chin i Ameryki, bogowie odlecieli w poszukiwaniu nowych planet, nie decydując się jednak na ostateczny krok, jakim byłoby stworzenie z ludzi istot im równych.

A takie właśnie plany miał ich przywódca, zwany „Niosącym Światłość” — Lucyfer. On to wbrew pozostałym przybyszom zamierzał uczynić z ludzkości partnerów bogom równym. Uwięziony przez kolegów i skazany na wieczny pobyt pod ziemią, w krainie płynnej magmy, pozostaje tam do dziś, komunikując się z ludźmi jedynie za pośrednictwem fantomów nazywanych diabłami. Należy tedy — głosił sklepikarz z Miasta Aniołów — dokonać syntezy cywilizacji i religii, a następnie zawrzeć pakt z Szatanem, wyzwolić go za pomocą „iluminacji rodu człowieczego”, a wówczas ludzkość, bogom nie tylko podobna, ale także równa, zapanuje nad wszechświatem i nieśmiertelnością.

Mimo niewątplivej siły przekonywania, pan Bo Syn Wun do trzydziestego trzeciego roku życia uzyskał ledwie trzech wyznawców — emerytowanego policjanta, który wpadał ze względu na darmowe kolacje, pewną żółtą dziwkę, świadczącą prorokowi usługi gratis, oraz Boba, pomocnika sklepowego, niestety imbecyla z zaawansowanym zespołem Downa. Harding miał szansę zostać czwartym, ale nie to było jego celem. Zresztą misjonarskie zapędy Koreańczyka akurat nieco ochłodziły. Zakochał się bowiem i ożenił. Jego wybranką była osiemnastoletnia Meksykanka, nielegalna emigrantka tyleż piękna, co rozpaczliwie biedna, gotowa zatem uczynić bardzo wiele w zamian za kartę stałego pobytu w USA, a tym bardziej za pełne obywatelstwo. Bo Syn Wun wpadł na nią, w dosłownym sensie tego słowa, na międzynarodowej autostradzie nr 5, opodal znaku przestrzegającego przed ludźmi przebiegającymi szosę (w Europie takie znaki przestrzegają najwyżej przed sarnami lub krowami). Pan Bo prowadził samochód dość rozważnie i dlatego kiedy wjechał w sam środek grupy nielegalnych imigrantów, obeszło się bez ofiar. Wszyscy Meksykanie uciekli, a kierowca został sam na sam z nieprzytomną dziewczyną, która miała złamaną nogę. Mimo brudu natychmiast docenił jej walory i jak każdy myśliwy zabrał zdobycz do bagażnika. W domu przy pomocy Stanleya (wspomnianego emerytowanego gliny) złożył nogę Marii Candelarii. Później, już osobiście, umył ją i wówczas popadł w jeszcze większy zachwyty. Gorzej poszło mu ze skonsumowaniem swego trofeum. Candelaria, żarliwa katoliczka i (wedle własnych zapewnień) dziewczica, zażądała najpierw ślubu. Napalony Koreańczyk nie przywiązywał większego znaczenia do tego rodzaju ceremonii, załatwił więc formalności i w

kościół, i w Immigration Office. Dziewczyna wróciła na krótko do Meksyku, by po wzięciu ślubu w Tijuanie zostać oficjalnie pobłogosławioną małżonką sklepikarza i legalną mieszkanką stanu Kalifornia. Podróży poślubnej nie planowali, toteż oboje ze zdziwieniem przyjęli wiadomość o wygraniu w jakimś konkursie handlowym miesięcznego darmowego pobytu na Jamajce. Któż by nie skorzystał?

Jamajka, kraina czarów i guseł, nie sprawiła im zawodu, zwłaszcza Syn Wunowi. Udało mu się nie tylko dostać na słynne walki kogutów, ale i wziąć udział w podobno zakazanych (a tak naprawdę organizowanych specjalnie dla turystów) ceremoniach voodoo.

To była niezapomniana noc. Kiedy ogłuszony wrażeniami i przepełniony kukurydzianą wódką, kiwając się na jakimś pieńku w środku polany skapanej w świetle księżyca, pólśnił na jawie, dosiadł się do niego człowiek w rytualnej masce.

— Igraszki, igraszki dla dzieci — powiedział płynną angielszczyzną. — Taniec ognia w wykonaniu studentów z Miami, obrzędy celebrowane przez zawodowych etnografów. Cóż to ma wspólnego z prawdziwą tajemnicą...

— A gdzie ona dzisiaj jest? — westchnął sennie Koreańczyk.

— Dookoła! — padła błyskawiczna odpowiedź. — Tylko trzeba umieć ją dostrzec. Moc jest wszędzie, w drzewach i w pełni księżyca, we wzburzonym morzu i w zamglonych górach. Kto ją pozna, kogo ona przeniknie, stanie się panem siebie i ziemi.

— Poezja. Chciałbym to zobaczyć.

— To patrz!

Syn Wun spojrział uważnie na przybysza. Jego twarz skrywała się za przerażającą maską Demona Krwi. Nie wiedzieć skąd wyciągnął worek, z którego dobył czarnego koguta i srebrny toporek.

— Utnij mu głowę — rozkazał zaskoczonymu amatorowi wrażeń.

— Ccco?

— Natychmiast utnij mu głowę albo ja ją utnę tobie!

Resztki senności pierzchły z umysłu sklepikarza.

Chciałem czarnej magii, będę miał kurobójstwo — pomyślał cierpko. Ale wypełnił polecenie. Ciął mocno. Krew zachlapała mu twarz, a bezgłowy ptak wykonał krótki taniec wokół pieńka.

— Ete henga tade — zamruczał czarownik, a potem podniósł koguci łeb i oblizał go długim językiem, który wyłonił się ze szpary w masce. — Ete henga tade! — powtórzył i podrzucił łeb dziobem w górę.

Martwy ptak, leżący nieruchomo w cieniu, poderwał się, zderzył z powracającą głową i mając ją już z powrotem na karku, z cichym gdakaniem wrócił do worka.

— Proste, prawda? — spytał zamaskowany. — A przecież ta drobna demonstracja dowodzi, że tak osławione pojęcie, jak śmierć, okazuje się relatywne.

— I można osiąść taką moc? Ale jak? Medytacjami, studiami?

— Determinacją, trzeba po prostu chcieć. A ty chcesz, Bo?

— Pan zna moje imię?!

— Jeśli zna się imiona zmarłych, jakąż trudność mogłoby sprawić poznawanie imion ludzi żywych. Możesz mieć Moc, Bo, lecz musisz być gotowy.

— Jestem gotowy.

— Gotowy na ofiarę. Moc może zażądać czegoś, co masz najcenniejsze.

— Nie ma sprawy. — W myślach dokonywał już przeglądu inwentarza swojego sklepu.

— Dobrze, przybądź zatem pojutrze o północy na Stary Cmentarz w Spanish Town. Z żoną.

— Ale ona się tym nie interesuje.

— Rzekłem.

Mężczyzna w masce odszedł w mrok. Nad wyraz z siebie zadowolony. Numer ze smartwychwstaniem ptaka był rzeczywiście prosty. Wystarczyło jedynie mieć ze sobą dwa czarne koguty. I pijanego klienta.

*

Dwa dni przeżył Bo Syn Wun targany emocjami. W bibliotece w Kingston przeczytał całą dostępną literaturę dotyczącą czarnej magii i karaibskich tradycji, ale na wypadek wskrzeszenia koguta nie natrafił. Nie miał też pojęcia, czego może zażądać od niego szaman. Najwięcej trudności miał z przekonaniem Candelarii. Za nic nie chciała się wybrać o północy na cmentarz.

— To niebezpieczne, pora diabelska, czas, gdy przeważają siły złych mocy. O, Santa Maria de Guadeloupa, przekonaj mego męża, że źle czyni!

Małżonek patrzył na nią z rozczuleniem. Co biedactwo mogło wiedzieć o ciemnych mocach. Kiedy nawet obowiązków małżeńskich nie chciało spełniać przy świetle, a o braniu do buzi w ogóle nie było mowy. Na Jamajce kochali się dwa razy dziennie, po bożemu, wieczorem i przed świtem, bez podnoszenia żaluzji. Choć ostatnio pani Wun miała okres, co oznaczało absolutny szlaban dla igraszek.

— Słuchaj, kochanie — tłumaczył Bo. — Idziemy na normalną uroczystość regionalną, takie miejscowe święto zmarłych, światło i dźwięk. Wezmą w niej udział także księża.

Niewinne kłamstewko z księżmi pomogło. Kwadrans przed północą taksówka przywiozła ich na miejsce. Miejscowy szofer nie taił swego przerażenia, co widząc, Candelaria znów zaprotestowała.

— Nie zachowuj się jak ciemna wieśniaczka — zgromił ją mąż.

Poskutkowało. Pochodząca z zapadłej dziury pod Monterrey Meksykanka za żadne skarby nie chciała uchodzić za wieśniaczkę.

Głęboka cisza panowała nad nekropolią, drzewa zasłaniały światła miasta i zdawało się, że nic nie ma między ostemplowanym gwiazdami niebem a cieniami na ziemi, rzucanymi przez wiekowe nagrobki.

— Gdzie są ci zapowiadani ludzie, gdzie ksiądz? — szeptem zapytała Maria.

— Są wszędzie, tylko na razie poukrywani, nie psuj nastroju, najdroższa!

Gdzieś zahuczała sowa, od strony miasta wietrzyk przyniósł stłumiony dźwięk klaksonu. Siedli na jakiejś mogile, mając u nóg zarośnięty zielskim kopczyk, z którego dawno skradziono krzyż i tabliczkę z napisem: „Matthew Harding”.

Czas płynął. Nic się nie działo.

Chyba zrobili mnie w balona — pomyślał Bo. — Dobrze, że nie wzięli zaliczki.

— Boję się — znów zaczęła Candelaria. Przytulił ją i pocałował. W pobliżu wrzasnął rozzdzierająco przepełniony miłosną ekstazą dziki kot. — Wracajmy już — nalegała żona.

— Jeszcze dziesięć minut, kochanie.

Czekali równo trzy. Raptem od strony okazałego kolonialnego grobowca doleciał ich ponury dźwięk. Przypominało to zgrzyt odryglowywanych drzwi, połączony z odsuwaniem cmentarnej płyty. Jednocześnie uderzył ich odór zepsutego mięsa.

Meksykanka zdrętwiała ze strachu, a i Syn Wunowi włos się zjeżył. Na oblanej księżycowej poświatą ziemi pojawiła się postać. W pierwszej chwili można by ją wziąć za wielkiego czworonoga. Postać, mimo sporej masy, posuwała się zwinnie, pociągając nosem, jakby węsząc. Od strony skamieniałej żony doleciał Koreańczyka dziwny dźwięk. To szczękały jej zęby.

Monstrum zbliżyło się. Przypominało człowieka, a ściślej mówiąc, nieprawdopodobnie brudną otyłą kobietę, okrytą płaszczem skudłaconych włosów. Sklepiarz pomyślał o pistolecie ukrytym o parę tysięcy mil stąd w kantorku sklepu. Teraz był bezbronny. Cmentarna istota jednak nie zdradzała złych zamiarów, doczłapała do nich i zastygła w błagalnym geście.

A Bo Syn Wun poczuł Moc. Płynąc z rozżarzonych oczu monstrum, zdawała się promieniować w głąb jego czaszki. I naraz Koreańczyk poczuł się piękny i potężny. Zdolny przenosić góry i czynić Cuda. Choć bestia nie wypowiedziała ani słowa, do jego jaźni docierało coraz uporczywsze żądanie: „Krwi, krwi, krwi”. Nagle Candelaria zrobiła coś, czego by się nigdy po niej nie spodziewał. Oprzytomniała i wydobyła spod bluzki krzyżyk, połączoną pamiątkę od pierwszej komunii świętej, i zasłoniła się nim desperacko.

Potwór zawył jak oparzony, opadł na cztery kończyny i skrył twarz w krzakach. Koreańczyk poczuł, jak jego nowa Moc odpływa niczym woda z dziurawego worka, i że jest znów małym lichym sklepiarzem, który do końca swych dni nie opuści marnej dzielnicy i nie zgromadzi więcej niż trzech wyznawców.

— Przestań, kobieto! — wrzasnął na żonę. Popatrzyła na niego zdumionymi oczyma. Teraz już się nie bała. Powstała, w ręce trzymała krzyżyk i patrzyła na umykające monstrum.

— To tylko taki obrzęd ludowy! — jęknął. Nie słuchała go.

— Zwyciężyłam bestię — zawołała z triumfem. — Chwała Najwyższemu!

Ogarnięty furją, chciał ją zmusić, by przestała psuć mu zabawę, by schowała krzyżyk, ale odepchnęła go gwałtownie. Wściekły wymierzył jej policzek, a następnie zerwał łańcuszek. Krzyknęła boleśnie jak ugodzony ptak i opadła na ziemię. Monstrum wróciło. Nie wiedzieć dlaczego, Bo przemówił do niego jak do domowego psiaka:

— Sharon. Sharon... Dobra Sharon. — Skąd znał to imię? Potwór otarł się o jego nogi. Wróciła moc. Miał erekcję.

Bestia jednak zignorowała go, zbliżyła się do omdlałej Candelarii, zerwała z niej majtki i mrucząc łagodnie, zaczęła lizać jej krocze.

*

Incydent na cmentarzu skończył się po kwadransie. Bestia zniknęła. Candelaria odzyskała przytomność. Wrócili taksówką do hotelu. Nie komentowali nocnej eskapady. W ogóle niewiele rozmawiali ze sobą. Nieznajomy w masce nie pokazał się więcej, a Syn Wun nie miał czasu zajmować się voodoo. Z Korei zadzwonił jego daleki kuzyn przemysłowiec, proponując udział w jakimś dużym interesie. Pan Bo postanowił skrócić pobyt na Jamajce. Tysiące pomysłów przelatywało mu przez głowę. Pieniądze oznaczały możliwość propagowania wymyślonej przez siebie religii. Choć, z drugiej strony, jak tu zakładać Najwyższą Świątynię z żarliwą katoliczką u boku. Ale akurat ten problem rozwiązał się sam. Ostatniego dnia pobytu znalazł swoją żonę martwą.

Maria Candelaria powiesiła się w łazience na pasku od swej ślubnej sukienki.

13.

*Niby wszystko idzie dobrze, tylko
ruchome schody jadą najwyraźniej w
niewłaściwym kierunku.*

Nie lubię listopada. Przygnębiają mnie bezlistne drzewa, dokuczliwy ziąb i plucha. Chociaż akurat w tych dniach nie odczuwałem przygnębienia. Nowy duch wstąpił w nas, bo i ciotka cudownie zmartwychwstała, i Aman — dzie udało się zbliżyć do tajemniczego chłopaka... Wprawdzie i jedno, i drugie oznaczało kolejne kłopoty, ale przestałem się tym przejmować. Wiele wskazywało, że Opatrzność postanowiła czuwać nad nami. Tego dnia jednak mój problem sprowadzał się do prozaicznej kwestii — jak wyjść z szafy.

Miałem wyznaczone w hotelu Sobieski spotkanie z mężem pani Bożeny, ponoć wielce życzliwym ciotce Polako–Hawajczykiem, który akurat przebywał w kraju przodków, tymczasem nagła wizyta mojej siostry spowodowała konieczność czmychnięcia do szafy. Irena jest kochaną istotą, ale piekielnie wścibską i gadatliwą. Gdyby dowiedziała się, że żyję, z pewnością nie utrzymałaby tej informacji wyłącznie dla siebie.

— No i jak ci się mieszka, kochanie? — zaczęła od progu, cmokając się z Amandą. — Widzę, że się na dobre zadomowiłaś... Ho, ho, ktoś był u ciebie?

Niechybnie wypatrzyła dwie szklanki na stole, pozostałość po porannej kawie.

— Wczoraj wpadł tu mój kuzyn. — Sądząc po brzęku szkła, panna Reger błyskawicznie wyniosła naczynia do kuchni i wstawiła do zlewu. Słusznie, gdyby Irena dotknęła szklanki, mogłaby się przekonać, że rzekomo wczorajsza kawa jest jeszcze ciepła.

— To musiał być jakiś roztrzepaniec, podobny do mojego brata, wychodząc zapomniał wziąć marynarki?

Zakląłem w duchu i zacząłem się poważnie zastanawiać, gdzie zostawiłem moje buty. Czy aby nie pod stołem?

— Nie, to ja, było mi trochę zimno i wyjęłam z szafy starą kurtkę pana Andrzeja, przepraszam...

— Zimno? — zdziwiła się Irena. W tym momencie pomyślałem o rozpalonych kaloryferach i zrobiło mi się naprawdę gorąco. — No tak, u was w Kanadzie z pewnością lepiej grzeją. Wybacz, że tak wpadłam bez zapowiedzenia, ale przejeżdżałam właśnie w pobliżu i pomyślałam: zajrzę, zobaczę, jak ci się tu mieszka...

— Bardzo dobrze, czuję się jak u siebie w domu.

— Wyobraź sobie, miałam wczoraj niesamowite zdarzenie. Spotyka mnie koleżanka, która pracuje w telewizji, i mówi mi, że widziała na ulicy Andrzeja. Ja na to, że to niemożliwe, przecież Andrzejek zginął, a ona, że owszem była na pogrzebie, ale przecież jest zawodową charakteryzatorką i nie zmyli jej ani siwa broda, ani ciemne okulary. Biedny Jędrus, pewnie miał astrologicznego bliźniaka, o którym nic nie wiedział.

— Zdarza się — przytaknęła Amanda. — A skoro o bliźniakach mowa, przypomniała mi pani, że jestem umówiona z kuzynką i właśnie miałam wychodzić...

— To nie przejmuj, się mną kochanie, ja sobie jeszcze zostanę, mam przecież klucze, muszę trochę rozejrzeć się w papierach Andrzeja, trzeba będzie zacząć to okropne postępowanie spadkowe...

Ja ci dam postępowanie spadkowe! — zakląłem w duchu. — Tego jeszcze brakowało, będzie myszkować w chałupie, a ja uduszę się w tej szafie. Amando, wymyśl coś!

— A propos kluczy — wyczuła me błagania dziewczyna. — Czy mogłaby mi pani pomóc? Od paru dni chcę zrobić przepierkę, a nie potrafię dostać się do suszarni.

— Kluczyk powinien być na kółku z innym.

— Jest, ale nie potrafię otworzyć tamtych drzwi. Gdyby pani mogła mi pomóc...

— Z miłą chęcią.

Kroki, otwarcie drzwi wejściowych, zamknięcie. Byłem wolny. Wyciągnąłem z szafy sweter (marynarka musiała zostać), narzuciłem stary płaszcz i schodami popędziłem na dół. Do hotelu Sobieski dotarłem na trzy minuty przed terminem spotkania.

*

Pan Woyteck okazał się sympatycznym, bardzo konkretnym Amerykaninem polskiego pochodzenia. Przebywając od paru tygodni w Europie, nie zetknął się osobiście z Reginą Mirską, wysłuchał jednak relacji swojej żony, która o starszej pani wyrażała się w superlatywach. Okazało się, że moja ciocia po dotarciu do przedmieść Honolulu znalazła telefon Polskiego Biura Turystycznego w miejscowej książce telefonicznej i po prostu zadzwoniła, a pani Bożenka zaopiekowała się rodaczką bez zadawania zbędnych pytań. Ciocia szybko doszła do siebie i oczywiście zapragnęła wrócić do kraju. Pewien problem stwarzał brak pieniędzy i jakichkolwiek dokumentów. To pierwsze rozwiązała pożyczka, którą teraz spłaciłem panu Woyteckowi. Druga kwestia wymagała jedynie czasu. Do Honolulu przybywała właśnie ze starego kraju na miesięczny urlop ich starsza kuzynka, z twarzy dość do Mirskiej podobna. Ostatni meldunek zza dwóch oceanów wskazywał, że jest już od dwóch dni na miejscu, a dziś lub najdalej jutro pani Mirska wyleci do Polski z jej paszportem i biletem.

— A co się stanie z prawowitą właścicielką?

— Nazajutrz po otrzymaniu wiadomości o szczęśliwym powrocie pańskiej cioci do kraju zgłosi na policji, że na plaży Hanauma ktoś musiał wyciągnąć jej z torebki paszport, ale jego brak zauważyła dopiero po paru dniach.

— To chyba niezbyt zgodne z przepisami?

— My, rodacy, musimy sobie pomagać. Nikt inny nam przecież nie pomoże.

*

Amanda nigdy dotąd nie była w kasynie. Oczywiście, wielokrotnie oglądała obiekty tego typu na filmach. A głośne *Kasyno* z Sharon Stone widziała nawet dwa razy.

Warszawska jaskinia hazardu, zlokalizowana w monumentalnych podziemiach Pałacu Kultury i Nauki im. Józefa Stalina, nie odbiegała od światowych standardów. Obiekt, choć mniej renomowany niż Monte Carlo i mniej krzykliwy od Las Vegas, wypełniała również charakterystyczna atmosfera świątyni pieniądza. Wyfraczeni kelnerzy, zastęp barczystych ochroniarzy, nienaganna francuszczyzna krupierów, jednakowy dla wszystkich szerokości geograficznych grzechot kulki po „kole nadziei” ... Specyfikę stanowił co najwyżej skład socjalny gości.

Przy stole, do którego dosiedli się z Pawlikiem, zestaw graczy zadziwiał swą różnorodnością. Szczupły Japończyk skrupulatnie notujący wyniki kolejnych rund w

notesie sąsiadował z mieszanym triem nienagannie ubranych Rosjan, o pięknych twarzach, jakby żywcem wyjętych z *Wojny i pokoju*, za to o portfelach bliższych sejfom KGB, Gazpromu czy moskiewskiej mafii (co zresztą zapewne na jedno wychodziło). Obok nerwowo przeliczało sztopy dwóch rodzimych „biznesmenów” o obliczach skundlonych mopsów, dla których, za sam wygląd, każdy szanujący się prokurator powinien zażądać w ciemno dziesięciu lat bez zawieszenia. Kompletu dopełniał znany dziennikarz sportowy i dwie panienki najwyraźniej przebywające tu służbowo, które obrzuciły Amandę, dziś ubraną spokojnie, w czarną, przylegającą do ciała sukienkę na długich ramiączkach (musałem wyasygnować na nią znaczącą część swoich rezerw finansowych), spojrzeniem czujnym i zdecydowanie nieprzyjaznym.

— Numereau vingt quatre, pair, passe! — oznajmił krupier, wywołując radość szczupłej Rosjanki i krótkie polecenie jej towarzysza:

— Szampanskoje dla wsiech!

— Błąd — skomentował półgłosem Pawlik. — Fortuna nie lubi rozrzutników.

Od chwili, kiedy Amanda spotkała się z nim w foyer, młodociany krezus zachowywał się nienagannie. Zaskoczył ją wiedzą na temat opery, chociaż przy okazji zrobił parę symptomatycznych dla „warszawskich” przedmieść błędów językowych. Był wyraźnie Amandą zauroczony, ale starał się zachowywać powściągliwie.

Już wchodząc, zorientowała się, że młodzieniec nie jest w kasynie osobą nieznaną, portierzy powitali go jak angielskiego lorda, za to szef sali obrzucił go spojrzeniem zdecydowanie nieprzyjaznym, a krupier jakby się przestraszył.

Na początek Pawlik kupił żetony za trzysta dolarów i zaproponował: „Proszę się pobawić”.

— Nie mogę, to są przecież twoje pieniądze!

— Potraktujemy je jako przyjacielską pożyczkę. A wygraną podzielimy się pół na pół.

— A przegraną?

— Nie będzie przegranej — odparł z niezmaconą pewnością. Zamówił dla niej malibu, dla siebie szkocką bez lodu. I posadził na miejscu, które zwolniło się między Rosjanami a Japończykiem.

— A ty nie będziesz grać? — spytała.

— Na razie poobserwuję.

Po chwili wahania przyjęła propozycję. („Tylko parę kolejek! Nie będę ci psuć zabawy!”) Gra się rozpoczęła. Amanda zrazu obstawiała ostrożnie: czerwone albo czarne, tuziny, *passe* lub *manque*, później po serii wygranych odważyła się na obstawianie szóstek i czwórek. Tu poszło jej gorzej. Kupka żetonów skurczyła się. Nie tylko u niej. Stos krążków przed Rosjanami stopił się zupełnie, a twarz kobiety nerwowo zaciągającej się papierosami „księcia Bołkońskiego” z minuty na minutę przybierała coraz bardziej proletariacki wygląd. Zła passa Amandy trwała i wnet został jej już tylko pojedynczy krążek. Rzuciła okiem na Macieja — wydawał się zupełnie nie przejmować przegraną. Postanowiła postawić wszystko na jeden numer. Jak przegrywać to z fasonem — pomyślała, kładąc krążek na polu oznaczonym cyfrą 3. Kątem oka zobaczyła, jak Rosjanin wymienia kolejne sto dolarów.

Krupier wprawił koło w ruch i zręcznie cisnął kuleczkę. Toczyła się z grzechotem długo, długo... Dziewczyna przymknęła oczy.

— Numereau trois, rouge!

— Wygrałaś — usłyszała szept Pawlika. — Tylko tak dalej.

Grabki krupiera przesunęły ku niej trzydzieści sześć żetonów. Maciej wymienił je na dziesiątki i wzrokiem znalazł dziewczynie pole.

— Wszystko znów na ten sam numer? — zdziwiła się. — Przecież jego

powtórzenie jest bardzo mało prawdopodobne!

Mimo to postawiła znów na trójkę, zerkając spod oka na Macieja. Chłopak wyglądał na jeszcze bardziej skoncentrowanego niż przedtem, cofnął się pod ścianę, tak że zniknął z pola widzenia krupiera, Amanda widziała jednak, że nie spuszcza oczu z tarczy. Ta zawirowała. Regerównie wydawało się, że tym razem srebrzysta drobinka krąży jakoś niespokojnie, nerwowo, dwa razy wpadła już do dołka, potem wyskoczyła, znów wpadła. Stanęła. Czarne? Nie! Ponownie czerwona trójka!

— Numereau trois, rouge! — w głosie krupiera zabrzmiało szczere zdziwienie. Wśród graczy rozległy się okrzyki niedowierzania. Rosjanin, który w tej kolejce obstawiał czarne i wysokie numery, wstał energicznie i przeszedł do innego stołu.

— Brawo, wygraliśmy już ponad tysiąc dolarów — powiedział Maciej. — A gdyby tak powtórzyć? Jeszcze raz wszystko na trójkę?

Amanda chciała tak właśnie postąpić, ale krupier zaprotestował. Nagle zniknęły jego nienaganne maniery Europejczyka, przy stole stał przestraszony facecik nerwowo wymachujący rękami. Dziewczyna poszukała wzrokiem swojego partnera. Maciej jednak gdzieś zniknął, a tymczasem do stołu zdecydowanym krokiem podszedł szef sali.

— O co chodzi? — warknął nieprzyjaźnie.

— Chciałabym postawić całą dotychczasową wygraną na jeden numer — powiedziała Regerówna, dziwiąc się własnej stanowczości.

Maître otworzył usta i ku zdumieniu wszystkich powiedział:

— Zgadzam się.

— Jak to, szefie? — wybełkotał krupier. — Przecież to przekracza...

— Wszystko w porządku, niech gra! — potwierdził szef sali i obrócił się na pięcie.

Znów ruszyła ruletka. Amanda rozejrzała się za Pawlikiem. Ciągle go nie było. Kulka zdążyła już nabrać rozpędu, gdy Maciej chwiejnym krokiem zbliżył się do stołu. Wyglądał, jakby w międzyczasie zdrowo sobie gołnął, był błądy i spocony. Wbił wzrok w wirującą drobinę...

Gracze i kibice wstrzymali oddech. Kulka zdawała się krążyć bez końca. Wreszcie zwolniła i opadła w przegródkę jaśniejącą zielenią. Zero krupierskie! Jęk zawodu obserwatorów, błysk triumfu w oku pracownika kasyna. Za szybko. Koło jeszcze nie skończyło biegu. Kulka targnięta jakąś niesamowitą siłą poderwała się ze swego leża i przeskoczyła przegródkę...

— Numereau trois, rouge... kurde fix! — wydukał krupier.

*

Szampana wypili w pobliskim Marriotcie. Amanda nie chciała przyjąć przypadającej na nią połowy wygranej.

— Wielki Boże, przecież to ponad dwadzieścia jeden tysięcy...

— Należą ci się, dziewczyno. W końcu przyniosłaś nam obojgu szczęście!

Była oszołomiona. Facet ciskał jej pod nogi, jeśli nie cały świat, to przynajmniej jego znaczący kawałek... Jakaż dziewczyna nie straciłaby głowy? Jej się to udało. Ale tej nocy Maciej Pawlik nie był dla niej mężczyzną, stanowił obiekt strategiczny, kluczowy element misji. Chociaż, gdyby poprosił ją do tańca, gdyby popatrzył jej głębiej w oczy...

Na szczęście przesadził i zamiast zdobywać ją powoli, z wycuciem, zaproponował wypad w Polskę.

— Pojedźmy do Zakopanego! — kusił. — Spadł tam już pierwszy śnieg. Po drodze pokażę ci Kraków. Przenocujemy w jakimś zajeździe...

— Niestety nie mam czasu — wymówiła się grzecznie, ale stanowczo. — Gdybym ci pokazała wykaz moich zajęć na jutrzejszy dzień, to byś mnie zrozumiał. Mam nadzieję, że się nie gniewasz?

— Ależ skąd! — zawołał żarliwie.

Potem odwiózł ją na rondo ONZ. Wysiadając, udała, że ustępuje pod naporem jego nalegań. Zgodziła się spędzić z nim następne popołudnie. Chciała odwiedzić słynną Galerię Porczyńskich. Pawlik zaproponował dotrzymać jej towarzystwa, a następnie obiecał dalsze hazardowe atrakcje. Z pełną premedytacją nie zaprotestowała, kiedy na pożegnanie objął ją, ale zamiast ust podała do ucałowania policzek. Czuła w chłopaku rosnącą namiętność. Sprzyjało to jej planom, ale zarazem wymagało niebywałej ostrożności.

*

— Cwaniaczek po prostu jest telekinetykiem — skomentowałem rewelację Amandy. — Potrafi kierować kulką od ruletki za pomocą siły woli. Całkiem zręczne!

— Jednak żadna telekineza nie jest w stanie wytłumaczyć zachowania szefa sali — odparła. — Maciek musiał go zahipnotyzować.

— Nie słyszałem nigdy o hipnozie wbrew woli hipnotyzowanego i to w dodatku dokonanej w mgnieniu oka. Sądzę, że wyjaśnienie może być banalniejsze.

— To znaczy?

— Albo facet został znacznie wcześniej skorumpowany, albo nasz młody przyjaciel posiada na niego jakiegoś haka.

— A może właśnie na umiejętności sterowania ludźmi polega jego nadzwyczajny talent... Zbadam to jutro.

Rozmowa toczyła się przez uchylone drzwi łazienki, w której Amanda chlapała się w stanowiącej wykwit peerelowskiej myśli technicznej przedziwnej biedawannie przypominającej głęboki sześcian o zaokrąglonych rogach. W ferworze dyskusji wychyliła się tak bardzo, że na moment ujrzałem jej pierś, piękną, z różową dziewiczą sutką niczym u Diany na obrazie pędzla Bouchera. Zaniemówiłem, ale ona nawet nie zwróciła na to uwagi.

— Chłopak jest potwornie na mnie napalony — kontynuowała. — A przy okazji nie potrafi ukryć zdumienia, że jego parapsychologiczne numery jeszcze nie zwały mnie z nóg. Może chcąc wziąć mnie szturmem, zaprezentuje mi coś jeszcze bardziej zdumiewającego. Ale tym zajmiemy się już jutro, jutro... Boże, jaka ja jestem zmęczona! — Mineła mnie owinięta jedynie w ręcznik kąpielowy, na wpół senna, rozgrzana gorącą kąpielą i wrażeniami z kasyna.

Przez moment poczułem bijący od niej żar niczym podmuch fali uderzeniowej, ale przetrzymałem to. Przecież Amanda mogłaby być moją córką. *Apage satanas!*

*

Do przylotu Reginy Mirskiej pozostała doba. Z ogłoszenia wyszukałem — anons o kawalerce na Powiślu i wynająłem ją dla cioci na trzy miesiące, płacąc z góry. Miałem nadzieję, że później, jakimś cudownym sposobem wszystko wróci do normy, a my do naszego starego, banalnego życia.

W zapowiedziach kulturalnych wyczytałem o wieczorze w Teatrze Małym poświęconym mej pamięci, a reklamowanym jako „Parada parodystów im. Jędrka Łańskiego”. Miał się on odbyć na początku stycznia. Pomyślałem, że nawet ryzykując zdemaskowaniem, nie odmówię sobie przyjemności pojawienia się na widowni.

Chyba że los zrządzi inaczej.

Amanda przez cały dzień wykazywała ogromne podniecenie. Poszła do fryzjera, kupiła nową suknię. Później systematycznie depilowała sobie nogi i goliła pachy.

— Dziewczyno, chyba nie wybierasz się do łóżka z tym szczeniakiem?

— Wolałabym nie. Ale jeśli nie będzie innego wyjścia...

Zastanawiałem się, co motywuje ją do działania. Niepokojny duch, umiłowanie przygody, tęsknota za ryzykiem? Nie potrafiłem jej zrozumieć. Może po prostu byłem za stary.

— I jak wyglądam? — zawołała, ukazując mi się w kolejnej kreacji.

— Całkiem niezłe.

— Do zakochania? — utkwiała we mnie swe migdałowe ślepia. Zmieszałem się.

— Musiałbym się nad tym zastanowić.

— Zrób to, zanim będzie za późno!

I wybiegła. A ja zostałem, czując jakieś dziwne, bolesne ssanie w dołku.

*

Pawlik adorował ją cały wieczór. Często w sposób tak nieodparcie komiczny, że musiała przygryzać wargi. Bo Maciek naprawdę potrafił wzbudzać sympatię. Grał rolę twardziela dandysa, ale gdzieś w głębi ducha pozostał dzieckiem. Amanda wyczuwała w nim coś tragicznego, poczucie samotności, bagaż jakichś bolesnych przeżyć, pokrywany nonszalancją i pewnością siebie. W Galerii Porczyńskich zaimponował jej początkowo swoimi wiadomościami na temat malarstwa. Okazało się jednak, że jego wiedza ogranicza się jedynie do zgromadzonej w tym miejscu kolekcji i pochodzi z dokładnie przestudiowanego albumu. Poza tym pojęcie młodego mężczyzny o malarstwie europejskim było więcej niż słabe. Dziewczyna jednak nie próbowała go demaskować. Zjedli razem obiad w pobliskim pubie, a potem ruszyli na kolejną wycieczkę hazardownawczą.

— Co masz w planie na dzisiaj? — spytała.

— Pokera — odparł. — Powinniśmy sporo zarobić.

— Ciekawe, że jeszcze ktokolwiek w Warszawie decyduje się na granie z tobą, skoro masz opinię niepokonanego.

— Do dzisiejszej rozgrywki przygotowywałem się dwa tygodnie. Celowo przegrałem dwadzieścia tysięcy zielonych. I mam teraz opinię łatwego do oskubania narwańca.

— Przegrałeś? Ty?

— Oczywiście, zrobiłem to z premedytacją. Dziś wszystkie rekiny ściągną do karcianego stolika spragnione mojej krwi.

— Nie boisz się, że tym razem szczęście może ci nie dopisać?

— Nie!

Na końcu języka miała pytanie o technikę jego trików, ale postanowiła konsekwentnie grać nieświadomą niczego naiwniaczkę.

Willa w Konstancinie położona była na uboczu. Ukryta wśród świerków i otoczona wysokim murem przypominała prawdziwą twierdzę — bramę otwierała fotokomórka, a przy drzwiach kręciło się kilku ochroniarzy.

— Miał pan być sam — warknął szef goryli na widok Regerówny.

— To Amanda, moja kanadyjska przyjaciółka, którą opiekuję się podczas jej wizyty w Polsce — odparł Pawlik. — Ale jeśli nie odpowiada wam nasze towarzystwo, to trudno...

— Ależ nie ma problemu, prosimy, panie Macieju, witam piękną, młodą damę! —

ochroniarza odsunął gospodarz posesji zwany Głowonogiem, co doskonale charakteryzowało jego aparycję. Wydawca szmatławej, acz poczytnej gazety „Prowok polski”, odznaczający się ogromną łysą głową osadzoną na krótkim pękatym tułowiu już na pierwszy rzut oka przypominał złośliwego karła i jak łatwo można było stwierdzić, śledząc nawet pobieżnie jego karierę, faktycznie nim był. Rzadko spotyka się figury równie pokraczne, a zarazem tak groźne. Pawlik uprzedził Amandę, że groteskowy wygląd to jedynie wprowadzający niezorientowanych w błąd kamuflaż kryjący cyniczny i diablo inteligentny mózg starego manipulatora.

Głowonóg zaprosił do salonu. Oczekujące tam stado rekinów ostrzających zęby na młodego krezusa było tyleż nieliczne, co doborowe: eks-sportowiec, a obecnie finansowy potentat, prawnik o renomie najlepszego i najdroższego w stolicy, Rosjanin — właściciel banku i szef rozległego holdingu, znany kasowy aktor oraz były minister rządu Rzeczypospolitej należeli, jak twierdził Maciek, do pierwszej ligi krajowego pokera. Panowie przybyli bez żon, a nawet bez kochanek, jednak pierwiastek żeński wносиły do towarzystwa trzy dorodne barmanki topless, których lalkowate twarze przywodziły na myśl idealne Barbie dla dorosłych.

Gra rozkręcała się dosyć powoli. W ciągu pierwszej godziny puła rzadko przekraczały kilka tysięcy dolarów. Ale ponieważ na stół wykładano żywą gotówkę, a nie żadne żetony, oczy mogły zabołec od nadmiaru zieleni. Maciek grał ze zmiennym szczęściem i mniej więcej po dwóch godzinach, kiedy stracił już około dwudziestu tysięcy, zaproponował, żeby na kilkanaście rozdań zastąpiła go Amanda.

Panowie przyjęli to z pełną wyrozumiałością, a aktor z wdziękiem, którym ujmował zakochane w nim małolaty (stąd jego przydomek: „Defloratissimus”), zaproponował podniesienie stawek. Maciek zgodził się.

Jak każdej debutantce, tak i Amandzie sprzyjało szczęście, odegrała parę tysięcy, jednak gdy chciała ustąpić miejsca Pawlikowi, ten stwierdził krótko: „Graj dalej, masz dobrą passę” i rozsiadł się wygodnie w fotelu obok niej. W trakcie drogi z Warszawy ustalili parę porozumiewawczych znaków, do których miała się bezwzględnie stosować.

Niespodziewanie po kilku rozdaniach nie zakończonych sprawdzeniem, puła wzrosła do kilkunastu tysięcy. Panna Reger czuła przyspieszony rytm serca. Rosjanin, na którego wypadła kolej, rozdał karty. Chciała je podnieść, ale dostrzegła kątem oka Maćka przymrużającą powiekę. Kod!

— Otwieram w ciemno za potrójną pułę — powiedziała, dziwiąc się twardemu brzmieniu własnego tonu.

— Ależ panienko — wykrztusił jurysta. — To by kosztowało każdego po trzydzieści tysięcy.

— Jest to chyba zgodne z przepisami — wsparł swoją partnerkę Pawlik.

— To dla mnie za wysoko — warknął aktor i odrzucił swoje karty z takim wstrętem, jakby były one zdechłą myszą.

— Wchodzę — powiedział Rosjanin, nie zadając sobie trudu oglądania kart.

— Ja też — pospieszył eks-sportowiec, przelotnie rzuciwszy okiem na posiadany wachlarzyk.

— Beze mnie — skomentował prawnik.

A minister tylko pokręcił przecząco głową.

— Filuję — sapnął Głowonóg, a po chwili przewrotny uśmiech rozjaśnił jego ropuszą twarz. — Jestem!

Amanda podniosła swoje karty i uczuła bolesne uderzenie adrenaliny. Nie miała nic. Nawet głupiej dwójki. Bezradna popatrzyła na Pawlika, ten uśmiechnięty, odprężony spoglądał na zegarek. Zrozumiała. Uważała wprawdzie przyjętą strategię za czyste szaleństwo, ale postępowała zgodnie z ustaleniami.

— I jeszcze po trzydzieści, w jasno — powiedziała.
Pozostali uczestnicy rozgrywki wpłacili zgodnie stawkę niczym składkę na komitet rodzicielski. Wielki Boże, na stole leżało teraz blisko pół miliona dolarów!

— Kart? — spytał Rosjanin.
Sportowiec wymienił dwie.
— Zdrow — triumfalnie zakomunikował gospodarz. Musiał więc mieć co najmniej fula.
— Pani!?

Wymieniła jedną kartę. I dokupiła drugą dziewiątkę. Chciało jej się płakać. Najchętniej by uciekła. Zastanawiała się, czy grający już to wyczuli. Rosjanin też chyba nie miał dobrej karty, bo pozbył się aż trzech kart. Nieprzeniknione oblicze nie zdradziło jednak, czy dokupił dobrze, czy pechowo.

— Kto zagrywa?
— Czekam — powiedział sportowiec, a na jego czole pojawiła się kropelka potu.
— Również — zawtórował mu Rosjanin.
— A ja otwieram za całą pulę — zawołał wydawca „Prowoka”, rzucając na stół kartkę, na której nagryzmolił: „Pięćset tysięcy”. Był czerwony jak burak i widać było, że chce zakończyć sprawę mocnym uderzeniem.

Pawlik zapalił papierosa.
— Podwajam — powiedziała słodziutko Amanda, choć w środku czuła narastający dygot. Czekwała teraz na słowo: „Sprawdzam” jak na sentencję wyroku i szybką egzekucję.
— Chwileczkę — wmieszał się prawnik. — Czy państwo zamierzają ewentualny dług uregulować czekiem?
— Kartą kredytową — powiedziała przygotowana na to pytanie dziewczyna, kładąc srebrny prostokąt w granatowym etui. Widziała, że paru ze zgromadzonych rzuca okiem na Pawlika. Chłopak chyba czuł się bardzo źle, był blady, zapadł się w głąb fotela.
Skończy się wezwaniem erki — pomyślał aktor, uśmiechając się złośliwie. — Tak to bywa z tymi rozpuszczonymi szczeniakami.
— A co pan postanowił, panie Jarku? — spojrzenia przeniosły się na wydawcę. Głownóg wydawał się jakby nieobecny. Tarł przez chwilę dłońmi spocone czoło. Odłożył karty.
— Oczywiście sprawdzasz? — spytał Rosjanin.
— Pasuję! — z trzewi wydawcy wydobył się cichy pomruk. — Jestem za cienki. Nikt nic nie mówił, nie było gratulacji, komentarzy. Pawlik nadal wyglądał na zemdlonego. Amanda zebrała karty i machinalnie je przetasowała.
— Brakującą należność ureguluję w poniedziałek w redakcji — sapał przegrany.
— Pani rozumie, nie trzymam w domu tyle gotówki.
Hostessy podały drinki. Do dziewczyny dopiero w tej chwili dotarło, co się właściwie stało. Tymczasem Pawlik oprzytomniał. Zaczął zgarniać pieniądze leżące na stole.
— Co robisz? — ryknął naraz Głownóg, aż kelnerka króliczek upuściła tacę z drinkami.
— Zabieram naszą wygraną. Po resztę zgłosimy się, tak jak pan zaproponował, w poniedziałek.
— Jaką wygraną, ja miałem pokera. Pokera pikowego!
— Nie interesuje mnie, co pan miał, tylko co pan zrobił — odpowiedział Maciek.
— Spasował pan. A wszyscy panowie są świadkami.
— To niemożliwe... Ja chyba nie wiedziałem, co robię... Kurwa! Ja nic nie pamiętam... Co tu się dzieje? — gnom toczył przekrwionymi oczami po zebranych.

Prawnik rozłożył bezradnie ręce. W oku aktora widać było iskierkę rozbawienia. Minister tradycyjnie wolał nie zabierać głosu. Rosjanin milczał głęboko zamyślony. Pawlik rzucił okiem na rokokowy zegar na marmurowym kominku.

— Późno się zrobiło, jeśli państwo pozwolą, chcielibyśmy się pożegnać...

Wyszli wśród głuchego milczenia odprowadzeni jedynie przez goryli. Amanda kątem oka ujrzała, jak Głowonóg chwytą pod ramię Rosjanina i ciągnie go do sąsiedniego pomieszczenia.

— Piękna rezydencja — powiedział na odchodnym Pawlik. — Chyba szybko będzie musiała zmienić właściciela.

Mercedes stał na podjeździe. Chciała obejść go i wsiąść od strony pasażera, ale Maciej wręczył jej kluczyki.

— Mogłabyś poprowadzić? — Wyglądał na nieludzko zmęczonego.

Parapsychologiczny wysiłek krańcowo go wyczerpał.

— Chętnie — odpowiedziała.

Ruszyli ostrożnie wąską aleją w kierunku warszawskiej dwupasmówki. Maciek, nadal przedziwnie skupiony, siedział sztywno, nie odzywając się ani słowem.

— Coś nie tak? — spytała. — Uważasz, że coś źle poszło? Przecież wygraliśmy.

— Prowadź. Poszło świetnie, ale się jeszcze nie skończyło. Bądź czujna, jedź szybko i nie pozwól się nikomu wyprzedzić.

— Sądzisz, że oni próbują odzyskać pieniądze?

— Nikt dobrowolnie nie daje się ograbić z takiej fortuny.

— Jednak w willi zachowywali się poprawnie.

— Było za dużo świadków.

Intuicja nie omyliła Pawlika. Na wysokości Powsina dogoniło ich białe BMW i trąbiąc, usiłowało skłonić do zjechania z drogi. Amanda, zręcznie manewrując Maćkowym krążownikiem, starała się nie dopuścić do wyprzedzenia.

Tymczasem w bocznym lusterku dostrzegła, jak w BMW opuszcza się szyba i wysuwa lufa. O, cholera!

I wtedy stało się coś dziwnego. Na równej drodze wóz ścigających raptownie skręcił w miejscu, przeleciał przez drugi pas jezdni, przeokołkował w rowie i zarył w polu.

Nacisnęła na hamulce. Chciała się zatrzymać.

— Nie zwalniam — syknął Pawlik. — Dobrze tak, sukinkotom! Niech wiedzą, że z panem Maćkiem nie należy zadzierać.

— Jak to z panem Maćkiem, nie powiesz chyba, że to ty spowodowałeś ten wypadek?

— Ja — powiedział chełpliwie. — Ale to była samoobrona. A jeśli pojedziesz do mnie, to ci opowiem, jak tego dokonałem.

— Może nie dzisiaj? Widzę, że jesteś potwornie zmęczony.

— Odrobina alkoholu postawi mnie na nogi. No to co, wpadniesz do mnie?

Pojechała. Mimo że nie powinna.

*

Oprócz rezydencji w Aninie Pawlik miał jeszcze garsonierę na Saskiej Kępie. Dwa dość skromnie wyposażone pokoje z wielkim łóżkiem, barkiem i aparaturą hi-fi. Puścił dyskretną muzykę. Otworzył butelkę znakomitego francuskiego koniaku. Starał się być czarujący, ale i konkretny. Porwał ją do tańca.

Pierwsze rozczarowanie. Fredem Astaire'em nie był. Tańczył ciężko pozbawiony polotu szkolnym stylem nadwiślańskim, poza tym zmęczenie i wypity alkohol robiły

swoje. Przyciskał ją do siebie, aż poczuła jego wezbraną męskość. Usiłował pocałować... Wywinęła się z jego ramion. Jej policzki płonęły...

— Usiądźmy, porozmawiajmy — zaproponowała.

— Chcę się z tobą kochać, Amando — powiedział bez ogródek. — Dawno nie spotkałem równie fantastycznej dziewczyny.

— A nie przeszkadza ci, że ja cię nie Kocham?

— Miłość, wielkie słowo. Nie sądzisz, że wystarczy przyjaźń, fascynacja, sympatia. Albo pieniądze... — rzucił na stół drogocenną teczkę. — Połowa może być twoja.

Cała krew odpłynęła jej z twarzy. Za kogo on ją uważał. Za luksusową prostytutkę?

— Pomyliłam się co do ciebie — powiedziała i ruszyła ku drzwiom.

Zabiegł jej drogę.

— Nie możesz teraz wyjść!

— A co, użyjesz siły, żeby mnie zatrzymać? A może twoich parapsychologicznych sztuczek? No to proszę, zahipnotyzuj mnie i zgwałć. — Wyrzucając z siebie te słowa przypominała zagniewaną boginię Artemidę. — No! Na co czekasz?

— Nie mogę — odparł szczerze.

— Odczuwasz jeszcze jakieś skrupuły? Dziwne! Potraktuj mnie jak kostkę do gry, szulerze... A może mnie zahipnotyzujesz, panie Cagliostro z Kawęczyna?

Cios był celny. Ochłonał, napił się wody.

— To nie jest tak. Za nic nie chciałbym cię wykorzystać. A poza tym ja nie hipnotyzuję, ja... To jest zupełnie coś innego.

— Obiecałeś mi opowiedzieć.

— Potrafię... potrafię się przemieszczać. Potrafię przez krótki czas być tamtą drugą osobą, kontrolować jej zmysły i działania. Ale wówczas sam jestem pusty... Bezwładny i bezsilny. Zresztą nawet gdybym mógł... — popatrzył na Amandę wzrokiem głodnego psa — to bym nie chciał.

— Więc czego ode mnie chcesz?

Nalał sobie szklanek koniaku i wychylił ją duszkiem.

— Chyba jednak miłości.

Cofnęła się bardziej w głąb kanapy.

— Wątpisz w moją szczerłość. — Nalał sobie drugą lufę. — Wobec nikogo nie byłem tak szczerzy, jak wobec ciebie. Zademonstrowałem ci, co potrafię, zrobiłem swoim współnikiem...

— Wspólnikiem morderstwa!

— Nie przesadzaj, Amando! Byli w pasach, musieli przeżyć wypadek. Powiedz lepiej, co chcesz jeszcze wiedzieć.

— Jak osiągnąłeś tak niezwykle umiejętności?

Zacisnął zęby.

— Nie mogę ci powiedzieć.

— Nawet tak ogólnie? Powiedz: urodziłeś się z tym czy sam to w sobie wykształciłeś? Miałeś jakiegoś mistrza? Guru?

— Za dużo chcesz wiedzieć, kotku. — Chwiejnie wstał na nogi, a wzrok zrobił mu się przytomniejszy. — A właściwie, o co ci chodzi. Przyznaj, to nie ja cię poderwałem, to ty wszystko zaaranżowałaś.

Nie umiała kłamać.

— W pewnym sensie, tak — bąknęła.

— Kto cię nasłał? Gliny?

— Nie jestem z policji — zaprzeczyła gwałtownie. — Trafiłam na ciebie, bo... bo potrzebujemy twojej pomocy.

— Kto to są: my?

— Ja, moi przyjaciele, ludzkość. Ze swoimi umiejętnościami mógłbyś być bezcenny...

— W czym?

— W walce ze złem. Zbliża się czas decydującej rozgrywki.

— Co ty trujesz? Horrorów się naoglądałaś? Co mnie obchodzi ludzkość, dobro i zło? Wszyscy jesteśmy źli. Tylko jedni są źli i głupi, a inni, jak pan Maciek, cwani.

— Posłuchaj, Maćku, jeżeli ci choć trochę na mnie zależy...

— Rozumiem, że proponujesz układ. Dasz mi dupy, jeśli będę dla ciebie pracował. Ciekawe... No, to rozbieraj się. Pokaż, co potrafisz. A ja może się zastanowię. — Rozpiął pasek spodni. — Zademonstruj mi, jak się spisujesz na dobry początek.

Nie tak wyobrażała sobie tę akcję. Cofnęła się przerażona. Czy miała mu powiedzieć, że nie ma doświadczenia, że pod tym względem jest wyjątkiem wśród swoich rówieśniczek po obu stronach oceanu i że jeszcze nigdy...

— Pospiesz się, zanim zasnę. No!

Czuła mdłości. Nie mogła. Nie mogła tego zrobić... Usiłował chwycić ją za piersi. Odrzuciła go, aż się przewrócił. Zaklął:

— A jak nie chcesz, to na drzewo!

— Co powiedziałeś?

— Co usłyszałaś! Spierdalaj, anielico!

*

Obudził mnie jej płacz. Za oknami szarzało. Amanda była zziębnięta na kość, przysłała pieszo z Saskiej Kępy, bez płaszcza, gdzieś zgubiła torebkę...

— Co się stało, dziewczyno!?! Padła z łkaniem w moje ramiona.

— Zawiodłam na całej linii — wyznała mi wśród szlochów. — Pomyliłam się w ocenie sił i środków. I w dodatku źle wszystko rozegrałam. Już nigdy nie uda się go namówić, żeby nam pomógł. To podły egoista. Męska szowinistyczna świnia! Zależy mu tylko na sobie samym. Nawet gdybym została jego kochanką, też wątpię, czy by nam pomógł.

— Nie martw się. Wymyślimy coś. Jutro wraca Regina... — Gładziłem jej włosy, czułem jej łzy na moich policzkach, jej dygocące ciało przywierające do mego półnagiego torsu. Jak Dolores...

Nie, nie mogłem wykorzystać tej chwili.

— Idź spać, Amando — delikatnie pocałowałem ją w policzek. — Jak mówią w bajkach, ranek od wieczora zmyślniejszy.

Dygresja 4. Jamajka i okolice

*Schodząc na złą drogę, możemy się
pocieszać jej dobrą nawierzchnią.*

Wśród wiszących doniczek z kwiatami krążą barwne kolibry. Tak szybko biją skrzydełkami, że te, stając się nieomal niewidoczne, upodobniają małe ptaszki do wielkich ważek. O poranku powietrze jest ożywczo świeże, a wietrzyk od morza, poruszający grzywami fal, chłodzi lepiej niż jakakolwiek klimatyzacja. Gilbert Armand Donatien Seguin siedzi na leżaku i przygląda się Marie–Louise, która w opiętych miniszortach zrywa kwiaty hibiskusa, aby sporządzić z nich wieniec na powitanie męża — jego kochanego młodszego brata Jean–Paula.

Właściwie Gilbert mógłby uznawać się za dziecko szczęścia; potomek arystokratycznej rodziny, rychły spadkobierca niemałej fortuny, spędzający zimę na swej plantacji La Demi Croix na Martynice, a lato w kurortach Europy — jest w pełni uprawniony, aby jak Kandyd twierdzić, że żyje na najlepszym z możliwych światów. W zasadzie trudno byłoby dociec, czego szuka w jego majątku czarnoskóry ogrodnik z charakterystycznym trójkątnym znamieniem na czole. W jaki sposób miałby złowić duszę arystokraty. A jednak inspiracja przekazana przez łezkę i tym razem prowadzi Hardinga nieomylnie. Nie musi długo obserwować właściciela plantacji, by znaleźć jego słaby punkt. Chuć! Arystokrata szaleje na punkcie swej szwagierki.

W życiu Seguina było wiele kobiet, co zrozumiałe przy jego pieniądzach i pozycji, lecz żadna nie wywoływała w nim takich żądz jak Marie–Louise. I nie chodzi nawet o to, że Kreolka jest doskonałą pięknoscią — wystarcza, że należy do Jean–Paula. Gilbert od dzieciństwa przyzwyczał się, że jest pod każdym względem lepszy od brata, błyskotliwszy, wymowniejszy, sprawniejszy fizycznie. Jako pierworodny syn to on dziedziczył nazwisko i majątek. To on, wprowadzony przez kuzyna do Wielkiej Łoży, miał przed sobą karierę polityczną. Młodszy brat zaś... cóż, miły, łagodny, zawsze był życiową niedorajdą. Zawsze wymagał pomocy, opieki, łatwo tracił pieniądze, nie potrafił ich zarabiać... I naraz taka dziewczyna! Co gorsza, nic nie wskazywało, że piękna malarka wybierając Seguina juniora, kierowała się wyrachowaniem. Nie, to wyglądało na miłość. Więcej, od chwili kiedy Jean–Paul poznał ją na plenerze malarskim w Port de France, dokąd przybyła jako stypendystka Ecole de Beaux Arts, połączyła ich miłość od pierwszego wydarzenia. *Incroyable!*

Gilbert w ciągu pół roku mieszkania pod wspólnym dachem wypróbował różne metody, czarował intelektualnie, prawił komplementy, dyskretnie się zalecał... Nic. Propozycje wspólnych kąpieli nago, w jacuzzi przyniosły tylko ten efekt, że Marie–Louise zaczęła traktować szwagra z jeszcze większą rezerwą, a próba zorganizowania na plantacji orgietki z udziałem przedstawicieli najbardziej znamienitych rodów z Martyniki i najładniejszych miejscowych modelek omal nie doprowadziła do wyprowadzenia się młodej pary z domu.

Jako człowieka czynu Gilberta najbardziej wkurzała własna bezradność. Którejś soboty pojechał do pobliskiego Saint–Pierre rozejrzeć się za jakimiś seksualnymi „towarami” i ku nie opisanemu zdumieniu ujrzał jedną z miejscowych ślicznotek w ramionach jego własnego ogrodnika, który tego dnia miał wychodne. Pulchna osiemnastolatka, wyraźnie podniecona, tuliła się do starego dziadygi o zwiędłej twarzy. Niewiarygodne!

Nazajutrz odnalazł go zajętego strzyżeniem żywopłotu na stoku wulkanu Mont Pelee opodal słynnego „półkrzyża”, od którego nazwę wzięła plantacja. Podczas

tragicznej erupcji w 1902 roku, kiedy chmura pałająca przyniosła śmierć mieszkańcom Saint–Pierre, krzyż, wzniesiony przez pierwszych osadników w XVIII wieku, stracił tylko jedno ramię.

— Cześć, Matt — powiedział Gilbert. Murzyn zdjął słomkowy kapelusz i zgiął się w ukłonie. — Gratuluję ci powodzenia u kobiet. Musisz mieć na nie jakiś wspaniały sposób.

— Za pozwoleniem, panie baronie, nie mam sposobu, mam środek — odparł Matthew.

Gdy zaciekawiony Seguin pytał dalej, ogrodnik opowiedział o rewelacyjnym afrodyzjaku, zdolnym najzimniejszą nawet kobietę przemienić w wulkan zmysłów.

— Chętnie wypróbowałbym twoją miksturę, mam nawet na oku pewien obiekt — rzekł Gilbert Donatien. — Dobrze zapłacę.

— Nie ma problemu — uśmiechnął się Murzyn. — Tylko czy jest to kobieta wolna?

— Ma to jakieś znaczenie?

— Jeśli jest już w kimś zadurzona, ryzykujemy, że napój miłosny jedynie to uczucie wzmocni... — W tym momencie ogrodnik musiał chyba zauważyć zmianę na twarzy swego chlebobdawcy, bo szybko dorzucił: — Jednak nic nie trwa wiecznie na tym świecie, ani miłość, ani życie.

Plantator tylko zacisnął zęby. Ale obraz czarującej bratowej nie przestał nękać go we snach.

Tydzień później wybrał się z bratem na połów. W rejonie Cap Martin pojawiła się większa liczba rekinów i Gilbert miał ogromną ochotę zapolować na nie. Jean–Paul zaś nigdy dotąd nie zetknął się z nimi oko w oko. Ponieważ malarka odmówiła uczestniczenia w „bezmysłnym zabijaniu tych pięknych zwierząt”, wyruszyli tylko dwaj szybką łodzią Seguina, wyposażoną w komplet harpunów, wędek i podbieraków. Na rufie znajdowały się dwa stanowiska rybackie, na których można było pasami przytroczyć się do foteli i w tym zabezpieczeniu, toczyć walkę z morskimi potworami.

Do połowu przystąpili zgodnie z regułami sztuki. Najpierw wylali za burtę beczkę juchy i wnętrzności pochodzących z jatki w Saint–Pierre, potem przygotowali przynętę w postaci świeżych ryb. Po godzinie mieli pierwszy łup. Na hak złapał się półtorametrowy rekinek. Kiedy wyciągnęli go na pokład, Gilbert ryzykując spotkanie z potwornymi zębami, zwinnie narzucił pętlę na płetwę ogonową ryby.

Mały kabestan podciągnął żarłacza do góry. Opuszczający się zołądek przydusił bestię. Teraz zabicie jej było kwestią kilku ruchów.

— Dobry jesteś — powiedział z podziwem młodszy z braci: Gilbert tylko zaśmiał się gardłowo. Nałożył kolejną przynętę i wyrzucił hak za burtę. Nie musieli długo czekać, znów od strony rufy na powierzchni pojawiła się trójkątna płetwa.

— Prawdziwy olbrzym jak z filmu *Szczęki* — entuzjasmował się Jean–Paul. — Bierze, vraiment, bierze!

— Uważaj, przypnij się i nie stawaj na linie — ostrzegł brata Seguin.

Za późno. W chwili bowiem, gdy żarłacz chwycił przynętę, lina błyskawicznie wyprysnęła za burtę, podcinając Jean–Paulowi nogi. Ten stracił równowagę i przeleciał przez reling. Na moment Gilbert zdrętwiał, potem dopadł do burty, pozwalając linie rozkręcić się na pełną długość.

— Bracie, bracie! — wołał.

Jean–Paul wynurzył się prawie natychmiast. Był trzy, może cztery metry za rufą, choć szybki prąd atlantycki wynosił go w morze.

— Lina! Łap linę! — wrzasnął Gilbert.

Brat usłuchał go. Uchwycił się naprężonego sznura.

— Zachowaj spokój, wyciągnę cię! — wołał baron. Jego palec znalazł się tuż obok przycisku uruchamiającego kołowrót. Ale w tym momencie doszedł go wrzask:

— Drugi, drugi! — Rzeczywiście kilkanaście metrów za plecami Jean-Paula pojawiła się nowa płetwa. — Ratunku, au secours!

— Spokojnie, wyciągam cię — spokojnie nacisnął przycisk. Silniczek jednak ani drgnął.

— Co jest? Zepsuł się w takiej chwili?

Upłynęła dłuższa chwila, zanim zorientował się, że z emocji naciska guzik stopu. Natrafił na właściwy. Rozległ się zbawczy warkot. Maszyna nawijała linę, wolno pokonując opór wody i bestii uciekającej ku głębinom. Plantator chwycił harpun i wychylił się gotów wystrzelić w nadpływającego potwora. Zetknął się wzrokiem z oczyma brata. Oprócz przerażenia widział w nich jak w bliźniaczych medalionach piękną aż do popadnięcia w obłęd twarz Marie-Louise. Niedostępną, choć tak bliską.

Nie strzelił. Rozległ się przeraźliwy krzyk, potem dźwięk przypominający chrzęst gilotyny drukarskiej. Ręce młodego Seguina puściły linę... Ocean zabarwił się krwią.

Dwa kilometry od miejsca tragedii stojący na stoku Monte Citron Harding opuścił lornetę.

— Mamy więc następnego!

Baron Seguin nie posiadał bratowej. Po pogrzebie, który odbył się w Fort de France, Marie-Louise opuściła Martynikę na zawsze. Niektórzy twierdzą, że wstąpiła do klasztoru karmelitanek na południu Francji, ale kto to wie.

*

Można powiedzieć, że zaprzeczenie przez Wasyla Łazarienkę swej duszy przyniosło wolnemu światu wielkie korzyści. Przynajmniej na początku. Wychowanek domów dziecka zasnął w dzieciństwie wszystkiego, prócz ciepła i dostatku.

Bezkompromisowy komsomolec i prymus szkoły KGB w Bałaszsze (promocja rok 1979) wpadł w oko Jurijowi Andropowowi po tyle brawurowej, co po mistrzowsku rozegranej akcji wyprowadzenia z Kabulu trzech agentów, którzy wpadli w ręce afgańskich mudżahedinów. Choć, znając talenty byłego szefa sowieckiego bezpieczeństwa, nie należy wykluczyć, że interesował się nim wcześniej. W każdym razie na przełomie lat 1982/83 Andropow, wówczas od paru tygodni pierwszy sekretarz KPZR, znalazł czas, aby przyjąć młodzieńca osobiście w swej podmoskiewskiej dachy. Nieubłagana choroba nie poczyniła jeszcze wielkich spustoszeń w organizmie genseka, toteż sprawił on na młodym kapitanie wrażenie człowieka emanującego energią. Choć nie optymizmem.

Po tej rozmowie Łazarienko był wstrząśnięty. Gdyby ktokolwiek inny, a nie przywódca Kraju Rad, opowiadał takie rzeczy, należałoby go aresztować i wysłać na Kołymę, do Workuty lub przynajmniej do więzienia Lefortowo. Andropow nie krył niczego. Przegrywali z Ameryką wyścig zbrojeń, gospodarka „światowej ostoji pokoju i socjalizmu” robiła bokami i praktycznie istniały tylko dwa wyjścia: wprowadzić masowy terror w stylu Josifa Wissarionowicza Stalina lub próbować demokratyzacji, jakiegoś nowego NEP-u, co groziłoby jednak rozpadem wielonarodowego imperium i utratą roli supermocarstwa.

— Gdybym był młodszy, być może zastosowałbym pierwszy wariant, ale niestety, choć nauczyliśmy się odwracać biegi rzek, nie radzimy sobie z ludzkim organizmem. Nie dożyję końca tej pięćdziesiątki. — Wasyl chciał zaprzeczyć, ale sekretarz generalny tylko warknął gniewnie: — Wiem, co mówię, moje służby znają przecież tajne notatki mych lekarzy. Nasza generacja wymiera. Kto został ze starej gwardii? Gromyko,

Czernienko... A młodzi? Nie w głowie im idee komunizmu, co ja mówię, oni nie są gotowi umierać nawet za Świętą Ruś. Chcą dobrobytu, używek, wolności. Choć — sami sobie może tego jeszcze nie uświadamiają, chcą wypoczywać na Riwierze, grać na giełdzie, a przede wszystkim niczego się nie bać. I nasza partia będzie musiała się na to zgodzić. Kto wie, czy kiedyś nie przyjdzie poświęcić również samej partii, kiedyś był to układ mięśniowy systemu władzy, dziś to tylko olbrzymi, otluszczony balast. A kiedy organizm toczy rak, mięśnie trzeba poświęcać, a chronić, jak myślisz, Wasylu, co należy wtedy chronić?

— Nerwy i mózg!

— Ot, właśnie. A co jest naszym układem nerwowym? My. Służby. Spadkobiercy ochrony i czerezwyczajki. Jeśli w okresie smuty, który nadchodzi, my przetrwamy, przetrwa słowiańskie imperium, przetrwa Rosja. A przetrwamy, jeśli zdołamy uchronić się przed słabością, korupcją, zdradą... — Tu ściszył głos i wpił wzrok w Łazarienkę: — Dlatego postanowiłem powołać Służbę Ostatecznej Kontroli, małą utajnioną komórkę podległą bezpośrednio mi osobiście, posiadającą wgląd we wszystkie sprawy służb, nade wszystko w ich finanse. Nie będzie o niej wiedział ani premier, ani szef Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego. Formalnie jej pracownicy zatrudnieni będą na rozmaitych szczeblach naszego aparatu. Wszystkie nici jednak będą się zbiegać w rękę jednego zaufanego człowieka. Rozumiesz?

— Tak jest, towarzyszu sekretarzu.

— Nic nie rozumiesz, ty będziesz tym człowiekiem.

Jurij Andropow rządził imperium ledwie półtora roku.

Przez ten czas komórka Łazarienki uzyskała wgląd w działalność KGB i GRU na całym świecie. On sam, kapitan, później major, a w pierwszych miesiącach panowania następcy towarzysza Jurija mianowany podpułkownikiem, formalnie zatrudniony był w Sekcji Analiz, ale miał dużą swobodę poruszania się. Po zmianie na kremlofskim tronie zameldował się osobiście u Konstantina Czernienki i oddał się do jego dyspozycji. Ze spotkania wyniósł jak najgorsze wrażenie. Nowy gensek absolutnie nie rozumiał sytuacji. Przerastała go parokrotnie. Na sugestię, iż w szeregu komórek bezpieczeństwa państwowego dochodzi do degeneracji, zaproponował przeprowadzenie konsultacji z szefem KGB i powołanie komisji. Wasyl zrozumiał, że to strata czasu, i niecierpliwie czekał, kiedy tego dziadygę bez polotu zastąpi ktoś z młodej kadry.

Awans Gorbaczowa przyjął z mieszanymi uczuciami, znał doskonałą opinię, jaką o „młodym człowieku ze Stawropola” miał Andropow, jednak wyczuwał w Michaiile Siergiejewiczu brak odpowiedniej twardości, potrzebnej przywódcy w czasach przełomowych. Kiedy zetknął się z nim po raz pierwszy, powiedział sobie: „To raczej nie Piotr Wielki, tylko Mikołaj II”. Spostrzeżenie to niestety dość szybko miało się potwierdzić — głośność i pieriestrojka nie przyniosły odrodzenia Rosji, nie uzdrowiły ekonomii. Rozpoczęła się za to największa w historii grabież majątku państwowego. Archiwum Łazarienki pęczniało od informacji o przekrętach, tajnych kontaktach i transferach, w których moskiewscy bonzowie po prostu się prześcigali. Pogoń za walutą przeżerać poczęła również tajne służby. A Gorbaczow? Wprawdzie przyjmował meldunki superkontrolera, a nawet awansował go na pułkownika, wydawał się nie bardzo tym przejmować. Może uważał, że jedynym hasłem na te czasy pozostało: „Funkcjonariusze Kraju Rad, bogaćcie się”. Mimo to nie rozwiązywał komórki.

— Być może pewnego dnia będzie nam potrzebna — wyznał.

Wiosną 1988 roku Łazarienko został przeniesiony do sekcji Ameryki Łacińskiej i oficjalnie objął dyplomatyczne stanowisko w Hawanie. Otrzymał też całkiem ładną willę za miastem nieopodal słynnej plaży Varadero. Tam właśnie, któreś jesiennej

nocy złożono mu wizytę.

Wasył szykował się do snu, kiedy usłyszał zajeżdżający samochód. Wołga! — oenił bezbłędnie. Wyrzał przez okno. Dwóch mężczyzn. Pierwszego, postawnego Kreola, znał jedynie z widzenia, mignął mu podczas jakiegoś bankietu w ambasadzie czy może na korytarzu któregoś z ministerstw zajmujących się obronnością lub bezpieczeństwem. Drugi, starszy, chudy Murzyn, był zapewne jego ordynansem.

— Proszę wybaczyć niespodziewane najście, towarzyszu — rzekł Kreol, przedstawiając się jako pułkownik Carlos Saura, choć równie dobrze mógł stwierdzić, że nazywa się Paloma Picasso. — Dzwoniłem do was wczoraj...

— Tak, i o ile pamiętam, jesteśmy umówieni na jutro w południe.

— To prawda, ale wracając z poligonu, mój Mateo chcąc jechać na skróty, pomylił drogę, tak że nieoczekiwanie znalazłem się koło waszego domu. Uznałem, że nie zaszkodzi porozmawiać półprywatnie. Mam nadzieję, że nie ma tu podsłuchu.

— O czym wy mówicie, towarzyszu? W ambasadzie zajmuję się sprawami rolnictwa...

— Wiem, czym się zajmujecie, towarzyszu pułkowniku, wiem nawet i to, że niezależnie od podległości pionowi Zarządu Wywiadu macie bezpośredni kontakt z samą wierchuszką Kremla.

Łazarienko nie potwierdził ani nie zaprzeczył.

— Żeby było jasne, inicjatorem naszego jutrzejszego spotkania jest sam el Commandante, choć dzisiejsza wizyta jest wynikiem mej własnej decyzji.

Wasył skinął głową i otworzył barek.

— Nie piję, tak jak wy — podziękował Saura. — Wracając do sprawy, dlaczego przyszedłem akurat do ciebie? Obserwujemy cię od lat. Wiemy, że jesteś ideowy, nieprzekupny, lojalny. A komuś musimy zaufać. Sam doskonale wiesz, jak szybko następuje fraternizacja elit supermocarstw. Wiesz o pieniądzach, które przyjmują twoi koledzy. Często od wrogów. Nie wiesz jednak najgorszego. Dostaliśmy wczoraj raport z Waszyngtonu. Planowany jest kontrakt tysiąclecia. Kilkanaście osób z moskiewskiej góry otrzyma gigantyczną łapówkę. Dziesięć miliardów dolarów. Oczywiście w różnej formie, w gotówce, tytułach własności, wkładach bankowych, rezydencjach... W ciągu trzech lat.

— Za co to ma być łapówka? — wyrwało się Łazariencie.

— Za przekreślenie Jałty — odpowiedział spokojnie Saura. — Za zniesienie Muru Berlińskiego i zjednoczenie Niemiec, za zgodę na demokratyczne wybory w państwach Europy Środkowej i, co nas interesuje najbardziej, za przyzwolenie na kontrewolucję na Kubie. Niektórzy z waszych przywódców idą na to, ponieważ i tak nie wierzą, by można było zapanować nad nadchodzącą burzą. Niezależnie czy będzie krwawa, czy łagodna, wolą sami przeprowadzić proces demontażu i zagwarantować sobie bezpieczną, zasobną przyszłość.

— A czy nie jest to fałszywka? — spytał Wasył, nerwowo zapalając papierosa.

— Decyzje zapadły przed tygodniem w Camp David. Mamy nagraną taśmę dźwiękową z pewnej narady. Dostaniecie kopię, rozpoznacie głosy.

— Jednak, zgodzicie się, brzmi to zbyt fantastycznie. Nie wyobrażam sobie wyasygnowania takich sum przez Kongres.

— Kongres nic nie będzie wiedział o kontrakcie. Zresztą, nie wydany zostanie ani cent z kieszeni amerykańskiego podatnika.

— Więc czyje to będą pieniądze?

— Arabskie, rzecz jasna. Zrzutka objęła parę potęg finansowych z Bliskiego Wschodu.

— Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żeby muzułmanie kwapili się płacić za wolność Czechów, Węgrów i Polaków.

Saura zaśmiał się gardłowo:

— Słusznie rozumiesz. Tyle że oni płacą za coś innego. Za rozpad ZSRR. Nieuchronny w efekcie globalnego spisku. Za islamskie Zakaukazie i Azję Środkową pod opieką Allacha, za szansę dla bitnych Czeczenów i chytrych Uzbeków, za przyszłe udziały w ropie z Morza Kaspijskiego, za Bucharę i Samarkandę znów pod sztandarem Proroka.

Brzmi to tak przekonująco, że Łazarienko nie wie, co powiedzieć. A jeśli to prawda? Wewnątrz cały się gotuje („Wot skatiny, sabaki!”), ale mówi całkiem spokojnie:

— Oczywiście, przekażę informacje swoim kanałem. Jednak muszę mieć niezbite dowody.

— To zdobądź je. Wiemy, że pierwszy transfer ma dokonać się w Genewie jeszcze w tym miesiącu, nie wiemy, kto będzie reprezentował waszą stronę, natomiast wysłannikiem muzułmanów będzie prawdopodobnie książę Saleb.

— Jeśli dostanę od was tę taśmę, jeszcze jutro udam się do Moskwy i tam...

— Spokojnie. Nie możesz polecieć z tym na Kreml. Nie znamy wszystkich beneficjentów kontraktu. Ale jest paru ludzi, którym można zaufać... Którzy zrobią wszystko, aby uratować ZSRR.

— Proszę o nazwiska.

— Choćby towarzysz Borys Pugo i... Ale resztę omówimy jutro u was w biurze. Cieszę się, że mogłem poznać wasze nastawienie: Proszę nikomu nie wspominać o naszej rozmowie. Oberwałbym, gdyby się dowiedziano, że wybiegłem przed orkiestrę.

— Oczywiście. — Podają sobie ręce. W świetle reflektorów wołgi przez okamgnienie widać twarz ordynansa i jego czoło z charakterystycznym trójkątnym znamieniem. Ruszają. Wasyl siada do komputera, drogą satelitarną łączy się z bazą danych w Moskwie.

— Zaraz dowiem się trochę więcej o towarzyszu Saurze. Dowiem się, kto był na tej naradzie w Camp David i kto wybiera się do Genewy.

Machinalnie wpisuje kody, hasła, włącza szyfrator. DOSTĘP ZABRONIONY Co u diabła? — powtarza całą procedurę. DOSTĘP ZABRONIONY

Po kolejnym razie był już pokryty zimnym potem. Zadzwoił do przyjaciela z sekretariatu Gorbaczowa.

— Co się dzieje?

— Mieliśmy właśnie cię poinformować, Wasia! Trwa reorganizacja. Zlikwidowano twoją komórkę. Ale nie martw się. Stary rozmawiał z Szewardnadzem. Idziesz na konsula do Innsbrucku.

Jeszcze większy szok Łazarienko przeżyje rano, gdy z biuletynu wewnętrznego kubańskiego MSW dowie się o katastrofie na nie strzeżonym przejeździe kolejowym pod Hawaną, gdzie wskutek zderzenia wołgi z pociągiem towarowym śmierć poniósł Leonardo Ordaz, zasłużony pracownik kubańskiej dyplomacji. Ciała jego szofera jeszcze nie odnaleziono.

Łazarienko wrócił do Moskwy po tygodniu. W tym czasie nikt z Kubańczyków nie próbował się z nim skontaktować. Misja „Carlosa Saury” została zakończona z chwilą śmierci towarzysza Ordaza.

Próby przeprowadzenia bezpośredniej rozmowy z Gorbaczowem nie powiodły się. Do Borysa Pugo nie bardzo miał z czym iść. W KGB patrzono na niego dziwnie. Czuł się opuszczony i zdradzony. Kiedy po miesiącu zjawił się w Innsbrucku, był już innym człowiekiem. Wiele przemyślał. Parę razy on, abstynent, upił się do nieprzytomności. Jakże potężne siły były zainteresowane, aby nikt nie zdemaskował zdrady wszech czasów. Jeśli jednak nie zlikwidowano go, to znaczy, że przeciwnik nie ma pojęcia, iż „Saura” go wtajemniczył. A jeśli... Jeśli nikt już nie chce bronić

idei, to dlaczego on ma być Ostatnim Mohikaninem Komunizmu... Zawsze głupim, zawsze biednym.

Podczas narciarskiego zjazdu z Hafelekar zainscenizował upadek. Zaufany lekarz, który dziwnym trafem zmarł parę tygodni później na serce, nałożył mu gips na zupełnie zdrową nogę. A Łazarienko wraz z pewną sympatyczną Austriaczką imieniem Truda zaszył się w wynajętym pensjonacie. Odpoczywał tam z dala od zgiełku i wracał do zdrowia.

Służby graniczne Austrii i Szwajcarii nie zwróciły uwagi na volkswagen panny Trudy Beuerhof, który w ciągu trzech dni przemierzył ponad tysiąc kilometrów na trasie Innsbruck–Genewa, Genewa–Innsbruck. Tym bardziej nikt nie powiązał tych przejazdów ze śmiercią, jaką w męskiej toalecie na terenie należącym do Organizacji Narodów Zjednoczonych ponieśli dyplomata Zjednoczonych Emiratów Arabskich, księżę Muhammad Saled i pracownik misji radzieckiej Iwan Furmanow.

Obie ofiary zginęły od ciosów zadanych czymś ostrym w samo serce. Gdyby nie fakt, że nie odnaleziono narzędzia zbrodni, można by przypuszczać, że w sprzeczce pozabijali się nawzajem. Zaginęły również nesesery obu dyplomatów. A podobno były duże i ciężkie. Wkrótce po tych wydarzeniach Wasyl Łazarienko rozstał się ze służbą dyplomatyczną. Rozpoczął wraz ze swoją austriacką żoną intensywną działalność gospodarczą. Mówiono, że wraz z innymi byłymi funkcjonariuszami wywiadu i kontrwywiadu zbudował prawdziwą potęgę finansową.

W ciągu następnych trzech lat rozpad bloku komunistycznego potwierdził istnienie kontraktu tysiąclecia. Z jednym wyjątkiem — Kuby. Czyżby pieniądze, które Wasyl ukradł spiskowcom, miały właśnie posłużyć temu celowi? I teraz ich zabrakło. A może Fidel po śmierci „Saury” za pomocą swoich przyjaciół w ZSRR zagroził kremlowskiemu notabłom ujawnieniem ich „kontraktu” na forum światowym i w ten sposób ocalił komunistyczną Kubę?

Ale kto znał całą prawdę? Sędziwy Fidel? Parę osób w Moskwie?

Znamienne, że po klęsce komunistycznego puczu w 1991 roku popełnił samobójstwo jeden z jego przywódców, Borys Pugo. Istnieją domniemania, że Pugo, uchodzący za jednego z najlepiej poinformowanych ludzi na świecie, nie dokonał tego kroku sam. Ale oficjalnie nic nie wiadomo. W każdym razie Łazarienki tego dnia w Moskwie nie było.

*

Przyczyną, która spowodowała upadek moralny Patricka Prescottta, była żądza sławy, pierwszym krokiem do piekła Bo Syn Wuna — ciekawość, duszę Gilberta Seguina zgubiło pożądanie, a Wasyla Łazarienkę — pieniądze. Pokusa, której nie oparł się Harry Meyerhold, zwała się jeszcze inaczej: władza!

W połowie lat osiemdziesiątych cała południowoschodnia Ameryka pasjonowała się sprawą seryjnego mordercy, zwanego „Rozpruwaczem z Tampy”. To właśnie w Tampie, mieście położonym nad Zatoką Meksykańską, dokonał pierwszej zbrodni, tam też został aresztowany, osądzony i wreszcie zamordowany przez współwięźniów. Inna sprawa, że zabójstw dokonywał również poza Florydą, w Alabamie, Georgii, a nawet w Luizjanie. Ofiarami padały młode kobiety, przeważnie prostytutki, choć w Miami śmierć poniosła znana modelka, a w Orlando żona wpływowego kongresmena. Przez ponad dwa lata poszukiwania dreptały w miejscu, aż do momentu, kiedy w śledztwo włączył się zastępca prokuratora okręgowego, Harry Meyerhold.

Harry przeżywał wówczas bardzo trudny okres życiowy. Zrujnowany rozwodem z żoną, tkwił na stanowisku, które uważał za podrzędne i w żadnym stopniu nie

odpowiadające jego talentom. Nie dziw, że sprawę „Rozpruwacza z Tampy” potraktował jako życiową szansę. Wiedział, że nie może jej zmarnować. Tymczasem tradycyjne metody śledztwa zawodziły. Kobiety znikwały w najróżniejszych miejscach, przeważnie na parkingach, stacjach metra lub dworcach autobusowych. Ich okaleczone ciała, jeśli nie stały się karmą dla ryb, znajdowano zazwyczaj w przybrzeżnych wodach Zatoki Meksykańskiej w stanie uniemożliwiającym badanie mikrośladów lub choćby stwierdzenie, czy przed śmiercią zostały zgwałcone. Meyerhold postanowił zająć się sprawą od drugiej strony. Przy pomocy specjalistów stworzył psychologiczny portret mordercy, opracował też kilka wariantowych teorii dotyczących powodów jego postępowania.

Odtworzył modelowy mechanizm zbrodni. Zbrodniarz czatował na swe ofiary w pobliżu miejsc uczęszczanych. Biorąc pod uwagę rozrzut typów fizycznych i zróżnicowanie wiekowe mordowanych kobiet, nie chodziło mu chyba o jakąś konkretną zdobycz, ale raczej o szybkie zaspokojenie morderczego instynktu. Musiał być przy tym niezłe obeznany z elektroniką, ponieważ nigdy jego napaść nie została zarejestrowana przez żadną z kamer działających na parkingach. Musiał też mieć samochód, którym przewoził ofiary do jakiejś kryjówki. Charakterystyczne też było, że nawet kiedy ofiara pochodziła z Atlanty, Memphis czy Miami, wyławiano ją z morza w promieniu stu mil od St. Petersburga. Musiały zatem być transportowane nieraz po kilkaset mil. To sugerowałoby posługiwanie się jakimś samochodem dostawczym o zakrytym nadwoziu. Z zeznań setek świadków wynikało, że co najmniej w kilkunastu wypadkach w rejonie porwania krążyły lub parkowały wozy dostawcze. Z tym że za każdym razem: inne. Meyerhold porównał ich dane z wykazem skradzionych furgonetek. Nie pasowało. Jedyne wnioski, który się nasuwał, brzmiał — mamy do czynienia z mężczyzną, prawdopodobnie rasy białej (większość ofiar stanowiły kobiety białe i trudno sobie wyobrazić, że w ciemnym parkingu nawiązałyby dialog z osobnikiem kolorowym), bardzo sprawnym fizycznie, nadto obeznany z technikami prowadzenia śledztwa.

Niewiele, ale gdyby dopasować do tych danych odpowiedniego człowieka...

I człowiek się znalazł. Czterdziestodwuletni Ron Murdoch, wdowiec zamieszkały w Clearwater pomiędzy Tampą a St. Petersburgiem, były gliniarz. Wywalony z policji przed dziesięcioma laty za molestowanie nieletniej prostytutki. Co ważniejsze, Murdoch wraz ze współnikiem, niejakim Larrym Hagmanem, prowadzili sprzedaż używanych samochodów dostawczych...

— Bingo! — zawołał Meyerhold, kiedy nazwisko Murdocha znalazło się na pierwszym miejscu wyplutego przez komputer wydruku.

Niestety, nie miał żadnych dowodów. Nie miał nawet podstaw, żeby podejrzanego oficjalnie przesłuchać, nie mówiąc już o przeszukaniu mieszkania. Owszem, po zbadaniu jednego z samochodów, sprzedanych trzy miesiące wcześniej przez Murdocha pewnemu przedsiębiorcy z Sarasoty, znaleziono wewnątrz damski włos należący do ofiary, która zaginęła równo trzy miesiące temu, ale nie sposób było ustalić, czy przewożono ją tym transitem przed jego sprzedaniem, czy po. Co gorsza, na dzień najbardziej spektakularnego przestępstwa, porwania pani kongresmenowej, Murdoch miał stuprocentowe alibi — przebywał w Miami w studio wśród publiczności, oglądającej prowadzony na żywo talk-show „Nasze sprawy, wasze pieniądze”. Także inwigilacja Murdocha nie dawała rezultatu. Najwyraźniej zwietrzył, że jest śledzony. Inna sprawa, że zbrodnie również ustały. Zwierzchnicy Meyerholda byli wściekli i tracili cierpliwość. Zastępca prokuratora czuł, że sprawa wymyka mu się z rąk.

I nagle objawił się tajemniczy informator. Po prostu pewnego wieczoru zadzwonił do Harry’ego i rzucił krótko: „Jeśli interesujecie się «Rozpruwaczem», radzę

zainteresować się szopą w Tarpon Springs opodal krzyżówki Fox Hill z Oak Street”.

Meyerhold, pognawszy niezwłocznie na miejsce, znalazł barak otoczony zaskakująco solidnym płotem, niestety towarzyszący mu glina Fred Gray odmówił kategorię wejścia bez nakazu. Dodzwonienie się do sędziego i uzyskanie od ręki stosownego dokumentu okazało się niemożliwe. Gray radził powrócić rano. Tymczasem na sekretarce w domu wiceprokuratora czekała wiadomość: „O ósmej szopa spłonie”.

Harry tym razem wrócił do Tarpon Springs sam, zabrał ze sobą broń, wyłamał drzwi. W szopie, oprócz mnóstwa sprzętu motoryzacyjnego, znalazł klapę w podłodze. Po jej podniesieniu zszedł na dół drewnianymi schodkami i otworzył wytrychem masywne drzwi. Pomieszczenie przypominało skarbiec i magazyn równocześnie; odkrył tam komplet ubrań i torebek ofiar, stół pokryty dermą z uprzężą mocującą dla rąk i nóg. Niewątpliwie to tutaj musiano dokonywać zabójstw, w szafkach znalazły się zapasy eteru, komplety peruk, sztucznych nosów, przybory do charakteryzacji, tablice rejestracyjne... Zachwycony własnym sukcesem, krążył po tym sanktuarium zbrodni, kiedy nagle doszedł do niego cichy huk, a potem poczuł dym. Ktoś zdalnie uruchomił detonatory, najprawdopodobniej przygotowane na taką okazję. Po chwili wszystko stanęło w ogniu. Harry jakimś cudem dopadł płonących schodów i wydostał się na zewnątrz. Wybiegając z szopy, zobaczył jeszcze kątem oka dwa wielkie baniaki z olejem napędowym ogarnięte płomieniami. Eksplozje słychać było w promieniu kilku mil. Meyerhold szybko opuścił miejsce zdarzenia. Był tu przecież nielegalnie. Jego zeznania nie mogły być brane pod uwagę, podobnie jak dowody obciążające Murdocha: torebka, dwie sukienki, stanik którejś z ofiar. Instynktownie schwycił je, uciekając z płonącej kryjówki.

W tej sytuacji nakaz otrzymany od sędziego był niczym musztarda po obiedzie. Podziemia szopy wypaliły się do cna, nie pozostał żaden z dowodów, nie mówiąc o odciskach palców. Właściciel szopy zeznał, że wynajął ją telefonicznie, co miesiąc otrzymywał przekazy na konto, ale nie znał osobiście kontrahenta, podane nazwisko zaś okazało się fałszywe. Samochodowe części leżały tam od pięciu lat i zostawił je poprzedni wynajmujący.

Meyerhold gryzł palce ze wściekłości. Gdybyż jeszcze Murdoch nie miał alibi na ów krytyczny wieczór 14 maja! Znow zadzwonił tajemniczy informator. „Radzę zainteresować się agencją wynajmu aktorów w Miami, a szczególnie Bobem Hawkinsem”.

Bob Hawkins należał do gatunku nieudaczników, którzy brak sukcesów zawodowych zwykli dość często topić w alkoholu. Już na pierwszy rzut wydał się bardzo podobny do Murdocha. Gdyby tylko przykryć peruką łysę zakola, dodać wąsik i charakterystyczną brodawkę... Niestety, szedł w zaparte. Nie pamiętał, co robił 14 maja, nie znał Murdocha, a już na pewno nigdy nie zeznawałby w sądzie. Jednak po półgodzinie nalegań i nacisków nagle zmienił front.

— A ile mógłbym za to dostać?

— Do pięciu lat za współpracę z mordercą.

— Nie rozumiemy się, kolego, ile dostałbym za rolę koronnego świadka? Moja stawka to pięćset dziennie.

Zaprzysiężone zeznanie Boba Hawkinsa, że w dniu 14 maja ucharakteryzowany na Rona Murdocha przebywał w studiu telewizyjnym, stało się podstawą aresztowania byłego gliny. Niestety, rewizja w mieszkaniu Rona nie przyniosła spodziewanych rezultatów. Żadnych obciążających dowodów. Murdoch zaprzeczał wszystkiemu, a widząc Meyerholda, śmiał mu się w żywe oczy.

— Jeśli chce się kogoś zrobić, trzeba to czynić umiejętnie. Musicie mnie zwolnić. Ten aktorzyna kłamie!

Czas gonił Meyerholda. Był w stu procentach przekonany o winie Murdocha. Elementarne poczucie sprawiedliwości, nie mówiąc już o osobistej karierze Harry'ego, wymagało, aby „Rozpruwacz z Tamy” został skazany. I dlatego podczas kolejnego przeszukiwania mieszkania podejrzanego bardzo się ucieszył, gdy inspektor Gray wydłubał ze szpary w podłodze mały, płaski klucz, najwyraźniej przegapiony podczas poprzednich rewizji.

Kluczyk pasował do skrytki na dworcu Greyhounda. Znalaziono w niej sukienki dwóch ofiar, stanik trzeciej i torebkę należącą do czwartej. Była tam również mapa drogowa stanu Floryda z odciskami palców Murdocha.

— To zostało podrzucone, ten prokurator mnie wrabia. Jestem niewinny! — ryczał na sali sądowej Murdoch, nie robiąc jednak większego wrażenia na ławie przysięgłych. O jego winie przekonani byli wszyscy. Prasa, rodziny ofiar, policja.

W przeddzień finału, którym miały być końcowe przemówienia stron, odwiedził Meyerholda jego szef, Ben Roller. Jego twarz wskazywała głębokie zdenerwowanie.

— W co ty nas wpakowałeś, Harry? — powiedział.

— Nie rozumiem — wiceprokurator zastygł z ręką wyciągniętą w stronę butelki whisky.

— Sreparowałeś ten proces. Od początku do końca. Dziś dostałem przekonujący dowód.

— Nie rozumiem, o czym mówisz — prawnik usiłował nieudolnie nadać swemu głosowi niefrasobliwy ton.

— Podejrzałem, że mogłeś być w tej szopie przed otrzymaniem nakazu. Gotów byłbym nawet to zrozumieć. Jednak podrzucenie dowodów rzeczowych...

Przekupienie świadka Hawkinsa...

— Pomogłem jedynie mu się zdecydować w wyznaniu prawdy.

— A jeśli to nie jest prawda, jeśli ktoś inny zabił żonę kongresmena, podszywając się pod zabójcę?

— Ale kto?

— Rozmawiałem z pewną dziwką z Orlando, u której stale bywał pan kongresmen. Przed sądem wyprze się wszystkiego, ale powiedziała mi w zaufaniu, że wówczas, w nocy z 14 na 15 kongresmena u niej nie było. Za to pożyczył od niej samochód. Wrócił rano, ilość przebytych mil i odpowiada z grubsza dystansowi od Orlando do St. Petersburga i z powrotem. W bagażniku znalazła ślady krwi i tampon pachnący eterem.

— Cholera! — zaklął Meyerhold. — Może rzeczywiście ten cwany polityk pozbył się żony na konto „Rozpruwacza”, jednak to nie zmienia faktu, że Murdoch...

— Nie mamy żadnych prawdziwych dowodów przeciw Murdochowi.

— Ale mój informator, jego dane potwierdzały się.

— Któż nim jest?

— Nie wiem.

— Ale ja wiem. — Prokurator rzucił na stolik wydruk telefoniczny. — To dostałem dzisiaj. Trzy rozmowy do ciebie z komórki Larry'ego Hagmana...

— Wspólnika Murdocha?

— Zapewne wiesz, że przed laty siedział za gwałt. Był niżej na twojej liście podejrzanych, bo ma żonę i dzieci, jest Mulatem, a jego iloraz inteligencji jest dość niski.

— Mój Boże...

— W dodatku Hagman zniknął. Pracownik jego warsztatu... Zaraz... mam gdzieś zapisane jego personalia... O, jest, Mike Perry, twierdzi, że Larry nie pojawia się już od dwóch dni. Może znów zaczyna zabijać?

Meyerhold był kompletnie zdruzgotany. Wypił duszkiem szklanek trunku.

— I co? I co ja mam teraz zrobić?

— Na twoim miejscu palnąłbym sobie w łeb — stwierdził szef. — Jesteś skończony. Ja pewnie też. Nie zawiadomiłem dotąd policji i wszystkie dokumenty mam ze sobą. Postanowiłem dać ci szansę wyjścia z twarzą. Podaj się do dymisji. Ujawnij prawdę. Albo... jeśli brak ci odwagi, opisz wszystko i uciekaj. Masz czas do jutra rano. — Ruszył ku drzwiom, nie podając swojemu zastępcy ręki. Harry nie wiedział, co powiedzieć.

— Przykro mi, Ben.

Ponad godzinę bił się z myślami. Pił, krążył po domu. Płakał. Spisał zeznanie, przeładował broń... Potem zmienił decyzję, chciał zarezerwować lot do Meksyku.

O drugiej w nocy zadzwonił do niego inspektor Fred Gray.

— To straszne, ale muszę cię zawiadomić pierwszego, Harry... — Uderzenie adrenaliny przypominało podmuch eksplozji, wiceprokurator wyciągnął rękę po broń, chciał jednak przedtem wysłuchać gliniarza. — To straszne, taki wspaniały człowiek, taki przyszłościowy...

— Zaraz, o kim mówisz?

— O twoim szefie, Benie Rollerze. Stoję właśnie nad jego samochodem, a właściwie nad tym, co pozostało z niego i z prokuratora po skożółkowaniu z wiaduktu na Siedemdziesiątce Piątce.

Kwadrans później telefon zadzwonił jeszcze raz.

— Jak tam samopoczucie przed wielkim finałem?

— Hagman?

— Bez nazwisk. Chciałem tylko powiedzieć, że nigdy już o mnie nie usłyszysz, Harry, żadnych nowych kłopotów z „Rozpruwaczem”. Czeka cię piękna kariera. Nawet nie podejrzewasz, jak piękna, Harry!

Mike Perry vel Matthew Harding odłożył słuchawkę. Stał w budce opodal budującego się wieżowca, kwadrans temu świeży cement zalał doczesne szczątki Larry’ego Hagmana. Zasłużył sobie na to. Może dopiero w piekle zainteresowani dowiedzą się, że „Rozpruwaczem z Tamy” byli obaj wypróbowani współnicy — Ron i Larry. „Ale po co zapewniać Meyerholdowi taki komfort psychiczny. Nie sztuką jest oskarżać kogoś, którego wina jest pewna, więcej kunsztu wymaga rozprawa nad kimś, kto w naszym przekonaniu jest niewinny. Za rogiem czeka taksówka. Samolot na Jamajkę odlatuje o świcie.

Błyskotliwe udowodnienie Murdochowi winy i płynne przejście stanowiska prokuratora okręgowego były pierwszym stopniem kariery Meyerholda. Wejście do stanowej legislatury i na waszyngtońskie salony ułatwił mu układ z wpływowym kongresmenem z Orlando. Harry dał mu do zrozumienia, że doskonale wie, kto zabił jego żonę, a kongresmen równie dobrze rozumiał, że za dyskrecję trzeba płacić. Stanowili więc obaj materiał na doskonałych współników.

*

Trzykroć cofał się, zanim wreszcie klęknął w konfesjonale. Przez kratkę dostrzegł niewyraźną sylwetkę spowiednika. Penitent chrząknął, kompletnie zaschło mu w gardle. Rozejrzał się jeszcze raz po kościele. Panowała w nim pustka, cisza, łagodny półmrok i chłód tak miły w porównaniu z panującym na zewnątrz żarem karaibskiego popołudnia. Zachręściło krzesło. Spowiednik wyraźnie niecierpliwił się. Filip przeżegnał się.

— Niech będzie pochwalony... — zaczął.

— ...na wieki wieków.

I znów nicość w głowie i strach.

— Otwórz serce, mój synu — głos niemłodego już spowiednika brzmiał łagodnie, spokojnie, wyrozumiale.

— Wiem, wiem, tylko to takie trudne... Widzi ojciec, ja też jestem księdzem.

— Zatem powinienem mówić ci: bracie.

— Nie wiem, czy można uznać mnie za brata... Jestem w rozpacz. Ciężkie grzechy ciążyą na mnie. Nie wiem, czy mam jeszcze prawo uważać się za księdza.

— Przekaż mi swój krzyż, poniesiemy go wspólnie.

— Muszę opowiedzieć od początku. Pochodzę z Afryki.

Jak ja, synu, podobno cała ludzkość pochodzi z tego ładu.

— Urodziłem się w 1957 roku w Biafrze, owym najniezwyklejszym skrawku Nigerii. Podczas wojny domowej straciłem całą rodzinę i będąc na skraju śmierci głodowej, uratowałem się dzięki misjonarzom. Ewakuowany razem z nimi, znalazłem drugi dom w sierocińcu przy klasztorze w San Juan na Puerto Rico. Byłem półanalfabetą, ale podobno bardzo zdolnym, tam nauczyłem się kochać Boga. Ojcowie zachwycali się moją wiarą. Imponowało mi bycie prymusem. Być najlepszym to jak nie być sierotą... Ale przecież to przejaw pychy.

— Miałeś prawo być ambitnym.

— Ta ambicja poprowadziła mnie dalej, postanowiłem zostać księdzem. Ale nie potrafię powiedzieć, czy było to powołanie, czy chęć społecznego awansu, marzenie o kierowaniu ludźmi...

— Nie są to ciężkie grzechy.

— Kłopoty zaczęły się w seminarium. Tam uświadomiłem sobie, dlaczego mam mniejsze problemy niż inni uczniowie, których tak wiele kosztowało wyrzeczenie się wdzięków kobiecych. Kobiety mnie nie pociągały.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Na drugim roku zapłonąłem grzeszną miłością do kleroimena imieniem Epifanio. I on nie był mi obojętny. Razem nocą wybraliśmy się na plażę... Kiedy przyszło opamiętanie, wyznałem grzech rektorowi, przyjąłem pokutę. Rozdzielono nas. Jednak smak zatrutego owocu nie przestał mnie prześladować. Walczyłem z pokusami dziesięć lat. Najpierw na Puerto Rico, potem tu, na Jamajce. Przeważnie wychodziłem z tego zwycięsko, a kiedy nawet upadałem, natychmiast wyznawałem swój grzech podczas spowiedzi, obiecywałem poprawę i dostawałem rozgrzeszenie.

— Błądzenie jest rzeczą ludzką, jeśli serce masz otwarte i walczysz z grzechem...

— Tylko gdzie jest granica? Do wczoraj myślałem, że uda mi się zwyciężyć...

— A cóż takiego stało się wczoraj?

— Tydzień temu zaproszono mnie i kilku innych wybijających się wikariuszów na spotkanie do księdza arcybiskupa, byli tam liczni goście z Europy. Zostałem poinformowany, że zwolniło się probostwo na północy kraju, które mogę objąć. Zaraz potem zabrał głos dostojny gość z Niemiec i wspomniał, że w związku z wielką kampanią na rzecz Nowej Ewangelizacji powołana została komisja wyławiająca talenty ze studia w Akademii Papieskiej w Rzymie.

— To rozumiałe w związku z rozpaczliwym spadkiem liczby powołań w krajach wysoko rozwiniętych. Rozumiem, że zaproponowano ci...

— Stałem przed tą komisją. Jakież zdumienie wywołał fakt, że wśród kandydatów dostrzegłem mego kolegę Epifana, przybyłego z Dominikany. Przesłuchanie poszło mi dobrze, ale nie za dobrze. Stawką było bowiem nie tylko skierowanie, ale również wysokie stypendium. Wieczorem na nabożeństwie spotkałem się z jednym z egzaminatorów, owym znakomitym teologiem z Niemiec. Powiedział, że w mojej sprawie decyzja jeszcze nie zapadła. Że chciałby mnie bliżej poznać. Zaprosił mnie do pokoju. Było upalnie. Zaproponował relaksujący prysznic, a

potem...

— Mów!

— Kurt powiedział, że wyglądam jak młody bóg, że od pierwszej chwili, gdy mnie zobaczył...

— I co zrobiłeś?

— Uciekłem. Przeraziłem się, że dowiedziano się o moich skłonnościach i że był to zaplanowany sprawdzian. Rano zorientowałem się, że nie ma mnie na liście zakwalifikowanych. Był natomiast Epifanio. Mimo że byłem mocno podłamany, pogratulowałem mu serdecznie i razem poszliśmy na wino... W pewnej chwili rozgadał się i powiedział wprost, że przed dwoma dniami spotkał się z księdzem Kurtem. Egzaminator był bardzo romantycznie usposobiony. Powiedział, że szuka przyjaźni, że bardzo chętnie zabrałby go ze sobą do Rzymu. Zacząłem krzyczeć i ku zdumieniu gości winiarni, okładać Epifania piętami. Uciekł. Długo nie wiedziałem, co począć? Prosić o posłuchanie arcybiskupa czy... Przyszedłem tutaj.

— I słusznie. Co chcesz zrobić?

— Powinienem zawiadomić arcybiskupa.

— I oskarżyć europejskiego dostojnika.

— Mam milczeć wobec oczywistej niesprawiedliwości, wobec grzechu?

— Jest i trzecia opcja.

— Wiem. I już grzeszę w myśli, kiedy ją rozważam. Zwrócić się do Kurta. Przystać na jego propozycję. Bo jestem nie tylko zdolniejszy niż Epifanio, ale przystojniejszy. Ale przecież nie mogę tego zrobić! Nie wybiorę takiej kariery, wiem, że byłoby to podważeniem istoty posługi Bożej.

— Pięknie! Tedy pozostaniesz tu już do końca swej ziemskiej egzystencji. Nie liczysz chyba, że taka okazja się powtórzy?

— Nie. Jednak wiem, że kiedy raz upadnę i to nie z porywu namiętności, a chłodnej kalkulacji, nie będzie dla mnie odwrotu.

— Tak myślisz?

— A czy mogę myśleć inaczej, mam przecież do wyboru: zbawienie albo wieczyste potępienie.

— Czemu więc szukasz pomocy u spowiednika? Jeśli jesteś pewien, po cóż ci moje potwierdzenie? A może chcesz spojrzeć na problem inaczej! Jeśli we wszystkim jest jakiś wyższy zamysł, to czy nie ma go także w twojej skłonności? Mówisz: potępienie. Ale czy jesteś go pewien? Stary Zakon potępia wszelką miłość pozamałżeńską, ale czy przekaz o Sodomie i Gomorze należy traktować dosłownie? Zaś w nauce Chrystusa, zastanówmy się nad jej istotą, nakazane jest płodzenie dzieci. Czy zatem już sam stan kapłański to nie anomalia? Czyż zatem nie powinna mu towarzyszyć pewna dyspensa dla ułomności ludzkich, które wszak też od Stwórcy pochodzą? Zresztą, czyż męska miłość to cudzołóstwo? Nie tworzy nowego życia, nie towarzyszy jej zdrada.

— Poza zdradą Boga! Ojczy, ty nie przemawiasz jak kapłan.

— A może wyrażam tylko to, co od wczoraj szepce ci do ucha twoje drugie ja. Jeśli przeznaczenie daje ci klucz do poszerzenia przyrodzonych zdolności, do rozwinięcia swych talentów, nawet za cenę grzechu, to czy masz prawo ten klucz odrzucić? Zwłaszcza jeśli grzech ten tak naprawdę nikomu nie wyrządza krzywdy, a przeciwnie, daje chwilę zapomnienia...

— Nie to chciałem usłyszeć! — Filip Wonder poderwał się z kłęczek.

— Właśnie to. I mówię ci, Filipie, przeznaczona ci jest wielkość, jakiej nie znał świat, albowiem będziesz większy od wielkich.

— Kim ty jesteś? — Nagłym szarpnięciem otworzył drzwiczki konfesjonau. W środku zobaczył starszawego: Murzyna w stule przewróconej na lewą stronę.

— Idź i zwyciężaj, ja cię rozgrzeszam — powiedział Matthew Harding, wykonując znak krzyża w odwrotnej kolejności. — Gdy przyjdzie twój czas, Filipie, spotkamy się w Rzymie.

Gdy tego wieczoru zdecydował się przyjąć ofertę Kurta, usprawiedliwiał się sam przed sobą, że jest to małe zło dla dobrej sprawy. Nigdy jednak nie znalazł w sobie dość, siły, aby wyznać ten grzech podczas setek późniejszych spowiedzi. Żył więc życiem podwójnym, bo choć publicznie niezmordowanie służył Panu, w jego mózgu ogromniał grzech kłamstwa. Z biegiem lat pełnych sukcesów i awansów przywykł do myśli, że jego krokami kieruje Szatan, ale był przekonany, że ten zawsze będzie troszczyć się o swego sługę. Wierzył w to tak mocno, że z czasem zgłębiać począł księgi demonologiczne, by lepiej poznać naturę Złego i z czasem zacząć się do niego modlić.

14.

Wiara czyni cuda, ale jedynie w czynie społecznym.

Macieja Pawlika męczył potworny kac. Niewiele pamiętał z minionej nocy. Przed południem wstawał parę razy napić się wody i padał z powrotem na tapczan, spać dalej. Dręczyły go koszmary, przeplatane wspomnieniem twarzy cudownej dziewczyny, która go oszukała. Która chciała go wykorzystać, wydrzeć jego tajemnice, jego strach. Nie dając nic w zamian.

Dopiero późnym popołudniem oprzytomniał na tyle, żeby zaparzyć sobie kawy. Rozważał, na ile panna Reger może mu zaszkodzić. A gdyby tak poleciała do Głownoga i zdradziła „technologię” Maćkowego wygrywania... Pawlik potrafił sporo, ale przecież nie był wszechmocny. Dobraliby się do niego, do jego rodziny...

Wracając z kuchni, potknął się.

Na równej drodze, co jest...

Na podłodze leżała torebka Amandy. Podniósł ją i wysypał zawartość na stolik. Paszport, kanadyjskie prawo jazdy, dwa zestawy kluczy, kosmetyki, zwitek banknotów, chusteczka, jakaś kartka, a na niej sześć obco brzmiących nazwisk i siódme podkreślone. Jego. Nic więcej. Co jest grane, kurczę blade?!

Wiedział już, co robi. Amanda wspomniała, że nie działa sama, musiała mieć jakiegoś faceta. Odnajdzie go, wejdzie w jego jaźń i w rozmowie z dziewczyną wyciągnie z niej całą prawdę.

Tymczasem około ósmej nieoczekiwanie zabrzmiał dzwonek. Chłopak zeszywniał.

Przyszli po mnie? Spokojnie, Maciuś, nie jesteś już piętnastolatkiem. Masz to przerobione! Nic ci nie zrób: Są za chudzi w uszach! .

Wyjrzał przez wizjer. Na klatce pod drzwiami stała jakaś nieznajoma starucha. Mógł udać, że go nie ma. Zwyciężyła ciekawość.

Kobieta przedstawiła się jako Regina Mirska. Chyba mówiła prawdę. Wyglądała dobroduszenie, choć oczywiście wrażenie mogło być mylące.

— Czy ja panią mogłem gdzieś poznać? — zapytał.

— Nie przypuszczam, za to ja znam pana, panie Macieju. Nawet dość dobrze. Ale, ale... Wpadłam po torebkę Amandy. Zdaje się, że gdzieś tu ją zostawiła...

— Jest pani jej krewną?

— Powiedzmy, przyszywaną ciotką.

— Ale skąd mnie pani może znać, i to dobrze? Z jej opowieści? Skarżyła się na mnie z powodu tego ostatnie wieczora?

— Znam cię z dużo wcześniejszej epoki. Z Tężyna, z sądu... Z tego drewnianego kościółka księdza Tomasza.

Pawlik blednie.

— Czego pani chce ode mnie? — woła histerycznie, — Pieniądzy?

— Porozmawiajmy. Są sprawy, które warto wyjaśnić.

— Nie ma o czym rozmawiać. Pani nic nie wie. A ksiądz nie żyje.

— Jednak ten miły proboszcz opowiedział mi sporo. O twoim dzieciństwie, o mocy, którą u ciebie wykrył, o jej postępkach...

— Niemożliwe, żeby przekazał to komukolwiek, mówiłem mu takie rzeczy tylko podczas spowiedzi.

— Tajemnica spowiedzi nie obowiązuje za grobem.

— Czyżby wywołała pani jego ducha podczas seansu spirytystycznego?

Starsza pani przypomina sobie ostatnią podróż na Tamtą Stronę z Anną, kiedy obie szukały sojusznika w rozgrywce ze Złem i poczuła nagłą wilgoć pod powiekami.

— Posłużyłam się inną metodą. Było to możliwe, ponieważ ksiądz należy do tych zmarłych, którym trudno jest zaznać spokoju. Rozmawiałam z nim dokładnie w rocznicę jego śmierci, w rocznicę dnia, kiedy go zabiłeś.

Z ust chłopaka wydobywa się jęk.

— Ja nie chciałem, ja...

— Wiem, to miał być kawał i ostrzeżenie. Zabita wrona na drucie zawieszona nad ołtarzem. Ale czy na pewno twoim celem był jedynie głupi żart? Czy naprawdę nie chciałeś, żeby ksiądz umarł, zwłaszcza po tej rozmowie telefonicznej, w której dał ci do zrozumienia, że zna twoją rolę w procesie, a potem śmierci Zenona Pawlika.

Maciek błędnie jeszcze bardziej.

— To wszystko nie tak, pani nie może tego zrozumieć. Gdyby pani przeżyła to, co ja...

*

Ośrodek opiekuńczo-wychowawczy w Tężynie nie cieszył się najlepszą renomą. Prawdę powiedziawszy, miał opinię jednoznacznie złą. Ogromna liczba jego pensjonariuszy wchodziła w konflikt z prawem na długo przed osiągnięciem dojrzałości. Nic więc dziwnego, że dla wielu okolicznych mieszkańców ośrodek, zlokalizowany w budynku z czerwonej cegły, uważany był za normalny zakład przygotowawczy do kryminału, a matki straszyły nim swe niesforne pociechy: „Jak nie będziesz grzeczny, pójdziesz do Tężyna”.

Szczególnie ciężki los czekał tam nowych pensjonariuszy, zwłaszcza jeśli nie dysponowali tak przekonującymi argumentami, jak masa ciała czy siła pięści. W pierwszych tygodniach przechodzili gehennę porównywalną z losem „kotów” w wojsku. Mięczakom udawało się tam przetrwać tylko wtedy, gdy znajdowali opiekunów albo wpadli w oko panu od fizyki, który dwójkowiczów chętnie zapraszał do siebie na konsultacje, częstował ich piwem i pokazywał filmy na wideo.

Rafał powiesił się 23 maja. Wytrzymał trzy miesiące. Maciek jest w sierocińcu dopiero miesiąc. Ale i tak od miesiąca umiera ze strachu.

Dziwny jest ten Maciek. Nikomu nie zawadza, ale i też nikt go nie lubi. Nie jest nawet w typie pana od fizyki. Z braku miejsca w sypialniach czternastolatków umieszczono go w sali przeznaczonej dla młodszych chłopców.

Tam na razie nikt go nie prześladowa. Po śmierci Rafała zwolniło się jednak miejsce w średniej grupie. Maciek; uprosił wychowawcę, żeby nie przenosić go do końca tygodnia. Ale jutro, w poniedziałek... Czuje się, jak chrabąszcz uwięziony w słoiku. Na przemian falują w nim dojmujące uczucia samotności i beznadziei. Właściwie jaki długo żyje, przeplatały się one w nim zawsze, czasami przygasając, jak wówczas, gdy odwiedzał babcię na wsi, ale bardzo prędko powracały ze wzmożoną siłą.

Lęk miał wiele twarzy. Najstraszniejsza nazywała się ojciec, chociaż — prawdę powiedziawszy — Zenon Pawlik nie był jego ojcem. Nie mógł nim być. Kiedy urodził się Maciek, stary recydywista odsiadywał paroletni wyrok: w Strzelcach Opolskich. Któż zatem mógł go spłodzić?! Matka nigdy nie chciała mówić na ten temat. Kiedyś zaklinała się, że nigdy nie zdradziła męża. Innym razem podczas dzikiej awantury wyznała, że nie pamięta, jak: doszło do poczęcia. Zabłądziła w lesie, straciła przytomność, luka w pamięci obejmowała trzy dni. Maciek lubił czasem wypełniać tę

lukę własnymi konfabulacjami. Raz wyobrażał sobie rodziciela jako gwiazdora filmowego lub dyplomatę *incognito*, kiedy indziej przybysza z obcej planety lub podróżnika w czasie.

Zenon Pawlik miał prostsze wytłumaczenie dla tego fenomenu: „Puściła się suka i tyle!”

Wraz z jego wyjściem z mamra do domu powróciło piekło. Była regułą, że w przerwach między odsiadkami stary pił, awanturował się, wyciągał z matki ostatni grosz i znęcał się nad synem–niesynem. O ile go dopadł. Maciek bowiem do perfekcji opanował metodę ucieczki — wyczuwał zawczasu zbliżanie się niebezpieczeństwa i wtedy zniknął. Schronieniem bywał gołębnik, mały schowek pod schodami albo kurnik pod werandą. Zasywał się tam i kamieniał na długie godziny, zanim pijaka nie zmorzył sen lub kolesie nie wyciągnęli go z domu.

Jednocześnie chłopiec uwielbiał marzyć na jawie. W czasie kiedy jego skamieniała cielesna powłoka upodabniała się do szarego tobołka bądź wtapiała w mrok drewnianej skrzynki, myśl opuszczała ciało i żeglowała swobodnie poza nim. Dzięki rozbudowanej wyobraźni potrafił wyobrazić sobie piękne ogrody, nieznanne lądy, ale również całkiem zwykłe miejsca. Miał jedenaście lat, kiedy pewnego razu, tkwiąc w kurniku, wyobraził sobie, że przebywa w mieszkaniu. W telewizji szedł jego ulubiony serial i chłopiec wymyślił sobie, że siedzi przed odbiornikiem. Imaginacja pozwoliła mu zobaczyć to tak realistycznie, że mógł pasjonować się odcinkiem, którego dotąd nie oglądał. Nie przeszkodziło mu nawet przybycie starego, który w wyjątkowo dobrym jak na niego nastroju siadł przy stole i postawił na blacie ledwie napoczętą butelkę. Cóż zresztą mógł zrobić istocie, której materialnie tam nie było? Ale już matka, kiedy chciała wyjść do kościoła na majowe, została zatrzymana ostrym szarpnięciem.

— Siadaj, napijesz się z Zenusiem. I nie mów, że cię głowa boli.

Naraz Maćkowi przyszedł do głowy pewien figiel. Butelka stała tak blisko krawędzi. A gdyby tak wyobrazić sobie... Skoncentrował się. Butelka zakołysała się niebezpiecznie. Brzęk szkła i kłatwy starego dotarły aż do kurnika. Udało się! Represje nastąpiły straszne. Zenon sprzął żonę, wywęszył małego w kryjówce pod werandą i tak długo okładał go pasem, aż sam się zmęczył, a chłopiec spłynął krwią. A gdyby jeszcze wiedział, że to Maciek na odległość doprowadził do rozbicia butelki...

Wkrótce potem miało miejsce parę istotnych faktów. Umarła babcia, mamę po stwierdzeniu rozległej gruźlicy zabrano do szpitala, a ojciec po raz kolejny poszedł siedzieć. I tak, nie mając krewnych ni życzliwych opiekunów, Maciek wylądował w Tężynie.

*

Jest upalny czerwcowy dzień. Nad klasą wisi błogie rozleniwienie, nauczyciel monotonnym głosem cedzi słowa i chyba nie słucha nawet sam siebie. O szyby objijają się senne muchy. Ze swego miejsca na ostatniej ławce pod oknem Maciek obserwuje ulicę. Wąska, wybrukowana kocimi łbami zbiega stromo w dół aż do rzeczutki, wzdłuż której ciągnie się trawiasta plaża. Chłopiec wiele by dał, mogąc się tam znaleźć. Ale jeszcze czekają go trzy lekcje, potem przenosiny do nowego pokoju... Lepiej o tym niej myśleć! Obserwuje więc brzuchatego wczasowicza w kraciastych szortach, który z ręcznikiem przewieszonym przez ramię zmierza w stronę wody.

— Takiemu to dobrze! — Naraz wyobraził sobie, że to on jest tym facetem, który już za chwilę zanurzy się: w chłodnej toni, tam gdzie pod mostkiem nurt wypłukali

parometrową głębię. Zgoła fizycznie czuje jego pot na swoim czole, powiew wiatorku na piersiach, gdy ściąga przez głowę koszulkę, i zapach wody, nie najczystszej wprawdzie, bo z domieszką szlamu i fenolu, ale przynajmniej mokrej. Już patrzy jego oczami w taflę wody. Skok! Chłodny, cudowny dotyk, głębokość, ciśnienie w bębenkach, zielony mrok przed otwartymi oczami. Szarpnięcie... Co to? Najwyraźniej noga nurka uwięzła w korzeniach. Ręce młóć wodę, dookoła szlam, woda wdziera się do ust. Strach. Wysilek. Rozpaczliwe ruchy. Brak oddechu!

— Lamus, co ci?

Pawlik leży pod ławką obok przewróconego krzesła, kurczowo łapiąc powietrze. Pochylają się nad nim piegowate twarze kolegów i koński łeb pana od geografii.

— Co się stało, Pawlik, zasnąłeś na lekcji? — dopytuje się pedagog. — A może cierpisz na padaczkę?

— Nie, nie, ja chyba... zasnąłem — bełkoce chłopak. Dookoła śmiechy. Benek zwany Słoniem — zwalisty piętnastoletni drugoroczniak i jego nieodłączny kumpel o ksywie Milimetr skandują:

— Biedaczek, padaczek!

Z rozbitego nosa sączy się krew. Maciek dostaje zgodę na udanie się do higienistki. Wychodzi zegnany śmiechami. Z okienka na końcu korytarza wygląda w stronę rzeki. Nie widać jej nurtu ani tęgawego nurka, wszystko zasłania tłumek ludzi, słychać wycie nadjeżdżającej karetki. Chłopak podnosi do twarzy rękę. Jest wilgotna i pachnie szlamem, zdechłą rybą, fenolem...

*

Nadeszła ta przeklęta noc. Pawlik umierał ze strachu. Wiedział doskonale, co chłopaki zamierzają. Nie cierpieli go jak wróble kanarka. Czy intuicyjnie wyczuwali jego „inność”, czy wściekało ich, że jak dotąd wymykał się spod ich władzy? Dwa razy spotkał się w kiblu z nieodmienną propozycją Milimetra, żeby „obciągnął mu druta”, popartą groźnym prężeniem mięśni. Raz udało mu się wyskoczyć oknem, a za drugim razem w porę nadszedł nauczyciel. Teraz jednak był w ich pokoju, w ich mocy. Zmawiali się cały wieczór, czuli, że rozważają najrozmaitsze możliwości: „kocówę”, „rowerek”? Pod poduszką ukrył finkę, ale wiedział, że jeśli dźgnie choćby jednego, pozostali załatwią go na cacy.

Do północy nie zmrużył oka i już zaczęło mu się wydawać, że zrezygnowali, kiedy zauważył, czy raczej wyczuł, cienie zsuwające się z sąsiednich łóżek. Co zrobić, mój Boże, co zrobić? I nagle olśniło go, skoncentrował się i wyobraził sobie czerwoną rączkę alarmu przeciwpożarowego w oszklonej gablotce w korytarzu. Skoro udało mu się poruszyć butelkę ojca... Natężył całą wewnętrzną moc. Trzasnęło szkło, zawyła syrena.

Nie puścili mu tego płazem. Słoń nie miał wątpliwości: ktoś z zewnątrz, jakiś przyjaciel Lamusa czuwał i uruchomił alarm, psując im zabawę. Zaczaili się więc na Maćka nazajutrz po wuefie. Dopadli go pod prysznicami. Milimetr trzymał Maćka w uścisku nelsona, a Słoniem okładał go mokrym, skręconym ręcznikiem.

— Gadaj, kto ci pomaga, gadaj, skurwielu?

Co miał powiedzieć? Z rozciętym łukiem brwiowym wylądował w izolatce. Mimo krzyżowych pytań nauczycieli nie wyspał prześladowców. Ale i tak wiedział, że ma u nich przechlapane. Desperacko próbował nie dać się rozpaczy. Jeśli jego tajemnicza siła odezwała się trzy razy, dlaczego nie miałaby go wesprzeć po raz czwarty? Przez dwa następne dni próbował rozmaitych doświadczeń. Nic nie wychodziło. Nie potrafił nawet poruszyć papierowej kulki na blacie nocnej szafki. Czy za mało się skupiał?

Czyżby potrzebował tej swoistej podniety, jaką daje śmiertelny strach? A może nie posiadał żadnej specjalnej mocy, a tamte zdarzenia były wyłącznie zbiegiem okoliczności?

Trzeciej nocy obudził go zgrzyt metalu w zamku, Maciek miał czuły słuch. Słyszał sapanie, ciche klątwy. Wszystko jasne. Słoniu skombinował wytrych. Zaraz znajdzie się w środku! Pawlik znów poczuł dojmującą trwogę. Spróbował ją zgarnąć w jeden punkt, skupić się skoncentrować.

Jestem Milimetrem, jestem Milimetrem! — powtarzał sobie w duchu.

Nagle znalazł się po drugiej stronie drzwi. Przed sobą widział wypięte dupsko Benka. Za nim nie było nikogo. Wziął zamach. Kopniak trafił w tłusty tyłek, Słoniu poleciał na drzwi, tracąc od razu dwa zęby.

— Oszalałeś Milimetr! — ryknął. — Odbiło ci! Następny cios wymierzył w jądra. Benek zawył, ale przemógł ból, uderzył ze łba i cisnął kumpla na sąsiednią ścianę... Spletli się w walce. Dyszeli, na przemian wymierzali ciosy. Pawlik odczuwał ból razów obrywanych przez Milimetra. Ale był to ból radosny. Dopiero pojawienie się pana Kazia od wufu, który rozdzielił walczących, spowodowało, że mógł spokojnie zasnąć.

Po tym wydarzeniu uwierzył w siebie, można powiedzieć, z brzydkiego kaczątka wyrósł orzeł. Oczywiście nie ustawał w badaniu swoich niezwykłych umiejętności, w ich systematycznym trenowaniu. Tajemnica powodzenia tkwiła w koncentracji i ogniskowaniu emocji. Nieraz zastanawiał się, skąd wziął się u niego ten szczególny dar. Może gdyby wiedział, kim był jego prawdziwy ojciec... Ze swych umiejętności korzystał ostrożnie. Zachował je w ścisłej tajemnicy. Zwierzył się tylko jednej osobie, poczciwemu księdzu Tomaszowi, który był opiekunem ośrodka. Ksiądz go rozgrzeszył, ale raczej mu nie uwierzył.

Tymczasem po wyzdrowieniu mamy mógł nareszcie wrócić do domu. Niestety, długo nie cieszył się spokojem. Prawie równocześnie Zenon też skończył odsiadkę. Z początku jak zwykle nie robił awantur, nie pił, wziął się za jakąś robotę. Potem urodziła się Mirka... Ale po roku horror powrócił. Znowu zaczęły się złodziejskie eskapady i poalkoholowe ataki szału. Którejś nocy pijany w trupa Zenon omal nie udusił niemowlaka. W czasie tych jego alkoholicznych „ciągów” terroryzowana trójka najczęściej uciekała z domu. W Maćku rosła desperacja. Długo walczył ze sobą, a potem uruchomił moc. Jeden z paserów złożył zeznania. Stary Pawlik został zatrzymany. Wcielenie się w niego podczas rozprawy poszło łatwo. Oczywiście, Maciek nie miał pojęcia, że doprowadzi to do samobójstwa starego recydywisty. Nie! Nie chciał tego! To samo wyznał ojcu Tomaszowi, gdy ten zadzwonił do niego po pogrzebie Zenona. Proboszcz radził, żeby chłopak poddał się badaniom .psychiatrycznym.

— Jeśli rzeczywiście to twoja sprawka, powinni zbadać cię fachowcy. Nie wiadomo, co jeszcze może z ciebie wyleźć — przekonywał.

Maciek nie miał zamiaru zostać królikiem doświadczalnym w jakimś zakładzie dla czubków. Wiedział wprawdzie, że ksiądz go nie wsypie, ale postanowił go przestraszyć. Tylko przestraszyć! A że ksiądz spadł ze stołka i skreślił kark... Pech!

*

Od wejścia ciotki Reginy upłynęło zaledwie kilkadziesiąt sekund, lecz obojgu wydaje się, że minęły wieki. Pawlik podaje jej torebkę Amandy.

— Niczego nie można mi udowodnić, proszę pani — mówi, siłąc się na spokój — więc proszę nie liczyć, że szantażem skłoni mnie pani do współpracy z wami.

— Nawet nie próbuję. Zresztą nie wiem, czy masz dość czasu. — Mirska cofa się ku drzwiom i usiłuje je zamknąć za sobą.

— O czym pani mówi? — Maciek przytrzymuje klamkę. Ciotka Regina wygląda na zakłopotaną.

— Tak to się mówi. Nie znamy dnia ani godziny, czasem myślimy, że mamy przed sobą wspaniałą przyszłość, a tymczasem... Do widzenia panu.

Dogania ją na schodach.

— Co pani chce przez to powiedzieć?

— Ja... Nie, nic.

— Proszę mi powiedzieć. Czy chodzi o to, że rozmawiając z umarłymi, widziała pani moją przyszłość?

— Któż by wierzył w jasnowidzenie.

— Ja wierzę. Sam nie mam żadnych tego typu umiejętności, ale pani, jak słyszę...

— Nie ja, tylko moja siostra bliźniaczka przekazała trochę informacji. Ona dostrzegała takie, wie pan, aury wokół ludzi.

— Czy również wokół mnie? Jakiego koloru: marengo czy w ciapki? I

— Dajmy sobie spokój. — Regina wybiega na ulicę i oddala się szybkim truchtem.

Maciek nie zamierza jej gonić. Głowa nadal mu pęka, toteż wysącza resztkę koniaku z gwinta i uchyla zasłonę w oknie. Po drugiej stronie stoi zaparkowany peugeot, oświetla go uliczna latarnia, tak że przez szybę widać włosy i twarz Amandy. Starsza pani podchodzi do samochodu...

*

— No i... — pytam Reginę.

— Oddał torebkę.

— A współpraca... Co powiedział na twoją propozycję? Powiedziałas mu?

— Nie mogłam tego zrobić.

— Jak to?

— To ponad moje siły. Musiałabym uświadomić mu, jak mało ma czasu na dokonanie czegoś naprawdę niezwykłego, brutalnie wyjawić mu, co go czeka. A to taki młody chłopiec.

— Dlatego ciocia powinna go ostrzec. Zwrócić jego uwagę na to szybko powiększające się zgrubienie na udzie.

— A co potem, oświadczyć młodemu człowiekowi, że jest skazany, że już zaczęły się przerzuty?

— Na jakiej podstawie ciocia twierdzi, że są przerzuty.

— Ten guz na nodze już sam jest przerzutem. Choroba zaczęła się w mózgu. Ładnych parę lat temu. Jak myślicie, skąd te jego paranormalne zdolności?

— Skąd?

— Uboczne skutki nowotworu śródmózdzia. Interesowałam się tym kiedyś, zresztą sami możecie przeczytać. Geniusz z Canberry, telekinetyk Longmann z Baltimore, antycypator Kriczenko z Nowosybirski. Wszyscy oni już nie żyją. Mogę dać wam mnóstwo przykładów cudownych dzieci i genialnych mediów, większość z nich nie przeżyła nawet dwudziestu pięciu lat.

— Mój Boże! — przygryzam wargi. — Jednak nic mu nie mówić, to też okrucieństwo.

— A co da mówienie?

— Mógłby pójść do lekarza, próbować naświetleń, operacji.

— Dzięki operacji przeżyje rok, bez niej dziesięć miesięcy, za to w mniejszym

stresie i cierpieniu.

— I nic nie może mu pomóc?

— Jeden Bóg mógłby sprawić cud. Ale przecież Maciek nie chce pomagać Jemu!
Amanda cały czas milczy, wydaje się nieobecna, ma rozszerzone źrenice i słucha nas bardzo intensywnie. Zapuszczam silnik.

*

Zdjął spodnie i obejrzał swoje udo. Zgrubienie, które zauważył przed trzema miesiącami, rzeczywiście powiększyło się bardzo w ciągu paru dni. Dotknął go. Kawałek własnego ciała wydał się mu obcy, wrogi. Od chwili, kiedy jego jaźń po wyjściu z ciała Amandy wróciła do pokoju, nie mógł się opanować.

Śmierć, mój Boże, nigdy dotąd nie myślał o własnej śmierci. Wydawała się czymś tak odległym, czymś tak słabym wobec mocy, którą dysponował. Ale teraz... Krążył po mieszkaniu jak jaguar w klatce. Kłął, płakał, próbował się modlić. Zastanawiał się, dokąd ma pójść. Do lekarzy? Cóż to pomoże? Do matki — mógłby ją tylko nastraszyć. Gdyby żył ksiądz Tomasz... Z pamięci wypływa postać dziadka. Właściwie dwa obrazy, dziadek karzący gołębie i dziadek na łożu boleści, wychudły, skręcający się z bólu i dyszący z rozpaczliwą determinacją: „Zabijcie mnie, zabijcie!” Maciek jest jeszcze bardzo mały, nie do końca wie, co się dzieje, kręci się pod nogami dorosłych, słucha strzępków rozmów.

— Panie doktorze, czy to dziedziczne, panie doktorze, niech pan mi koniecznie powie, czy to dziedziczne?

Za oknem gęstnieje noc. Pawlik rzuca się na tapczan, przyjmuje pozycję embrionalną i dygocąc, oczekuje na sen.

*

Cały dzień wykorzystaliśmy na wymianę informacji Ciotka opowiedziała nam o swych przygodach i dwukrotnym ocaleniu. Potem my z Amandą streściliśmy swoje doświadczenia.

Powoli wyłaniał się obraz całości. Regina skończyła z niedomówieniami. Wnioski z jej podróży w transcendencję były przerażające. Świat, dotąd balansujący między dobrem a złem, nieuchronnie ześlizgiwał się na stronę zła. Sześciu ludzi wytypowanych przez Annę Karpicką miało się walczyć do tego przyczynić. W jaki sposób? Na czym miałyby polegać wszechświatowy spisek?

— To nie musi być spisek — stwierdziła starsza pani. — Jeśli dobrze zrozumiałam przesłanie Anusi, wystarczy jeśli zło zyska nieodwracalną strategiczną przewagę. Ta szóstka ludzi już teraz zajmuje niezwykle ważne miejsca. Meyerhold wpływa na prezydenta USA, Łazarienko podobno kontroluje sporą część finansów Rosji, Seguina łączy się z organizacjami masońskimi, Bo Syn Wuna wspiera ekspansywną azjatycką sekta, podkopująca pozycję chrześcijaństwa, Prescott wykupuje kolejne media i walczy o nieskrępowaną wolność dla pornografii...

— A Filip Wonder? Skąd w tym gronie znalazł się pobożny, prowincjonalny afrykański biskup?

— Przeczytajcie to. — Regina wyciągnęła wydarty artykuł z „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. — Wzięłam to z samolotu Lufthansy. Przetłumaczę wam.

6 grudnia, na zaproszenie arcybiskupa Kolonii z wizytą duszpasterską przybędzie Filip Wonder, charyzmatyczny, postępowy biskup z Nigerii. Dla wielu katolików

nadzieja na reformę konserwatywnego Kościoła. Wedle watykańskich przecieków już na najbliższym konsystorzu otrzyma kapelusz kardynalski, co stwarza szansę, że na najbliższym konklawe pierwszy syn Czarnej Afryki sięgnie po pierścień Rybaka.

— Ciocia sądzi, że dlatego znalazł się w tej szóstce, ponieważ może zostać następnym papieżem?

— To jest możliwe, a wedle prorocstwa świętego Malachiasza wręcz pewne i zatrważające.

— Świętego Malachiasza, któż to taki?

— Dwunastowieczny biskup z Irlandii. Jego prorocтва wprowadzie nie do końca są przez Kościół uznawane, ale mają to do siebie, że się sprawdzają. Anusia wspomniała go, twierdząc, że tylko on może nas uratować.

— Na razie jednak nie możemy liczyć nawet na Pawlika. Mogę co najwyżej pojechać do Kolonii przyjrzeć się temu Wonderowi.

— Maciek jeszcze do nas przyjdzie!

*

I znów ciocia miała rację. Nazajutrz panna Reger spotkała Pawlika pod naszym domem. Stał nieruchomo, moknąc w deszczu, i wpatrywał się w nią podkrążonymi oczyma.

— Maciek. Co ty tu robisz?

— Przyszedłem cię przeprosić, Amando. Zachowałem się fatalnie.

— Nie ma o czym mówić, oboje byliśmy porządnie wstawieni.

— Przemyślałem parę spraw. Może rzeczywiście powinienem wam pomóc.

— Skąd ta zmiana stanowiska? Pewnie ciotka coś ci powiedziała. Nie powinienes się przejmować jej gadaniem.

— Nie, sam do tego doszedłem. Rzeczywiście, do tej pory jedynie bawiłem się i myślałem wyłącznie o sobie. Uczyniłem parę rzeczy podłych. Może pora, abym zrobił coś dla innych i odkupił chociaż część win.

— Wspaniała deklaracja.

— Poza tym pragnę być blisko ciebie. Nawet jeśli w twoim sercu nie ma miejsca na coś więcej, niż uczucie przyjaźni dla ćwierćetatowego współpracownika.

— Nie znasz szczegółów naszego planu, Maćku. Ta gra jest niebezpieczna. Powinieneś dobrze się zastanowić.

— Wchodzę w ciemno! Wiesz, jak lubię smak ryzyka! Dotąd, biorąc pod uwagę jakość moich sztuczek, grałem właściwie w otwarte karty.

— W takim razie kupię coś na śniadanie i wracamy do naszego lokum. Poznasz Andrzeja i ciocię.

— Ciocię już zdążyłem poznać — powiedział, usiłując się uśmiechnąć.

Dygresja 4. Święty Malachiasz

Prawdziwych proroków poznaje się w biedzie.

Wilk zawył. I jeszcze raz: boleśnie, przejmująco. Od dawna bestie nie podchodziły tak blisko Clairvaux. Bernard przerwał modlitwę. Co za noc! A do świtu tak daleko. Ogień w palenisku przygasł i pachniało jeno świeżą żywicą z bali, na których oparto nowy dach refektarza. Opat uchylił drzwi, kuląc się instynktownie przed powiewem ostrego powietrza. Śnieg już nie padał, ale noc była mroczna, bezksiężycowa. Pora szatana! Przeżegnał się. Pomyślał o prostych wyrobnikach, którzy zwykli pierwsze dni listopada poświęcać gusłom i obrzędom tajemnym, których, mimo przeszło pięciu wieków chrześcijaństwa w tych stronach, nijak nie szło wykorzenić. Czyż nie takie noce obierał szatan, aby dusze ku zatraceniu szarpać. Znów zawył wilk, rozdzierająco jak istota potępiona, daremnie zebrząca zmiłowania. Co sprowadziło tu te leśne bestie? Mróz i śnieg rzadki o tej porze roku w Szampanii? Kiedyś nie do pomyślenia. Ale dziś? Gdy wywoływał z pamięci te wszystkie lata spędzone w onej krainie, musiał przyznać, że z roku na rok zimy stawały się coraz sroższe i sroższe. Czy był to jakiś znak? Na moment przypomniła mu się twarz starego żeglarza, który pokazując bezpalce czerwone dłonie, mówił o morzach Północy, za którymi jeszcze wiek temu rozciągały się zielone krainy, a obecnie lód skuł wszystko śmiertcioną bryłą... Czy była to kara Najwyższego? Czy z czasem lód pokryje wszystko od pól po serca? Ale tego nawet on, uważany za najtęższy mózg Europy, powiernik sumień cesarzy i papieży, nie wiedział.

Naraz zdało mu się, że widzi od strony rzeki Aube ruch jakowyś. Pobudzić braci? Służebników? Choćby furtiana? Zaiste nie odczuwał tej nocy bojaźni. Wrychle doszło go parskanie koni i stuk kopyt na lodzie. Zbrojni? Zbójce? Grupka przybyszów była zdecydowanie nieliczna. Może zapóźniony poczet jakiegoś wielmoży, zbłąkana garść pątników? Podszedł ku krawędzi murów.

Od kupy jeźdźców odskoczył jeden i postąpiwszy ku furcie wołać począł:

— Ojcie Bernardzie! Ojcie Bernardzie!

Opat Clairvaux odetchnął głęboko. Poznał głos wójta pobliskiego Longchamp. Szatan nie zniżyłby się przenigdy, aby wcielić się w posturę podobnie poczciwego idioty.

— Śmiertelnie chorego przywieźlim — wołał przybysz. — Nim omdlał ze szczeniem, wzywać was raczył po imieniu, ojcie wielebny.

Przebudzony furtian skoczył bramę otwierać, za nim wysypali się z dormitorium wyrwani ze snu braciszczowie. Bernard ostrożnie zszedł ze schodów.

— I zaryzykowaliście dla nieznajomego podróż przez lasy w noc ciemną? — pytał wójta. Ten uśmiechnął się głupkowato.

— Kiej klątwą zagroził w wypadku nieposłuszeństwa. A wzrok miał tak pałający, wasza wielebność! No i pierścień swój dał, za fatygę. Choć tera to martwy już pewnikiem na amen.

Z kolebki zawieszanej między kołmi bracia wydobyli bezwładną postać i ponieśli ku refektarzowi. Tam światło padło na woskową wychudłą twarz chorego.

— Malachiasz!? — krzyknął Bernard.

Rozchyliły się poczerwiałe źrenice i dobiegł cichy szept:

— Pan miłosierny nie pozwolił mi odejść bez sakramentu i duszy zatracić.

Rzucił się Bernard z Clairvaux, jakoby przez węża ukąszon.

— Ty, bracie, obawiasz się potępienia i mąk piekielnych? Ty, którego jeszcze za życia świętym uznają od chmurnego Kaledonu po mury jerozolimskiego templum... Któż zatem mógłby być zbawiony, jeśli nie ty?

— Moc grzechów jest w każdym z nas, Bernardzie — westchnął chory. — Pycha i słabość. Kłamstwa i żądze.

Umilkł i z wolna, z niemałym trudem przetykał polewkę podaną przez zakonników. A Bernardowi na okamgnienie stanął przed oczyma on sam jako małe dziecko pacholę targane cielesną pożądliwością. Wspomniał ową dziewczkę hożą, jasnowłosą, którą ujrzał jednego lata na polnej drodze i gorączką ogarnięty, skoczył w zimną toń jeziora, aby gasić żar ciała. Albo gościnną damę z Prowansji, która używszy mu raz schronienia, lubo nakryła dlań osobne pościelenie, nocą nago wślizgnęła się do jego łóżka. Szczęściem poczuwszy jej żar, zakrzyknął wielkim głosem: „Złodzieje, złodzieje!”, czym spłoszył chutliwą niewiastę, a pobudził służbę. A przecież mógł nie krzyknąć i przez moment nawet chciał...

— A lenistwo, a zaniedbanie? — szepnął Malachiasz. — Pamiętam, jak zawezwan do umierającej, wątpiąc, iż naprawdę bliska jest śmierci, odłożyłem był namaszczenie olejami na dzień następny. A nieszczęsna białogłowa jeszcze onej nocy zmarła.

— Żeś uczynił, ale wiem, bo znam tę historię, iż Pan ci wybaczył.

— Sądzisz, bracie?

— Przecie gdyś z kapłanami noc całą opłakiwał ją i modlił się za jej duszę, ona z rana ożyła tylko po to, by przyjąć ostatnie namaszczenie, zaczem odeszła w pokój.

To prawdziwy cud.

— Tylko komu wówczas Pan wybaczył? Mnie grzesznemu czy jej?

— Zachowaj ufność!

— A właśnie, ufność, mówisz. Zali nigdy nie zdarzyło ci się zwątpić, Bernardzie? Zali nigdy na dnie twej duszy nie zagnieździł się robak niepewności szepczący jadowicie: Gdzież jest prawda? Poza doczesnością jest nicość jeno.

Bernard nie rzekł nic, tylko skłonił głowę bliżej ust przyjaciela.

— To zdarzyło się w Rzymie. Odwiedzałem Jego Świątobliwość Innocentego II, iżby paliusz dla umiłowanego arcybiskupstwa irlandzkiego wyjednać. Czasum zmitrężył wiele, choć nie żałowałem tego podówczas, jako że płochą ciekawością gnany, przemierzałem owo Miasto Wieczne, w którym jako nigdzie na świecie i grzech, i świętość są siadają ze sobą przedziwnie splecione. Gdzież indziej obok domów bożych znaleźć można pogańskie bałwany; gdzie, jako nigdzie, sprawdza się starożytne zdanie: „Hic transit gloria mundi”. Chodziłem tedy wśród onych pagórków i ruin krwią męczenników użyźnionych. I widziałem kozy pasące się tam, gdzie ongiś tętniło gwarem Forum Romanum, i jadłem cierpkie pomarańcze w dzikich sadach na zboczach Pałatynu, niemego świadka szaleństw cesarzy. Zaszedłem i do zarośniętego lasem Colosseum, gdzie dziś wilk jeno i zbój ma siedlisko. A wiesz, o czym myślałem?

— Wiem, bom nieraz tam będąc, sam pytał siebie: Jakże wielkie musiały być grzechy tego miasta, skoro Pan stał je na proch?

— Też, ale zastanawiałem się również, co pozostanie po nas.

— Czy to ważne, życie doczesne jest jeno przedśmionkiem wieczności.

— Wiem, jednako wówczas na moment przeraziłem się, że może nie jest to takie zupełnie pewne.

Kusiciel nie posiadał racic ani kosmatej brody. Przypominał raczej starego, zmęczonego wędrowca, który podobnie jak biskup Armagh schronił się przed południowym skwarem w cieniu grubych murów Amfiteatrum Flavianum. Sam mówił, że jest kupcem. Ale czy był nim w istocie? Sporo podróżował, twierdził, że z Ziemi Świętej, udając Araba, dotarł i do kraju spalonych słońcem Etiopów, i do Indyj, gdzie z gorących lasów wyrastają góry śniegiem okryte, a sięgające nieba. Opowiadał o egipskich piramidach, kryjących ponoć tajemnice nieba i Ziemi, która to, utrzymywał wbrew rozsądkowi i Pismu Świętemu, jest okrągła. Oczywiście zmyślał, choć czynił to z przekonującym wdziękiem. Posunął się też do kuglarskich sztuczek, pokazując igłę pływającą w naczyniu i zawsze odwracającą się w stronę północy, kamień ciężki, przyciągający odpryski żelaza, i szkło tak zmyślnie obrobione, iż ukazujące ptaki szybujące po niebie, jakoby były ledwie o wyciągnięcie ręki.

— Żyjemy w mroku — mówił. — Od tysiąca lat świat jest dla nas jedynie mrocznym, przerażającym labiryntem. Jednak ja już widzę światło.

— Światłość wiekuistą u kresu dni naszych? — domyślił się Malachiasz.

— Blask w ludzkich umysłach — powiedział wędrowiec — który wnet zaświta.

Irlandzki biskup czuł, że powinien odejść, zawezwać strażę, iżby pojmały bluźniercę, jednak nie uczynił tego. Może sprawił to żar czający się niczym wrzący opar wewnątrz koliska amfiteatru, a może raczej ciekawość. Bo nieznamy mówił rzeczy nadzwyczajne. Naraz cofnął się do starożytnych Jończyków i opowiadać począł, że cały świat rzeczy widzialnych i niewidzialnych składa się z maleńkich ziarenek tworzących cztery podstawowe żywioły: ogień, wodę, ziemię i powietrze. Malachiasz zaoponował, twierdząc, że we wszystkim jest ręka Boga. Na to obcy zachichotał.

— A do czegoż potrzebny jest twój Bóg, gdy samo ciepło ognia przemienia wodę w parę, którą ongiś starożytni w Aleksandrii umieli wykorzystywać, aby wprawiać w ruch ciężkie wierzaje świątyni, gdzież owa ręka Boga, kiedy woda w pradawnych akweduktach wiedziona jeno siłą spadku podąża setki mil, poruszając po drodze koła młyńskie. Czyż może być równocześnie w każdym rozkwitającym paku, w parzących się kotach, a także w fermentującej winorośli?

— Nie mogę tego słuchać!

— A gdzież jest Bóg, gdy synowie jego, niepomni przykazań, zabijają się za garść złota.

— Zamilcz!

— I jakimże imieniem mamy go przyzywać? Saraceni zwą go Allachem, pięciokroć dziennie bijąc mu pokłony, poczem idą zadawać śmierć nam, giaurom, wierząc, że czeka ich raj pełen kobiet i miłości cielesnej.

— Nie!

— Persyjczycy zaś twierdzą, że jest ich dwu arcywłodarzy, niczym Gog i Magog, Pan Dobra i ten od Zła, i toczą ze sobą wieczysty turniej jak równy z równym... A Indowie, ci miast Jezu Krystowi, oddają cześć złotemu Buddzie, nauczycielowi, który ni bogiem, ni demonem, ni nieśmiertelnym herosem nie jest, jeno mądrym człowiekiem.' A wszyscy czynią tak w dobrej wierze setki lat, nas za bałwochwalców mając.

— Przestań człeczce! — Malachiasz miał łzy w oczach. Grzeszysz okrutnie.

— Ja tylko stawiam pytania. Bo sam nic nie wiem. A chciałbym wiedzieć choć tyle, ile wiedzieli Grecy i Egipcjany, nim spłonęła biblioteka w Aleksandrii. Chciałbym wiedzieć, czy rzeczywiście gwiazdy to rozpalone kamienie, a Ziemię można opłynąć wokół. Czy dżuma jest dopustem, czy, jak twierdzą medycy z Salamanki, roznosi się przez szczury i robaczki, niewidoczne gołym okiem. Czy jest kamień filozoficzny, dający wieczne życie i mający możność przemieniania

wszystkiego w złoto? Czy my sami w ogóle istniejemy, czy też jesteśmy jeno złudami sennymi, śniącymi się sobie nawzajem.

Irlandczyk ukrył twarz w dłoniach. Porażały go te pytania. Przerzął ogrom własnej niewiedzy. Był przekonany, że obcy się myli, że wyciąga wnioski zbyt łatwo, ale co mógł mu przeciwstawić? Jakie argumenty? Zaprawdę kiepskim argumentem byłby kostur pielgrzymi. Malachiasz zacisnął mocno oczy i z trwogą zmiarkował, iż nie jest w stanie przypomnieć sobie nawet Modlitwy Pańskiej. — Jezu, Jezu, Jezu!

Kiedy uniósł głowę, otaczał go nieprzenikniony mrok. Pojął, że w ferworze dyskusji nie zauważył nawet nadejścia nocy. Wędrowca przy nim nie było, nie słyszał świszczącego oddechu, dobywającego się przedtem z zapadłej piersi rozmówcy. Nie wiedział, gdzie pójść. Wstał z klęczek i po omacku szukał wyjścia. Natrafił na schody. Pełził nimi w górę, radując się, gdy wreszcie zoczył słabą poświatę. Szedł i szedł. A mimo to nie było mu gorąco. W gładkich ścianach krył się chłód. Na koniec owionął go powiew nocnego wiatru. Był na zewnątrz. Tyle że miejsce to nie wyglądało na koronę Colosseum. Może zresztą wrażenie takie sprawiała mgła, gęsta, zawieszona. Ruszył przed się w onej mgle jak ślepiec, pilnie bacząc pod nogi. I dobrze czynił. Naraz bowiem otwarła się przed nim przepaść bez dna. Krawędź prosta bez balustrady. Ledwie uchwycił się jakiejś rzeźby postawnej. Przyjrzał się jej uważnie. Na Rany Chrystusa, toż trzymał w ramionach figurę papieża Innocentego II. Podobne figury stały zresztą wszędzie, szeregiem, w równych odstępach. Ani chybi stanowiły zwieńczenie jakowegoś portyku i choć od czasów zamierzchłych nikt tak nie budował, Malachiasz ruszył oglądać kolejno wszystkie, wspominając wielką historię kościoła, aż doszedł do figury Rybaka rozpoczynającej ową kamienną procesję.

Mgła ani zamierzała ustępować, kroki biskupa rozchodziły się echem, ale poza tym nie dolatał doń żaden dźwięk. Ni drażniący zazwyczaj chorał cykad, ni naszczekiwanie psów, ani nawet rechoty żabie od strony bajor lub starych wodociągów. Po prostu nic. Jakby nie było świata, jeno on, ta platforma, te rzeźby i noc. Powrócił do statuy Innocentego, gotów doczekać w tym dziwnym miejscu do świtu, gdy naraz dostrzegł, że nie jest ona ostatnia. Ruszył dalej. I widział kolejne rzeźby, przypatrywał się twarzom nieznanym, strojom odmiennym, usiłując je zapamiętać. Gdzież był, kto skompletował tę galerię przyszłości? Oblediał go strach, zwłaszcza gdy po sto dziesiątej osmalonej przez ogień figurze nie było już nic. Rumowisko kamienia jeno, a dalej... dalej za onym rumowiskiem mgła się z nagłą rozrzedziła i ujrzał chatynkę niewielką z kawałków blach i okopconych desek poskładaną, starego pasterza przy niej i stado owiec wokół niego i dalej pierwsze blaski wschodzącego słońca odbijającego się w srebrzystej lasce opiekuna owczarni. I naraz pojął, że jest to Piotr II witający nadejście Pana. Chciał biec ku niemu, poprzez to rumowisko pełne sterczących drutów i splekanego gruzu. Rozpadliny były jednak zbyt głębokie, odległość za duża. A potem dojrzał, że nie są to kamienie, tylko ciała owiec, trupy martwych zwierząt przerażające swym milczeniem.

A słońce wschodziło. Ogromne, porażające, wypalające mgłę. Czy zresztą było to dobroczynne słońce? Czy może oślepiająca kula zła, ponad którą kłęby dymów poczęły formować niewiarygodnych rozmiarów parasol... Nie mogąc wytrzymać blasku, Malachiasz odwrócił głowę. Z ponad galerii figur wyłoniła się potężna, lśniąca kopuła! Wielekroć większa od tej znanej mu z Rawenny. Święci Pańscy! Znajdował się na dachu kościoła. Mrużąc oczy wychylił się poza krawędź. Ale nie zobaczył nic. Kościół Boży wisiał w powietrzu! Otaczał go błękit i światłość. Ni to stał, ni szybował w przestrzeni. Naraz Malachiasz uczył, że odrywa się odeń, że patrzy z boku, a świątynia obraca się, przekręca, zamienia w siatkę linii i przekrojów. Odczuwał zawrót głowy, czuł, że wciąż go jakaś głąb przepaścista, że lada moment bezpowrotnie w nią runie. I wtedy ujrzał anioła. Bez skrzydeł, ale w koronie jasnych

włosów, o twarzy rumianej, ustach soczystych.

— Aniele! Ratuj mnie! — zawołał biskup Armagh.

— Spróbuj nacisnąć „Escape” — poradził anioł.

*

Malachiasz zamilkł, a na czoło wystąpiły mu krople potu. Nie otwierał oczu, snadź opowieść wyczerpała go niepomiernie. Bernard uczynił krok do tyłu, pragnąc, by chory odpoczął w ciszy. Ów zauważył ten ruch.

— Nie chcesz słuchać, co było dalej?

— Wypocznij wprzód.

— Tam, gdzie idę, z pewnością wypocznę.

— Mów zatem, co stało się później.

— Ocknąłem się. Dzień był słoneczny, duszny, a ja siedziałem sam w czeluściach Colosseum, bez mieszka, bez biskupiego pierścienia, za to z guzem na głowie.

— Tedy sen to był tylko? Majak?

— Też tak myślałem. Ale dni mijały, a ja nie mogłem wyrzucić go z pamięci. Nie potrafiłem się pogodzić z tym, com usłyszał, tem bardziej, że nie miałem pewności, czy zdarzenie było dziełem boskim czy szatańskim. Próżno posty, darmom flagellancje dyscypliną czynił, obrazy i przeżycia nie chciały pokryć się kurzem niepamięci.

— A spowiedź? — podsunął Bernard z Clairvaux. — Nie pomogła?

— Jako żywo próbowałem, ale proboszcz od Kosmy i Damiana stwierdził, że sny nie podlegają absolucji, a jeśli scen wszetecznych nie zawierają, nie wymagają też ekspiacji. Z tej rozterki przemyślałem nawet, iżby biskupstwo złożywszy, jako prosty mnich pójść posługiwać do opactwa św. Benedykta na Monte Cassino, ale Ojciec Święty rozgniewał się wielce tym konceptem i nakazał mi nadal posługę dla ludu Irlandii wypełniać, a potem... Potem którejś nocy spisałem to, com ze snu zapamiętał, i jakbym zrzucił wielki ciężar z piersi.

— Spisałeś bracie? I komuś przekazał?

— Nikomu prócz Ojca Świętego. A i ten, przeczytawszy manuskrypt, w ogień go cisnął, wołając: „Malachiaszu, twym biskupstwem jest Armagh, nie Armageddon”. Miał rację. Nie wiedząc, kto był sprawcą owego zdarzenia, nie mogłem o nim mówić, by przypadkiem zgorzenia nie czynić. Nawet tobie, któryś był mi najmilszym przyjacielem i przewodnikiem, nic nie rzekłem.

— Opisałeś jednakże przebieg zdarzenia powtórnie?

— Nie, zanotowałem jeno spis owych pomników. A właściwie skojarzenia, które jakiś głos wewnętrzny mi dyktował. Nie znałem przecie ani imion, ani tytułów.

— I masz tę listę nadal?

— Nie chciałem jej mieć, a zniszczyć po raz wtóry nie śmiałem. Toteż wracając na północ, ostawiłem manuskrypt zamurowany w ścianie biblioteki klasztoru pod Padwą i zapomniałem o zdarzeniu. Poświęciłem się pracy duszpasterskiej,ostałem arcybiskupem Irlandii, z oddala patrząc na zatrważające zdarzenia w Kościele, na Rzym rozdierany po śmierci Innocentego waśnią dwóch anty — papieży, sam zresztą wiesz, boś wiela się utrudził, aby blask tiarze przywrócić. Ale o wszystkim przypomniałem sobie dopiero przed rokiem, kiedym znów w Rzymie stanął.

— Jak do tego doszło?

— Kiedym modlił się za Ojca Świętego i dwóch jego poprzedników, stanęły mi przed oczyma moje zapiski. Figurę stojącą za Innocentem zapisałem jako „Ex Castro Tiberius”.

— Bracie, przecie Celestyn II pochodził z Citta de Castello nad Tybrem.

— Następny był „Inimicus expulsus”, wypędzający wrogów, a przecie Lucjusz II nosi nazwisko Caccianemici, co znaczy „Chwytający wrogów”.

— Strach mnie ogarnia, gdy tego słucham.

— Wreszcie trzecią figurę, która jako żywo miała lico naszego Eugeniusza III oznaczyłem formułą „Ex magnitudine montis”, z wielkiej góry.

— Toż świeckie nazwisko Jego Świątobliwości brzmi Montemagno! Bracie, zali twa lista nie jest przypadkiem indeksem biskupów Rzymu aż do skończenia świata?

— Tyś powiedział, Bernardzie. I być może tak jest. Nie wiem, czemu tajemnicę tę mi powierzono, a lękam się mówić o niej, ażeby nie uczyniła więcej zła niż dobra.

— Słusznie się frasujesz, albowiem powiada Pismo: „Niezbadane są wyroki Opatrzności”, a także: „Nie znacie dnia ani godziny”. Przecie uznanie twego Objawienia mogłoby przynieść niewyobrażalne wręcz szkody podczas przyszłych obiorów biskupa Rzymu, boć można je interpretować na rozmaite sposoby, różnych ubiegających się o papieską tiarę wskazujące. Wszelako z drugiej strony, Pan nasz nauczał: „Szukajcie, a znajdziecie...”

— Tedy, gdy nadejdzie czas, odnajdą i listę moją, i... Pochyl się ku mnie, bracie, bom jeszcze nie skończył.

Bernard klęknął tuż przy posłaniu. Malachiasz słabł w oczach i niewątpliwie kres jego cierpień nie mógł być daleki.

— Kończyłem ją następującymi hasłami: „Pastor angelicus”, „Pastor e nauta”, „Florus florum”, „De medietate lunae”, „De labore Solis”. Tego „Z pracy Słońca” pamiętam szczególnie, przygarbionego wiekiem i cierpieniem, z twarzą o rysach słowiańskich.

— I onże był ostatnim?

— Nie, ostatnia rzeźba przedstawiała... Nazwałem go „De gloria olivae”.

— Z chwały oliwki... Co to znaczy? Był śniady na twarzy?

Umierający nie odpowiedział od razu, jego oddech zatrzymał się na chwilę.

— Pomnik był okopcony dymem i jakąś tłustą ciecżą... Głowę miał odtraconą... Wzbudził moją trwogę. A dalej było to rumowisko i ta stajenka śród powszechnej zagłady. Notatki zakończyłem słowami, które zawsze będę pamiętać: „Podczas ostatecznego prześladowania Świętego Rzymskiego Kościoła zasiądzie Piotr Rzymianin, który paść będzie owce wśród utrapień, a kiedy przeminą, zostanie miasto na siedmiu wzgórzach zniszczone i karzący Sędzia będzie sędzić lud swój. Koniec”.

Bernard był wstrząśnięty, nie wiedział, co rzec, ujął dłoń proroka i szepnął miękko:

— Pomódlmy się, bracie.

Odpowiedzi nie było. Czyżby metropolita Irlandii oddał ducha Bogu? Nie, znów ocknął się i mówić począł nerwowo, spieszenie, urywanie, jakby chcąc zdążyć z wyznaniem przed kosą śmierci.

— Chciałem wiedzieć. Chciałem dociec, co to wszystko znaczy. Czym było owo rumowisko. Symbolem czy rzeczywistością? Co sprowadziło zagładę? Jak długi czas Pan przewidział między pontyfikatem Pasterza bez Głowy a Ostatnim Rzymianinem. Co wywołać mogło aż tak wielki gniew jego? Szukałem znaku. Spędzałem noce w katakumbach św. Kaliksta i św. Szczepana, modliłem się przy kościółku „Quo vadis domine?”, w miejscu, gdzie, jak głoszą okoliczni wieśniacy, Pan powstrzymał uchodzącego z Rzymu Piotra. Długie godziny spędzałem w Bazylice św. Konstantyna na Watykanie i nic. Przemierzyłem też po wielokroć wszelkie bazy i tawerny w poszukiwaniu tamtego dziwnego wędrowca. W międzyczasie zdrowie zaczęło mi szwankować, coraz częściej nachodziły mnie złośliwe gorączki, zdarzało mi się pluć krwią. I pojąłem, że nie zdołam powrócić już do umiłowanej Irlandii. Ruszyłem na północ, pragnąc po drodze opatowi z Pawii tajemnicę manuskryptu wyjawić, gdy w

górach koło miasteczka Asyż wstrząsy ziemi mnie dopadły. Zdało się, że góry wala się na mnie, ziemia dygotała jak brzuch drakona, rozdzierały ją rozpadliny pochłaniające drzewa i całe chaty, wokół sypały się odłamki skał i naraz jeden uderzył mnie w pierś, oderwał od ziemi i rzucił w przestrzeń, i leciałem w pustce nie rozświetlanej najmniejszym blaskiem, a towarzyszył mi głos powtarzający: „NIE MUSI TAK BYĆ!”

I zobaczyłem naraz Ziemię, naszą Ziemię jako piłkę z oddali, pełną zieloności i błękitu, chmur i rudawych kontynentów. A była piękna. „Panie Świata — zawołałem, mimo że nikogo koło mnie nie było. — Powiedz, co mam zrobić, aby odwrócić gniew Twój?”

— Otrzymałeś odpowiedź?

Ogromny wysiłek malował się na licu Malachiasza, ale wyrazów, które padały z jego ust, nie sposób było zrozumieć, może poza jednym: „Escape”. Coraz gwałtowniej jego ciałem wstrząsały drgawki.

Bernard z płaczem przygarnął go do siebie.

— Ego te absolvo, ego te absolvo! — wołał, kreśląc prawą ręką znak krzyża. Nieszczęsny Irlandczyk dusił się, nie mógł zaczerpnąć tchu. I nagle w przypiływie siły uniósł się na posłaniu, ręce w geście błogosławieństwa położył na głowie Bernarda, jakby mu swe dziedzictwo przekazując.

— Pora spać — rzekł uspokojony. — Ja z wami...

Bracia, przekonani, że cudem do zdrowia wraca, psalmy śpiewać poczęli, ale on zamilkł i bezwładny opadł na poduszki.

— Panie, przyjmij duszę swojego sługi — wyszeptał opat Clairvaux, sam śmiertelnie zmęczony. Przez wąskie okienka wdzierał się słaby listopadowy brask. Chcąc upewnić się, czy Malachiasz na pewno nie żyje, Bernard rozdarł koszulę na jego piersi i zamierzał przytknąć ucho do wychudłej piersi, gdy wzrok jego padł na płaski płócienny szkaplerz na szyi zmarłego. Delikatnie go uniósł i otworzył...

*

W *Żywocie św. Malachiasza* pióra św. Bernarda z Clairvaux, którego zwie swym osobliwym przyjacielem, okoliczności śmierci biskupa opisane są ogólnikowo. Wspomniane jest, że nastąpiła ona w noc zaduszną i że kontakt z relikwiami świętego owocował wielką liczbą cudownych uzdrowień, między innymi jakiś nieborak odzyskał władzę w uschniętej ręce. Malachiasz pogrzebion został w Clairvaux, ale próżno szukać dziś tam grobu lub relikwii tego, którego Kościół Powszechny wyniósł do rangi świętego. Jego lista została odnaleziona w bliżej nie znanych okolicznościach u schyłku XVI wieku i opublikowana w roku 1595 przez ojca Arnoldusa Wionę, benedyktyna z Padwy. Liczni krytycy wątpili w autentyczność dzieła, utrzymując, że jego autor, pseudo-Malachiaszem przez nich zwany, nie miał nic wspólnego z żyjącym w latach 1094–1148 prymasem Irlandii. Ale i oni mieli kłopoty z zaskakującą trafnością przepowiedni. Czyż do Benedykta XV, panującego w okresie I wojny światowej, nie pasował przydomek „Wiara wśród wyludnienia”, a do Jana XXIII rodem z Wenecji, pierwszego od wielu lat wielkiego duszpasterza — „Pasterz i żeglarz” (*Pastor e nauta*)? Paweł VI (*Florus florum*) jako arcybiskup Florencji miał dwie lilie w herbie, a Jan Paweł II — „Z pracy słońca” (*De labor solis*) — czyż nie był robotnikiem i duchowym ojcem „Solidarności”?

Zresztą i bez proroctwa Malachiaszowego, komu z myślących nieobcy jest lęk o los świata i przyszłość ludzkości? Kto nie czeka na dzień ostatecznej bitwy Dobra ze Złem. I znajduje się w dziele św. Bernarda tajemnicze zdanie: „Jezu miły, twój skarb

u nas jest, któryś nam powierzył, chowamy go, a wrócimy, kiedy każesz”.

15.

*Zło dobrem zwyciężaj, oczywiście!
Chociaż czasami przydaje się trochę
zła do pomocy.*

Tak oto mieliśmy czteroosobowy zespół: nawiedzona emerytka, genialny wyrostek, żadna sensacji pannica i podstarzały parodysta. W tym składzie zamierzaliśmy się porwać na sześciu potężnych przeciwników, z których jeden aspirował do Białego Domu, drugi do Tronu Piotrowego, trzeci chciał rządzić najbardziej rozwojową mafią, czwarty pociągał nitki światowej masonerii, piąty władał wszechwładną sektą religijną, a szósty był na najlepszej drodze do skupienia w swym ręku globalnych sieci telewizyjnych. Tak przynajmniej wynikało z analizy ich prawdopodobnych dążeń i dotychczasowych dokonań. Jakby tego jeszcze było mało, naraziliśmy się konsorcjum Karakorum, kontrolującemu — w sposób mniej lub bardziej legalny — ponad jedną czwartą światowego rynku finansowego.

Parę dni zajęło nam wprowadzanie w sprawę Macieja. Robił wrażenie inteligentnego partnera. Widać też było, że szansa dokonania czegoś wielkiego z wolna wypiera z jego umysłu lęk przed nieubłaganą śmiercią. Przy okazji poznaliśmy całość raportu ciotki i wyszperaną przez Amandę treść proroctwa świętego Malachiasza. Jednak nawet z parapsychologicznymi zdolnościami Maćka mieliśmy małe szansę. Cóż bowiem mogliśmy im zrobić? Toteż do 30 listopada niewiele posunęliśmy się w realizacji naszych planów.

Tego dnia po południu ciotka udała się na spotkanie z pewnym uczonym księdzem specjalizującym się w żywotach świętych, by dowiedzieć się czegoś więcej o Malachiaszu. Regina Mirska utrzymywała, że Anusia w ostatnim przesłaniu miała jej przekazać: „Uratuje was ręka świętego Malachiasza”.

Z kolei ja, imitując głos znanego autorytetu moralnego, zaprotegowałem Amandę u wybitnego eksperta z MSZ, by spróbowała dowiedzieć się czegoś więcej o konsorcjum Karakorum. Natomiast Pawlik, po tygodniu wahań, pomaszerował do redakcji Głównoga odebrać karciany dług.

— Wkładasz głowę w paszczę lwa — ostrzegałem.

— Spokojnie, kontroluję sytuację!

Jeśli idzie o mnie, to starannie ucharakteryzowany na żwawego staruszka, celem podniesienia się na duchu poszedłem do kina na jakiś film z Harrisonem Fordem, który samojeden radził sobie z dużo większymi problemami niż nasze. Po drodze zajrzałem na Poczta Główną, gdzie na poste restante odebrałem adresowany do cioci ekspresowy list z Hawajów. Film mnie rozczarował, przyniósł przeciętne wrażenia, tym bardziej, że prawdziwe emocje czekały mnie już chwilę później na ulicy.

Zbliżając się do ronda ONZ, spostrzegłem barwną plamę na tle szarawego tłumu. Żebrząca Cyganeczka! Cholera! Nie widziałem jej od czasu katastrofy w Thunder Bay. Czyżby znów coś się kroilo? Zrobiłem kilka kroków w jej kierunku, ale już znikła mi między domami, a ja nieomal wpadłem na faceta, który, stojąc naprzeciw mojego mieszkania, zadzierał głowę do góry. Wyglądał na typowego turystę i pewnie nie zwróciłbym na niego uwagi, gdyby nie duża kamera dyndająca na jego piersi. Zrobiło mi się nieprzyjemnie. Osobnikiem podziwiającym architekturę późnej doby gomulłowskiej był Tim Tedesco. Znaleźli nas!

Nie straciłem jednak głowy. Najpierw rozważyłem, od kiedy lokal mógł być pod obserwacją i w związku z tym, czy i ja jestem śledzony? Kontrolnie przeszedłem na

drugą stroną ulicy i w lustrzanej ścianie banku obejrzałem przestrzeń za sobą. Nikt za mną nie szedł. Tymczasem Tedesco wyjął telefon komórkowy, musiał zamienić ledwie parę zdań, bo zaraz schował aparat do kieszeni i szparkim krokiem skręcił w ulicę Jana Pawła II. Ruszyłem za nim, mając nadzieję, że nie zauważy natychmiast niewykwalifikowanego tropiciela. Nie uszliśmy daleko. Najemnik skręcił do hotelu Mercure. Poszedłem za nim. Chyba nie był lokatorem tego hotelu, zamiast do recepcji skręcił do barku, gdzie na jego widok poderwał się nienagannie ubrany mężczyzna w garniturze. Zaniemówiłem — partnerem faceta od brudnej roboty był nie kto inny, tylko Piotr Żemański — aktualny mąż mojej byłej żony.

*

Nieraz dobre pomysły rodzą się w najbardziej stresujących sytuacjach. Pożerany ciekawością, o czym to mogą rozmawiać obaj panowie, przypomniałem sobie naraz, że Maciek Pawlik ma telefon komórkowy. Zadzwoiłem do niego z hotelowego holu.

— Zapłacił — krzyknął entuzjastycznie. — Wziął kredyt i zapłacił. Jest kompletnie zrujnowany, chyba będzie musiał zamknąć tę swoją szmatę... A ja przy świadkach przekazałem cały szmal na powodzian! I niech pan wyobrazi sobie...

— Opowiesz mi to wszystko później. Są ważniejsze sprawy. Gdzie teraz jesteś?

— Dojeżdżam do domu!

— Nie dojeżdżaj, zostaw wóz na parkingu przy Atrium Tower i przyjdź na drugą stronę do hotelu Mercure. Czekam w recepcji. Tylko sprawdź, czy ktoś nie idzie za tobą.

Zdażył dotrzeć jeszcze przed końcem rozmowy. Podtrzymywany przeze mnie, by nie upaść, przeniknął do jaźni Żemańskiego i przez chwilę mógł słuchać wynurzeń zawodowego mordercy. Jak twierdził, było to przeniknięcie „miękkie” — nosiciel nie był zablokowany i mógł normalnie rozmawiać, nie podejrzewając nawet istnienia „sublokatora”.

— A więc jeśli się odezwie, dasz mi znać.

— Naturalnie, panie Adler...

— Nie nazywam się Adler, tylko Timothy Tedesco! Dla przyjaciół Tim.

Rozumiesz?

— Tak, panie Tim. Jednak jeśli nie odezwała się do tej pory...

— Pewnie przeczekuje. Ale prędzej czy później pomyśli, że nikt się nią nie interesuje, i wychyli nosa. Gdzieś musi mieszkać, z czegoś żyć, a nie ma żadnych dokumentów.

— Jak tylko pan zadzwonił, pojechałem do Łodzi, rozpytałem sąsiadki. Nie pojawiła się w swoim mieszkaniu. Złożyłem wizytę jej najlepszej przyjaciółce. Była zdumiona moją nadzieją, że Regina mogła przeżyć katastrofę. Tylko nie mogła uwierzyć, że po przyjeździe nie odezwała się do nikogo.

— To bardzo chytra staruszka. A propos, kto mieszka teraz u jej bratanka, Łańskiego?

— Jakaś jego znajoma z Ameryki, studentka. Magda rozmawiała o niej ze szwagierką. Twierdzą, że to nieciekawy podlotek. Ale jeśli dowiem się coś ciekawego, dam znać.

— Mam nadzieję.

Rozstali się. Zaprowadziłem osłabionego Pawlika do toalety, żeby skropił sobie twarz. Potem ja pobiegłem w kierunku, z którego mogła nadejść Amanda, a Pawlik zobowiązał się przechwycić Reginę. Lokal przy rondzie ONZ był dla nas spalony.

Dwie godziny później spotkaliśmy się w mieszkaniu, które wynająłem dla ciotki na

Solcu. Nie mogliśmy pojąć, dlaczego po przeszło miesiącu spokoju grupa Karakorum wznowiła poszukiwania ciotki. A może wpadła na nasz trop wcześniej. Wyjaśnienia przyniósł świeżo odebrany list z Hawajów.

Otóż, jak pisała zaniepokojona pani Bożenka, parę dni temu zorientowała się, że jest śledzona. Jednocześnie jakiś mówiący doskonałą angielszczyzną żółtek zaczął na ulicy jej kuzynkę, usiłując dowiedzieć się, w jaki sposób zniknął jej polski paszport. Starsza pani udała, że nie mówi po angielsku i zwyczajnie uciekła. Następnego dnia ktoś włamał się do mieszkania pani Bożenki w wieżowcu przy Kings Street. Nic nie zginęło oprócz dużego zdjęcia przedstawiającego ciotkę Reginę na tle wysepki nazywanej Kapeluszem Chińczyka.

— Teraz już wiemy, jak wpadli na trop — powiedziałem. — Nie znaleźli zwłok cioci w Pearl Harbour, więc szukali, szukali, aż się doszukali. Prawdopodobnie mają wtyki w policji i tak trafili na informację o skradzionym paszporcie.

— Pytanie tylko od jak dawna Tedesco kręci się w Warszawie? — westchnęła ciotka.

— Z rozmowy z Żemańskim wynika, że od bardzo niedawna — zauważył Pawlik.

— Z jakim Żemańskim? — ożywiła się Amanda. — Chyba nie z Piotrem? Zdziwiłem się.

— A co ty wiesz o Piotrze Żemańskim?

— Ten polecony przez ciebie ekspert z Ministerstwa Spraw Zagranicznych zupełnie nie orientował się w sprawie. Dla niego Karakorum to są jedynie góry w Azji. Za to dał mi telefon gościa, który podobno jest ekspertem od tych rzeczy, nazywa się właśnie Piotr Żemański.

Aż przysiadłem. Po raz drugi nasze drogi krzyżowały się ze ścieżkami człowieka, którego w całej Warszawie lubiłem najmniej.

— Teraz może ja coś powiem — odezwał się Pawlik — bo też przyniosłem niezwykle informacje.

— Wiemy, odebrałeś dług karciany, a potem dokonałeś gigantycznego daru serca...

— Ale wiecie, dlaczego mi tak łatwo poszło? Mam sojusznika w kręgu Głowonoga. Pamiętasz może, Amando, jak nazywał się twój rosyjski partner od pokera.

— Miał na imię Kola, ale nazwiska nie dosłyszałam.

— Nikołaj Łazarienko, rodzony brat Wasyla z waszej listy superzłoczyńców.

— To bardzo interesujące — ożywiła się ciotka.

— Spotkał mnie na parterze w gmachu redakcji „Prowoka polskiego”. Jeszcze raz pogratulował mi szczęścia w grze. Towarzyszył mi na górę, żeby, jak mówił, „nikto” mnie nie wykolegował. Potem odprowadził na dół. A na koniec zaproponował, abym pracował dla niego. „Są gry pewniejsze niż poker, nawet kiedy ma się do niego wyjątkowe szczęście”, powiedział.

— A ty?

— Poprosiłem o czas do namysłu.

— I słusznie — rzekłem. — Świta mi pewien sposób wygrania naszej pozornie beznadziejnej batalii.

— Słuchamy.

— Gdyby tak udało się poszczuć Karakorum na Sześciu Bardzo Złych Drani...

— Pomysł piękny, ale jak go zrealizować? — zapytała Regina.

— Tego jeszcze nie wymyśliłem.

— Aha, w takim razie pozwólcie mi powiedzieć, czego wywiedziałam się w sprawie świętego Malachiasza.

*

Pośmiertne losy proroka i arcybiskupa Irlandii były nie mniej tajemnicze niż jego proroctwo. Nawet jeśli idzie o miejsce jego pochówku, to żywot wymienia wprawdzie Clairvaux, gdzie zmarł, ale istnieją też hipotezy wskazujące na Irlandię. Również w sprawie relikwii sytuacja jest więcej niż niejasna. Pamiątki pokazywane na Wyspach Brytyjskich są prawie na pewno falsyfikatami. Z kolei szczątki świętych z klasztoru Szampanii w większości przepadły podczas rewolucji francuskiej. I tak z relikwii św. Bernarda przeniesionych w 1790 roku do Ville sous la Ferte ocalała ledwie głowa, przechowywana w katedrze w Troyes.

— Jednakże — opowiada Regina Mirska — ojciec Leon zwrócił uwagę na pewien kompletnie nieznaną incydent. Oto w roku 1833 z więzienia znajdującego się w starym opactwie zbiegło podkopem dwóch więźniów, w tym Giancarlo Bagni, karbonariusz. W parę lat później tenże Bagni wypłynął w Rzymie jako człowiek bardzo zamożny. Kupił sobie szlachectwo, zbudował wspaniałą rezydencję opodal Villi Borghese. Miał w niej wspaniałą kolekcję dzieł sztuki.

— Ciekawe, gdzie się tak dorobił? — wtrąca Maciej.

— Właśnie. W policyjnych raportach dotyczących owego podkopu jest mowa, że zbiegowie przebili się przez podziemną kryptę, zamurowaną jeszcze w czasach średniowiecza, profanując po drodze liczne groby, prawdopodobnie zawierające klejnoty. Znaleziono mnóstwo dobrze zachowanych kości, w tym jeden szkielet pozbawiony prawej ręki...

— O, cholera! — Tym razem to był mój wykrzyknik.

— Władze francuskie uznały te szczątki za niemożliwe do identyfikacji kości mnichów i pochowały je w zbiorowej mogile.

— Ale co z tą ręką? — dopytuje się Amanda.

— Dochodzę do rzeczy. Ksiądz Leon twierdzi, że jeden z polskich emigracyjnych dyplomatów, bodajże Raczyński lub Zaleski, będąc zaproszony do pałacu markiza Orlandi, bo takie nazwisko noszą dziś potomkowie ubogiego karbonariusza, widział wśród innych precjozów fantastycznej roboty relikwiarz średniowieczny ze srebra w kształcie ręki. Nie ma na to żadnych dowodów, ale ojciec Leon, który, będąc w Rzymie, daremnie zabiegał o możliwość zwiedzenia kolekcji, twierdzi, że artefakt może kryć autentyczną rękę świętego Malachiasza.

*

Mimo zapału do działania, ciągle nie mieliśmy planu. Zarysowały się ponadto różne koncepcje. Regina Mirska chciała natychmiast jechać do Rzymu, tak jakby domniemana relikwia świętego proroka mogła stanowić panaceum na siły zła.

— Jak chce ciocia się tam dostać? Bez paszportu? Przecież nie wypuszczą cioci na podstawie świadectwa zgonu?! — ironizowałem.

— Czy w takim razie mamy nic nie robić? — odcięła się ciocia.

Wybraliśmy wariant umiarkowany. Pawlik postanowił spotkać się z Łazarienką, a Amanda zbliżyć, naturalnie bardzo ostrożnie, do Żemańskiego. Za tydzień mieliśmy zamiar wybrać się do Niemiec, aby z bliska obejrzyć biskupa Wondera.

— Mamy mało czasu, wedle tego, co wiem od Anusi, kulminacja zła zacznie się około 13 grudnia. Do tej pory powinniśmy już rozpocząć jakieś przeciwdziałanie.

— Faktycznie, to niebezpieczna dla Polaków data — potwierdziłem — ale przed nami jeszcze dwa tygodnie...

Pozostawała sprawa ewentualnej inwigilacji. Uznaliśmy, że zarówno Pawlik, jak i

Amanda nie mają powodu się ukrywać. Każde powinno więc wrócić do siebie do domu. Ja z ciotką miałem pozostać na Solcu. Przy czym starsza pani, tak pilnie poszukiwana przez zbirów Tedesco, w ogóle nie powinna wychylać nosa z mieszkania.

Ustaliliśmy również system łączności w sytuacjach awaryjnych, a kolejną naradę ustaliliśmy na terenie telewizji. Tim Tedesco z pewnością nie miał przepustki, a ja, imitując głos kogoś z prominentów świata kultury i polityki, telefonicznie mogłem załatwić wejście moim gościom od ręki.

*

Wczesnym popołudniem Zajazd Napoleoński w Wawrze, położony przy szosie wylotowej na Lublin i Terespol, był prawie pusty. Maciej Pawlik zobaczył Nikołaja Łazarienkę studiującego uważnie kartę win. Rosjanin pokiwał mu przyjaźnie i zaprosił do stolika. Był sam, chociaż widoczni za oknem dwaj osiłkowie, czuwający obok białego BMW, bez wątpienia kontrolowali sytuację.

Nikołaj, młodszy od brata o dobre piętnaście lat, wyglądał na typowego biznesmena, wysoki, jasnowłosy, jasnooki, nosił się z niedbałym szykiem, jakby nie pozostał na nim żaden osad dawnego funkcjonariusza Komsomołu. Z miejsca przeszedł na ty.

— Co dla ciebie?

— Herbata — zamówił Maciek.

— Może być z rumem?

— Proszę bardzo.

— Zanim przejdziemy do rzeczy, mam jedno pytanie, które nurtuje mnie od paru dni. Dlaczego to zrobiłeś?

— Znaczy co?

— Dlaczego wpłaciłeś te pieniądze na jakiś idiotyczny charytatywny cel? To kupa szmalu.

Pawlik był przygotowany na to pytanie.

— Powodów jest kilka. Po pierwsze za dużo wygrałem. Ludzie nie lubią, jak ktoś wygrywa zbyt dużo, ale jeszcze bardziej nienawidzą redaktora „Prowoka”, choć chętnie babrzą się w tym jego gównie. Więc jeśli ktoś utrże Głownogowi nosa, nie czerpiąc z tego korzyści, to stanie się automatycznie kandydatem na bohatera jeśli narodowego, to przynajmniej środowiskowego. Sprawa druga. Interesuje się mną policja, izba skarbowa. Mój królewski gest wytrąca wiele argumentów przeciwko mnie.

— Gotowi pomyśleć, że masz dużo większe pieniądze.

— To ich sprawa.

— Interesujące i niestereotypowe rozumowanie jak na tak młodego człowieka — uśmiechnął się Rosjanin. — Zatem pozostaje sprawa druga. Jak to robisz? — nie czekał na odpowiedź. — Nie mów mi, że umiesz grać. Bo wiem coś na ten temat. I nie mów, że miałeś szczęście, a twoja partnerka jeszcze większe. Bo nie uwierzę. Od dziesięciu lat mam sieć kasyn w Moskwie, udziały na Riwierze. Przymierzam się z bratem do przejęcia małego interesu w Las Vegas. Wiem sporo o szulerce. Ale ty nie oszukiwałeś. Obejrzałem sobie nagrany taśmę. Dziewczyna miała bloć w karcie, Jarosław zaś, czy, jak wy go zwiecie, Głownóg, pikowego pokera. Sam mu go dałem. Jakby tego było mało, wiedział, co macie. Operator ukrytej kamery przekazał odpowiednią informację do pluskwy, którą redaktorek miał w uchu. A tymczasem on spasował... Ejże, gdzie tu logika?

— Obawiam się, że moja odpowiedź nie zainteresuje cię, Nikolaju. — Maciek również zdecydował się przejść na ty. — Ale prawda jest taka, że nie wiem. To nie unik. Mam taką przyrodzoną właściwość, że w momencie koncentracji mogę dokonywać paru sztuczek.

— Jakich?

— Czy muszę ci opowiadać o tym teraz?

— Niestety tak. Jeśli chcemy zostać przyjaciółmi, a ja mam puścić w niepamięć skasowanie na drodze pod Powsinem nowego BMW...

— No więc mam pewną umiejętność koncentracji. Mogę na przykład spowolnić kulkę na tarczy ruletki albo na chwilę wprawić kogoś w stan oszołomienia, jak stało się z Głownogiem, albo zakłócić koordynację ruchów, tak że samochód wypada z szosy. Oczywiście, kosztuje mnie to bardzo dużo energii. Później jestem do niczego. Ale dla domowych celów wystarcza.

— To wszystko?

— A co można robić więcej? Lewitować ani przechodzić przez ściany nie potrafię.

— Tego nie wymagam. I tak umiesz dużo więcej niż nasz znajomy telekinetyk z Kaługi, z którym pracowaliśmy jakiś czas temu.

— Chętnie wymieniłbym z nim doświadczenia.

— To byłoby trudne. Sasza nie żyje. Badając jego możliwości, zamknęliśmy go w sejfie. Miałem nadzieję, że otworzy go od wewnątrz. Myliłem się...

Pawlik poczuł dziwne ssanie w dołku.

— Zanim przejdziemy do przystawek, jeszcze jedno pytanie. Dlaczego tak otwarcie wyjawiasz mi swoją tajemnicę?

— Bo mam wyboru. A twoi... pracownicy mają, zdaje się, szeroki asortyment środków perswazyjnych. Wiem, że niepotrzebnie się za bardzo odkryłem, chcąc zaimponować dziewczynie, ale trudno, stało się. Więc teraz nie będę się wykręcał. Wiem, że jestem zbyt cenny, żeby robić mi krzywdę.

Łazarienko wybuchnął śmiechem.

— To mi się podoba. Boże ty mój, jak ja kocham szczerłość u tych młodych. Zatem szczerłość za szczerłość. Chcę, żebyś dla nas pracował. Za dziesięć dni spotykam się z moim bratem, chciałbym, żeby cię poznał. A o Głownoga się nie martw. Mamy go na smyczy. Poza tym przegrani nigdy nie mają racji.

*

Na spotkanie z Żemańskim Amanda ubrała się w stonowany kostium w stylu lat siedemdziesiątych, tyle że przy swej figurze nawet w habicie wyglądałaby seksownie. Zależało mi, żeby wyglądała trochę jak moja Magda, kiedy Piotr ją poznał. I rzeczywiście dziewczyna zrobiła na starym lowelasie olbrzymie wrażenie. Obiecał wszechstronną pomoc i obsypał komplementami.

Amanda opowiedziała mu, że studiuje politologię w Toronto i pisząc pracę o perspektywach nowego układu w geopolityce, zainteresowała się coraz bardziej na wpływającym tajemniczym konsorcjum Karakorum.

— Tyle że na ten temat nie znalazłam żadnych wartościowych informacji — stwierdziła.

— Bo to termin wymyślony przez pismaków — skrzywił się Żemański. — Określają nim szereg nie mających ze sobą wiele wspólnego inicjatyw, takich jak na przykład współpraca krajów islamu z Chinami w dziedzinie energetyki nuklearnej czy bankowości. Być może w dalszej perspektywie czasowej będziemy mogli mówić o formowaniu się czegoś na kształt Azjatycko-Afrykańskiego Wspólnego Rynku, ale na

razie jest to pieśń odległej przyszłości.

— A sojusz militarny?

— Takie anty-NATO? Czysta fantazja, panienko! Nic takiego nie kluje się nawet w sferze koncepcji.

— Jest pan pewien?

— Oczywiście, uczestniczę w stałej misji kontaktowej, która w charakterze obserwatora bierze udział w naradach gospodarczych krajów rozwijających się.

— To oficjalna inicjatywa polskiego rządu?

— Patronat sprawuje sam pan prezydent — pokiwał głową z pobłażaniem dla ignorancji dziewczyny, najwyraźniej nieświadomej, gdzie w Polsce znajduje się faktyczne centrum władzy. — Jeśli interesuje panią ten aspekt spraw, na następne spotkanie dostarczę wszystkie potrzebne materiały.

— Bardzo mnie to interesuje — powiedziała, patrząc mu głęboko w oczy.

*

W ciągu następnych paru dni nie zdarzyło się nic godnego uwagi. Amanda dwa razy spotkała się z Żemańskim. Za pierwszym razem przyniósł jej kwiaty. A za drugim wspomniane dokumenty. Nalegał na spotkanie na bardziej neutralnym gruncie. Amanda wykręcała się umiejętnie, nie chcąc stracić kontaktu, a zarazem nie wpakować się w sytuację bez wyjścia. Nie miałem do niej żadnych praw, ale myśl, że i ją mógłby przywłaszczyć sobie ten no menklaturowy dupek, napawała mnie głuchą furją. Tim Tedesco jeszcze przez dwa dni kręcił się po Warszawie, ale chyba wiele się nie dowiedział, bo trzeciego zwolnił apartament w hotelu Mercure i z Okęcia odleciał w świat.

Ciocia cały wolny czas spędzała na studiowaniu literatury dotyczącej świętego Malachiasza i nie odrywała się od takich dzieł, jak *Złota Legenda* Jakuba de Voragine czy *Żywoty świętych Starego i Nowego Zakonu* pióra samego księdza Skargi.

Pawlik tak bardzo, wydawało się, zapomniał o swoim zdrowiu, że nawet nie poszedł do lekarza, spędził za to parę miłych wieczorów z Nikołajem Łazarienką. Rosjanin cały czas testował możliwości chłopaka, ten zaś bardzo uprzejmie zdradzał mu jedynie skromną ich część. Wiedział, że przeciwnik nie może dowiedzieć się o jego umiejętności wchodzenia w cudzą jaźń. Telekineza, bardzo proszę, ale nic ponad to. Wreszcie razem polecili do Wrocławia, gdzie w Hali Ludowej zorganizowano mecz polskiego boksera z czarnoskórą gwiazdą zawodowego boksu. Bukmacherzy przyjmowali zakłady w stosunku 1:15, ale Maciek poradził mi obstawiać Polaka.

Pojedynek obserwowałem w telewizji. Od pierwszej rundy Murzyn, wyższy i bardziej ruchliwy, zdominował Polaka, gonił go po ringu jak psa, punktował, rzucał na deski. Aplauz wrocławskiej widowni z początku gigantyczny, malał z każdą chwilą, aż przemienił się w grobową ciszę.

— Biedak nie doczeka czwartej rundy — zawyrokowała ciotka, unosząc głowę znad sterty żywotów świętych. — Za chwilę będzie się nadawał wyłącznie na befszytk tatarski. Na co on jeszcze liczy?

— Na jeden rozstrzygający cios. Ma dynamit w pięści.

— Nie ma żadnej szansy na przełamanie gardy przeciwnika. Poza tym już jest zamroczony.

W połowie trzeciej rundy sędzia przerwał na moment lawinę ciosów Amerykanina i oglądał rozcięty łuk brwiowy Polaka. Rozległy się gwizdy.

— Boks! — zawyrokował arbiter.

Wrócili na środek ringu. Murzyn miękkiem, nieomal baletowym krokiem i nasz —

ciężki i niezdarny jak lokomotywa. Od pierwszych sekund polski pięściarz ruszył z furją do przodu. Dwa lekkie ciosy w korpus nie powstrzymały go. Wyprowadził prosty. I wtedy stało się coś niesamowitego: na ułamek sekundy Murzyn zamarł, spoconą twarz przebiegł grymas. Wydawało się, że jego lewa ręka waży tonę. Nie mógł jej podnieść, zasłonić się, po prostu nie mógł. W ciszy, która zapadła w Hali Ludowej, rozległo się uderzenie. Cios naszego rodaka trafił w podbródek Afroamerykanina, a ten oderwał się od ringu, poleciał w liny, a potem runął na ziemię. Walka była skończona.

Tłum wyniósł Polaka na rękach, Pawlik pożegnał się, miał nocny pociąg do Berlina, natomiast Łazarienko pobiegł do kasy. Obstawiając zgodnie z radą Maćka, wygrał górę forsy. Nie było co zwlekać — z hotelu Wrocław, podłączywszy do aparatu urządzenie szyfrujące, zadzwonił do brata.

— Mam kogoś dla nas. Fantastyczny chłopak. Mistrz telekinezy. Trzy razy lepszy od tego nieszczęsnego Dmitriakowa. — Podniecony zrelacjonował mu, jak doszło do wygranej. — Musisz koniecznie go poznać.

— Będę w Warszawie za tydzień — odparł Wasyl. — Chętnie go zobaczę. Tylko czy nie bierzesz pod uwagę, że ktoś mógł go nam podstawić?

— Wątpię, to młody chłopak. Ma najwyżej dwadzieścia lat...

— A jak się nazywa?

— Maciej Pawlik.

— Maciej Paw...?

— ...lik. Czy coś nie w porządku?

Wasyl milczał dłuższą chwilę.

— Dobrze — rzekł wreszcie. — Przyjadę wcześniej. Pojutrze. I pilnuj dobrze chłopaka, żeby gdzieś się nie zawieruszył.

— Ale czy coś się stało? — Nikołaj był trochę zaniepokojony.

— Porozmawiamy, jak przyjadę.

W pięć minut potem skontaktował się z Harrym Meyerholdem, którego bezceremonialnie wyciągnął ze spotkania w Owalnym Gabinetce.

— Chyba znaleźliśmy chłopaka. Ma nieprawdopodobne zdolności parapsychologiczne — w paru słowach streszcza informacje otrzymane od brata.

— Świetnie. Przyślę wam do pomocy Fergusona. Ma doświadczenie z takimi odmieńcami.

— Poradzimy sobie sami, Harry.

— Nalegam. W końcu z tego, co powiedziałaś, może równie dobrze wynikać, że to nie twój brat odnalazł chłopaka, a przeciwnie, chłopak odnalazł jego.

*

Następnego dnia spotkałem się z Maćkiem i Amandą na lotnisku we Frankfurcie. Dla bezpieczeństwa Pawlik przyleciał via Berlin, Amanda przez Gdańsk. A ja przeżyłem prawdziwe męki przy kontroli paszportowej, zastanawiając się, czy pan Byrnes nie zgłosił już przypadkiem utraty paszportu. A potem już wspólnie udaliśmy się do katedry kolońskiej na spotkanie z biskupem Wonderem.

Na adwentowe spotkanie do katedry położonej opodal Hauptbahnhof ściągnęto dużo więcej ludzi, niż można by się spodziewać w tej zlaicyzowanej metropolii. Tłum wypełniał katedrę. Tłoczył się na placu, a nawet na wielkich schodach opadających nad brzeg Renu. Zdawać się mogło, że przyjechał sam papież albo co najmniej radziecki kosmonauta. Jednak dziwny to był tłum — przeciskając się przez ciżbę do wrót świątyni, zauważyłem, że nie sposób dostrzec w nim ludzi starszych,

rozmodlonych, nie ma też robotników czy przeciętnych gosposi domowych. Przeważali kolorowi, długowłosi, nierzadko z kółkiem w nosie czy kolczykiem w uchu. Tu i ówdzie zaleciał zapaszek marihuany. Geje bez fałszywego wstydu obejmowali się ramionami, lesbijki ścisnęły za ręce... Zaiste interesujący był obraz tej nowej owczarni.

Nie było dzwonów ani organów. Grała za to perkusja i samotny saksofon z dość swobodnymi wariacjami na temat Bacha. Dźwięk wznosił się nerwowym tremolo. Nagle umilkł.

— Witajcie, bracia i siostry — powiedział Filip Wonder głosem dźwięcznym, męskim, fascynującym. Odpowiedziała mu wrzawa godna powitania gwiazdy rocka. — Cieszę się, że jesteśmy razem. Dobrowolnie. Zgromadzeni potrzebą poszukiwania, jaką wyzwalają czasy, które nadchodzą. Bo nadchodzi nowy wiek. Bo rodzi się nowy człowiek. Człowiek wolny i szczęśliwy. A czymże jest szczęście? Wolnością. A sama wolność? Wyzwoleniem. Bywały czasy zbudowane na bojaźni, rygorach, fałszywej pokorze i dwuznacznej dyscyplinie. A przecież powołaniem jednostki jest miłość i wolność. Tedy miłujmy się bez granic! — Znów wrzawa. — Zarzucają mi niekiedy, że moje nauczanie podważa fundamenty Kościoła. Nic mylniejszego! Ono je rozszerza. Mój Kościół bowiem nie ma drzwi i okien, nie ma ścian, nie ma wież. Jest światem. Jest wami. Jest tolerancją.

Im dłużej trwało kazanie, tym bardziej byliśmy zdumieni. Z ust Wondera, szczupłej postaci na schodach prezbiterium, wyświetlanej równocześnie na dziesiętce telebimów, lał się potok słów. Tyle pięknych, co niekonkretnych. Wolność, Człowiek, Jednostka, Miłość, Tolerancja. Ani razu nie padły słowa: Obowiązek, Grzech, Pokuta, Odkupienie. Nie było żądań wobec ludzi, były same komplementy. Ani razu nie pojawiło się słowo Bóg.

Nie miało to jednak żadnego znaczenia dla słuchających. Tłum elektryzowała czysta ekspresja biskupa. A także to, że mówił to, co chciano usłyszeć.

— Jesteśmy razem?

— Jesteśmy!!!

— Jaki będzie przyszły świat?

— Naaasz!!!

— Jaki będzie kościół XXI wieku?

— Naaasz!!!

Obok nas przy filarze w rytm tych słów poruszał się młody kleryk. Wpatrzony w Wondera, na każde słowo reagował jak na elektryczny impuls. Mimo to dostrzegł, że mu się przypatrujemy.

— Fantastyczne, prawda!? — wykrztusił.

— Niezłe — odpowiedziała Amanda. — Chociaż Michael Jackson jest lepszy.

Zagłuszył nas kolejny podmuch wrzawy.

— A więc pytam was, bracia, ufacie mi?

— Ufamy!

— Pójdziecie ze mną?

— Pójdziemy!

— Kto pójdzie?

Las rąk wypełnia katedrę.

— Zatem czekajcie w skupieniu, albowiem czas nasz nadchodzi. A szczęśliwości powszechnej nie będzie końca. Amen...

Z ciemnego kąta zza filara dobiega nas bełkot. Zaglądam tam. Beznogi siwy żebrak kuli się ogarnięty najwyższym przerażeniem. Zasłania się uschniętą ręką, a potem wyciąga ją w karykaturalnym: „Sieg heil!”, a z bezzębnych warg dobywa się jedno słowo: „Diabeł, diabeł, diabeł!”

*

— I co o tym myślicie? — spytałem moich młodych współpracowników, gdyśmy z dala od antynabożeństwa posilali się w przepięknej, stylowej restauracji opodal ratusza.

— Obły dupek — skwitował Pawlik.

— Jednak ma charyzmę.

— To nie charyzma, to opakowanie — sprzeciwiła się Amanda. — Pięknie brzmiące słowa bez jakiejkolwiek treści. Coś w sam raz dla ludzi od lat karmionych reklamami. Czy on coś w ogóle powiedział? Nie, truł o niczym, jakby zachwalał nowe podpaski czy szampon.

— Ale czemu przyszli tak tłumnie, czemu go słuchali?

— Bo takie zgromadzenia są przyjemne. Zaspokajają potrzebę życia stadnego. Są namiastką uczucia wyższego rzędu.

— A skąd ty jesteś taka mądra? — zdziwił się Maciek.

— W odróżnieniu od większości uczestników tamtego zgromadzenia przeczytałam parę książek.

Sądzę, że jej diagnoza była trafna. Czasy proroków, podobnie jak prawdziwych mężów stanu, na naszych oczach minęły. Żyjemy w erze showmanów i akwizytorów. I ta konstatacja przynębiła mnie jeszcze bardziej.

W drodze powrotnej ostrożność podyktowała nam zajęcie oddalonych od siebie miejsc w samolocie. Pawlik, jak zwykle nie licząc się z forszą, leciał biznesklasą. Amanda uważała, że moja ostrożność jest mocno przesadzona, ja jednak postawiłem na swoim. Na Okęciu stanęliśmy również w osobnych kolejkach. W hali przylotów otoczyło nas natychmiast mnóstwo taksówkarzy, oferując swoje usługi. — Mam wóz na parking — panna Reger prześlizgnęła się wśród nich zwinnie. Ja skręciłem do kiosku po gazety. I wtedy zobaczyłem dwóch drabów, którzy wyrosli nie wiadomo skąd po obu stronach Pawlika. Jeden ujął go pod ramię, drugi przytknął do pleców rękę przykrytą płaszczem przeciwdeszczowym. Maciek nie próbował się bronić. Z piskiem opon na podjeździe pojawił się stary polonez. Chłopak został nieomal wciągnięty do środka, po czym auto błyskawicznie odjechało, zanim ktokolwiek zareagował. Policjanci, handryczący się z jakąś paniusią, która zaparkowała wóz w niedozwolonym miejscu, nawet nie odwrócili głów.

16.

Powiada mądrość ludowa — z sytuacji bez wyjścia zawsze można wyjść bez wyjście.

Siedzieliśmy, milcząc, wokół stołu w kawalerce na Powiślu. Dotarliśmy tu każde osobno, dbając pilnie, aby nie przyczepił się do nas żaden „ogon”. Chyba nikt nas nie śledził, mimo to cała trójka, wsłuchana w odgłosy dobiegające z ulicy, trwała w napięciu, że być może w każdej chwili „kolbami w drzwi załomocą”. Porwanie Pawlika zdruzgotało nas. Jedyne as atutowy naszej grupki znalazł się w rękach wroga. Nawet Amanda, tak zazwyczaj optymistyczna, nie potrafiła oprzeć się przygnębieniu.

— Uważam, że musimy zawiesić akcję — powiedziałem wreszcie. — Amanda wróci do Kanady, my z ciotką zaszyjemy się w Częstochowie... — Urwałem, widząc, jak Regina Mirska gwałtownie uniosła głowę.

— Nie bój nic! Wszystko jest pod kontrolą — rzuciła. Aż podskoczyłem:

— Co ciotka powiedziała?

Zamrugła oczami, jak człowiek wyrwany ze snu.

— Ja? Ja przecież nic nie mówiłam. A co, coś mówiłam?

— To Maciek! — domyśliła się Amanda. — Daje nam do zrozumienia, że wszystko jest w porządku.

— Kontroluję sytuację — powtórzyła ciotka, po czym, orientując się po naszych minach, co się stało, zaprotestowała gwałtownie. — Nie może włączyć w nikogo innego, tylko we mnie!

— Widocznie z całej naszej trójki ciotka jest najlepszym medium — powiedziałem. — Mimo to uważam, że powinniśmy opuścić Warszawę. Bandziory zrobią z nim, co zechcą, a jeśli nas sygnie...

— Nie sygnie — przerwała ostro Amanda. — Znam go najlepiej z was i widziałam, do czego jest zdolny. Jeżeli dotąd przebywa w niewoli, to znaczy, że chce tam być, że uznał, iż to najlepszy sposób, aby dostać się do jądra Zła.

*

Już po kilkunastu minutach od momentu porwania Maciek wiedział, że nie należy lekceważyć przeciwnika. Rosjanie — nie padło między nimi ani jedno słowo, ale ich tożsamość nie budziła wątpliwości — należeli do zawodowców. Gdzieś kilometr za lotniskiem, na bocznej uliczce polonez został zastąpiony przez białe BMW z przyciemnionymi szybami. Manewr ten nie trwał dłużej niż parę sekund. Pawlik rozważał szansę ucieczki. Na razie nie miał szans, napastników było trzech, nawet więc gdyby wniknął w jaźń jednego z nich, pozostali opanowaliby sytuację. Po niecałej godzinie dotarli do wolno stojącej, otoczonej sosnowym lasem willi gdzieś w rejonie Sękocina. Pawlik został zaprowadzony do piwnicy. Nie kneblowano go, nie wiązano mu rąk. Można powiedzieć, traktowano z szacunkiem. Ze swej strony nie próbował nawiązywać kontaktu z porywaczami. Co chyba trochę ich dziwiło.

Piwniczna cela nie miała okien, a solidne drzwi opatrzone aż trzema nowymi zamkami. Najwyraźniej obawiano się telekinetycznych zdolności Maćka. Jakby tego było mało, za drzwiami czuwali dwaj uzbrojeni strażnicy. Natomiast wszystkie trzy klucze miał dowódca przebywający na górze.

Czyżby podejrzewali, że stać mnie na dużo więcej, niż dotąd im pokazałem? —

zaniepokoił się nie na żarty. Mimo to skupił wszystkie siły i przekazał nam uspokajający meldunek. Potem wyczerpany legł na pryczy i przysnął. Każda cząstka jego mocy była teraz na wagę złota.

Nikołaj Łazarienko pojawił się dopiero rano. Nie wszedł do celi. Jedna ze ścian rozsunęła się, ukazując pancerną szybę. Głos mafiosa dobiegał za pośrednictwem mikrofonu.

ŁAZARIENKO: — Zawiodłem się na tobie, Maciej!

MACIEJ: — Nie wiem, o czym mówisz, Nikołaj. Co to za numery jak z kiego Bonda, porywacze, więzienie?

ŁAZARIENKO: — Nie powiedziałeś mi wszystkiego. Teraz powiesz.

MACIEJ: — Zaraz! Powiedziałem ci wszystko, co chciałeś wiedzieć.

ŁAZARIENKO: — Dla kogo pracujesz?

MACIEJ: — Dla siebie.

ŁAZARIENKO: — Nie chcę stosować nieprzyjemnych metod, ale obawiam się, że mój brat nie będzie miał takich obiekcji.

MACIEJ: — Powiem wszystko, co zechcesz.

ŁAZARIENKO: — Co mówią ci nazwiska Anna Karpicka, Regina Mirska...?

MACIEJ: — Słyszę je po raz pierwszy w życiu, a pamięć mam dobrą.

ŁAZARIENKO: — Postaraj się o lepszą. Edwin Benton?

MACIEJ: — Nie znam.

ŁAZARIENKO: — Five Oaks' Farm...?

MACIEJ: — Nie wiem, co to ma być.

ŁAZARIENKO: — Miałem nadzieję, że pogadamy po dobroci...

MACIEJ: — Czekaj, Kola, porozmawiajmy inaczej. Wiem, że z jakiegoś powodu straciłeś do mnie zaufanie. Nie proszę cię nawet, żebyś mi mówił, z jakiego. Proszę cię o jedno. Na moment załóż, że podejrzenie jest niesłuszne, że to pomyłka albo że zostałem wrobiony. Przecież niezależnie od metod, które zastosujecie, nic z tego, co chcielibyście usłyszeć, wam nie powiem, bo po prostu nie wiem. Poddajcie mnie wykrywaczowi kłamstwa, prześwietlcie mój życiorys... Zawsze działałem na własny rachunek. Nigdy nie współpracowałem z policją! To chyba da się sprawdzić. Proszę!

Argumentacja brzmi przekonująco. Łazarienko namyśla się. Za to stojący obok Igor wręcz pali się do roboty.

— Może go trochę przycisnę — proponuje. — To mięczak, zaręczam, będzie śpiewał.

— Padażdi, nie chciałbym uszkodzić jego cennych umiejętności. Nie ucieknie nam, lepiej rzeczywiście posprawdzajmy, jak sugeruje. Pozwolimy mu gadać, o czym chce.

— Drobnym łomotem jeszcze nikomu nie zaszkodził.

— Zostawmy to do przybycia Wasyla. Poza tym jeszcze dziś musisz dopilnować transportu...

Pawlik nie próbuje nawet odgadnąć, o czym mówią, intensywnie przygląda się Igorowi. Miał okazję już go poznać podczas porwania. Zimny, precyzyjny rzeźnik o dość nieskomplikowanej psychice. Wniknięcie w jego jaźń nie powinno być specjalnie trudne.

Zadanie, które dzisiejszej nocy przypadło zrealizować Igorowi, wydawało się proste. Odebrał informację z Mińska, którą po rozszyfrowaniu miał przekazać do Terespoli i szefowi zmiany celników, zaczynającej pracę o północy. Nie robił tego pierwszy raz. Równocześnie dwie ekipy miały sprawdzić drogi, aby tir nie nadział się na nieoczekiwaną kontrolę jakichś nadgorliwców. Przygotowany został punkt przeładunkowy. Sam celnik był skorumpowany od dawna. Musiał tylko wiedzieć, jaki

samochód konkretnie ma wziąć pod swoją opiekę. Trzeba było też zadzwonić do faceta z GUC-u, aby upewnić się, czy Warszawa nie przewiduje jakiejś niespodziewanej kontroli.

Pawlik na moment powierzchownie wcielił się w Igora, zapamiętał, co ważne, a potem znów wniknął w jaźń cioci Reginy.

Dwie godziny później, zmieniwszy swój głos na aksamitny bas, dzwonię do Urzędu Ochrony Państwa i anonimowo podaję namiary ciężarówki należącej do Global-Avto-Trans przybywającej z głębi Białorusi. Dorzucam nazwisko skorumpowanego celnika oraz informatora mafii z Głównego Zarządu Ceł. Potem szybko odkładam słuchawkę.

Kwadrans po północy jest po wszystkim. Celnik przebywa w areszcie, a wybebeszonego tira otacza grupa komandosów z grupy antyterrorystycznej. Łup jest nieprawdopodobny. Od amfetaminy po broń, od fałszywych marek niemieckich po blankiety dowodów rejestracyjnych... Zaiste organizatorzy musieli być przekonani o stuprocentowej bezkarności.

O 6.30 mały odrzutowy samolot Wasyla Łazarienki znajduje się już na wysokości Bornholmu, kiedy docierają do niego dwie dość podobnie brzmiące wiadomości — od zakonspirowanego informatora w sferach władzy i od brata. „Transport wpadł. Waldek z GUC-u aresztowany. Prokuratura otrzymała nakaz zajęcia się spółką Global-Avto-Trans”. Kwestią godzin będzie ustalenie, do kogo należy firma. Mimo statusu dyplomaty Wasyl woli nie ryzykować. Samolot zmienia kurs, kierując się ku Helsinkom.

*

Furia Nikołaja jest straszna. Tym bardziej, że podszywa ją strach. Łazarienko miota się po domu, klnie, grożąc śmiercią Igorowi i jego patałachom. Jednak Igor nie wygląda na przestraszonego, upiera się, że nie popełnił żadnego błędu. Prędzej przeciek mógł wystąpić w GUC-u. Mogli namierzyć Waldka. Przycisnąć... I Polaczek wszystko wyśpiewał. Drugi z goryli Nikołaja, ospowaty Borys, jest ciężiej przestraszony:

— Powinniśmy stąd wiać, szefie — powtarza.

— Wiać? — naraz gniew Nikołaja zmienia się w chłodną kalkulację. — Niby czemu? Oficjalnie nic nas nie łączy z Global-Avto-Transsem.

— Jednak rozszyfrowanie waszych rodzinnych interesów nie zabierze UOP-owi wiele czasu.

— Bez paniki. Nic nam nie zrobią. Jestem biznesmenem i mam status radcy ambasady Kazachstanu. W najgorszym razie mogą nas wydalić.

— W takim razie stuknijmy przynajmniej tego chłopaka. Jeśli zrobiono by tu rewizję, leżymy... — sugeruje Borys.

— Wolałbym tego uniknąć. Chłopak jest bardzo cenny. No, chyba że zmusi nas sytuacja...

Rozmowę przerywa telefon. Starszy Łazarienko dzwoni z Helsinek. Nie daje odczuć, że jest wściekły.

— Straty są do odrobienia — stwierdza krótko. — Na razie powinieneś wyjechać z Polski. Wysyłam po ciebie samolot. O czwartej zabierze cię z Okęcia.

— A młody Polaczek? Chłopak wszystkiemu zaprzecza. Faktycznie nie mamy żadnych dowodów na jego kontakty z kimś zamieszkanym w aferę w Wyoming. Może dopiero planowano wykorzystać jego umiejętności przeciw nam...

— Wyjaśnimy to, weźmiesz go ze sobą.

- Ale jeśli zechcą nas skontrolować na lotnisku? Może sprawiać kłopoty...
- Znam twoją umiejętność perswazji, Kola. Chłopak nie będzie robił głupstw, ma sporo do stracenia, sam mi mówić: matka, młodsza siostra...
- Dwóch ludzi w Aninie ma je stale na oku.
- Zatem nie zrobi żadnego głupstwa, dasz mu papiery kogoś z naszych. Na miejscu będzie na was czekał ekspert od tych spraw. Paru moich partnerów jest zainteresowanych, aby poznać tego Pawlika osobiście.
- Gdzie się spotkamy?
- Oleg, mój pilot będzie wiedział.

*

Koło południa wyprowadzono go z piwnicy. W salonie czekał na Maćka Nikołaj Łazarienko, uśmiechnięty, z dwoma kieliszkami koniaku w rękach.

— Miałeś rację — zagał. — Nie ma żadnych dowodów, że kiedykolwiek działałeś przeciwko nam.

— Uwolnicie mnie?

— Jesteś wolny. Chociaż chciałem cię po przyjacielsku i prosić, abys pojechał ze mną.

— Gdzie?

— Za granicę. Oprócz mego brata, który aktualnie nie może nas tu odwiedzić, chce cię poznać jeszcze kilku ludzi.

— Rozumiem, że jest to propozycja nie do odrzucenia...

— Maładiec! Lubię takie stawianie spraw. Wszystko będzie dobrze. Podczas twojej nieobecności moi ludzie obejmą pieczę nad twoją rodziną. Matką, siostrzyczką...

Pawlik był chmurny, jak człowiek działający pod przymusem. Jednak wewnątrz odczuwał dreszcz emocji. Sprawy toczyły się korzystniej, niż przypuszczał.

Po krótkiej odprawie, podczas której nikt szczególnie nie przyglądał się „Matwiejowi Pawlukowi”, kieszonkowy odrzutowiec Łazarienki opuszcza Warszawę. Niski pułap chmur nie pozwolił porwanemu zorientować się, w jakim kierunku lecą. Nikołaj zniknął w kabinie pilota, pozostawiając Maćka sam na sam z Igorem. Chłopaka korciło, aby wejść w skórę gangstera, a następnie zmusić go do opuszczenia samolotu w locie. Postanowił jednak odłożyć tę formę odwetu. Przyjemność na później. Plan, który urodził się w jego głowie, będzie wymagać wiele wysiłku.

Lot trwał niecałe dwie godziny, po czym samolot zaczął obniżać pułap. Pawlik wyrzwał przez okienko. Widział wyraźnie linię wybrzeża inkrustowaną setkami świateł. Grecja? Riwiera? Przeszedł na drugą stronę salonki, tu mrok rozświetlały dziwne płomienie. Jakaś katastrofa? Dopiero po chwili zorientował się, że ogień i dym wydobywają się ze stożka góry. Zgrzytnęły koła na pasie lotniska. Za oknem mignęły zabudowania terminalu. Kolorowy neon AEROPORTO FONTAROSSA DI CATANIA. Wszystko stało się jasne. Płonącą górą była przeżywająca kolejny okres swej aktywności Etna, a samolot rosyjskiego mafiosa wylądował na Sycylii.

Przybysze szybko mijają przejście dla vipów. Po drugiej stronie oczekuje tęgawy facecik o zimnym spojrzeniu. Maciek zna go z naszego opisu — doktor Ferguson!

Tę informację trzeba szybko przekazać pani Reginie. Razem z planem.

*

Dokładnie dwadzieścia godzin później w restauracji hotelu Sheraton przy placu

Trzech Krzyży Amanda Reger spotyka się z Żemańskim. Przyjęła zaproszenie na popołudniową kawę. Pan Piotr przyniósł jej obok kolejnych materiałów do pracy, bukiet kwiatów.

— Będiesz miała wolny najbliższy weekend? — rzuca niedbale.

— Kiedy to będzie... koło 13 grudnia? A co chcesz mi zaproponować?

— Jedenastego jadę do Włoch na spotkanie z kontrahentami. Wenecja, Rzym, można by zrobić zakupy przedświąteczne.

— Musiałabym się zastanowić... — Regerówna uśmiecha się tajemniczo.

Komórkowiec Żemańskiego wygrywa skoczną melodyjkę. Piotr niedbałym ruchem wydobywa aparat i przeprosiwszy Amandę rzuca:

— Słucham!

Jeszcze chwila, a zmieniony na twarzy, mówi: „Poczekaj” i wychodzi do holu. Nie chce prowadzić tej rozmowy: przy świadku. Nawet gdy jest tak uroczy.

Kwadrans wcześniej Magda Łańska-Żemańska, królująca w swym butikiu na Krakowskim Przedmieściu, odebrała dziwny telefon.

— Pani Żemańska?

— Tak, a kto mówi?

— Moje nazwisko nic pani nie powie. Mam do przekazania ważną wiadomość od pani Mirskiej.

— Od pani Mirskiej...

— Chyba dobrze dzwonię, dostałam od niej pani numer i pani Ireny Łańskiej, ale tam nie mogłam się w żaden i sposób dodzwonić...

— Proszę pani, Renata Mirska nie żyje, zginęła w katastrofie samolotowej w Kanadzie.

— W takim razie rozmawiałam z jej duchem. Tylko nie wiem, co taki duch mógłby robić w toalecie na lotnisku. Pani Mirska była bardzo zdenerwowana. Twierdziła, że dopadli ją, cytuję, „ci sami, co podłożyli bombę w Thunder Bay”, że prawdopodobnie zamierzają ją wywieźć za granicę prywatnym samolotem. Że prosi o przekazanie wiadomości rodzinie... I żeby nie podnosiła alarmu na lotnisku, bo mnie zabiją.

— To wszystko?

— Kiedy wyszłam z toalety, zobaczyłam, że czeka na nią dwóch takich bandziorów, jeden ospowaty, a drugi, mówię pani, Cygan z gębą Ukraińca. Strasznie się przestraszyłam, ale ponieważ mam czas do odlotu poleciałam na taras widokowy dla oczekujących. I widziałam, jaki startuje taka mała odrzutowa maszyna. Dzwonię dopiero dzisiaj, bo wczoraj nie było mnie w Warszawie... To wszystko. Czas na mnie.

Przez chwilę Magda trwała bez ruchu. Potem przypomniała sobie, że Piotr prosił ją o natychmiastowe przekazanie wiadomości, gdyby doszło do niej cokolwiek na temat Andrzeja Łańskiego lub ciotki Reginy. Zadzwoiła więc do męża. Najpierw do biura, a gdy okazuje się, że tam go nie ma, na komórkę.

Jak przewidzieliśmy, telefon Amandy, podszywającej się pod „przypadkową kobietę z toalety”, uruchomił lawinę. Żemański błyskawicznie skontaktował się z Timem Tedesco załatwiającym jakieś sprawy w Amsterdamie. Ten połączył awaryjną linię z Hongkongiem, gdzie wiadomość odebrał mężczyzna nazwiskiem Wan Deng odpowiadający w grupie Karakorum za „Akcje Zagraniczne”.

Już po trzech godzinach ustalono, że prywatny samolot, który o 16.05 oderwał się od płyty Okęcia, należał do Wasyla Łazarienki, że odbył lot na trasie: Warszawa-Wiedeń-Katania na Sycylii-Genewa, aby powrócić do Finlandii. Jednak, jak sprawdzono, a ludzie konsorcjum mieli swoje kontakty wszędzie, na żadnym ze wspomnianych lotnisk nie wysiadła kobieta o wyglądzie choćby zbliżonym do Reginy

Mirskiej. Ponieważ jednak, co stwierdzili technicy z obsługi lotniska w Helsinkach, nikt również nie pozostał na pokładzie, było jasne, że albo pasażerka wysiadła w locie, albo nigdy nie wsiadła do prywatnego odrzutowca. Nie została też odnotowana podczas wylotu z Warszawy, ale mogła mieć przecież inny paszport na inne nazwisko. Żemański, który ku swemu żalowi, musiał przerwać obiecujące spotkanie z Amandą (umówili się na wieczór), wysłany został na Okęcie, gdzie przepętał parę osób z personelu w hali odlotów. Starsza pani nikomu jakoś nie rzuciła się w oczy. Zapamiętano natomiast dyżurujących pod toaletą ospaniałego Rosjanina i drugiego z gębą jak ulał odpowiadającą opisowi Amandy.

To wystarczyło, aby sprawie nadać najwyższy priorytet. Dziesiątki agentów Karakorum rozpoczęły poszukiwania. Nakazano inwigilację Łazarienki i śledzenie jego kontaktów. W Iranie pod wodzą niejakiego Selima rozpoczęto szybkie doszkalanie kilkunastoosobowej grupy komandosów z IGW — Interwencyjnej Grupy Wsparcia.

Oczywiście wówczas nie miałem pojęcia, że tak się sprawy potoczyły. Choć, nie taję, żywiłem ogromną nadzieję, że właśnie tak się potoczą.

*

Niedaleko malowniczego przełomu Alcantara leży osada Passopisciario, stanowiąca jeden z punktów wypadowych dla turystów wspinających się na główny szczyt Etny. Osada ta ciągle nosi ślady zniszczeń wynikłych z minionych erupcji wulkanu. Mimo że ostatni poważniejszy wylew miał miejsce w 1947 roku, do dziś dnia zachowały się zakrzepłe szerniałe potoki lawy, które wśród wiecznie zielonych cyprysów przypominają cielska ogromnych skamieniałych gadów. Tu i ówdzie straszą ruiny domostw, pochłoniętych przez ogień i już nie odbudowanych, chociaż nadzwyczajna urodzajność gleby sprawia, że nigdy nie brakło chętnych pragnących żyć na wulkanie. Nieco wyżej i w stronę Montelaguardia wznosi się ponury dom, przypominający bunkier, niewidoczny od drogi i oddalony od ścieżki turystycznej. Miejscowi nazywają go Casa Nera. Zarówno ze względu na ciemne, osmalone mury, jak i otaczający go klimat mrocznej tajemnicy. Spalony podczas wylewu w 1923 roku, długie lata stał nie zamieszkanym, stanowiąc ulubiony cel eksploracji miejscowych urwisów. Jakies parę lat temu nabyła go jakaś spółka włosko-rosyjska na wypoczynkową rezydencję. Obiekt odbudowano, nakryto dachem, pojawił się basen, kort, siatki zakończone drutem kolczastym i strażnicy. Miejscowi, z natury niechętni obcym, utrzymywali, że jest to jedna z ulubionych kryjówek mafii, choć trudno byłoby im wskazać konkretnie, której, albowiem tych okolic nie sięgała ani Cosa Nostra z Palermo, ani neapolitańska Camorra, ani budząca lęk w Kalabrii N'draghetta.

Pawlik i jego eskorta dotarli tam nocą. Na dziedzińcu w powietrzu wisiał ciężki zapach siarki, a szyby pokrywał drobnoziarnisty popiół wulkanicznych wyziewów.

— Nie boicie się wybuchu wulkanu? — spytał Nikołaja. Łazarienko roześmiał się donośnie.

— Mamy własny system wczesnego ostrzegania i zawsze zdążymy w porę się oddalić. Poza tym jest zabezpieczona dodatkowa droga ewakuacyjna. Natomiast to pozornie istniejące zagrożenie skutecznie odstrasza ciekawskich od wkładania nosa w nasze sprawy.

— Jednak ten zapach?

— Wewnątrz działa air condition i nie ma żadnego zapachu.

Już po chwili w obszernym wnętrzu mógł się przekonać, że Łazarienko nie kłamał.

Nie wywołało to w nim euforii, zwłaszcza że zamiast do salonu zaprowadzono go do piwnicy, a charakter tego pomieszczenia budził jak najgorsze skojarzenia. Ostre światło, dziwaczne aparaty jednoznacznie przywodziły na myśl salę tortur.

Wszedł Ferguson. W okularach oprawnych w złoto i jasnym kitlu przywodził na myśl jakiegoś upiornego doktora Mengele.

— Będę cię musiał zbadać, kolego — rzekł. — Dokładnie!

— Nie mam nic do ukrycia. — Pawlik trzyma się raz ustalonej linii postępowania.

Badania trwają całą noc, potem dzień przerwy, znowu noc... Najpierw proste testy, potem ćwiczenia z przesuwaniem drobnych przedmiotów, wreszcie godzinna ankieta z wykorzystaniem wykrywacza kłamstw.

— I jaka diagnoza, doktorze? — dopytuje się Nikołaż Łazarienko.

— Nie złapałem go na kłamstwie. Przeciwnie, robi wrażenie gotowego do współpracy. Zastanawiający jest stosunkowo nikły współczynnik strachu.

Najprawdopodobniej zdaje sobie sprawę ze swej unikalności.

— Co potrafi?

— Gdy idzie o sprawność telekinetyczną, osiąga 8,6 punktu skali Robin–Bedforda.

— Mów jaśniej.

— Należy do wybitnie uzdolnionych kinetyków... Choć spotykano większe indywidualności. Jest młody, dopiero rozwija swoje umiejętności.

— Mógłby być dla nas groźny?

— Samą siłą woli muru nie przebije. Ma chyba jednak zdolność punktowej hipnozy.

— To znaczy?

— Może zakłócać naturalny tok myśli osób trzecich.

— I w taki sposób wygrywa.

— Niewątpliwie. Wykryłem też u niego pewną rezerwę możliwości utajonych. Ale albo nie potrafi z nich skorzystać, albo świadomie nas tam nie dopuszcza.

Rozgryzienie tego wymaga więcej czasu.

— Działa sam czy z kimś w zмовie?

— Poddałem go obróbce na wykrywaczu. Reaguje prawidłowo. Śladowe reakcje na nazwiska Mirskiej czy Karpickiej, natomiast proszę spojrzeć na ten wydruk.

Podaliśmy mu setkę rozmaitych, najczęściej przypadkowych nazwisk. Gwałtowne reakcje są tylko przy sześciu: Harry Meyerhold, Bo Syn Wun, Patrick Prescott, Gilbert Seguin, Filip Wonder i naturalnie Wasyl Łazarienko!

— Czy to jakaś szczególna lista?

— Bardzo szczególna. Pawlik jednak twierdzi, że nigdy nie widział tych nazwisk, że były to reakcje jego podświadomości. Może. Zobaczymy, jak zareaguje, kiedy zobaczy ich osobiście.

— Osobiście?

— Jedenastego grudnia zjawi się tu cała szóstka i wspólnie zdecyduje, co robić dalej.

Podczas rozmowy w kącie pomieszczenia Borys cały czas siedzi przy drzwiach prowadzących do celi Pawlika. Wydaje się, że śpi. Oczy ma zamknięte. Nie ma pojęcia, że Maciek jest cały czas w nim i słucha, słucha, słucha.

*

We wtorkowy wieczór Amanda i Żemański spotkali się jedynie na bardzo krótkich lodach na Starówce. Magda chyba coś wyczuła, bo urządziła scenę Piotrowi, że ciągle nie ma dla niej czasu.

— Stajesz się gorszy niż ten biedny Jędrus... Miesiącami fruwasz po świecie, a nawet jak jesteś w Warszawie, nie masz czasu dla rodziny.

Wymogła na nim wspólną wizytę na party u znajomego parlamentarzysty. Toteż na spotkanie z Regerówną zostało mu ledwie pół godziny.

— Muszę przyspieszyć wyjazd — oznajmił. — Wylatuję do Wenecji pojutrze rano. Zarezerwowałem dwa bilety. Ty oczywiście za nic nie płacisz.

— Czego oczekujesz ode mnie w zamian?

— Miłego towarzystwa...

— Nic więcej, przy takich kosztach?

— Nie ja za to płacę.

— Skoro tak nalegasz... — Amanda posłała mu swój najbardziej czarowny uśmiech. — Nigdy nie byłam w Wenecji.

Odwiózł ją pod dom na rondzie ONZ. Tam objął. Pocałował. Musnęła jego wargi. Trwało to mgnienie, ale poczuł ogromny podmuch pożądania.

— Odprowadzić cię na górę? — zaproponował, zapominając o obietnicy złożonej żonie.

— Jestem zmęczona... Zresztą będziemy mieli dla siebie mnóstwo czasu we Włoszech.

Miłość miłością a interesy interesami. Z samochodu jeszcze raz zadzwonił do Tedesco.

— Wszystko okay — zameldował. — Przyjeżdżam i przywożę tę dziewczynę, którą się tak interesowałeś. Będziecie mogli ją wybadać. Chociaż, moim zdaniem, nie ma nic wspólnego z tą Mirską.

Tim ma na ten temat inny pogląd, jednak nie chwali się nim. Nie wierzy w przypadki. Amanda Reger pochodzi z Thunder Bay — miasta, gdzie doszło do katastrofy samolotu, którym miała lecieć Mirska. Zamieszkała w M-3 należącym do nieboszczyka Łańskiego. Interesuje się konsorcjum Karakorum. Sama nawiązała kontakt z Żemańskim. Wprawdzie emerytowany policjant, któremu polecił ją śledzić, meldował, że dziewczyna przebywa głównie w bibliotekach i praktycznie, jeśli nie liczyć rozmów z rodzicami, w ogóle nie używa telefonu, ale co najmniej pięć razy zgubiła tropiciela. Dwa razy w metrze, raz wchodząc do telewizji, kiedy indziej do radia na Myśliwieckiej... Znów przypadek? I gdzie się wówczas podziewała? Stanowczo zbyt wiele zbiegów okoliczności naraz. Szkoda, że w Polsce miał za mało ludzi, żeby przeprowadzić szczerzejszą inwigilację.

*

Nie mając pojęcia o chmurach, które zawisły nad Amandą, realizowałem swoją część planu. Ciągłe posługując się dokumentami Byrnese, nabyłem bilet Alitalii do Mediolanu, na dzień wcześniej przed planowaną podróżą Żemańskiego do Włoch. Ze stolicy Lombardii koleją zamierzałem dotrzeć do Wenecji i tam ubezpieczać Amandę.

Regina Mirska pozostawała w Warszawie w charakterze skrzynki kontaktowej. Pod żadnym pozorem miała nie opuszczać swojego mieszkania. Pawlik przekazał jej najważniejszą informację, którą zarejestrowała na dyktafonie. To był jedyny sposób utrwalania wizyty chłopaka w jej umyśle, gdy nikogo innego nie było w mieszkaniu. Wieczorem 11 grudnia cała szóstka z czarnej listy miała znaleźć się w rezydencji Łazarienki na stokach Etny.

Wszyscy razem. Miód! Jeszcze żeby mordercy z Karakorum zechcieli wykonać za nas brudną robotę.

Przed moim wyjazdem Regina nagrała dla mnie taśmę specjalną. Będąc już we

Włoszech, nocą z 10 na 11 zamierzałem połączyć się z butkiem na Krakowskim Przedmieściu. I wgrać wypowiedź cioci jako przekaz na sekretarkę Magdy. Nie wątpiłem, że moja eks-żona rano, po odsłuchaniu taśmy na pewno zawiadomi swego męża. Potem Karakorum z pewnością przystąpi do działania.

Plan był szalony. Zakładał wyłącznie pomyślny rozwój sytuacji. Ale o innym wariantcie woleliśmy nie myśleć.

17.

*Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu,
ale czasami trafia się na nich objazd.*

W Wenecji pogoda była paskudna. Ale kto w grudniu przyjeżdża do Wenecji. Przy dworcu Ferrovia wsiałem w *vaporetto* i przejechawszy wzdłuż dżdżystego, odartego z barw Canale Grandę dotarłem do przystanku San Marco. Żemański i Amanda mogli się tu zjawić najwcześniej za cztery godziny. Przespacerowałem się nadbrzeżem od Pałacu Dożów do Muzeum Morskiego i z powrotem. W mgłę nie widać było Giudecci ani tym bardziej Lido, a nawet położony u wylotu kanału kościół Santa Maria del Salute przypominał bardziej latającego Holendra niż perłę architektury mocno zakotwiczoną w dnie laguny. W hotelu Danieli Royal Excelsior mieli pod dostatkiem wolnych pokoi, udało mi się nawet znaleźć apartament obok pokoju Żemańskiego. Szczwany lowelas zamiast obiecanych dwóch jedynek zamówił luksusową dwójkę. Czy aby nie obiecywał sobie zbyt wiele?

W pokoju poprawiłem charakterystykę i zszedłem na kawę. *Ristorante* świeciło pustkami i w pierwszej chwili nie zwróciłem uwagi na gościa w końcu sali. Zresztą całą twarz zasłaniały mu rozłożone kolumny „La Stampy”. Dopiero gdy kelner podał mu śniadanie, odłożył gazetę. Omal się nie zachłysnąłem. Samotnym miłośnikiem prasy był Tim Tedesco. Na kogo czekał? Kogo obserwował. Przecież Żemański nie mógł mieć jeszcze nic dla niego... Chyba że najemnik postanowił go śledzić. A może nie ufał Amandzie?

Kawa miała smak cykuty, mimo to wypilem ją, starczym, skrzekliwym głosem zażądałem rachunku i kusztykając, poszedłem na górę. Tim nie raczył nawet na mnie spojrzeć. Chociaż na pewno mnie obejrzał. Był zawodowcem. Ale czy mogłem zostać rozpoznany? Na wszelki wypadek zadzwoniłem do recepcji:

— Czy ktoś pytał o mnie?

— Non, signore Byrnes — padła odpowiedź. Usadowiłem się przy oknie i przez szczeliny w nie domkniętych żaluzjach obserwowałem Riva degli Schivoni.

*

Żemański i Amanda przybyli z półgodzinnym opóźnieniem wprost z lotniska Marco Polo. Jak było do przewidzenia, panna Reger zobaczywszy zarezerwowany apartament dla nowożeńców, wpadła w furję. Jej krzyk dobiegał do mnie aż przez ścianę:

— Miały być dwa pokoje! Uważasz mnie za dziwkę!? Żemański nie spodziewał się aż takiego ataku.

— Myślałem... No, skoro zgodziłaś się pojechać razem ze mną...

— To na widok jedwabnej pościeli natychmiast rozłożę nogi? Ech, Piotrze, a mogło być tak pięknie. Jazda gondolą, urocze knajpki, spacer...

— Ale jeszcze może być... Ja to naprawię... Przepraszam — tłumaczył się nieskładnie, zwał winę na rezerwację, po czym zamówił dla Amandy pokój po przeciwnej stronie korytarza. W trakcie całego zamieszania nadszedł Tedesco i Piotr przedstawił go Amandzie jako swego przyjaciela, włoskiego biznesmena.

— Po południu ma się rozjaśnić, z przyjemnością pokażę pani miasto — obiecał Tim, patrząc na nią wzrokiem czujnym, dogłębnym.

— Marzę o Scuola San Rocco i kolekcji obrazów Tintoretta.

Zadzwoił telefon komórkowy. Żemański odebrał.

— Tak, Madziu. Ja. Co, zadzwoniła? Powtórz jeszcze raz... Niesamowite. Dobrze, odłóż słuchawkę. Sam zadzwonię i odsłucham sekretarkę...

Tedesco kątem oka obserwuje Amandę. Dziewczyna nie wygląda na zainteresowaną rozmową, stoi w oknie, wpatrzona w dżdżysty pejzaż. Tymczasem Piotr zamknął aparat i ruszył ku drzwiom.

— Wybacz, Amando, muszę teraz odbyć parę rozmów. Interesy... Ty się rozgość, rozpakuj.

— Pójdę z tobą — mówi Tim.

Gdy dziewczyna została sama, natychmiast zadzwoniła do recepcji i spytała o pana Byrnesa. W minutę później spotkali się na schodach między trzecim a drugim piętrem. Gdyby nawet ktoś nas zobaczył, mogło to wyglądać na przypadkowe spotkanie.

*

„To ja, Regina, cudem dorwałam się do telefonu. Jestem na Sycylii w domu na stokach Etny. Miejscowość Montelaguardia. Nie wiem, co chcą mi zrobić... Aparatura jak do tortur, zawiadomcie konsulat!” — Piotr z Timem odsłuchali informację nagrą na automatyczną sekretarkę Magdy. Potem Tedesco przeagrał tę wiadomość na swój dyktafon i błyskawicznie opuścił pokój. Musiał szybko przekazać informację dalej. Widząc jego pośpiech, Żemański po raz kolejny zadał sobie pytanie. Co tu jest grane? Szeregowym współpracownikiem kartelu Karakorum był od dawna, właściwie od czasu, kiedy upadek enerdowskiej STASI pozbawił go hojnego sponsora, a Azjaci wyrazili zainteresowanie jego osobą. Zapał, z jakim Organizacja zajęła się tropieniem polskiej emerytki, dziwił go, a nawet niepokoił. Dotąd, będąc trybikiem w światowej maszynie, nie zadawał pytań. Interesował się co najwyżej wysokością gratyfikacji. Dziś jednak bardzo chciałby wiedzieć, co jest grane, aby później na spokojnie przypuścić szturm do panny Reger.

Tim miał radiostację i cały sprzęt na łódce zaparkowanej na kanale nieopodal kościoła San Zaccaria. Przy tak ważnych sprawach wołał nie polegać na komórkowcu. Wan Deng wysłuchał go z uwagą. Akcja ruszyła. Jego samolot znajdował się już nad środkowym Wschodem. Za Pół godziny miał zabrać z Hamadanu grupę dziesięciu komandosów z IGW pod dowództwem Selima Al-Kuraniego.

— Jesteś pewien, że to autentyczny głos Mirskiej? — spytał.

— Na dziewięćdziesiąt procent. Całkowitą zbieżność może potwierdzić komputer, porównując to nagranie z próbką jej głosu z Five Oaks' Farm. Zaraz się tym zajmę.

— Dobrze, co wiesz o tym domu w Montelaguardia?

— Należy do towarzystwa kontrolowanego przez mafię Łazarienki. Do wieczora będę miał pełną dokumentację.

— Dobrze. Będziemy w kontakcie.

— Jeszcze jedno, szefie. Co zrobić z tą dziewczyną?! Niepokoi mnie jej obecność w Wenecji.

— Sprawdź ją, a w wypadku potwierdzenia obaw, że utrzymuje jakiekolwiek kontakty z... Wiesz sam.

— Wiem.

Trzy godziny później komando Al-Kuraniego jest już w Damaszku. Kolejnym etapem jest Malta. Przesiadka na wychodzący w morze frachtowiec pod banderą libijską, zmierzający do albańskiego Durresu. Przed północą jednostka znajdzie się u wybrzeży Sycylii. W ładowni pod jej pokładem, gotowym otworzyć się w ciągu

minuty, kryje się potężny, mogący pomieścić dwudziestkę pasażerów helikopter produkcji radzieckiej typu Mi-8, który przyda się w końcowej fazie operacji.

Równocześnie rozliczni informatorzy Karakorum zbierają informacje. Są zaskakujące. W ciągu wieczoru na lotnisku w Katanii pojawiają się tak znakomite osoby, jak deputowany Gilbert Seguin, magnat medialny Patrick Prescott i koreański prorok Bo Syn Wun. Wcześniej w jego własnej rezydencji w Taorminie widziano Wasyla Łazarienkę.

— Cóż może oznaczać ten niezwykle zlot? — głowi się pan Deng. Jeszcze bardziej zdumiałoby go, gdyby wie dział, że wszyscy ci ludzie podążają do rezydencji na stokach Etny.

*

— W zasadzie osiągnęliśmy główny cel pierwszej fazy — mówię Amandzie, dowiadując się, że wiadomość od ciotki Reginy dotarła do właściwego adresata. — Teraz powinniśmy się szybko stąd ulotnić. Za dwie godziny odchodzi ekspres do Rzymu...

— Czy moje nagłe zniknięcie nie wzbudzi podejrzeń Piotra? Może podnieść alarm.

— Zostaw mu kartkę, że zamierzasz odwiedzić koleżankę, która wydała się za weneccjanina. Obiecuj, że wrócisz na obiad. Zostawisz wszystkie bagaże. Zanim zorientuje się, że prysnąłeś, będziemy daleko.

Szczęście nam sprzyjało; ledwo wyszedł Timothy, do pokoju Żemańskiego zadzwonił jeden z jego tutejszych kontrahentów.

— Jestem w restauracji na dole, możemy omówić parę szczegółów.

Piotr zgodził się niechętnie, większość jego myśli zaprzętała Amanda. Po wyjściu na korytarz zastukał do jej drzwi.

— Będę zajęty przez pół godziny, możesz mnie znaleźć w restauracji.

— W porządku, nie przejmuj się mną. Dam sobie radę.

Pięć minut później wymknęła się z hotelu. Ostrożność nakazała jej dobiec do przystanku San Marco i dopiero tam wsiąść do wodnego tramwaju.

— Szkoda, że nie mam czasu na zwiedzenie bazyliki albo campanilli — westchnęła, mijając przewieszony ponad kanałem na tyłach Pałacu Dożów Most Westchnień. Z ulgą wskoczyła do nadjeżdżającego *vaporetto*. I w tym momencie dojrzała mężczyznę biegnącego po nadbrzeżu.

— Panno Reger, Amando! — proszę na mnie poczekać — wołał Tedesco. Udała, że go nie słyszy. Stateczek odbił i nabrał prędkości. Obserwowałam tę scenę z odległości kilkudziesięciu metrów, błogosławiąc własną przezorność, która nakazała mi wynająć motorówkę.

— Może zabierzemy tego człowieka? — zaproponował motorowy gondolier, widząc wymachującego rękami Tima.

— Płacę podwójnie i chcę płynąć sam — wrzasnąłem po angielsku. Przewoźnik zrozumiał. Minęliśmy wściekłego Tedesco, który przez chwilę kręcił się w miejscu jak bokser po zainkasowaniu celnego ciosu. Trwało to jednak tylko chwilę, wnet zobaczyłem, jak pędem zawrócił w stronę placu św. Marka. Ani chybi również postanowił wynająć szybką motorówkę.

Mimo znikomej liczby pasażerów, *vaporetto* z Amandą na pokładzie płynęło przerażająco wolno, zatrzymując się na każdym przystanku. Na miejscu dziewczyny wysiadłbym i spróbował zgubić się w labiryncie uliczek. Mogła też przesiąść się na moją motorówkę i ruszyć w stronę dworca bocznymi kanałami. Jednak gdy zbliżyłem się do tramwaju, panna Reger, dotąd wychylona w moją stronę, ostentacyjnie

odwróciła się tyłem. Czyżby miała inny plan? A może twardo trzymała się ustalonej wersji, że się nie znamy...

Tymczasem ciągle nie widać było pościgu. Bez przeszkód mineliśmy Most dell'Accademia, klasyczny w proporcjach pałac Rezzonico, w perspektywie zamajaczył łamany łuk Ponte di Rialto. Czyżby Tedesco vel Adler zamierzał dopaść .Regerównę dopiero na dworcu?

Nie! Wysoka, szczupła sylwetka wychyliła się spod daszku na przystanku obok Banco d'Italia tuż przed mostem Rialto. Najwyraźniej najemnik zdążył przebiec cały dystans uliczkami po cięciwie łuku, który tworzył kanał. — Ma ją! — pomyślałem ze zgrozą. Ale Amanda jeszcze raz dała dowód swej inteligencji. Zobaczyłem ją jak podbiega do motorniczego. Stateczek zmienił kurs. Ignorując samotnego oczekującego, minął środek koryta kanału i przyspieszył. Do następnego przystanku przy Casa d'Oro było dość daleko, zresztą być może Amanda planowała wysiąść po lewej stronie... Jednak Tim też nie był w ciemnię bity. Jak strzała, roztrzając nielicznych turystów i depcząc żebraków, pobiegł w stronę mostu i zniknął w jego głębi. I już zobaczyłem go w prześwicie galeryjki w samym środku łuku nad głównym nurtem. *Vaporetto* znalazło się dokładnie pod nim. Tedesco bez wahania przesadził balustradę, skoczył. Jak kot wylądował na daszku, potem przewinał się i runął wprost na Amandę.

— Niespodzianka! — zawołał.

Dziewczyna przygotowana była jednak na taką niespodziankę — kopniak w krocze zgiał Tima wół, a bity z półobrotu cios w twarz wyrzucił go za burtę.

— Bravissimo — zawołał mój przewoźnik.

Stateczek znów nabierał pędu, tymczasem krztuszający się Tedesco wypłynął na powierzchnię Canale Grandę. Woda musiała być lodowata, on jednak szybko, sapiąc jak wielce podenerwowany delfin, płynął w stronę pałacu Camerlenghi. Podjąłem decyzję.

— Wsiadam — pokazałem na migi „motolierowi”.

Na brzegu znalazłem się wcześniej niż pływak. W podnieceniu nie zauważyłem nawet, że wiatr zerwał mi z głowy siwą perukę. Wybiegłem naprzeciw Timowi jak ktoś, kto pragnie mu pomóc, wyciągnąłem rękę, nogę przygotowując do kopniaka. I nagle w jego oczach zobaczyłem błysk olśnienia. Poznał mnie! Chwyając się jedną ręką kamiennego nadbrzeża, drugą sięgnął za pazuchę. Błysnęła beretta. Ale w tym momencie chyba sama Opatrzność czuwała nade mną. Ręka najemnika omsknęła się na pokrytym glonami kamieniu. Nie chcąc runąć twarzą w wodę podparł się tą drugą, z pistoletem. Na to czekałem. Przydeptałem uzbrojoną dłoń, aż zawył, równocześnie solidnym koszem na śmieci wyrznąłem bandziora w łeb. Sflaczał i runął w wodę. Pistolet został na nadbrzeżu. Pochwyciłem go i nie czekając, aż zgromadzą się gapie, puściłem się w gmatwaninę uliczek.

Biegłem, kierując się na zachód. Niestety, już na wstępie popełniłem karygodny błąd, wpadłem w zaułek kończący się ślepym murem. Zdenerwowany zawróciłem. I stanąłem jak wryty. Ociekający wodą, z twarzą pokrytą krwią Tedesco odcinał mi drogę. Ale przecież ciągle miałem jego broń, wycelowałem, pociągnąłem spust. Nic! Cholera, zapomniałem o bezpieczniku. W rękę najemnika pojawił się nóż. Z okrzykiem triumfu skoczył w moją stronę. A ja, choć uporałem się z bezpiecznikiem, nigdy nie strzelałem z pistoletu nawet do tarczy. Był o metr, gdy nacisnąłem spust, instynktownie przymykając oczy. Siła odrzutu nieomal wytrąciła mi berettę z ręki. Tim zatrzymał się. Kula chyba trafiła go w pierś. Opał na bruk, złorzecząc. Wycelowałem jeszcze raz. W głowę. Potem zwymiotowałem. Wielki Boże, zabiłem człowieka!

Amanda czekała na mnie między budkami pełnymi pamiątek obok dworca.

— Co z tamtym?
— Nie sprawi więcej kłopotów — powiedział tonem Jean–Claude’a Van Damme’a, który właśnie uporał się z Antoniem Banderasem.
Pociąg do Rzymu odchodził za czterdzieści pięć minut.

*

Matthew „Mussa” Harding od kilkunastu lat nie odczuwał lęku. Toteż to, co działo się z nim w tych dniach wywoływało w nim zdezorientowanie. Najpierw tłumaczył: swój stan twórczym podnieceniem poprzedzającym Finał Dzieła. Ale już po paru dniach zorientował się, że jego strach jest absolutnie nietwórczy. Szukał odpowiedzi, wsłuchując się w siebie, jednak po raz pierwszy od bardzo dawna nie słyszał niczego. Niepokój rósł. Wreszcie doprowadził go do bramy więzienia w Spanish Town.

Znano go tam jako doktora Lopeza, który regularnie co kwartał badał monstrum. Nagła wizyta była w pełni uzasadniona. Stan Papiny nie był dobry, miała wysoką gorączkę, jej monstrualnie otłuszczonym ciałem wstrząsały dreszcze.

— Co ci jest? — zapytał, gdy odeszli strażnicy. Odpowiedział mu głos wewnętrzny, świetnie znany głos łezki:

Zagrożenie, zagrożenie, zagrożenie!

— Mów jaśniej.

Do Rzymu, do Rzymu, do Rzymu!

— Uważasz, że powinienem udać się do Rzymu?

Razem, wszyscy!

— Sharon też?

Przede wszystkim.

— Ale po co?

Jeszcze możesz wygrać.

— Czy jest ktoś, kogo szczególnie mamy się obawiać?

Święty Malachiasz.

Zaskoczony tą wskazówką, sprawdził w encyklopedii, ale dowiedział się jedynie, że wzmiankowany przeciwnik nie żyje od 850 lat. Nie zwykł jednak opierać się poleceniom amuletu. Jeszcze tego dnia wywiózł Papinę więzienną karetką na badania do ośrodka pod Kingston. Wcześniej załatwił dla niejakiego Mike’a Perry’ego papiery na przewóz samolotem jego zmarłej żony Letycji, celem pochowania w Rzymie. W dniu wylotu dał Papinie potężny środek nasenny. Potem umył ją, ostrzygł, poobcinał pazury, a przede wszystkim ubrał w normalne ubranie. Z zamkniętymi oczyma i ustami nie odbiegała wyglądem od wielu otyłych Amerykanek. Toteż jedyny komentarz urzędników sprawdzających zawartość trumny brzmiał: — Popatrz pan, tak świetnie kobita wygląda, a nie żyje!

*

Na kolacji w Casa Nera nie pojawiła się cała szóstka. Zabrakło Harry’ego Meyerholda, który nie mógł opuszczać Waszyngtonu. Dotychczasowy wiceprezydent po rozległym wylewie krwi do mózgu został uznany za niezdolnego do sprawowania swej funkcji. Prezydent zaś prowadził liczne konsultacje w sprawie wyboru swego następcy. Na waszyngtońskiej giełdzie nazwisko Meyerholda cały czas szło ku górze. W najbliższy wtorek można było się spodziewać nominacji doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego na drugą osobę w państwie.

Nieobecny usprawiedliwionym był również Filip Wonder. Kandydaci oczekujący

na wręczenie kapeluszy kardynalskich spędzali czas na modlitewnym czuwaniu wśród ruin bazyliki świętego Franciszka w Asyżu, którą kolejne trzęsienie ziemi prawie ostatecznie zrównało z ziemią.

— Jeśli wszystkim z „naszej listy” tak się powiedzie jak im — mówi Prescott — to okaże się, że wszystkie proroctwa sprawdzają się na opak.

— A gdy jeszcze skoordynujemy nasze wysiłki, któż zdoła nam się oprzeć — dorzucza Bo Syn Wun.

Wszyscy na moment zatapiają się we własnych myślach. Seguin widzi się rychłym przewodniczącym Parlamentu Europejskiego. Łazarience marzy się pakt wszystkich mafii europejskich przeciwko żółtej zaradzie. Bo Syn Wun czeka na szybkie uznanie jego sekty przez opierające się jeszcze Niemcy. A Prescott na legalizację pornografii w mediach, wraz z zakazem jakiegokolwiek propagandy religijnej w telewizji, naruszającej przecież podstawowe prawa człowieka. Dopiero wówczas okaże się, jak naprawdę wielkie jest jego imperium. Nie, nie będzie rewolucyjnych zmian, ale wyzwolona ludzkość już nigdy powróci na ścieżkę ciemnoty, otrząśnie się z przesądów i zabobonów.

— A kiedy wreszcie zobaczymy twojego pacjenta, doktorze Ferguson? — pyta Gilbert Seguin.

— Rano. Przygotowałem wieloetapowy interesujący eksperyment, który ukaże nam jego istotne możliwości.

— Myśli pan, że zataja je przed nami? — dziwi się Wasyl Łazarienko. — Mieliśmy z bratem nieliczne pierapałki z jednym takim typem w rejonie Niżnego Nowgorodu. Nazwaliśmy go Szpasputin. Złośliwie psuł nam interesy. Uniemożliwił akcje. Na domiar złego praktycznie był niezniszczalny. Chłopaki twierdzą, że kule się go nie imają, chodził po wodzie, przenikał ściany...

— Ale rozwiązaliście tę kwestię? — zaciekawiał się Prescott.

— Tak. Zrezygnowaliśmy z interesów w Niżnym Nowgorodzie.

— I sądzisz, że ten Pawlik może być podobnym fenomenem?

— Biorę taką możliwość pod uwagę. Stąd „test prawdy”. Jeśli okaże się jedynie przeciętnie utalentowanym telekinetykiem, niezdolnym w niczym nam zagrozić, nie przeżyje przygotowanej „ścieżki zdrowia”.

— A jeśli przejdzie ją zwycięsko? — pyta Koreańczyk.

— Wówczas niestety okaże się, że zagrożenie było prawdziwe i trzeba będzie coś z nim zrobić.

— No, to nie ma dobrego wyboru — śmieje się Prescott — A jak to będzie wyglądać?

— Pozornie damy mu wolny wybór: śmierć lub wolność. Sądzę, że zdecyduje się na grę o wolność. Wtedy pozwolimy mu uciec, dostanie na to godzinę. W piwnicach i korytarzach pod budynkiem czekają liczne pułapki: będą w istocie testy na telekinetyczne otwieranie zamków, intuicyjne wybieranie kluczy, pomyłka oznaczać będzie porcję elektrowstrząsów. Dostanie dwie manierki z winem, jedno będzie zatrute, wreszcie, gdy wyjdzie na powierzchnię, napotka pole minowe. Miny są niewielkie, wystarczające by okaleczyć, obrywać kończyny. Zobaczymy, czy zdoła je wyczuć. A na końcu czeka nań automatyczny karabin maszynowy z laserowym naprowadzaniem działający na fotokomórkę. Jeśli to wszystko przejdzie, jest geniuszem. I próba ostatnia: na dole będą stały trzy samochody, jeśli odgadnie, w którym nie ma bomby, wówczas czeka go wolność.

— A jeśli i to odgadnie?

— Nic z tego, ładunek wybuchowy będzie w każdym.

Pawlik, obecny na sali w jaźni piklującego drzwi Borysa, nie odczuwa strachu. „Ścieżka zdrowia” wygląda może i przerażająco, ale on wcale nie zamierza jej

pokonywać.

*

Helikopter komanda specjalnego IGW nadleciał o drugiej w nocy. Sunąc nisko nad wodą, pozostał niezauważony przez radary, zresztą burze przechodzące akurat nad południowymi Włochami i wzmożona emisja pyłów z Etny sprzyjały ekspedycji. Dodatkowo miniwstrząsy, notowane przez sejsmografy na całym obszarze od Katanii do Messyny, sprawiały, że wszystkie włoskie służby w okolicy zajmowały się przygotowaniem na wypadek lokalnego trzęsienia ziemi. Mi-8 wylądował na osłoniętej łączce powyżej Casa Nera. Tam do dziesiątki zabijaków dołączyło jeszcze dwóch miejscowych agentów Karakorum — Bertoldo i Corrado.

— Jaka sytuacja? — spytał Al-Kurani.

— Wszyscy śpią — melduje doskonale znający okolice Casa Nera Corrado. — Czuwa snajper na dachu, dwóch strażników wewnątrz i dwóch z psami, którzy robią obchód budynku co kwadrans.

— A czym dysponują w odwodzie?

— Jest czterech Rosjan z ochrony braci Łazarienków, poza tym każdy z gości ma osobistego ochroniarza, a Koreańczyk goryla babę.

— To cała armia — dziwi się Teng. — Ta stara kobieta rzeczywiście musi stanowić dla nich wielką wartość. Widzieliście ją?

— Nie, ale wiemy, że z lotniska dostarczono jakiegoś więźnia. Poza tym przechwyciliśmy ciekawą rozmowę telefoniczną: w ostatniej chwili odwołał swoje przybycie sam Harry Meyerhold.

Al-Kurani aż zagwizdał.

— Niezłe party zwołali.

— Dasz radę opanować obiekt? — pyta nie ulegający emocjom Chińczyk.

— Bez trudu, tylko co dalej. Mam zabić wszystkich oprócz tej Mirsky?

— Jeśli dasz radę, weź ich żywcem. Każdy z tych ludzi jest więcej wart niż roczny budżet Izraela.

*

Akcja rozpoczęła się o 2.35.

Najpierw strzelcy wyborowi zabili ochraniających rezydencję strażników i ich psy. Pufnięcia tłumików utonęły w grzmocie przechodzącej burzy, który przetoczył się po północnym stoku Etny. Ofiary zginęły nie wydawszy krzyku, tylko jeden pies zawył boleśnie. Dyżurujący na dachu, zaalarmowany dźwiękiem, wychylił się zza balustrady. Selim nacisnął spust. Wartownik z rozkrzyżowanymi rękami runął między cyprysy. Zrobione!

Faza druga. Czterech najbardziej wygimnastykowanych bojowców, skacząc o tycze, przesadza ogrodzenie, nie uruchamiając alarmu. Obszukują zwłoki i po chwili mają klucze magnetyczne do służbowych drzwi. Doskakuje do nich Corrado, który swego czasu dokonał rozpoznania wnętrza. Cel: frontowa dyżurka, w której dwaj wartownicy grają w karty. Dwa bezgłośnie wystrzały.

Faza trzecia. Wyznaczeni przez Al-Kuraniego szperacze nakładają okulary noktowizyjne i zajmują się centralką. Zneutralizowany zostaje alarm, blokada bramy, przecięta łączność ze światem, wreszcie wyłączone światła w całym domu. Przez otwarte wejście reszta grupy wdziera się na dziedziniec. Corrado wskazuje pokoje ochroniarzy. Cicho klaszczą strzały.

Ferguson obudził się nagle. Nie wiedział, czemu, ale intuicja, której już nieraz zawdzięczał życie, podpowiadała mu, że coś jest nie tak. W domu panowała cisza. Ale czuł, że nie jest to dobra cisza.

Zsunął się z łóżka. Zerknął na zegarek. 2.41. Za oknem nieprzenikniony mrok. Dziwne. Przecież dziedziniec powinno oświetlać pięć silnych lamp. Przytknął ucho do drzwi. Dobiegły go ciche klaśnięcia z pokoiów, gdzie spali ochroniarze. Żle! Wróg był w środku, a on nie może nic zrobić. Ciche kroki bosych stóp na korytarzu. I naraz rozpętało się piekło.

Strzał w pierś powalił Igora, ale jedynie go ogłuszył. Z wojskowego nawyku nosił tego dnia kamizelkę kuloodporną. Przez chwilę walczył z bólem, potem podniósł się. Z szuflady wyciągnął zapasowego kałasznikowa. Przyłgął do futryny, a następnie przekręcił dźwignię generalnego włącznika. Światło zalało hol i korytarze. Trzech napastników stanęło jak wrytych. Doskonały cel. Igor otworzył ogień. Padli jak ścięci. W tym samym momencie przebudzona Koreanka potężnym ciosem zdruzgotała splot słoneczny pochylającego się nad nią komandosa.

Większość gości nie miała broni, mogła jedynie kryć się za sprzętami w swych pokojach. Nie można tego powiedzieć o braciach Łazarienkach. Z pistoletami w ręku wypadli na galerię, jednak grad kul od strony kuchni zmusił ich do odwrotu.

— Oberwałem — jęknął w pewnym momencie Nikołaj. Wasyl przypadł do ziemi obok niego i wciągnął broczącego krwią brata do środka.

Jednocześnie dowodzący akcją z dziedzińca Selim dojrzał potężną sylwetkę Igora na tle oświetlonego okna. Strzelił, instynktownie celując w głowę.

Ostatni akt rozegrał się w sali telewizyjnej. Wprawdzie Koreanka gołymi rękami skrzyła kark kolejnemu agresorowi, ale i ona uległa, gdy Corrado wrzucił do pomieszczenia granat. Bitwa była skończona.

A Ferguson? Ferguson, kryjący się za drzwiami swego pokoju z pistoletem w spoconych dłoniach? Nie miał zamiaru umierać. Wiedział od początku, że walka jest przegrana, teraz myślał jedynie, jak przeżyć. Już wcześniej zauważył, że szafy w łazienkach rozdzielone są jedynie cienkimi płytami ze sklejki. Nacisnął delikatnie jedną z nich, podważył i po chwili był w pustym pokoju przeznaczonym dla Meyerholda, skąd prowadziło przejście do zrujnowanej biblioteki. Wysunął się jak wąż i po chwili znalazł się w niewielkim pomieszczeniu magazynowym pełnym starych gazet i zniszczonych książek, wcisnął się w kąt, czekał.

— Wychodzić, wszyscy wychodzić — zabrzmiał głos Selima. — Nikomu, kto podda się dobrowolnie, nie stanie się krzywda. Nie jesteśmy rabusiami, tylko żołnierzami Allacha. Nie każcie mi się powtarzać. Chcemy tylko pani Mirsky.

Mirsky? Oni zupełnie zwariowali — przemknęło Fergusonowi. Mirska nie żyła przecież od półtora miesiąca, chyba... chyba, że się pomylił. Ale jeśli nawet, i tak nie było jej tutaj.

Z pokoiów powoli zaczęli wychodzić goście: pobladły Bo Syn Wun, Seguin w zasikany dole od pidżamy, zaskakująco spokojny Prescott, wreszcie Łazarienko.

— Mój brat potrzebuje natychmiastowej pomocy lekarskiej. — Wezwijcie pogotowie.

— Corrado, zajmij się tym — polecił Al-Kurani. I Włoch pobiegł na górę... Po chwili z pokoju Rosjan dobiegł pojedynczy strzał. Wasyl poderwał się, ale lufa przytknięta do skroni pohamowała jego protest.

— To jedyna pomoc medyczna, jakiej możemy udzielać w obecnej sytuacji — powiedział Selim. — Gdzie jest ta Mirsky, szukajcie jej.

Dwóch z piątki pozostałych przy życiu bojowników rozpoczęło przetrząsanie domu.

— Możecie długo szukać — wykrztusił wreszcie Łazarienko — ale nie ma tu

żadnej pani Mirsky. Wprowadzono was w błąd.

— W błąd? — trzymający się dotąd na uboczu Wan Teng wyłonił się z cienia. — Przecież telefonowała stąd do Warszawy...

— To sprawdźcie, mamy wykaz i nagrania wszystkich rozmów telefonicznych prowadzonych z tego obiektu.

— A komórki?

— Są osłony w ścianach. Nie działają tu...

Przetrzęsano dom metodycznie, idąc od strychu, ale wcześniej Corrado wypatrzył pancerne drzwi od celi Pawlika.

— A to co, gdzie klucze!? Czy mam jeszcze kogoś rozwalić?

Zrezygnowany Łazarienko podał mu komplet. Corrado wziął się za otwieranie.

— Skarbiec tu macie, czy co? — Wszedł. Na wprost drzwi Pawlik umieścił małe lustro, chcąc przyjrzeć się wchodzącemu, zanim zostanie zauważony.

— No i kto tam jest? — spytał Selim. Corrado rozejrzał się, naraz zobaczył Maćka, otworzył usta, ale silny impuls zablokował mu mowę. — Zaniemówiłeś?

— Porca madonna, nikogo tu nie ma...

Seguin wymienił zdumione spojrzenia z Prescottem, ale nie powiedzieli słowa. Niemniej zdziwiony był Ferguson. Miał jednak własne kłopoty. Słyszał jak poszukiwacze po zbadaniu drugiego piętra zbliżają się do jego kryjówki.

— Sami widzicie, ktoś was wrobił — kontynuuje Łazarienko.

— Czy ktoś może mnie połączyć z tym cholernym Timem? — pyta Teng.

— Od południa jest nieuchwytny — mówi Bertoldo, drugi z Włochów na usługach komanda.

Selim Al-Kurani marszczy brwi i...

— Co to jest?

Z zewnątrz dobiega potężny grzmot. Ale nie jest to burza. Ani detonacja bomby. Któryś z Irańczyków zrywa żaluzje z panoramicznego okna z widokiem na Etnę...

— Allah Akbar!

— A więc wybuchła, w samą porę — śmieje się Łazarienko. — Teraz wszyscy jesteśmy w tej samej sytuacji.

Już nie tylko czubek góry stoi w ogniu. Z krateru wylewa się lava. Widać jezory płynnego ognia torujące sobie drogę po ośnieżonym zboczu. Ogień ogarnia piniowe zagajniki.

— Uciekajmy — woła równocześnie kilku napastników.

— Jak prędko może dotrzeć tu lava? — pyta rzeczowo Teng.

— Pół godziny, trzy kwadranse, najwcześniej — informuje Łazarienko.

— Zatem zdążymy dokończyć przeszukiwań — decyduje Selim. — Niech pilot przestawi śmigłowiec bliżej na dziedziniec.

Przerażający huk, ogromna lapilla uderza w dach jednego z zabudowań gospodarczych.

— Nie ma co czekać — zmienia zdanie Wan Teng. — Do helikoptera. Was też zabieramy.

— Nas — oponuje Prescott. — Co chcecie z nami zrobić?

— W najgorszym razie korzystnie wymienić na pieniądze, a na razie uratować. Selim, prowadź.

— Ale chłopak, ten chłopak — zaczyna naraz bełkotać Corrado.

— Milcz! Dajemy nogę — gromi go Bertoldo.

Wybiegają, w świetle płomieni i płynącej lawy widać ich sylwetki pędzące po stoku. Greg Ferguson dobiega do okna.

— Uda się skubańcom...

A może nie? Gdzieś zdecydowanie bliżej rozlega się przerażający huk, w górę

strzela pióropusz dymu niczym na atolu Bikini. To otwiera się nowy krater. Jeszcze chwila, a rzeka ognia wylewa się zza zakrętu. Ale uciekinierzy są już w helikopterze. Irańczycy niosą swoich zabitych. Pilot uruchamia maszynę. Rusza pięć łopat z włókna szklanego wypełnionego nometsem wspartych na dźwigarach ze stali. Skrzydła nabierają impetu, ale zaraz zwalniają. Co się dzieje? Ryczy włączony na pełną moc drugi silnik. I znów spowolnienie. Co jest?

Lawa pożera zagajnik, wylewa się na drogę, niszczy mostek, sunie teraz całą szerokością potoku i już rozlewa się po polu. Greg, ukryty za framugą, wyobraża sobie, co musi się dziać wewnątrz śmigłowca. Wreszcie pilotowi udaje się ponownie uruchomić wirnik, ten obraca się coraz szybciej, szybciej i nic... Znów gaśnie. Lawa pokonała niewielki murek, płynie falą przez łąkę... Selim i Corrado wyskakują z helikoptera, biegną, potykają się. Tymczasem czoło lawy uderza w maszynę, przewraca ją. Fergusonowi wydaje się, że mimo odległości słyszy wrzask potępionych. Choć, kto wie, może zwolennicy dżihadu wędrują do swego raj. Naraz Corrado pada. Lawa go dogania. Koniec. Pozostał jeszcze Selim, sprytnie wskoczył na kamienny murek rozdzielający pola. Po obu stronach płyną już potoki lawy, a on niczym gimnastyczka na równoważni gna z gracją w stronę zabudowań rezydencji. Solidne ściany Casa Nera zatrzymają na jakiś czas ognistą powódź. Dziura w murku. Przeskakuje ją jak gepard. I naraz, czy zawinił obluzowany kamień, czy zwykły pech, Irańczyk potyka się, spada i unosi rękę ku niebu.

— I jak nie wierzyć w istnienie Boga — mówi Pawlik, stając jak cień obok Ferguson.

— To ty, Maciej Pawlik, nadzieja, chłopiec, który jest inny? — bełkoce Greg i nie czekając na potwierdzenie, woła: — To twoja robota, że helikopter nie wystartował?

— Moja.

— No to koniec wieńczy dzieło! — Ferguson podnosi broń...

— Przecież mnie nie zastrzelisz? — Po chłopaku nie widać było cienia strachu.

— Niby czemu?

— Tylko ja mogę pomóc ci ująć z życiem. Już zapomniałeś, że korytarz ewakuacyjny zamieniłeś na specyficzny tor przeszkód? Innej drogi ucieczki nie ma!

Tymczasem lawa dotarła już do zewnętrznych murów domu.

18.

*Za pięć dwunasta w systemie
dwudziestoczwierogodzinnym to całkiem
młoda godzina.*

Paręset metrów od Villa Borghese i równie niedaleko od słynnej Via Veneto, na której Fellini kręcił swoje *Dolce Vita* stoi niewielki pałacyk, figurujący jedynie w najbardziej dokładnych podręcznikach jako Palazzo Orlandi. Zamieszkujący go Bonaventura, czwarty markiz Orlandi należy do odludków, rzadko bywa gdziekolwiek, a jeszcze rzadziej przyjmuje gości w swej rezydencji, o której bogactwie krążą legendy.

Wczesnym rankiem 12 grudnia w gabinecie markiza zadzwonił sporadycznie używany telefon. Orlandi odebrał osobiście. Telefonowała kobieta.

— Pan markiz? Mówi siostra Konstancja, Ojciec będzie z panem rozmawiać.

Od trzydziestu lat mój ojciec nie żyje — chciał warknąć Bonaventura, ale już dobiegł go głos znany milionom wiernych i niewiernych na całym świecie.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków — wykrztusił Orlandi.

— Spotykaliśmy się już parokrotnie, panie markizie, choć nigdy nie było okazji do dłuższej rozmowy...

— Szczerze tego żałuję, naprawdę szczerze, Wasza Świątobliwość...

— Być może jest okazja, żeby to naprawić. Otóż umyśliłem sobie, aby podczas tegorocznej wigilii Narodzin Zbawiciela złożyć wizytę w trzech domach rzymskich: w domach robotnika, emigranta i arystokraty. Gdyby był pan miły i raczył użyczyć mi gościny...

— Ależ naturalnie, oczywiście, będę zaszczycony — bełkotał Bonaventura Orlandi, prężąc się jak sztubak.

— Bóg zapłać, mój synu. Resztę szczegółów omówi z tobą siostra Konstancja. Pokój z tobą.

— Nie wiem, jak mam dziękować...

Znów włączyła się zakonnica, w jej włoskim pobrzmiwał mocno angielski akcent.

— Cieszymy się, że pan się zgodził.

— A któż by się nie zgodził.

— Bardzo dziękujemy. Ale mam nadzieję, orientuję się pan markiz, że ze sprawą łączą się...

— Koszty? To drobnostka.

— Względy bezpieczeństwa.

— Z tym nie będzie najmniejszych kłopotów, mam doskonały system monitoringu.

— Wierzmy. Jednak trochę inaczej chroni się dzieła sztuki, a inaczej żywego człowieka. Mamy dosyć rygorystyczne przepisy pod tym względem, więc jeśli nie miałby pan nic przeciwko wizycie naszego zastępcy szefa ochrony, to...

— Absolutnie rozumiem.

— Nie przeszkodzi więc panu, że nasz zastępca szefa ochrony rozejrzy się u pana...

— Kiedy?

— Powiedzmy, dziś o czternastej.

— Świetnie, im szybciej, tym lepiej.

— Zatem o czternastej zgłosi się do pana markiza monsignore Byrnes. To

Irlandczyk, więc na tych sprawach zna się najlepiej.

*

Sutanny, koloratki, strój wyjściowy zakonnicy i czarną walizkę wraz z szeregiem utensyliów kupiliśmy jeszcze rano w okolicy Watykanu. Punktualnie o 14.00 zajechaliśmy wypożyczoną czarną lancją pod Palazzo Orlandi. Sam dziwiłem się własnej odwadze, ale w obecnej sytuacji już tylko święty Malachiasz mógł nas uratować. Poranne wiadomości radiowe i telewizyjne pełne były doniesień z Sycylii. Relacje bywały sprzeczne, jedne mówiły o gangsterskim napadzie, inne o ofiarach wulkanu — w jednym były zgodne — w Casa Nera na stokach Etny zginęło około trzydziestu osób. Padały nazwiska martwych lub zaginionych — Łazarienko, baron Seguin, Bo Syn Wun, Patrick Prescott, a także wysokiej rangi dyplomata chiński Wan Teng...

Czy wśród ofiar mógł być również Pawlik? Nie wierzyłem, by ten rodzaj śmierci miał mu być pisany. Z drugiej strony jednak od rozpoczęcia akcji nie dał znaku życia. Miał skontaktować się z ciocią albo do niej zadzwonić. Regina całą noc bezskutecznie czekała na kontakt. Musieliśmy dalej działać sami.

Technikę włamań znałem wyłącznie z filmów. Niemniej postanowiłem bacznie przyjrzeć się systemowi pałacowych zabezpieczeń i spróbować wyszukać w nim jakieś słabe punkty. Orlandi mówił stosunkowo nieźle po angielsku i — jak na mizantropa — zachowywał się niezwykle gościnnie; zaprezentował nam wielką jadalnię, w której proponował wigilijną wieczerzę, pokój wypoczynkowy, toalety.

— Jeśli Jego Świątobliwość zechce, pokażę mu swoją bibliotekę. Oczywiście mizerną w porównaniu z watykańską, ale mam tu parę interesujących manuskryptów.

— Ojciec Święty popiera kolekcjonowanie dzieł sztuki, niewykluczone więc, że zechce obejrzeć również pańską galerię...

— Galeria, wielkie słowo, ot, nazbierało się parę rodzinnych bibelotów.

Czwarty markiz Orlandi podszedł do ściany pokrytej flamandzkim arrasem i uchylił go lekko; ukazała się dziurka w stalowej płycie, nasz gospodarz wsunął w nią złoty kluczyk, przekręcił go, a następnie delikatnie przesunął pod tkaniną cały fragment ściany i już naszym oczom ukazało się pomieszczenie przypominające krzyżówkę grobu Tutanchamona i sklepu ze starzyzną. Nie było w nim okien i dopiero po zapaleniu światła olśniło nas kryjące się tu bogactwo. Czego tu nie było: świeczniki z najróżniejszych epok, rokokowe zegary, miśnieńska porcelana, figurki z kości słoniowej, rzeźby z brązu, marmuru i alabastru, obrazy mistrzów włoskich, ale również ruskie ikony i, przysiągłbym, coś Salvadora Dalego. I nigdzie ani śladu ręki świętego Malachiasza.

— Zbieram się ciągle, aby rozbudować pawilon, ale chyba mi życia nie starczy — wyznał markiz.

— Cóż za piękna gotycka szkatuła — powiedziała naraz „siostra Konstancja”, wskazując drewniane pudło, stojące na komodzie w stylu regencji.

— To tylko podróbka — powiedział, siłąc się na sztuczny ton Orlandi. — Proszę lepiej zwrócić uwagę na ten komplet sosjerek i solniczek z warsztatu samego Celliniego.

— Czuję, że to tam jest — szepnęła mi do ucha Amanda. Wyszliśmy.

Zauważyłem, że tym razem markiz nie przekręcał zamka, drzwi zamknęły się same i rozległ się dźwięk zaskakującej zapadki.

— Sztuka piękna rzecz — powiedziałem — ale nie ona nas sprowadza, pomówmy lepiej o zabezpieczeniach. Zauważyłem, że macie tu instalację alarmową.

— Ale przecież w trakcie wizyty alarm będzie musiał być z oczywistych przyczyn wyłączony — zdziwił się gospodarz.

— Oczywiście, cała okolica będzie obstawiona naszymi służbami. Musimy jednak wziąć pod uwagę możliwość, że ktoś mógłby ukryć się tu wcześniej, dom ma mnóstwo zakamarków...

— Wykluczone, poza służbą, którą mam sprawdzoną od lat, nikt tu nie jest wpuszczany.

— A ewentualność włamania?

— Włamywacz nie miałby szans. Są trzy niezależne obwody, wszystkie połączone z najbliższym posterunkiem. Pierwszy chroni bramę, furtkę i ogrodzenie, następny drzwi i okna aż do drugiego piętra, na trzeci wreszcie składają się czujniki wewnętrzne na ruch i na ciepłość.

— Jednak wewnątrz musi pan jakoś żyć i poruszać się?

— Pilotem o zmiennej częstotliwości, który po każdorazowym użyciu samoczynnie się przeprogramowuje, zabezpieczam na noc parter i pierwsze piętro. Drugie, na którym śpię i pracuję, nie wymaga zabezpieczenia.

Uniosłem wzrok. Staliśmy w obszernej klatce schodowej sięgającej dachu, w którym zauważyłem okrągły świetlik. Orlandi poszedł za moim spojrzeniem i uśmiechnął się.

— Tak, dach można by uznać za słaby punkt systemu, ale po pierwsze dość trudno byłoby się nań wdrapać, a po drugie, nawet linoskoczek nie ma szans przedostać się przez krzyżujące się promienie laserowych czujek.

— Jednak przy tylu zabezpieczeniach wziąłbym uwagę i taką możliwość, że napastnik wdiera się przez dach, obezwładnia pana, zdobywa pilota...

— Jak? Przed snem zamykam od wewnątrz pancerne drzwi sypialni. Nikt nie miałby szansy...

— A piwnice czemu nie są wewnętrznie zabezpieczone?

— Służba musi jakoś żyć. To bardzo pracowici i wierni i mi ludzie. Są na moje usługi przez dwadzieścia cztery godziny. Zawsze gotowi dostarczyć mi jakichś smakołyków. Specjalnie w tym celu mam w ścianie zbudowaną windę. Od przedsionka mej sypialni do kuchni.

— Fantastyczne — powiedzieliśmy równocześnie. — Nawet w Watykanie nie mamy czegoś takiego.

— To mój projekt, monsignore. — Orlandi napuszył się jak paw. — Początkowo była tylko jedna duża winda z kuchni do jadalni, ale zarządziłem zbudowanie drugiej, mniejszej, bezpośrednio do mnie.

Przez kwadrans jeszcze kręciliśmy się po domu. Po czym przeprosiłem za kłopot, podziękowałem...

— O, mój Boże — zawołała Amanda. — Mój brewiarz!

— Co się z nim stało, proszę siostry?

— Zostawiłam w galerii, byłam taka zachwycona. Koło tych solniczek.

— Nic nie szkodzi, zaraz przyniosę. — Gospodarz zniknął za arrasem. Amanda błyskawicznie zajrzała za drugą część tkaniny, po czym przyklękła przy drzwiach.

— Co robisz?

Położyła palec na ustach.

*

— Masz jakiś pomysł? — zapytałem, kiedy znaleźliśmy się w lancii. — Według mnie pozostaje nam jedynie napad z bronią w rękę.

— To zostawię tobie. Ja zamierzam tego dokonać sposobem.

I wyluszczyła mi swój plan.

Około trzeciej w nocy weszliśmy na dach jednej z zaniedbanych i kiepsko chronionych kamienic w dzielnicy Via Veneto. Brama ustąpiła zwykłemu wytrychowi, spróchniałe drzwi na strych nie oparty się szczyrkowi. Nie zatrzymywani przez nikogo przeszliśmy cały kwartał dachów, aby stanąć na krawędzi tarasu wychodzącego na posesję Orlandiego. Panował chłód, ale nie padało. Do komina uwiązaliśmy solidną linę, założyliśmy czarne dresy. Pierwsza opuszczała się Amanda, zrobiła to błyskawicznie. Widać doświadczenia ze wspinaczek w Górach Skalistych nie poszły na marne. Poszedłem w jej ślady, zasapałem się, spociłem, omal nie spadłem, ale wkrótce byliśmy przy świetliku. Szarpnięta lina odczepiła się i spadła na dach Palazzo. Tej drogi nie zamierzaliśmy już przebywać powtórnie. Amanda klękła nad szybą, przykleiła do niej plastikowy uchwyt posmarowany szybko schnącym klejem. Potem zgrzytnął diament. Szkło nie okazało się specjalnie grube i po chwili wycięta część odskoczyła jak pokrywka. W ciemnym wnętrzu tajemniczo tykały zegary.

Co teraz? Na linie opuściliśmy się na podest drugiego piętra. Potem otworzyliśmy drzwiczki windy. Otwór był pusty. Naciśnąłem przycisk i usłyszałem subtelne mruczenie mechanizmu. Po chwili winda stanęła na wprost nas.

— Wszystko na nic — szepnąłem. — Dziecko tu się nie zmieści.

— Dziecko może i nie, ale ja uprawiałam gimnastykę akrobatyczną. Wystarczy tylko usunąć półeczkę i jak pięknie się mieszczę...

— A jak lina nie wytrzyma?

— To spadnę.

— Tylko jak zatrzymać to na wysokości jadalni?

— Zobacz! Jest tyle guzików, ile kondygnacji. Tylko drugi jest zalepiony plastrem.

To z pewnością nie używany parter. Naciskaj.

Zniknęła w szybie. Czekałem. Nasłuchiwałem. Po jakimś czasie usłyszałem z dołu cichy chrzęst. To pracowała laubzega, wypiłowywując zabite drzwiczki w holu. Z tego, co zauważyliśmy, między arrasem i ścianą zostało około dwudziestu centymetrów wolnej przestrzeni. Przesuwając się powoluteńko, dziewczyna miała nadzieję uniknąć pobudzenia czujników. A stara tkanina z pewnością nie przepuszczała ciepła ciała. Zostawała kwestia wrót. Tu też byliśmy przygotowani. Amanda podczas wizyty zablokowała zapadkę przy pomocy połówki karty telefonicznej i gumy do żucia, tak że mechanizm nie zdołał się domknąć.

Czas dłużył mi się niesłychanie. Zasnęła tam czy co?

Brzęknęła zapadka. Skierowałem w głąb klatki snop światła z latarki, arras delikatnie falował. Potem ruszył dźwig...

— Jesteś? — Nie było jej w windzie, była tylko szkatuła. Ciężka, wewnątrz coś się kolebało. Amanda wróciła dopiero drugim kursem. Na dach wdrapała się po linie jak wiewiórka, a potem wciągnęła mnie, zaczepiając o stelaż anteny satelitarnej system wielokrażków.

— Co teraz? — spytałem, dysząc ciężko.

— Zobaczymy, co tam mamy.

— A jak nie będzie to relikwiarz?

— To zejść na dół jeszcze raz.

Zgrzytnął podważany zamek, wieczko odskoczyło, dziewczyna odgarnęła purpurowe sukno i w zimnym księżycowym blasku zaśnił srebrzyście relikwiarz na rękę świętego Malachiasza.

*

Mogło się było udać. Powinno. A nawet prawie się udało. Pawlik i Ferguson mieli około piętnastu minut, aby podziemiami opuścić dom, dotrzeć do położonego za pagórkiem parkingu i odjechać, zanim pochłonie ich roztopiona materia.

— Gdzie jest mój paszport? — rzucił Maciek.

— W mojej teczce — odparł Greg.

Wpadli do piwnicy.

— Dopasujesz klucze? — zapytał Ferguson.

— Nie jestem jasnowidzem. To ty układałeś tę zabawę. Idziesz przodem.

Dziewięć kluczy, trzy zamki. Ferguson pomylił się tylko raz, a i tak wyładowanie elektryczne trzepnęło nim o ścianę. Następne drzwi nie posiadały od ich strony klamek ani zamków.

— Co teraz? Otwieraj!

— To nie ja jestem telekinetykiem.

— Więc powiedz przynajmniej, jak to zostało zaryglowane.

— Na górze skobel, potem koło jak w sejfie, trzeba wcisnąć pod nim trzpień i obrócić pół tarczy w prawo, do lekkiego oporu...

— Nie będzie lekko.

— Postaraj się...

Wersja pędzącego gdzieś ponad nimi żywiołu dodała Maćkowi sił. Twarz mu nabrzmiała z wysiłku, pot zalewał oczy, lecz zgrzyty mechanizmu blokującego napawały nadzieją...

— Już! — Omal nie upadł na ziemię.

— Został jeszcze klucz.

— Nie mam siły... — Przerwał mu donośny wybuch, to na górze eksplodował zbiornik z paliwem. Chwila napięcia, zgrzyt klucza. Kolejne drzwi stanęły otworem. Teraz pozostawało przebiec około trzystu metrów korytarzem. Ponieważ mieli latarki, udawało im się omijać liczne zapadnie, spadające belki i inne niespodzianki.

— Nie dałbym rady przejść tego po ciemku — wyznał chłopak. — Aleś to wykombinował.

— Chciałem poznać pełnię twoich możliwości.

— Przecież i tak miałem nie przeżyć.

— Skąd wiesz?

— Wiem.

Na odgadnięcie kombinacji szyfrowej w kłódce spinającej kratę wyjściową nie tracili czasu. Ferguson po prostu odstrzelił zamek. Wypadli na zewnątrz. Powyżej nich płonęły sady, ale jezory lawy nie uporały się jeszcze z murami rezydencji, ani nie wypełniły niecki za pagórkiem...

— Zostało pole minowe — mruknął chłopak, a Ferguson jeszcze raz zadał sobie pytanie, skąd szczeniak może o tym wiedzieć. Wychylił głowę i błyskawicznie oberwał gumową kulą w czoło. Cholerny karabin maszynowy!

— Czy urządzenie ma jakiś bezpiecznik? — spytał Pawlik.

— Ma... Wyłączysz go?

Maciek skinął głową, a po chwili rzekł do Fergusona:

— Proszę przodem!

— Ale tam są miny.

— To ty je instalowałeś.

Greg z grubsza pamiętał schemat pola minowego: miny zakopywał co trzydzieści centymetrów na planie siatki romboidalnej. Nie miał jednak przy sobie żadnej miarki.

Zostawała ocena „na oko”. Naraz przypomniał mu się Wietnam i pola w rejonie Hue... Tam też było piekło. A jednak chętnie by teraz wrócił do Indochin.

Ostrożnie ruszył do przodu. Po grubej, świeżej warstwie popiołu kroczyli jak po śniegu, a Pawlik dokładnie stawiał stopy w jego ślady. Zajęło im to około dziesięciu minut. Druty kończące pole były tuż-tuż. Tymczasem zza pleców dobiegły ich liczne detonacje, to ogień dotarł do skraju zaminowanego terenu. Ferguson nerwowo obejrzał się i z determinacją postąpił do przodu. Wykonując ten ostatni krok, czuł jednak, że wyliczył źle... Czemu więc go zrobił?! Detonacja! Ciało Grega poszybowało do przodu, opadło na druty i obaliło je razem ze słupkami. Maciek śmiało wskoczył w lej po wybuchu i po chwili stał już na drodze. Agent krwawił.

— O, Boże, chyba urwało mi wielki paluch... Ale przeżyję to!

Kuszykając, dobiegł do parkingu. Stały tam trzy samochody terenowe.

— Poprowadzisz tego landrovera — zawołał chłopak.

— Wpierw muszę odłączyć ładunki.

— Nie ma czasu! Do czego je podłączyłeś?

— Do wiatraka chłodzenia, gdy tylko się włączy, będzie bum...

— Nie włączy się, zapalaj! Tylko pozwól mi się skoncentrować.

Z duszą na ramieniu Greg przekręcił kluczyk. Ruszyli. Właściwie należało jedynie spuścić hamulec. Sunęli serpentynami niczym tocząca się kula, minęli Passopisci i skręcili w lewo, kierując się na Alcantarę. Ferguson z niepokojem spoglądał na wskaźnik temperatury pnący się do góry. Dawno minął już punkt, w którym powinno włączyć się chłodzenie, ale wiatrak ani drgnął.

Agent zachichotał.

— Numer jak ze śmigłowcem! Trzymasz wirnik? Naprawdę jesteś niezły. Wiesz, powinniśmy zrobić spółę. Działając wspólnie, zawojowalibyśmy ten świat. — Chłopak milczał. — Cokolwiek zamierzasz, chętnie ci pomogę. Chcesz załatwić do końca „parszywą szóstkę”, proszę bardzo. Mam na dyskietce tyle haków na Meyerholda, że w wypadku ich ujawnienia nie dostałby nawet posady tragarza psiego gówna... — Nadal brak odpowiedzi. — Cholera, to się zaraz zagotuje, zatrzymam się, co?

Pawlik kiwa głową. Ferguson z ulgą opuszcza stanowisko kierowcy. Idą w stronę mostu przerzuconego nad nurtem rzeki. Chłopak jest nadal bardzo skoncentrowany, stawia nogi jak automat. Greg opróżnia pęcherz. Patrzy na Pawlika stojącego tyłem na moście. Doskonale zdaje sobie sprawę, że nie ma mowy o żadnym partnerstwie. Z drugiej strony Maciek jest zbyt potężny, by móc urobić go na ślepego wykonawcę rozkazów. Agent wyciąga pistolet... W tym momencie Pawlik się odwraca, w jego oczach pojawia się zdumienie, znika wyraz koncentracji... I... Mój Boże!

Greg nieomal czuje szarpnięcie wiatraczka.

Potworna detonacja rozrywa landrovera. Podmuch uderza w Pawlika i przerzuca go przez barierkę; koziołkując i obijając się o ściany, leci w głąb wąwozu, gdzie czeka na niego lodowato zimna toń rzeki Alcantara.

Kres Fergusona nadchodzi o wiele szybciej. Szybująca maska samochodu elegancko odcina mu głowę.

*

Nie mogłem uwierzyć, że tak łatwo nam poszło. Staliśmy na dachu Palazzo Orlandi. Wepchnąłem relikwiarz pod koszulę. Amanda wywijiała liną jak lassem. Celem był wystający konar drzewa rosnącego na ulicy już poza ogrodzeniem posesji. Zrobiła to z wprawą zawodowego kowboja. Pozostała nam już tylko chwila zabawy w

linoskoczka.

Zsunąłem się po sznurze, chwając swą przezorność, która kazała mi zabrać rękawiczki, inaczej poraniłbym dłonie do krwi. Zejście z drzewa to była już tylko dziecinna zabawa. Szybko podbiegliśmy do lancii.

Naraz oświetliły nas reflektory policyjnego radiowozu.

Psiakrew! Ale wpadka!

Zawracamy i skręcamy w jakąś uliczkę. Rozlega się syrena. Karabinierzy ruszają za nami. Szczęśliwym trafem uliczka, którą uciekamy, jest bardzo wąska. Jesteśmy szybsi i bardziej zdeterminowani. Znow skręcamy, ginąc: patrolowi z oczu.

— Dokąd teraz? — pyta Amanda, która docenia moją; wyższość, jeśli idzie o orientację terenową.

— Jeśli dotrzemy do parku Pincio, wywrócimy dresy na kolorową stronę i ukryjemy gdzieś Malachiasza. Później wrócimy po samochód.

— Daleko to jeszcze?

— Dwie przecznice. Widzisz stary mur miejski? Biegniemy i po paru minutach będziemy już w parku.

Niestety. Z piskiem opon zajeżdża nam drogę policyjny radiowóz, z drugiej parkowej alejki wysuwa się drugi. Koniec. Amanda podnosi ręce do góry. Idę w jej ślady. Wyskakują dwóch karabinierów, mają broń gotową do strzału... Nie wiem, co im powiem. Jedno jest pewne — kariera pana Byrnesea dobiegła końca.

Wtem rozlega się dziwny dźwięk. Nie przypomina on niczego znanego. Jest po trosze skowyt, po trosze warkotem. Wycie dochodzi z głębi parku. Widzę, jak gliniarze odwracają głowy. Nie wiem dlaczego, ale mój strach przemienia się w grozę. Widzę wielki cień posuwający się zwinnie po murawie w kierunku alei. Cóż to może być: dzik, hipopotam karłowaty? Kolejny skowyt jeży nam włosy na głowie. Monstrum wypada na otwartą przestrzeń. Nie wiem czemu, ale biegnie w naszym kierunku. Tyle że po drodze są karabinierzy. Teraz widzimy, że jest to potwornie gruba, półnaga kobieta...

— Proszę się zatrzymać! — woła policjant, ale monstrum odtrąca go jak szmatę; drugi usiłuje pochwycić je za rękę. Krótki krzyk, potworny odgłos i oderwana z niewiarygodną siłą głowa funkcjonariusza toczy się po ścieżce. Stoimy jak skamieniały. Jeden z wozów policyjnych rusza i staje między nami a cwałującym potworem. Jakże silna musi być ta bestia. Szarpnięciem odrzuca samochód jak zabawkę.

Jednak pierwszy z gliniarzy nie rezygnuje z walki. Otwiera ogień, któraś z kul dosięga monstrum, bo naraz zawraca ono z kwikiem i znika w zaroślach.

Widzę, że przestaliśmy już być ośrodkiem zainteresowania. Kulejący policjant dobiega do przewróconego samochodu, pomaga wydostać się kolegom, po chwili drugi wóz z wyciem syreny rusza w pościg przez krzaki.

— Nic tu po nas. — Amanda pociąga mnie za rękę. Biegniemy zwirową alejką nie bardzo wiedząc, dokąd.

— Wiesz co to było? — pyta dziewczyna.

Nie mam pojęcia. Serce wali mi jak grad o szyby. Cały mój organizm wibruje przekonaniem, że stanęliśmy w obliczu wcielonego Zła. Nie wiemy jednakże, że dotąd stykaliśmy się z jego pionkami i że dopiero teraz wkracza na arenę nasz właściwy przeciwnik.

*

Od chwili przybycia do Rzymu „Mussa” Harding czuł się nieco zagubiony. Kryła

się w tym mieście jakaś dziwna siła, której nie rozumiał, której nienawidził, której się bał. Dotąd wszystko było proste, polecenia płynące z łezki jednoznaczne. A teraz — co się dzieje? — stracił czwórkę swych „podwykonawców”, boi się o dwóch pozostałych. A co z mitycznym Malachiaszem? Czemu dla amuletu jest to przeciwnik numer jeden?

Matthew bardzo szybko zorientował się, gdzie jestem ja i Amanda. Zorientował się też bez trudu, co knujemy i śledził nas już od rana. Oczywiście mógł uderzyć wcześniej. Wolał jednak, abyśmy wpierw wykradli z pałacu relikwię. Teraz Sharon wykona brudną robotę, relikwię zaś się zniszczy... A „podwykonawcy”? Mało to ludzi gotowych za marną cenę zaoferować swe usługi? Trzynasty grudnia i tak będzie przełomem, odwróceniem biegu dziejowych wydarzeń. Choć...

— Przekłęci gliniarze, musieli wejść nam w paradę? Popsuć?! No, specjalnie wiele nie popsuli. Przy niewiarygodnym metabolizmie Sharon po dziesięciu minutach jej rany znikną bez śladu. Akcja zostanie doprowadzona do końca. Przed świtem.

*

Po przebiegnięciu opustoszałymi alejkami kilkuset metrów gwałtownie zapragnąłem opuścić wreszcie ten park. Wydawało mi się, że na głównych ulicach, gdzie ruch nigdy nie zamiera, będziemy bezpieczniejsi.

Wywróciliśmy dresy na drugą stronę i wspólnie pokonaliśmy jakiś wysoki mur, potem wystarczyło przejść kawałek krętą uliczką, by naraz otworzyła się przed nami wolna przestrzeń. Stanęliśmy przed fasadą kościoła, przed nami ciągnęły się schody i tarasy, schody i tarasy aż po fontannę rozdzielającą dwa pasma jezdni.

— Mój Boże — szepnęła Amanda. — Jesteśmy na Schodach Hiszpańskich! Całe życie marzyłam, że właśnie tutaj mężczyzna mojego życia poprosi mnie o rękę.

Chciałem jej powiedzieć, jak bardzo zazdrosczę temu mężczyźnie i że jeśli idzie o mnie, muszę zadowolić się ręką świętego Malachiasza, ale kiedy wyciągnąłem ją spod koszulki, raptownie wysunął się z cienia jakiś bardzo stary Murzyn. Chciałem go wyminąć, zastąpił mi drogę.

— Dalej nie ma dokąd iść — powiedział chrapliwie. — Dotarłeś do kresu.

— Co pan mówi?

— Wypełniły się wasze dni i nic tego nie zmieni. Dla wszystkich lepiej będzie, jeśli mi to oddasz — wskazał srebrny relikwiarz.

— A jeśli nawet oddam, to co wtedy?

— Umrzesz bez bólu.

— Nie strasz, dziadzie — zawołała Amanda.

Murzyn tylko zagwizdał i jak spod ziemi na balustradę wskoczył potwór. Na zakrwawionej krwią twarzy — masce gorzały niesamowite oczy. Żeby się przed nim zasłonić, instynktownie uniosłem relikwiarz. COŚ odwróciło głowę...

— Tu cię boli!

Stary czarny mężczyzna dostrzegł wahanie potwora.

— Bierz się za dziewczynę, Sharon! — zawołał.

COŚ sprężyło się do skoku, a potem jak lampart zeskoczyło z balustrady. Amanda krzyknęła. Zrobiłem krok do przodu i z całą siłą grzmotnąłem bestię ręką świętego w jej nisko pochylony łeb.

— Nie! — ryknął Murzyn. — Atakuj, Sharon!

Monstrum opadło na kolana i naraz z pękniętej czaszki wypadł dziwny złocisty przedmiot przypominający zakrzepłą wielką łzę.

— Nie! — powtórzył nieludzkim głosem Harding.

Łezka spadła na ziemię i potoczyła się ku nogom Amandy. Ta instynktownie ją odkopnęła.

— Nieee! — Teraz głos Murzyna przypominał skowyt, jaki wydawało z siebie COŚ. Kulka poczęła się toczyć po schodach. Matthew gnał za nią z nadludzką chyżością. Już, już prawie dopadał amuletu, kiedy śpiąca pod murem, okutana w szmaty żebraczka wyciągnęła bosą, szczupłą nóżkę. Harding stracił równowagę, przekoziołkował, grzmotnął w balustradę... Rozległo się paskudne chrupnięcie i Murzyn znieruchomiał.

— Skrecił kark — zawołała Amanda. — Jest sprawiedliwość na świecie!

Ja zaś śledziłem dalej turlającą się łezkę. Pobiegłem za nią. Schody nie były strome, a jednak amulet nie zatrzymał się nigdzie, stoczył się na trotuar, jeszcze chwila, a przeleciał między kratkami studzienki kanalizacyjnej. Tylko uszami wyobraźni mogłem słyszeć ciche pluśnięcie, kiedy złocista drobina zderzyła się z powierzchnią mrocznej rzeki niosącej wszystkie nieczystości tego świata.

Amanda podbiegła do mnie.

— Uratowałeś mi życie, naprawdę, uratowałeś nas wszystkich — zawołała.

I przytuliła się do mnie. I poczułem jej łzy na mojej twarzy, i jej usta na swoich, i...

— Do mamy, ja chcę do mamy...

Do naszych nóg usiłowała przytulić się olbrzymia, nieprawdopodobnie tłusta istota o słodkim dziewczęcym głosie.

— Nazywam się Sharon, Sharon Marshall z Tennessee. Mieszkam teraz z rodzicami i bratem w hotelu Treasure Island na Kajmanach. Zaprowadźcie mnie do domu. Proszę.

Po straszliwym pęknięciu na jej czaszce nie pozostał żaden ślad. Rozejrzałem się za Cyganczką, która tak skutecznie podcięła Murzyna. Ale również ona zniknęła tak, jakby jej nigdy nie było.

19.

*Koniec wieńczy działo, powiedział
kanonier, któremu wycior
bezapelacyjnie ugrzązł w lufie armaty.*

Długo tej nocy nie pospaliśmy. Głównie za sprawą Sharon. Bestia, która po pozbyciu się złotej łożki straciła jakiegokolwiek agresywne cechy, nie miała zamiaru nas opuszczać. Zachowywała się jak mała zagubiona dziewczynka. I we własnej świadomości była małą zagubioną dziewczynką. Przywykli do zdarzeń niezwykłych, mogliśmy zrozumieć, że Zła Moc, która zawładnęła nią przed laty, odeszła.

Nie wiedzieliśmy, co z nią zrobić. Pozostawić, oddać policji? Perspektywa wyczerpujących rozmów z karabinierami jakoś się nam nie uśmiechała. Póki co Amanda obmyła Sharon w fontannie. Jej twarz, wprawdzie okropnie tłusta, przybrała wygląd łagodny, oczy patrzyły wrażliwie, inteligentnie.

Ruszyliśmy bocznymi uliczkami w stronę Piazza Berberini, zamierzając odszukać naszą lancę. Sharon opowiadała nam o sobie. Wspominała wakacje na Kajmanach, starego Murzyna, który baczenie jej się przypatrywał, gdy kąpała się w basenie, i lot samolotem... Zapamiętała też tę straszną chwilę, kiedy leżała rozkrzyżowana na stole podczas przerażającej ceremonii voodoo. A potem już nic. Sen. Niepamięć.

Dojechaliśmy do naszego hotelu przy placu Navona i powstał problem. Jeśli zostawimy Sharon w samochodzie, może zmarznąć... Wprowadzić do hotelu? Jak? Półnagiego potwora? Panna Reger znalazła rozwiązanie. Rozpruła dwie luźne sukienki kupione ledwie wczoraj na wyprzedazy, sfastrygowała w jedną i odziewszy tak cudacznie Sharon, wprowadziła ją do hotelu. Recepcjonistka obudziła się natychmiast.

— A to kto?

— Dziecko — odpowiedziała Amanda. — Leczy się z ostrego zespołu Downa.

— Macie państwo jedynie dwójkę. Musicie dopłacić za dziecko.

— Nie ma sprawy.

Ponieważ „dziecko” zajęło jedno łóżko, oboje z Amanda wylądowaliśmy w drugim. Byliśmy jednak zbyt zmęczeni, żeby myśleć o jakichkolwiek podtekstach. Bardziej obawiałem się, że w naszą sublokatorkę znów może wstąpić jakiś diabeł.

— Oh, my God! — Z łazienki dobiegł rozdzierający krzyk. Wbiegliśmy tam oboje. Sharon wpatrywała się w lustro, dygocąc i szlochając. — To ja, to mam być ja? To niemożliwe, to straszne.

— Mówiłem ci, kochanie, minęło wiele lat.

— Nie chodzi o lata, tylko o kilogramy. To straszne, to straszne.

— Nie łam się — pocieszała ją Amanda. — Są teraz wspaniałe diety odchudzające. Za dwa miesiące będziesz taka jak dawniej.

— Nie kłamiesz? — Łzy natychmiast przestały płynąć. — Dajesz słowo, jakbyś była moją najlepszą przyjaciółką?

— Jestem twoją najlepszą przyjaciółką. A teraz umyj zęby i spać.

*

Wręczenie kapeluszy kardynalskich zapowiedziano na godzinę 11.00. O dziesiątej w Bazylice Watykańskiej rozpoczęła się uroczysta msza pontyfikalna. Prawie cudem jeszcze poprzedniego dnia udało nam się zdobyć zaproszenia na miejsce w bocznej

łoży, więc mogliśmy obserwować wszystko z bliska. Tylko obserwować! Byliśmy bezradni. Bo co, mieliśmy krzyczeć, protestować przeciwko nominacji Wondera? Któż by nas wysłuchał? Wszyscy zaproszeni musieli wchodzić przez bramki wykrywające metale. Nie było więc mowy o wniesieniu pistoletu ani nawet naszego relikwiarza.

— Może dzisiaj odpuścimy, a jutro, pojutrze udam się do niego i po prostu go zastrzelę? — proponowałem.

— Powążyłbyś się na coś takiego?

— W ciągu paru dni przeszedłem skrócony kurs zabijania.

— Mogłabym załatwić go ciosem karate — po krótkim wahaniu szepnęła Amanda.

— Oszalałaś, kościół najeżony jest ochroniarzami, a poza tym nie wiem, czy wolno nam zwalczać Zło jego własnymi metodami.

— Co więc robić?

— Nie wiem, módlmy się...

Zabrzmiały organy. Dźwięk wypełnił bazylikę od wejścia po alabastrowy ołtarz Berniniego. Od Piety po brązową figurę Piotra zwaną „Czarnym Papieżem”. Dźwięk odbił się od posadzki i uderzył w sklepienie kopuły. I ujrzałem dziesięciu nominowanych hierarchów, krocących środkiem nawy głównej ku baldachimowi wspartemu na niezwykłych kręconych kolumnach. Pierwszy z uśmiechem sukcesu na twarzy kroczył czarnoskóry biskup z Nigerii, Filip Wonder. W połowie nawy przystanąli. Na moment nasze spojrzenia spotkały się. Ujrzałem w jego oczach pychę i chciwość, i żądzę, i zło tak wielkie, że gotowe wysadzić z posad tę bazylikę, ten Kościół i tę planetę.

Jeśli nawet wykreowanie Wondera było dziełem łezki i starego Murzyna Hardinga, przestałem się łudzić, że ich zniknięcie cokolwiek zmieni. Krokami przyszłego kardynała kierowała teraz jego wolna wola. Musiałem coś zrobić, ale co? Co?!

*

Pacjent obudził się rano. Ku zaskoczeniu personelu szpitalnego był całkowicie przytomny.

— Gdzie ja jestem? — zawołał po polsku.

— W szpitalu w Taorminie — odpowiedziała w tym samym języku czuwająca obok siostra szarytka. — Cieszymy się, że wróciła panu świadomość, panie Pawlik.

— Siostra zna moje nazwisko?

— Było w paszporcie znalezionym w teczce na miejscu katastrofy...

— Katastrofa... Ach, tak... — zbierał rozproszone myśli. — Czy siostra wie, co się właściwie stało?

— Prawdopodobnie z powodu gorąca eksplodował zbiornik z paliwem, może uderzyła lapilla...

— Ach, prawda, wybuch wulkanu...

— Pan wpadł do rzeki. Bardzo szczęśliwie. W wyjątkowo głębokim miejscu. Dlatego obyło się bez poważniejszych urazów wewnętrznych.

— A Fer... znaczy ten drugi?

— Nie żyje. Ciało zostało kompletnie zmasakrowane. W tej sprawie chciała przesłuchać pana policja, ale powiedzieliśmy, że nie będzie to możliwe przez najbliższych parę dni...

— Parę dni! — Pawlik aż podskoczył na łóżku. — A którego dziś mamy?

— Trzynastego grudnia. Był pan nieprzytomny ponad dobę...

— Trzynasty! Boże. To ja muszę natychmiast wstać. Lecieć do Rzymu, do Rzymu.

— Usiłował się podnieść, ale zobaczył nogę na wyciągu i rękę na temblaku.
— W tym stanie nie doleci pan nawet do drzwi — uspokajała siostra. — Proszę się nie denerwować. Może chce pan gdzieś zadzwonić.
— Powinienem tam być. O jedenastej na konsystorzu...
Szarytka pokiwała głową ze zrozumieniem.
— Będzie bezpośrednia transmisja telewizyjna, jeśli doktor się zgodzi, a jest to dla pana ważne, przyniesiemy odbiornik.
— Proszę nie mówić nic doktorowi. To najważniejsza sprawa w moim życiu. I nie tylko w moim. Proszę. Czy mogę przeżyć to sam?

*

Sprzeczne pomysły przelatywały mi przez głowę. Krzyczeć, symulować zamach. Ścisły organy. Ludzie usiedli. Teraz! — pomyślałem, gotując się do skoku.
— Patrz! — dobiegł mnie szept Amandy, ściskającej moją rękę. Nie musiała mnie powstrzymywać. To nie ja wskoczyłem na ławkę. Uczynił to Murzyn w purpurze. W kompletnej ciszy, która zaległa bazylikę, rozległ się jego rechot.
Nikt nie reagował, a on biegł wśród głów, przeskakiwał z ławki na ławkę, krzycząc: „Niech żyje diabeł! Chwała księciu ciemności! Ja chcę tiary, dajcie mi tiarę!” Wpadł na prezbiterium, ochroniarze skoczyli zasłonić swymi ciałami Ojca Świętego, kiedy nadbiegający szalenciec nagle stanął i opadł na kolana. Wodził nieprzytomnym okiem dookoła, na kamery, na nadbiegających księży, jakby nie pojmował, co się stało. A gdy pojał, począł toczyć pianę z ust, tarzając się z wyciem nieludzkim, aż skropiony wodą święconą zastygł w bezruchu, szepcząc poczerńiałymi ustami: „Galileae vicisti!”
Odpowiedziałem uściskiem na uścisk Amandy. Gdziekolwiek był Maciek Pawlik, zdążył na czas.

*

W hotelu oczekiwała na nas wiadomość. Nasz cudotwórca przebywał w szpitalu w Taorminie. Oprzytomniał. Jego życiu nie groziło niebezpieczeństwo. Jeszcze tego samego dnia pojechaliśmy na Sycylię. Samolotem byłoby wprawdzie szybciej i wygodniej, ale Sharon za żadną cenę nie chciała zostać sama. Zmieniając się przy kierownicy, jechaliśmy dzień i noc. I o świcie znaleźliśmy się w szpitalu u podnóża nadmorskiej skały, na której wznosiła się bajkowa Taormina. Etna już się uspokoiła. Służby porządkowe czyściły ulice z popiołów. Było chłodno, ale niebo pozostawało bezchmurne.

Maćka zastaliśmy wyczerpanego, ale szczęśliwego. Podobno podczas oglądania transmisji stracił przytomność i ledwo go odratowano.
— Przy okazji zrobiono mi wszystkie możliwe badania, tomografię mózgu, zdjęcia kości płuć. Z moim rakiem to była bujda. Wymyślona przez ciocię, aby mnie zwerbować.
Milczałem zaszokowany. A więc tak podeszła go chytra cioteczka.
— I bardzo dobrze robiła — kontynuował chłopak. — Przeżyłbym całe życie bawiąc się, bogacąc, nie mając pojęcia, że można zrobić coś dobrego. Nie znając siebie, A podejrzewam, że jeśli ktoś by znowu werbował kolejnych sześcioro na służbę zła, to byłbym jednym z pierwszych kandydatów.
— Jednak czy wolno w walce ze złem stosować zło?
— Zostawmy to moralistom i filozofom — wtrąciła się Amanda. — My w każdym

razie bardzo cię przepraszamy za ciocię.

— Nie ma potrzeby! Owszem, najadłem się strachu, ale kiedy wrócę, uściskam panią Mirską.

Amanda opowiedziała mu nasze przygody. I przedstawiła Sharon, która przestrzegając ścisłej diety, już schudła pięć kilo.

— A więc została nam tylko sprawa Harry’ego Meyerholda — przerwałem sielankę. — Facet może być groźny.

— Nie bardzo. Ferguson zostawił mi w spadku swoją polisę ubezpieczeniową. Tę dyskietkę. Zarejestrował tam sporo ciekawych rzeczy. Kiedy przekazemy to mediom, Meyerhold będzie musiał uciekać na koniec świata. Macie ze sobą laptopa?

Pożyczyliśmy od ordynatora. Dyskietka była zaszyfrowana, ale Ferguson nie wysilił się, wymyślając hasło „Brudny Harry”. Czego tam nie było? Zeskanowane rachunki dla ludzi od mokrej roboty, wykazy łapówek od świata przestępczego, kompromitujące fotografie, nagrane rozmowy, fragmenty filmów. No i ta ostatnia rozmowa nagrana w waszyngtońskiej rezydencji Harry’ego kamerą ukrytą, sądząc po kacie filmowania, w teczce Grega.

MEYERHOLD: — To wyjątkowa okazja, Greg! Dwudziestego piątego Wielki Palant będzie w Jerozolimie. Zachciało mu się zabawy w świętego Mikołaja. Dwudziestego szóstego leci do Rijadu, żeby pokłonić się Arabusom, w myśl zasady Panu Bogu świeczkę... Dwudziestego ósmego miało być Nairobi. Ale nie będzie. Załatwiłeś sprawę?

FERGUSON: — Tak, jak pan polecił, został zainstalowany tajny program, który włączy się godzinę po starcie. Główny komputer pokładowy zacznie sygnalizować usterki silników „Orła 01” i zalecać awaryjne lądowanie.

MEYERHOLD: — A najbliższym lotniskiem będzie erytrejska Asmara. Zupełnie przypadkowo koło tego lotniska, na trasie podchodzenia do lądowania pojawią się mudżahedini szejka Hassaniego. Widząc samolot imperialistycznego diabła, odpalą stingera. Tak się w dwa tygodnie zostaje prezydentem naszego pięknego kraju... Co, Greg? A kim ty chcesz zostać, szefem CIA?

*

Oczywiście żadna z telewizji nie wyemitowała tego pasjonującego skądinąd materiału. Zamiast tego we wtorkowy poranek rzecznik Białego Domu poinformował opinię publiczną o śmierci Harry’ego Meyerholda, znakomitego doradcy prezydenta USA do spraw bezpieczeństwa narodowego wskutek rozległego wylewu krwi do mózgu.

Bywa.

W Taorminie spędziliśmy tydzień, odpoczywając po przebytych emocjach, opowiadając sobie raz jeszcze szczegół po szczególe, porządkując wspomnienia i starając się odtworzyć zadziwiającą historię lezki. Potem wsadziliśmy Pawlika wraz z opiekującą się nim siostrą Laudacją do samolotu lecącego do Wiednia, skąd miano ich przetransportować do Warszawy. W tej podróży towarzyszyła im Sharon (chudsza o kolejne dwadzieścia kilogramów), której jakimś cudem załatwiono dokumenty, wedle których stała się zakonnica z Trynidadu. Maciek zaś pod gipsowym opatrunkiem przemycił rękę świętego Malachiasza. Tajemnicą chłopaka pozostaje, w jaki sposób nie zareagował na nią wykrywacz na lotnisku.

Czy czuliśmy się złodziejami zabytku? Nie za bardzo. To Orlandi przywłaszczyli sobie relikwię, my zaś po pokazaniu jej cioci zamierzaliśmy przekazać ten zabytek do klasztoru na Jasnej Górze w charakterze anonimowego daru.

Inną sprawą był nasz lęk przed zemstą grupy Karakorum, Pawlik jednak nas uspokoił. Nie odczuwał zagrożenia, tym bardziej, że po śmierci Wan Tenga doszło do rozłamów w łonie przywództwa konsorcjum, a Iran zaraz po Nowym Roku wypowiedział traktat z Chinami.

Ale nie uprzedzajmy faktów. W przeddzień wigilii razem z Amandą odstawiliśmy wynajętą lancję do Rzymu. Święta chcieliśmy spędzić z ciotką w Polsce. Zastanawiałem się, jak odkręcić sprawę mojego powrotu do świata żywych. Ale w końcu przy pomocy Pawlika dokonywało się nie takich cudów. Rzym przywitał nas dość rzadko spotykanym na jego ulicach śniegiem. Odstawiliśmy lancję do garażu, a potem, mając wolne popołudnie, szwendaliśmy się po mieście. Byliśmy jeszcze raz w Bazylice św. Piotra, pod naszym hotelem na placu Navona, odwiedziliśmy Colosseum, gdzie święty Malachiasz doznał pierwszego objawienia. Palazzo Orlandi ominęliśmy z daleka!

I znów byliśmy na Schodach Hiszpańskich, sypał mokry śnieg, paliły się latarnie. Grupki młodzieży walczyły ze sobą na śnieżki. Amanda, zaróżowiona od marszu, wyglądała fantastycznie. Stanęliśmy w miejscu, gdzie zasłoniłem ją przed bestią.

— No i co mi powiesz — zapytała, obracając się do mnie twarzą i biorąc w ramiona.

— Ja... Amando — chrząknąłem, czując suchość w gardle.

— Może powiesz, że mnie nie kochasz, że nie chcesz być ze mną? Razem zasypiać, budzić się, razem podróżować, pisać książki?

— Chcę, ale...

— Powiesz, że jesteś stary. Ja tego nie czuję, jesteś młodszy duchem niż wielu moich rówieśników. Masz w sobie stałą ciekawość życia, potrzebę odkrywania nowych światów, poszukiwania tajemnic. Jak ja. Gdy ty się śmiejesz, ja też się śmieję! Gdy coś przeżywasz, jestem z tobą... A wiek? Za dwadzieścia lat to ja będę starzejącą się kobietą, a ty niczego sobie interesującym, starszym dżentelmenem.

— Bardzo chciałbym, ale nie wiem, czy mogę... Poza tym nie rozumiem, skąd ty...?

— Dlaczego ja cię kocham? Nie wiem... Właściwie wiem! Helena! Byłeś zawsze wielką młodzieńczą miłością mojej mamy. Tylko chyba przegapiliście ten właściwy moment. Kochaliście się kiedy indziej i inaczej. Wiesz, nawet kiedy wreszcie się z nią przespałeś, nie zdołałeś zepsuć jej wspomnień.

— Powiedziała ci o tym?!

— Nie mamy przed sobą tajemnic. A więc kochałam j cię, zanim cię poznałam. A potem zjawileś się. I pokochałam jeszcze bardziej. Twoją delikatność, mądrość, szlachetność, autorefleksję, ten może nadmierny krytycyzm wobec siebie, który mali i głupi ludzie biorą za zarozumiałość.

Przygarnąłem ją mocniej do siebie.

— Tylko dlaczego, dlaczego nie dałaś mi tego odczuć? Żyliśmy pod jednym dachem, a ja nie ośmielałem się nawet marzyć o tobie... Pogodziłem się z tym, że możesz być dla mnie wyłącznie córką. Dlaczego?

— Dolores — odpowiedziała. — Nie chciałam być jej namiastką.

— To była tylko fascynacja... Minęło.

— Wiem, zrozumiałam to tutaj, na tych schodach tydzień temu. Dla niej nie byłbyś gotów zginąć. Dla mnie nie wahałeś się.

Zamknąłem jej usta pocałunkiem. I tak trwaliśmy wśród płatków padającego śniegu, wśród szybujących śnieżek. Ozwały się dzwony kościoła Trinita dei Monti. A wszystko stało się tak nierealnie realne. Ta noc, Rzym, miłość i my.

Epilog

Wigilię obchodziliśmy już w Warszawie. W maleńkim mieszkanku na rogu Jana Pawła II i Świętokrzyskiej spotkali się wszyscy bliscy: Amanda, Pawlik z mamą i siostrzyczką, moja siostra Irena, która rozstała się z narzeczoną. Zaprosiłem również Magdę z Grzesiem. Żemański od czasu ostatniego telefonu z Wenecji nie odezwał się więcej. Nie dał znać w ministerstwie. Ani w ambasadzie. Magda była pełna najgorszych obaw, ale nie chciała nas odwiedzić... Może uważała, że jej obecność odbierzemy jak dysonans. Była również Sharon, coraz chudsza i coraz ładniejsza. Z zadowoleniem zauważałem, jak bardzo się polubili z Maćkiem. Jeszcze trzydzieści kilogramów mniej i kto wie... Jeden Ferguson mógłby powiedzieć, co się może urodzić z takiej krzyżówki.

Zrobiliśmy tę składkową wilię w trzy godziny po przybyciu z lotniska. Amanda z ciocią przygotowywały stół. Ja pobiegłem po choinkę. Wracając z drzewkiem pod pachą, pod samym domem zobaczyłem moją małą żebraczkę. Stała bosa na zbitym na lód śniegu. Rzuciłem jej dwie piątki. Złapała w locie. Wbiegłem do sieni. I naraz stanąłem. Oto strzeliła mi szalona myśl, aby owo żebrzące dziecko zaprosić do nas na wieczerzę. Zawróciłem. W dalszym ciągu Cyganeczka stała pod kioskiem Ruchu. Zobaczyła mnie i cofnęła się spłoszona. Może przestraszyła się, że zechcę jej zabrać datek.

— Poczekaj, mała, nic ci nie zrobię — wołałem, a w myślach dorzucałem: „Kim ty jesteś, kim ty naprawdę jesteś?”

Smyrgnęła w wąską szczelinę za kioskiem. Pobiegłem za nią. Śnieg był tam świeży, jeszcze nie deptany. Widziałem wyraźnie odcisnięte ślady stopek, jeden krok, drugi... Ale trzeciego ani śladu. Śnieg olśniewał nieskalaną płaszczyzną. Gdzie się ona podziała? Spojrzałem do góry. Może nie było tam nic. Może mi się tylko wydawało, że widzę dwie świetliste smugi unoszące się pionowo ku górze i obłoczek pary między nimi.

Tak więc nie siedziała tu z nami. Zresztą, kto ją wie. Za to tam, gdzie stało jedno wolne nakrycie obecny był duchem święty Malachiasz. Niestety, stan relikwiarza bardzo mnie niepokoił. Od uderzenia w głowę Sharon cały czas coś w nim grzechotało, podstawa była obluzowana... Zanieść do złotnika? Wolałbym nie ryzykować.

— A gdybym ja to obejrzała? — zaofiarowała się ciocia. — Majsterkowanie to moja mocna strona.

No i zaczęła kręcić, obracać, przeginać i naraz denko opadło z trzaskiem i wypadł pakunek skamieniałego sukna. Cóż to mogło być? Na wierzchu znajdowała się pieczęć. Po odczyszczeniu okazało się, że należała do Bernarda opata Clairvaux. Naraz poczułem się jak archeolog Carter na progu grobowca Tutanchamona.

— Co robimy?

— Otwieramy, otwieramy! — zabrzmiało jednogłośnie. Nie naruszyłem pieczęci, wołałem przeciąć zetłafy od spodu materiał. Na stół wypadło pudełko pokryte grubą warstwą jakiejś skamieniałej mazi...

— Czy to złoto? — zapytała Irena.

— Za lekkie — ocenił Pawlik.

Zastanawialiśmy, jak to można odczyścić, nie uszkadzając ewentualnego grawerunku. Wodą, rozpuszczalnikiem? Regina skrobiąc drewnianym nożem do masła po krawędzi pudełka, zawołała naraz.

— To z plastiku! Pudełeczko, które można otworzyć.

— Plastik w średniowieczu... Wykluczone, ktoś to musiał podrzucić.

— Nie uszkadzając pieczęci?

Pudełeczko stanęło otworem, a nam wszystkim wyrwał się okrzyk zdumienia.

Płyta CD — ROM. Z XII wieku? Wyglądało, że jest w idealnym stanie. Długo patrzyliśmy na siebie pytająco. Co z tym zrobić?

— Wymiary ma standardowe — odezwała się Amanda. — A może by spróbować odtworzyć ją w komputerze? Zobaczymy, czy zdoła przeczytać...

— Pełny absurd... A jak potem nie wyjmemy jej ze stacji dysków?

— To rozbijesz komputer.

Przeżegnałem się i wsunąłem dysk delikatnie, jakbym udzielał komunii. Aparatura zaszumiała. Czekaliśmy w napięciu.

Naraz na ekranie wyświetliły się kolumny z paroma setkami zdań chyba we wszystkich językach i alfabetych. Z tego, co zrozumiałem, powtarzające się pytanie brzmiało: WYBIERZ JĘZYK.

Ktokolwiek za pośrednictwem świętego Malachiasza chciał nam .przekazać swe objawienie, przewidział każdą możliwość. Wybrałem kursorem język polski. Natychmiast pojawił się napis: DYSK JEST KOMPATYBILNY. JEŚLI CHCESZ POZNAĆ ODCZYT, NACIŚNIJ ENTER.

Powiodłem wzrokiem dookoła. Wszyscy wstrzymali dech.

— Nie wahaj się — szepnęła Regina. — Być może dostąpimy największej tajemnicy ludzkości, dowiemy się, jak zapobiec zagładzie świata i degeneracji naszego gatunku.

Nacisnąłem. Tekstu były zaledwie dwie kolumny.

NIE BĘDZIESZ MIAŁ BOGÓW CUDZYCH PRZEDE MNA!

NIE BĘDZIESZ BRAŁ IMIENIA PANA BOGA TWEGO NADAREMNO!

PAMIĘTAJ...

I tak dalej aż do ostatniego zdania spajającego wszystkie poprzednie:

MIŁUJ BLIŻNIEGO SWEGO JAK SIEBIE SAMEGO.

1997–1998